

STANISŁAW LEM

OBŁOK MAGELLANA

WSTĘP

Jestem jednym z dwustu dwudziestu siedmiu ludzi, którzy opuścili Ziemię, wyruszając poza granice układu słonecznego. Osiągnęliśmy zamierzony cel i teraz, w dziesiątym roku podróży, rozpoczynamy drogę powrotną.

Pocisk nasz osiągnie niebawem szybkość przechodzącą połowę szybkości światła, a jednak miną lata, zanim z mroków wynurzy się niedostrzegalna teraz przez najsilniejsze teleskopy Ziemia jako błękitny pyłek wśród gwiazd.

Przywieziemy wam kroniki wyprawy, cały nie przejrany i nie uporządkowany jeszcze ogrom pierwszego doświadczenia, wiernie utrwalony w mechanicznej pamięci naszych automatów.

Przywieziemy wam dzieła naukowe niezmiernej wagi, powstałe w czasie lotu. Otwierają one nowe, nie przeczuwane, bezkresne obszary poszukiwań w głębi Wszechświata.

Ale w podróży tej poznaliśmy coś trudniejszego i piękniejszego niż odkrycia naukowe i tajemnice materii, coś, czego nie może ogarnąć żadna teoria ani zanotować najdoskonalszy automat.

Jestem sam. Kabinę zalega półmrok, w którym ledwo wyróżniają się kontury sprzętów i małego aparatu przede mną. W jego wnętrzu drży okrucz krysztalu, utrwalający mój głos. Zanim zacząłem mówić, zamknąłem oczy pragnąc być bliżej was. Słyszałem wtedy przez kilka chwil wielką, czarną ciszę bez granic. Będę usiłował powiedzieć wam, jakieśmy ją pokonali. Będzie to historia o tym, jak oddalając się od Ziemi, w świetlne odległości, stawaliśmy się jej coraz bliżsi, jak walczyliśmy z lękiem gorszym od budzonego przez wszystkie twory materii, z lekkiem próżni, która przepaściami przestrzeni do iskry wygasa każde słońce i unicestwia każdy ogrom.

Jak z upływem tygodni, miesięcy i lat słabły nasze najdroższe, najbardziej własne wspomnienia, bezsilne wobec czarnej nieskończoności. Jak goniąc za oparciem, chwytałyśmy się rozpaczliwie coraz innych zajęć i myśli, jak usuwało się i rozpadało to wszystko, co na Ziemi było niewzruszonym usprawiedliwieniem, potrzebą tej podróży, jak w poszukiwaniu jej ostatecznego sensu schodziliśmy w minione epoki i jak dopiero tam, w krwawej drodze ludzkości, odnaleźliśmy siebie, a nasz czas teraźniejszy, zawieszony między otchłanią przeszłości a pełną niewiadomego przyszłością, stał się tak silny, że jednakowo mogliśmy stawić czoło zwycięstwom i klęskom.

Żebyście to mogli pojąć choć niedoskonale, choć w przybliżeniu, muszę przekazać wam drobną cząstkę ciężarów, jakie przygniatały nas i miażdżyły, musicie przejść wraz ze mną przez potopy wydarzeń, przez wielkie lata nawiedzone czarnym zalewem próżni, kiedy w głębi statku słyszeliśmy najokrutniejszą ze wszystkiego, nieskończoną ciszę Wszechświata, kiedy widzieliśmy rozbłyskiwanie i przygasanie słońc, poznawaliśmy nieba czarne i rude, kiedy zza stalowych ścian słyszeliśmy wycie rozpruwanych atmosfer planetarnych, napotykali globy zamieszkałe, globy martwe i takie, na których życie dopiero się rodzi.

Do kogo z was zwracam się, rozpoczynając opowieść o naszych losach, o tym, jak żyliśmy i umierali?

Pragnąłem przekazać ją moim najbliższemu, matce, ojcu, towarzyszącej młodości, tym, z którymi połączyły mnie rzeczy ulotne, lecz najtrwalsze: szum drzew i wody, wspólne marzenia, błękit, w którym wiatr gonił obłoki nad naszymi głowami. Gdy jednak począłem wywoływać ich wspomnienia, pojąłem, że nie mam do tego prawa. Kocham ich nie mniej niż dawniej i tylko trudniej mi to wyrazić, lecz moja opowieść należy nie tylko do nich. Bo z upływem czasu, w miarę jak wzbierała przestrzeń dzieląca nas od Ziemi, krąg bliskich powiększał się i rósł.

Każdej nocy tych lat ze wszystkich kontynentów Ziemi, z małych osiedli i miast, z

laboratoriów i szczytów gór, ze sztucznych satelitów, z obserwatoriów księżycowych, z raket lawirujących w przestrzeni układu wewnętrznego miliony spojrzeń podnosiły się na kwadrant nieba, gdzie błyszczą słaba gwiazda, która była naszym celem.

Bo kiedy znikliśmy w otchłani, poza ostatnią granicą grawitacji słonecznej, w każdej sekundzie pozostawiając za sobą dziesiątki tysięcy mil, nadal towarzyszyła nam wasza pamięć.

Czym bylibyśmy w tej metalowej łupinie pośród rozgwieżdżonego mroku, kiedy prawa fizyczne rwały więź łączącą nas z Ziemią sygnalizacji, gdyby nie wiara miliardów ludzi w nasz powrót?

Dlatego krąg moich przyjaciół obejmuje bliskich i dalekich, zapomnianych i nieznanych, tych, którzy urodzili się po naszym odlocie, i tych, których nigdy nie zobaczę. Wszyscy jesteście mi jednakowo drodzy i do wszystkich was mówię w tej chwili. Potrzeba było widać takich właśnie odległości, takich cierpień i takich lat, bym pojął, jak wielkie jest to, co nas łączy, i jak drobne to, co dzieli.

Niewiele mam czasu przed sobą. W pośpiechu wypowiedzenia wszystkiego, co było, mogę stać się chwilami nie dość rozumiały, chaotyczny, lecz będę się starał o jedno. O to, by ukazać wam, jak poprzez wydarzenia, nad którymi usiłowaliśmy zapanować, powstała w nas konieczność ogarnięcia jednym, choćby błyskawicznym spojrzeniem całej drogi, jaką człowiek przeszedł od swego początku.

Wyprawa ta wydaje się nam zdobyciem olbrzymiego szczytu, z którego rozciąga się widok na wieki, lecz w istocie jest tylko wejściem na jeden ze stopni niezmierzonej pochyłości, której wyżyny ukrywa przyszłość. Przejdą setki i tysiące lat, w których dzieje nasze skurczą się do drobnego, choć niezbędnego etapu i wszystkie te, dziś krwią naszą ożywiane wypadki staną się martwą literą zapomnianych kronik. Imiona nasze będą nieznanymi, staniemy się bezimienni jak dalekie roje gwiazd, które tylko w całości swych skupień posiadają nazwę. Wielkie są gwiazdy i silne, i wieczne wobec życia ludzkiego, które z nich powstało. Bo gwiazdy stwarzają człowieka i gwiazdy go zabijają. Lecz oto człowiek w swojej drodze już jest pomiędzy gwiazdami, poznał przestrzeń i czas, i gwiazdy same, które go wydały. Nic nie może mu się oprzeć. Tym staje się większy, im większe napotyka przeszkody. W nim jest wszystko: wielkość i słabość, miłość i okrucieństwo, to, co ograniczone, i to, co nie ma granic. Bo nawet gwiazdy starzeją się i gasną, a my pozostaniemy. Bo potem nad naszą wyobraźnię rozbudowana cywilizacja, po epoce bujnego, szybkiego postępu, stanie przed ścianą nowych trudności, przed groźnym nieznanym, podważającym podstawy bytu, i wtedy ludzie raz jeszcze sięgną wstecz i odkryją nas na nowo, tak jak my odkrywaliśmy wielki czas przeszły.

DOM

Przyszedłem na świat w podbiegunowej części Grenlandii, tam gdzie klimat tropikalny ustępuje umiarkowanemu, a miejsce gajów palmowych zajmują wysokopienne lasy liściaste. Dom nasz był starą, przesadnie oszkloną budowlą, jakich wiele można napotkać w tamtejszych okolicach. Otaczający go ogród wnikał do parterowych pokoi przez ściany otwarte niemal okrągły rok. Płynące stąd intymne sąsiedztwo kwiatów było niekiedy kłopotliwe i ojciec próbował nawet walczyć z tym nadmiernym, jak je nazywał, zakwieceniem mieszkania, ale babka, mająca po swej stronie matkę i siostry, zwyciężyła i ojciec wycofał się w końcu na piętro.

Dom miał swoją historię, długą i godną. Wzniesiony u schyłku XXVIII wieku, stał podówczas przy motostradzie wiodącej do Meorii, ale gdy z czasem lotnictwo do reszty wyparło w całym okręgu komunikację lądową, droga uległa naturalnemu naporowi lasu, i szlak, którym niegdyś biegła, znaczą dziś tylko drzewa młodsze od okolicznych.

Wnętrza domu prawie nie pamiętam, a i on sam staje mi pod powiekami widziany z dala, prześwitujący przez drzewa, co łatwo zrozumieć, bo przebywałem w ogrodzie tak nieustannie, jakbym w nim mieszkał. Był tam kunsztowny labirynt z żywopłotów; u jego wejścia trzymały straż smukłe topole; dalej rozpoczynał się chaos zawsze cienistych ścieżek, wiodących po długiej wędrowce — właściwie gonitwie, bo nie chodzi się mając cztery lata! — do wysoko wzniesionej altany oplecionej bluszczem. Poprzez szpary między liśćmi można było ogarnąć wzrokiem cały lesisty horyzont aż po nieboskłon zachodu, na którym co kilka chwil wykwiwały pionowe linie ogniste, bo dom nasz stał ledwo osiemdziesiąt kilometrów od meoryjskiego dworca raketowego. Chyba dziś jeszcze mógłbym wskazać na ślepo każdy konar, każde rozwidlenie gałązek w tej altanie. Wzbijałem się w niej ponad chmury, pływałem po oceanach, bywałem kapitanem dalekiej żeglugi i sternikiem rakiet, astrogatorem lub rozbitkiem próżni planetarnej albo odkrywcą nowych gwiazd i zamieszkujących je ludów — a czasem wszystkim naraz.

Z rodzeństwem nie bawiłem się, dzieliła nas bowiem znaczna różnica wieku. Najwięcej czasu poświęcała mi babka i z nią właśnie łączą się pierwsze moje wspomnienia. Gdy mijało południe, szła do ogrodu, odnajdywała mnie w największym gąszczu, sadzała na ramieniu i wychodziła na taras. Za jej przykładem wpatrywałem się w niebo, by dostrzec nadlatujący samolocik ojca, różowy i okrągły jak piwonie przed domem. Bałem się zawsze, czy aby ojciec nie zgubi się po drodze.

— Nie bój się, głuptyś, tatuś znajdzie nas, tatuś leci po nitce z radiowego kłębka — mówiła babka wskazując na antenę, która srebrną trzcinką wznosiła się z dachu. Wytrzeszczałem oczy.

— Babciu, tam nie ma żadnej nitki.

— Bo masz za małe oczy. Zobaczysz ją, jak dorośniesz.

Babka miała dopiero osiemdziesiąt sześć lat, ale wydawała mi się niesłychanie stara. Sądziłem, że taka była zawsze. Siwe włosy czesała gładko w tył i wiązała w ciężki węzeł. Ubierała się fiołkowo lub granatowo i nie nosiła żadnych ozdób prócz cienkiego pierścionka na serdecznym palcu. Mienił się w nim prostokątny kamień. Uta, moja starsza siostra, powiedziała mi raz, że w tym kryształku utrwalaony jest głos dziadka z czasów, kiedy jeszcze żył, był młody i kochał się w babce. To mnie zafascynowało. W czasie zabawy zbliżyłem przebiegle ucho do pierścionka, ale nic nie słyszałem i poskarżyłem się na Utę. Śmiejąc się babka próbowała przekonać mnie, że Uta mówi prawdę, a gdy to nie poskutkowało, po krótkim wahaniu wyjęła z sekretarzyka małe puzderko, przytknęła do niego pierścionek i w pokoju rozległ się męski głos. Tego, co mówił, nie rozumiałem, ale byłem zadowolony i dziwiłem się bardzo ujrawszy, że babka płacze. Po namyśle zacząłem także płakać. Na to

weszła matka i zastała nas oboje rzewnie szlochających.

Kiedy dziadek żył (było to przed moim urodzeniem), babka projektowała modele i desenie sukien. Po jego śmierci przeniosła się do domu najmłodszego syna, którym był mój ojciec, i przestała pracować. Z dawnych czasów zostały jej stopy tek z projektami. Lubiłem je przeglądać, bo było tam wiele zabawnych i dziwacznych rysunków. Od czasu do czasu babka wymyślała jakąś suknię to dla matki, to dla którejś z sióstr, a nawet dla siebie. Miał to być modny strój, odmieniający kolor i deseń w zależności od temperatury. Do łez rozśmieszało mnie odgadywanie, jaki będzie następny rodzaj wzoru i barwy, wyłaniający się na takiej sukni, kiedy się ją rozłożyło na słońcu. W okresie prób babka zamykała się w pokoju. Cały dom żył oczekiwaniem, a potem, przy kolacji, babka zjawiała się odziana jak zawsze w nieposzlakowany, ciemny błękit i na nasze chóralne pytania odpowiadała:

— Nie w głowie mi takie zabawki. Za staram na to.

Ojciec przebywał poza domem w najrozmaitszych porach, nieraz i nocą, bo był lekarzem. Odpoczywał najchętniej na werandzie, patrząc przez ciemne szkła w chmury. Uśmiechał się wtedy nikle, jakby weseliła go zmienność ich kształtów. Kiedy bawiłem się przed domem, podchodził do mnie czasem i patrzył z wysoka na moje budowle piaskowe, a potem oddalał się w milczeniu. Brałem to za przejaw surowości; teraz myślę, że był po prostu nieśmiały. Odzywając się do niego przy stole, babka czy matka często musiały powtarzać zdanie, bo zawsze był trochę nieobecny czy roztargniony, a w większym gronie, kiedy na przykład bywali u nas stryjowie, wołał słuchać innych niż mówić. Tylko raz jeden zadziwił mnie, niemal przeraził. Nie pamiętam bliżej, w jakich okolicznościach zobaczyłem w telewizorze, jak ojciec dokonuje operacji. Zaraz wygoniono mnie z pokoju, ale pozostało mi niewyraźne wspomnienie czegoś pulsującego, krwawego i ponad tą rzeczą okropną — twarzy ojca, jakby zakrzepłej w gniewie, z boleśnie wytężonym wzrokiem. Scena ta wracała w snach, których się bałem.

Stryjowie bywali u nas wieczorami; kiedy zjawiali się wszyscy, nazywało się to „posiedzeniem rady rodzinnej”. Przesiadali do późnej nocy w jadalnym, pod wielkim liriodendronem, który osłaniał fotele palczastymi liśćmi. Nie zapomnę mego pierwszego występu na takiej radzie. Obudziwszy się w środku nocy, zacząłem płakać ze strachu, a gdy nikt nie nadchodził, w rozpaczę pogałem przez ciemny korytarz do jadalni. Matki nie było w pokoju, chciałem więc wleźć na kolana siedzącego najbliżej stryja Nariana; jakże się jednak przeląknę, kiedy moje wyciągnięte ręce przeszły przez postać stryja jak przez powietrze. Z przeraźliwym wrzaskiem rzuciłem się do ojca. Podniósł mnie wysoko i długo huśtał, tłumacząc:

— No, syneczku, nie trzeba się bać. Widzisz, stryjka Nariana nie ma tu naprawdę, stryj jest u siebie w domu, w Australii, a do nas przyszedł tylko z telewizytą; przecież wiesz, co to jest telewizor, tutaj stoi na stolyczku, kiedy go wyłączę, stryjek zniknie, o — cyk! Widzisz?

Ojciec uważał, że niezrozumiałe zjawisko trzeba dziecku dokładnie wyjaśnić, a wtedy przestanie się go lękać, wyznam jednak, że do czwartego roku życia nie mogłem oswoić się z telewizytami stryjów, z których Narian żył pod Canberą, Amiel za Uralem, a trzeci, Orchild, niby w Transwalu, niby na południowym stoku Erathostenesa, ale bodaj połowę życia spędzał w próżni międzyplanetarnej, gdzie prowadził wielkie roboty inżynieryjne, i ojciec nazywał go dlatego „Próżniakiem”. Czwarty, najstarszy brat ojca, Merlin, mieszkał na Szpicbergu, jakieś tysiąc trzysta kilometrów od nas, i co sobotę bywał u nas we własnej osobie.

Muszę teraz opowiedzieć o pewnym micie rodzinnym, który stworzony przez dziadka, wędrował z pokolenia w pokolenie. Babka moja przy całym bogactwie serca i umysłu odznaczała się niepoślednim roztargnieniem, które zwłaszcza w codziennych drobiazgach porządnie jej dokuczało. Dziadek — nie wiem, czy aby ją pocieszyć, czy też w dobrej wierze — twierdził, że roztargnienie, nie będąc samo w sobie cnotą, chadza w parze z talentem artystycznym, i to bardzo wybitnym. Tak więc oczekiwano przejawów niepospolitych

uzdolnień u dzieci, a kiedy rzeczywistość nie spełniła nadziei, dziadek wniósł do swej teorii poprawkę; nie dzieci, lecz wnuki będą wielkimi artystami.

Jednakże siostry moje zawiodły i to oczekiwanie, a brat już jako dziecko zdradzał zainteresowania techniczne. Bodaj do dziś dnia stoi u nas na strychu „łóżko powietrzne” jego pomysłu: system mocnych wentylatorów wyrzucających w górę strumień powietrza tak silny, że może swobodnie unosić ciało człowieka. Stanowiłem obiekt doświadczeń brata, co prawda niechętnie, bo trudno było myśleć nie tylko o odpoczynku, ale i oddychać, wisząc metr nad posadzką w objęciach prądu powietrznego dmuchającego z gwałtownością orkanu. Podobne do tej historii pozwalały przypuszczać, że brat będzie wynalazcą. Raz jeszcze rozczarowana babka doszła do wniosku, że artystą — tym razem już na pewno — zostanie najmłodszy, to znaczy ja. Dlatego uchodziła mi na sucho niejedna sztuczka, za którą inne z rodzeństwa dostałoby klapsa, a trzeba powiedzieć, że sprawiałem rodzicom sporo kłopotów. Nie pamiętam pierwszych odwiedzin składu zabawek, do którego zaprowadzono mnie, gdy miałem trzy lata, lecz nieraz mi o tym opowiadano. Oszołomiony mnogością skarbów, które mogły być moje, biegałem po lustrzanej sali, chwytając na oślep modele raket, balony, radiobąki i lalki, a nie mogąc rozstać się z żadną z tych pięknych rzeczy i porywając coraz to nowe, objuczyłem się tak, że upadłem wreszcie pod ciężarem, zanosząc się krzykiem i łzami gniewu. Babka zaczęła coś mówić o impulsywnej naturze artystów, ale pogląd ojca był bardziej przyziemny.

— Pędrak jest dziki, bo w lesie wyrósł — rzekł i zwracając się do mnie, na pół serio ciągnął:

— Gdybyś urodził się w starożytności, zostałbyś piratem, łupieżcą albo konkwistadorem, wiesz?

Jak już wspomniałem, rodzeństwo było ode mnie starsze; gdy uczyłem się dopiero sylabizować, obie siostry zakończyły studia meteotechniczne. Kiedyś starsza, Uta, w przystępie wspaniałomyślności opowiedziała mi o cudach swego zawodu: gdy miała dyżury na lokalnej stacji klimatycznej, od niej zależało, czy będzie pogoda.

— A jakbyś nie poszła na dyżur, to co? — spytałem.

— To nie byłoby pogody.

Nie wiem, czemu zrozumiałem to tak, że od Uty zależy nie tylko pogoda, ale w ogóle istnienie świata. Przekonany, że gdyby nie Uta, stałoby się z nim coś okropnego, nabrałem dla siostry szacunku. Niedługo potem ofiarowała mi „Młodego meteotechnika”, przyrządzik, z pomocą którego mogłem kierować ruchami małej chmurki. Zbudziły się we mnie niejasne podejrzenia. Wypytałem ją podstępnie, czy poza ruchami chmur i wiatrów nic więcej od niej nie zależy? Nie orientując się w zasięgu tego wywiadu, potwierdziła i wraz z drugą siostrą, Lidią, straciła w moich oczach aureolę potęgi.

— Taak? — rzekłem przeciągle. — A wiesz co? Meteotechnika jest całkiem niepotrzebna. No, możemy jeszcze wam, kobietom — dodałem wspaniałomyślnie — ale my, mężczyźni, potrzebujemy właśnie burz, orkanów i dzikiego wichru, a nie jakiegoś tam sztucznego, cukierkowego klimaciku.

Uta zmarszczyła brwi i odpowiedziała lakonicznie:

— Majtki ci spadają.

Długo nie mogłem jej tego darować.

Brat lekcewał mnie z wysokości swej czwartej klasy. Miałem już sześć lat i pałałem gorącą żądzą przygód. Do Pałacu Dzieci w pobliskiej Meorii nie puszczano mnie jeszcze samego — byłem za mały. Dlatego przydawano mi go za opiekuna. Z racji swych czternastu lat traktował widowiska bajkowe pogardliwie i usiłował imponować mi w ten sposób, że kiedy na scenie działały się niesłychane dziwy, przemocą wszeptywał mi do ucha, co się za chwilę stanie, bo znał już treść przedstawienia.

Bywając w Meorii nie mogłem oderwać się od wystaw automatycznych magazynów;

najsilniej przyciągały mnie składy zabawek i cukiernie. Pytałem matkę, czy mogłaby zjeść wszystkie torty i mieć wszystkie wystawione cudowności.

— Ależ tak — odpowiadała.

— Więc dlaczego nie bierzesz sobie wszystkiego? Matka śmiała się i mówiła, że „wszystko” nie jest jej potrzebne. Tego nie mogłem zrozumieć.

— Jak będę duży — mówiłem — to wezmę sobie i zabawki, i torty i będę miał całą wannę kremu, i w ogóle wszystko.

Pierwej trzeba było jednak zostać dorosłym, starałem się więc jakoś przyspieszyć proces rośnięcia. Dlatego, kiedy nic szczególnego nie było na widoku, chętnie szedłem wcześniej spać.

— Nie wstydzisz się kłaść przed zmrokiem? Taki duży chłopak? — mówiła matka.

Milczałem chytrze. Wiedziałem, że czas mija we śnie prędzej niż na jawie.

W ósmym roku życia spróbowałem po raz pierwszy narzucić swoją wolę rodzeństwu; szło o sposób uświetnienia zbliżających się urodzin ojca.

Z czytanki wiedziałem już coś niecoś o starożytnych satrapach i zaproponowałem, żebyśmy wybudowali ojcu królewski pałac. Wyśmiano mnie, postanowiłem więc przeprowadzić plan na własną rękę. Matka starała się mi wytłumaczyć, że pałac nie jest ojcu potrzebny.

— Nie myślał o pałacu, bo nie ma czasu — odrzekłem — ale na pewno ucieszy się, jak go dostanie.

— Ależ nie. Podarunek nie może być rzeczą małą czy dużą. Dawno, bardzo dawno temu, za czasów starożytnych, ludzie ofiarowywali sobie rozmaite rzeczy, ale teraz obdarza się tylko dzieci, bo każdy dorosły może mieć wszystko, czego zapragnie.

Uważałem, że takie zróżnicowanie było bardzo krzywdzące. Dorośli mogli mieć wszystko, a jak się kończyło moje byle żądanie trzeciego kawałka tortu przy obiedzie? Przemilczałem to jednak, nie chcąc spierać się z matką.

— Widzisz — ciągnęła — przedwczoraj w ogrodzie piesek zasnął ci na kolanach, pamiętasz? Nie zmieniałeś pozycji, chociaż było ci niewygodnie, chociaż cię to męczyło, bo nie chciałeś sprawić pieskowi przykrości. Było ci przyjemnie, że robisz to dla pieska, prawda? Ojcu powinieneś ofiarować coś w podobny sposób; zobaczysz, jak się ucieszy.

— No tak — odparłem — ale ojciec nie śpi przecież na moich kolanach.

— Tak, ale czy musisz hałasować i puszczać ogień sztuczne przed jego oknami wieczorem, kiedy czyta?

— Ogni mogę nie puszczać — rzekłem — ale to za mało. Odszedłem zamyślony. Plan królewskiego pałacu dojrzewał.

Jak w każdym domu, i u nas było wiele automatów; do sprzątanía, kuchennych, wytwórczych i ogrodowych. Te ostatnie, pielęgnujące kwiaty i drzewa, nazywały się Monotami. Monot Pierwszy był u nas jeszcze od czasów dziadka. Nieraz nosił mnie na barana, czego bardzo nie lubił nasz wilczur, Pluton; psy na ogół nie cierpią automatów. Babka mówiła mi, że w ogóle wszystkie niższe stworzenia boją się automatów, bo nie rozumieją, jak to może być, żeby poruszało się coś, co nie żyje.

Te uwagi babki wziąłem sobie do serca, bo i ja nie wiedziałem, dlaczego automaty ruszają się i wykonują dane im polecenia; czyżbym także był niższą istotą? Dlatego przed przystąpieniem do budowy pałacu (miały go oczywiście wznieść nasze automaty) zaszyłem się w najodleglejszy kat ogrodu z obu Monetami i na początek kazałem pierwszemu rozbić brzuch drugiego, żeby zobaczyć, co ma w środku, ale odmówił mi posłuszeństwa. Bardzo rozgniewany, wyszukałem największy młotek, jaki mogłem znaleźć w domu, i sam zabrałem się do dzieła, nie potrafiłem jednak dać rady metalowej pokrywie. W ferworze pracy zapomniałem całkiem, że jest pora poobiedniego odpoczynku ojca, i waliłem młotkiem, aż się rozległo po okolicy. Nagle usłyszałem nad sobą czyjś głos. Czerwony jak burak, ledwo żywy

ze zmęczenia, podniosłem oczy i ujrzałem ojca, który pokiwał melancholijnie głową.

— Żebyś choć cząstkę tej energii wkładał w naukę — powiedział i odszedł.

W moje dziewiąte urodziny, które przypadły na wiosnę 3098 roku, matka oświadczyła mi, że jeśli będę grzeczny, za dwa tygodnie pojedę z rodzicami i rodzeństwem na Wenus. Miała to być moja pierwsza wycieczka międzyplanetarna. Czas dzielący od terminu wyjazdu spędzałem na życiu niezmiernie przykładnym. Wieczorem w przeddzień wyruszenia przybyli do nas we własnych osobach wszyscy stryjowie; matka uświetniła to zebranie stworzonym w najgłębszej tajemnicy cudem sztuki kulinarnej. Był to tort księżycowy, który ustawiony na stole, we właściwej chwili zaszumił i wyrzucił z krateru fale kremu, spływające po czekoladowych zboczach.

Już od szeregu dni żywiłem ukrytą nadzieję, że w drodze na Wenus spotka nas katastrofa i osiadziemy jako rozbitkowie na jakiejś samotnej planetoidzie. Gotując się na tę okoliczność, postanowiłem zebrać odpowiednie zapasy żywności, a że tort wydał mi się doskonały do tego celu, wstałem w nocy, ściągnąłem ogromny kawał ze spiżarni i schowałem go na dnie mojej walizeczki. Na drugi dzień skoro świt udaliśmy się na meoryjski dworzec raketowy. Lot na Wenus trwał krótko i odbył się bez najmniejszego wypadku. Najgłębiej rozczerowany, znudzony oglądaniem czarnego nieba z pokładu widokowego, zaszyłem się w kącie kajuty i aby nie zmarnować zapasów, jadłem jeden kawałek czekolady z kremem po drugim, aż do chwili, kiedy megafony obwieściły zbliżanie się do portu lotniczego planety. Skutki okazały się żałosne. Z całego pobytu na Wenus zapamiętałem tylko ból brzucha, wymalowany w kwiatki i ptaszki gabinet przychodni dziecięcej i grubego lekarza, który zbliżając się do mnie, już z dala śmiał się i pytał, jak mi się podoba na Wenus.

Na drugi dzień trzeba było wracać; zalanego łzami zapakowano mnie do rakiety. Byłem już zdrow, miałem więc dość siły, by zgłębić przeżyte nieszczęście, które — tego obawiałem się najbardziej — mogło stać się przedmiotem drwin rodzeństwa. Dlatego w czasie lotu na Ziemię zachowywałem tajemnicze, ponure milczenie; nikt go co prawda nie zauważył. Taki był koniec mojej pierwszej wyprawy kosmicznej.

Nie będę mnożył tych historyjek, przemieszanych bezładnie, utrwalonych we wspomnieniu, błahych jak niepotrzebne drobiazgi, z którymi trudno się rozstać. Pamiętam je, ale nie mogę odnaleźć w sobie dziecka, które było ich bohaterem. Cóż pozostało mi z tego wszystkiego? Zamiłowanie do bajek? To, że nie lubię czekolady? Niewiele więcej. Ale w tej drobnej reszcie ukryty jest cień świata zagubionego gdzieś na samym dnie mojej istoty, nieosiągalny i niezrozumiały, który czasem, rzadko, powraca w jakimś odcieniu wieczornego nieba, w nagłym zapatrzeniu, w szumie deszczu, w jakiejś woni, w jakiejś ciemności, budząc uśmiech żalu.

Kiedy po latach wróciłem do domu, nasz ogród zdumiał mnie, niemal przeraził. Poznawałem każdy klomb, każde drzewo, ale tam, gdzie dawniej rozwierały się krainy wstrząsających zdarzeń, teraz nie było nic. Zwykły kwiatowy ogród z altanką, jabłonią, żywopłotem... I jakie to wszystko było małe. Droga od domu do furtki była dawniej wyprawą przynoszącą wzruszenia, jakich teraz nie dawał mi lot wokół Ziemi. Tak, w ciągu kilku lat cała Ziemia stała się mniejsza od ogrodu mego dzieciństwa. Bo niecierpliwe marzenia spełniły się: dorosłem i mogłem wszystko, co chciałem... Ale to już dalsza historia.

MŁODOŚĆ

W latach chłopięcych dokonałem wielu odkryć. Jednym z największych byli moi stryjowie. Od dawna wiedziałem, że najstarszy brat ojca, stryj Merlin, bada kamienie. Wątpiłem o jego rozsądku — cóż ciekawego mogło się kryć w kamieniach? Ale potem okazało się, że potrafi opowiadać o rzeczach tysiąckroć ciekawszych od bajek. W jego ustach plagioklasy skał magmowych, chryzolity i margle kredowe nabierały romantycznego, tajemniczego znaczenia; za pomocą jabłka i serwetki umiał pokazać, jak rodzą się systemy górskie, a kiedy opowiadał o płaszczach z lawy, które przywdziewają stygnące globy, widziałem ogniem ziejące potwory, powiewające w czarnych otchłaniach szatami ze szkarłatnego ognia. Drugi stryj, Narian, ów Australijczyk, który tak mnie kiedyś przestraszył swoją telewizytą, był konstruktorem sztucznych klimatów na wielkich planetach, władcą metanowych orkanów i panem burz prujących oceany lodowatych węglowodorów. Cóż za światy otwierały się w jego słowach! Mówił mi o latającym kontynencie Gondwana, o dziwnym niebie Jupitera, sklepionym na kształt odwróconej czaszy, w którym drobne słońce świeci w dzień i w nocy, o podzwrotnikowych obszarach Saturna, przez znaczną część roku zasnutych cieniem wirujących, gigantycznych pierścieni, o swoich młodzieńczych wyprawach na zimne księżycy tej planety, noszące podobne do zaklęć nazwy: Tytan, Rea i Diana.

A jednak z ciężkim sercem sprzeniewierzyłem się im obu, postanawiając pójść w ślady trzeciego stryja, Orchilda, znanego w rodzinie pod przydomkiem „Próżniaka”. Posłyszawszy, że bombarduje atomy, wyobraziłem sobie, iż stryj Orchild ślęczy gdzieś w swojej pracowni międzyplanetarnej, trudząc się niezmiernie, aby w końcu upolować tę tak przeraźliwie małą cząsteczkę materii. Cóż się jednak okazało? Ten badacz nieskończenie małego zajmował się właśnie budowaniem urządzeń bijących rozmiarami wszystko, co istnieje na Ziemi, ba, większych od Ziemi samej. Czy nie było zdumiewające, że drogi w głąb Kosmosu i w głąb atomu jednakowo prowadziły w nieskończoność? Stryj Orchild budował maszyny dla bombardowania atomów. Były to wypełnione próżnią, zamknięte na kształt pierścienia rury; pola magnetyczne rozpędzały w nich nukleony — pociski wystrzeliwane w jądra pierwiastków. Największy przyspieszacz XXX wieku stanowił krąg pierścieniowy o średnicy trzech tysięcy kilometrów; jego zakrzywiona lufa biegła przez tunele w łańcuchach górskich i przekraczała doliny łukami mostów; następnym etapem budownictwa mógł być już chyba tylko przyspieszacz, heliotron, opasujący całą kulę ziemską. Czyżby konstruktorzy doszli wreszcie do nieprzekraczalnej granicy? Nie: powstał pomysł zupełnie nowy — postanowiono budowę nowego heliotronu w przestrzeni pustej. Miałe to być system rur w kształcie koła, fruujący gdzieś w przestworzach między Księżycem i Ziemią? Stryj Orchild wyprowadził mnie z błędu. Podstawowy materiał konstrukcyjny — próżnia — znajdował się już w przestworzach, doskonały pod względem jakości. Rakiety przewoziły z Ziemi w przestrzeń wiele tysięcy stacji magnetycznych, zawieszonych następnie w pustce tak, by utworzyły idealnie okrągłe koło. A co robił stryj? Czuwał może nad tą pracą? Nie, zajmował się właśnie tym, co było między stacjami, to znaczy próżnią. A więc niczym? Cóż znowu! Z tego, co o niej mówił, wynikało, że nie ma rzeczy bogatszej w możliwości od próżni, w której przepływają pola elektromagnetyczne, gońcy i posłowie dalekich gwiazd. Nie zjawiał się na telewizytach, bo na nich nie można wspinać się na drzewa, a bardzo to lubił. Kiedy przyjeżdżał, włączyliśmy na jedną z wielkich jabłoni, sadowili się w rozwidleniu konarów i gryząc twarde jabłka, zaciekle dyskutowaliśmy o polach bodźczych, sterujących i ulotowych, o fotonach przeciwrównoległych i nieważkich cząstkach materii. Tak, było już zupełnie pewne, że zostanę energetykiem-próżniowcem, lecz nadeszły wakacje 3103 roku i wszystkie te plany niespodzianie runęły. Miałem już czternaście lat i wolno mi było wyprawiać się na

kilkusetkilometrowe wycieczki. Raz poleciałem na Tampere.

Czy znacie osobliwość tej małej wysepki Morza Północnego, starą bazę i zarazem muzeum okrętów kosmicznych? W otoczeniu wysokich świerków, pośród wietrzących odłamów dolomitu wznosi się ogromna hala o wysokich oknach pokrytych, niby szronem, osadem soli niesionej przez wiatr oceanu. W środku, pod stropem zawisłym nad kratownicą dźwigarów przypominających kręgosłup i żebra przedpotopowego wieloryba, spoczywają rzędami wielkie kadłuby.

Kustoszem muzeum był starzec o czerwonej twarzy, z szeroką brodą, w której jakby przez zapomnienie plątały się pojedyncze złote włosy. Odkryłem go w komorze kotłowej jednej z rakiet. Siedział w zupełnej ciemności pod kwarcowymi baniami, w których wrzał niegdyś płynny metal; teraz wśród wyiębłych ścian pachniało kurzem i wilgocią rdzy. Przeląknęłam się, gdy stanął tuż przede mną — byłem pewny, że jestem sam w wielkiej budowli. W świetle padającym z dołu przez nie domknięty właz dostrzegłem biel jego brody. Spytałem, co tu robi.

— Pilnuję ich... żeby nie odleciały — odparł po chwili tak dłużej, że zważyłem, czy w ogóle usłyszę odpowiedź. Stał nade mną — słyszałem jego wysilony, ciężki oddech — i w milczeniu zszedł po trapie na dno hali.

Odwiedzałem muzeum coraz częściej. Przez jakiś czas stosunki nasze nie mogły się ułożyć; próbowałem zbliżyć się do starca, lecz on zdawał się mnie unikać, co prawda biernie: zaszywał się w labiryncie statków, ale gdy go wreszcie odnajdywałem, odpowiadał na pytania, zrazu lakonicznie, z przymieszką sarkazmu, którego nie pojmowałem, potem, w miarę jak się nasza znajomość przedłużała, stawał się coraz wymowniejszy. Powoli poznałem życiorysy zgromadzonych w hali okrętów, a także wiele innych gwiazdolotów, bo znał — wierzyłem w to — losy wszystkich statków, jakie tylko kursowały w obszarach układu słonecznego na przestrzeni ostatnich sześciu wieków.

Bawilem na Helgolandzie u wujostwa i każdego prawie dnia przyjeżdżałem na wysepkę. W miarę jak starzec przemierzał nieprzebyte, zdawało się, tereny swej pamięci, już tylko sam stanowił dla mnie zagadkę, bo o sobie nie mówił nigdy. Domyślałem się, że był kapitanem gwiazdowym, może przywódcą wielkich wypraw, lecz nie pytałem nikogo, bo był mi potrzebny właśnie taki — otoczony nimbem tajemniczości.

U samego wejścia hali, pomiędzy filarami, stały cztery pociski zbudowane przez stocznie kosmonautyczne sprzed tysiąca lat, archaiczne, smukłe wrzeciona o spiczastych nosach, z płetwami rozłożonymi na kształt bełtu strzały. Podwozia obu pierwszych opierały się ciężko o betonową pochylnię, trzeci stał przechylony w tył, jakby przytrzymany w upadku. Prawa jego płoza dotykała obrzeża fundamentów, lewa sterczała w powietrzu, wysunięta w połowie, podkulona niby piszczel martwego ptaka. Ten najstarszy okręt próżni zadzierał dziób tak stromo, jakby w oczekiwaniu wzlotu, który choć bardzo się odwleka, przyjdzie niewątpliwie. Głębiej leżały rakiety z XXII i XXIII wieku o kształtach trójgrannych ryb. Myślałem początkowo, że wszystkie są czarne, ale to tylko mrok okrywał je litościwie, jakby pragnąc ukryć plamy śniedzi i wgniecenia boków.

Chciałem powiedzieć, że starzec oprowadzał mnie po statkach, ale to byłaby nieprawda. Po krętych schodkach wchodziło się na wąską, blaszaną galeryjkę, skąd widniały rzędy ciemnych grzbietów z ziejącymi studniami wejść. Wewnątrz statków czynne było sztuczne oświetlenie. W jego blasku odmykały się klapy grodzi, ukazywały okrągłe przejścia, kajuty, szyby transportowe i międzypokładowe ganki. Schodziło się nimi na sam spód, do dennych przedziałów, w których po staroświecku lśniąca rubinowym smarem tkwiły nożycowe wyciągi podwozi. Poprzez zwężające się tunele, przekraczając szeregi ołowianych progów bezpieczeństwa, docierało się do komór atomowych. Wśród czarnych ścian, chropowatych od żaru, jaki szalał tu niegdyś, stały zgarbione krzyżaki magnesów. W zakurzonej przestrzeni między nimi wirowały ongiś odłamy słońc, źródła mocy i ruchu.

Wędrowki te pozostawiały mego przewodnika niechętnym czy nawet znudzonym, w każdym razie obojętnym zarówno na moje wybuchy entuzjazmu, jak i na to, co mówiłem, a mówiłem bodaj że bez przerwy.

Role odmieniały się dopiero, gdy po zwiedzeniu wszystkich zakamarków wracaliśmy do centralnych pomieszczeń rakiety.

Jak to zrozumiałem znacznie później, czekał, bym zaspokoił najbardziej powierzchowną, krzykliwą ciekawość i zapragnął poznać sprawy ważniejsze od osobliwości dawnej inżynierii atomowej. Kiedym obył się już ze wszystkimi okrętami i zwiedził najniebezpieczniejsze ich zakątki, nastał czas opowieści.

Starzec spotykał mnie, jakby przypadkiem, u wejścia. Gdyśmy przemierzyli pusty, rozległy obszar hali, minęli bezwładne cielska z poczwórnymi piętrami szeroko rozwartych luków oddychających chłodną, powietrzną ciemnością, wchodziliśmy po dudniących blachą stopniach do wnętrza srebrzystego giganta z dziobem przedłużonym w iglicę, wielkiego astratora, pozornie nie tkniętego przez czas. Zbliżając się do centralnej kabiny nawigacyjnej, gdzie między poszarzałymi ekranami telewizyjnymi i pulpitemi rozdzielnic stała na podwyższeniu armatura steru, starzec, znowu jakby przypadkowo, wstrzymywał się i zaczynał mówić, zrazu cedząc zdania burkliwie, z nieznośną powolnością, potem coraz płynniej i jaśniej, aż odmykał drzwi sterowni, przy czym automatycznie zapalały się lampy sufitowe i zaczynała się jedna z tych niesłychanych historii, które na zawsze zapadły w moją młodość.

Były to strzępy dawnych dziejów, kiedy lot na najbliższą planetę stanowił pełną niewiadomego wyprawę, dramat o poplątanym przebiegu i wątku, tonący w niedopowiedzeniach, odgrywający się w rozziwieniu próżni, pośród dwu światów: ziemskiego, opuszczonego, być może, na zawsze, i pełnego tajemnic, nie zbadanego globu. Były to legendy o statkach porwanych w wir obrotu wokół nie znanych i nie umieszczonych na mapach nieba asteroidów, o rozpaczliwych zmaganiach ze ssącym przyciąganiem olbrzymiego Jupitera, o granicach wytrzymałości załóg i pocisków, sagi o walce, odlotach i powracaniu z głębin.

Pamiętam dzieje statku, który trafiony w oddział maszyn odłamkiem rozpadłej komety, utracił zdolność manewrowania i pędził ślepo, zapadał w nieskończoną pustkę, wysyłając rozpaczliwe sygnały radiowe o pomoc. Sygnały te przybywały na Ziemię zwichrowane odbiciem od tarczy Księżyca czy też innego ciała niebieskiego i — zniekształcone — nie pozwalały dokładnie określić położenia okrętu. Przez wiele tygodni napływały coraz słabsze i słabsze, aż wreszcie umilkły na zawsze.

W innej opowieści pasażerski pocisk bezpośredni linii Mars—Ziemia, wracając do portu macierzystego, nie wyminął napotkanego na drodze obłoku pyłu kosmicznego i wychynął zeń otoczony wirującą mgławicą. W czasie dalszego lotu ta osobliwa aureola nie uczyniła mu szkody, gdy jednak wtargnął w atmosferę naszej planety, chmura okrążającego go pyłu stanęła w ogniu i w ciągu kilku mgnień statek spłonął ze wszystkim, co niósł na swych pokładach.

Opowiadając, starzec podnosił się czasem z przygodnego siedzenia, dochodził do dźwigni sterowych, wyciągał ręce, jakby je chciał położyć na czarnych rękojeściach, lecz nigdy nie posuwał się dalej w ilustrowaniu własnych słów. Czasem tylko, mówiąc o jakimś człowieku, kierował powoli wzrok w przestrzeń, jak gdyby przeprowadzał spojrzeniem oddalającą się postać, czasem zasepiał się i milkł, błędząc oczami po kajucie, jakby nie mogąc odnaleźć tego, co właśnie miało się pojawić w tym miejscu opowiadania, lecz po chwili pokonywał opór rzeczywistości i wraz z nim poczynalem widzieć przedmioty, ciepłe jeszcze od dotyku rąk astronautów, miedziane plomby bezpieczników grawitacyjnych zerwane gwałtowną dłonią sternika w chwili niebezpieczeństwa, słyszałem kroki wachtowego i byłem sam z jego wielką, nieustraszoną samotnością wobec gwiazd tlejących w czarnych kręgach ekranów. Raz czy drugi owładnął mną niepokój, kiedy wydało mi się, że starzec przedstawia w odmienny

sposób kolejnie jakiejś wyprawy, ustalone już w opowiadaniach dawniejszych, lecz trwało to krótko; poddawałem się, zamykałem oczy na nieścisko, nie—prawdopodobieństwa, niemożliwości nawet; wierzyłem mu, bo chciałem mu wierzyć. Choć nie umiałbym tego wówczas wyrazić, czułem niejasno, że zmieniając może i przeinaczając szczegóły, czyni to tylko po to, by tym wyraźniej ukazała się prawda o ludziach, co pierwsi wyruszyli w obszary nieskończonej nocy.

Postanowiłem zostać astronautą. Zdumiewało mnie, jak mogłem być dotąd ślepy na uroki tego porywającego zawodu. Jak sądzę, było tak głównie dlatego, że jeden z działów żeglugi międzyplanetarnej studiował mój brat, a nasze stosunki, mówiąc jego językiem, językiem inżyniera—elektryka, były zawsze skłonne do przepięć.

Kiedy wyznałem staremu kapitanowi moją decyzję, zrazu nie zwrócił na to uwagi — już jego milczenie dotknęło mnie boleśnie — a potem oschle wyjaśnił, że takim astronautą, jak bohaterowie przeszłości, zostać nie mogę. Nie istnieją już dzielne załogi zmagające się z ławicami meteorów, tych raf oceanu próżni, ani nawigatorzy kreślący z nocy w noc odcinek przebytej drogi na mapach nieba. Nie ma już kapitanów przemierzających niestrudzenie metalowe pokłady, w czasie kiedy podróżni spoczywają zmożeni snem, nie ma wachtowych i sterników wpatrzonych znad astrokompasów w chmury gwiazd. Dziesiątki tysięcy bezludnych, samoczynnie sterowanych pocisków krąży po orbitach naszego układu słonecznego; te długie pociągi próżni przewożą z planety na planetę surowce, minerały, rudy, maszyny, a jeśli znajdują się na nich ludzie, są to pasażerowie przywykli do dziwów podróży, wygodnie korzystający z usług maszyn, które czuwają nad bezpieczeństwem lotu.

Zauważyłem nieśmiało, że mój brat studiuje astronautykę.

— Ech — odparł lekceważąco — uczy się budować automaty pilotujące. To i wszystko. Jakbyś robił trąby zamiast muzyki i nazywał się wielkim kompozytorem.

Pośpieszyłem powtórzyć to bratu.

— Sameś trąba — odrzekł. Pozostałem sam z moją duchową rozterką. Przyjacielem ojca był profesor Murach, któremu jako astronomowi, a więc posiadającemu według mego mniemania jakiś intymny stosunek do gwiazd, zawierzyłem moje troski.

— Nie chcę budować sterujących robotów. Chcę zostać prawdziwym astronautą, sternikiem albo nawet kapitanem okrętów kosmicznych.

— Ho, ho, romantyka starożytności! — zawołał Murach, wysłuchawszy mnie cierpliwie. Pokiwał melancholijnie głową. — Nie ma co, astronautyka to piękna rzecz. A jakże, a jakże! Czy znasz Atmosfery planet — żegluga Rufusa?

Nie znałem tego dzieła. Profesor się uradował.

— Doskonale, przeczytaj to sobie. Cudowna rzecz. Pełna niejasności jak mglisty wieczór; ogromna swoboda dla fantazji, wizjonerstwa! Tak, tak, astronautyka była kiedyś bardzo trudną sztuką. Człowiek dochodził do granic wytrzymałości psychicznej. Wiele tam wspaniałych kart bohaterstwa, wiele zwycięstw nad samym sobą. Jak pięknie powiedział Rufus: „Dobry jest nasz świat dla astronautów: na każde sto trylionów części próżni przypada jedna część ładu, jest gdzie rozwijać żagle, i tyle gwiazd, tych wielkich ogni portowych oceanu ciemności!” Ale czy wiesz, mój kochany, dlaczego to właściwie była tak trudna sztuka — astronautyka? Nie wiedziałem.

— No jakże? — rzekł Murach i spojrzał na mnie z góry. Tam gdzie inni mają brwi, miał dwie małe, buńczucznie skupione kępki siwych włosów, które żywymi ruchami zdawały się uczestniczyć w rozmowie i niekiedy rozśmieszały mnie, nadwątlając dowodową siłę słów profesora.

— Wytlumaczę ci, że błędzisz, niedoszły gwiazdokrażco. Czy wiesz, że ludzie podróżowali niegdyś po morzach?

— W tak zwanych parowcach! — wyrwałem się.

— Ano tak, ale jeszcze dawniej, w starożytności, pływali na statkach żaglowych,

posługując się wiatrem jako siłą napędową. Otóż dopóki nie poznali dokładnie hydrostatyki, hydrodynamiki, teorii falowania i innych nauk, budowali statki na oko, uważasz, i dlatego właśnie tak powstałe żaglowce posiadały indywidualność. Nie było dwu takich samych — drobne różnice w osadzeniu masztów, kilu, w kształcie kadłuba powodowały niemałe różnice w reagowaniu na ster i tak dalej. Przewidywać ich nie umiano. Dzięki przebytych niebezpieczeństwom, przygodom, nawet katastrofom żeglarze gromadzili doświadczenie, z którego powstawała wielka sztuka żeglarstwa. Sztuka, uważasz, a nie nauka, bo oprócz rzetelnej wiedzy niemało tam było podań, gadek, przesądów, a do prowadzenia statku prócz samej nauki niezbędna była odwaga osobista, kunszt i talent. Potem jednak nauka wyparła te wszystkie luzy i dla sztuki zostawało coraz mniej miejsca. Otóż podobna historia powtórzyła się sto lat temu z żeglugą międzyplanetarną.

— To znaczy, że człowiek nie może już kierować rakieta? — powiedziałem. — Ale ja chcę to robić! Co to komu zaszkodzi?

— A zaszkodzi — odparł profesor i jego brwi poruszyły się jak bródki niewidzialnych krasnoludków. — Zaszkodzi, bo robiłbyś to powolniej i mniej dokładnie od automatu, to znaczy gorzej, nie mówiąc już o tym, że człowiekowi nie przystoi wykonywanie pracy, którą może spełniać automat. Wiesz przecie, że to niegodne.

— A na wycieczce — odpowiedziałem — albo w górach nieraz ścina się drzewo, pali ogień, gotuje, a można by przecież sporządzić jedzenie w grzejnym automacie...

— Na wycieczce robimy to, co jest korzystne dla zdrowia, odświeża psychikę, raduje człowieka i tak dalej. Prowadząc zaś rakieta, naraziłbyś ładunek, nie mówiąc już o tobie...

— Cóż jedna rakieta! — wyrwało mi się. Profesor roześmiał się zadowolony.

— A widzisz, sam się przyznałeś niechęć: marząc o astronautyce, nie myślisz o odpowiedzialności i pracy, chodzi ci tylko o ich pozór, o taką szczyptę, która lepiej jeszcze, bo „na poważnie” przyprawi radość samego lotu. Przed dwustu laty była to wielka i trudna sztuka, godna prawdziwych mężczyzn, pochłaniająca całe życie tych, co się jej oddawali, i nazwiska wielkich astrologów przeszły do historii, ale to, co wtedy było koniecznością, dziś byłoby w najlepszym razie zabawą albo, co gorsza, nonsensem.

Zły byłem na profesora, że tak logicznie dowodzi swego, na starego strażnika okrętów, na brata i na świat. Zdania jednak nie zmieniałem: zostanę astronautą, coś się już dla mnie znajdzie. Przemilczałem to chytrze, ale profesor poznał widać po moim skromnie opuszczonym spojrzeniu, co się święci.

— Czy chcesz zostać kapitanem dalekiej żeglugi gwiazdowej? — spytał obcesowo, a ja, wbrew ślubom milczenia, mimo woli palnąłem:

— Chcę!

Najpierw wytrzeszczył oczy, potem się roześmiał. Śmiał się długo. Nareszcie spoważniał.

— Czy to prawda — spytał — że niedawno przegryzłeś zębami ołowiany kabel?

— Prawda — odparłem ponuro. Jeszcze byłem trochę dumny z tego czynu, choć żaden z dorosłych nie okazał dla niego ani krzty pobłażania, nie mówiąc już o entuzjazmie.

— A po coś to zrobił?

— O zakład — odparłem jeszcze posepniej.

— Jesteś bardzo uparty... słyszę o tym i sam widzę. Hm, cóż... może cię czas ugasi... a na razie czytaj Rufusa...

Murach patrzył na mnie surowo, lecz jego ruchliwe brwi mówiły wyraźnie, że są po mojej stronie. Z tym przekonaniem pożegnałem profesora po to, by w kilka dni później wybrać się do Ośrodka Szybkości Świetlnych.

Były to lata gorących dyskusji i wielkich przygotowań, które uwieńczyć miała pierwsza wyprawa pozaukładowa. Na całej Ziemi powstawały specjalne zakłady, w których ochotnicy poddawali się dobrowolnie trudnym i niebezpiecznym doświadczeniom, nie znano bowiem skutków, jakie wyrzucić może na ustrój ludzki szybkość powyżej 10 000 kilometrów na

sekundę, a było już pewne, że rakieta, która ma osiągnąć najbliższą gwiazdę stałą, musi się poruszać z prędkością co najmniej dziesięć razy większą.

Udałem się tedy do najbliższego Ośrodka Szybkości Świetlnych jako kandydat na ochotnika; za mojej wczesnej młodości nierzadko widywało się białe odzianych pracowników tych placówek, z małym, srebrnym promyczkiem na rękawie; przyjęte było okazywanie im wielkiego szacunku, takiego, jaki żywi się dla największych uczonych i artystów.

W Ośrodku potraktowano mnie z wyszukaną uprzejmością, w której dawała się jednak wyczuć pewna rutyna; przypuszczam, że podobnych do mnie kandydatów musiano odprawić dziesiątki dziennie.

Poza wielkimi chęciami nie miałem oczywiście żadnych kwalifikacji, pożegnano mnie tedy z przyrzeczeniem, że jeśli będę się dobrze uczył, będę mógł po pięciu latach zgłosić się ponownie, już na egzamin wstępny.

Tak więc odszedłem z niczym. Ciężko zawiedziony, rozważałem najfantastyczniejsze plany: chciałem samotnie wyruszyć w przestrzeń jednoosobowym pociskiem, licząc na to, że przed wyczerpaniem zapasów napotkam jakiś statek, który zaopiekuje się mną jako rozbitkiem próżni; potem zamierzałem potajemnie zakraść się na raketę wyruszającą w rejs ku strefie najodleglejszych planet i ujawnić swą obecność na pokładzie gdzieś za orbitą Marsa; liczyłem na to, że wzruszony moim płomiennym zapałem kierownik wyprawy uczyni ze mnie co najmniej swego asystenta; przygotowywałem sobie nawet odpowiednią mowę, która miała go przekonać, i to w kilku wariantach, zależnych od okoliczności. Wszystkie te projekty, pozostając w sferze rojeń, zabierały mi jednak mnóstwo czasu. Pochłaniając całe tomy opowieści kosmicznych, uczyłem się kiepsko, a wrywany przy stole z kosmicznej zadumy jakimś pytaniem, odpowiadałem od rzeczy. Ani mi w głowie postało, że poczciwa babka jak najopaczniej tłumaczy sobie moje zachowanie. Wielkie, nagłe zagapienia z podniesioną do ust łyżką, marne postępy w nauce, stronienie od ludzi — wszystko to stanowiło w jej oczach niewątpliwe znamiona dojrzewającego talentu artystycznego. Pełna najlepszych przeczuć, ofiarowała mi na urodziny biały, piękny genetofor, na którym sama brzdąkała nieraz jednym palcem. Spróbowałem na nim swych sił — najpierw, by sprawić babce przyjemność, a potem, bo mnie wideoplastyka naprawdę zainteresowała. Sztuka ta wywodzi się jeszcze ze średniowiecza. Powstała ze skrzyżowania tak zwanego filmu, powieściopisarstwa oraz plastycznej i barwnej telewizji. Z pomocą genetoforu, który jest dla niego tym, czym fortepian dla kompozytora, artysta może tworzyć wszystko, co tylko zdoła pomyśleć. Może więc budować dramaty i komedie, rzeczywiste historie osób bądź baśnie dziejące się w fikcyjnych światach, może konstruować istoty na pół roślinne i na pół zwierzęce, a wszystko to dzięki nakładaniu się świetlnych pól powstających przy grze na genetoforze. Pierwsze próby dały mi wiele uciechy; zamykałem się w pokoju i zasiadałem przed rozległym ekranem, z rękami na wielorzędowej klawiaturze. Po naciśnięciu kilkudziesięciu klawiszów naciskałem wyzwalacz, i oto w głębi ekranu jawiła się, na pustym dotąd szkłe, stworzona postać. Nie samo jej ukazanie się wywoływało ów pierwszy, osobliwy wstrząs, lecz to, że owa postać wyposażona była w pewną, choć niewielką zrazu niezależność: poruszała się, chodziła, jakby badając przestrzeń, w której ją zamknęto. Co prawda zazwyczaj wykazywała poważne braki, a mówiąc językiem artystów, zawierała sprzeczności dysonansowe, więc jednym naciśnięciem pedału usuwałem ją z ekranu i przystępowałem do następnych prób.

Każdy początkujący psuje oczywiście w swoich palcówkach sporo postaci, ale ja biłem w tej dziedzinie rekordy i muszę przyznać, że całe ich zastępy jawiły mi się w snach, groźne, dyszące zemstą za niezdarne powołanie do życia i równie brutalne wyrwanie z tej chwilowej egzystencji. Wideoplastyka ani o włos bowiem nie różni się od sztuk starożytności; aparat jest jakby udoskonaloną paletą i piórem, a poznawszy jego konstrukcję, adept dorównuje średniowiecznemu pisarzowi, który posiadał zasady ortografii. Szczęśliwsze może jest

porównanie wideoplastyki do muzyki: jak muzyk tony, tak wideoplastyk zestrzaja rozmaite cechy psychiczne i jak w pierwszym przypadku rodzi się melodia, tak w drugim powstaje bohater dramatu. Największe jednak podobieństwo leży, jak sądzę, w tym, że podobnie jak kompozytor z prawdziwego zdarzenia orkiestrując temat symfoniczny słyszy wyobraźnią współbrzmienie wszystkich instrumentów przedtem, nim jedną choćby nutę postawi na pięciolinii, tak samo wideoplastyk najcięższą i najbardziej twórczą część swego dzieła wypełnia, zanim naciśnie pierwszy klawisz genetoforu, to znaczy gdy w fantazji buduje swych bohaterów. Tylko wtedy mogą powstać takie postaci, które ugną się przed jego wolą i wrzusać będą widza swymi losami; tego jednak nikt nikogo nauczyć nie może, a sama biegłość w posługiwaniu się aparatem starczy jedynie do tworzenia ruchliwych kukieł i niesamowitej a sztucznej scenerii, co było właśnie moim udziałem.

Niejeden studiujący zmarnuje lata, nim pojmie, jak złudny jest miraż twórczej wszechmocy, którym skusiła go wideoplastyka, i jak wielkim staje się ona kłamstwem, kiedy rzeczywiste losy ziemskie porzuca dla rojenia o możliwych bytach. Na szczęście dla mnie mój brak talentu był tak jawny, że ani przez chwilę nie pomyślałem o wideoplastyce poważnie i moje artystyczne próby zakończyło rozebranie genetoforu na drobne części, bo pragnąłem poznać jego konstrukcję. Biedna babka, obejrzawszy jeden i drugi płód moich wysiłków, przeżyła gorzkie rozczarowanie, już ostatnie, gdyż na nikogo w rodzinie nie mogła przenieść piastowanych z dawna nadziei.

Jest w zwyczaju, że młody człowiek zdobywszy średnie wykształcenie przebywa kolejno po kilka miesięcy na rozmaitych, dowolnie wybranych uczelniach i uniwersytetach, aby obcując ze środowiskiem uczonych, inżynierów, techników poznać własne zamiłowania i zdolności. Opuszczając szkołę jako siedemnastoletni chłopiec, długo wahałem się, od czego zacząć, aż wstąpiłem do meoryjskiej placówki Instytutu Planowania Przyszłości, IPP-u, jak nazywano go w skrócie. Tu po raz pierwszy zetknąłem się z ludźmi, którzy pracowali nad planami podróży pozaukładowej.

W tym czasie nie znane jeszcze były praktyczne możliwości podróżowania z szybkością dość wielką, żeby odległość od Ziemi do dalekich gwiazd można pokonać w czasie równym długości życia ludzkiego. Pewno pamiętacie zaciekle dyskusje, jakie toczyły się na progu naszego wieku, związane z projektami budowy statków kosmicznych przeznaczonych do lotów w głąb Galaktyki.

Ze względu na niesłychanie długi czas podróży miała w nich następować tak zwana „przemiana pokoleń”, to jest do celu mieli dotrzeć dopiero wnukowie, a nawet prawnukowie tych, co opuszczali Ziemię. Takie rozwiązanie wydawało się podówczas koniecznością podyktowaną przez stan techniki kosmonautycznej. Wzbudziło ono gwałtowny i powszechny sprzeciw. Było coś poniżającego i niegodnego człowieka w mającym się ciągnąć setki lat mrówczym wegetowaniu wewnątrz metalowej skorupy rzuconej w otchłań próżni. Poza względami uczuciowymi doniosłe były też przesłanki rozumowe.

Jakimi będą — mówiono — ludzie przez dziesiątki lat obcujący z próżnią? Jak groźne i wielkie są możliwości załamania, wypaczenia charakteru, powstania istot skarłałych moralnie i umysłowo? I jakże poniżająca w istocie rzeczy, owadzia rola przypaść miała tym pokoleniom „pośrednim”, które całe życie spędzić muszą w rakiecie, zamknięte w niej od narodzin do zgonu, i jakimiż ludzie żyjący w takich warunkach będą wychowawcami, nauczycielami, opiekunami tych, co w końcu dotrą do gwiazd?!

Wszystko to — odpowiadali inni — jest prawdą. Trudności, mozoły, niebezpieczeństwa podróży są niewyobrażalne, a jednak lot w gwiazdy jest koniecznością. Po opanowaniu systemu słonecznego, po zagospodarowaniu najpierw bliskich, a potem, w drugiej połowie trzeciego tysiąclecia, i dalekich planet, aż po orbitę ostatniej, Cerbera, nastąpić musi nowy krok naprzód — przejście przez Ocean Próżni, dzielący nas od najbliższego innego słońca. Wyprawę można odwlekać czas jakiś, ale ona przyjdzie, bo przyjsć musi, rezygnacja bowiem

oznaczałaby zastój, a więc — po kilku czy kilkunastu wiekach — śmierć cywilizacji ziemskiej.

Nowe paliwa atomowe oraz odkrycie metod wyzwalań energii atomowej z każdego rodzaju materii umożliwiły techniczne rozwiązanie problemu lotów z szybkościami przyświelnymi, wyłoniło się jednak nowe pytanie: Czy człowiek może w ogóle, nawet przy zastosowaniu wszelkich środków ostrożności, podróżować z chyżością rzędu stu lub dwustu tysięcy kilometrów na sekundę?

Optymiści przypuszczali, że problem da się rozwiązać stosunkowo prosto w przestrzeni znacznie oddalonej od pól grawitacyjnych planet i kiedy rakiety będą przyśpieszać biegu z należytą powolnością. Przypominali powstałe w starożytności i średniowieczu teorie, że człowiek dochodzi do kresu wytrzymałości biologicznej przy szybkościach rzędu 30, 100 czy 1000 kilometrów na godzinę; granicę tę przesuwano nieustannie ze stulecia w stulecie.

Ostrożniejsi zwracali uwagę na fakt, że przy szybkościach bliskich świetlnej poczną się ujawniać i działać pewne konsekwencje teorii względności, których wpływ na procesy życiowe jest zupełnie nieznan. Tylko doświadczenie mogło rozstrzygnąć wątpliwości.

Tak powstały Ośrodki Szybkości Światłej, rozsypane po całej Ziemi i licznych planetach — placówki Instytutu Planowania Przyszłości.

W toku badań wyłoniło się tajemnicze zjawisko zwane „migotaniem świadomości”, a polegające na tym, że człowiek zamknięty w pocisku, który dochodził do szybkości 170–180 000 kilometrów na sekundę, odczuwał osobliwe zaćmiewanie umysłu, prowadzące przy dalszym przyśpieszaniu do utraty przytomności, grożącej wreszcie śmiercią. Szybkość 170 000 kilometrów na sekundę nazwano „progową podświetlną” i z nią właśnie miał lecieć pocisk wymierzony w najbliższą gwiazdę.

Taki był stan wiedzy w czasie, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z zespołem Instytutu Planowania Przyszłości.

Oszołomiony perspektywami, jakie otwierała praca tych ludzi, postanowiłem starać się za wszelką cenę o przyjęcie do Instytutu. Do tego jednak trzeba było mieć ukończoną mechaneurystykę, kosmodromię albo medycynę. Po namyśle zdecydowałem się rozpocząć studia w słynącym z pięknych tradycji Instytucie Mechaneurystyki Ogólnej w Meorii. Nauka szła mi niezgorzej, ale po roku żałować zacząłem, że obrany przedmiot nic nie ma wspólnego z umiłowana astronautyką, i po niedługim czasie zapisałem się dodatkowo na kosmodromię. Nie zaspokojony rozpiętością mych zajęć, poszerzałem ją jeszcze przez to, że nad tajemnikami budowy automatów ślezczałem w Meorii, a wykładów z kosmonautyki słuchołem na uniwersytecie położonym u stóp Apeninu Księżycowego, choć z łatwością mogłem dostać się na którąkolwiek z uczelni ziemskich, ale to, że codziennie dojeżdżałem na Księżyc, podnosiło mnie i uniezwykłało we własnych oczach. Dwie godziny dziennie spędzałem w rakiecie i tam tylko miałem czas na spożycie posiłków. Wszystko to razem było oczywiście czystym szaleństwem. Nie dojadłem i nie dosypiałem, samoudręczając się ogromem podjętych obowiązków, lecz było mi z tym tak dobrze, że nie mogę wspomnieć owego okresu bez uśmiechu. Sądziłem się doskonałym, wszechstronnym i — nade wszystko — tajemniczym, bo dbałem o to, by moje otoczenie na Księżycu nie wiedziało o studiach w Grenlandii, i na odwrót.

Tak minęły dwa lata. Ukończywszy niższe studia mechaneurystyczne, zdałem niezłe egzaminy z teorii lotu raketowego i pojechałem do domu na letnie wakacje. Przyleciałem późnym wieczorem. Matka powiedziała mi, że minąłem się z ojcem, którego wezwano właśnie na operację. Długo siedzieliśmy na werandzie, przyglądając się rojom gwiazd spadających z lipcowego nieba; od czasu do czasu wschodni brzeg horyzontu wyrzucał irn na spotkanie pionowe linie ogniste; to meoryjski dworzec raketowy startowymi płomieniami rakiet zdawał się witać meteorytowych gońców Kosmosu.

Dobrze po północy ojciec dał znać, że wróci późno, i prosił, by na niego nie czekać. Matka

posłała mi w dawnym dzieciennym pokoju; ledwo położyłem się do łóżka, usnąłem jak kamień. Obudziłem się w blaskach pełnego dnia. Cały dom zalegała cisza. Wszedłem do jadalnego, by wymknąć się do ogrodu. U drzwi korytarza omal nie zderzyłem się z ojcem. Przystanąłem zaskoczony tym spotkaniem, bo byłem przekonany, że śpi. Okazało się, że wrócił dopiero o trzeciej nad ranem i wstał teraz tylko po to, by się połączyć ze szpitalem. Staliśmy długą chwilę, obaj niepewni, co robić, w zalewającym pokój zielonym, niby podwodnym blasku, który sączył się przez kotary powojów. W swoim szarym, długim szlafroku ojciec wydał mi się starszy niż kiedykolwiek. Błady, z podkrążonymi oczami, jakby był cały jeszcze w nocy, taki daleki od wielkiego, słonecznego dnia na dworze. I był dużo niższy niż dawniej — a może to ja wyrosłem? Przemknęło mi przez głowę, że jest już u progu, starości, i serce ścisnęło się we mnie od tkliwości i żalu. Czym był? Nie stworzył nic — żadnej nowej operacji, ani jednego nie praktykowanego przed nim zabiegu, żadnego odkrycia — nawet operatorem nie był słynnym: dobra ręka, dobre oko, tak mówiono, ale nic nadzwyczajnego; zwykły lekarz–chirurg. Stryjowie zmieniali klimaty planet, wznosili gigantyczne konstrukcje w próżni, pozostawiali za sobą widome, trwałe znaki swej pracy, a on? Milcząc, ukradkiem, pocałowałem go w nie ogolony policzek i chciałem wymknąć się na dwór. Zatrzymał mnie.

— Podobno chcesz teraz wstąpić do Instytutu Planowania Przyszłości?

Przytaknąłem.

— Dawniej chciałeś mieć wszystko, a teraz znowu chcesz być wszystkim...

Nie uśmiechał się. Czekał, spodziewając się odpowiedzi. Milczałem i w tym milczeniu pojawił się cień rozdrażnienia. Zacerpnął oddechu, ale się nie odezwał. Wyciągniętą ręką, końcami palców musnął moją koszulę i z tym nie dokończonym gestem znikł za drzwiami gabinetu. Zostałem sam, wytrącony z równowagi, trochę wzruszony, trochę zły. Wszedłem do ogrodu, ale naraz straciłem ochotę buszowania po miejscach dawnych zabaw. Położyłem się na rozgrzanej trawie i po minucie ojciec zniknął z mej pamięci; nie myślałem o nim, poddając twarz promieniom obu naszych słońc grenlandzkich: sztucznego, atomowego, które stało w zenicie i jaśniało platynowym blaskiem, i prawdziwego, bladą tarczką unoszącego się tuż nad horyzontem. Przypomniał mi się epizod ostatniej wspinaczki księżycowej: lina zacięła się między dwoma skalnymi blokami i gdyby nie to, że człowiek waży tam sześć razy mniej niż na Ziemi...

Jakiś cień przepłynął mi po powiekach, za nim drugi i trzeci. Ktoś do nas przybywał; helikoptery siadały na trawnikach w głębi ogrodu. Unosząc się na łokciach, ujrzałem pierwszych wysiadających, a wysoko nad domem — klucz nowych maszyn świecących śmigłami. Po chwili od zachodu nadciągnęło kilkanaście; opuszczały się i dotykały niemal wierzchołków drzew. Przybysze utworzyli rosnącą grupę i dawali rękami znaki lądującym. Niektórzy kryli coś za plecami. Wstałem, coraz bardziej zdziwiony, a tymczasem na gazonach siadały helikoptery; ludzie poruszali się bezładnie, jakby w niezdecydowaniu, aż pociągnęli w stronę domu.

Wszystko to tak mnie ogłupiło, że kiedy się zbliżyli, zamiast odpowiedzieć na pozdrowienia, wybąkałem:

— Co... co to będzie?

— Przylecieliśmy na rocznicę — odpowiedziało kilka głosów naraz.

— Co?

— No, pięćdziesięciolecie pracy doktora...

— Jesteś jego synem? — spytała niska, siwa kobieta. Włosy jej płonęły w słońcu żywym srebrem. Miałem szaloną chęć czmychnąć w krzaki, ale nogi jakby mi w ziemię wrosły. Jak to, dziś przypadało pięćdziesięciolecie pracy ojca, a ja nic o tym nie wiedziałem?... A on? Chyba pamiętał...

Pod domem gromadził się tłum, a po ogrodzie wciąż przepływały cienie opadających

helikopterów. Ten zjazd gwiazdzisty nie ustawał i następne lądowały poza obrębem ogrodu, bo na trawnikach i ścieżkach stała maszyna przy maszynie. Powietrze wypełniał stłumiony gwar. Naraz drzwi się otwały; na progu ukazał się ojciec. Odruchowo zaciągnął poły rozchełstanego szlafroka i znieruchomiał z gołą głową i rozwichrzonymi włosami; na policzku miał odgnieciony wzór tkaniny — widocznie zdrzemnął się z głową na oparciu fotela. Stał, patrząc na morze głów, i zrobiło się tak cicho, że słychać było zamierający furkot, z którym opuszczały się coraz to nowe maszyny. Nagle ojciec drgnął i ruszył w dół, jakby chciał iść naprzeciw wszystkim, ale zatrzymał się w połowie schodków. Podniósł ręce i opuścił je; rozchylił wargi i nic nie powiedział. W ciszy zrodził się ruch; ludzie zaczęli podchodzić do schodków; podawali mu kwiaty — przeważnie cienkie wiązanki, ale wnet nie mógł ich już utrzymać, więc następni składali je na schodkach. Były tam maki i bławatki ze zbożowych rezerwatów australijskich, białe magnolie, afrykańskie storczyki, orchidee i bukietki stokrotek, ukwiecone gałązki jabłoni z wchodzącej właśnie w wiosnę Antarktydy i wielkie, puszyste, blade róże rodzące się tylko w szklarniach Księżycy. Kto złożył swój dar, cofał się w milczeniu, a ojciec odprowadzał go wzrokiem, w którym czasem błyskało przypomnienie. Usta jego poruszały się wtedy bez głosu, ale już przystępował ktoś nowy, a nad drzewa ogrodu, jak ciężki ptak, wzbijał się helikopter odlatującego i w miarę jak tłum rzedniał, rósł stos kwiatów na schodach. Wtem w głębi ogrodu pojawiło się dziewięciu starych ludzi w błyszczących, białych skafandrach; szli z obnażonymi, siwymi głowami, z widocznym wysiłkiem przemagając ciężar próżniowego rynsztunku, od którego dawno odwykli. Z zamierającym sercem dostrzegłem na ich piersiach odznaki pilotów Neptuna. Prawda, ojciec był kiedyś, jeszcze nim poznał matkę, lekarzem raketowym, ale nigdy o tym nie mówił. Piloci doszli z pustymi rękami do werandy, odpięli srebrne odznaki i jeden po drugim uderzeniem otwartej dłoni wbijali je ostrzami w drewno najniższego stopnia, tak że ta pociemniała i wytarta od tysięcy stąpnięć deska załśniła nagle, jak wybita srebrnymi gwoździami. A potem zostaliśmy sami w pustym, słonecznym ogrodzie. Wtedy ojciec, wciąż stojący bez ruchu, zadrżał i cofnął się; kwiaty posypały mu się z ramion, a on, po omacku odnalazłszy drzwi, zniknął w głębi domu.

A ja wciąż nie ruszałem się, jakby zasłuchany w pobrzęk oddalających się maszyn; po chwili ukazała się jeszcze jedna, z miękkim szumem przesybowała nad drzewami i upadła. Wskoczył z niej człowiek w kombinezonie; rozejrzawszy się szybko, podbiegł ku werandzie, rzucił coś na stos kwiatów i równie prędko wrócił do samolotu.

Miałem dobry wzrok i dostrzegłem z dala osobliwy wygląd tego spóźnionego daru. Była to garść rdzawych, zeschłych i ostrych porostów areozy, jedynej zakwitającej rośliny Marsa.

MARATON

„Ludzie sławią mędrca za jego miłość do nich, wszakże gdyby mu tego nie powiedzieli, nie wiedziałby, że ich kocha”. Te słowa starożytnego filozofa są lepszą charakterystyką mego ojca niż jakakolwiek, na którą sam bym się zdobył. Niejeden pyta siebie: Czy obrałem właściwy zawód? Czy jestem w nim szczęśliwy? Czy dobrze mi żyć? — i odpowiada natychmiast potrójnym „tak”. Ojciec nigdy nie zadawał sobie takich pytań, nie przychodziły mu na myśl i na pewno uważałby je za równie bezsensowne jak pytanie — „Czy żyję?”

Jego bracia służyli społeczeństwu wiedzą. On robił to samo, a kiedy wiedza zawodziła, kiedy przegrywał walkę o życie swoich chorych, dalej towarzyszył umierającym, już nie jako lekarz, ale jako współginący człowiek. Stryjowie poddawali się na przemian radości osiągnięć badawczych i przygnębieniu porażek; ojciec pozostawał zawsze taki sam — pod nigdy nie opuszczającym go, wszechobecnym ciężarem odpowiedzialności, która była dla jego duszy tym, czym dla ciał naszych jest grawitacja ziemska, zmuszająca mięśnie do wysiłku, do ciągłego napięcia, do przewyciężania ciężaru ciał, ale bez której życie byłoby nie do pomyślenia.

Po pamiętnych wakacjach letnich zrezygnowałem z wyższego kursu mechaneurystryki i wstąpiłem na medycynę. Ta nowa decyzja, powzięta z karkołomnym pośpiechem poprzednich, płynęła jednak z innych pobudek: była to próba dotarcia do istotnych wartości życia i zarazem jakiejś ekspiacji wobec ojca — próba zapalczywa i naiwna już choćby dlatego, że nie miałem pojęcia o tym, czym jest właściwie zawód lekarza. Usprawiedliwić może mnie tylko to, że ukończyłem medycynę i nie straciłem z oczu głównego celu, jakim był udział w wyprawie pozaukładowej.

Lata studiów lekarskich uciszyły mnie. Z poprzedniego okresu zostało mi niewiele: trochę notatek, rysunków i projektów przechowywanych nie tyle z rzeczywistej potrzeby, co dla samouspokojenia, że nie całkiem zmarnowałem miniony czas. Babka znalazła pewne pocieszenie w tym, że choć nie zostałem artystą, przecież przejawiał się we mnie talent, co prawda zupełnie nieoczekiwany: zabłysnąłem na uczelni jako wschodząca gwiazda w biegach długodystansowych. Uzyskiwałem coraz lepsze wyniki, zostałem mistrzem akademickim kontynentu, a pod koniec studiów — północnej półkuli. Otrzymawszy dyplom, wstąpiłem na klinikę chirurgiczną. Kiedy w pół roku potem kierownictwo wyprawy do Centaura ogłosiło werbunek załogi, jałem ubiegać się o stanowisko asystenta profesora Schreya, który był pierwszym chirurgiem okrętu. Pewna przeszkodę stanowiło moje skąpe doświadczenie zawodowe, ale poszukiwano ludzi o wszechstronnym wykształceniu, liczyłem więc na dawniejsze studia — z kosmodromii i mechaneurystryki. Gdy zgłaszałem moją kandydaturę, jeden z astrogatorów powiedział mi, że będę musiał długo czekać na odpowiedź, napływ chętnych jest bowiem ogromny, a każde zgłoszenie rozpatruje się szczegółowo, ale — tu się uśmiechnął — taka lekcja cierpliwości może się okazać bardzo przydatna na przyszłość, bo będziemy w rakiecie czekali na osiągnięcie celu wiele lat. „Będziemy” — tak powiedział, a chociaż był to tylko przypadkowy zwrot, żyłem tym słowem przez cztery miesiące.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca w domu, chodziłem na długie piesze wycieczki w głąb lasu. Była jesień, drzewa stały nieruchome w żółtawym, jakby starym słońcu, ze szkieletami gałęzi rysujących się ‘ostro na błękiecie. Błądziłem tak godzinami, aż zapadała noc ukazując gwiazdy. Zatrzymywałem się, podnosiłem głowę i stałem zapatrzony. Brał pierwszy mróz, pod nogami szumiały zeschnięte liście, zewsząd płynęła chłodna, ciepka woń butwienia, roślinnego rozkładu, śmierci, ale żadnej wiosny serce nie biło mi tak mocno, jak w owym bezlistnym lesie kończącej się jesieni.

Jak dziwnymi drogami chadza rozwój ludzki! To, co żyjącym wydaje się często niezrozumiałe, pozorna gmatwanina posplatanych, sprzecznych możliwości, w której

poruszają się mozolnie, postępując naprzód i cofając się po błędach, potomkom ich — z perspektywy czasu — wydaje się oczywistą koniecznością, a zakręty i uchyłki przebytej drogi tłumaczą się jasno, jak linie pisma układające się w pełne treści słowa.

Kiedyś, przed wiekami, na długi czas przed erą astronautyki, ludzie sądzili, że podróży międzyplanetarnych nie da się urzeczywistnić bez stworzenia dla raket przejściowych stacji pozaziemskich, tak zwanych sztucznych satelitów. Potem rozwój techniki wykazał, że takie przedsięwzięcie jest zbędne: w istocie bowiem kosmonautyka rozwijała się przez siedemset lat z górą niezależnie od sztucznych księżyców, na których pomieściły się jedynie obserwatoria astronomiczne i stacje regulacji pogody. Po wiekach nadszedł czas, kiedy — na owym etapie rozwoju — wynikła, nowymi już wywołana przyczynami, konieczność budowy astronautycznej stacji pośredniej. Stało się to, gdy człowiek od podróży planetarnych przeszedł do wypraw gwiazdnych.

Już we wstępnych fazach przygotowań, przy badaniu wpływu olbrzymich szybkości na organizm ludzki, zaszła potrzeba wznoszenia placówek doświadczalnych na sztucznych księżycach oddalonych znacznie od Ziemi, żeby usunąć szkodliwy wpływ jej ciężenia. Potem, gdy przystąpiono do konstrukcji okrętu gwiazdowego, okazało się, że trzeba go budować w przestrzeni pozaziemskiej, gdyż jest zbyt wielki, by mógł wznieść się z planety lub na niej lądować. Podobnie dawniej bardzo wielkie okręty oceaniczne nie mogły wchodzić do małych portów, ale stawały w znacznej od nich odległości, komunikując się z lądem za pomocą drobnych stateczków. Tak samo Gea, pierwszy statek gwiazdowy, zbudowany w próżni międzyplanetarnej w odległości 180 000 kilometrów od Ziemi, nie miał nigdy lądować na żadnej planecie, lecz tylko obniżać się do górnych warstw atmosfery i jak gdyby pływając w nich, wyrzucać ze swego wnętrza chmary rakiet łączności.

Tak właśnie powstała za moich już czasów zawieszona w pustce pierwsza stocznia okrętów pozaukładowych.

Jedną z wczesnych faz budowy oglądałem kiedyś z Czwartego Sztucznego Satelity. Stałem w oszklonej kabinie obserwacyjnej na szczycie metalowego kadłuba w gromadzie ciekawych; — bezpośrednio rakiety nieustannie przywoziły tu coraz to nowych turystów.

Praca w stoczni toczyła się w stożku cienia rzucanego przez Ziemię, której nocna półkula ziała w niebie jak ogromna studnia czerni. Obszar budowy oświetlały słońce tam i na powrót wahadłowym ruchem jupitera, zawieszony w przestrzeni; każdy wyrzucał dwanaście słupów światła, odbijającego się lustrzanymi błyskawicami daleko w dole, w układanych warstwach pancernych płytach okrętu. Mrowie automatów laziło po jego powierzchni; jedne posuwały się nieustannie naprzód i wstecz, niby członka gigantycznego warsztatu tkackiego, inne co chwila wznosiły się nad nim, to wybuchając blaskiem, kiedy trafiał je snop światła, to ginąc w mroku. Patrząc przez lornetkę, można było dostrzec rozłożyste dźwigary i łuki konstrukcji, które te maleństwa przenosiły z miejsca na miejsce bez najmniejszego trudu, jako że wszystkie ciężary stały się tu nieważkie. Przewód wypełniony był smugami różnobarwnych dymów, tryskających spod aparatów spawalniczych. Długie ogony kolorowych iskier, ściekając po bokach budowanego okrętu, zbierały się w obłoki, które sunęły leniwie w ślad za migocącymi raketami, przesywane w dziesiątkach kierunków słupami blasku. Orgia światła wygaszała blade gwiazdy, stanowiące pozornie płaskie tło. W stosunku do naszego punktu obserwacyjnego, który znajdował się w odległości trzydziestu kilometrów, cała ta dziedzina gorączkowej pracy wykonywała majestatyczny w swej powolności obrót, przez co reflektory, które początkowo świeciły „u góry”, pod koniec znalazły się „u dołu”, przy całej zresztą umowności tych pojęć w przestrzeni niegrawitacyjnej.

Po jedenastu miesiącach nieprzerwanych robót automaty znikły: wpełzły do wnętrza statku, jeśli należały do jego mechanicznej obsługi, bądź też oddaliły się na jedną ze swych baz, i Gea, wyswobodzona z rusztowań, mknęła wokół Ziemi niby sztuczny księżyc, srebrna,

wielka, milcząca. Jej otchłannych wylotów nigdy jeszcze nie tknął ogień atomowy.

Ojciec mój lubił poezję w dziwny nieco sposób: bardzo rzadko czytywał utwory swoich ulubionych poetów, nazywał wiersze „pomocą”, a ona nie zawsze jest przecież potrzebna, i tylko czasem, w nocy, zapalało się światło w oknie jego pokoju. Taką pomocą w miesiącach oczekiwania były dla mnie wspinaczki górskie. W najosobliwszych porach prosiłem kolegów o zastępstwo w klinice i wyprawiałem się samotnie na trudne szlaki skalne.

Aż nagle, jakby się nad moją głową rozbiła bania z wypadkami, w ciągu kilku dni otrzymałem od pierwszego astrogatora wyprawy zawiadomienie o przyjęciu w poczet załogi, ujrzałem swoje nazwisko na liście zawodników letnich igrzysk olimpijskich i... poznałem Annę.

Miała jasne oczy o rozumnym wyrazie, który powtarzał się w jej pełnych wargach jakoś ostrożniej czy obojętniej. Studiowała geologię, lubiła muzykę i stare książki — więcej nic bodaj o niej nie wiedziałem. Gdy byłem sam, kochałem ją bardzo, kiedyśmy się spotykali, przestawało to być takie pewne. Z wolą i mimowiednie wyrządzaliśmy sobie drobne, dotkliwe przykrości; wciąż zdarzały się nieporozumienia, dąsy, dziś dramatyczne, nazajutrz blahe. A przecież cierpiałem z ich powodu, a cierpienia — o tym wiedziałem z książek — towarzyszą wielkim uczuciom. Tak tedy drogą okrężnego, choć ściśle logicznego rozumowania dochodziłem do wniosku, że jednak kocham Annę. A ona? Niczego pewnego nie mogłem się dowiedzieć. Jej wzrok, kiedyśmy byli razem, wybiegał często dokądś, otwarty i daleki, jakby go powierzała niedostrzegalnemu dla mnie krajobrazom, zamyślona czy zasmucona i nieobecna. To mnie gniewało. Stawała się pokorna — wtedy ja z kolei pokorniałem. Wszystko to było jakieś mgliste, pełne niedopowiedzeń, pogrążone w domysłach i oczekiwaniach, zarazem nieznośne i urzekające, a działało się wiosną. Chodziliśmy po ogrodach, słuchaliśmy, jak ptaki uczą się śpiewać, siadaliśmy na ławkach u krzaków obsypanych zielonymi pączkami; zrywałem je, obracałem w palcach i bezmyślnie rozdłubywałem, jakby chcąc im, jeszcze nie rozwiniętym, sklejonym niemowłęce, nadać przemocą kształt przyszłych kwiatów. Było w tym coś więcej niż oznaka chwilowego zniecierpliwienia, bo i nam najbardziej brakło jedynej rzeczy, która pozwoliłaby dojrzeć możliwościom — czasu. Tylko on mógł wszystko wyjaśnić, wiążąc nas albo rozdzielając, aleśmy go nie mieli. Termin odlotu z Ziemi zbliżał się. Wielokrotnie postanawiałem odbyć decydującą rozmowę z Anną i wciąż to odkładałem. Zarazem nadchodził dzień startu na olimpiadzie. Jedno i drugie spędzało mi sen z oczu. Osobliwe zestawienie? Być może, ale jak patetycznie układało się mi życie! Wiedziałem, że ten mój pierwszy maraton olimpijski jest zarazem ostatnim, bo po powrocie z wyprawy będę już za stary. Zwyciężyć przed odlotem — czy nie byłoby to wspaniałe pożegnanie z Ziemią? Odejść w gwiazdy z laurowym wieńcem u skroni! Dwudziestopięcioletni, więc skłonny do uogólnień filozoficznych, powiadałem sobie: Masz wszystko, czego chciałeś: dyplom ukończenia studiów, udział w wyprawie gwiazdowej, bieg olimpijski i miłość — i oto jesteś nieszczęśliwy. Doprawdy, jakież mądre jest powiedzenie: „Daj człowiekowi wszystko, czego pragnie, a zgnębisz go!” W takim nastroju rozpocząłem treningi. Biegałem po wielkim kolisku bieżni, po trawiastych pagórkach roztocza nadbrzeżnego i po rozległych alejach parków uniwersyteckich, zawsze sam, ze stoperem w rękę, w upalnym słońcu czerwca i unoszącym się wszędzie, nieustannym szumie bliskiego oceanu. Trenowałem tylko rankami; przemierzywszy swoje dwadzieścia kilometrów, leciałem do obozu badawczo-kondycyjnego, w którym od miesiąca przebywali przyszli uczestnicy wyprawy. Było to miasteczko położone wśród starych lasów cedrowych u stóp Karakorum. Nosiło nazwę Keriam, jednakowoż przyjęła się nie wiadomo przez kogo rzucona nazwa „Czyśca”, jako że stanowiło dla swych mieszkańców etap przejściowy między Ziemią a pokładem rakiety. Niełatwo określić atmosferę, jaka w nim panowała. Wiele czasu zajmowały prace przygotowawcze i wykłady z najrozmaitszych dziedzin, których celem było możliwie wszechstronne przygotowanie każdego do podróży. Jednocześnie biegły

badania przyszłych astronautów; fizjologowie, „biologowie i lekarze krzatali się w swych lśniących płaszczach w pracowni, z której wnętrza dochodził świst rozpędzanych kabin obrotowych. Nieraz można było spotkać wśród wielu ożywionych, jakąś twarz przygasłą: kogoś, komu nieodwołalny wyrok lekarski zamknął drogę do gwiazd.

Równocześnie ziemskie życie gwałtownie dobijało się do wrót miasteczka. Chociaż wielu towarzyszy wyruszało z członkami najbliższej rodziny, żonami i dziećmi, każdy przecież pozostawiał na Ziemi kogoś bliskiego i nie było bodaj godziny, w której radość i oczekiwanie nadchodzącego nie mieszały się z żalem rozłąki.

Dzieląc swój czas między stadionem i „Czyścem”, nie spotykałem się z Anną przez szereg dni i tylko złowiwszy jakąś chwilę przed nocą, widywałem ją na telewizycie. Na ostatniej, zupełnie przypadkowo i nieoczekiwanie, przyszło do rozstrzygającej rozmowy. Jak się tego obawiałem, Anna powiedziała, że jej fach byłby w podróży bezużyteczny. Pracować mogła tylko na Ziemi. Mówiłem o sile uczuć, która w proch ściera przeszkody. Na to spytała, czy ja — w odwrotnej sytuacji — zrezygnowałbym dla niej z medycyny? Cóż miałem odpowiedzieć? Czując, że wszystko się wali, że tracę ją, zacząłem mówić szalone rzeczy, wyrzucać jej, że gdyby naprawdę mnie kochała, zmieniłaby zawód albo i w ogóle przestała pracować — na jakiś czas — dodałem pośpiesznie, widząc bladłość Anny.

— Chciałeś mi sprawić ból? — powiedziała. — Udało ci się to.

Jest takie stare powiedzenie, że człowiek chciałby się pod ziemię zapaść; otóż na telewizycie można to zrealizować niemal dosłownie; zarazem wściekły i zawstydzony, nacisnąłem wyłącznik i pokój Anny, jej twarz, oczy, głos, wszystko znikło jak pod zaklęciem. Postanowiłem twardo więcej się z nią nie widzieć, ale zaraz nazajutrz znalazłem pretekst: przeprosiny za wczorajsze zachowanie. Nie miała mi go już za złe. Ostatecznie umówiliśmy się na dzień po maratonie. Czy w głębi ducha liczyłem jeszcze na zmianę jej decyzji? Najuczciwsza będzie odpowiedź: chwilami — tak. Tymczasem wróciłem na bieżnię do moich samotnych biegów. Muszę przyznać, że zaciskałem czasem powieki w oczekiwaniu, że ujrzę pod nimi Annę, ale nie zjawiała się. Jak i przedtem, biegałem ze stoperem i kiedy ruch jego wskazówki schodził się z uderzeniami mego tętna, ogarniało mnie y/razenie, że to mój wysiłek porusza czas, że stanąłby, gdyby nie ja, że gwałtownym finiszem biegnę prosto ku trzem wielkim dniom: dwudziestego lipca miałem startować w maratonie, rankiem dwudziestego pierwszego widzieć się z Anną, a wieczorem dwudziestego drugiego stanąć na pokładzie rakiety.

Coraz żywiej interesowałem się w tym czasie faworytami. Trzej najgroźniejsi byli to Gerhard. Mehilla i El Tuni.

Zwłaszcza Mehilli nie mogłem się napatrzeć; krok miał nieporównanej lekkości, dzięki wysokiemu wzrostowi dłuższy od mego o prawie pięć centymetrów. Stosował taktykę nagłych ucieczek między dwudziestym i trzydziestym kilometrem, tam zazwyczaj strząsał z siebie współzawodników i — nie oglądając się — podążał lekkimi, długimi krokami, jakby coraz bardziej nieważki płynął przez powietrze. Pod koniec treningów biegałem z nim raz na pełny dystans i chociaż dałem z siebie wszystko, przyszedł do mety sześćset metrów przede mną. Pamiętam, jak tego wieczora rozebrawszy się do kąpieli, nasepiony i czujny, przyglądałem się własnym nogom, mierząc oczami zwężlenia mięśni na udach i łydkach, niczym muzyk doszukujący się zarazem błędów i ukrytych możliwości w swoim instrumencie.

Były to wcale niezłe nogi, mogę szczerze powiedzieć, ale nie mogły się mierzyć z nogami Mehilli. Nadchodził dzień startu, dzień porażki; przyjaciele nie ukrywali przede mną swych wątpliwości; pocieszanie, podobne do oszukiwania, nie było u nas w zwyczaju.

W nocy poprzedzającej bieg spotkała mnie największa klęska, jaka może grozić biegaczowi: czy to wyswobodził się ukrywany dotąd niepokój, czy może przez ostatnie dni trenowałem zbyt wiele, dość, że spałem bardzo źle i zwlokłem się rano z łóżka zmięty i

zmęczony, zmęczony jeszcze przed startem! O wycofaniu się jednak nawet nie pomyślałem; pojechałem na stadion, powtarzając sobie, że trzeba się nauczyć przegrywać.

Stadion była to właściwie płaska, bardzo wielka równina. Huczało nad nią kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy helikopterów zaciemniających słońce. Porządkowi w czerwonych, małych śmigłowcach rozsyłali je w dwie strony i wskazywali miejsca, w których wolno się było zatrzymywać, to znaczy unosić nieruchomo w powietrzu. Gdy wszystko się uspokoiło, dawał się słyszeć lekki, głuchy szum wielu tysięcy wirujących śmigieł, a z obu boków bieżni wznosiły się regularne czworoboki helikopterów zawieszonych nieruchomo, tworzących mrowie różnobarwnych kadłubów, olbrzymie, niemal chmur sięgające równie pochyłe. Nad owalną bieżnią uwijały się teraz tylko jednoosobowe odrzutowce sędziów i arbitrow. Nareszcie z ukrytego pośród drzew budynku wychodzić poczęli zawodnicy. Na ten dzień zamówiono u meteotechników pogodę ładną, lecz obłoczną, z licznymi, wielkimi kumulusami, które miały zapewnić niezbyt wysoką temperaturę w nasłonecznionych częściach trasy. Wychodząc ze stadionu wiła się ona pośród rozległych parków i ogrodów Instytutu, dochodziła do nadmorskiej plaży (był to odcinek najtrudniejszy) i wracała osiemnasto–kilometrowym ciągiem alei wysadzanych po obu bokach palmami i włoskimi kasztanami.

Bieg zgromadził ponad osiemdziesięciu zawodników. Startowaliśmy w trzech szeregach; z uwagi na długość dystansu miejsce nie miało oczywiście znaczenia. Na znak startera ruszyliśmy przed siebie. Z obu stron zawyły unisono chmury helikopterów, drgnęły i poczęły sunąć za nami do granicy wyznaczonej przez dwa rzędy czerwonych balonów. Dalej miały nam towarzyszyć tylko pojazdy kontrolne i sanitarne.

Jest bardzo starą zasadą, że maratonu nie wygrywa ten, kto prowadzi w pierwszej połowie trasy. Do dziesiątego kilometra zawodnicy biegli gęsto, dużymi skupiskami i wszystko działo się mniej więcej tak, jak przypuszczałem: powstała czołówka, w której znajdowało się koło osiemnastu biegaczy; od reszty dzieliła ją powoli rosnąca przerwa.

Ja sam biegłem jako jeden z ostatnich w czołówce, starając się pilnować prócz trzech wspomnianych zawodników z naszej uczelni także Jaffara i Elesza z innych. Pierwszy, bardzo szczupły, białoskóry, przypominał sylwetką Mehille, choć brakło mu ścięgniętości tamtego; drugi, krępy, czarnooki, biegł jak maszyna, pracując równomiernie łokciami. Od jego zwartej sylwetki biło jak gdyby w jeden węzeł ściągnięte zapamiętanie. Postanowiłem uwiesić się za plecami tej piątki między dwudziestym a trzydziestym kilometrem, a potem wypuścić się z łańcucha do końca.

Wspomniałem o moich treningach na wzgórzach roztocza nadmorskiego. Biegałem zazwyczaj w pełnym słońcu, które zdawało się przepalać włosy i czaszkę przez białą czapkę, a że w czasie biegu wcale nie piłem., coraz gęstszy i bardziej słony pot ściekał mi na twarz i oczy; mówiłem sobie wtedy: „A masz, a masz, mało ci?” — i biegnąc na równych odcinkach stosunkowo powoli, przyspieszałem, gdy droga szła pod górę, zupełnie jakbym nienawidził samego siebie i chciał uderzyć własne ciało.

Treningi te nie dały mi większej szybkości, dały za to wytrzymałość, która w krytycznym dniu okazała się bardzo potrzebna. Meteotechnicy, jak zwykle, mierzyli dobrze, ale trafili gorzej; do jedenastej, to jest do chwili, w której minęliśmy znaki dziewiętnastego kilometra, błękitem płynęły wielkie, spiętrzone obłoki, ale gdy wyciągnięty sznur biegaczy począł opuszczać się szeroko rzuconą serpentyną ku plaży nadmorskiej, gdzie nie było ani skrawka cienia, obłoki zrzedły. Biegłem wciąż to jako ostatni, to jako przedostatni w czołówce; jeśli wziąć pod uwagę nie przespaną noc, czułem się nie najgorzej, choć chwilami nachodziło mnie nikłe wrażenie, że nogi przecinają ośrodek nieco gęstszy od powietrza. Starłem się robić kroki możliwie długie i lekkie. Serce i płuca pracowały za to doskonale, cały świat chwiał się trochę, zgodnie z automatycznym rytmem biegu, uderzenia pulsu następowały regularnie, niespieszne i pełne, tyle że coraz mocniej rozlegały się w głowie. Wciąż jeszcze oddychałem

przez nos, zagryzając w zębach chusteczkę.

Gdy ostatni z serii wielkich obłoków znikł za horyzontem, słońce skierowało na nas całą siłę pionowych promieni i już po pięciu minutach w czołówce nastąpiły dramatyczne zmiany. Pierwszy odpadł Elesz; jego krępa postać jak gdyby cofała się pod prąd sunących obok zawodników. Rychło, gdy znalazł się za mną, straciłem go z oczu. Skupiłem uwagę na Gerhardzie i El Tunim. Ten ostatni, smagły, wspaniale zbudowany, z szeroką i płaską pozornie, lecz jakże pojemną piersią prawdziwego długodystansowca, prowadził przez ostatnie osiem kilometrów. Teraz utrzymywał się na swoim miejscu, ale po równie trudno uchwytnych, co oczywistych oznakach dostrzegłem, że prowadzenie kosztuje go coraz więcej; zrezygnował z ekonomii wysiłku, a to był początek końca. Jakoż jego cytrynowa koszulka jak gdyby zawahała się, a potem nieodparcie zaczęła się obsuwać w tył, mijana przez strugę zawodników utrzymujących jednakowe tempo. Jaffara nie mogłem dostrzec, a nie bardzo się rozglądałem, obawiając się wypaść z rytmu. Słońce przypiekało coraz mocniej. Czuję, jak parzy moje odsłonięte ramiona i uda, lecz jego nieznośne gorąco napełniało mnie otuchą. Wiedziałem, że to, co było niedobre dla mnie, było jeszcze gorsze dla innych.

Trasa omijała kilka wydm piaszczystych, wchodząc łukiem na ostatnią, o łagodnych stokach, lecz największą. Tu, w blasku rozpalającym piasek do białości, tak że powietrze nad nim dygotało, rozmazując odległe plamy horyzontu, przypuściłem szturm do serca czołówki. Na szczycie wydmy kończył się dwudziesty pierwszy kilometr. Dobięgam do znaku jako dziewiąty. Przed sobą i z tyłu słyszałem ciężkie oddechy. Przez chwilę trzymałem się obok Jaffara. Kurczowo chwycił powietrze, obnażając wyschłe zęby. Udało mi się go minąć; aż się zdziwiłem, tak łatwo mi to przyszło.

Droga zakręcała, nadchodziły już ujścia wielkich alei, ocienione rozłożystymi kasztanami. Wszyscy, jakby się zmówiwszy, jednocześnie przyśpieszyli kroku. To było dla mnie groźne, obawiałem się, że nie wytrzymam długo tak morderczego tempa. A jednak musiałem biec, gdyż dalej, między drzewami rzucającymi cień, miałem mniej szans niż na otwartej przestrzeni. Wyplułem chusteczkę w garść, chwyciłem dech i przyśpieszyłem. Jak łatwo to powiedzieć! Przyśpieszyłem kroku, a poniżej serca narodził się niewielki, lecz ostry ból i począł wchodzić we wnętrzości. „Ani się waż zwolnić” — powiedziałem sobie. Ból stawał się większy i jakby przelewał się w ciele. Byliśmy już między szpalerami drzew. Podniosłem głowę, jak gdyby tak lżej było biec. Taka zmiana dawała chwilową przynajmniej złudę ulgi. Nad nami przepływały piętra chłodnej zieleni; niebo wchodziło między korony palm jaśniejącymi zatokami. Oczy zdawały się pić nieruchomość i ciszę ukrytą w liściastych masywach. Droga znowu pięła się pod górę. Kończył się dwudziesty szósty kilometr. Biegłem to ósmy, to dziewiąty, a za moimi plecami rozgrywała się walka o miejsce, o której nic nie wiedziałem; w rozgrzanym powietrzu unosił się tylko miarowy tupot, uderzenia stóp o nawierzchnię i zmieszane oddechy. Czasem liść spłynął z wierzchołka kasztanu, czasem ptak jakiś podniósł się z gałęzi i niefrasobliwie trzepotał przez chwilę nad głowami biegaczy. Senny, rozgrzany, tchnący bezruchem południa spokój tych miejsc zdumiewająco kontrastował z milczącą zaciekłością naszej walki.

Sześciu następnych kilometrów prawie nie pamiętam, tak bardzo zwrócony byłem do wewnątrz, z takim zapamiętaniem poskramiałem bunt ciała, w którym to tu, to tam odbywały się ostre igły bólu, jakby mi ktoś nerwy nakłuwał. Gdy się ocknąłem, przede mną było tylko trzech biegaczy: Gerhard, jakiś całkiem nieznaną blondyn w błękitnej koszulce i lekkonogi Mehilla. Gerhard trzymał się wciąż dobrze, ale nie odbijał się już od nawierzchni tak elastycznie jak poprzednio. Młody chłopiec w niebieskiej koszulce zostawał w tyle centymetr po centymetrze; gdy zrównał się ze mną, usłyszałem świszczące łkanie jego płuc; szarpnął się do przodu raz, drugi i zrezygnował. Nie zwracałem na to uwagi, jak na całe otoczenie, gdyż nie miałem już siły, by automatycznie utrzymywać tempo. Im słabsze stawały się mięśnie, tym większy musiał być wysiłek psychiczny.

Tak upływały kilometry; droga podchodziła łagodnymi zakrętami, w oddali sunęły leniwie wzgórza, zachodziły na siebie i odsuwały się wstecz w nieustannym odgłosie kroków. Przede mną biegł Gerhard, oddalony o jakieś dziesięć do dwunastu metrów, a daleko w przedzie to przejaśniała się w słońcu, to zanurzała w cieniu biała koszulka Mehilli.

Gerhard obejrzał się raz i drugi; wydało mi się, że coś jakby szacunek ukazało się na jego twarzy, lecz było to na pewno złudzenie, cóż bowiem na czterdziestym kilometrze maratonu może wyrażać oblicze człowieka zlanego potem, który słońca i piaszczystą skorupą przysycha do skóry, z umęczonym sercem i ziejącymi płucami? Gdy Gerhard obejrzał się po raz drugi, przywidziało mi się, że się uśmiecha, jak gdyby mówił: „Czekaj, zaraz zobaczysz, jak mogę biec!” Zarazem zrobiło się ciemniej; pomyślałem, że to kurz osiadł mi na rzesach, ale to było pewno zmęczenie czy może niedokrwienie siatkówki, dość, że próżno straciłem drobne ułamki wysiłku, daremnie próbując zetrzeć mgłę z oczu. Ogarnął mnie gniew.

Dobrze — pomyślałem — oślepnę, ale będę biegł dalej.

Gdy otwarłem powieki, Gerharda już nie było. Ogromne plamy przesuwały się w tył, trzewiki sucho klaskały o bieżnię, wokół było pusto i bezludnie i tylko sto metrów przede mną biała koszulka Mehilli, który zdawał się nie biec, lecz szybować bardzo nisko nad ziemią wymachami żylastych rąk. Wciąż jednakowo daleki, zachowywał dzielący nas odstęp nieubłagane, z taką obojętnością jak brzeg horyzontu. Gdy spróbowałem przyśpieszyć, z uczuciem, że serce mi pęka, on uczynił to samo, nie odwracając głowy, bo dźwięk kroków niósł się daleko w czystym powietrzu.

Znienacka przestałem czuć własne nogi. Musiałem spojrzeć w dół, żeby stwierdzić, że poruszają się jak poprzednio, ale w ogóle tego nie czułem. Czułem tylko powietrze, które wpadając do płuc przez szeroko rozwarte usta krajało gardło jak rozpalony nóż. I czułem serce, a właściwie kurczący się w piersi, coraz gwałtowniejszy ból. We wzroku pływały jakieś męty i fantomy. Biała plama migiała i chwiała się przede mną; nie wiedziałem już, nie pojmowałem, że to jest koszulka Mehilli, nie mogłem myśleć, jakby ze wszystkimi mięśniami i mózg mój zwarł się i zacisnął jak pięść wzniesiona do ciosu. Zdawało mi się, że nie biegnę, lecz jadę na jakimś zwierzęciu i ćwiczyłem je, ćwiczyłem bez litości, miotając niewysłowione obelgi na jego powolność, nienawidziłem i jego, i tego okrutnego bólu, który przeżerał mi wnętrzności. W tym momencie rozległ się przeraźliwy, wysoki dźwięk: fanfary u wejścia stadionu zwiastowały zbliżanie się pierwszych biegaczy. Zacięły mnie niby metalowym biczem. Na jedno mgnienie przejrzałem. Może dziesięć czy jednaście kroków przede mną biegł Mehilla.

Jego koszulka była mokra, jak wyżęta, tors chodził mu kurczowo jak u pijanego i tylko nogi niezmordowanie wybijały takt. Otwartymi do rozdarcia ustami wzięwałem już woń jego potu, zatoczyłem się i znowu rzuciłem się naprzód. Między wejściowymi pylonami stadionu obejrzał się. Zdażyłem dostrzec wyraz przestachu na jego twarzy, potknął się, stracił krok, drugi. Potem wzrok znowu mi się zamglił. Miałem wrażenie, że żyły eksplodują mi w skroniach, ale mętna biaława plama rosła. Czułem już ciepło jego rozgrzanego ciała. Pierś w pierś wbiegliśmy na stadion. Wtedy jak gdyby żelazny grom strzelił z nieba, jakby się otwarło i rozbrzmiało surmami sądu ostatecznego — to wszyscy ludzie w zatłoczonych gondolach śmigłowców puścili w ruch syreny, awaryjne gwizdki i otwarli kłapy wydmuchowe silników. Pograżony w tym piekielnym ryku, niby na dnie oceanu wrzawy, biegłem dalej. Zdawało mi się, że jakieś rozpalone garście skręcają moje ciało, chwytają mięśnie nóg i poruszają nimi coraz gwałtowniej. Chciałem krzyczeć z bólu i wołać o pomoc przeciw temu, kto torturował mnie tak straszliwie; nagle coś zawirowało wokół głowy, buchnęły światła, tuż przed zmętniałymi oczami ukazała się biała wstążka. Skoczyłem na nią, podnosząc ręce. Nogi poniosły mnie dalej. Nie mogłem zwolnić i wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że tym zagadkowym czymś czy kimś, co doświadczył mnie ta!: bezlitośnie na ostatnich metrach, była moja wola, że to byłem ja sam i że to działał dalej żelazny, narzucony ciału nakaz.

Biegłem dalej. Jakieś zamazane postaci wyskoczyły z obu stron, ujrzałem jakieś skrzydła — to były trzepoczące się na wietrze koce, które rozwijali. Wtedy zrozumiałem, że przyszedłem pierwszy, i upadłem gwałtownie, jakby mi ktoś nogi podciął, tracąc przytomność,

Dużo później, gdy przyszedłem do siebie w pomieszczeniu pogotowia sanitarnego, dowiedziałem się, co tak przeraziło Mehilla na finiszu, że aż stracił krok: to była moja twarz.

POŻEGNANIE Z ZIEMIĄ

We wszystkim, co robiłem owej nocy przed spotkaniem z Anną, była szczypta szaleństwa. Po biegu byłem jak we śnie: widziałem tłumy ludzi, zlaną potem twarz Mehilii, który mnie całował, czułem uścisk, potrząsania, słyszałem okrzyki, ale to wszystko jakby wcale mnie nie tyczyło. Potem siedziałem wysoko na trybunie i patrzyłem w dół na stadion: co się na nim działo — nie wiem. Pod wieczór otoczyła mnie grupa entuzjastów–studentów; odlatywali do Azji i nie pamiętam dobrze, jak znalazłem się wraz z nimi w rakiecie; bodaj sam zaproponowałem, że ich odprowadzę. Potem toczyłem długą, bezładną rozmowę, odpowiadając na pięć pytań naraz; dużo było gwaru, śmiechu, pocisk lądował i znów się podnosił, podróżni zmieniali się, a ja wciąż stanowiłem ośrodek powszechnego zainteresowania; naraz zauważyłem, że w kabinie zostały ledwo cztery osoby. Otrzeźwiałem, jakbym się zbudził. Odezwały się głośniki, rakietka opadała ku Ziemi. Byliśmy nad małą stacją syberyjską Kaletę. Zmieszany, bo nie wiadomo po co dałem się uwieźć na ten kraj świata, wysiadłem szybko na pusty peron; razem ze mną wysiadł młody kosmodromista, którego poznałem w drodze. Popatrzawszy na zegarek, uściskał mnie i powiedział, że leci jutro na Fobosa, a teraz chce się jeszcze pożegnać z przyjacielem mieszkającym w okolicy — i tyle go widziałem. Tak że ostatnim jego słowem, które brzmiało mi w uszach, gdy znikł, było „pożegnanie”. I zostałem sam, niezdecydowany, co robić na odludnej stacyjce, w cichym, ciepłym zmierzchu, pełnym woni mokrych liści — bo deszcz przestał właśnie padać — wobec pokrytych mgłą pól i nadchodzącej nocy.

I wtedy uczyniłem pierwszą rzecz nierozsądną: nie chciałem tej nocy, nie żebym się jej obawiał, po prostu nie chciałem jej, a poddając się temu nierozumnemu popędowi, zjechałem na dolny poziom dworca, gdzie mieściła się podziemna stacja organowców. Kilka minut chodziłem tam i na powrót po pustym peronie, patrząc bezmyślnie w lustrzane płyty ścian, w których niewyraźnie odbijała się moja sylwetka. W pewnej chwili wsunięta do kieszeni ręka trafiła na jakiś przedmiot pólśytywny, niewielki, chrzęszczący: gałązkę mego wieńca olimpijskiego.

Z niskim, przenikliwym sykiem wypadł z tunelu organowiec, błysnął stałą boków, przeciągle stęknął hamownicami i znieruchomiał. Po dwudziestu sekundach jechałem już na zachód, w ślad za słońcem, które niedawno skryło się pod horyzont. Wagon kołysał się ledwie wyczuwalnie i nabierał pędu, przeganiając obrót Ziemi. W przedziale poza mną nie było żywej duszy. Otworzyłem radio. Po końcowych słowach wiadomości wieczornych usłyszałem pierwsze, wznoszące się majestatycznie tony symfonii Pożegnalnej Kreskaty.

— Cóż u licha z tym pożegnaniem?! — zachnąłem się i wyłączyłem radio.

Organowiec nie kołysał się już i nie wibrował, całą mocą przesywając przestrzeń. Nagle jego tor wynurzył się na powierzchnię ziemi; za oknami zafalowało coraz jaśniejsze, coraz żywsze światło; doganiałem uchodzący na zachód dzień. W ciszy, która nastąpiła po zamknięciu radia, tym donośniej odzywały się w głowie cztery powolne, do fanfar podobne, tony introdukcji symfonicznej. Wstałem i zacząłem chodzić między fotelami. W perłowych oczkach ściennych informatorów wyskakiwały coraz to nowe nazwy mijanych stacji, potem znowu zrobiło się ciemno — pocisk dotarł do brzegu Europy i skoczył w głąb wielkiego tunelu, gnając pod dnem Atlantyku ku Grenlandii.

Kiedy pierwsze znajome nazwy zaczęły przebiegać w informatorach rządkami świecących liter, pomyślałem raptownie, że muszę się zobaczyć z ojcem. Ależ oczywiście, po to jechałem przecież do Grenlandii! To było jak objawienie. Spytałem o najdogodniejsze połączenie i niebawem wysiadłem na stacyjce w szczerym polu; przezroczyta rura pociągu biegła prosto jak strzelił w obie strony, malejąc w oddali, na wschodzie pogrążona już w mroku, ku zachodowi grająca czerwonym blaskiem zorzy. Niosło się od niej słabnące, coraz wyższe i

dalsze granie jakby trąconej struny, które znów przypomniało mi Symfonią. Wzruszyłem ramionami.

Po drugiej stronie stacyjki opodał peronu czekał już na gazonie wezwany z organowca helikopter. Wysoka trawa ciężka była od rosy i przemoczyła mi spodnie do kolan. Klnąc pod nosem, wsiadłem i poleciałem prosto do domu. Kiedy mój wehikuł opuszczał się na ogród, dzień, dognany w nieustającym pościgu na zachód, znowu zaczął gasnąć, ale nie zwróciłem na to uwagi. Nawet nie zatrzasnąwszy drzwiczek za sobą, pogałem do domu. Był pusty. Znów rozmowa z informatorem (jestem widać skazany dziś na wyłączne towarzystwo automatów! — pomyślałem zgryźliwie). Babka i matka były w mieście, a ojciec brał udział w zjeździe lekarzy na Antarktydzie. Postanowiłem odszukać go, i to bez zwłoki. Helikopter był oczywiście zbyt powolny, poleciałem więc na dworzec raketowy, który góruje nad północnym przedmieściem Meorii. Już z daleka ujrzałem jego kopułę płonąca w ostatnich promieniach słońca. Zostawiłem helikopter na szczytowej platformie dworca i poszedłem w stronę ruchomych schodów, gdzie po szklanym globusie informatora snuły się kolorowe światełka. Bezpośredniego połączenia z Antarktydą w najbliższych minutach nie było; musiałem lecieć na Trzeci Sztuczny Księżyc i tam przesiąść się do rakiety odchodzącej na biegun. Wstąpiłem na stopień schodów sunących w dół, ku peronom. Minałem pierwszy poziom; po ścianach płynęły świetliste napisy:

TAJMYR — KAMCZATKA — NOWA ZELANDIA — CZTERY MINUTY BRAZYLIA
— ZIEMIA OGNISTA — SIEDEM MINUT

Przyszło mi do głowy, że właściwie mógłbym lecieć do Patagonii i skorzystać z miejscowego połączenia z Antarktydą, ale nie ruszyłem się z miejsca. Schody jechały w dół; minąłem drugi, trzeci i czwarty poziom; ludzi było coraz więcej. Błysnął napis:

ARCHIPELAG MALAJSKI — ODJAZD

i równocześnie rozległo się stłumione dudnienie, które zaraz ucichło; gdzieś na wysokości wibrował świst ładujących pocisków, słychać było podzwiękiwanie zamykanych klap i daleki głos, który mówił: „Pęk bezpośredni Mars–Dejmos–Ziemia osiem sekund opóźnienia”, za przejrzystymi taflami migwały strumienie ludzi, a ja opadałem coraz niżej, aż białe światła peronów komunikacji ziemskiej ustąpiły błękitowi peronu satelitów. W tłumie śpieszących skierowałem się ku torom, ale po drodze cała moja energia przepadła gdzieś, jakby uszła wraz z ostatnim blaskiem zachodu, który wlewał się w głąb hali przez szkliste ściany.

Przylecę na Antarktydę, odzyskam miejsce posiedzenia i wywołam ojca z sali — będzie uradowany, ale i zaskoczony, spyta, czy czegoś chcę. I co mu powiem? Że musiałem, koniecznie musiałem go widzieć? Na to nie trzeba było lecieć — był przecież telewizor. Więc co, że chciałem dotknąć jego ciemnego ubrania, poczuć ciepło jego rąk? Powiem mu to w jakimś wielkim korytarzu, za drzwiami będzie się rozlegał głos prelegenta i ojciec ze wszech sił będzie udawał, że wcale mu się nie śpieszy na salę, a ja będę stał, patrzył na niego i nawet się nie odezwę — bo cóż mu powiem? Przecież Gea odlatuje dopiero za kilkanaście dni, więc ten nagły pośpiech, cała ta raketowa eskapada dziś w nocy nie ma w ogóle sensu.

To było jasne. Porzucając zamiar lotu na Antarktydę, byłem w zgodzie z rozsądkiem. Ale kiedy wolnym krokiem oddalałem się od torów, na które wchodziły rakiety, czułem ostry żal. Oparty o balustradę, patrzyłem, jak na telefonach wyskakują zielone światła sygnałowe, jak rakiety nabierają szybkości, jak szkarłatne litery na ich bokach zlewają się w dygocące smugi, a pociski z przenikliwym świstem wpadają w głąb wyrzutni i opuszczają jej wylot, wzniesiony o dziewiętnaście pięter nad poziom peronów, całe przemienione w pęd, wyrzucając postrzępione płaty ognia. Sekunda — i znikły w ciemniejszym niebie. Twarz

moją owiał duszny, nagrany podmuch o smaku żelaza, dudnienie ucichło i zostałem sam. Wzdłuż peronów nad szpalerami wejść do elewatorów płonęły jaskrawymi liniami jarzeniówki, a za szkłem ścian osiadał zmierzch coraz gęstszy — mój drugi zmierzch tego dnia.

Na wolny tor wchodziły rakiety pozaziemskie: długie, obłe, podobne do ryb o spłaszczonych czaszkach, a w głębi hali zapalały się napisy:

KSIĘŻYC: MORZE DESZCZÓW — APENINY — MORZE OBŁOKÓW — BIEGUN
POŁUDNIOWY — CZTERY MINUTY

Rozpoczął się nowy przypływ ludzi. Grupa dziewcząt zdążająca z górnego poziomu tak się śpieszyła, że biegly po miarowo sunących w dół schodach; ostatniej otworzyło się zawiniątko, syjąc kolorowymi drobiazgami. Dziewczyna zrobiła rozpaczliwy ruch, jakby chciała zawrócić, ale przynaglona okrzykami towarzyszek, machnęła ręką i pobiegła do rakiety. Po chwili zielono zamrugały telefony i powietrze zadudniło na znak, że pęk księżycowych pocisków odszedł. Zrobiło się prawie pusto. Błądząc wzrokiem po hali drgnąłem ze zdziwienia, ujrawszy datę świecącą nad globusem informatora. Dziś właśnie jest Święto Obalenia Granic! To dlatego matka udała się do miasta! Ciekawe, czy babka włożyła tę nową suknię, czy też, spłoszywszy się po swojemu, w ostatniej chwili przywdziała codzienny fiolet? A czy oglądały mój bieg maratoński? Myślałem tak, kierując się ku wyjściu; wtem stopa potrafiła o jakiś przedmiot. Była to jasnozłota, nakrapiana błękitnym maczkiem piłka, którą zgubiła jedna z księżycowych dziewcząt. Żal mi było zostawić tę piłeczkę, taką bezpieczną w ogromnej hali, pełnej odgłosów nieustannego ruchu. Schowałem ją do kieszeni, przy czym laur dał znać o sobie delikatnym szelestem listków, i szybko ruszyłem do wyjścia. Tuż przy nim siedział jakiś człowiek. Pogardziwszy fotelami, spoczywał na sporym pakunku, wyciągając nogi daleko przed siebie, i z rękami skrzyżowanymi na piersiach głośno i fałszywie gwizdał symfonię Pożegnalną.

Cóż to za bęcwał tak koncertuje! — pomyślałem. Spojrzeliśmy na siebie i jednocześnie wydaliśmy okrzyk zdumienia. To był Peutan, mój kolega ze studiów mechanurystycznych. Zaczęła się beżładna rozmowa z pociąganiem za rękawy, postępowaniem krok naprzód i w tył, poklepywaniem i powtarzającym się refrenem: „A pamiętasz, jak profesor?”, „A pamiętasz?”, „A pamiętasz?...”

— To dopiero niespodzianka — powiedziałem na koniec — ale, pozwól, co ty tu właściwie robisz o tej porze, w święto?

Roześmiał się triumfalnie.

— Czekam na Nitę. Dziś wraca, za niecałą godzinę tu będzie. Już nawet z nią mówiłem, wiesz?!

To była jego dziewczyna. Przed rokiem skończyła studia i przebywała na sześciomiesięcznej praktyce na stacji kosmodromicznej Tytana, jednej z najodleglejszych w całym układzie słonecznym.

— Strasznie się cieszę — powiedziałem czując, że te słowa zupełnie nie odpowiadają prawdzie. Wesoły nastrój, wywołany nieoczekiwanym spotkaniem, od razu mnie opuścił. Peutan nie dostrzegł tego wcale.

— Mam dla niej niespodziankę — stuknął lekko nogą w paczkę. — Niagara. To jej kot. Urodził się właśnie, kiedy odjeżdżała. Ale teraz jest już grzeczny. Drapaką mógł dać, co prawda, więc na wszelki wypadek wsadziłem go do pudła.

— Z kotem wybrałeś się na spotkanie? — powiedziałem ze złośliwością, której nie zdołałem powściągnąć. — Na twoim miejscu przyszedłbym z kwiatami.

— Kwiaty też są, tam, w środku. — Peutan powtórnie tknął nogą paczkę, która odpowiedziała zdenerwowanym miauknięciem. — No, a co ty tutaj robisz, zwycięzco

olimpijski? Nie masz pojęcia, jakeśmy wszyscy wrzeszczeli, kiedy finiszowałeś, chociaż żalowaliśmy, żeś nie biegł w barwach naszej uczelni. No, pokażże się, odwróć się do światła, niech ci się przypatrzę, przecież tak...

Nie dokończył. Z ust wyrwał mu się okrzyk zakończony przeciągłym gwizdnięciem.

— Co ty tu masz? To ty na Centaura lecisz? Gwiazdy kielzać?... Maratończyku! Doktorze! Draniu! I ani słowa nie pisałeś?!

Ostrożnie, jakby to była rzecz bardzo krucha, dotknął małego, białego emblematu Gei, który miałem przypięty na piersi. Teraz należało rozpocząć długie opowiadanie, ale do tego naprawdę nie byłem w tej chwili zdolny. Więc powiedziałem tylko:

— Zazdrościsz mi?

— A żebyś wiedział, że tak! — palnął i zaśmiał się krótko.

— A wiesz co? Ja tobie także! — wyrwało mi się. Powiedziałem to takim tonem, że Peutan o nic już nie pytał. Przez kilka sekund staliśmy w milczeniu, patrząc na siebie, na koniec on wyciągnął rękę i uściśnął moją jakoś uroczyście, mówiąc:

— No to co? Pożegnamy się chyba? Będiesz nam składał telewizyty?

— Na pewno. Jak długo się da.

— No, pamiętaj!

Jeszcze raz spojrzeliśmy na siebie i ruszyłem do wyjścia. Powietrze wypełnił szum i świst startujących raket, a kiedy ucichł, daleko za moimi plecami odezwało się gwizdanie Peutana.

Sprzed dworca rozchodziły się w różne strony całe kondygnacje ruchomych chodników. Wybrałem ten, który dążył do parku nadrzecznego, i oparłszy się o balustradę patrzyłem na przepływającą światłami panoramę miasta.

W szerokich alejach płonęły daleko stojące od siebie niebotyczne gmachy, otoczone pierścieniami ogrodów o drzewach czarnych jak węgiel na tle biało rozjarzonych ścian. Był to jakby wielokilometrowy pochód mrocznych, lesistych wysp, z których środka wzbijały się w niebo jaśniejące wieże. W dole rozpościerała się nawierzchnia ulic, gładka, rozległa przejrzysta jak lód, z pulsującą w głębi siecią tuneli. Każdy piąc, każdą ulicę podszywał pęd wehikulów rozmazujących się od szybkości w długie, kolorowe smugi, niczym cyrkulacja krwi w arteriach gigantycznego organizmu. Blask dobywający się z kryształowych podziemi miasta mieszał się z ulewami barw padającymi z góry. Złote i liliowe ogniotryski reklam wspinały się po ścianach; na najwyższych kondygnacjach gorzały diamentowe wystawy, ludzie wypadali z magazynów, objuczeni paczkami, i wskakiwali do czekających helikopterów, które w rozpylonych słupach światła unosiły się i zawisały u wszystkich pięter niczym pszczoły rojące się nad plastrami gigantycznego ula. Na skrzyżowaniach lotniczego ruchu gorączkowo mrugały telefony, pod zielonkawo przyćmionym szklivem ulic przetaczały się lawiny pojazdów, wszędzie panował podniecający, nerwowy pośpiech świątecznego wieczoru, a ja płynąłem przez to kotłowisko spokojny, chłodny, patrząc obojętnie, jak oparte o poręcz chodnika ręce barwią się to cytrynowo, to błękitnie, to purpurowo, jakby zanurzone zniecka w krew.

Po jakimś czasie światła zrzędyły, ruch osłabł, w miejsce niebotycznych budowli pojawiły się domy, potem domki, za to ogrody poczęły rosnąć, powiększać się, rozprzestrzeniać coraz szerzej, aż wreszcie ruchomy chodnik skończył się. Pozostawiwszy seledynowy lampion jego stacyjki daleko za piętami, poszedłem przed siebie, z przyjemnością czując miękką, wilgotną ziemię pod stopami. Za bramą parku otoczyły mnie drzewa. W śródmieściu potężny blask ulic oślepił niebo i zdawało się, że jest już ciemna noc. Teraz ujrzałem w górze błękit mroczny, ale jeszcze bez gwiazd. Niebo zachodu promieniało ostatkami stygnącej, przyprószonej srebrną mgłą czerwieni. Była to godzina, kiedy na ławkach ogrodowych, tam gdzie światel jest najmniej, siadają pary, szepcząc do siebie słowa, których nikt na świecie nie zna, choćby sam mówił je nieraz, bo w dziwny sposób treść takich rozmów, takich spotkań wymyka się z pamięci, ulatnia się z niej, jak parujący niepostrzeżenie eter i pozostaje tylko odurzający,

słodko—gorzki osad, wspomnienie nastroju, po brzegi wypełnionego oczekiwaniem jakichś wielkich, ciemnych oczu, rozwartych tuż u własnej twarzy, i szeptu, który oprócz woni oddechu, tonu głosu nie znaczy nic, jak muzyka, która nie znacząc pozornie nic, oznacza przecież wszystko.

Szedłem przez park. Daleko, sponad czarnych w mroku drzew wstawały świetliste sylwety wieżowców, a po alejkach chodziły pary, zajmowały ławeczki, tuliły się z dala od lamp jaśniejących pośród gałęzi, a ja kroczyłem minio, czując ściśnięte w kieszeni pięści jak dwa kawały kamienia i odwracając wzrok. A jednak kiedy przemierzyłem cały park i wyszedłem na ogromne, puste bulwary nadrzeczne z wielokrotnymi naszyjnikami świateł odbijających się w czarnej wodzie, miałam jeszcze pod powiekami obraz tych ciemniejszych od nocy ciał zwartych w jakimś bezradnym zapamiętaniu, gubiących się w uścisku, który jest jak gdyby próbą zniweczenia ostatnich granic między dwojgiem ludzi, a w głowie rozlegały się cztery wysokie tony introdukcji symfonicznej.

Stanąłem na krawędzi nabrzeża. Rzeka łagodnym zakolem obejmowała łuny miasta, a w dole, pode mną, nurt płynął bez najślabszego odgłosu, gładki, milczący, kołysząc odbiciami lamp jakby z nieskończoną łagodnością. Wyjąłem rękę z kieszeni, rozluźniłem pięść. Wypadł z niej zmięty, pokruszony liść lauru.

— Cóż za głupiec! — powiedziałem i poszedłem dalej, przyśpieszając kroku. Kilkaset metrów ponad zakrętem rzeki wznosił się grobowiec Nieznanego Kosmonauty, starodawna, panująca nad całym miastem ścięta piramida, ulubiony cel moich wędrówek chłopięcych. Niemal na oślep skierowałem się ku schodom w tej wielkiej skarpie. Ledwo stanąłem na pierwszym stopniu, ruszył bezszelestnie, niosąc mnie w górę, i było to, jak gdyby całe miasto nieskończenie delikatnym, a przecież nieustępliwym ruchem porzucało mnie, uchodziło spod stóp, coraz dalsze i dalsze, rosnąc w głębi horyzontem świetlistych wieżowców. Chodnik stanął. Byłem na płaskim szczycie piramidy, przed pomnikiem Kosmonauty.

Na gigantycznej bryle meteorytu, czarnej, jakby zapiekł się w niej mrok otchłani, w których krążyła przez wieki, leży na wznak rzucony człowiek. W dzień widać tego obalonego kolosa z najdalszych placów miejskich; spod pleców wystrzela mu w bok i w górę odłam bełtu raketowego zwrócony ostrzem w niebo, wskazując kierunek, z którego przybył. Teraz, w odblaskach dalekiej łuny miasta, olbrzym zatracił człowiecze kształty. Fałdy jego kamiennego skafandra ciemniały jak wyrwy ściany skalnej i ludzka była tylko głowa, naga, ogromna, ciężko odrzucona w tył, spoczywająca skronią na wypukłości głazu. Ruszyłem z miejsca. Krok rozległ się na granicie niczym w rozrzedzonym powietrzu. Za torsem leżącego panował mrok zupełny; obszedłszy posąg dokoła, stanąłem nagle na wprost twarzy. Wznosiła się nade mną jak obryw górski, tak wielka, że nie mogłem ogarnąć jej spojrzeniem. Zdawało mi się, że słyszę w panującej głuchej ciszy tony symfonii Pożegnalnej. Byłem trochę pijany patetycznym uczuciem osamotnienia, które narastało z każdą chwilą; powiedziałem sobie: oto mój towarzysz tej nocy. Podźwignąłem się na krawędź meteoru i siadłem tuż pod okiem olbrzyma. O wyciągnięcie ręki za mną słabo i tajemniczo błyszczła wypukła tarcza powieki. Nogi opuściłem w pustkę; tam, pod stopami, rozpościerała się Meoria.

Nad bezkresnym morzem świateł górowały dwa jego źródła potężne. W centrum starej dzielnicy naukowej jaśniał gmach Uniwersytetu, wzniesiony u schyłku XXI wieku, ogromna budowla o liniach tak stromych, tak rwących w górę, że niemal padających na siebie. Jest w nich jakaś nieokiełznana, radosna buntowniczość, wyzwanie rzucone sile ciężkości przez owych pierwszych architektów, których wizje kształtowała epoka rakiet, ostrość pocisków nad—dźwiękowych i wybuchowe krzywe ich wzlotów. Naprzeciw tego tysiącletniego kolosa, urągającego grawitacji, jakby w niebo wystrzelonego ze wszystkich naraz kryształowych kolumnad, stoi drugi, nowożytny już bastion Pałacu Mechanistyki. Wobec jego skupionej prostoty, która jest samym światłem zastygłym w nieważką konstrukcję promieni, Uniwersytet zdaje się prymitywny i burzliwy gwałtownością kształtów ukazujących

zapamiętanie dawnych architektów, którzy napinali budulec do ostatnich granic wytrzymałości. Dziesięć wieków dzieli te dwa dzieła budownictwa ziemskiego. Ale czym był ten czas w porównaniu z wiekiem gązu meteorytowego pode mną? Na jego skorupie, zeszlonej od żaru, który wydał planety, spoczywało w tej chwili dwu ludzi. Jeden, kamienny, uosabiał tych wszystkich, co nie powrócili z otchłani. Drugi, żywy, miał w nią wyruszyć. Cóż za spotkanie! Jaki krąg dziejów zamykał się tu i otwierał, zwrócony ku niewiadomemu! Myślałem tak z opuszczonym w ciemność wzrokiem, podpierając głowę rękami. Wtem kamienne powierzchnie mego otoczenia wystąpiły z mroku, oblane drgającym blaskiem. Nad Pałacem Mechanurystyki rozwijały się w powietrzu ogniste draperie, gasząc światło gwiazd: sztuczna zorza polarna wstępowała z ziemi w niebo odwróconym wodospadem srebra, a na jej falującym tle niewidzialna dłoń pisała płomieniem:

BAL SIĘ ROZPOCZYNA!

Wtedy rozgwieżdżone czeluście miasta drgnęły, wyrzucając z siebie setki, tysiące, dziesiątki tysięcy iskromiotów, rac, ogni bengalskich łopocących światłem ponad najwyższymi wieżami, a z parków wznosiły się, jakby na ich spotkanie, balony o groteskowych kształtach pajaców i fantastycznych maszkar; zarazem w wypełnionej srebrną wy m półmrokiem przestrzeni między Pałacem i Uniwersytetem zadrżało mrowie szkarłatnych, liliowych i szmaragdowych pierścionków — to szykował się kulig studencki, a śmigła helikopterów, zakończone lampkami, wirując tworzyły świetliste obrączki. Patrzałem na to wszystko niechętnie, mrużąc oczy od natarczywych świateł, urażony: gdybyż Ziemia, już daleka i obojętna, zostawiła mnie rozważaniom G nieskończoności — ale ona zapraszała na tę karnawałową, błazeńską zabawę w takiej chwili! Aż do miejsca, w którym się schroniłem, przywił wiatr echo dalekiego krzyku tłumów. Usiłowałem jeszcze ocalić moją tragiczną samotność, lecz na myśl, jak hucznie przywitaliby dawni koledzy zwycięskiego maratończyka i badacza gwiazd, zawahałem się; coraz bardziej było mi żal, że nie jestem tam, w dole. Przez chwilę walczyłem jeszcze z pokusą, aż porwałem się na równe nogi, zeskoczyłem na płaski szczyt piramidy i wezwałem helikopter. Po minucie wyłonił się z ciemności i opadł wolno przede mną, owinięty festonami kwiatów, z zapraszająco oświetloną, pustą kabina. Ledwo jednak wsiadłem i poczułem, jak niesie mnie powietrzny nurt, przyszła nowa myśl: A co, jeśli spotkam tam Annę i zobaczy mnie roześmianego, tańczącego przed jutrzejszym pożegnaniem?

Pośpiesznie zmieniłem kierunek lotu i niebawem już tylko srebrny odbłask chmur wskazywał miejsce, w którym zniknęła Meoria.

Nie wiem, jak długo leciałem. Od czasu do czasu w dole przepływały miasta jak ogniste plamy wysnuwające w ciemności cienkie, rozjarzone nici dróg; mój pojazd chybotął się niekiedy w powietrznych prądach, szkła opalizowały od kondensującej się wody. Kilka razy ujrzałem nad sobą gwiazdy; potem z widokami tej nocnej podróży mieszać się zaczęły majaki snu. Kiedy ocknąłem się, za szybami pędziły grube zwały chmur, po wierzchu czarnych, od dołu zalanych blaskiem. Pomyślałem, że dolatuję do jakiegoś miasta, i zacząłem się opuszczać. Chmury rozstały się, ujrzałem ziemię, całą w blasku, a jednak nie była to okolica zamieszkała. Ze słabym wstrząsem helikopter dotknął gruntu. Wysiadłem.

Znajdowałem się w alei pustego parku, objętego spokojną, błękitną pozągą. Grupy świerków gorzały niby jakieś zimne pochodnie, topole przemieniły się w rozjarzone świeczniki, a spiętrzone nade mną korony kasztanów promieniały jak planetarne mgławice. To pod działaniem niewidzialnych emitorów nadfioletowych świecił zielony barwnik roślinny. Każdy liść, każda łodyżka, każde źdźbło trawy było źródłem mgławiej luminiscencji. Poszedłem przed siebie ścieżką, ciemną w morzu światła jak czarny strumień o rozpalonych brzegach. Martwe, ciemne były tylko pnie, konary i — jakby na przekór porządkowi dnia —

kielichy kwiatów. Wszechobecny, bijący zewsząd blask odrealniał otoczenie; kiedy budził się wiatr, nieruchome kiście światła, rozpadały się; żywopłoty falowały ogniem, a strzeliste altany kłoniły się niczym ogarnięte płomieniami okręty.

Doszedłem do fontanny otoczonej klombami. Tysiąc tęcz łamało się w biczu tryskającej wody. Dokoła basenu biegła kamienna ławka. Usiadłem na niej, zapatrzony w park. Jego srebrne masywy szła czarna koronka gałęzi. Znowu naszła mnie senność. Przyjmowałem ją jako coś dobrego; kamienna płyta ławki wydała mi się godnym pożądanym łóżem, opuszczając powieki, czułem się jakby poza światem i życiem.

...Leżałem w gorącym piasku plaży. Słońce stało wysoko, był odpływ, morze cofało się, tylko pojedyncze szumiące fale jeszcze wracały, oblewały mnie i cofały się, aż spłynęła ostatnia i zostałem porzucony, sam, na suchym, twardym brzegu... jawy.

Otworzyłem oczy. Dobiegł mnie słaby odgłos płaczu. Podniosłem głowę — płynął z bliska. Wstałem, rozbity i zdrętwiały, i obszedłem okrągły basen. Na tej samej ławce kamiennej, z drugiej strony fontanny, kuliło się dziecko — mały, może czteroletni chłopczyk. Na zamorusanej twarzyczce świeciły ślady łez. Kiedy mnie zobaczył, przestał płakać. Oczadziały snem, zdumiony, milczałem. Patrzyliśmy na siebie długo, obaj zaskoczeni i posepni. On pierwszy miał tego dość.

— Co ty tu robisz? — spytał grubym od chrypki głosem. Straciłem rezon. Nielatwo przysłoby mi odpowiedzieć na to pytanie.

— A co ty tu robisz? — rzekłem, starając się nadać głosowi poważne, mentorskie brzmienie.

— Ja się zgubiłem.

— Gdzie twoi rodzice?

— Nie wiem.

— Skąd się tu wzięłeś?

— Przyleciałem.

Po dłuższej indagacji dowiedziałem się, że przybył z rodzicami na wycieczkę i koniecznie chciał zobaczyć konia.

— Jakiego konia?

— Jak to, nie wiesz? Ja myślałem, że ty też byłeś u konia.

Jak się okazało, do parku przylegał ogród zoologiczny. Był w nim z rodzicami. Ale do konia nie doszli. Ojciec powiedział tak: „Musimy już wracać. Wsiadaj do samolotu. Jak będziemy lecieli, złożysz koniowi telewizytę”.

Ale on chciał pogłaskać konia. Więc wsiadł do samolotu i wysiadł z drugiej strony, tak że nikt tego nie zauważył. A swój naręczny teleranik, połączony falą radiową z teleranem rodziców, żeby wiedzieli zawsze, gdzie on jest, zdjął z ręki i schował pod fotelem. A potem poszedł do konia. O zmierzchu wrócił do parku, ale rodziców nie było. Więc błąkał się długo i wołał, ale nikogo nie było. Aż znalazł tę ławkę. Próbował spać, ale nie mógł.

— Bałeś się?

Nie odpowiedział. Co tu z nim robić? Spytałem, gdzie mieszka. Nie wiedział.

— Ile słońc świeci nad twoim domem? — spytałem po namyśle.

— Dwa.

— Dwa?

— Nie, jedno.

— Więc nie dwa, tylko jedno?

— Jedno.

— Na pewno?

— Może na pewno.

Z takimi informacjami niewiele mogłem począć. Odwieźć go do najbliższego portu lotniczego? Naraz zakłócił moje rozważania:

- Czy ty też się zgubiłeś?
- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?
- Tak myślałem.

— To się myliłeś. Dorośli nigdy się nie gubią — rzekłem energicznie, żeby nie dopuścić do niepożądanego obrotu rozmowy. Mały popatrzył na mnie przeciągle, ale nic nie powiedział. Naraz rozkaszłał się głośno. To przesądziło sprawę. Tak, innej rady nie było. Nigdy mi się to jeszcze nie przytrafiło, ale wiedziałem, co należy zrobić. Okryłem dziecko kurtką i sięgnąłem po teleran. Dobywając go z kieszeni, odkryłem w niej jakiś okrągły przedmiot: złocistą, nakrapianą piłeczkę, którą podjąłem na dworcu raketowym. Dałem ją małemu, a sam odnalazłem nie przyciskany dotąd guziczek na krawędzi teleranu, otoczony czerwonymi literkami:

WSZYSTKIE ZAKRESY

Nacisnąłem go — iż aparacika buchnęła wrzawa: głosy ludzkie, prędkie gwizdanie stacji automatycznych, sygnały dalekich statków i kontynentów, buczenie nadajników raketowych, strzępy słów, muzyki, śpiewu, wszystko to, stopione w milionogłosy gwar, biegło z płaskiego pudełeczka. Pochyliłem się nad aparatem i cicho — bo nie chciałem, żeby malec mnie słyszał — powiedziałem sakramentalne słowa:

— Uwaga! Człowiek w niebezpieczeństwie!

Powtórzyłem to trzy razy i czekałem. W głębi głośniczka coś drgnęło. Rosła tam cisza, zataczając coraz szersze kręgi, jakby ktoś kamień rzucił w bezkresną wodę. Dziesiątki tysięcy głosów milkło, rozlegały się sygnały oczekiwania:

— Odbiór! — mówiono. — Uwaga, odbiór!

Jeszcze ktoś o coś pytał, jeszcze tu i ówdzie rozlegały się szybkie serie impulsów nadawczych, a tymczasem moje słowa przekazywały stacje translacyjne dalej i dalej; zdawało się, że słyszę echa własnego głosu, który w ułamku sekundy obiegił całą kulę ziemską, a potem, skupiony w emitorach kierunkowych, został rzucony w przestworza. Odezwały się stacje kosmodromiczne sztucznych satelitów i Księżyca, pracujące z jednosekundowym opóźnieniem, przyjęły wezwanie i przeszły na odbiór, aż cała wewnętrzna sfera panowania człowieka zamarła i delikatny szmer głośniczka w teleranie przerywał już tylko nigdy nie ustający tykot atomowych zegarów obserwacyjnych. Naraz jakiś pilot księżycowy odezwał się, pytając, co się stało. Jakiś gruby głos kazał mu się natychmiast wyłączyć i nastąpiła cisza. To było w piątej sekundzie po moim wezwaniu. A w szóstej, tak jak było trzeba, zacząłem krótko i rzeczowo mówić: Odnaleziono dziecko, nazywa się Pao, ma trzy i pół roku, orzechowe oczy i tak dalej. Potem znów nastąpiła cisza, przestrzelona krótkimi gwizdnięciami stacji translacyjnych, i naraz dwie odezwały się równocześnie: oznajmiały, że mają zanotowane zgłoszenie rodziców i już od pięciu godzin czekają wieści. A potem — w dwudziestej drugiej sekundzie — wszystkie przerwane połączenia wznowiono, wszystkie stacje okrętów i raket odezwały się, automaty kończyły wypowiedanie urwanych w połowie zdań, ludzie się śmiali i rozmawiali, i znowu burzliwy gwar przelewał się w miniaturowym głośniku.

Na rodziców chłopca czekaliśmy jeszcze dwie godziny. Najpierw rzucałem do małego piłkę; odrzucił ją sumiennie, bez uśmiechu, niemal ponuro; naraz zauważyłem, że zbiera mu się na płacz. Wtedy przypomniałem sobie, że zwyciężyłem w maratonie; to była doskonała myśl! Opowiedziałem mu całą rzecz jak najdokładniej; miał zrazu pewne wątpliwości, ale przekonała go gałązka lauru. W najdramatyczniejszym momencie uczyniłem pauzę — i przedłużyłem ją: malec spał z głową na moim ramieniu. Ślady rozmazanych łez zabrudziły mu policzki; od czasu do czasu marszczył się i pochlipywał. A kiedy nad wzgórzystym konturem lasów zajaśniała różowa smuga, ogród zgasł nagle, jak zdmuchnięty, i niemal

równocześnie usłyszałem daleki pobrzęk: nadlatywali rodzice. Wówczas na myśl, że będę musiał z nimi rozmawiać, może nawet powiedzieć, skąd się tu wziąłem, że będą mi dziękowali i zapraszali do siebie, ogarnęła mnie panika. Jak mogłem na j ostrożnie j, złożyłem chłopca na kamiennej ławce, podłożyłem mu pod głowę zwinięte rękawy kurtki, w palce wetknąłem piłeczkę i jak ścigany pobiegłem do mego helikoptera. Ten ostatni szalony postępek nie należał już do nocy, bo kiedy uniosłem się w powietrze, prosto w oczy trafił mnie pierwszy promień wschodzącego słońca.

21 lipca 3123 roku widziałem się po raz ostatni z Anną. Spotkaliśmy się w Porsangoer, małej stacyjce bezpośredniej linii Eurazja–Ameryka, położonej nad fiordem tej samej nazwy. Stromą, krętą ścieżyną wspinaliśmy się na szczyt nadbrzeżnej skały, od czasu do czasu przystając dla nabrania tchu. Donośnie rozlegał się szum niewidzialnego morza. Na samym wierzchołku uderzył w nas porywisty wiatr. Zatrzymaliśmy się z opuszczonymi dłońmi i bijącymi sercami. W dole toczyła się nieubłagana walka dwu krajobrazów. Jeden, wyniosły, zastygł jakby w oczekiwaniu klęski, drugi atakował go niezmordowanie szeregami czar—no —białych wzgórz, które z łoskotem waliły o skałę.

— Czy pożegnałeś się już z Ziemią? — nie patrząc na mnie, półgłosem spytała moja towarzyszka.

— Robię to w tej chwili — odparłem równie niegłęboko.

Anna zbliżyła się swoim lekkim krokiem do spiętrzonych głazów i wyszukała miejsce najlepiej odpowiadające kształtowi pleców, niby stworzone tam dla niej i od wieków czekające tej chwili. Zawsze z ukrytym podziwem obserwowałem, jak w naturalny sposób umiała pośród najdzikszej głuszy odkrywać takie drobne dogodności.

— Z kim się widziałeś? — spytała.

— Byłem dziś w domu, u profesora Muracha, u przyjaciół... bo ja tu wszystkich zostawiam, Anno.

Słowa te zabrzmiały jak skarga, choć nie było to moim zamiarem.

— Tak się składa... — dodałem jakby w usprawiedliwieniu.

— A ja jestem ostatnia — powiedziała. Oboje patrzyliśmy nie na siebie, lecz w białe ciągi fal idących z czarnego oceanu; wyglądało to, jak gdyby następował cały horyzont. Niekiedy w czasie tej rozmowy odnosiłem wrażenie, że morze stoi, a my mkniemy przez nie i fale roztrąca pęd skalistego obrywu, na którego szczycie spoczywamy bez ruchu.

Spytała, jak długo będzie trwała podróż. Spojrzałem zdziwiony, bo już to jej mówiłem.

— Około dwudziestu lat — odrzekłem i sam się zdumiałem.

— A szybkość Gei będzie przekraczała połowę szybkości światła?

— Tak.

Sądziłem, że zapatrzyła się w dal, ale zastanowił mnie nieznaczny ruch jej warg. Nagle pojąłem: liczyła. Nie omyliłem się.

— Podróż będzie trwała około dwudziestu lat ziemskich — odezwała się — ale dzięki szybkości statku staniecie się starsi tylko o... — zamilkła, jakby niepewna swych cichych obliczeń.

— O piętnaście, a może szesnaście, ponieważ... — urwałem na widok nieopisanego uśmiechu, jaki pojawił się na jej twarzy.

— Gdy wrócisz, będę starsza od ciebie — wyjaśniła. Nie wiedziałem, co powiedzieć; było mi niewygodnie,

lecz nie ważyłem się zmienić pozycji, patrzałem w buczący przeciągle ocean i czułem, jak dzieli nas milczenie, to samo, które dawniej tak mocno łączyło.

— Anno — wyrzuciłem z rozpaczą — myślę, że byłem wobec ciebie szczery i dobrze nam było razem, i mogliśmy...

— Po co to mówisz? — spytała, wciąż patrząc przed siebie, jakby w trochę sennym zachwyceniu. Jej spokój zwiększał jeszcze moje osamotnienie.

— Mówię to, bo zdaje mi się w tej chwili, że jesteśmy sobie obcy, a przecież to nieprawda, Aniu... to nie może być prawda...

— A jednak to prawda — odparła i przyjąłbym te słowa biernie, gdyby nie to, że raz jeszcze uczyniła coś, co tak często mnie u niej zadziwiało: uśmiechnęła się ironicznie czy może smutno, nie umiem powiedzieć.

— Aniu...

Chciałem ją przyciągnąć do siebie, ale wyswobodziła się łagodnie.

— Jeżeli znaczę coś dla ciebie — powiedziała — to tylko dlatego, że byłam niezależna. Gdybym była inna, na pewno nie byłabym ostatnim człowiekiem, którego żegnasz...

— Może masz rację, chociaż nie wierzę w to, ale czy doprawdy musimy mówić o tym?

— Chciałbyś jakichś słów ładnych, melancholijnych może, które stałyby się rodzajem symfonicznego finale naszej znajomości? — rzekła z odrobiną szyderstwa. Już się nie uśmiechała. — A gdybym ci teraz powiedziała, że chcę...

— Proszę cię, daj spokój żartom — odparłem, a ona roześmiała się na widok poruszenia, które opanowałem o ułamek sekundy za późno. Zanosiła się od śmiechu, aż jej ciemne, wzburzone wiatrem włosy dotykały wysokiego głazu stanowiącego naturalne oparcie i opływały jego krawędź, jak kotłująca się pod nami woda — głazy urwiska. Jej śmiech mieszał mnie, ale trwało to tylko chwilę. Potem przysłała myśl, która niejednokrotnie już nawiedziła ranie u jej boku: oto był drugi człowiek, cały, wielki, zamknięty świat, który spośród tysięcy wyróżniło i uczyniło dla mnie jednego coś niepojętego i potężnego. I oto ten świat uchodził, rozdzielało nas już tak wiele, że fizyczna bliskość .Jał była zupełnie bezradna. Dotknąłem jej dłoni; spojrzała mi w twarz. W jej oczach zapaliło się coś — ciepłe, miękkie światło.

— Anno — wyszeptalem — to wszystko prawda, wiem o tobie tak mało, a i ty o mnie; nie było jeszcze nic prócz możliwości, której nie jest dane się rozwinąć. Ale chcę, żebyś wiedziała, jak wiele dzięki tobie...

— Jakiś ty niemądry i uparty — odparła z uśmiechem. — Znów te okrągłe zdania?

— Więc cóż mam robić? — spytałem jak dziecko, a ona roześmiała się krótko, ale zaraz spoważniała i odchylając głowę w tył, rzekła:

— Bo ja wiem... Chyba pocałuj mnie... Nie widzę innego wyjścia...

Objąłem ją. Patrzyliśmy sobie w oczy. Bez trudu mógłbym odnaleźć pośród wszystkich odcieni nieboskłonu barwę jej tęczówek, w których teraz, jak w dwu małych niebach, stały odbicia miniaturowych słońc.

Wstała, wygładziła sukienkę i uważnie, nieufnie nawet przeglądała się w małym lusterku, czesząc włosy moim grzebieniem. Zawsze wzruszała mnie surowa prostota, jaka malowała się na jej twarzy przy owych toaletowych zabiegach, a teraz myśl, że widzę je po raz ostatni, ścisnęła mi gardło niewypowiedzianym żalem.

— Już późno, samolot ci ucieknie — powiedziała, a kiedy zerwawszy się z ziemi potknąłem się, ujęła mnie pod ramię drobna, silną ręką.

— Chodź, niezgrabiaszu. chodź, bo jeszcze zamiast na gwiazdę, polecisz do wody...

GEA

Kiedyś, w zamierzonych czasach, ludzie byli więźniami przestrzeni. Spośród wszystkich ziemskich krajobrazów znali tylko ten, w którym rodzili się, żyli i umierali. Pierwsi podróżnicy pokonywać musieli gęstwiny puszczy, rwące rzeki, nieprzebyte łańcuchy górskie, a na kontynentach, rozdzielonych oceanami, życie toczyło się niezależnie, jak na odległych planetach. Jakże zdumieni się Fenicjanie, kiedy wypłynąwszy na morza południowej półkuli, ujrzeli słońce idące po niebie od prawej ręki ku lewej, a księżyc wschodzący za zwrotnikiem Koziorożca sierpem poziomym, tak że najpierw wychylały się zza horyzontu jego dwa czerwone rogi.

Przyszły czasy wypełniania białych plam na mapach globu, długich, mozolnych i bohaterskich wypraw wątych żaglowców — epoka Kolumba, Magellana, Yasco da Gamy. ale Ziemia wciąż była ogromna i żeby ją opłynąć, nieraz ledwo starczyło życia ludzkiego; niejeden z tych, co pierwsi ruszali w taką podróż, nie ujrzał już ojczyzny. Dopiero w wieku maszyn planeta zaczęła się zmniejszać; ludzie okrążali ją w ciągu miesięcy, tygodni, potem dni i wówczas okazało się, że zdobywając panowanie nad przestrzenią człowiek poruszył to, co przez wieki wydawało mu się najbardziej niewzruszone: czas.

Każdemu z nas zdarza się dziś w podróży to doganiać kończący się już dzień, to przedłużać lub skracać noc, to wreszcie przy locie w kierunku przeciwnym do obrotu Ziemi przeskakiwać nagle dzień tygodnia. Nikt się nad tym nie zastanawia, takie to oczywiste; ludzie pracujący na sztucznych satelitach przywykają do ich lokalnego czasu o rytmie snu i czuwania krótszym niż ziemski dzień, lecz bez trudu odmieniają nawyki, kiedy wracają na Ziemię. Tak, przestrzeń stopniała, czas rozchwiał się, lecz wywalczone na nim swobody wciąż jeszcze są nieznaczne. Nawet kosmonauci powracający z dalekiej wyprawy, gdzieś spod orbity Saturna czy Plutona, przywożą we wnętrzu swego statku czas wcześniejszy od ziemskiego o trzy, cztery czy pięć dni, nigdy więcej.

Wyprawa pozaukładowa do najbliższej gwiazdy, Proximy Centaura, miała całkowicie rozdzielić czas. Jeden, płynący ze stałą szybkością, pozostawał na Ziemi, drugi, mierzony na Gei, biegł tym wolniej, im szybciej poruszała się rakietą. Różnica, obliczona dla całej podróży, sięgała lat. Dziwna to i wielka rzecz, gdy teorie i wzory, sprawdzone dotąd na zjawiskach gwiazdowych, poczynają rządzić życiem człowieka. Mieliśmy powrócić młodszy od naszych ziemskich rówieśników, gdyż w najdrobniejszych molekułach wszystkiego, co uniesie Gea — zarówno przedmiotów, jak roślin i ludzi — czas miał posuwać się wolniej niż dotąd; trudno było przewidzieć skutki tego zjawiska, kiedy podróże pozaukładowe staną się powszechne.

Rozmyślałem tak na małym lotnisku, położonym w suchej trawiastej kotlinie pośród brzozy i olchowych zagajników. Czekająca już na mnie rakietą Gei, jeden z tych zabawnych odrzutowców, które opadając na grunt rozkładają w powietrzu swoje trzy płetwy, aby wylądować na nich pionowo, stając na podobieństwo hieratycznej amfory z wydłużoną w dziób szyją.

Wszystkie pożegnania miałem już za sobą — z ludźmi, krajobrazami, rzeczami — byłem gotów do drogi, lekki i spokojny, z iskrą głęboko ukrytego podniecenia, a jednak odsuwałem chwilę odlotu. Z długiej smugi cienia, rzucanego przez stateczek, patrzyłem na niedaleką grupę świerków, aż granatową pod światło. Wokół wszystko było bezruchem, nagrzaną ciszą dnia, w którym wiosna niepostrzeżenie przechodzi w lato, kosmate główki jaskrów, jakby zmęczone upałem, chyliły się na łądkach, jakiś ptak odezwał się niedaleko i — przełknięty własnym głosem — umilkł. Miałem to wszystko odtrącić jednym ruchem, jak pływak odbijający od brzegu. Tuż przy mojej stopie kwitła kępka fioletowych kwiatków o nieznanej mi nazwie; pochylałem się, żeby je zerwać, lecz wyprostowałem się z pustą dłonią. Po

co? Zwiędną. Niech raczej pozostaną takie, jakimi opuścił je mój wzrok. Wspiąłem się na stopnie, w wejściu raz się jeszcze obejrzałem; świerki stały strzeliste, ich czerń w tysiącu miejsc przekłuwał czerwony blask zachodu. Chciałem się uśmiechnąć, zależało mi na tym. Nie mogłem. Własny bezruch, przedłużając się, niedostrzegalnie napęniał się jakimś niepojętym jeszcze ciężarem.

— Można lecieć — powiedziałem machinalnie, schylała jąć głowę w wejściu, i siadłem.

— Można lecieć — odpowiedział, a raczej syknął pilot—robot.

Pocisk drgnął i skoczył w górę. Widziałem przez okrągłe przezierniki gwałtownie uciekającą Ziemię. W kabinie zrobiło się jaśniej; to słońce weszło dla mnie jeszcze raz tego dnia i majestatycznie szybowało coraz wyżej i wyżej, ale trwało to krótko, błękit nieba, jak wyżarzony, zbladł, spopielił się, szerniał i pokazały się gwiazdy. Nie chciałem na nie teraz patrzeć; złożywszy ręce na oparciu pustego fotela przede mną, siedziałem tak, nie wiem jak długo, aż rozległ się sygnał.

Podniosłem głowę.

Daleko w dole, za oknem, płonęło słońce, oślepiająca kula w aureoli kosmatych płomieni. Przed nami, w mrowiu nieruchomych gwiazd, ukazywały się kolorowe, rosnące w oczach sznury ogników. Były to boje świetlne, zawieszane spiralami wokół Gei; wyznaczały drogę jednokierunkowego ruchu dla rakiet towarowych, odrzutowców i małych, jak mój, pocisków, których całe roje uwijały się przy okręcie. Przelecieliśmy nad nim dwa razy; widocznie na lotnisku był tłok. Nareszcie przyszło radiowezwanie przybicia. Stateczek wykonał przepisową pętlę i nagle oślepiło mnie srebrne łyśnięcie — to były światła naszych własnych reflektorów, odbite w pancerzu Gei; zawieszona nieruchomo, rosła jak potworny, nadymany balon z najjaśniejszego srebra, potem jej blask ściemniał i zgasł. Zachodziliśmy już z boku; długi na kilometr prawie, rybi korpus powiększał się gwałtownie, wypełniając niebo. Nastąpił delikatny wstrząs. krótki mrok i znowu zapłonęły światła, ale już inne.

Zaledwie wysiadłem i postąpiłem kilka kroków (w pobliżu nie było żadnego człowieka), ruchome schody poczęły mnie nieść w górę. Nie dojechałem do najwyższego podestu, zszedłem w bok, na nieruchomy, podobny do galery j Id występ. Tutaj, jakieś trzy piętra pode mną, rozwierało się lotnisko towarowe. Pośród matowych pasów stali człapały, stukotały, furkotały i dmuchały kroczące ładowarki i spychacze, posuwistym, kaczym chodem przemierzając przesta pomostów nad wybiegami rakiet.

Okrągłe klapy wlotowe bez ustanku otwierały się i zamykały, jak pyski pośpiesznie oddychających ryb; ciężarowe rakiety wynurzały się z tunelów, zrzucały ładunek na taśmy bez końca, a w głębi hali pod ścianami migotały rozpryskujące się pomarańczowe, czerwone i zielone światełka sygnałów. Cały przestwór wypełniał niewyraźny, monotony, głuchy chrobot. To, że był stosunkowo nikły, zawdzięczało się jedynie pochłaniaczom hałasu, których ślimacznice wystawały z filarów i stropu.

Wsiadłem do windy. W ścianie widniał mikrofon informatora; spytałem o inżyniera Yrjölę, technicznego kierownika wyprawy. Był na dziewiątym pokładzie. Pojechałem tam. Ściany pionowego szybu, w którym poruszała się winda, tworzyło przejrzyste szkliwo, widziałem więc w czasie wznoszenia się wagoniki sunące w sąsiednich szybach, że jednak przemykały oddzielone pustymi tunelami innych, sylwety znajdujących się w nich ludzi, otoczone mleczną aureolą, zbyt były niewyraźne, abym mógł je rozpoznać. Wtem, tuż za szklaną płytą, wychylnęło oświetlone wnętrze pośpiesznej windy. Biegła, w górę szybciej niż moja. Stało w niej dwu ludzi. Jeden odwrócony był do mnie plecami, postać i twarz drugiego dostrzegłem doskonale, zastygła w jakimś geście i wyrazie niezrozumiałym wskutek migawkowości spostrzeżenia. Winda już znikła i wznosiłem się dalej sam, ale pod opuszczonymi powiekami jeszcze przez chwilę rozwiewał się obraz ujrzanego człowieka. Był to Goobar, uczestnik wyprawy, najwybitniejszy uczonej naszych czasów.

Mój wehikuł stanął. Znalazłem się we wnętrzu przestronnego korytarza. Osobliwe

spotkanie poruszyło mnie trochę i może dlatego nie chciałem od razu szukać inżyniera. Po mojej lewej ręce co kilkanaście metrów widniały wnęki drzwi, po prawej zaś ścianę stanowiła ciągnąca się, jak daleko okiem sięgnąć, szklana płyta. Padał zza niej blask jak od pochmurnego nieba. Idąc przed siebie zauważyłem, że był zmienny: to wzmagał się, to przyćmiewał. Kiedy tak szedłem myśląc, trudno powiedzieć o czym, ogarniało mnie coraz silniejsze wrażenie, że kroczę wzdłuż wielkiego lasu.

Śmieszne złudzenie — pomyślałem i zbliżyłem się do szklanej ściany.

W dole rozpościerał się olbrzymi park. Z wysokości, na której stałem, widniały korony dębów i buków, chylące się leniwie na wietrze, soczyste trawniki między żywopłotami, kwiatowe klomby, kręte alejki i jeziorka, jedne połyskujące niebem, inne ukazujące odbicia chmur, a dalej zagajniki, rozwarłe gdzieś przecinkami; zieleń jasna, prawie pisklęco żółta, przechodząca w znacznej odległości w czerni świerków stojących odosobnionymi kępami pośród morza liści. Ten lesisty pejzaż ciągnął się aż po horyzont nieba zasnutego mlecznymi obłokami. Przyłożywszy twarz do szklanej płyty, dojrzałem w głębi pode mną, w kierunku równoległym do biegu korytarza, czarnoniebieskie skały, osuwającą się po nich pienistą linię potoku i tam, gdzie krył się w dole, gromadkę cyprysów stłoczonych nad złomami cętkowanego porfiru. Pierwsze wrażenie przysło.

Panorama wideoplastyczna — pomyślałem. W tej chwili ktoś położył mi rękę na ramieniu.

Przede mną stał człowiek wysoki, szczupły, nieznacznie przygarbiony, o ciemnorudej czuprynie z twardych, w pierścionki skręcających się włosów, mocno przylegających do czaszki. Twarz miał młodą, chudą, skłoną do marszczenia się, usta szerokie o cienkich, chwytnych wargach. Uśmiechał się mnąc policzki w mnóstwo drobnych fałdek i ukazywał bardzo białe, ostre zęby. Poznałem go, zanim się odezwał.

— Jestem Yrjöla — powiedział — konstruktor. Znamy się z widzenia.

Podąłem mu rękę, którą mocno uścisnął, a potem lekko otworzył i dotknął jej wnętrza.

— Wioślarz? — spytał uśmiechając się, jeśli to było możliwe, jeszcze szerzej.

Skinałem głową.

— Z tym będzie u nas gorzej. Ale ty przecież także biegasz, doktorze, prawda?

Ten sportowy wywiad rozbawił mnie.

— Owszem — odparłem — ale obawiam się, że tam — wskazałem ręką za szybę — biegać nie można? Tam nic nie ma, prawda?

— Co znowu! — zmartwił się moim niedowiarstwem. — To prawdziwy ogród... no... może... trochę mniejszy, niż stąd się wydaje...

Znów się uśmiechał. W połyskujących oczach, w twardej, rudej czuprynie, w twarzy miał coś pociągającego; dużo w niej było szelmowskiego, może nawet chytrego humoru.

Patrzył na mnie, mrugając szybko, jakby się namyślał nad kilkoma wypowiedzianymi przeze mnie słowami.

— Doktorze — powiedział — Gea to diabelnie wielka i zawiła historia, a nasza podróż jeszcze zawiłsza. Wiesz co, zanim obejmiesz swoje królestwo, poświęć mi piętnaście minut czasu, dobrze?

Zaskoczony tym wstępem, raz jeszcze skinałem głową. Wziął mnie za ramię i poprowadził w stronę najbliższej wnęki. Zjechaliśmy windą na dół. Liczyłem kondygnacje: winda stanęła na pierwszej. Otworzyły się drzwi, naprzeciw zwisały w gęstym półmroku splecione liście powoju. Pod podeszwami zachrobotał żwir, w nozdrza uderzył świeży, jodłowy powiew. Po kilkudziesięciu krokach obejrzałem się i przystanąłem zaskoczony. Wzgórzysta, rozległa okolica rozpościerała się na wszystkie strony, jak daleko mogłem sięgnąć wzrokiem; pokryte gęstym poszyciem wzgórza, z których sterczały malownicze wapienne skałki, szły coraz dalej aż po widnokrąg, gdzie sinawymi krechami pochylały się kliny leśnych masywów.

— Doskonałe złudzenie! — wyrwało mi się. Yrjöla przyglądał mi się zaszepiony.

— Czekaj — powiedział — przyrzekłeś mi piętnaście minut. Chodźmy dalej.

Przeszliśmy płachetkę trawnika opadającego w dół; drogę zamykały krzaki kwitnącego bzu. Mój przewodnik zapuścił się bez wahania w gąszcz. Ruszyłem za nim. Krzaki urywały się nad potokiem pieniającym się w kamienistych brzegach. Yrjöla przesadził go jednym susem; poszedłem w ślad za nim. Na drugim brzegu inżynier wspiał się bez widocznego wysiłku na wielki głaz i wskazał mi ręką miejsce obok siebie.

Przez długą chwilę milczeliśmy. Wiatr zdawał się tu silniejszy, jego żywiczny zapach wzmagał chłód bijący od potoku, który rozpryskiwał się pod naszymi stopami. Na drugim brzegu, w zakolu prądu, stały majestatyczne, posępne świerki kanadyjskie, a nieco dalej ogromna północna sosna o igliwiu błękitnym i srebrnym; jej podobne do barów niedźwiedzich korzenie wiły się i znikały w szczelinach skały. Chciałem spytać, czy to jest już złudzenie. Przez cały czas usiłowałem odkryć miejsce, w którym rzeczywisty park przechodzi w miraż wideoplastyczny stworzony zręcznie ukrytą aparaturą, lecz nie mogłem dostrzec najmniejszych śladów przejścia. Złudzenie było zupełne.

— Doktorze — powiedział niegłośnie Yrjöla — nie wiem, czy słyszałeś, że jestem jednym z konstruktorów Gei? Proszę cię, nie myśl o niej jako o zespole dobrze zaprojektowanych maszyn. Pomyśl, wykreślając jej przyszłe kształty, przewidując niezbędną i użyteczność wszystkich jej urządzeń, nie planowaliśmy przecież tego, co jest jedynie ważne, tego, że Gea będzie, oprócz naszych ciał, jedyną częścią Ziemi, jaką z sobą zabieramy...

Musiałem natężyć słuch, tak cicho mówił Yrjöla. Porywy wiatru i szum kipiącej wśród głazów wody zacierały chwilami jego słowa.

— To nie jest zwykły okręt. Wzrok twój będzie napotykał jego ściany w pierwszej chwili przebudzenia, w zdrowiu, w chorobie, w odpoczynku i pracy — dzień po dniu, noc za nocą. Tak będzie przez lata. Te maszyny, te ściany metalowe, te tutaj kamienie, woda, drzewa i wiatr to będzie jedyne powietrze dla płuc, krajobraz dla oczu. Prawda, że ubogi, ciasny, zamykający, ale ziemski. To będzie nie okręt twój, ale kraj, doktorze. Twoja ojczyzna.

Pomilczał.

— Tak musi być, musi się tak stać... inaczej będzie ci bardzo ciężko. Bardzo źle i ciężko. Jeśli się nawet przeląkł, to wiem, że mi tego nie powiesz i że nie zrezygnujesz z podróży, bobyś tego nie potrafił. I dlatego od ciebie zależy, czy ta podróż — a właściwie życie — będzie najwyższą wolnością czy najcięższą koniecznością. Nie ma jeszcze piętnastu minut, ale to wszystko. Powiedziałem ci to dlatego, bo... czy mam mówić dalej, czy też życzyś sobie, żebym poszedł do wszystkich diabłów?

— Mów, Yrjöla.

76

— Widzisz, trochę się domyślam, dlaczego przybyłeś do nas sam. Nie lubisz wybierać i zawsze chciałbyś przeżyć dwie ewentualności tam, gdzie jest miejsce tylko na jedną.. Teraz jednak klniesz mnie przeraźliwie?

— Wiesz, że nie.

— To pięknie. Słuchaj, ty zwyciężyłeś Mehille?

— Cóż to ma...

— Ma. Zwyciężyłeś wszystkich, prawda?

— Tak.

— Więc daj rękę.

Podał mi dłoń; pociągnął mnie w tył. Głaz, na którym siedzieliśmy, dotykał tu następnego; spoglądając wzwyż, widziałem biegnące w górę ogromne osypisko piargów aż po szczyt rozłożystego zbocza. Srebrną zmiwką łyskał spływający żlebem strumyk. Yrjöla przybliżył moją rękę do następnego głazu. Spodziewałem się jego chropowatej, zimnej powierzchni. Jednakże palce przeszły przez kamień jak przez powietrze i zatrzymały się na płaskim metalu. Zrozumiałem. Tu właśnie biegła granica ogrodu, tu kończyły się drzewa i głazy rzeczywiste, a rozpoczynało ich wyczarowane wideoplastyką przedłużenie: dalekie lasy,

pochmurne niebo, góry nad nami... wszystko.

— A ten potok? — spytałem, wskazując na źmijkę w górze, która zdawała się początkiem burzącej się na głazach wody.

— Ten pod nami jest najprawdziwszy w świecie; możesz kapać się w nim, ile dusza zapagnie — odparł Yrjöla — a ten w górze... no cóż, zacytuję twoje słowa: „doskonałe złudzenie”.

Puścił moja rękę. Było to dość niezwykle widowisko: przedramię do łokcia pogrążone w głazie, który nie istniał naprawdę. Wzrok kłamał dotykowi.

Cofnąłem dłoń, gdy się ukazała, złudzenie wróciło do poprzedniej pełni.

Kiedyśmy już wychodzili z parku, zagadnąłem inżyniera:

— Skąd znasz mnie tak dobrze?

— Nie znam cię wcale — odparł. — Mówiłem ci dzisiaj to, co niedawno mówiłem sobie.

— A jednak wiesz o mnie... — Tak się uśmiechnął, że nie dokończyłem.

— Wiem o tobie niejedno, ale to całkiem coś innego. Muszę przecież wiedzieć; jestem panem nad maszynami, ale towarzyszem ludzi.

— Wspomniałeś przedtem o biegach. Czy tu można biegać?

— A jakże. Bieżnia otacza park. Trudno o lepszą. Będziemy biegać... i być może zwyciężysz mnie, choć nie jest to pewne... Uprawiam krótsze dystanse: trzy i pięć kilometrów.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się szelmowsko i dodał:

— Ale zwyciężysz mnie, jeżeli będziesz bardzo chciał... Zamilkliśmy. Dopiero wychodząc z windy na czwartej kondygnacji, Yrjöla odezwał się:

— Wszystko to słowa i nic więcej. Będzie trudno, tak mówimy, alboż jednak domyślamy się, co to znaczy? Wydelikaciła nas cywilizacja jak jagódki cieplarniane: pulchniśmy, rumiani, nie zahartowani dostatecznie, nie uwędzeni w dymie diabelskim!

Cóż on tak wciąż o tych diabłach — przemknęło mi przez głowę, a głośno powiedziałem:

— Nie tacyśmy znów cieplarniani, jak mówisz, a już pulchnym nazwać cię na pewno nie można.

— Wszystko jeszcze się okaże, bo przed nami. Na razie tyle: będziemy robić swoje. Prawda?

Przymknąłem twierdząco oczy, a gdy je otworzyłem, znikł już, jakby go porwał jeden z diabłów, o których wspominał.

Jakby on sam był też tylko wideoplastycznym złudzeniem — pomyślałem i myśl ta wywołała cierpki uśmiech.

Spytałem informatora o drogę i udałem się do szpitala.

Znów krótka podróż wagonikami, najpierw pionowo, potem długim, skośnym szybem pośród mlecznych i opalowych ścian. Korytarz wiodący do szpitala był węższy niż galeria nad parkiem, kremowozłoty z błękitnym malowidłem, jak gdyby na ściany padały słoneczne cienie liści. Żadnych okien. Licho wie, jak to zrobione, zwłaszcza że te cienie najwyraźniej falowały i poruszały się niby od wiatru. Sporo tu było niespodzianek. Niektóre wydawały mi się nieco zbyt teatralne jak na mój gust.

Przeznaczone mi mieszkanie obszedłem szybko; kilka niewielkich, jasnych pokoi, gabinet do pracy z oknami otwierającymi się na morze — miraż wideoplastyczny oczywiście. Pomyślałem, że będzie budzić tęsknotę tym silniejszą, iż nie dającą się zaspokoić, ale może właśnie tak trzeba.

Od sal szpitalnych dzieli moje mieszkanie rodzaj sklepionej sieni. Pośrodku, w majolikowym kuble wpuszczonym w posadzkę, stoi ciężka, czarniawa araukaria. Jej iglaste łapy wychodzą daleko w przestrzeń, jak gdyby usiłowała dotknąć przechodzącego i przypomnieć mu tak o swym istnieniu. Przez podwójne drzwi wchodzi się do małej sali. Dużo tu ściennych szafek, sterylizatory promieniste, wyciągi powietrzne, w bocznych niszach,

pociągniętych mlecznym szkliwem, mikroanalizatory chemiczne, szkło, retorty, elektryczne palniki. W następnej, większej sali — biel jeszcze bardziej nieskazitelna. Lśniące jak żywe srebro aparaty, foteliki z plastycznej porcelany i półkrygiem umieszczone wysokie okna, wychodzące na rozległą przestrzeń porośłą dojrzałym, ciężko falującym zbożem.

Pochylnia w drugim końcu sali wiedzie do wielkiej, matowej ściany ze szkła; nie wszedłem tam, domyślając się za nią właściwej sali operacyjnej. Przez mleczną tafłę przecierały się niewyraźne kształty aparatów i podobny do mostu o jednym prześle — stół chirurgiczny.

Zbliżając się do drzwi następnych, usłyszałem za nimi kroki — kobiece niewątpliwie, gdyż były drobne i lekkie. Znieruchomiałem. Szalona myśl: tam jest Anna! — Natychmiast powściągnąłem ją i wszedłem. Przy wielkim oknie stała tyłem obrócona do mnie kobieta w bieli. Za jej plecami ciągnęły się rzędem śnieżne łóżka, porozdzielane sięgającymi stropu płytami szafirowego opalu. Była wzrostu Anny, bardzo młoda; jej ciemne włosy zwijały się w pukle. To, że nie odwróciła się na odgłos mych kroków, powtórnie rozpałiło nadzieję; drugi raz nie mogłem jej już zdusić, nie miałem siły.

— Anno... — szepnąłem samymi ustami.

Nie mogła usłyszeć, jestem tego pewny, lecz spojrzała w moją stronę. To była obca dziewczyna, nie Anna. Piękniejsza od Anny. Ale ja, idąc ku niej, szukałem jeszcze w tej nieznanej twarzy rysów tamtej, jakbym usiłował marzeniem przekształcić rzeczywistość.

— Jesteś lekarzem? — spytała, oparta nieruchomo o parapet okna.

— Tak.

— Będziemy kolegami — powiedziała. — Nazywam się Anna Ruys.

Drgnąłem i spojrzałem na nią bacznie. Nonsens. Oczywiście nic nie wiedziała. Alboż to jedna tylko kobieta na świecie nosi to imię?

Uśmiechnęła się i zmarszczyła jednocześnie, źle zrozumiawszy moje krótkie zamilknięcie.

— Jesteś zaskoczony, doktorze?

— Nie... to jest... nie, nie — powiedziałem, maskując zmieszanie uśmiechem. — Po prostu wyobraziłem sobie, że nazwisko twoje, bo słyszałem tylko nazwisko, oznacza mężczyznę.

Pomilczeliśmy chwilę.

— Nie mamy tu na razie nic do roboty, prawda?

— Nie — powiedziała, jakby trochę dziewczynkowato niepewna. Podeszła do łóżka i zamyśliwszy się nagle czy zapatrzwszy, wygładzała nie istniejące zmarszczki pościeli.

— No cóż, jeśli nie ma roboty, to... możemy sobie tylko życzyć, żeby tak dalej było — powiedziałem.

Znowu zamilkliśmy oboje; przez krótką chwilę wsłuchiwałem się w głęboką ciszę, jaka zdawała się panować na całym statku, wspomniałem jednak pełną ruchu halę lotniska. A więc to tylko dobra izolacja dźwiękowa.

— Kierownikiem szpitala jest profesor Schrey, prawda? — spytałem.

— Tak — odparła, rada, że znalazł się wreszcie dość obiecujący temat rozmowy. — Ale nie ma go na statku, poleciał na Ziemię. Dziś wieczorem wraca, mówiłam z nim przed paroma chwilami.

Skądś, jakby z niesłychanych wysokości, dobiegł cieniutki, szklany dźwięk, przelewający się jak ćwierkanie mechanicznego ptaka.

— Obiad! — wykrzyknęła moja towarzyszka radośnie i równocześnie zrozumiałem jej wyczekujące zaszuchanie sprzed chwili.

Widać nudzi się... już teraz! — przemknęło mi przez głowę.

Była moją przewodniczką w labiryncie korytarzy, gdyż przebywała na Gei już od tygodnia. Droga wiodła bardzo rozległymi ruchomymi schodami. Przeniosły nas ponad szklistym stropem centralnego parku. Zauważyłem, że jego „niebo” było, jeśli patrzeć z góry, całkiem

przezroczyste. W dole rozpościerały się zalesione wzgórza, widziane niby z nisko szybującego samolotu.

W przedśionku sali jadalnej dostrzegłem znajomą twarz; był to Ter Haar, historyk, którego poznałem przelotnie kilka miesięcy przedtem. Utkwił mi w pamięci dla zabawnego wydarzenia. Na przyjęciu u profesora Muracha miał za sąsiadkę siedmioletnią córeczkę jednego z gości. Usiłował ją bawić i doprowadził do tego, że mała w pewnej chwili rozszlochała się niepowstrzymanie, aż matka musiała ją wyprowadzić. Jak się okazało, historyk opowiedział dziecku, że w dawnych czasach ludzie zabijali zwierzęta, by je zjadać. Kiedyśmy zostali potem sami w ogrodzie, Ter Haar wyjawiał mi z pełną rozbijającą powagą szczerością, jak bardzo onieśmielają go dzieci. „Po pięciu minutach rozmowy — powiedział wciąż jeszcze zmieszany — zaczynam się pocić z wytężenia, szukając tematów, i w efekcie kończy się to tak jak dziś...”

Teraz na widok jego masywnej, niedźwiedziej postaci uśmiechnąłem się, jakbym ujrzał starego znajomego. On także mnie poznał i pociągnął nas z Anną do stolika w głębi sali. Siedział tam już wysoki mężczyzna, był to Ter Akonian, kierownik wyprawy.

Kiedy obsługujący automat zbliżył się i wydobywając ze swego kryształowego wnętrza ogrzane potrawy nakładał je sprawnie na talerze, sponad błysków zastawy przypatrywałem się ciekawie sędziwemu astrogatorowi. Głowę miał kościstą i wielką. W krótko przyszyżonej brodzie czerń włosów mieniła się błękitnawo, niczym stal bardzo starej, hartowanej klingi.

Może stąd — pomyślałem — pochodzi jego przydomek „stalowego astrogatora”.

Sala zappełniała się. Na cytrynowych ścianach, ujętych w bladossrebrne ramy, widniały malowidła przedstawiające sceny z życia średniowiecznych miast. Strop był jakby wykrystalizowany z ogromnego bloku lodu. Chwiejne światło świec płonących na stolikach rozszczepiało się w jego diamentowych rozetach i zalewało nas powodzią ruchliwego blasku.

Ter Akonian spytał, czy jestem zadowolony z mieszkania. Podniósł przy tym głowę i w jego twarzy, przywodzącej na myśl ciemne, posępne góry Kaukazu, który go wydał, zabłysły nieoczekiwanie oczy dzieciennie błękitne.

— Jeśli pragniesz zmienić mieszkanie, nasi architekci stoją do twojej dyspozycji — podjął astrogator, który opacznie zrozumiał moje milczenie. Powiedziałem, że mieszkanie bardzo mi się podoba. Annie Ruys zachciało się naraz wina palmowego; znała je z Malajów, gdzie przebywała przez dłuższy czas, i zachęcała mnie, bym go spróbował. Automat znikł i powrócił natychmiast, wyczarowawszy dwie butelki. Wtem ze strumienia ludzi idących głównym przejściem wyszły w naszą stronę trzy osoby: Yrjöla, podobny do niego chłopiec lat może czternastu i ciemnowłosa kobieta. Z daleka wydało mi się, że jest w średnim wieku, ale im była bliżej, tym bardziej jakby młodziła. Poznałem cenioną rzeźbiarkę, Soledad. Chłopiec, podchodząc do naszego stolika, szurgnął energicznie nogami, a Yrjöla ozwał się zza jego pleców:

— To Nils, syn mój, doktorze...

Usiedli. Nils Yrjöla przyjrzał mi się bacznie. Miał zwyczaj przeszywania oczami sąsiadów, jak gdyby stanowili zagadki prowokujące do natychmiastowego rozwiązania. Siedząca obok niego rzeźbiarka wyglądała chwilami niemal jak jego rówieśnica; w jej drobnej twarzy dostrzegało się tylko ciemne, duże wargi z połyskliwymi zębami. Oczy miała przymrużone, nagie ramiona chude były jak u dziewczynki, ale pamiętałem twardy, odważny uścisk jej palców. Włosy, spięte w tyle głowy, wiązała wstążką. Czasem potrząsała nimi, jakby — zniecierpliwiona tym atrybutem kobiecości — chciała się od nich uwolnić.

Obiad zapowiadał się niebywale. W rubinowej ramce świecił sążnisty spis potraw, a karta win przypominała starożytną książkę; można by ją studiować godzinami. Na stole tyle było złotych, granatowych i zielonych naczynek, czarek, miseczek, że zdumiewało mnie, jak mieszczą się wszystkie na niewielkiej sześciokątnej płycie. Anna Ruys, której profil białł po

mojej prawicy na tle wklęsłego, kryształowego szlif, jadła smacznie, robiąc do każdego kęsa trochę okrągłe oczy. Gdy przyszło do pieczystego, spojrzęła badawczo w najbliższą lustrzaną płytę i ruchem właściwym kobietom od niepamiętnych czasów poprawiła włosy. Rozmowa w czasie obiadu była chwiejna i wątpliwa, gdyż niezmierna ilość i zawilgość potraw zmuszała do skupienia. W złocie i szklach zastawy poruszały się szeregi płomyczków.

Wykwint obiadu dziwił mnie i nawet nieco niecierpliwił, milczałem jednak, sądząc, że trzeba się stosować do okrętowych zwyczajów, ale Ter Haar pierwszy nie wytrzymał.

— Uff! — powiedział. — Przedobrzyli! To ma niby znaczyć „czym chata bogata”, ale człowiek się tu przecież umęczy!

Roześmieliśmy się. Od razu nastrój stał się bezpośredni. Teraz jednocześnie Anna i ja ośmieliliśmy się odmówić automatowi, który chciał nam nałożyć jeszcze jedną potrawę. Rozprawialiśmy z żywieniem o robotach nad nawodnieniem pustyni Marsa. Tylko Soledad przez cały czas obiadu była nieobecna duchem. Dwa razy spadł jej widelec, po który nieco na oślep sięgała pod stół, zagrażając całej zastawie, i wynurzała się zdziwiona, gdyż automat, zawsze bystrzejszy, usuwał te ślady roztargnienia i już przy jej talerzu świecił nowy komplet sztućców. Nareszcie, gdy podano mrożony mus pomarańczowy, zdawała się budzić. Wszyscy zamilkli, a Soledad, mrugając długorzęsyimi powiekami, zwróciła się do obsługującego automatu i spytała:

— Czy można dostać starą bułkę?

Gdy ją dostała, poczęła skubać, maczać w kieliszku i spożywać takimi okruszynami, jakby żywiła ptaszka.

Ter Haar, nachylając się ku mnie, szepnął konfidencko:

— Jak ci się podoba ten fresk tam, na ścianie?

Wskazał go widelcem. Zwróciłem się w tę stronę. Malowidło przedstawiało ulicę średniowiecznego miasta. Stały nad nią dziwaczne domy z oknami przeciętymi krzyżem, o dachach spiczastych jak błazeńska czapka; pod nimi szli ludzie, a środkiem po żelaznych szynach jechał błękitny pojazd. Za przednią szybą stał kierowca w białej peruce, odziany w suto szamerowany, pawi kolet; na głowie miał trójkątny pieróg ze strusim piórem, a wokół szyi rurkowany, koronkowy kołnierz. Mocno na korbie osadzoną dłonią prowadził swój przedpotopowy wehikuł wypełniony ludźmi, których twarze wychylały się za nim z okien.

Nie bardzo wiedziałem, co tak śmieszy Ter Haara, który chichotał cichutko i mrugał do mnie porozumiewawczo, jak psotny chłopak.

— No, jak ci się podoba? — powtórzył.

Starłem się znaleźć jakiś błąd, anachronizm, gdyż o to na pewno szło historykowi. Przypuszczałem, że jak każdy specjalista, uczulony jest na ignorancję innych w kwestiach swego fachu.

— Zdaje mi się — powiedziałem ociągając się — że chodzi o okna... Okna z takim krzyżem były tylko w domach tych, no, które poświęcano obrzędowi religijnemu, nieprawdaż? Bo krzyż był...

Ter Haar patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami, poczerwieniał i wybuchnął śmiechem tak głośnym, że ja z kolei poczułem rumieniec.

— Ależ co ty mówisz, człowieku kochany! Okna są dobre, ten krzyż nie ma nic wspólnego z religijnym! Jak to, nie widzisz? Przecież to jest elektryczny wóz szynowy, tak zwany „tramwaj”, więc rzecz dzieje się gdzieś na przełomie XIX i XX wieku, a motorniczy i pasażerowie są ubrani jak szlachta na dworze królów francuskich!

— Więc artysta pomylił się o sto lat. Czy to znów takie ważne? — wystąpiła w mojej obronie Anna. — Stroje zmieniały się wtedy niemal co chwila... pamiętam, oglądałam takie widowisko... Więc czy mieli kurty z szamerowaniem, czy bez, jasną perukę czy ciemną...

Ter Haar przestał się śmiać.

— No — powiedział — dajmy temu pokój. To moja wina. Za każdym razem myślę, że to

niemożliwe — ale, niestety, wy wszyscy jesteście tak zupełnymi, tak niesłychanymi ignorantami w dziedzinie historii...

Stuknął widelcem w stół.

— Ależ, profesorze — powiedziałem — pozwól... któż z nas nie zna praw rozwoju społecznego?

— To nagi szkielet, nic więcej! — przerwał mi. — Tyle właśnie wynosicie ze szkół! Nie zdradzacie najmniejszego zainteresowania tym, jak starożytni żyli, jak pracowali, jakie piastowali marzenia...

W tej chwili ktoś wstał w głębi i spytał, czy obecni nic nie mają przeciw lekkiemu utworowi muzycznemu. Zaprzeczono chóralnie i zaraz popłynęła przytłumiona melodia. Ter Haar milczał już do końca obiadu. Sala pustoszała; wstali i moi współbiedniacy. Skłoniwszy się, wyszedłem z doktor Ruys, z Anną, jak już ją nazywałem. Musiałem początkowo przemagać w sobie jakiś opór, by mówić jej po imieniu, ale rychło znikł. Zabrała się energicznie do oprowadzania mnie po statku.

Okręt miał jedenaście piętér; idąc od przodu ku tyłowi, zwiedziliśmy najpierw małe obserwatorium dziobowe, za nim — rozparte w pięciu kondygnacjach — główne obserwatorium astrofizyczne z najsilniejszym teleskopem Gei, dalej centrale nawigacyjne i umieszczone ponad nimi nastawnie automatów sterujących, ułożone w dwu grupach: zespół pierwszy czynny był w czasie żeglugi wielką mocą, drugi zaś zastępował go, kiedy okręt wpływał w pobliże ciał niebieskich. Zjechaliśmy potem do hali lotnisk dennych i hangarów statków własnych Gei, obejrzelśmy hale sportowe, ogród dzieci, pływalnię, filharmonię, sale wideoplastyki i wypoczynkowe. U końca tego poziomu mieścił się nasz szpital. Tam gdzie przestrzeń mieszkalna przytykała do grodzi atomowych, zajmujących całą rufę, wznosił się potężny mur pancernej zapory przeciwpromienistej. Stamtąd wzniesiliśmy się windami na górę i obeszliliśmy kolejno jedenaście laboratoriów; przy dwunastym miałem już dość. Anna, widząc, jak zachwyty mój przemienia się w zmęczenie, zafrasowała się, wetknęła nawet mały palec do ust, ale pod moim spojrzeniem zaraz go wyjęła i zawołała radośnie:

— Już wiem, gdzie pójdziemy! Kolega nie był jeszcze na pokładzie spacerowym?!

Zaprzeczyłem. Uradowana, triumfalnie wzięła mnie pod rękę i poprowadziła.

U końca szerokiego korytarza widniała matowa, srebrna zasłona z mięsistego materiału. Rozchyliliśmy ją i ze sztucznego światła wpadliśmy w najgłębszą czerń.

Długą chwilę nie widziałem nic; nareszcie oczy z wolna poczęły przywykać do ciemności. Znajdowaliśmy się w przelocie korytarza tak przestronnego, że można by go nazwać salą, gdyby nie jego niezwykła długość; co kilkadziesiąt kroków w ścianie znajdowały się drzwi oznaczone fosforyzującą, bladą strzałką; aleja tych żółtych kresek, jak gdyby zawieszonych w powietrzu niczym korowód świetlików, biegła tak daleko, że ostatnie zlewały się w mżącą nitkę. Gdy oderwałem wzrok od tych światełek i spojrzałem w przeciwległą stronę korytarza, a raczej pokładu, wydało mi się zrazu, że tam nic nie ma, ale w następnej sekundzie drgnąłem pojawiając się, jak bardzo się omyliłem. Tam rozwierała się otchłań.

Ruszyłem ku rozgwieżdżonemu przestworowi ostrożnie, jakby w obawie, że pokład nagle się skończy i runę głową naprzód w przepaść bez dna, ale w pewnej chwili wyciągnięta dłoń dotknęła chłodnej płyty, która zamykała dalszą drogę.

Zaczyinałem rozróżniać konstelacje. Nieco w dole rozchodziły się rozstaje Drogi Mlecznej. Tlało tam wiele miliardów nikłych iskier; w kilku miejscach na tym bladym tle jakby dopalającego się żarzenia widniały czarne wyrwy, cienie mrocznych obłoków kosmicznych. Nie od razu spostrzegłem, że wzrok mój, utkwiony w Drodze Mlecznej, podnosi się, że gwiazdy się poruszają, aż nagle z głębi galerii, w której staliśmy, u samego jej końca zajaśniał trójkąt intensywnego srebra. Spojrzałem w tamtą stronę. Klin światła szybko się rozszerzał, zalewając coraz większą przestrzeń i gasząc fosforyczne strzałki na drzwiach, aż w jednym mgnieniu zalał nas blask księżycowej pełni. Spojrzałem w niebo. Księżyc świecił z dołu,

wypukły, cętkowany gęsto kraterami, ogromny jak srebrny, robaczywy owoc. Zaćmiewał najbliższe gwiazdy i płynął leniwie, a cienie w galerii bezszelestnie kładły się w drugą stronę, stawały się coraz bardziej skośne, żeglowały widmowo po ścianach i stropie, wichrowały się, aż Księżyc odpłynął do drugiego bieguna Gei i znikł równie nagle, jak się pojawił. Nie było w tym wszystkim nic dziwnego, gdyż okręt wirował wokół swej podłużnej osi, wytwarzając sztuczne pole ciężenia.

Gdy Księżyc zaszedł za rufę statku, mrok znowu opadł między nas. Anna chwyciła nagle moją rękę gorącą, drobną dłonią i skierowała mnie w przeciwną stronę, szepcząc:

— Patrz... patrz... Ziemia zaraz wездzie...

Ziemia pojawiła się wśród gwiazd błękitną, mglistą kulą, w trzech czwartych pochłoniętą przez noc. Światło jej wielkiego sierpa łagodniejsze było od księżycowego, niebieskie, z nieuchwytną domieszką zieleni. Kontury lądów i mórz pojawiały się w przerwach chmur rozmazane, jakby nad—myte. Nad jej północnym, niewidzialnym, bo odchylnym od słońca biegunem płonął jaskrawy punkt — to była własna gwiazda Ziemi, północne słońce atomowe. Znowu cienie i światła sunęły galerią, znowu wyginały się, wydłużały, kładły, ostatni blask uciekał w górę pokładu, coraz dalszy, i znowu nastąpiła ciemność.

— Widziałeś? — jak dziecko szepnęła moja towarzysząca.

Nie odpowiedziałem. Znałem ten widok dobrze; któż z nas choć kilka razy w ciągu roku nie wznosi się (w swych sprawach) wysoko, by podróżować przez próżnię, ale to były podróże krótkie, mierzone dniami, rzadko tygodniami, można się było domyślić wszystkiego, co będzie oczekiwać przy powrocie, teraz jednak Ziemia wydała mi się niedostępna, dziwnie daleka... i kiedy młoda dziewczyna tuż przy mnie, przycisnąwszy twarz i czoło do zimnych tafli, szeptała: — Jakie śliczne... — poczułem się, po raz pierwszy od dawna, samotny.

Dziecko — pomyślałem.

W ciemności, która ogarnęła nas po zachodzie Ziemi, sunęły wolno gwiazdowe chmury, wznosząc się ruchem dziwnie przykuwającym oczy, dziwnie obiecującym, jakby się wraz z nimi podnosiły majestatyczne, cętkowane srebrnymi iskrami ciemności, niby zasłony mające ukazać coś niewiadomego — lecz zbyt dobrze znałem to złudzenie...

Potem spacerowaliśmy przez czas jakiś po pokładzie i na przemian z głuchym mrokiem przebiegały po nas strefy światła, raz ostrej bieli księżycowej, raz ziemskiego błękitu, z wpływającymi między nie długimi interwałami mroku, i było to jakby się nad nami związało i rozwijało gigantyczne skrzydło.

Anna opowiadała mi o sobie. Była na Gei z ojcem, znanym kompozytorem. Teraz właśnie wykonywano w filharmonii jego szóstą symfonię. Zdziwiło mnie, że Anna nie zaproponowała nawet, byśmy jej wysłuchali.

— Ach, znam ją tak dobrze... A czy ojciec ogląda wszystkie moje operacje? — powiedziała tak poważnie, że przez chwilę nie byłem pewny, czy to żart. Ostatecznie jednak pojechaliśmy na koncert. Gdyśmy się zbliżali do westybulu wyłożonego płytami chryzoprasu, zagrzmiwały najwyższe, zwieńczające melodię tony finału i niebawem słuchacze zaczęli wysypywać się z sali, zstępując w dół po schodach; leniwym łukiem owijały się one wokół monumentalnej bryły naturalnego wulkanitu i białą, niknącą w półcieniu spiralą dochodziły do żywoplotów, które z tej strony wysyłał im na spotkanie centralny park Gei.

Staliśmy na półpiętrze, niezdecydowani, co robić, zdawało mi się, że dziewczyna ma dość mego niewątpliwie nazbyt milczącego towarzystwa, choć dzielnie pełniła rolę przewodniczki i wskazywała mi dyskretnymi ruchami głowy i oczu przechodzących, wymieniając ich nazwiska. Najwięcej chyba było tu astronomów i fizyków; technicy reprezentowani byli skąpo; ani jednego mechaneurysty.

— Za mechaneurystów wszystko robią ich automaty, mogą więc też słuchać za nich koncertów — powiedziała Anna i długo śmiała się z własnego dowcipu, ale śmiech zakończyło nie dość dobrze zamaskowane ziewnięcie. To był już znak zupełnie

niedwuznaczny, więc pożegnałem ją, życząc dobrej nocy. Zbiegła w dół; w półmroku odwróciła się i raz jeszcze kiwnęła mi ręką.

Wciąż stałem na podeście; wzrok błędził pośród ciemnych i jasnych głów, zatrzymywał się na sylwetkach kobiet; ludzi szło coraz mniej, jeszcze jedna i druga trójka, potem jakaś zapóźniona para... Już zbierałem się do odejścia, gdy w szerokim, kolumnami obramionym portalu ukazała się samotna kobieta.

Była to wielka, dziwna uroda. Owalna twarz, niskie łuki brwi, ciemne oczy i niezmacone, pogodne, wypukłe czoło, a wszystko to jeszcze jakby nie ustalone, niczym świt letniego dnia. Skończone, sformowane, chciałoby się powiedzieć: ostateczne, były tylko jej usta, jak gdyby znacznie dojrzsze od twarzy. W wyrazie ich było coś takiego, co budziło zarazem radość i niedosyt. Coś bardzo śpiewnego, lekkiego, a przecież tak ziemskiego. Udzielała swego piękna wszystkiemu, do czego się zbliżała. Gdy doszła do początku schodów, położyła białą dłoń na chropawym złomie wulkanitu i wydawało się, że ten martwy gład ożył na mgnienie. Szła ku mnie. Ciężkie, wpółrozpuszczone włosy mieniły się wszystkimi odcieniami brązu, który pod światło błyskał złotem. Gdy była tuż, zdziwiłem się, że jest taka niewielka; policzki miała gładkie, ścisłe, z lekka trójkątne, podbródek z dziecinnym dołkiem. Mijając mnie, spojrzała mi w oczy i wtedy ścięgnięta jej szyi wystąpiły jak struny delikatnego instrumentu.

— Sam? — spytała.

— Sam — potwierdziłem i wymieniłem nazwisko. — Callarla — powiedziała. — Jestem biofizykiem.

Nazwisko to było mi znane, lecz nie pamiętałem skąd. Staliśmy tak może sekundę, która wydała mi się wiecznością. Potem skinęła mi głową i ze słowami: „dobranoc, doktorze” — poczęła schodzić w dół. Nie widziałem ruchu jej nóg pod opadającą aż do stóp suknią, tylko lekkie falowanie. Patrzałem jeszcze, jak schodzi, a raczej spływa w dół, wiotka i smukła. Przeciągnąłem ręką po twarzy i w taki dopiero sposób przekonałem się, że się uśmiecham. Uśmiech zgasł. W twarzy tej kobiety — uświadomiłem to sobie teraz — było coś bolesnego. To było bardzo drobne i może wśród ludzi niedostrzegalne, ale było na pewno. Taką twarz może mieć ktoś, kto ukrywa przed ukochanym cierpienie, i to ukrywa dobrze; jedynie zupełnie obcy człowiek może je spostrzec, i to tylko w pierwszym widzeniu, gdyż potem, przywyknąwszy, zaniewidzi.

Trudno — pomyślałem. — Każdy z tych kilkuset ludzi, którzy udają się teraz na spoczynek w wygodnych apartamentach Geł, bierze w podróż do gwiazd wszystkie swoje ziemskie sprawy; nie sposób ich przecież strząsnąć przed wyruszeniem w otchłań, tak jak strząsnęliśmy z obuwia proch Ziemi.

OGRÓD PRÓŻNI

Nazajutrz o jedenastej czasu ziemskiego miał się rozpocząć pierwszy samodzielny lot Gei. W podkowiastej sali sterowni zgromadziło się bodaj trzy czwarte załogi, oczekując uroczystej chwili.

Astrogatorzy, Ter Akonian, Songgram, Grotrian i Pendergast, naczelnicy konstruktorzy, Yrjöla i Uteneut, atomiści, mechanicy, inżynierowie i technicy przechodzili kolejno od jednego aparatu do drugiego; kontrolne lampki, jak gdyby odpowiadając na stawiane pytania, mrugały twierdząco. Pod przednią ścianą sterowni, całą z jednej płyty polerowanego synklitu, stał na wzniesieniu główny pulpit rozrządczy. Po zakończeniu przygotowań astrogatorzy usunęli zeń pokrywę ochronną i oczom naszym ukazała się mała, czarna dźwigenka rozruchowa, której nie tknęła jeszcze niczyja dłoń. Przełożyć miał ją Goobar. Czekaliśmy go z minuty na minutę, minęła jednak jedenasta, a uczonego się nie zjawiał. Wśród astrogatorów zapanowała mała konsternacja; zbliżali głowy, porozumiewali się szeptem, nareszcie najstarszy, Ter Akonian, połączył się z pracownią profesora.

Po chwili rozmowy starzec, przykrywając dłonią otwór mikrofonu, powiedział niegłośnie do otaczających go astrogatorów:

— Zapomniał...

Słowo to, podawane z ust do ust, spowodowało lekki szmer, który rozszedł się po całej sali. Ter Akonian coś mówił, tak jednak cicho, że choć stałem w jednym z pierwszych rzędów, niczego nie mogłem usłyszeć. Odłożywszy słuchawkę, pierwszy astrogator pogładził brodę i powiedział:

— Trochę cierpliwości. On ma jakiś pomysł i musi go naszkicować. Przyjdzie za pięć minut.

Czekaliśmy nie pięć, lecz piętnaście minut. Nareszcie szklana płyta szybu zajaśniała, drzwi otworzyły się i wszedł, a raczej wbiegł Goobar. Usiłował najwidoczniej nadrobić zawinione przez siebie opóźnienie. Ujrawszy tylu ludzi, którzy rozstępowali się przed nim szeroko, skłonił się, jakby zdziwiony tak licznym zgromadzeniem, i ruszył prosto do astrogatorów, mrugając oczami. Zepsuł cały porządek uroczystości, bo zanim Ter Akonian zdążył powiedzieć choć słowo (a po wyrazie jego twarzy i po tym, jak przyglądał brodę, domyśliłem się, że miał przemawiać), Goobar wszedł po trzech stopniach na wzniesienie, spytał najbliższej stojącej Yrjöle: — Czy to? — i pośpiesznie przełożył rękojeść.

Wszystkie światła hali zaczęły wówczas niknąć, wygaszone, za to w ścianach zapłonęły długimi rzędami biegnące prostokąty; w każdym takim okienku drgała na barwnym tle czarna igła; nad nami ozwało się cichutkie brzęczenie automatów, potem przez konstrukcję przeszło nieznaczące drgnienie i czołowa ściana rozwarła się, ukazując czeluść próżni, obłoki gwiazd i — na pierwszym planie — świetlny model Gei, jak płonący szkielet ryby wycelowany w mrok. W miarę jak prądy, wysyłane przez zespoły automatów sterujących, uruchamiały wzbudnice, pędnie, grupy reaktorów wodorohelowych i główne układy wyrzutowo—wylotowe, jednostajny różowy blask obejmował tysiączne nici przewodów w głębi modelu.

Goobar, którego ciemna sylwetka wyraźnie rysowała się na tle rozgwieźdzonego nieba, zszedł na dół i wycofał się w bok, pochrzäkując, jakby myślał: „Co też narobiłem najlepszego”. Gdy boczne światła zapełgały mocniej, próżno wszyscy rozglądali się za profesorem; wielki uczonego znikł, umknąwszy zapewne najbliższą windą do swej pracowni.

Tymczasem Yrjöla i Ter Akonian zajęli jego miejsce przy pulpicie. Majestatycznie, bez najlżejszego wstrząsu czy drżenia Gea schodziła z orbity, jaką opisywała pokornie wokół Ziemi od chwili swych narodzin. Szeroko rzuconą ewolucją parła pod prąd grawitacji. Jak o tym świadczył oświetlony model, z jej wylotów, na razie tylko systemu osiowego, wypływał równy strumień gazów atomowych. Okręt rozpoczął ewolucje w przestrzeni. Pomyślałem, że

lepiej jeszcze będzie je widać z pokładów spacerowych, i skierowałem się do windy, nie ja jeden zresztą, gdyż odpływ ciekawych był masowy.

Zdawało się, że w galerii jest niewielu ludzi; wrażenie to powodowała jej przestronność; każdy pokład spacerowy ma 550 metrów długości, że zaś są dwa, gdyby się wszyscy członkowie załogi ustawili rzędem, staliby o pięć metrów jeden od drugiego.

Gea rozpędzała się, stawiała, zataczała koła w lewo i w prawo, wznosiła się i opadała, to znowu poczynała sunąć po spirali coraz ciaśniejszej; wszystkie te ruchy, raz płynne, raz ostre, były ledwo wyczuwalne i tylko niebo kołowało w najdziwaczniejszy sposób, niekiedy tak szybko, że gwiazdy zmieniały się w płonące wiry, a wśród nich mknęły, niczym gorejące żagwie, rtęciowy Księżyc i błękitna Ziemia. Po kilkunastu minutach poczułem zawrót głowy od tych „gwiazdotrysków” i „gwiazdospadów”, usiadłem więc na ławce, plecami zwrócony do widoku, i przymknąłem oczy. Kiedy je otwarłem, niebo było zupełnie nieruchome. To mnie zdziwiło, gdyż odczuwałem ciężenie, jak gdyby statek nadal wirował wokół podłużnej osi. Zagadnięty inżynier Uteneut wyjaśnił mi, że Gea obraca się w samej rzeczy, lecz „oczy” telewizorów, odbierających widok przestrzeni, wirują teraz w stronę przeciwną, zachowując w ten sposób nieruchomość w stosunku do gwiazd.

— Ach, więc my nie widzimy bezpośrednio nieba przez te szklane ściany — rzekłem. — A ja myślałem, że one są rzeczywistym, gigantycznym oknem!

W tej chwili rozległy się okrzyki patrzących. Wstałem i spojrzałem w czarną głąb. Tak daleko w dole, że twarz trzeba było przycisnąć do zimnej płyty, aby cokolwiek dojrzeć, nad otchłanią gwiazd drżały drobne, kolorowe światełka — różowe i zielone. Pomiedzy nimi uwijały się zwawo zgrabne kształty, jak srebrne płatki w czarnej wodzie.

Przelatywaliśmy właśnie nad dziecięcym parkiem próżni. Umyślnie czy też przypadkowo Gea zatrzymała się i zaczęła nawet wolno się obniżać. Ziemia została za naszą rufą, tak że jej blask nie przeszkadzał w swobodnym oglądaniu widoku, jaki roztaczał się w dole. Nie bez wzruszenia poznawałem tak dobrze od dzieciństwa znany model naszego układu słonecznego, zawieszony w przestrzeni. Słońce udawała wielka, złotym blaskiem płonąca kula; niedaleko od niej toczył się wulkaniczny Merkury, dalej biegła śnieżnobiała Wenus, Ziemia i pomarańczoworudy Mars. W głębi krążyły leniwie modele wielkich globów: pasiastego Jupitera, Saturna w otoku pierścieni i czterech lodowych planet ciemności — Urana, Neptuna, Plutona i Cerbera. Właśnie w „ulice” parku, wytrasowane gęsto zawieszonymi bojami świetlnymi, wpływały astrokary, wiozące wycieczki dziecięce; powodowane sterami, zdławiwszy motory, płynęły posłusznie kanałami o barwnych brzegach, wyznaczonych przez długie naszyjniki świateł kierunkowych, omijając Słońce (które buchało prawdziwymi płomieniami), i zbliżały się po kolei do planet. Zwinnie opłynęły Merkurego i podchodziły do modelu Ziemi. W pewnej od niego odległości, gdy rozmiarami dorównywał pozornej średnicy prawdziwej Ziemi, trudno było, patrząc ze statku, odróżnić ojczyzną naszą planetę od tego szklanego globusa dwudziestometrowej średnicy, oświetlonego od wewnątrz błękitnymi jarzeniówkami — tak wielkie było podobieństwo. Zdawało mi się, że słyszę chóralne okrzyki podziwu i zdumienia, jakimi dzieci zawsze omal nie rozsadały astrokaru na widok tego cudownego powstania „bliźnięcia” Ziemi. Próbowałem odszukać wzrokiem modele Jupitera i Saturna, lecz toczyły się w mrokach zbyt daleko.

Gea długo wisiła nad parkiem próżni i zacząłem się zastanawiać, czy nie jest uszkodzona, potem jednak pomyślałem, że nasi astrogatorzy też byli przecież kiedyś dziećmi.

Rankiem trzeciego dnia pobytu na Gei, zajrzawszy do pustego szpitala i pokręciwszy się po sali operacyjnej, wsiałem do windy i pojechałem na piąty pokład, noszący nieoficjalną, lecz używaną powszechnie nazwę „miasta”. Jest to system pięciu prostych, równoległych korytarzy schodzących się końcami w dwu wielkich salach. Ta, do której zaniósł mnie winda, była półokrągła, z kwietnikiem i białym, marmurowym posągami pośrodku; w łuku

biegnącej ścianie otwierały się ujścia pięciu korytarzy, tak prawie przestronnych jak ulice. Każdy rozjaśniało światło innego koloru; środkiem biegł wąski kwietnik, a na ścianach były z fantazją wymalowane fasady wymaginowanych domków; tam gdzie malowany dom miał bramę wejściową, znajdowały się prawdziwe drzwi wiodące do mieszkania. Wszedłem w głąb korytarza oświetlonego cytrynowymi lampami. Chciałem już zawrócić, znudzony bezcelową wędrówką, gdy w oddali dostrzegłem znajomą, krępą postać Ter Haara. Obaj ucieszyliśmy się ze spotkania.

— Zwiedzasz Geę? — powiedział. — Doskonale! Wiesz, jak się nazywały ulice w starożytnych miastach? Nazwy ich pochodziły od zawodu mieszkańców, więc na przykład Garncarska, Szewska, Kowalska... Masz tu ten stary obyczaj w nowej postaci: jesteśmy na ulicy Fizyków; gdybyśmy wrócili tam, na tę salę, zobaczyłbyś inne: zieloną — Biologów, różową — Mechaneurystów...

— Po co te kolory? — spytałem. — Jakies karnawałowe...

— Dla ułatwienia orientacji i urozmaicenia. No, to już nie zabłądzisz w naszym mieście; teraz musisz poznać ludzi; z tym dłuższa historia...

Stał na lekko rozstawionych nogach i pocierał palcami podbródek.

— Nad czym myślisz? — spytałem.

— Zastanawiam się, dokąd najpierw pójdziemy. Wziął mnie pod rękę. Przeszliśmy kilkadziesiąt kroków

i stanęliśmy przed wymalowanym na ścianie domkiem o słomianym dachu, na którym siedział w gnieździe również wymalowany bocian i patrzył na nas przekrzywiając zabawnie głowę.

— Tu mieszka Rudelik — rzekł Ter Haar przystając. — Chciałbym, żebyś go poznał bliżej. Warto.

— Ten?...

— Tak, ten znakomity, od fizyki atomowej. Pozwól. Otworzył drzwi. Ukazał się mały przedsiomek, na jego

końcu drugie drzwi. Historyk przepuścił mnie. Wszedłem pierwszy i zaraz się zatrzymałem, bo otoczyła mnie ciemność. Popchnięty lekko przez towarzysza, postąpiłem jeszcze krok i stanąłem zdumiony.

Tuż przede mną, na czarnym jak smoła, obsypanym gwiazdami niebie wznosił się pionowy zwał grani skalnej, na przemian pręgowany absolutną czernią mroku i białością rozpalonego żelaza; ta grań przechodziła w piłę poszarpanych szczytów, zmierzającą gigantycznym łukiem w horyzont, gdzie bardzo nisko, tuż nad kamienną pustynią, wisiała ciężka, błękitna tarcza Ziemi. Od pierwszego wejrzenia poznawało się krajobraz Księżyca. Pod stopami miałem gład pocięty drobnymi szczelinami; jego powierzchnia w odległości sześciu kroków urywała się jak nożem ścięta. Tam, rozparty wygodnie między dwoma skalnymi blokami, opuściwszy nogi w przepaść, siedział młody, dwudziestokilkuletni człowiek w popielatym, domowym ubraniu. Na nasz widok uśmiechnął się szeroko i wstał.

— Gdzież to jesteśmy? — spytałem, wymieniając z nim mocny uścisk dłoni.

Ter Haar podszedł tymczasem nad sam brzeg przepaści. Widok był urzekający. Ściana spadała w dół potwornymi susami, cała w czarnych jamach i chropawych wypiętrzeniach; kilkaset metrów niżej sterczały z niej grzebieniaste igły, błyszczące w słońcu; samo dno urwiska, skryte w cieniu, było niewidoczne.

— Jesteśmy na północnej przełęczce Hadleya — rzekł Rudelik — stąd jest najlepszy widok na tamtą ścianę.

Wyciągniętą ręką wskazał osłoneczniony wiszar, pokryty cienkimi, czarnymi wyłobieniami, z wychylonym w próżnię grzybiastym nawisem szczytu.

— Nieprzebyta ściana! — rzekłem z mimowolnym szacunkiem. Obudził się we mnie alpinista albo raczej selenista, bo nieraz bywałem na księżycowych wspinaczkach.

— Niestety, na razie tak — powiedział Rudelik i uśmiechnął się po raz drugi, ale nieco żałośnie. — Cztery razy chodziłem tam z bratem. No, nie dałem jeszcze za wygraną.

— Pewnie — powiedziałem. — Tam jest chyba za trzydzieści metrów przewieszki, co?

— Czterdzieści metrów — sprostował Rudelik. — Teraz myślę, że gdybym spróbował po raz piąty, tam gdzie ten żlebik... Widzisz go?

— Czy nie kończy się ślepo? — zauważyłem i chciałem przejść nieco dalej, żeby wypatrzeć to zawrotne miejsce, ale fizyk z przepaszającym uśmiechem powstrzymał mnie, wyciągając ramię.

— Dalej nie można, bo sobie guza nabijesz! — powiedział.

Zreflektowałem się. Nie byliśmy przecież na Księżycu!

— No i co ty tu robisz teraz? — spytałem.

— Nic, tak patrzę. Zaczarowało mnie to miejsce. Ale siadajcie. O tu — wskazał ów występ nad przepaścią.

Poszliśmy za jego radą.

— Ładne masz mieszkanie... — powiedziałem półgłosem, mając we wzroku naga, upiorną dzikość księżycowego krajobrazu, jakby pochwyconą na jedno mgnienie w straszliwej erupcji i zatrzymaną tak na wieki. Pięć kilometrów pod nami, otoczone piłą grzbietu, leżało martwe, płaskie, porznięte głębokimi rozpadlinami dno krateru.

— I umeblowanie niebrzydkie... — dodałem, stukając palcem w glaz, który wydał pusty odgłos jak skrzynia.

Rudelik zaśmiał się krótko.

— Kiedy byłem tu, a raczej tam, po raz ostatni — wyjaśnił po chwili — wpadłem na pewien pomysł, który później wyleciał mi z głowy, pomyślałem więc, że może przypomnę go sobie znalazłszy się na tym samym miejscu. To taka stara rada, wiecie...

— I co, przypomniałeś sobie?

— Nie, ale... mimo to... trudno było porzucić to wszystko... Jednakże już chyba czas, co?

Wychylił się w przepaść, aż mimo woli poczułem brzydki dreszcz, i wykonał drobny ruch ręką. Naraz cały księżycowy krajobraz zniknął jak zdmuchnięty. Równocześnie roześmialiśmy się z Ter Haarem w głos: siedzieliśmy wszyscy na biurku, z nogami zwisającymi tuż nad podłogą, w niewielkim, trójokiennym pokoju. W kącie stał automat matematyczny o bursztynowej polewie. Między fotelikami, nisko na ścianie wisiała fotografia; nachyliwszy się, poznałem oglądaną przed chwilą „w naturze” ścianę księżycową. Zdjęcie było niewielkie, a przecież nie traciła na nim swej groźnej dzikości.

— To cztery razy tam chodziłeś? — spytałem, nie spuszczać oczu z fotografii.

— Tak.

Rudelik wziął ją do ręki i z drobną zmarszczką między brwiami oglądał uważnie. Jak czyjś portret — pomyślałem. Rzeźba skały nie większa była od zmarszczek twarzy, ale te drobne rysy przedstawiały dlań miejsca zawziętych zmagających, wielogodzinnych ataków, odwrotów...

— Bitwa o życie — mruknąłem.

Odłożył fotografię i spojrzał na mnie bystro.

— Ty chodzisz? — spytał. Skinąłem głową. Ożywił się.

— Sądzisz, że decydującą rolę gra emocja wywołana niebezpieczeństwem?

— Wiesz... prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym, ale chyba tak.

— Nie myślę, żeby to było najważniejsze — odparł po chwili. — Mój brat powiada tak: drobnym ładunkiem atomowym możemy zetrzeć z powierzchni globu cały łańcuch górski — jesteśmy władcami przyrody — i stąd w pewnych chwilach chęć, żeby dać jej „równe szansę”. Żeby zmagać się z nią „w cztery oczy”, „jeden do jednego”, bez mechanicznych sojuszników. Tak mówi mój brat. Ale ja bym to inaczej określił. Na Ziemi jesteśmy w otoczeniu spełniającym w mgnieniu oka każde zachcenie, każdy kaprys. Pokonujemy góry i burze, przestrzeń we wszystkich kierunkach stoi przed nami otworem. A człowiek chce być

właśnie zawsze na samej granicy możliwości, tam gdzie już zbadane i pokonane styka się z nie zdobytym, groźnym. Dla wielu takim miejscem jest właśnie ściana skalna.

— Może i tak — zgodziłem się — ale skąd ten pęd do wspinaczek księżycowych? Mamy przecież na Ziemi dość groźnych gór, choćby w rezerwacie himalajskim.

— Otóż to, że w rezerwacie! — odparł szybko Rudelik. — Powiem ci, że zawsze wolałem jeździć na księżycach Neptuna niż na śniegach alpejskich, chociaż nasz ziemski śnieg z wody jest bardziej nośny od zamrożonego gazu... A jednak wolałem, jak i wielu innych. Dlaczego? Bo dzikość górskich okolic Ziemi nie jest całkiem naturalna. One istnieją tylko dlatego, że myśmy sobie tego życzyli, bośmy je zachowali nienaruszone. A więc mimo ich całą dzikość one także stanowią część „ucywilizowanego” otoczenia. Natomiast na księżycach masz przyrodę w całej jej pierwotności. *

Milczący dotąd Ter Haar odezwał się niespodzianie:

— Nie wiem, czy cierpię na przerost instynktu samozachowawczego, czy też to zwykłe tchórzostwo, ale wyznam, że nie lubię chodzić po górach. Wspinaczki nigdy mnie nie kusiły.

— O, to nie ma nic wspólnego z odwagą — rzekł Rudelik. — W swoim czasie działała w okolicach Plutona ekspedycja badawcza...

Urwał nagle i spojrzał na mnie z nowym zainteresowaniem.

— Twój ojciec jest lekarzem? — spytał.

— Tak.

— Znam go.

Czekałem, że powie o tym więcej, ale on wrócił do swojej historii.

— Ekspedycja szukała jakichś złoża mineralnych, zdaje się. Po zakończeniu prac wszystkie rakiety odleciały z wyjątkiem jednej, która miała zdemontować i zabrać urządzenia. Te roboty czegoś się przeciągnęły, tak że w rakiecie zostało niewiele tlenu, ledwo tyle, by dociągnąć do najbliższej stacji kosmogonicznej Neptuna. W dniu, w którym rakietę miała wystartować, jeden z członków załogi wyszedł w teren, żeby zebrać sondy promieniowania kosmicznego rozstawione na okolicznych skałach. On też nie lubił chodzić po górach, ale to był jego obowiązek. Trawersując zbocze, obsunął się tak nieszczęśliwie, że złamał nogę w kilku miejscach. Na dodatek rozbił mu się teleran i nie mógł nawet zawiadomić pozostałych. Przez osiemnaście godzin czołgał się do rakiety. Powiedział potem: „Przy najmniejszym poruszeniu ból był taki, że traciłem przytomność. Gdybym był pewny, że towarzysze odlecą w porę, nim rezerwa tlenu wyczerpie się poniżej dozwolonej granicy, skonałbym tam, nie ruszając się z miejsca. Ale wiedziałem, że nie odlecą, że będą mnie szukać, i jeśli to potrwa, zabraknie im tlenu na powrót. A więc, powiedziałem sobie, trzeba dojść...”

— Oczywiście czekali na niego — rzekłem.

— Oczywiście czekali. Z tlenem było krucho, ale spotkali po drodze rakietę bezludnego patrolu i dała im natankować powietrza. Widzisz, Ter Haar, on także nie lubił chodzić po górach. Nie ma żadnego związku między wartością charakteru, między odwagą a zamiłowaniem do wspinaczek.

— Znałeś tego człowieka? — spytałem.

— Nie. Twój ojciec go znał — rzekł Rudelik, a na moje osłupiałe spojrzenie dodał z uśmiechem:

— Leczył go. Był lekarzem okrętowym tej ekspedycji.

— Kiedy to było?

— O, dawno, może czterdzieści lat temu. Zamilkłem oszołomiony.

Ciszę przerwał Ter Haar.

— Czy wiecie — spytał — dlaczego godłem pilotów raketowych jest płomień?

— Srebrna iskra na czarnym polu — rzekłem. — Tak. I jeszcze jakieś słowa tam są, aha: „Przez płomień”. Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale to chyba proste. Pewno dlatego, że płomień, że ogień jest źródłem pędu rakiety?

— Możliwe — odparł Ter Haar — ale piloci mówią o tym inaczej. Tradycja podaje legendę, którą opowiedział mi Ameta. Znasz Ametę? Nie? Musisz go poznać. Więc XX i XXI wiek to były czasy pionierskich lotów raketowych, pochłaniających wiele ofiar. Podobno jedna z pierwszych rakiet księżycowych została w chwili startu objęta ogniem. Zapaliły się wszystkie naraz zbiorniki paliwa. Zajmowały wtedy dziewięć dziesiątych objętości całej rakiety. Pilot mógł spowodować odrzucenie płonących zbiorników, lecz spadłyby one na miasto. Dlatego zwiększył tylko szybkość. Zginał w ogniu, ale wyprowadził raketę poza obręb Ziemi — „przez płomień”. Stąd te słowa.

— A to znaczy — dodał Rudelik — że człowiek umie nie tylko wymyślać twory nie istniejące w całym kosmosie, ale potrafi także im sprostać...

Żegnając się z Rudelikiem, powiedziałem:

— Znasz mego ojca; szkoda, że wspomnieliśmy tylko o nim. Może opowiesz mi kiedyś więcej...

— Pewnie.

Uścisnął moją rękę i dodał:

— Ale myślę, że... mówiliśmy o nim przez cały czas.

Idąc obok Ter Haara pod cytrynowymi lampami korytarza, tak byłem zajęty własnymi myślami, że nie dostrzegałem wcale przechodniów. Opuściwszy „ulicę” Fizyków, znaleźliśmy się w owej półokrągłej sali, w której rozpocząłem wędrówkę. Ter Haar usiadł na ławeczce pod białym posągami, popatrzał na mnie spode łba i spytał ze skrywanym uśmiechem:

— No jak, chcesz jeszcze?

— Czego? — spytałem, budząc się z zamyślenia.

— Ludzi. Ludzi Gei.

— Ależ tak!

— A więc dobrze. Dokąd pójdziemy?

Wstał i wskazując na otwierające się przed nami wnętrza korytarzy, różnobarwne jak promienie tęczy, mówił uroczyście, jakby cytował zdanie z bajki:

— Pójdiesz w prawo — dziw ujrzysz... już go zobaczyłeś — dodał szybko zwykłym głosem. — Pójdiesz prosto — tajemnicę spotkasz... A więc niech będzie tajemnica! Doktorze, obudź się nareszcie! Idziemy!

— Dokąd?

— Tam, gdzie tajemnica: na ulicę Biologów. Zagłębiliśmy się w zielonym korytarzu. I tutaj widniały

na ścianach malowane domki.

— Tu — rzekł historyk — mieszka Callarla, żona Goobara.

— Żona Goobara? — powtórzyłem. To było nazwisko nieznanego z pierwszego wieczoru na Gei.

— Tak.

— A on?

— On także, ale z drugiej strony, to znaczy, wejście do jego pokojów znajduje się przy ulicy Fizyków. Oba mieszkania łączą się wewnątrz. Ale Goobar naprawdę mieszka w swoim laboratorium.

Kiedy otwierał drzwi, przemknęło mi przez głowę, że na Ziemi niejednego można się dowiedzieć o człowieku, poznając wnętrza jego mieszkania, a tu, na okręcie, świadczy o nim także widok poza oknami, bo jest to dowolnie wybrany twór wideoplastyki. Ledwo to pomyślałem, drzwi się otworzyły i stanąłem u progu obok Ter Haara.

Znalazłem się w prostym domku wiejskim, o suficie i podłodze z gładkiego drzewa słomkowej barwy. Pośrodku stał niski szklany stół i zydle o daleko w tył odrzuconych oparciach; pod ścianami na podłodze dużo zieleń, zupełnie zwykłe bezkwiatowe zielska. Całe wnętrza tego pokoju było jakby skierowane na ogród rzewnie moknący za oknami, bo

padał tam deszcz. Daleko w głębi szły chmury, nie podniebne, lecz wlokące się nisko jak na pogórzcu. Spoza ich kłębow ukazywały się chwilami brunatne i czarne stoki gór, a deszcz wciąż padał, jednostajny, mocny, i słychać było jego lekki tupot na zwirowanych ścieżkach, ciurkanie rynien i nawet pękanie powietrznych bąbli na kałużach. Widok ten tak mnie urzekł swoją powszedniością, że nie ruszałem się z miejsca, aż gospodyni stanęła przede mną z wyciągniętą dłonią.

— Przyrowadzam ci nieomal kolegę, bo naszego doktora — odezwał się historyk.

W pochmurnym świetle padającym przez szeroko rozwarte okna Callarla wydała mi się niższa i zarazem młodsza niż za pierwszym razem, miała na sobie domową suknię z ciemnoczerwonego materiału o rysunku cienkim i tak zawitym, jakby stanowił srebrem nakreślony plan labiryntu. Prócz niej były w pokoju jeszcze dwie osoby: dziewczyna o ciężkich, rudych włosach spadających na kołnierz błękitnej sukni i atletycznie zbudowany mężczyzna z twarzą ukrytą w cieniu.

— Oto Nonna, architekt, która pragnie poznać budownictwo na innych planetach — rzekła Callarla. — A to jest Tembhora, mechanurysta.

— Złośliwi mówią, że buduję elektromozgi z lenistwa, ale ty nie wierz temu, dobrze? — powiedział mężczyzna. Pochylił się do przodu i zobaczyłem jego twarz. Była ciemna, jakby nawrotem czerni murzyńskich przodków, szeroka i napięta jak biceps. Uśmiech pojawił się na niej i znikł, oslepiająco biały, jak błyskawica.

Callarla poprosiła, byśmy usiedli. Wołałem podejść do okna, tak wabiła biegnąca stamtąd ciepka, surowa woń liści i mokrych szpilek jodłowych. Podniósłszy głowę ujrzałem, jak na okapie zbierają się duże krople wody, skupiające w szklistych brzuszkach błękit przecierającego się skrajami nieba, jak wędrują gęsiego wzdłuż okapu, jak zatrzymują się na jego krawędzi i niby z determinacją lecą w dół. Wyciągnąłem dłoń, lecz spadająca kropla przeniknęła przez palce niewyczuwalną, świetlistą smugą. Zdziwiłem się nie tyle temu zjawisku — oczekiwałem go — co własnemu rozczarowaniu. Oparty o parapet, w łagodnych podmuchach wiatru, zwróciłem się do obecnych. Rozmowa, przerwana naszym wejściem, potoczyła się dalej.

— I jakże sobie wyobrażasz tę architekturę wyzwoloną z grawitacji? — spytał Tembhora rudowłosą.

— Myślałam o konstrukcjach nie znających pionu — odparła. — Wyobraźcie sobie dwunastoramienną gwiazdę z wieżami skierowanymi we wszystkie strony. Na głównych osiach przelotowych zrobiłabym amfilady...

Szkicowała dłonią w powietrzu. Przysłuchiwałem się z coraz większym zdziwieniem.

— Przepraszam, a jaki budulec? — spytałem.

— Lód. Wiesz przecie, jakie ilości wody wyrzuca się poza obręb Ziemi przy zmniejszaniu oceanów. Budowałabym pałace z wody, a właściwie z lodu, który w temperaturze próżni posiada niezłe własności konstrukcyjne.

— A! W próżni! — wyrwał mi się okrzyk. — Rozumiem, więc to takie zamki latające, jakby miliardy razy powiększone gwiazdki śniegu? Ale... ale kto będzie w nich mieszkał?

Wszyscy się roześmieli, a Tembhora powiedział:

— Rzecz w tym, że nikt. Nie ma amatorów. Biedna Nonna nie może ich budować i martwi się tym bardzo.

— Tak — rzekła młoda dziewczyna z westchnieniem — coraz wyraźniej widzę, że za wcześniej wdałam się w tę całą historię!

— W jaką historię?

— W życie. Należało urodzić się w roku stutysięcznym, może wtedy przydałyby się na co moje lodowe pałace.

— I tam źle się wybierasz — rzekł Ter Haar. — Powiadają, że w roku stutysięcznym słońce, jak co ćwierć miliona lat, wejdzie znowu w ciemną mgławicę pyłową i zacznie się

zima galaktyczna

— Epoka lodowa?

— Tak. Będzie mnóstwo lodu i tyle roboty z jego roztopianiem, że nikt nie zechce nawet spojrzeć na twoje pałace.

— A słońce będzie wtedy czerwone jak krew — powiedziała w krótkiej ciszy Callarla. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, ale więcej się nie odezwała.

— No tak — dokończyła Nonna — będzie czerwone, bo pył mgławicy pochłonie inne promienie.

— Zabawne, że mówicie o tym, jakbyście przeżyli co najmniej dziesiątek takich zim — rzucił Ter Haar.

— Bo wiemy o nich — powiedziała Nonna.

— To nie to samo — sprostował historyk. — Co innego postrzegać zmianę wiosen i zim galaktycznych, widzieć wznoszenie się systemów górskich, falowanie łądów, wysychanie mórz, a co innego wiedzieć o tym wszystkim. W skali geologicznej człowiek żyje jak motyl—jednodniówka. Znamy fakty — nie znamy, bo nie możemy znać odpowiadających im przeżyć.

— No tak, jakaś istota, która żyłaby miliard lat... — zaczęła i urwała Nonna.

Znowu zaległa cisza, tylko deszcz szumiał za oknami.

— Miałam niedawno dziwny sen — powiedziała cicho Callarla. — Śniło mi się, że stworzyłam w laboratorium sztuczne organizmy. Były to drobnutkie różowe żyjątka. Rozmnażały się tak szybko, że widziałam, jak różową pilśnią powlekają całe laboratoriu/i. Zamyśliłam wówczas osobliwe doświadczenie. Wybrałam sobie gwiazdę, niezbyt gorącą i nie za chłodną, podtoczyłam do niej planetę odpowiedniej wielkości, oblałam jej pustynie oceanem, otoczyłam ją miękką warstwą powietrza i zaszczepiłam na niej życie — pod postacią moich różowych stworzonek. Po czym zostawiłam je własnemu losowi. Nie pamiętam, co się działo później. Mijały setki tysięcy, może nawet miliony lat; przez cały ten czas żyłam i wcale się nie starzałam.

— Sen kobiety — mruknął słuchający uważnie Tembbara.

Callarla uśmiechnęła się ciemnymi oczami i ciągnęła:

— Aż pewnego dnia wspomniałam mój eksperyment i postanowiłam zobaczyć, co się stało z życiem rzuconym na powierzchnię planety. W co się rozwinęło? Czy zanurzyło się w oceany? Czy pokryło kontynenty? Jakie przybrało formy? Tak myślałam, szykując się do lotu. A potem, kiedy leciałam wśród gwiazd ku owej planecie, poczułam niespodziany niepokój. Zbudowawszy moje białka, otworzyłam przed materią wszystkie możliwości ewolucji. I w wyobraźni ukazały mi się nagle miliony istot, które powstały z owych niewinnych, różowych drobin. Czy widzą już swój świat? — zastanawiałam się. — Czy słyszą szum wiatrów? A może owdładnęły „już całą planetą, zaczęły badać same siebie i zadały już sobie pytanie, skąd się wzięły? W jaki sposób powstały? — A wtedy pomyślałam, że dałam im nie tylko początek, ale i koniec, że stwarzając życie, stworzyłam równocześnie śmierć. A właśnie planeta stanęła przede mną, ogromna jak niebo, zawleczona obłokami; mój niepokój zmienił się w smutek i lęk, i obudziłam się...

— O, jakież ty masz sny! — zawołała z zazdrością Nonna. — A mnie, mnie śnią się w najlepszym razie kłótnie z popsutymi automatami!

— Twój sen powstał z niecierpliwości ziszczenia, którą wszyscy odczuwamy — rzekłem. — Zrodziło go oczekiwanie odkryć kryjących się u końca naszej drogi, w układzie Centaura.

— I jest charakterystyczny dla początku podróży — dodał Ter Haar — bo potem będziemy w snach nie tyle wyprzedzać wypadki, co z nostalgii wracać w nich na Ziemię....

— A ja wam powiadam, że w tym śnie szło o coś całkiem innego — zaprotestował Tembbara i, kładąc swoje wielkie ręce na szklanej płycie stołu jak na klawiaturze, powiedział:

— To jest sen łaknącego wiedzy biologa. Bo o drogach ewolucji organicznej na innych planetach nie wiemy nic. Znamy tylko historię życia na Ziemi i Marsie, a to są przecież dzieci

tego samego słońca. Ale istoty powstałe pod gwiazdami zmiennymi, które na przemian kurczą się i rozszerzają, jak bijące serca? Przecież to tętnienie blasku musi się jakoś odcisnąć w najplastyczniejszym tworzywie, jakim jest materia ożywiona. A życie pod stygnącymi olbrzymami czerwonymi? A wokół gwiazd podwójnych, na planetach oświetlonych na przemian to jedną, to drugą składową układu? A w świetle słońc błękitnych, wyrzucających potężne promienie...

— Zabójcze — wtrąciłem — więc życie pewno tam nie istnieje.

— Może wytworzyć mechanizmy obronne, na przykład pancerze rogowe z dużą zawartością soli metali ciężkich... Pomyślcie: jak różny jest wiek gwiazd, tak różny jest wiek rozmaitych planet, a więc i na podobnych do Ziemi można odkryć fazy ewolucji wcześniejsze lub późniejsze od ziemskiej. Ale i to nie wszystko. Sen Callarli krył pytanie, czy nasza ziemska fauna i flora, a także my sami jesteśmy w stosunku do innych mieszkańców kosmosu czymś zgoła przeciętnym, statystycznie najczęstszym, czy też raczej stanowimy wariant wyjątkowy, rzadką odmianę. Bo może jesteśmy właśnie unikatem, może nad kształtami naszych ciał istoty z innych gwiazd kręciłyby głowami...

— Jesliby miały głowy — wtrąciła Nonna.

— Jesliby je miały, oczywiście.

— Powiadasz więc, że jesteśmy „dwugłowym cieleciem kosmosu”? — spytałem śmiejąc się. Ter Haar wydawał się odrobinę zgorzogniony.

— Nie mówisz tego serio — rzekł do Tembary.

— Nic w ogóle nie mówię; to jej sen stawia takie pytanie. — Wielki mechanicyzta skłonił lekko głowę przed młodą kobietą, która przez cały czas tej kontrowersji siedziała bez ruchu, a na jej spokojnej twarzy pojawiał się czasem, jak drobne światełko, uśmiech nie rozchylający warg.

— A więc dobrze — Ter Haar zwrócił się do niej. — Rozstrzygnij teraz spór: co oznaczał twój sen, co miało na celu to doświadczenie?

— Nie wiem.

Po tej odpowiedzi powinien był rozbrzmieć śmiech, lecz nastąpiła cisza, pełna zaokienego deszczu. Dawno już nie było mi tak dobrze i pogodnie jak teraz, wpatrzonemu w poważny marsz kropeł na okapach.

— Nie wiesz?... — odezwał się Ter Haar, a w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. — A gdybyś na jawie mogła wykonać podobne doświadczenie? — zapytał.

— Boję się, żebym go nie zrobiła — nie od razu odpowiedziała Callarla.

— Dlaczego? Pochyliła głowę.

— To nie z braku odwagi, ale... Nie, naprawdę nie wiem.

— Może wydałoby ci się to jakimś groteskowym naśladownictwem dzieł tego pana stwórcy, w którego wierzyli starożytni? — poddawał historyk pogłosem.

Callarla milczała z niknącym uśmiechem, który oznaczał: nic więcej nie mam już do powiedzenia.

W tej chwili rozległ się daleki, jakby od zmiernych gór płynący, szklany dźwięk.

— Obiad! — rzekł Tembaha wstając. Teraz dopiero zobaczyłem, jaki był wysoki. — Aleśmy się zasiedzieli!

Żegnając się z żoną Goobara jako ostatni, spytałem ją nagle:

— Czy często pada u ciebie deszcz?

— Często. Lubisz go?

— Tak.

— To przychodzi.

Wyszedłem na korytarz za towarzyszymi i usłyszałem donośny głos Tembary, który mówił:

— Po prawdzie, toż to nierealne; na wynik takiego eksperymentu trzeba by czekać setki

milionów lat. Gdyby się nawet dało, to skąd wziąć taką cierpliwość?!

Roześmiał się, otworzył drzwi windy i wszedł do niej za innymi. Szklana klatka bezgłośnie zapadła w głąb szybu, ale jego basowy śmiech wciąż jeszcze brzmiał mi w uszach.

Ter Haar prosił mnie, żebym wstąpił do niego po obiedzie. Miałem go szukać w pracowni historycznej, a Nils, syn inżyniera Yrjöli, podjął się mnie tam zaprowadzić. Pomieszczenia historyków leżały na rufie; korytarze były tu niższe i mniej przestronne niż w centralnej części statku.

— To tu! — rzekł Nils i przepuścił mnie pierwszego. Raz jeszcze w tym dniu przeżyłem zaskoczenie. Myślałem, że znajdziemy się w jasnym laboratorium trionowym, gdzie humaniści prześwietlają i badają stare palimpsesty. Tymczasem staliśmy na progu na wpół mrocznej nawy, wąskiej i tak wysokiej, że wzrok gubił się w ciemności ostrołukowego stropu, który zdawał się być zastygłym łopotaniem jakichś gigantycznych skrzydeł nietoperzych. Pod ścianami stały pokryte płytami modrzewia długie regały i pulpity. Tam, w świetle nisko opuszczonych lamp, siedzieli ludzie. Jeden z nich odwrócił się. Był to Ter Haar. Oślepiiony światłem, okrył dłonią oczy i zawołał:

— A, to wy? Moi kochani, poczekajcie jedną chwilę, dobrze? Zaraz skończę.

Nie mając nic lepszego do roboty, przyglądałem się historykom. Prócz Ter Haara było ich dwóch. Na twarzy jednego skupiał się blask odbity od rozrzuconych na stole papierów. Nazywał się Moleticz. Niektórym wydawał się nieco śmieszny; mnie nigdy. Owszem, miał wąską głowę zakończoną podbródkiem sterczącym jak łokieć chudzielca, do tego odstające uszy, które przy zwykłej głowie nie zwracałyby uwagi, lecz na tej nieco zbyt natrętnie przypominały o swym istnieniu. Na jego twarzy gościł jednak uśmiech, jakby mówiący: „Wiem, że jestem zabawny, ale to nic; patrzcie, że mnie to samego bawi”.

Usłyszałem później od Ter Haara o jego pocziwej chytrłości, z jaką podsuwał młodszemu kolegom swoje pomysły, tak że brali je za własne, i nauczyłem się cenić rozległość jego wiedzy, teraz jednak, przysłuchując się, jak rozprawia z profesorem, musiałem skrywać rozbawienie budzące się na widok żaru, z jakim skarżył się, że brak mu archiwalnych źródeł dotyczących osoby jakiegoś Hintera czy Hitlera, tak w gruncie rzeczy mało ważne wydawało mi się drobiazgowo dłubanie w reliktach zamierzchłej przeszłości. Magle pomyślałem, że może nie powinienem nieproszony słuchać rozmowy uczonych, i rozejrzałem się za Nilsem. Stał nieruchomo w głębi sali z podniesioną głową; idąc za jego wzrokiem, dostrzegłem ledwo majaczącą, duży czworokąt, który wziąłem zrazu za okno. Ale to nie było okno.

Zapominając o otoczeniu, poszedłem tam, zapatrzony, jakbym ujrzał zjawę. W sali płonęły tylko na stołach małe lampy z reflektorami skierowanymi w dół, tak że na ściany padał jedynie odbłask ich światła. W tym półmroku zobaczyłem scenę budzącą jedno z najdawniejszych wspomnień dzieciństwa. W jakiejś książce babki odkryłem raz obrazek, którego zagadkowa treść tak mnie przeraziła i zarazem przykuła, że nie mogłem się od niego oderwać. Babka odebrała mi książkę, mówiąc, że okropności barbarzyńskie nie są dla dzieci. I oto po dwudziestu latach, na pokładzie Gei, w przyciemnionej pracowni historyków, stanąłem przed tym samym obrazem — wielkim, ujętym w poczerniałe od starości, złocene ramy.

Stałem obok Nilsa. Chłopiec zdawał się nie oddychać. Co tam widział?

Noc, wieże dalekiego miasta, czarne niebo bez gwiazd i na poplamionej krwią glinie dwie grupy ludzi, rozdzielone blaskiem latarni. Jedni, rzędem zwarci w burą masę, wbijając głowę w ramiona, wysuwali przed siebie szpaler krótkich prętów czy rur. Naprzeciw, pośród mrocznych, kulących się postaci klęczał wyprostowany, kudłaty mężczyzna z rozwartymi szeroko ramionami. W tym rozrzucie rąk, w jego twarzy, natchnionej i strasznej, życie i śmierć tak były zmieszane jak krew z ziemią u jego stóp i, widziany raz jeden, ten człowiek wracał we śnie po latach przypomnieniem, od którego stawało serce.

Położyłem rękę na ramieniu Nilsa. Tak samo jak ja w dzieciństwie, nie pojmował niczego — i tak samo drżał.

Nagle całe otoczenie stanęło w jaskrawym świetle. Któryś z historyków zapalił górne lampy. Równocześnie rozległ się głos Ter Haara.

— Nie widziałeś tego jeszcze, Nilsie?

Błada twarz chłopca starczyła za odpowiedź.

— Co... znaczy ten obraz? — spytał na koniec. — Co robią ci ludzie z tamtymi?

Historycy szli ku nam.

— Jest to dzieło z pierwszej połowy XIX wieku — rzekł jeden, a Moleticz dodał:

— Przedstawia chłopów hiszpańskich schwytanych przez oddział armii...

— Ależ to mu nic nie powie — wtrąciłem... — Ten obraz...

— Czekaj! — przerwał mi rozkazująco Ter Haar i głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałem, zawołał:

— Sam powiedz, chłopcze! Odważnie! Co widzisz! Nils milczał.

— Nie śmiesz? A jednak powiedz! Mów, co ci się zdaje, co myślisz, co czujesz?!

— Że oni ich...

— Mów!

— Zabijają...

Kiedy to słowo padło, nastąpiła zupełna cisza. Potem Ter Haar popatrzał na swoich kolegów i błysk triumfu ukazał się na jego twarzy.

— Słyszycie? — powiedział. A potem, zwracając się do Nilsa: — Tysiąc trzysta lat temu żył ten malarz o nazwisku Francesco Goya. Zapamiętaj je, bo to był jeden z tych, którzy nie umierają.

Wracając wieczorem od Ter Haara zablądziłem w labiryncie korytarzy okrętowych. Zmęczony nadmiarem wrażeń — ten dzień zdawał się być bez końca! — trafiłem wreszcie do przestronnej galerii, która przytykała do ogrodu, i usiadłem na małej ławeczce. Stała przy ścianie i za jej szkłem, tuż u moich stóp, kołysały się bezgłośnie wielkie, czarne czuby świerków o srebnawym igliwiu. Nagle usłyszałem wołający mnie znajomy głos; od windy szła Anna Ruys, uśmiechając się już z daleka. Namówiła mnie na tragedię wideoplastyczną. Pojechaliliśmy do sali widowiskowej; wyświetlano niesłychanie długi dramat w dwu częściach. Akcja, przedstawiająca dzieje ekspedycji badawczej, toczyła się najpierw na Saturnie, potem na Jowiszu. Dużo było rzeczywiście pięknych plenerów, wrył mi się w pamięć zwłaszcza jeden, ukazujący burzę na oceanie amoniakowym — istna orgia barw bursztynowych, brunatnych i czar—no—złoty, ale opuściwszy widownię odetchnąłem z mimowolną ulgą.

— Okropność! — rzekła Anna. — Zdawało mi się, że naprawdę czuję zapach tego amoniaku... a kiedy ta rakietka wpadła w pierścień Saturna, zamknęłam oczy. Dostyc już mam tych wszystkich nadzwyczajności, odtąd będę chodziła tylko na historię Ziemi.

— Już teraz? — spytałem z uśmiechem.

— Teraz i zawsze — odparła i spojrzała na mnie poważnie. Gdy mnie pożegnała, zostałem sam w pustym korytarzu. Niepostrzeżenie dla siebie doszedłem do srebrnej zasłony zamykającej wejście na pokłady widokowe. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie udać się lepiej na spoczynek, ostatecznie jednak uznałem, że dobrze będzie się przejść, patrząc w gwiazdy. Coś się we mnie wzdragało przed ich widokiem i właśnie dlatego chciałem się przemóc, żeby nie dopuścić myśli, że się ich lękam. W galerii panował mrok przedzielany światłem odmieńającym się co kilka minut ze srebra w błękit — widocznie „telewizorowe oczy” przestały wirować. Szedłem z jednego końca galerii w drugi, nie napotykając nikogo, czemu się zresztą nie dziwiłem, gdyż dochodziła północ. Wtem dostrzegłem cień jakiś przy szklistej ścianie. Zatrzymałem się w pewnej odległości. Za miejscem, w którym ciemniała postać człowieka, pojawił się biały księżyc i jał płynąć w górę. Sylwetka stojącego odcinała się wyraźnie od rozjarzonej tarczy — nogi, tors, wreszcie głowa, widziana w trzech czwartych, rysowała się czarno na tle księżycowej pełni, jakby otoczona aureolą. Potem wskutek ruchu Gei księżyc przesunął się wyżej, rzucając silny, widmowy blask na obcego.

Był to Goobar. Patrzył w gwiazdy.

GOŚĆ Z PRZESTRZENI

Odlot nasz nastąpił w kilka dni później. Pierwej Gea jeszcze pięciokrotnie okrążyła Ziemię. W tym czasie przyłączyły się do niej liczne statki, wielkie i małe, które miały stanowić jej honorową eskortę i odprowadzić okręt aż do orbity Marsa, towarzysząc mu na drodze długości siedemdziesięciu milionów kilometrów. Tę część drogi, jak zresztą całą przestrzeń układu słonecznego, Gea przebywała w stosunkowo długim czasie, nie mogąc, z uwagi na bliskość licznych planet i innych ciał grawitujących, rozwinąć pełnej szybkości podróży. Tak tedy sześćset towarzyszących nam rakiet najrozmaitszych rozmiarów mogło lecieć obok nas bez trudności. Nie było jakie zadanie przedstawiało uszykowanie tej armady, lecz astrogatorzy sprawili się doskonale. Przed nami mknęły, rozrzucone na obszarze tysiąca kilometrów, płaskogłowe rakiety pasażerskie, otoczone rojem małych stateczków, które to wypryskiwały ze swych okrętów macierzystych, to powracały do nich, by napełnić zbiorniki paliwem. Powyżej i poniżej Gei ciągnęły kluczami srebrne wrzeciona, zasnuwając gwiazdowe tło smugami rozrzedzonego płomienia motorów, a w tyle, jak daleko okiem sięgnąć, sunęły inne, coraz mniejsze, aż wreszcie gubiły się w głębinach i tylko czasem, przy manewrze, kiedy cała ta ogromnie rozciągnięta flota wymijała tor asteroidy lub potoku meteorytowego, wyblyskiwały z oddali trafiane słonecznym promieniem panczerze rakiet i wtedy przestrzeń przez sekundy roiała się od błyszczeń, które nikły tak szybko, jak powstawały; jak gdyby rozdziło się i gasło tysiąc gwiazd naraz. Szlak nasz nie był prosty. Musieliśmy, oprócz oznaczonych na mapach rojów meteorytowych i asteroid, wymijać także strefy, którymi ciągną bez przerwy ogromne, bezładne rakiety towarowe, przewożące wodę na Marsa. Przepłynęliśmy ponad ich traktem na wysokości siedmiu tysięcy kilometrów, tak że tylko przez zwrócone w dół teleskopy widzieć można było te drobne ciała, jak żywo cyrkulują po drodze oznaczonej z rzadka rozsypanymi bojami świetlnymi.

Księżyc mijaliśmy w czwartej godzinie lotu. Obserwatoria zwróconej ku nam południowej półkuli pożegnały nas niesłychanym fajerwerkiem, wyrzucając w przestwór kilkadziesiąt tysięcy różnobarwnych ogni rakietowych; po godzinie jeszcze, kiedy srebrna półkula satelity okrywać się poczyniała cieniem, wciąż widniały rozpraszające się w przestrzeni zwoje i smugi fosforyzującego dymu. Długo patrzyliśmy na Księżyc, który przez czas jakiś zakrywał Ziemię, zanim wychynęła spoza niego ociężała, błękitem pałająca tarcza. Na Księżycu toczyły się ostatnio wielkie prace górnicze; przez teleskopy Gei doskonale widać było na Morzu Obłoków stada wieżowych kopaczek i czerpałek, kuśtykające w ciężkim piachu, i eksplozje, co jakiś czas obłokami pyłu zaćmiewające jednostajny blask pustyni. Potem obraz ten przesłaniać zaczęły niby ćmy jakieś; były to po prostu mknące w ślad za Gea rakiety, które całą chmurą zakryły tarczę księżycową, w miarę jak oddalaliśmy się od niego, kładąc się na kurs bezpośredni Marsa. Orbitę czerwonej planety przecięliśmy w znacznej od niej odległości, bo wynoszącej dwadzieścia milionów kilometrów; rudy glob przetoczył się od północnego wschodu niebios na południowy zachód i zmalował tak szybko w ciągu nocy, że kiedym wstał następnego rana, widniał już na skrajach tarcz telewizyjnych jako czerwona, niewielka plamka. Teraz dopiero towarzyszące nam statki zaczęły zakręcać i skupiać się, lawirując. W gwiazdzistym mroku nieustannie łyskały czerwone, świecące dymy sygnałów oznaczających: „dać drogę”. Rakiety wznosiły się, odpływały spiralami na boki i przestrzeń przed spoczywającą z wyłączonymi silnikami Gea, dryfującą tylko powoli dzięki przyciąganiu Słońca, oczyszczała się i opróżniała, aż o siódmej wieczorem po raz ostatni eter napełnił się burzą dźwięków; przekaźniki radiowe wprost dławili się z wysiłku, przekazując nam wielotysięczne głosy tych wszystkich, którzy wracali. Pociski ziemskie unosiły się jak ogromna ławica srebrnych ryb w przestworzu. Tak wolno oddalaliśmy się w dwie strony. Naraz ze wszystkich statków uderzyły w mrok długie promienie reflektorów, skoncentrowane

na srebrnym pancerzu Gei, która otoczyła się wielkim, prześwitującym rubinowo obłokiem, aż stojący na jej pokładach stracili z oczu całe niebo, a z napędowych wylotów poszedł ogień; najpierw z wyrzutni rozruchowych, potem pierwszego, drugiego, trzeciego wreszcie rzędu, i Gea, pozostawiając za sobą długi szlak gasnących języków płomienistych, pomknęła przed siebie. Srebrna ławica statków, wciąż dryfująca na południo–zachód, oddalała się, zrazu jako obszar ostrych światła, potem jako chmura iskier drgających żywiej i ostrzej od gwiazd, wreszcie jako garść szarawego pyłu, aż znikła, jak gdyby rozplynęła się w nieskończonym mroku. Tylko Ziemia dalej płonęła jako silna, błękitna gwiazda z żółtymi biegunami dwu słońc atomowych. Chociaż nastąpiła noc, nikt nie schodził z pokładów. Gdy nawet ostatni ślad wielkiej armady przepadł w otchłani, patrzyliśmy dalej w ciemność, by chociaż wzrok nasz, zwrócony w ziemską stronę, towarzyszył jej jak najdłużej.

Tymczasem Gea powiększała szybkość lotu. Osiągnęliśmy 200 kilometrów na sekundę i tak poruszaliśmy się w przestworzach oddzielających Marsa od Jupitera. Ta ogromna przestrzeń słusznie jest zwana cmentarzem raketowym, tak wiele katastrof pamięta jej próżnia. Wirują w niej miliony urwistych odłamów żelazokrzemiennych, szczątków planety, która krążyła tu niegdyś i zbliżywszy się nieostrożnie do Jowisza, uległa jego fatalnej sile.

Ter Akonian, który mniej miał teraz pracy, zaprosił mnie na pogawędkę. Domyśliłem się, że chce poznać bliżej jednego z lekarzy czuwających nad zdrowiem załogi. Poszedłem do niego prosto z ambulatorium. Wejście do mieszkania astrogatora jest dziełem i chlubą Nonny. Stanowi je płyta mlecznego szkła, prawie tak długa jak ściana, obramowana dwiema kolumnami. Lewa — to drewniany słup z nasadzonych na siebie poczwarnych masek o prostokątnie rozdziawionych gębach, czarnych, jakby uwędzonych w dymie. Ich puste oczodoły kierują się w stronę przeciwną, gdzie z flizów podłogi wyrosła jasna kolumna o płynnym kształcie: skądkolwiek na nią patrzeć, zdaje się przechodzić właśnie z ruchu w spokój. Jest w niej coś z szukającego światła roślinnego pędu i coś z ludzkiej pozy prostowania się, tak żywej, jakby odjętej jakiejś dziewczęcej kibici. W kamiennym nadprożu widnieje prosty napis: „Na drodze do gwiazd”.

Ter Akonian czekał na mnie w pokoju ogromnym, bo planowanym na salę posiedzeń. Ściany obiegała tu zwichrzona pogoń barw jesiennych w całej gamie wędnięcia i nawet powietrze zdawała się przepajać atmosfera jesieni, płynąca ze wszystkich tonów złotawego brązu, żółknącej purpury i szkarłatu. W czterech rogach pokoju otwierały się wysokie nisze. Stały w nich strzeliste automaty, w ich na pół przejrzystych wnętrzach pulsowały ogniki cyrkulacji elektrycznej tak powoli i godnie, jakby te anioły z kryształu i berylu dumwały nad własnymi losami, tak że mimowolny uśmiech budził się w gościu, kiedy te hieratyczne maszyny opuszczały swe miejsce, aby podać kawę. Na środkowej ścianie widniał wielki, czarny zegar; zamiast cyfr lśniły na jego tarczy wykute w srebrze znaki zodiaku. Gdy wszedłem, pierwszy astrogator pochylał się nad rozpostartą mapą nieba; za jego fotelem stały na dziesięciu postumentach popiersia sławnych kosmonautów przeszłości; natychmiast poznałem te twarze, znane jeszcze ze szkoły.

— Jak ci się tu podoba? — spytał Ter Akonian, kiedy usiadłem.

— Bardzo, ale ja bym tu nie mieszkał — powiedziałem. Uśmiechnął się.

— Biedna Nonna, gdybyż to usłyszała! I dodał:

— Ja też tu nie mieszkam; to taki pokój oficjalny. Pracuję tam — wskazał boczne drzwi.

Zwracając się w tę stronę, raz jeszcze popatrzyłem na rząd kamiennych postaci i uderzył mnie wspólny wszystkim rys: oczy tych głów, choć ustawione w świetle, zdawały się patrzeć w mrok, jakby nie istniały dla nich ściany pokoju i statku, jakby tuż u granitowej powierzchni ich twarzy rozpoczynał się niezmierny rozbieg otchłani, tak że te kamienne bryły, przedstawiające ludzi odległych wieków, były jakby zrównane z gwiazdami. Ter Akonian obserwował mnie.

— Patrzysz na moich doradców? — spytał z lekkim uśmiechem.

Uderzyła mnie trafność tego powiedzenia.

— Chyba nigdy nie czujesz się tu sam?

Skinął powoli głową, wstał i podszedł do najbliższego popiersia.

— To Uldar Tog, ten, co pierwszy wylądował na Saturnie, nieprawdaż? — powiedziałem.

— Tak. Syn dwudziestego trzeciego wieku, budowniczy i sternik raket w jednej osobie.

Znasz jego historię?

— Nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że nie wrócił z ostatniej wyprawy?

— Tak. Był już bardzo stary, jak na owe czasy: miał dziewięćdziesiąt osiem lat. Umarł przy sterach, jakby przy nich zasnął. Nie chciał leżeć na Ziemi. Pochowano go w przestrzeni. Gdzieś krąży jeszcze łódź raketowa, w której zamknięto jego ciało.

Dziwnie poruszył mnie zwrot Ter Akoniana: „w przestrzeni”. Tak właśnie, po prostu „przestrzenia” nazywali próżnię międzyplanetarną pierwsi jej zdobywcy; poczułem to samo wzruszenie co w latach chłopięcych, kiedy rozpalonymi oczami pochłaniałem opowieści i kroniki kosmonautyczne.

— I pomyśleć — powiedziałem — że przez tę samą przestrzeń składamy dziś telewizyty znajomym na Ziemi...

— Jak dotąd, tak. Ale opóźnienie odbioru wywołane odległością daje się już we znaki. Zauważyłeś przecież te zmiany?

— Tak. Widziałem się wczoraj z ojcem; siedzieliśmy naprzeciw siebie, jak w tej chwili z tobą. Wołałem milczeć, bo wtedy wrażenie, że naprawdę jest się blisko siebie, rośnie.

Astrogator popatrzał na mapę nieba.

— W tej chwili opóźnienie fal radiowych wynosi około dziewięciu minut — powiedział.

— Rzeczywiście trudno rozmawiać z takimi interwałami; w dodatku powiększa się ono nieustannie; już wkrótce dojdzie do godzin, potem będą dni. f

— Tak, to początek naszego osamotnienia.

— No, jest nas zbyt wielu, aby można mówić i o samotności — żywo odpowiedział astrogator. — Nie było jeszcze tak ludnej wyprawy w przestrzeń.

— Kto właściwie pierwszy wysunął jej projekt?

— Nie wiadomo. Sama myśl jest stara; jawiła się, znikwała zapomniana, znów powracała. Mówiono o niej jeszcze w czasach, kiedy nie było technicznych środków realizacji, ale i potem, kiedy były, długo pozostawała w sferze rojeń. Dokładne plany opracował pierwszy Bardera, jakieś sto czterdzieści lat temu. Miał wielu przeciwników. Mawiał; „Rzecz jest niesłychanie trudna, tak trudna, że trzeba jej spróbować”.

Kiedy astrogator zamilkł, powiedziałem:

— Słuchaj, chcę zadać ci pytanie, może nazbyt śmiało: czy wyruszyłbyś na tę wyprawę, gdybyś wiedział, że z niej nie powrócisz?

— Ja czy statek? — odparł tak szybko, że nie przygotowany na to rozróżnienie, milczałem przez chwilę.

— My wszyscy — powiedziałem na koniec.

— Oczywiście, nie. Ale skąd miałaby pochodzić ta pewność zagłady?

— Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym, to tylko wyobrażona sytuacja.

— Wyobrażenia muszą się jakoś wiązać z rzeczywistością. Ryzyko może być dowolnie wielkie, ale sam fakt jego istnienia zakłada możliwość sukcesu.

— A więc dobrze, gdyby szansa powrotu wynosiła jeden na tysiąc?

— W takim wypadku — tak.

— Dlaczego „tak”? Ale może jestem natrętny?

— Nie jesteś natrętny, jesteś ciekawy, a to wielka różnica. Dam ci dwie odpowiedzi. Najpierw taką: wchodząc w nową dziedzinę działalności życiowej, człowiek napotyka opór nieznanego. Jest to zjawisko odwieczne: bardzo trudno było neandertalczykowi — pierwszemu twórcy narzędzi — wyciosać z krzemienia grot oszczepu. Otóż w ponawianych

próbach człowiek pokonuje opór materiału; ten opór kształtuje jego następne próby i jego samego, wzbogaca go podwójnie: nową wiedzą o właściwościach materii i sumą nowych przeżyć. Jest to proces długi i zawiły. W starciu z nieznanym pierwsze próby mogą wypaść nawet całkowicie negatywnie, mogą nie przynieść nic — w sensie dających się natychmiast użytkować rezultatów. Są jednak konieczne, jak to widać, patrząc w historię. Bez pierwszych prób wykrzesania iskry nie byłoby ognia. I bez pierwszych strzaskanych przez meteory raket nie byłoby panowania ludzkości nad przestrzenią. To więc jest usprawiedliwieniem ryzyka, jego doniosłością społeczną. Teraz przejdźmy do naszej wyprawy. W komunikacie ogłaszającym werbunek załogi powiedzieliśmy wyraźnie o tym, że trudy podróży będą ogromne i że katastrofa w czasie tak długim jest możliwością zupełnie realną. Zresztą pamiętasz chyba tekst i przyznasz, że nie brzmiał zachęcająco. Dalej, ograniczenia i wymagania stawiane kandydatom były bardzo duże: w grę wchodziły tylko pewne kategorie zawodów, trzeba było mieć co najmniej trzy specjalności i tak dalej, a mimo wszystko — otrzymaliśmy piętnaście milionów zgłoszeń. Otóż warto pamiętać o tym, że na Ziemi jest jeszcze półtora dziesiątka milionów ludzi, którzy podejmą dzieło i dokończą je, jeżeli my tego nie uczynimy. Czy zadowolilem twoją ciekawość?

— Nie. Powiedz mi, dlaczego ty, ty sam, przedsięwzięłeś tę wyprawę?

— Obawiam się, że źle trafiłeś — uśmiechnął się astrogator. — Fizyk powiedziałby ci pewno: „Bo pragnę poznać reakcje atomowe obcych słońc”. Planetolog: „Ponieważ chcę zbadać strukturę planet pozasłonecznych”. Astrobiolog: „Szukam przejawów życia organicznego w kosmosie”. Ale ja... ja nie mogę ci dać takiej odpowiedzi...

— Jak to, nie wiesz dlaczego?...

— Ależ nie! Wiem i powiem, choć cię to na pewno nie zadowoli. Dlatego, że są gwiazdy. Astrogator wstał.

— Doktorze, czy nie masz ochoty się przejść? Wybacz, że pytam tak obcesowo, ale od dwudziestu godzin nie widziałem skrawka żywej zieleni.

— Może wolisz być sam? — spytałem.

— Skądże. Jeśli masz jeszcze czas...

Pojechaliśmy windą na dolną kondygnację. W ogrodzie był błękitny wieczór. Na największym trawniku tańczył wielki krąg dzieci. Trzymały się za ręce i śpiewały chórem. Nagle jedno wyrwało się innym i jak kulka pomknęło ku nam. Był to może pięcioletni chłopiec. Piszcząc z radości, objął kolana mojego towarzysza.

— To mój najmłodszy — powiedział Ter Akonian i podniósł małego w górę, żeby go pohuścić, ale ujrawszy przechodzącego opodal Uteneuta zatrzymał go, podał mi dziecko i podszedł do inżyniera. Huśtałem malca, jak umiałem najlepiej, wzgardził jednak moimi wysiłkami i zaczął się gwałtownie domagać, żebym go postawił na ziemi.

— Mogę cię postawić na trawie, ale nie na Ziemi, bo my nie jesteśmy już na Ziemi, wiesz? — powiedziałem uwalniając go, tak że mógł odejść, ale widać zadrasnąłem jego dumę; został. Przez chwilę wiercił piętą piasek, aż rzekł:

— Sam wiem. Tak sobie tylko powiedziałem. My lecimy na Gei.

— Ach tak, a czy wiesz także, dokąd my lecimy?

— Wiem. Do takiej jednej gwiazdki.

Cóż to była za rozmowa! Nie mogłem się powstrzymać od ostatniego pytania:

— A może nawet wiesz, gdzie jest ta gwiazdka?

— Wiem.

— Gdzie?

— Tam, gdzie będę już duży!

Powiedziawszy w taki sposób wszystko, co było w tym przedmiocie do powiedzenia, malec puścił się pędem w stronę chóru śpiewającego niestrudzenie:

Kukułeczka kuka,
Kukułeczka kuka,
Za wodą...
Za wodą...

Kiedy tak tego słuchałem czekając, aż Ter Akonian skończy rozmawiać z Uteneutem, przyszło mi do głowy, że na Gei w ogóle nie ma ptaków. To raczej banalne przypomnienie spowodowało, że kiedyśmy już po długim spacerze w ciemnościach żegnali się u windy, zadałem astrogatorowi impulsywne pytanie, którego zaraz pożałowałem:

— Na statku jest dużo dzieci. To mnie trochę dziwi. Czy nie wahałeś się zabrać swoich?

Ter Akonian spoważniał. Puścił moją dłoń i powoli powiedział:

— Starsi chłopcy sami chcieli. A ten najmłodszy... rzeczywiście, wahałem się. Pomyślałem jednak: Teraz nie może sam decydować. Pozbawiam go szczęśliwej ziemskiej młodości. Niebezpieczeństwa... tak, ale... Ale jak mógłbym spojrzeć mu w oczy, kiedy wrócę?

Noc, dzień następny, druga noc i drugi dzień przeszły bez jakichkolwiek wydarzeń. Statek przyspieszał biegu i pędził na wodzach promieni radarowych, łowiąc czujnie ich echa w muszle reflektorów ostrzegających go przed groźnym zderzeniem. Astrogatorzy wyprowadzali okręt z płaszczyzny ekliptyki, gdyż w niej to, jak wiadomo, panuje największy tłok meteorów. Gea nie leżała jeszcze na właściwym kursie gwiazdowym; lot do Jupitera traktowano jako ostatnią próbę przed wyruszeniem w otchłań; należało sprawdzić działanie wszystkich urządzeń w silnym polu grawitacyjnym największej słonecznej planety: dlatego mijaliśmy ją stosunkowo blisko. Działo się to rankiem trzydziestego dziewiątego dnia podróży. Wielu z nas, zgromadzonych na pokładzie widokowym, obserwowało nadchodzący glob.

Cztery spośród jego dwunastu księżyców były widoczne. Najbliższy, Io, biegł jak jasna, żywa gwiazda, rzucając swój cień na gigantyczną wypukłość planety, przegowaną ciemnymi smugami. W oczach naszych wschodziła północna półkula z przyrównikową Czerwoną Plamą średniowiecznych astronomów albo — według współczesnej nomenklatury — Latającym Kontynentem Gondwana. Poprzez gęstą atmosferę przebijał się jej chropawy obrys, zamazywany dymami, zalewany falami metanu i amoniaku. Galeria gwiazdowa, zwykle ciemna, była teraz rozjaśniona dziwaczną, od dołu padającą poświatą rzucaną przez tarczę Jowisza, który osiągnął największe pozorne rozmiary i rozpościerał się daleko pod statkiem na podobieństwo potwornej rudożółtej czaszy o wywiniętych w górę brzegach, wypełnionej gazową kipiela, przez którą torowały sobie drogę kłęby tajfunów.

Z drugiego księżycy, Europy, jaśniejącego wysoko nad nami, szły jakby szeregi czarnych paciorków, opuszczające się ku centralnej części planety. Były to samoczynne rakiety, prowadzące badania eksploracyjne na Latającym Kontynencie Gondwana. Przez lornety widać było, jak jeden za drugim dawały nurka w ocean chmur, przez chwilę ciemniały drobnymi kropkami w jego żółtych oparach i nikły. Pracę ich śledzi garstka ludzi mieszkających w komorach ciśnieniowych na Ganimedzie. Stopa ludzka nie tknęła jeszcze powierzchni Jowisza, gdyż jego powłoka gazowa wywiera na swym dnie ciśnienie miliona atmosfer, jakiemu nie może się oprzeć żaden skafander.

Gea manewrowała nad tarczą Jowisza kilka godzin; powoli pokłady opustoszały. I ja, znudzony długim na nich pobytem, udałem się do sali wypoczynkowej, oddalonej o kilkadziesiąt zaledwie kroków od pokładu gwiazdowego. Salę tę, zwaną barokową, cechuje przytłaczający, barbarzyński przepych. W sześciu pstroźlocistych ścianach znajdują się wnęki, zajęte przez ogromne, białe posągi bogów starożytnych. Nad lustrzaną posadzką zwisają kryształowe pająki, a z niskiego sufitu wychylają się setki postaci pulchnych, skrzydlatych dzieciątek. Można tam długo przesiadywać z zadartą głową, bo w kwadratowych kasetonach

stropu widnieją lesiste i wzgórzyste krajobrazy z igrającymi stworzeniami z baśni, wymalowane ściemniałymi barwami, dziwacznie i pięknie, tak że tworzą kunsztownie osadzony zbiór muzealnych obrazów. Rychło jednak widza ogarnia znużenie; wzrok gubi się, nie mogąc spocząć pośród osrebrzeń i wyłocoń, giętych w koronki listew i miniaturowych płaskorzeźb; w każdej ścianie otwiera się zwierciadło, zwielokrotniające migotliwe bogactwo dzieł sztuki; środek sali jest wolny, tylko po bokach stoją wielkie krzesła o twardych oparciach rzeźbionych w walczące lwy i orły, a nogi ich udają szpony czy kopyta. Krzesła te dobre są do wszystkiego prócz siedzenia; przedziwnymi ludźmi byli ich twórcy! Ale niewygodę ich trzeba znosić w pokorze, bo jak powiadają historycy, całe to wnętrze stanowi wierną kopię jednej z sal pałacu jakiegoś barbarzyńskiego monarchy.

Przez chwilę zdawało mi się, że nie ma tu nikogo, ale jakiś człowiek stał przed grupą marmurowych bogów, z założonymi w tył rękami. Po wąskiej głowie i odstających uszach poznałem Moleticza. Zza piedestału rzeźby wyszedł Nils Yrjöla z nosem utkwionym w kieszonkowym odbiorniku, tak zaczytany, że wpadł na historyka. Przez dłuższą chwilę wzajem przepaszali się gorąco i gdyby nie ubrania, można by ich wziąć za jakichś dworaków sprzed tysiąca lat; kiedy poszedłem w ich stronę, usłyszałem ostatnie słowa chłopca:

— To strasznie ciekawa powieść, ale miejscami trudno zrozumieć. No i przekład kiepski, trafiają się nawet błędy.

— Co mówisz? To dziwne — rzekł historyk.

— Tak. O, tu na przykład — pokazał Nils: — „Serce ściska mi żal po utraconych narzędziach”.

— Jaki błąd w tym widzisz?

— Jak to? Przecież „żal” odnosi się tylko do przedmiotów ożywionych. Żałować można tylko żywej istoty, a nie rzeczy...

— Tak jest dziś, mój chłopcze — powiedział Moleticz — ale dawniej było inaczej. Powiedzenie „żałować rzeczy” razi twoje ucho, bo do niego nie przywykłeś, a nie przywykłeś dlatego, że warunki, jakie utworzyły to połączenie pojęć, przestały istnieć przed wiekami.

— A ja myślałem, że to błąd — zdziwił się Nils.

W otwartych drzwiach ukazało się kilkoro ludzi; podeszli do nas i przysłuchiwali się rozmowie.

— Tu dalej — ciągnął Nils, najwidoczniej rad, że spotkał kogoś, kto może rozwiązywać jego wątpliwości — jeden mądry i ciekawy człowiek zaczyna naraz marzyć o tym, jakby to było pięknie, gdyby każdy mógł mieć własny samolot, i zaraz dodaje: „Ale to bajka”.

— No tak. Przecież akcja toczy się w średniowieczu. Powiedzenie, że każdy człowiek może mieć własny samolot, brzmiało wtedy jak zdanie z bajki.

— Ależ to jakieś głupie marzenie! Co z tego, że dziś nie brzmi to jak zdanie z bajki, kiedy i tak nikt nie ma własnego samolotu.

— Pewnie, że nie, bo to nikomu niepotrzebne.

— Zaraz... — zastanowił się Nils. — A dlaczego właściwie dzisiaj nikt nie ma własnego samolotu?

— Wyjaśnię ci. To, co mówił bohater powieści, nie jest znowu tak całkiem pozbawione sensu. Dawno temu, w epoce barbarzyńskiej, istniała indywidualna własność środków produkcji, a także wytwarzanych dóbr. Potem, na niższym etapie komunizmu, środki produkcji stały się własnością społeczną, ale konsumpcja dóbr dalej była indywidualna, to znaczy, że każdy człowiek mógł mieć własny samolot — jak o tym właśnie marzył bohater tej książki. Jednakowoż rozwój społeczny nie zatrzymał się, kiedy to marzenie się urzeczywistniło, ale postępował dalej, i dzisiaj żyjemy już w czasach zaniku indywidualnej własności nawet dóbr konsumpcyjnych. A czemu się tak dzieje? To wynika z coraz pełniejszego realizowania zasady: „każdemu według jego potrzeb”. Do czego służy samolot? Żeby przenosić się z miejsca na miejsce. Wzywasz go i lecisz, a przyleciawszy, dokąd

chciałeś, przestajesz się nim interesować, prawda? A gdybyś miał własny samolot? Gdzie go umieścisz? W domu. A kiedy polecisz rakieta na drugą półkulę, nie weźmiesz go z sobą: transport byłby kłopotliwy, lepiej by mieć tam, u celu podróży, czekający drugi samolot. Też własny. No, ale człowiek przedsięwzięcie wciąż rozmaite podróże raketowe; u końca każdej trzeba więc przygotować sobie samolot. Będąc konsekwentnym, należałoby ustawić swoje samoloty na wszystkich dworcach raketowych Ziemi, bo a nuż kiedyś się tam wybierzesz i co wtedy poczniesz bez samolotu? W końcu, gdyby każdy z nas postępował tak samo, całą Ziemię pokryłyby samoloty, tysiące maszyn czekających, bo być może jakaś sprawa zawiedzie w te strony ich właściciela. Cóż by to było za marnotrawstwo, co za niewygoda! Bo i tak nie umieściłbyś swoich maszyn we wszystkich miejscach Ziemi. Rezygnując natomiast z „przywileju własności”, masz dziś na Ziemi w każdej chwili taki pojazd, jaki najbardziej ci odpowiada.

— Rozumiem — rzekł Nils — my wyprzedziliśmy nawet marzenia starożytnych... ale własny samolot można by mieć i dzisiaj, prawda?

— Oczywiście, że można. Nasz stosunek do tego zagadnienia tak się jednak odmienił, że podobną „własność” każdy poczytałby za kłopot, a nie za „spełnienie marzeń”.

W tej chwili sufit zapłonął czerwono, a cały statek zadygotał bardzo nieznacznie, lecz wyraźnie. Rozległo się jakby głucho, metalowe westchnienie. Potem nastąpiła cisza, w której odezwały się niewidzialne głośniki:

— Uwaga! Pogotowie alarmowe pierwszego stopnia. Wszystkie zespoły grawitacyjne — stop! Uwaga! Przygotować się na zanik grawitacji.

Poczułem, że staję się coraz lżejszy. Gea hamowała swój ruch wirowy, jeszcze chwila i wewnątrz sali wypełniło się fruującymi wolno ludźmi. Fotele, kilka stolików, wszystko, co nie było przytwierdzone do podłogi, pływało teraz, nieważkie, w powietrzu. Tuż przed moimi oczami przesunęła się jakby zastygła w wyrazie niesłychanego zdziwienia wielka marmurowa twarz jednego z posągów; dotknąłem palcami sufitu. Trwało to może dwadzieścia sekund, potem głos odezwał się:

— Uwaga! Odwołuję pogotowie alarmowe pierwszego stopnia. Zespoły grawitacyjne w ruch! Uwaga! Oczekiwać dalszych wezwań.

Opadliśmy na podłogę jak balony, z których wypuszczono gaz; każdy, dotknąwszy stopami posadzki, chwycił się jakiegoś bliskiego przedmiotu, by utrzymać równowagę. Przez kilka mgnień panowała jeszcze konsternacja, potem, prawie biegiem, ruszyliśmy na pokład gwiazdowy.

W dole wciąż rozpościerał się taki sam widok: pręgowana, olbrzymia masa Jupitera ciskała w nas swój mętno-bursztynowy blask. Z tyłu, jakieś kilka czy może kilkanaście kilometrów za Geą, wisiał w przestrzeni nieruchomy, świecący kłęb gazów, rozprężający się bardzo powoli, jak eksplodująca gwiazda. W absolutnej ciszy, w której rozlegały się tylko nasze przyśpieszone oddechy, słychać było krótkie, urywane głosy brzęczyków łączności, potem kilkakrotnie gwizdnęły pośpieszne windy, wreszcie rakietę zastopowała i obróciwszy swoje wyloty prosto ku tarczy Jupitera, raz i drugi uderzyła w jej kierunku krótkim płomieniem. Potem rozszedł się po pokładach odległy, przytłumiony świst — to poszły w ruch statyczne emitory promieniste. Okręt, lekko przechylony, wisiał skosem nad biegnącą we wszystkie strony tarczą planety. Znowu gwizdały windy, nikt z nas nie ważył się łączyć teraz ze sterownią, by nie przeszkadzać astrologom.

Po jakichś pięciu minutach wszystko się uspokoiło i chcieliśmy właśnie ruszyć do najbliższego telefonu, gdy ponownie ozwały się głośniki:

— Uwaga! Wezwanie specjalne. Wszyscy lekarze na stanowiska!

Pośpieszyłem do windy. Zniosła mnie na dół; gdy biegłem do sali operacyjnej, wypadła mi naprzeciw Anna Ruys.

— Co się stało?! — zawołałem.

— Nieszczęśliwy wypadek! Nie czas teraz na objaśnienia, jedź na dół, do komory ciśnień, zaraz tam będę! — Wepchnęła mnie do windy i zatrzasnęła drzwi tak szybko, że nie zdążyłem nawet odpowiedzieć. Jechałem więc w dół, nie wiedząc po co, gdy wtem na przedostatniej kondygnacji winda stanęła, drzwi się rozsunęły i weszli do niej Ter Akonian i Yrjöla.

— Co się stało? — zwróciłem się do nich, gdy ponownie uruchomiona winda zaczęła opadać.

Jak dowiedziałem się ze słów inżyniera, z Ganimeda, księżycy Jowisza, który mijaliśmy w odległości zaledwie osiemdziesięciu tysięcy kilometrów, wyleciał rankiem na nasze spotkanie jakiś człowiek. Był to zapewne student kosmodromii, odbywający roczną praktykę na stacji astronautycznej znajdującej się na powierzchni Jowiszowego satelity; żyją tam zwykle kilkudziesięciosobowe, rokrocznie zmieniające się zespoły, w zupełnym odosobnieniu, połączone z Ziemią tylko komunikacją radiową. Pilot, który wyruszył naprzeciw nam jednoosobową rakieta, od dawna musiał wiedzieć o locie Gei i z niecierpliwością oczekiwał jej przybycia.

Jak to nieraz robią młodzi zapaleńcy, wyłączył automatyczne bezpieczniki sterów swego stateczku, aby swobodnie wykonać na naszą cześć kilka karkołomnych ewolucji. Jakoż wykonał dwukrotny looping wokół Gei, która odpowiedziała mu sygnałami ostrzegawczymi, a gdy nie poskutkowały, otoczyła się czerwoną chmurą dymową. Kiedy i to nie odniosło rezultatu, okręt zwiększył szybkość. Manewrami Gei zawiadywały automaty, gdyż w sterowni nie było w tym czasie nikogo z astrogatorów. Szalony pilot, zlekceważywszy ostrzeżenia, widząc, że Gea poczyna mu umykać, rzucił się za nią w pogoń, wyciskając całą moc ze swej rakiety. Podchodząc do naszej burty od strony Jowisza, nie wziął pod uwagę jego przyciągania, przez co stateczek, zbyt ostro skręciwszy, dostał się w strefę odrzutu gazów atomowych. Porwana wirem rakieta zatoczyła się, a pilot, utraciłszy w zamęcie orientację, usiłując wyrównać lot, pełną szybkością ruszył prosto w burtę Gei. Na jakikolwiek manewr wymijający było za późno; gdy odległość zmalała do kilkuset metrów, automaty włączyły emitory promieniste i stateczek otrzymał potężne uderzenie promieniowania, które gwałtownie go zahamowało. Zawisł bezwładnie w próżni i być może runąłby na tarczę Jowisza, gdyby nie nasze następne manewry. Gea zastopowała, wstrzymała ruch wirowy i polem magnetycznym wessała niefortunny stateczek do swego wnętrza.

Wszystko, co uczyniły automaty, było konieczne; gdyby stateczek nie został odrzucony wystrzelonym weń ładunkiem promienistym, nastąpiłoby tragiczne w skutkach zderzenie. Był to bądź co bądź pocisk wagi jedenastu ton, zbliżający się do nas z szybkością siedemnastu kilometrów na sekundę, starczyłoby mu więc energii, by gładko przebić ochronne pancerze i przewiercić korpus okrętu.

Tymczasem winda znalazła się na dole. Weszliśmy do komory ciśnieniowej. Pod nagimi metalowymi wręgami, które odsłaniały tu część usztywniającej konstrukcji statku, na przysuniętej do ściany platformie leżała, jak wyrzucona na brzeg ryba, wąska, długa rakieta, osmalona na czarno—brunatny kolor. Pod wpływem promienistego ciosu jej powłoka przemieniła się w chropawą, jakby żużlem pokrytą skorupę. Zaciętych klap nie dało się otworzyć, dlatego automaty przystąpiły z należytą ostrożnością do wycięcia obszernego otworu nad siedzeniem pilota. Gdyśmy weszli do komory, praca była na ukończeniu; jeszcze przez kilka chwil sypały się iskry spod szczęk elektropiły, po czym odłam pancerza został lekko dźwignięty w górę i przez powstały otwór wyciągnięto zamknięte w hermetycznej osłonie ciało.

Oslona ta, z grubej, ciemnej, elastycznej masy, posiada wmontowane z przodu części aparatury steru i radaru oraz rodzaj puklerza chroniącego głowę i pierś pilota; dlatego przystąpiliśmy do rozcinania jej z tyłu. W szeroko rozsuniętych, oświetlonych drzwiach pośpiesznej windy czekały już nosze; postępowaliśmy tak, jakby lotnik żył, choć nie było to pewne, gdyż rakieta, zahamowana promienistym ładunkiem, straciła szybkość tak

gwałtownie, że zamknięty w niej człowiek poddany został deceleracji wielokrotnie przewyższającej najwyższą dopuszczalną.

Ktoś podawał mi z boku narzędzia tnące; w miarę jak otwierały się warstwy powłoki, pracowałem coraz ostrożniej. Nareszcie rozległ się cichy świst uciekającego powietrza, gdyż we wnętrzu panowało zwiększone ciśnienie. Jeszcze jedno cięcie i w szczelinie zaczerpnął kombinezon lotnika. Stanowił on rodzaj nadymanego gumowego worka, gęsto opasanego metalowymi spiralami, które podtrzymują miękkie tkanki przy nagłym zrywie lub hamowaniu pocisku.

Do piersi i brzucha pilota dochodzą rozszerzające się lejkowato rurki, w których krąży gaz pod ciśnieniem zależnym od powstającego w locie przyspieszenia. Z pomocą kilku ludzi przeniosłem ciało, tkwiące jeszcze w kombinezonie, na nosze. Szklane drzwi zamknęły się, winda miękko ruszyła i poleciała w górę.

Na operacyjnej płonęły już wszystkie światła. Od stołu szła mi na spotkanie Anna. Gdy nosze toczyły się ku ogrzewanej płycie metalowej, ktoś wszedł z drugiej sali: był to pierwszy chirurg Schrey.

Chciałem ustąpić mu miejsca, ale powiedział szybko:

— Nie, róbcie, róbcie — i cofnął się.

Nisko pochylony, mając u boku Annę, ciąłem teraz nożycami zewnętrzną i wewnętrzną warstwę kombinezonu. Pod silnymi ostrzami chrupały przekrawane zwoje usztywniających spirali; nagle zabielały obnażone nogi. Nożyce szybko dobiegły do końca; pusta powłoka zmiała się i rozpląszczyła. Przed nami leżał nagi, nieprzytomny człowiek.

Schrey przystąpił do płyty; przez kilkadziesiąt długich sekund w zupełnym milczeniu wpatrywaliśmy się w leżącego.

Był to młody, może dwudziestoletni chłopiec o bujnych, jasnych, teraz krwią zlepionych włosach. Jego bezbronna nagość zdumiewająco kontrastowała z czarną powłoką, w której tkwił, a która spadła na podłogę, jak zdarta skóra zwierzęca. Ledwo widocznie rysowały się fioletowe krążki na brzuchu, udach i piersiach, tam gdzie w chwili gwałtownego zahamowania wpiły się w ciało lejki przewodów ciśnieniowych. Rozrzucone ręce zwisały z płyty; twarz była bezkrwista, z odcieniem sinawym, w dołkach nadobojczykowych, jakby wyrzeźbionych w alabastrze, prawie niedostrzegalnie drżało tętno.

Z nieskończoną ostrożnością Schrey przyłożył do serca ryjek elektrofonendoskopu, potem nasunął z góry ruchome ekrany i zgasił wszystkie światła. W nagłej ciemności ukazały się zielonkawe powierzchnie ekranów rentgenowskich; pochyliliśmy się nad nimi. Wszystkie stawy, kości, członki były całe. Schrey włączył światło i odepchnął ekrany, które bezszelestnie wzniosły się pod sufit.

Z boku wysunął się otwarty jak połówki orzecha hełm elektroencefalografii i luźno nasunął na głowę nieprzytomnego. Zabrzęczały prądy we wzmacniaczach; Schrey badał mózg. Nagle odezwał się:

— Proszę podtrzymać serce.

Dałem znak. Z dwu stron wychyliły się srebrne chwytacze z gotowymi do wkłucia strzykawkami. Igły zagłębiły się w białej skórze przedramion. Płyn uchodził szybko ze szklanych cylindrów.

— Krew? — spytała Anna.

— Nie.

Krwi nie można było przetaczać. Gdy lecące głową naprzód ciało pilota zostało gwałtownie zahamowane wraz z rakieta, wszystkie jego trzewia i cała krew, praca dalej siłą bezwładu, usiłowały jak gdyby wbić się w głąb klatki piersiowej; urządzenia przeciwwstrząsowe mogły przeciwdziałać temu tylko częściowo; wywarły w tym celu nagły ucisk na jego pierś i jakby obandażowały szyję, lecz były bezradne wobec straszliwego wzrostu ciśnienia śródczaszkowego; należało się spodziewać licznych pęknięć naczyń i

krwotoków mózgu. Przez bezwładne ciało co kilka sekund przechodziło nieznaczne drganie. Pomyślałem, że rozpoczynają się drgawki kloniczne, a więc kora mózgowa jest ciężko uszkodzona. Przypadek zdawał się beznadziejny.

Schrey pochylił się nisko nad ekranem encefaloskopu. On jeden dzięki drżącym krzywym prądowym widział, co dzieje się w mózgu nieprzytomnego. Anna i ja mogliśmy tylko czekać patrząc w jego twarz. Daremnie próbowałem odczytać w niej cokolwiek. W tej pełnej głębokiego milczenia chwili, skoncentrowawszy wzrok na twarzy starego chirurga, po raz pierwszy stwierdziłem ze zdumieniem, że jest piękna.

Miał wielką, wysoko sklepioną czaszkę, lecz wielkość jej równie trudno było spostrzec, jak ogrom katedr gotyckich, dzięki lekkości konstrukcji. Dolne i górne powieki schodziły się teraz w jednakiej odległości od brzegów oczodołu, pozostawiając ostrą, ciemną szparkę; jego pochylona twarz nie miała w ogóle żadnego wyrazu, jakbyśmy oglądali zastygłą maskę, a ta prawdziwa twarz, pełna całkowitego skupienia, była ukryta. Równie nagle, jak znieruchomiał, wyprostował się i szeroko otworzył oczy.

— Ciemieniowe najgorzej... — powiedział i zamrugał jak oślepiony. Milczeliśmy. To, co powiedział, było prawdopodobne od początku, ale jak zawsze, jak w każdym przypadku przekraczającym nasze możliwości, łudziliśmy się. Czekałem decyzji Schreya.

— Jeżeli wyżyje — odezwał się — to albo straci pamięć, albo... będzie epilepsja... Czy wszystko przygotowane?

— Tak — odpowiedziałem jednocześnie z Anną.

— Zaczynamy.

Gdy płyta z ciałem potoczyła się w kierunku stołu operacyjnego, Schrey, nie patrząc na nikogo z nas, dodał jakby do siebie:

— ...Albo jedno i drugie...

Szklane powłoki klosza nakrywającego stół rozchyliły się. Ciało, przesunięte miękkimi ramionami automatu, spoczęło na śnieżystej płycie, odpowiadającej wiernie jego kształtom. Musiało nastąpić całkowite skrwawienie do wnętrzości i zastrzyki nasze niewiele pomogły, gdyż skóra nieprzytomnego była tylko nieco bardziej żółtawa, ale nie ciemniejsza od barwy porcelanowych brzegów stołu. Szklane ćwiartki dzwonu zamknęły się hermetycznie; zarazem drgnęły wskazówki aparatury narkotyzującej. Cichutko syknął sprężony tlen w przewodach. Teraz pilot leżał na stole pod szklistą kopułą. Miękkie uchwyty unieruchomiły przeguby rąk i nóg. Stół opuszczał się, przesuwając manewrując, aż głowica z narzędziami chirurgicznymi zawisała nad głową leżącego. Tymczasem wewnątrz klosza zostało ogrzane, znowu ukazały się podajniki ze strzykawkami, a z bocznej wnęki wychynał, jak pyszczyk węża z ostrym języczkiem, przewód krwiodawczy, gotowy w każdej chwili wpić się w żyłę operowanego.

Schrey wszedł za przegrodę z szafirowej masy; stała tu rozrządcza aparatura stołu operacyjnego. Usiadł przed ekranem, na którym widniała głowa pilota, ręce wsunął po łokcie w czerwone gumowe mankiety; w ich głębi znajdowały się metalowe rękojeści, którymi poruszał, i wtedy z głowicy narzędziowej, wiszącej nad głową chorego jak pęk ściągniętych szponów, wysuwały się kolejno instrumenty.

Bez wezwania Schreya zbliżyłem się do pulpitu z lewej strony, żeby kontrolować działanie serca i oddychanie operowanego; Anna po przeciwnej zawiadywała dostarczaniem do jego organizmu krwi.

W sali oddzielonej od nas niebieską taflą było jasno, gorąco i cicho. Czasem brzęknęło ostrze instrumentu chowającego się pośrodku pęku innych lub jeden za drugim sypały się lekkie trzaski, gdy na obnażonych tętnicach zamykały się tamujące krwotok zaciski. W głębi ekranu widniała ogolona już czaszka; świdry trepanów wpiły się w kość i szły okręgiem, znacząc swą drogę smugą nasiąkających krwią strużyn. Potem zbliżyły się elewatory i wsunęły tępyimi ostrzami pod wyciętą część sklepienia, która podniosła się z niegłośnym cmoknięciem, jak wieczko. Ledwo wycięta kość została podważona, z wnętrza czaszki

wyłąnęła sinoczerwona masa mózgu i wybrzuszała się bardziej, parta ciśnieniem niewidzialnego krwotoku. Wielkie arterie, rozgałęzione w błonach twardej opony, tętniły leniwie. Schrey zmienił skalę powiększenia w ekranie. Teraz była w nim widoczna już nie cała czaszka operowanego, lecz tylko wyolbrzymione pole operacyjne, obramowane pasmami pijących krew gąbek. Lśniący, cienki jak srebrny włoszek nóż schodził pionowo w dół ku mózgowi i dotknął go, zdawało się, niesłychanie delikatnie. Opona natychmiast pękła i rozdarła się. Z wnętrza bluznęła fala krwi, wyrzucając zastygłe skrzepy. Eżektory płynu fizjologicznego oczyszczały pole wąskimi strumykami; płyn wirował, nabierał barwy różowej, czerwonej, wreszcie wiśniowej; krew wciąż płynęła, serwety zmieniały się samoczynnie. Schrey zgarbił się cały, jego ręce, głęboko zanurzone w gumowych mankietach, były niewidoczne, tylko po drganiu ramion można się było domyślić ich pośpiesznej, gorączkowej pracy.

Jeszcze bardziej zbliżył twarz do ekranu. Nagle rozległ się wysoki, powtarzający się głos automatu czuwającego nad krążeniem krwi. Zarazem pole operacyjne poczęło się oczyszczać. Schrey, nie odrywając oczu od ekranu, rzucił:

— Sztuczne serce! — i dopiero po tych ledwo zrozumiałych słowach, wyrzuconych ochryplym głosem, pojąłem, jak wielki jest jego wysiłek.

Przełączyłem przełącznik, oddając w ten sposób wszystkie aparaty mojej strony pod kontrolę Anny, i szybko usiadłem przy bocznym pulpicie. Otwierał się tu drugi ekran, ukazujący nagą pierś operowanego. Wprawilem w ruch noże; natychmiast wcięły się w skórę; zatrzaski chwyciły naczynia, już prawie nie krwawiące. Ciśnienie spadało gwałtownie, automat huczał coraz niższym głosem, nie były to już przerywane dźwięki, lecz ciągły, żałobnie opadający ton. To już nie był szok operacyjny, ale agonia. Operowany umierał. Czulem, że twarz mi drętwieje; pracowałem, jak mogłem najszybciej, gdy wtem odezwał się przenikliwy, kłujący dźwięk, a w naszych ekranach krwawym blaskiem zapłonęły obrzeża, na znak, że serce lotnika ustaje. Jeszcze jedno uderzenie — koniec. Wyczerpane, zatrzymało się w rozkurczu.

— Sztuczne serce!!! — chrapliwie, z dziką wściekłością w głosie wyrzucił Schrey. Do bólu zaciskając zęby, ze wstrzymanym tchem rozcinałem powłoki, żebra pękały pod ciosami nożyc, nareszcie zaciemniał szeroki otwór. Czekał już rurki aparatury krwiodawczej zagłębiły się w ciemności, którą przegnałem rzuconymi z obu stron strugami światła, chwytacze objęły łuk aorty, główna tętnica została przecięta i przyssana próżnią do rurek; gwałtownie włączyłem krążenie — rozległo się coraz szybsze cmokanie wirowej pompy, wskaźniki szły do góry, ciśnienie rosło. Konserwowana krew wpływała w głąb martwego ciała.

Teraz rozciąłem obnażoną tchawicę i do wnętrza wprowadziłem koniec przewodu tlenowego. Wszystkie zegary nad ekranem pulsowały narastającym rytmem, sztuczne serce i sztuczne płuca pracowały. Już nic więcej nie mogłem zrobić. Rozpalonymi oczyma patrzyłem na wiszące pośród sinych płuc, na wpół odcięte jak owoc, martwe serce pilota. Upłynęła jedna minuta, druga — nie poruszało się.

Sztucznie tłoczona krew z trudem, opornie torowała sobie drogę w głąb stygnącego ciała; próżno pracowały grzejne emitery, próżno płynęły strumyki roztworu heparyny. Schrey pracował dalej, operując trupa, który, biały jak marmur, leżał na skośnie przechylonym stole.

— Zwiększyć ciśnienie! — wychrypiał Schrey, jakby stracił głos. Przez mgnienie patrzyłem na niego. Pot leciał mu gradem z czoła, ramię ścieracza chodziło tylko tam i na powrót, osuszając grube jak lzy krople, które zalewały mu oczy. Usta, ścięte w linię ostrą jak nóż, zastygły w bolesnym grymasie.

Zwiększyłem ciśnienie krwi, dudnienie aparatów stało się głośniejsze, szła czwarta minuta śmierci, potem piąta.

— Adrenalina!

Igły zabłyśły w świetle, pochyliły się, zastrzyk poszedł prosto w serce; nagle ta popielatosina bryła mięsa skrzyła się i zatrzepotała.

— Migotanie! — krzyknąłem.

— Elektrowstrząs! — odpowiedział jak echo Schrey. Sam wiedziałem, że to jedyna próba ratunku. Serce, rażone prądem z platynowych elektrod, zadrżało, stanęło i raptownie, bez żadnego przejścia, zaczęło rytmicznie pracować.

— Tak trzymać! — powiedział Shrey głębokim, głuchym głosem.

Sygnal agonalny, który do tej pory huczał nieprzerwanie, zaczął odzywać się krócej i krócej; teraz dopiero na nowo go usłyszałem. Wychyliłem się w bok, żeby spojrzeć w głąb ekranu Schreya.

Wnętrze czaszki to była jakaś krwawa bryja z zaciekami skrzepów; strumyki bezbarwnych roztworów przemywały ją nieznużenie, instrumenty wysuwały się i cofały usiłując wprowadzić płyty mózgowe, lecz było to niemożliwe, gdyż obrzękła tkanka puchnąc przelewała się przez brzegi rany.

— Zwiększyć ciśnienie pod kloszem!

Zrozumiałem. Schrey usiłował choć częściowo wprowadzić wypadłą przepuklinę mózgową, zwiększając ciśnienie zewnętrzne. Było to niesłychanie ryzykowne, groziło uszkodzeniem pnia mózgu, ośrodka oddechowego. Zresztą — pomyślałem — jeśli w rdzeniu przedłużonym są wylewy, cały nasz rozpaczliwy wysiłek na nic. — Wszystkie te wątpliwości przemknęły mi błyskawicznie przez głowę, lecz bez wahania wykonałem polecenie.

Mózg cofał się opieszale. Krążenie nieznacznie się poprawiło; po dalszych dziesięciu minutach można było przystąpić do odłączenia sztucznego serca. Otwór w piersi zaszyłem na glucho, tak samo ranę po tracheotomii. Teraz nieprzytomny dostawał coraz więcej ogrzanej krwi z glukozą i białkiem; Schrey także kończył. Ubytek kosztny czaszki został zamknięty, z góry, wijąc się, jeden za drugim spływały tampony metaliczne, podobne do folii aluminiowej. Zacykał aparat szyjący, eżektory raz jeszcze uderzyły strumieniami płynu, potem zaświeciły wielkie, białe lampy sufitowe i ekran zgasł.

Schrey wstał, a raczej zatoczył się od pulpitu. Podtrzymałem go ramieniem, wargi mu się trzęsły, usiłował coś mówić, przeczyć, odpychał mnie, zdawało mi się, że złowiłem wyszeptane ziającym oddechem słowa: „ja sam”, ale go nie puściłem. Anna podeszła do nas, we troje wyszliśmy zza osłony.

Przed nami, na skośnie uniesionej tafli, leżało nagie ciało młodzieńcze. Od wąskich stóp wystrzelało ku biodrom; z ich ścięgnistej zwory wznosiły się łuki torsu. Szyja jak mocna, biała łodyga podtrzymywała skłonioną w bok, obciążoną czepcem bandaży głowę z opuszczonymi do snu powiekami. Nikły jeszcze oddech to pogłębiał, to spłycał cienie w zakłęśnięciach obojczyków. Staliśmy nieruchomo, a pierś rozdymała się, żebra grały i widać już było, jak krew niewidzialnym nurtem podbija pulsy ciała. Wtedy ogarnęła mnie wielka radość, jak gdybym po raz pierwszy ujrział jęgo uratowane od zagłady piękno.

PILOT AMETA

Pierwsi astronauta, którzy przed jedenastu wiekami wyruszyli na podbój kosmosu, wyobrażali sobie krajobraz podróży jako czarną, wyskrzconą głąb, na dwie czasze rozdzieloną pierścieniem Drogi Mlecznej; wiedzieli, że ujrzą znane z Ziemi konstelacje jako olbrzymie chmury światła, bryłowe zawieszony w otchłaniach, i oczekiwania ich spełniły się, zarazem jednak doświadczyli tego, czego wyobrazić sobie nie może nikt, kto sam nie był wśród gwiazd.

Starożytni żeglarze unosili się nad rozległością oceanu, lotnicy — nad niezmiernym przestworzem atmosfery, pierwsi zdobywcy krain biegunowych opiewali bezkresny ogrom Białego Milczenia, czym jednak są wielkości ziemskie w porównaniu z próżnią, w której goreją miliardy światów? Nieprawda, że wielka przestrzeń jest rzeczą tego samego rodzaju co przestrzeń mała, jak powiada chiński filozof w prastarej przypowieści. Zrodzone na Ziemi uczucia, nawyki, nadzieje rozpadają się już w pierwszym zetknięciu z nieskończonością.

Wszelka ocena odległości na oko jest tu niemożliwa. Jakaś spostrzeżona iskierka może być równie dobrze światłem drugiego statku, mknącego w pobliżu, jak gwiazdą wysyłającą swe promienie poprzez tryliony kilometrów pustki. Przedmioty, trafione blaskiem słonecznym, ukazują się raptownie, wychodząc zaś z jego zasięgu, okryte cieniem jakiegoś ciała niebieskiego, znikają tak nagle, jakby nigdy nie istniały. Zarazem znika poczucie ruchu. Rakieta może zawisnąć bezwładnie lub mknąć z najwyższą szybkością — gwiazdowe niebo pozostaje jednakowo nieruchome. Każda zmiana kierunku rakiety, każdy zwrot i zakręt postrzegane są jako ruchy sfery gwiazdowej i wszystkie zmysły jednoczą się, by złudzenie to stało się zupełne. Na Ziemi dobroczynne działanie perspektywy powietrznej, zmiękczejaczej ostrość rysunku dalekich planów, osadza każdy przedmiot we właściwym miejscu skali przestrzennej, w próżni natomiast rzeczy są widzialne albo dobrze, albo wcale; brak tu jakichkolwiek przejść, przyćmień, półtonów, istnieje tylko bezwzględny blask i równie bezwzględna ciemność.

Starożytni żeglarze niewiele myśleli o głębinach rozpościerających się pod powierzchnią mórz, nie one były ich wrogiem, to nieprzyjazne wichry, burze, tajfuny atakowały i topiły ich statki, nadsyłając wszakże widzialne zwiastuny. Wróg zapowiadał swe przybycie spiętrzonymi falami, zamętem wody i chmur. Stając z nim oko w oko, doznawali jego potężnych ciosów i uderzeń, parowali je i zwyciężali lub ginęli w walce. Nic podobnego nie istnieje wśród gwiazd. Dopóki nie wynaleziono nieustającej osłony radarowej, statki były narażone na ciosy nadlatujących meteorów; często ułamek sekundy dzielił całkowitą pogodę podróży od unicestwienia w śmiertelnym zderzeniu. Potem stworzono i krok za krokiem doskonalono środki obrony; nieustannie opłacane ofiarami, poczęły tworzyć się zasady i prawa żeglugi gwiazdowej, niepodobne do ziemskich.

Tak na przykład mówi się o spotkaniach rakiet. Są one notowane w księdze okrętowej jako bliskie, jeżeli statki przechodzą obok siebie w odległości kilku tysięcy kilometrów, to znaczy jakby na przeciwległych krańcach największego oceanu ziemskiego, a jeśli mijają się o przestrzeń równą średnicy Ziemi, wydarzenie to jest jeszcze zapisywane jako spotkanie i tak być musi, gdyby bowiem ludzie usiłovali przenieść nie zmienione obyczaje ziemskiego podróżowania w otchłań kosmosu, skazaliby się na ostateczną samotność. Jak wynika bowiem z elementarnego obliczenia, między planetami mogłyby krążyć nie miliony, ale miliardy statków, a jednak upłynęłyby tysiąclecia, zanim jeden przeszedłby obok drugiego dość blisko, żeby go można dostrzec nie uzbrojonym okiem.

Każdy z nas, współczesnych, sądzi, że zna krajobraz podróży gwiazdowych. Przywykamy doń od najwcześniejszej młodości, poznajemy jego bezdenny mrok i lodowatą pustkę, lecz dzięki bezpieczeństwu lotu, sprawności statków i ciągłemu obcowaniu z czarnym niebem,

otwierającym się w oknach pocisków, przychodzi do pewnego oswojenia z widokiem; podróżny zaczyna coraz większą uwagę zwracać na planety, które są dla próżni tym, czym dla pejzażu ziemskiego wzgórze, drzewa, rzeki, tym, co nadaje mu piętno zmienności; prawda, że nikłej, ale dostrzegalnej, a to już znaczy wiele. Tarcze jednych globów zmniejszają się, innych rosą, księżycy i planety wchodzą w rozmaite fazy, wędrują po trwającym w bezruchu gwiazdowym tle i w taki sposób naocznie doświadczają się postępów podróży, mając przy tym w zasięgu spojrzenia — inaczej niż na Ziemi — zarówno punkt wylotu, jak i jego cel.

Z historii kosmonautyki znane są opisy lęku, jaki opanowywał podróżników, kiedy na czas jakiś Ziemia skrywała się za którymś ciałem niebieskim. Niejeden młody człowiek uważa podobne wyznania za oznakę słabości; czym bowiem, sądzi, może być dla patrzącego z odległości milionów kilometrów błękitna plamka świetlna, na której nie można nawet rozróżnić zarysu kontynentów i oceanów? Ale podobnie jak starzy kosmonauci przekonali się o tym, że przestrzeń międzyplanetarna nie jest rzeczą tego samego rodzaju co przestrzeń ziemską, tak samo my, ludzie Gei, poznaliśmy prostą i ciężką prawdę, że podróż krótka w niczym nie jest podobna do podróży długiej.

Jak wiadomo, Gea nie ruszyła od razu w kierunku południowego bieguna Galaktyki, lecz przemierzała najpierw cały układ słoneczny w płaszczyźnie ekliptyki. Minęliśmy więc pozaziemską strefę małych planet, w której wiruje około 260 miliardów asteroidów, potem, za Marsem, przecinaliśmy widoczne jako czarne linie na mapach nieba tory licznych komet rodziny Jupitera, które ten olbrzym naszego układu uczynił swymi niewolnikami, wychwytyjąc je w przestrzeni potęgą swej daleko rozpościerającej się grawitacji. Nieustannie przemieszcza on ich drogi, aż wreszcie wygania je za granice systemu bądź też lokuje na trwałej orbicie. W ciągu dwudziestu ośmiu dni, kiedy Gea z szybkością dochodzącą do tysiąca kilometrów na sekundę biegła przez wewnętrzne obszary systemu słonecznego, przekładając sobie drogę w rojowisku planetoid, meteorów i komet, poddane zostały próbie sprawności wszystkie jej urządzenia nawigacyjne. Przez ten czas żyliśmy wydarzeniami nadchodzącymi — z zewnątrz; rzadko nawiedzane globy pozajupiterowe powiększały się i rosły, umożliwiając obserwację gołym okiem swych gigantycznych powłok gazowych, wzburzanych wirami głębokich prądów; średnice ich osiągały leniwie maksimum i poczynaly maleć; jedna wielka planeta za drugą odchodziła w tył, otoczona rojem zastygłych, lodowych satelitów, aż jako drobna, świetlista plamka kryła się daleko za rufą Gei. Zarazem postępowanie podróży uwidoczniło się w słabnięciu blasku Słońca, aż na wysokości Plutona stało się ono jedną z gwiazd nieba, tyle że najjaśniejszą. Ziemi nie można już było dostrzec od wielu dni; jej słaba iskierka ginęła w potokach światła bijącego z gwiazdy macierzystej.

Pomiędzy orbitą Urana i Neptuna spotkaliśmy w odstępnie trzynastu dni dwie rakiety z rodzaju bezludnych stacji kosmodromicznych, patrolujących te martwe, wyziębłe przestworza w nieustannym poszukiwaniu komet i meteorów nie umieszczonych dotąd na mapach nieba; o swych odkryciach zawiadamiają one i ostrzegają inne statki sygnałami radiowymi. Mówię, żeśmy te kosmodromiczne stacje spotkali, ale oczywiście minęliśmy je poza zasięgiem wzroku, a nawet teleskopów; dały o sobie znać rytmicznie napływającym pulsem radiosygnarów, co pozwoliło dokładnie określić ich położenie i kierunek lotu. Te statki patrolowe, w liczbie około szesnastu tysięcy, należą do najdłużej przebywających w przestrzeni pomiędzy jednym a drugim powrotem w strefę małych planet, kiedy wezwane drogą radiową przylatują, żeby w jednym z portów układu wewnętrznego napełnić zbiorniki paliwem na następny dziesiątek lat.

W pobliżu orbity Cerbera astrogatorzy poczęli wyprowadzać powoli okręt z płaszczyzny układu słonecznego. Odtąd Gea wejść miała w morze próżni; rozpoczynało się jej nieustanne rozpędzanie do coraz większej szybkości. Jak powiedziałem, przeciętna prędkość przy przecinaniu ekliptyki wahała się około tysiąca kilometrów na sekundę. Tak poruszaliśmy się osiemdziesiąt dwa dni i przebyliśmy w tym czasie z górą sześć i trzy czwarte miliarda

kilometrów. Nie uprzedzonemu mogło się to wydawać okazałym szmatem drogi, lecz nazajutrz po przebyciu granicy układu słonecznego na ścianach sterowni ukazały się mapy o skali milion razy większej od używanych dotąd. Przemierzona do tej pory przestrzeń była na nich w ogóle niedostrzegalna, gdyż cały system słoneczny wraz z najdalszymi planetami, aż po swój kres, przedstawiał się na nowych mapach jako drobny, czarny punkt.

Niejeden z nas mimo woli wyobrażał sobie, że przestwór pozaplanetarny wyglądać będzie inaczej niż zbadany i poznany dotąd. Choć wiedzieliśmy, że tak być nie może, w dniu, w którym ogłoszono przecięcie orbity Cerbera, wyszliśmy rankiem na pokłady z uczuciem tajonego podniecenia. Gwiazdowe niebo ukazało się nam jednak niezmiennie nieruchome.

Stałem na przednim pokładzie widokowym. Gwiazda polarna, skryta za rufą, była niewidoczna. Gea, leżąc na bezpośrednim kursie, spadała niejako od północnego bieguna czary gwiazdowej ku południowemu, gdzie w rozległym półwyspie Drogi Mlecznej jaśniał cel podróży — słońca Centaura.

Przed nami rozpościerała się Galaktyka. Ogromne, skotłowane białawo, ciągnęły się jej zastygłe chmury w bryłowatych spiętrzeniach pośród otchłani, poprzedzielane rozziewami ciemności, które przemykały kretu przez gwiazdziste masywy: były to obłoki czarnej, zimnej materii kosmicznej, osłabiające światło wiszących za nimi gwiazd. Wzrok biegł mimo woli wzdłuż tych kontynentów świetlnych w przód, ku słońcom Centaura. Tam, w obszarze bogato nawiedzonym światłami, w miriadach gwiazd tak słabych, że spoczywające na nich oko rychło przestawało je widzieć, jakby topniały w spojrzeniu, jaśniały ognie Krzyża Południa, a po drugiej stronie galaktycznego bieguna, przy lśniącej jak brylantowe szczyty kulistej gromadzie Tukana 47, świeciły Obłoki Magellana.

Światło Wielkiego Obłoku szło przez dzielącą nas przestrzeń 80 000 lat. Ta chmura gwiazdowa, licząca bez mała pięćset milionów słońc, trwała na czarnym tle jako strzęp białawej mgły nieregularnego kształtu. Opopadał, otoczony strzępkami poświaty na granicy widzialności, świeci Mały Obłok, niby odbicie pierwszego w nieskończenie dalekim, czarnym zwierciadle.

Oba te satelity naszej Galaktyki ciągnęły za nią w jednakiej od milionów lat odległości, utrzymywane na wodzy siłami grawitacji.

Rozmawiałem z towarzyszami o tym, że widoczność polepszyła się od czasu, kiedyśmy opuścili układ słoneczny, w którym krążą zaćmiewające światło cząstki pyłowe; po jakiejś godzinie rojny pokład zaczął się wyludniać. Powoli wszyscy się rozeszli i zostałem sam. Dziwnie pochłaniało mnie wpatrywanie się w obłoki gwiazd; odczuwałem niemal fizyczny wysiłek wzroku, zmagającego się z bezdennymi przestrzeniami. Widok był wciąż taki sam, a przecież nie nużył, może dlatego, że budził coraz to nowe myśli, których jednak nie umiałbym wyrazić.

Stałem tak zapatrzony, a gwiazdy świeciły — nie tym zmiennym, chwiejnym, jak gdyby kapryśnym blaskiem ziemskich nocy, lecz światłem tak stałym i nieruchomym, jakby to były utrwalone w czarnych, lodowatych powłokach iskry. Wtem posłyszałem zupełnie blisko szept; spojrzałem w tę stronę. Może dwa kroki ode mnie stał ktoś, jak ja zapatrzony w próżnię. W panującej ciemności dostrzegłem tylko, że jest o głowę prawie niższy ode mnie. Wydało mi się, że to jakiś chłopiec. W pewnej chwili niegłośnie powiedział:

— Tam jest serce Galaktyki... — i gestem, którego domyśliłem się raczej, niż go zobaczyłem, wskazał strefę, gdzie schodziły się gwiazdozbiory Strzelca, Wężownika i Skorpiona. Obaj spoglądaliśmy teraz w ten obszar; Strzelec wisiał nad nami gwiazdową chmurą, najjaśniejszą ze wszystkich, rozdzielony trójramiennym rozlewiskiem mroku.

Mój towarzysz w dalszym ciągu szeptał do siebie. Przywykły do jednostajnego szmeru jego głosu, zacząłem chwycić pojedyncze słowa; wymieniał nazwy konstelacji, ale nie jak astronom–klasyfikator, lecz jak ktoś radujący się okazami przedziwnego zbioru.

— Żagle — mówił — Skorpion... Korona Południowa... Kameleon... Ryba Latająca...

Sieć...

— Cóż za niesłychaną fantazję mieli ci starożytni — odezwał się nagle głośniejszemu, jakby podejmując przerwana na chwilę rozmowę — czego też oni nie widzieli w tym chaosie światłek! Próbuję i próbuję złożyć z nich coś podobnego do tych nazw, ale nie potrafię.

Zarówno jasne brzmienie jego głosu, jak to, że nazwał gwiazdy „światełkami”, utwierdziło mnie w przekonaniu, że to młody chłopiec. Nie odpowiedziałem mu, bo mówił jak gdyby głośno do siebie. Wtem, wciąż nie patrząc na mnie, rzekł:

— Ty jesteś doktorem, prawda? Powiedz, jak się ma nasz nowy towarzysz? — A gdy milczałem, nie rozumiawszy go, dodał: — Ten chłopiec z Ganimeda, któregoście operowali.

— Żyje, ale jest nieprzytomny — odparłem nieco oschle, gdyż winien był wymienić choćby swoje nazwisko, gdy zwracał się do starszego; by mu udzielić drobnej, lecz słusznej, jak sądziłem, nauki, spytałem trochę obcesowo:

— A kto ty jesteś?

— Ja?

W jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

— Jestem Ameta... pilot.

Przez dłuższą chwilę milczałem, zaskoczony. Na Gei znajdowało się czterdzieści kilka rakiet pokładowych; mieli je pilotować specjalnie przeszkoleni ochotnicy, rekrutujący się przeważnie z techników, fizyków i inżynierów. Na całej Ziemi tylko niewielka stosunkowo grupa ludzi poświęcała się wyłącznie pilotażowi; pracowali oni w Ośrodkach Szybkości Światłowej, a pięciu czy sześciu wchodziło w skład naszej załogi. Najbardziej wśród nich znany był Ameta, jedyny, o ile wiem, człowiek, który w locie eksperymentalnym przekroczył szybkość 190 000 kilometrów na sekundę i mimo ciężkich zaburzeń organizmu został przywrócony do życia. Zaskoczenie moje było tym większe, iż wyobrażałem go sobie jako ogromnego, atletycznego mężczyznę, gdy tymczasem, sądząc z sylwetki i głosu, był to młokos. Kiedy skierował się do wyjścia z pokładu, ruszyłem za nim.

W matowym świetle wewnętrznego korytarza przyjrzałem mu się po raz pierwszy. Był niski, prawie mały, krępy, z nieproporcjonalnie dużą głową o sterczącej, miedzianej czuprynie; twarz miał suchą, nos zgięty u końca, twardo wyrzeźbiony, pełne wargi mocno dociśnięte, jakby z bezwiednym wysiłkiem chroniły jakąś tajemnicę. Poruszał się lekko, ale tak, że wyczuwało się masywność ciała, jak gdyby pod ubraniem było utworzone ze skręconych ciasno sprężyn, gotowych w każdej chwili rozwinąć się z impetem. Zrazu pomyślałem, że ma ze dwadzieścia lat, gdyśmy jednak przeszli w głąb korytarza, oświetlonego coraz silniej w miarę jak oddalał się od pokładu gwiazdowego, dostrzegłem w kącikach jego oczu ostre zmarszczki. Mówiąc patrzył mi w twarz, jakby nieustannie szacował, ile jestem wart.

Korytarz rozszerzał się. Z jednej strony widniała obszerna wnęka z fotelami, a w przeciwległą ścianę wpuszczony był szklany bok akwarium. Z głębi płynął zielonkawy blask; widniały tam cienie wielkich ryb, poruszających się leniwie. We wnęcie siedział astrogator Songgram i jasnowłosa dziewczyna, którą znałem tylko przelotnie, Lena Berens, asystent okrętowej placówki IPP-u. Usiedliśmy przy nich. Ameta milcząc patrzył jakiś czas w szklaną tafłę; jego kasztanowomiedziana czupryna stała się w podwodnym świetle prawie czarna.

Znienacka powiedział:

— Dlaczego my właściwie lecimy do innych gwiazd?

— Ktoś musiał przecież pierwszy — zaczęła Lena, ale przerwał jej; jak się okazało, nie uchwyciła jego myśli, jak i ja zresztą.

— Dlaczego my lecimy do innych gwiazd, a do nas, na Ziemię, nikt nigdy nie przyleciał?

Wywiązała się dyskusja na temat, czy przybysze z innych układów nie mogli pojawić się na Ziemi w epokach zamierzchłych, kilka tysięcy czy nawet milion lat temu.

Na koniec Songgram rzekł:

— W gruncie rzeczy nasz układ słoneczny jest mało atrakcyjny. Najpierw, leży na dalekiej peryferii Galaktyki, w rozrzedzeniu gwiazdowym, pomiędzy ramionami spirali mgławicowej, w odległości około 30 000 lat świetlnych od środka; jesteśmy więc głuchą, zapadłą „prowincją” wszechświata. Dalej, ze wszystkich planet tylko Ziemia posiada wysoko rozwinięte formy życia organicznego, a jest to jedna z najmniejszych planet, bardzo trudna do obserwowania z większych odległości; wreszcie na przestrzeni ostatnich kilkuset milionów lat przechodziła wraz z innymi globami epoki zlodowacenia; wszystko to mogłoby odstraszyć nawet najbardziej zapalonych astronautów innego świata do złożenia nam wizyty.

Ameta skinął głową:

— Masz słuszość, mało jest szans, żeby się kto wybrał do nas w gości... ale — dodał — to szkoda. Dawniej ludzie albo wcale nie myśleli o istotach z innych światów, albo chcieli je poznać z ciekawości, a teraz jest w nas taka tęsknota, jak kiedy idzie się nocą daleko i chce się spotkać kogoś...

Nie myślałem, że usta pilota mogą stawać się tak miękkie. Swoim zwyczajem musiał patrzeć komuś w oczy, gdy mówił; teraz złączył spojrzenie z oczami Leny, która najpierw podniosła lekko powieki, a potem opuściła je jakby w obronie. Po chwili wstała i zaproponowała, żebyśmy przeszli do ogrodu. Songgram, który miał właśnie objąć dyżur w sterowni, skinął nam głową i oddalił się do windy. We trójkę poszliśmy w drugą stronę; wychodząc ostatni z niszy, zalewanej wciąż migotliwym blaskiem padającym z głębi akwarium, otarłem się prawie o szklaną ścianę i napotkałem wzrok wielkiej ryby o podkowiasto wygiętych, białawych ustach; kołysała się nieznacznie w miejscu, a dwa słuzowe wyrostki, jakby wąsy wyrastające po bokach gęby, chwiały się ni to głupkowato, ni to szyderczo. U głazów nad potoczkiem dostrześliśmy grupę towarzyszy nucających jakąś piosenkę. Przeszliśmy w drugi kąt ogrodu; w tym celu trzeba się było wznieść na mały, łozami porośnięty pagórek, z którego gliniastym wąwozikiem schodziło się do altanki, ukrytej wśród wysokich krzaków bzu i leszczyny. Szedłem ostatni i zatrzymałem się na szczycie wzniesienia, żeby popatrzeć na czerwone słońce; jego tarczę przecinały wąskie, czarne na oslepiającym tle pasy chmur. Zdawało mi się, że stałem kilka minut, ale trwało to dłużej, bo kiedy wszedłem do altanki, gęstniał już błękitny zmierzch. W liściastym wnętrzu było prawie ciemno. Usłyszałem głos Amety:

— W kosmosie nie ma błękitu ani kolorów, ani cieni i wiatru, ani dźwięków wody i głosów ptasich. Naturalne są w nim rozżarzone gazy, lodowe planety, wieczna noc i próżnia. Ziemia jest czymś bardzo rzadkim i niezwykłym... Pytasz, dlaczego jestem pilotem? To jakbyś pytała, dlaczego właśnie ten kamień daje oparcie twoim nogom; gdyby go nie było, musiałby na tym miejscu być inny.

— Rozumiem to — odparła Lena; poruszyła się i dostrzegłem złotawy blask jej włosów. — Ale ty nie jesteś przecież kamieniem, nikt cię nie postawił na tym miejscu, sam je wybrałeś.

— Mmm — zamruczał Ameta i mimo woli znowu, wbrew rzeczywistości, wyobraziłem go sobie jako barczystego olbrzyma. — Czy naprawdę wszystko musi być powiedziane do końca? Dlaczego jestem pilotem? Niektórzy sądzą, że to zawód odmienny od wszystkich, że gram niby wciąż z przypadkiem o życie. To nieprawda; nie jestem ani graczem, ani bohaterem, ani nawet głupcem; żyję jak inni, tylko może...

— Tylko może? — powtórzyła cicho Lena i po brzmieniu jej głosu poznałem, jak bardzo jest zaszuchana.

— Mocniej.

Zdawało się, że zastanawia się nad tym, co ma teraz powiedzieć.

— Pytasz, dlaczego zostałem pilotem? Widzisz, ja... chcę, żeby można było podróżować po Galaktyce. Do tego trzeba największych szybkości. Niektórzy mówią, że to niemożliwe. Gdybym tylko wierzył, że mam słuszość, byłoby to bardzo mało. Ryesz twierdził, że

człowiek nie może przekroczyć szybkości 180000 kilometrów na sekundę; chciałem wykazać, że to nieprawda. Udowodnić tego teoretycznie nie umiałem, musiałem więc obalić teorię samym sobą...

— Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego... byłeś wtedy uśmiechnięty? — powiedziała cicho dziewczyna. — Wybacz, nie wiem, czy to prawda...

Ameta chrząknął, jakby zmieszany.

— A, słyszałaś o tym? Tak. Kiedy mnie wydobyli z kabiny, miałem na twarzy uśmiech. To może nierozsądna historia. Gdy włączyłem przyspieszacz, zaczęło się to wszystko, co nazywają migotaniem świadomości, wiesz. Walczyłem z tym, jak długo mogłem, potem zamroczenie zaczęło się zwiększać i nie wiedziałem, co zrobić, żeby się to nie skończyło; już nie widziałem i czułem, że zaraz stracę przytomność. Nie chciałem umrzeć, ale jeszcze więcej nie chciałem, żeby się to skończyło, dlatego zacząłem się śmiać — i tak zemdlałem.

— Nie rozumiem... Nie chciałeś, żeby się skończyło — co?

— Loty — wyjaśnił prosto Ameta. — Nie rozumowałem logicznie, nie byłem do tego naturalnie zdolny, ale przedstawiałem to sobie chyba tak: Kiedy otworząabinę i zobaczą, że uśmiechałem się do końca, pomyślą, że to... nie takie trudne. — Zawahał się. — Wiem, że trzeźwo opowiedziane, głupio to brzmi, powtarzam zresztą: nie myślałem już, bo nie mogłem. Możesz to nazwać rodzajem odruchu.

— Mogłeś zginąć — ledwo słyszalnie powiedziała dziewczyna.

— Tak. Roztrząsałem to. Kiedy człowiek umiera, umierają jego wspomnienia i przyszłość; wszystkie możliwości, które nie rozwinęły się, i uczucia. Nie ma w tym krzywdy ani żalu, bo umarli to nieobecny, a jak może ktoś, kogo nie ma, smucić się własną dolą? To proste, są tylko pewne konsekwencje, ale może... nie będziemy o tym mówili.

— Nie chcesz?

— Owszem, mogę — odparł jakoś oschlej. — Rzecz w tym, że nie wiąże się z nikim, prócz tych, co są do mnie podobni.

Gdy Lena odeszła i zostaliśmy we dwóch w pogrążonej już w mroku altanie, powiedziałem:

— Pilocie, zły wybrałeś sposób odstraszania dziewcząt... jeśli nie chcesz złączyć się z żadną.

— Nie od siebie odstraszam dziewczęta — odparł i poznałem po głosie, że się uśmiecha — ale od wyniosłego bohatera, jakim nie jestem. Otacza nas fałszywy romantyzm, w który niejedna się zapatrzy. Czasem musi się wtedy zadać ból; to trzeźwi. No cóż, mam stare zasady, rosły i chowały się ze mną.

— Czekał — powiedziałem — ile ty masz właściwie lat?

Po wszystkim, co mówił, podwyższyłem poprzednią ocenę: dwadzieścia osiem, może nawet trzydzieści.

— Czterdzieści trzy. Tak, mam stare zasady, ale gotów jestem je złamać, jeśli będzie trzeba...

Wyszliśmy razem. W przejściu trafiła nas sącząca się przez żywopłoty smuga światła. Płynął stamtąd chórny, niegłośny śpiew. Wtedy raz jeszcze tego wieczora zobaczyłem Ametę i po raz trzeci zdziwiłem się, że jest taki mały.

Wracając do siebie spojrzałem na zegarek — dochodziła jedenasta. W korytarzach dzieńne światło zastąpił błękitnawy brask nocnych lampek. Okręt pogrążony był w mroku, cisza panowała na wszystkich pokładach. Pojechałem do szpitala. Separatkę, w której spoczywał chłopiec z Ganimeda, zalegała ciemność. Dzięki nawiązaniu łączności radiowej z Ziemią wiedzieliśmy, że był absolwentem kosmonautyki; za trzy miesiące miał powrócić do domu, a teraz stał się mimowolnie uczestnikiem gwiazdowej podróży.

Fiołkowa lampka, umieszczona z dala od wezglowia łóżka, słabo rozświetlała kąt pokoju. Wszedłem ostrożnie. Twarz leżącego była nieruchoma. Tylko najsłabsze drżenie nozdrzy przy

wdechu zdradzało, że życie pulsuje w jego ciele. Nieprzytomność przedłużała się; Schrey wspominał o konieczności zbadania mózgu, odwlekaliśmy jednak ten zabieg, pragnąc, by młodzieniec odzyskał siły po ciężkiej operacji.

Stojąc nad łóżkiem śpiącego, obserwowałem jego twarz uważnie, jakby usiłując odczytać jej tajemnicę, lecz nie było w niej nic prócz wielkiego wyczerpania. Wtem długie cienie rzęs na policzkach zadrżały, wstrzymałem oddech, sądząc, że się budzi, ale westchnął tylko gardłowo i ponownie znieruchomiał. Sprawdziłem czuwający u wezgowia automat i wyszedłem na korytarz.

Kiedy kroczyłem lustrzaną posadzką sieni, wzrok mój mimo woli spoczął na araukarii. Uświadomiłem sobie, że jej delikatne igły, skłonne do dygotania przy najlżejszym poruszeniu, mkną wraz z całym pociskiem ze straszliwą szybkością. Przymknąłem oczy. Gea, ogromne metalowe wrzeciono niosące maszyny i losy ludzkie, pędziła prosto przez wieczną noc. Gdzieś w głębi otaczających ją mroków sunęły odłamy żelaza i kamienia, rozpadłe głowy komet i szczątki roztrzaskanych globów. Komety tylko w pobliżu słońca poruszają się szybko; w najbardziej oddalonych punktach orbity, afeliach, pełzną leniwie, czyhając tam, ciemne i zlodowaciałe, na rakiety. Wartość ochrony radarowej malała ze wzrostem chyżości statku; okręt nasz nie mógł już manewrować, gdyż każda ewolucja spowodowałaby potworne zmiany przyspieszenia, od których konstrukcja zostałaby rozszarpana, a ciała ludzkie obrócone w pianę. Ogólna masa meteorów, błędzących w pobliżu systemu słonecznego, wynosi miliardy ton, lecz obliczenia statystyczne wykazały, że szansa zderzenia nie przekracza jednej siedemnastomilionowej. Ruszyłem dalej. W drzwiach mieszkania przystanąłem, żeby sprawdzić, czy nie zapomniałem czasem w ogrodzie notatnika, ale był w kieszeni na piersiach; gdy oderwałem od niej rękę, rozległ się powolnie narastający świst, który biegł ze wszystkich naraz stron przestrzeni.

Okręt rozpędzono raz na dobę, nocą. Instrukcje zalecały porzucanie wtedy pracy i zajęcie pozycji leżącej, chociaż nie było to konieczne. Przed uruchomieniem silników odzywały się ostrzegawcze aparaty sygnałowe, ukryte we wszystkich bez wyjątku pomieszczeniach, i ich to właśnie przytłumiony, lecz wyraźny dźwięk dobiegł mnie na progu pokoju. Zastygłem i pochyliwszy głowę, z zamkniętymi oczami długo słuchałem tego głuchego, monotonnego głosu, który odtąd miał mi towarzyszyć przez lata.

TRIONY

Każdy z nas, współczesnych, posiada sztukę pisania, jednakowoż nieczęsto przychodzi czynić z niej użytek; co się tyczy pisma, to muszę przyznać, że w skryty podziw dla starożytnych wprawia mnie ta ich umiejętność; ilekroć przyszło mi napisać więcej niż kilkanaście zdań, odczuwałem rychło tak silne zmęczenie ręki, że musiałem czynić dłuższe przerwy. Historycy tłumaczyli mi, że dawniej, kiedy sztukę kaligrafii wpajano dzieciom od najwcześniejszej młodości, organizm odpowiednio przystosowywał się do tego i ludzie potrafili podobno pisać całymi godzinami — wierzę w to, choć rzecz wydaje mi się dziwna.

Za jeszcze dziwniejszy uważam upór czy raczej konserwatyzm, z jakim przez długie wieki stosowano archaiczny sposób magazynowania wszelkiej wiedzy w sporządzonych z papieru książkach — jest to zdumiewający dowód bezwładności nawyków, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Stosując odziedziczone środki, ludzie często komplikują sobie przez to wiele problemów, które, rozważone w oderwaniu od tradycji, dałyby się pokonać znacznie prościej i szybciej.

Dokumenty pisane istnieją (moja wiedza historyczna jest bardzo uboga), jak się zdaje, od wielu tysięcy lat; różne cywilizacje wytworzyły odmienne rodzaje pisma. Wynalazek druku przyniósł wielkie udogodnienia, sądzą jednak, że już w XX i XXI wieku takie magazynowanie informacji było utrudniającym życie anachronizmem. Jak wiadomo, istniały wówczas tak zwane biblioteki publiczne, nieustannie kompletujące zestawy istniejących druków; już z końcem XX wieku każdy wielki księgozbiór liczył kilkanaście do kilkudziesięciu milionów tomów i proces wzrostu ich liczby przyśpieszył się po zapanowaniu komunizmu i związanym z tym upowszechnieniem oświaty. Centralne biblioteki kontynentów posiadały w roku 2100 przeciętnie po 90 milionów książek, ich fundusz podstawowy podwajał się co dwanaście lat i już w pół wieku później największe, takie jak berlińska, londyńska, leningradzka czy pekińska, miały po siedmuset katalogujących bibliotekarzy. Obliczano wtedy, że za sto lat w każdej bibliotece będzie ich musiało pracować około trzech tysięcy, a po dalszych dwustu latach — około stu osiemdziesięciu tysięcy. Nieodparcie nasuwała się groteskowa wizja świata z roku 2600, pokrytego grubą warstwą książek i katalogów; cała ludzkość musiałaby się przemienić w bibliotekarzy czuwających nad bezustannie rosnącymi stosami dzieł, gdyż proces ich starzenia się i wycofywania z bibliotek był — w epoce coraz powszechniejszej twórczości umysłowej — wielokrotnie powolniejszy od tempa, w jakim pojawiały się nowe.

Wprowadzane w pierwszej połowie trzeciego tysiąclecia innowacje miały charakter zachowawczy. Tworzono biblioteki specjalne, działowe, wprowadzono masowo mikrofilmy, skonstruowanie zaś automatów katalogujących zlikwidowało karykaturalną wizję ludzkości przemienionej w jeden ogromny zespół strażników ksiąg, nadal jednak powstawały katalogi katalogów i bibliografie bibliografii i proces ten wikał się coraz bardziej, tak że wreszcie, koło roku 2400, uczony potrzebujący jakiegoś starego dzieła musiał na nie czekać czasem i tydzień, rzecz, która wydaje się nam nonsensem z uwagi na to, że ówczesni ludzie na dobrą sprawę mieli już do dyspozycji środki techniczne pozwalające odmienić radykalnie tak niekorzystny stan rzeczy.

Mimo to sprzeczność między archaicznymi formami przechowywania wiedzy a jej nową treścią narastała aż do połowy tysiąclecia; dopiero w roku 2531 światowa narada najwybitniejszych specjalistów ustaliła zupełnie nowy sposób utrwalania myśli ludzkiej.

Posłużyły do tego dawno już odkryte, lecz stosowane tylko w technice triony — kryształki kwarcu, których strukturę cząsteczkową można trwale zmieniać działaniem drgań elektrycznych. Nie większy od ziarnka piasku kryształek mógł zawrzeć w sobie ilość informacji równoważną starożytnej encyklopedii. Reforma nie ograniczyła się tylko do

zmiany sposobów zapisu; decydujące było wprowadzenie jakościowo nowego sposobu korzystania z trionów. Stworzona została jedyna na całej kuli ziemskiej Biblioteka Trio— nowa, w której odtąd miały być magazynowane wszelkie bez wyjątku płody pracy umysłowej. Specjalnie wiele trudu pochłonęło przełożenie na język współczesny dzieł odziedziczonych po kulturach starożytnych, dla umieszczenia ich w Bibliotece Trionowej. Ten gigantyczny zbiór tworców umysłowości ludzkiej posiada urządzenia umożliwiające każdemu mieszkańcowi Ziemi doraźne korzystanie z dowolnej, byle utrwalonej w jednym z miliardów kryształów informacji, a to dzięki prostemu urządzeniu radiotelewizyjnemu. Posługujemy się nim dziś, nie myśląc wcale o sprawności i potędze tej olbrzymiej, niewidzialnej sieci opasującej glob; czy w swej pracowni australijskiej, czy w obserwatorium księżycowym, czy w samolocie — ileż razy każdy z nas sięgał po kieszonkowy odbiornik i wywoławszy centralę Biblioteki Trionowej wymieniał pożądane dzieło, by w ciągu sekundy mieć je już przed sobą na ekranie telewizora. Nikt nie zastanawia się nawet nad tym, że dzięki doskonałości urządzeń z każdego trionu może jednocześnie korzystać dowolnie wielka ilość odbiorców, nie przeszkadzając sobie wzajem w najmniejszej mierze.

W pierwszych wiekach po reformie istniały jeszcze księgozbiory stanowiące własność osobistą rozmaitych uczonych. Był to niewątpliwie dowód konserwatyzmu, który zdawał się podpowiadać, że z papierowego tomiska, stojącego na półce w pokoju, szybciej można skorzystać niż z trionu odległego nieraz o tysiące kilometrów. Nic bardziej fałszywego nad ten pogląd; aby skorzystać z książki, trzeba wstać, podejść do półek, wybrać potrzebne dzieło — wszystko to zabiera kilkanaście sekund czasu, gdy tymczasem od wywołania Trionowni i podania hasła do ujrzania żadanego dzieła w telewizorze upływa tylko tyle czasu, ile go trzeba automatom nastawni katalogującej oraz falom radiowym na przebycie przestrzeni dzielącej Trionownię od odbiorcy. Czas ten wyraża się zazwyczaj ułamkiem sekundy. Tylko odbiorcy przebywający na drugiej półkuli księżyca muszą czekać o półtorej sekundy dłużej.

Trion może magazynować nie tylko obrazy świetlne, sprowadzone do zmian jego struktury krystalicznej, a więc podobizny stronic książkowych, nie tylko wszelkiego rodzaju fotografie, mapy, obrazy, wykresy czy tablice, jednym słowem wszystko, co można przedstawić w sposób dostępny odczytaniu wzrokiem. Trion może magazynować równie łatwo dźwięki, a więc głos ludzki, jak i muzykę, istnieje też metoda zapisu woni — krótko mówiąc, każda postrzegalna zmysłami rzecz może zostać utrwalona, przechowana i na żądanie przekazana odbiorcy. Wreszcie trion może zawierać zapis „recepty produkcyjnej”. Połączony z nim drogą radiową automat wykonuje potrzebny odbiorcy przedmiot i w taki sposób mogą zostać zaspokojone nawet najwymyślniejsze zachcianki fantastów pragnących mieć meble w stylu starożytnym czy najniezwykłe odzienie, trudno bowiem rozsyłać we wszystkie części Ziemi niewyobrażalną różnorodność dóbr, jakich może ktoś z rzadka zapragnąć.

Telewizja nasza, w przeciwieństwie do średniowiecznej, jest barwna i plastyczna, obrazy jej dają pełne złudzenie rzeczywistości, i człowiek ślęczący u telewizora nad powieścią czy pracą naukową nawet nie pomyśli o tym, że czytane dzieło czy oglądany przedmiot nie istnieją „naprawdę” w takiej postaci, w jakiej jawią się przed nim, to jest jako ważki tom, barwna plansza czy odłamek minerału, ale że to są tylko obrazy przestrzenne, wytwarzane w polu elektrycznym, a powstawaniem ich rządzi z oddali wprawiony w ruch jego rozkazem trion.

Gdyby rola trionów ograniczała się tylko do wyparcia niewygodnej, staroświeckiej formy magazynowania wiedzy, dalej do umożliwienia każdemu korzystania z dzieł współczesności i starożytności, z jej sztuk teatralnych, symfonii, utworów poetyckich, z całego skarbcza kultury człowieczej, wreszcie do uproszczenia systemu rozprowadzania dóbr użytkowych, byłaby bardzo wielka, ale rola ta okazała się nieporównanie poważniejsza i zapoczątkowała przemiany psychiczne, o jakich pierwsi reformatorzy nawet nie marzyli.

Niemalą kłopotu sprawiał teoretykom i felicytologom społeczeństwa komunistycznego w

jego wcześniejszej fazie problem unikalności pewnych przedmiotów będących bądź to wytworem natury, bądź dziełem człowieka. Podstawowa zasada komunizmu, głosząca: „każdemu wedle jego potrzeb”, zdawała się zawodzić w tym jednym wypadku; na Ziemi znajdowało się bowiem wiele rzeczy istniejących wyłącznie w nielicznych lub pojedynczych egzemplarzach. Należały do nich na przykład płótna malarskie mistrzów, rzeźby, kosztowności i wiele podobnych. Zdawało się oczywiste, że każdy z takich unikatów może posiadać albo tylko jeden człowiek, albo też należy je uczynić dostępną dla ogółu własnością społeczną. Rozwiązanie praktyczne szło w kierunku uspołecznienia, nie wszyscy jednak byli z niego zadowoleni.

Naturalnie można było stwarzać wierne kopie i powielać je, ale też były to tylko kopie. Odziedziczone po poprzednich formacjach ustrojowych pojęcie „posiadania” porodziło niemało osobliwych potworków. Jednym była tak zwana „mania kolekcjonerska”. Dotknięci nią gromadzili najrozmaitsze przedmioty, poczynając od dzieł sztuki, a kończąc na monetach pieniężnych i roślinach. Tak wyglądał jeden zaulek skomplikowanego problemu „posiadania”. Inny przedstawiał również niemałe trudności. Nieustannie rosnąca produkcja dóbr pozwalała każdemu zaopatrzyć się we wszystko, czego tylko zapragnął, bez względu na to, czy rzeczy te naprawdę były mu potrzebne, czy też miały tylko zaspokoić „głód posiadania”. Zjawisko radości płynącej z samego faktu „zdobycia czegoś na własność”, dla nas bezsensowne i wręcz humorystyczne, rodziło wtedy wiele niełatwych do rozwikłania problemów. Mówiło się na przykład, że w przyszłości każdy będzie miał tak wiele różnych rzeczy, iż nad automatami pełniącymi pieczę nad tą jego własnością będą musiały czuwać inne automaty, nad tymi znów inne i tak dalej. Był to znów groteskowy aspekt przyjętej od przodków konserwatywnej postawy psychicznej.

Zastosowanie techniki trionowej raz na zawsze zlikwidowało wszystkie podobne pseudoproblemy. Każdą rzecz, jaka istnieje, można dzisiaj, jak to się mówi, „mieć trionem”, to znaczy za pośrednictwem odpowiedniego trionu. Jeśli ktoś ma ochotę posiadać na przykład obraz starożytnego mistrza da Vinci, przedstawiający Monę Lizę, może obraz ten, wywołany trionem, zawiesić w ramach ekranu telewizyjnego w swym mieszkaniu i do syta napawać się jego pięknem, a gdy mu się znudzi, może go unicestwić jednym naciśnięciem wyłącznika. Zagadnienie „oryginału” upadło z chwilą, kiedy oryginałami są kryształki kwarcowe, z których „posiadania” nic nikomu przyjść nie może, że zaś wszystko, co tworzy technika trionowa, stanowi wierne odbicie rzeczywistości, trudno mówić o kopiach; powstają bowiem struktury całkowicie tożsame czy to pod postacią dźwięków muzycznych, czy obrazów, czy książek, tyle że dające się w każdej chwili wskrzesić bądź unicestwić — coś w rodzaju wypełniania życzeń w starożytnych baśniach. Nikt z nas nie widzi w tym nic dziwnego, przeciwnie, dziwne wydają się obyczaje starożytności, która widziała szkopyły tam, gdzie z żyjących nikt ich nie dostrzega, ale to jest już zagadnienie historycznej zmienności postaw, o którym nie pokuszę się wydawać sądów.

Centralna trionownia ziemską zasięgiem swej emisji ogarnia cały system słoneczny; nawet podróżnicy w statkach docierających do orbity Jowisza mogą z niej korzystać, tyle że od wywołania centrali do pojawienia się żądanej rzeczy upływa tym więcej czasu, im dalej od Ziemi znajduje się okręt.

Geę w jej podróży gwiazdowej doganiał potężny potok ziemskiej emisji trionowej, lecz w miarę przedłużania się podróży czas między wysłaniem sygnału i otrzymaniem odpowiedzi rósł nieustannie. Gdy na żądane dzieło czekać trzeba było nieomal dwanaście godzin, korzystanie z ziemskich trionów stało się praktycznie niemożliwe i nastąpił wielki, przez wszystkich z podnieceniem oczekiwany moment przejścia na triony okrętu.

Gea była pierwszym na świecie statkiem zaopatrzonym we własny zestaw trionów, oczywiście nieporównanie mniejszy od ziemskiego, a jednak liczący około pół miliarda egzemplarzy. Chwilą przełączenia naszych podręcznych telewizorów z emisji ziemskiej na

okrętową arbitralnie wyznaczono na południe setnego dnia podróży; w tej chwili, na znak dany przez pierwszego astrogatora w centralnej sterowni, uruchomiono trionownię okrętową; odtąd byliśmy już odcięci od emisji ziemskiej.

Oczywiście potok radiowych wiadomości dalej pulsował między okrętem i Ziemią; potężne nadawcze stacje zapewniały nam łączność nawet u celu podróży, przy gwiazdach Centaura, lecz przesyłanie wieści trwało coraz dłużej. Najpierw były to dni i mówiliśmy wtedy z uśmiechem, że wracają czasy tak zwanej poczty, która w okresach równych dobom ziemskim przekazywała wiadomości od człowieka do człowieka; potem jednak pomiędzy nami a Ziemią poczęły stawać tygodnie i miesiące; mknące jak światło fale radiowe coraz dłuższą przebyć musiały drogę, nim dotarły do Ziemi. Tak rosła i powiększała się nasza gwiazdowa samotność.

Życie na pokładzie ustalało się; powstawały pewne miejscowe tradycje i zwyczaje. Organizmy nasze przywykły do rytmu snu i czuwania nieco szybszego niż na Ziemi; dzień Gei trwa dziesięć godzin, podobnie jej noc. W laboratoriach, pracowniach, salach zakładowych toczą się powszednie badania.

Dni płyną, jedne podobne do drugich. Praca zespołów w laboratoriach trwa zazwyczaj sześć do siedmiu godzin; ramowe plany przewidują wprawdzie zajęcia pięciogodzinne, lecz nikt prawie ich nie przestrzega. Jako lekarz, jeszcze na Ziemi przywykłem do ciągłego doradzania ludziom, by pracowali krócej, ale tak już jest, że najpierw każdy uskarża się na nawał roboty, a gdy mu powiedziec, by odpoczął czas jakiś lub jej sobie odjął, niemal się obraża.

— Nie bierz tego do serca, doktorze, młody jesteś jeszcze, głupi — oświadczyła mi profesor Czakandżan, siwa, bardzo gruba kobieta, prowadząca sekcję paleobotaniki w grupie biologów. — Człowiek musi ponarzekać, bez tego nie da się żyć.

Profesor Czakandżan przychodzi do ambulatorium niemal codziennie w dość niejasnym charakterze — ni to jako pacjent, gdyż na dobrą sprawę nic jej nie dolega, ni to jako gość — i częstuje mnie ploteczkami. Podobnych „chorych” zjawia się podczas mego godzinnego dyżuru więcej — kilka już razy odnosiłem wrażenie, że chcieli mi po prostu uczynić grzeczność i czynem zmanifestować, jak niezbędną jest moja obecność na statku. Uznawszy, że zrobili, co do nich należy, pacjenci tacy wysłuchują skrupulatnie moich zaleceń i znikają na zawsze. Inaczej Czakandżan. Wczoraj na przykład opowiedziała mi o swym koledze, młodym botaniku, który był zakochany w Mili Grotrian. Dziewczyna chodziła z nim na spacer (działo się to jeszcze na Ziemi), a on nieustannie klasyfikował i wyjaśniał. Gdy wchodzili do pięknego ogrodu, zaczynał: „To dlatego, bo chlorofil nie pochłania zielonej części widma, więc...” Milla w siedem tygodni poznała systematykę grzybkowatych i sumiennie się odkochała.

Od Czakandżan usłyszałem także garść szczegółów o Goobarze. Wyrażała się o nim z podziwem, jak wszyscy, lecz swoim zwyczajem nie powstrzymała się od wetknięcia mu szpilki. „Tak — powiedziała — to człowiek niezwykle, ale jest o wiele bardziej nieznośny, niż tego wymaga jego genialność”.

Czakandżan opowiedziała mi też o matematyku Kjeunie, najbardziej roztargnionym człowieku Gei. Ma on zwyczaj nucenia na jakąś melodię tego, co pragnie zapamiętać, ale często potrzebne słowa ulatniają mu się z głowy i pozostaje tylko pusta melodia, którą w daremnych próbach przypomnienia śpiewa coraz fałszywiej i głośniej. Chodzi za nim zwykle jak piesek mały automat, zbierający wszystkie pogubione przezeń rzeczy i zapamiętujący, gdzie Kjeun chowa tę czy inną notatkę lub przedmiot. Pragnąc zapanować nad sytuacją i przywrócić właściwy w ambulatorium stosunek lekarza do chorego, zaproponowałem Czakandżan, by poddała się hormonalnemu przestrojowi organizmu, gdyż ma zbyt obfitą tuszę. Roześmiała mi się w twarz.

— Przystroić pod twoją batutą?! — rzekła, gdy biust przestał jej wreszcie falować od śmiechu. — Moje gruczoły fałszują tak już od siedemdziesięciu lat, myślę, że wytrzymają drugie tyle!

Od operacji widuję Annę tylko w czasie wspólnych wizyt w szpitalu, przy łóżku chłopca z Ganimeda, bądź w ambulatorium, gdy zmieniamy się na dyżurach. Anna niewiele ma czasu wolnego, weszła bowiem do zespołu biologów, ale poza tym oboje staramy się jakoś nie zbliżyć się do siebie bez powodów „oficjalnych”.

Piotr z Ganimeda ocknął się, lecz jest zupełnie pozbawiony pamięci. Ze wzrokiem zatopionym w suficie, całymi dniami leży bez ruchu w swojej separacie. Obawiam się, że na całe życie może pozostać idiotą, lecz nie mówiłem tego nikomu.

Ludzi jak ja nic prawie nie robiących (z najlepszą bowiem wolą trudno mi nazwać pracą moje dorywcze i w istocie rzeczy tak pozbawione wagi dyżury) jest na Gei niewiele. Są to piloci i niektórzy artyści, ale bezrobocie ostatnich jest pozorne i płynie stąd, że ich twórczość nie poddaje się planowemu rozkładowi czasu. Przed południem, gdy laboratoria i pracownie są pełne, można w opustoszałym parku czy na pokładzie spacerowym napotkać kogoś z muzyków bądź wideoplastyków wałęsających się jakby bez myśli i celu. Dopiero po obiedzie sale wypoczynkowe, centralny park i galerie poczynają się zaludniać. Wokół uczonych omawiających wyniki doświadczeń powstają skupiska słuchaczy, toczą się dyskusje dokoła wieści z Ziemi. Najświeższe starzeją się już o miesiąc, nim przybędą na statek, aleśmy do tego przywykli. Zauważyłem, że dość powszechnym przyzwyczajeniem stało się noszenie po kieszeniach jakiegoś okrucha gładkich kamieni; często widzi się ludzi, którzy rozmawiając, chodząc lub czytając, z ukrytą przyjemnością obracają w palcach drobny kamyczek, odprysk ziemskiego granitu.

Byłem dziś u Nonny. Ta naprawdę zdolna dziewczyna lubi przez jakąś osobliwą przekorę uchodzić za postrzeloną. Doskonale określił ją Ameta. Powiedział jej: „Chciałabyś, żeby mówiono o tobie, że poleciałaś do Centaura tylko po to, by od gwiazdy papierosa zapalić!” Przyjęła nas w nowo urządzonym pokoju, jakby zamkniętym wewnątrz wydrążonego brylantu: wielokątna rozeta stanowi podłogę, a strop uchodzi w górę ostrosłupem, zbierając w sobie nachylone, trójkątne kliny ścian. Stół i fotele uformowane są z opływowych bloków szklawa; zupełnie przezroczyste, wydawałyby się pozbawione konturów, gdyby nie to, że każdy ma we wnętrzu rodzaj szkieletu z ciemnego drzewa, podkreślającego przebiegiem linii geometrycznej zamysł konstruktora. Jest nim oczywiście Nonna.

— Jak wam się podoba pokój? — spytała, ledwośmy weszli.

— Olśniewający! — wykrzyknął Tembhora zakrywając ręką oczy, a Żmur dodał:

— To ty tu mieszkasz, biedna?...

Przyjęliśmy te słowa śmiechem. Rzeczywiście, potop blasków buchający z diamentowych sprzętów i ścian, łamiący się w tęczę przy najmniejszym ruchu głowy, był na dłuższą metę niezbyt przyjemny. Nonna pokazała nam swoje projekty architektoniczne. Żywą dyskusję wywołał dworzec raketowy o kształcie na pół rozciętego hiperboloidu, z dwustumetrowymi srebrnymi kolumnami, podobnymi do pionowych skrzydeł. Podobał mi się.

— Za ładny — ocenił Ter Haar. — Po co te zworniki na wysokości czterdziestu pięter? Czy ludzie udający się w podróż będą biec do raket z zadartymi głowami?

— Ale za to z odległości zwieńczą doskonale całość! — broniła projektu Nonna. Zwróciła się do milczącego Amety:

— Co powiesz, pilocie?

— Podoba mi się. Powiesiłbym ten rysunek u siebie. Ale jako dworzec — nie.

— Dlaczego?

— Bo przy starcie, wskutek ruchu, te pionowe srebrne pasy migając oślepiłyby ludzi w raketach. Nie myślałaś o tym?

Nonna przez dłuższą chwilę wpatrywała się w szkic, a potem chwyciła go oburącz i

przedarła na pół.

— Ma rację — odpowiedziała na nasze protesty. — Nie warto o tym mówić..

Drzwi się otwały; ukazał się w nich Yeryoga, pilot, który śpiewa najwspanialszym basem, jaki zdarzyło mi się słyszeć, i dlatego jest wszędzie zapraszany, lecz chodzi tylko tam, gdzie — jak powiada — woła go od jego głosu. Poznaliśmy się w sposób dość oryginalny. Pewnego ranka zjawił się w ambulatorium barczysty mężczyzna o włosach tak jasnych, że bielszych od opalonej skóry. Wszedł do gabinetu przyjąć i stanął na środku, przyglądając mi się uważnie, jakbym to ja był chory, a on lekarzem.

— Co ci dolega? — spytałem, by przerwać tę lustrację.

— Nic — uśmiechnął się dobrodusznie — chciałem tylko zobaczyć człowieka, który pokonał Mehille!

Dziś zjawił się u Nonny podniecony, już od progu wołając:

— Słuchajcie! Uruchomiono heliotron! Właśnie był komunikat z Ziemi. Uruchomiono przed godziną...

— Nie przed godziną, tylko przed miesiącem — sprostował Tembhora — bo tyle wynosi teraz opóźnienie...

— A, prawda! Yeryoga zafrasował się.

— To niesłychane! Dowiadujemy się o tym tak późno... co się tam musiało dzieć na Ziemi, a myśmy nic nie wiedzieli...

— To samo, co w sto dwudziestym, kiedy Ter Sofar kończył swoją pracę — powiedziałem. — Tę o fotonach. Pamiętacie chyba? Ludzie zatrzymywali się wtedy umyślnie w drodze, jedni pytali drugich, czy nie wiedzą czasem, kiedy będzie podany następny rezultat. Na naszej uczelni — byłem wtedy jeszcze studentem — miały się właśnie rozpocząć zawody regatowe, gdy nagle głośniki podały, że Ter Sofar będzie wykładał dalszy ciąg swego teorematu, i po minucie całe nadbrzeże opustoszało. Przez dwie godziny łodzie mokły puste na rzece, bo wszyscy stali głowa przy głowie, żeby słyszeć Ter Sofara.

Obiad jedliśmy w ogrodzie, przy stołach malowniczo rozstawionych między kwiatowymi klombami. Tę ostatnio wprowadzoną innowację przyjęliśmy z wielkim zadowoleniem. Tembhora, stanowiący istną kopalnię anegdot historycznych, opowiadał o architektach XXII wieku, którzy projektowali „miasta latające”, całe kaskady metalowych pałaców, zawieszane w powietrzu wirowaniem gigantycznych śmigieł. Nonna odwzajemniła mu się opowieścią o mechaneuryście z XXIV wieku, Klausjuszu, dziwaku, który robił mechaniczne pająki łapiące mechaniczne muchy.

Po obiedzie przenieśliśmy się ze Schreyem i Ter Haarem na głązy nad potoczkiem, żeby „upierwotnić” koniec biesiady. Na pobliskim trawniku bawiło się dwoje dzieci, chłopiec lat może siedmiu i młodsza od niego dziewczynka, najoczywiściej rodzeństwo. Oboje byli ciemnowłosi, cera ich miała głęboki złotawy ton, jaki nadaje długie przebywanie pod słońcem. Dziewczynka to otwierała, to zamykała piąstkę przed oczyma brata.

— Kiedy nie wiesz nawet, co to jest — posłyszałem jego słowa.

— A właśnie, że wiem! Pie-niądz!

— A co to jest pieniądz?

Dziewczynka zastanawiała się tak usilnie, aż skurczył się jej nos.

— Wiedziałam, ale zapomniałam.

— Ty zawsze tak — rzekł chłopiec pogardliwie. — Nigdy nie wiedziałaś. Pieniądz to taka rzecz... Ech! Machnął ręką. — I tak nie zrozumiesz.

— No powiedz! Powiedz!

— Dawno, bardzo dawno temu można było za to wszystko dostać. Były takie miejsca i tam wszystko za to było, i to już wszystko.

— Co?

— Nic nie rozumiesz? Pewnie. Wiedziałem.

— A rozumiem! Właśnie, że rozumiem! Za takie blaszki dostawało się, co się chciało. To dorośli też się wtedy bawili? To były pyszne czasy! Wiesz co, poprosimy tatusia, zrobi nam tych pieniędzy.

Z trudem ukrywając rozbawienie, chirurg szepnął do Ter Haara:

— Słyszysz? Nareszcie ktoś, kto żałuje „dawnych, dobrych czasów”!

Chłopiec zerknął w naszą stronę. Schrey wezwał go uśmiechem i skinieniem głowy. Malec podszedł swobodnie.

— Jak się nazywasz?

— Andrea.

— A ja Schrey. Jestem lekarzem, a to jest profesor Ter Haar; tak się składa, że zajmuje się właśnie tymi dawnymi czasami, o których mówiłeś, wiesz? Może ci o nich dużo ciekawego powiedzieć!

Spojrzał na zegarek, wstał i biorąc mnie pod rękę dodał:

— A my pożegnamy was, bo musimy iść do szpitala. Wesołej biesiady!

Odchodząc dostrzegłem rozpaczliwe spojrzenie Ter Haara. Pocziwy Schrey nawet się nie domyślał, jak niedźwiedzią przysługę wyrządził historykowi, pozostawiając go na pastwę dzieci.

Gdy po dwu godzinach zaszedłem do ogrodu, by zaczerpnąć świeżego powietrza, z największym zdziwieniem ujrzałem Ter Haara na tym samym miejscu nad potokiem. Siadłszy obok niego, słuchałem, jak opowiada malcowi o dziejach sprzed tysiący lat. Mówił o czasach, kiedy ludzie ciężko pracowali, przykuci do małego skrawka ziemi, o strasznych wojnach, które w ciągu godzin niszczyły to, co budowane było przez wieki, o tyranach żyjących w przepychu, gdy poddani ich ginęli z głodu. Chłopiec słuchał jakby całym sobą; przestał odrzucać opadające na czoło włosy; jego oczy, utkwione w ustach historyka, stawały się ciemne i jakby się starzały. Opalone rączki przycisnął do piersi i trwał tak długo jeszcze po ostatnim słowie uczonego. Nareszcie szurgnął nogami i odszedł zatopiony w najgłębszej zadumie.

Ter Haar promieniał z radości, że znalazł tak pojętnego słuchacza. Potem przechadzaliśmy się po parku słuchając chóralnych śpiewów. Zmierzch zapadł już zupełnie i drzewa osrebrzył nieprawdziwy, lecz jakże piękny ziemski Księżyc. Naraz z bocznej alejki wychyłała rozwierzona czupryna chłopca. Podszedł spieszenie do historyka, uklonił się, przełknął i powiedział:

— Przepraszam, słuchaj, ale to wszystko, co mówiłeś, to tylko bajka, prawda?

Ter Haar nie od razu odpowiedział. Patrzył na chłopca, a w jego twarzy o nienackim w świetle uśmiechu ujawnił się nagle wstydlivy fantasta, nieśmiały człowiek o siwych skroniach, z sercem pełnym marzeń, których domyśliłem się nagle, a domysł ten potwierdziły słowa, jakimi w jednej chwili wyparł się całej swojej wiedzy:

— Tak — powiedział — to tylko bajka...

W tydzień po uruchomieniu okrętowych trionów stali się niewidzialni pewni ludzie. Najpierw znikli z obiadów wszyscy prawie astrogatorzy, potem przestali przychodzić do ogrodu niektórzy fizycy; konstruktorów Uteneuta i Yrjöli nie można było nigdzie spotkać, jakby ich wcale nie było na pokładzie. Nikt jakoś nie zwracał na to uwagi, choć wszyscy to widzieli, lecz mówili sobie pewno jak ja: „Muszą mieć swoje powody”.

Tajemnicę poznałem przypadkiem. Rankiem tego dnia pewien młody matematyk skarżył się, że kiedy chciał wykonać jakieś bardzo trudne obliczenie za pomocą głównego elektromózgu Gei, Ter Akonian odmówił mu wręcz, oświadczając, że aparatura jest chwilowo przeciążona.

— Co za warunki pracy! — narzekał młodzieniec. — Jakieś pierwotne bytowanie; w epoce kamiennej każdy miał przynajmniej własny rysik i drapał rachunków, ile chciał; kamieni,

ówczesnych maszyn do liczenia, było pod dostatkiem, a dzisiaj?! I jeszcze się mówi, że mamy tu wszystko, czego potrzebujemy...

Po południu bawiłem u Ter Haara. Spotkałem u niego większe towarzystwo, między innymi byli biofizyk Diokles i matematyk Żmur, współpracownicy Goobara. Diokles jest małym, czarnowłosym i czarnookim człowieczkiem; cechuje go jakaś, powiedziałbym, pełna zatroskania ruchliwość. Wygląda tak, jakby zgubił coś i odkrył właśnie ten przykry fakt. Żmur, może przez kontrast, wydał mi się niezmiernie spokojny i panujący zawsze nad sytuacją, w której labiryntach gubi się jego mały kolega. Opowiadał nam o Goobarze; słuchałem go z ciekawością, gdyż umie mówić, ma też dobrej próby, choć nieco oschły humor. Wyjaśniał, dlaczego jedni studenci przepadają za wykładami wielkiego uczonego, podczas gdy inni cierpieć ich nie mogą. Kiedy Goobar wyklada ze świadomością tego, że przedstawia słuchaczom rzeczy nieznanne i bardzo dla nich trudne, jest złym wykładowcą: cedzi, powtarza się, zacina — sprawia to wprost przykrość; odczytanie byle podręcznika byłoby bardziej pouczające. Gdy natomiast zaczyna mówić z przejęciem i pasją, ten powolny, pieszy niejako czy wręcz raczkujący tok rozumowania, obcy jego naturze, znika, zastąpiony właściwym mu sposobem przeskakiwania z jednego odległego cypla dowodu na drugi. Drogę na szczyt przedstawianej teorii stanowi szereg dalekosiężnych skoków myślowych i nie lada trzeba bystrości, by za nim nadążyć.

— Przecież to proste — mówił Żmur. — Trudno żądać od kozicy, żeby — mknąc w górę skał — dotrzymywała kroku piechurowi. Jeżeli zaś, dołożywszy starań, zacznie iść tak wolno jak on, będzie wykonywać nieustannie dziesiątki zbędnych ruchów, podbiegać naprzód, zatrzymywać się, cofać i jej sztucznie zwolnionym ruchom zabraknie wówczas piękna i siły, jakie można podziwiać tylko we właściwym jej, błyskawicznym pędzie.

Ktoś z obecnych przypomniał anegdotę głoszącą, że nowej teorii, przedstawianej przez Goobara po raz pierwszy, nie rozumie nikt, nawet on, drugie powtórzenie pojmuje tylko on jeden, a zwykłym śmiertelnikiem, rzecz oczywista fachowcom, zaczyna coś niecoś przebłyskiwać nie prędzej niż za jakimś ósmym — dziewiątym razem. Roześmieliśmy się. Rozmowa przeszła na inny temat, ale niebawem znowu padło nazwisko Goobara. Zauważyłem głośno, że geniusza wyobrażamy sobie na ogół jako starca i dla kogoś, kto Goobara nie widział, pierwsze spotkanie może stanowić prawdziwą niespodziankę, bo on nie jest starcem. Zamilknąwszy odwróciłem głowę od światła, chcąc przypomnieć sobie Goobara, ale nie mogłem, we wspomnieniu miałem tylko nieregularne, jakby jednym szarpnięciem stworzone usta i oczy ukryte pod nawisem czoła. Nie ja jeden o tym myślałem, bo ktoś spytał nagle:

— Jakiego koloru ma oczy? — I nikt ze współpracowników Goobara nie umiał odpowiedzieć.

— Widzicie! — rzekł triumfująco ten, kto pytał, jak gdyby przeprowadził eksperyment dla udowodnienia prawdziwości swej przemilczanej tezy.

Kiedy wyszedłem od Ter Haara, był już późny wieczór i skierowałem się do mieszkania; wtem w głębokim załomie zapory atomowej, jaka się tu wznosi, ujrzałem Yrjölę, młodego Rudelika i nie znaną mi kobietę. Chciałem ich ominąć, lecz rozległ się ostrzegawczy świst: Gea miała za chwilę otrzymać codzienną dawkę przyśpieszenia. Nie starczyłoby mi już czasu na dojście do windy, pozostałem więc przy nich. Wymienili spojrzenia świadczące, jak mi się zdawało, o pewnym zakłopotaniu, lecz zanim padło choć słowo wyjaśnienia, automaty włączyły zespoły napędowe. Nic się nie zmieniło; światło korytarzowe, przełączone już na błękitny półmrok nocy, jaśniało spokojnie, tylko ciała nasze stały się nieco cięższe. Gdyby nie świadomość tego, że silniki pracują (a nie zdradzają tego najlżejszym odgłosem), mógłbym sądzić, że opanował mnie po prostu nagły przypływ znużenia. Tamtych troje weszło tymczasem w najgłębsze miejsce załomu. Pochylili się nad wystającą z pancerza, łagodnie nachyloną, masywną płytą, która stanowi przedłużenie jednego z olbrzymich wewnętrznych

wręgów konstrukcji okrętowej. Zauważyłem nie bez zdziwienia, że Yrjöla pali papierosa; jest to widok bardzo rzadki, a jego nigdy przy tej czynności nie widziałem. W pewnej chwili pochylił się nad płytą i zaczął strząsać na nią popiół, osiadający cieniutką warstwą; trwało to dobre kilka chwil i wyglądało na dziwną zabawę, ale zauważyłem, z jakim skupieniem wszyscy wpatrują się w powierzchnię metalu. Mimo woli i ja nachyliłem się, by coś zobaczyć. Drobinki popiołu nie spoczywały zupełnie bezwładnie, ale bardzo leniwie układały się w jakiś rysunek; przez kilkadziesiąt sekund nie mogłem go pojąć, gdy wtem przyszło olśnienie. Popiół układał się współśrodkowymi łukami, których centrum znajdowało się jak gdyby za murem zaporowym, gdzieś w głębi grodzi atomowych. Pracujące silniki wytwarzały widać drgania zbyt słabe, by można je wyczuć, i zapora przekazywała to nieuchwytne, podskórne drżenie warstewce popiołu, który skupiał się w miejscach nieruchomych, to znaczy w węzłach wytworzonych fal stojących.

Tych troje porozumiewało się wzrokiem. Yrjöla zanotował coś, kobieta zamknęła wieczko przyrządu na trójnogu, jeszcze chwila i krótkie, głuche westchnienie przewodów obwieściło, że silniki zostały wyłączone.

— Co wy robicie? — spytałem.

Yrjöla spojrział mi w twarz i zmrużył oczy.

— Przede wszystkim milczenie, doktorze, dobrze?

— Co, nie mówić o tym nikomu? — zdziwiłem się. — Dobrze, obiecuję. Czy możecie mi powiedzieć, co to jest?

— Drgania — rzekł tajemniczo Yrjöla. Rudelik nie patrzył na nas; pocierał palcami nie dogolony podbródek, jakby zamyślony czy nawet zafrasowany. Tylko nieznana kobieta stała spokojnie, patrząc w pusty przestrzał korytarza.

— To zrozumiałem — odparłem — ale czy jest w tym coś złego?

— Jeżeli złe jest to, czego nie przewidzieliśmy, to jest to złe — powiedział Yrjöla. Już nic szelmowskiego nie było w jego twarzy. Oczy miał podkrążone jak od bezsenności.

— No dobrze, ale co to jest? Yrjöla wzruszył ramionami.

— Obciążenie silników jest zawsze takie samo; przy niższych szybkościach drgań nie było, pojawiły się od...

— Sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę — powiedział nagle Rudelik i spojrział na nas, jakby się zbudził z zamyślenia.

— Więc co to jest?... — spytałem raz jeszcze, trochę bezradnie, jak gdybym już przeczuwał odpowiedź. Sytuacja stawała się osobliwa. Staliśmy w jednym z najodleglejszych zakątków wielkiego okrętu pędzącego przez mrok, otoczeni z trzech stron metalowym masywem zapory; była zupełna cisza i nieruchomość światła w korytarzu, biegnącym tak daleko, że sznur lampek zlewał się u jego końca w błękitną smużkę.

— Nie wiem — prosto powiedział Rudelik. — Nie przewidzieliśmy tego zjawiska, bo nie wynika z teorii. A więc...

— Teoria jest fałszywa... — dokończyła kobieta. Stała nieruchomo. Głos zdradził wielkie zmęczenie.

— Taak — powiedział Yrjöla i usiadł na pochyłej płaszczyźnie.

— Może łańcuchowe reakcje dają maksima i minima pochłaniania neutronów — bąknąłem przypominając sobie z trudem wyuczone niegdyś teorie, zaraz jednak zamilkłem, gdyż zanurzone resztki mojej wiedzy były śmieszne w zestawieniu z doświadczeniem tych trojga.

— Mmmm — mruknął Yrjöla; to oznaczało zaprzeczenie. — Myśmy już posyłać automaty na tamtą stronę — ruchem głowy wskazał zapórę — i nie jeden raz...

— No dobrze — powiedziałem — ale cóż to ma za znaczenie, takie nieznaczące...

Yrjöla z dołu podniósł na mnie oczy, krótko popatrzał i opuścił wzrok; nic nie powiedział, lecz zrozumiałem dopiero teraz.

— Wielkie nieba! — krzyknąłem. — Ono rośnie, to drganie, rośnie z każdym

przyśpieszeniem, tak?!

— Ciszej!

Rudelik ścisnął mi ramię.

— Przepraszam... — wybąknąłem zmieszany. Yrjöla zdawał się nie zauważyć tej sceny.

— Czy ono rośnie? — powiedział głucho, jakby badał samego siebie. — Rośnie — podjął wreszcie — ale...

— Ale nie linijnie — dokończył Rudelik. Cały jakby się trochę skurczył, oczy mu błyszczały, widziałem, że w tej chwili zapomniał o moim istnieniu. Mówił tylko do inżyniera; odruchowo wyciągnął kieszonkowy analizator. Yrjöla zgasił ten zapal ruchem ręki, jakby przekreślał jego słowa.

— No tak — powiedział — zdaje się, że to będzie miało maksimum przy 130 000 kilometrów na sekundę... potem, być może, zacznie maleć, ale nie zejdziemy daleko; Goobar powiada wprawdzie, że to dobrze, ale...

— Jak to, i Goobara wciągnęliście w tę historię? Yrjöla zamiast odpowiedzieć uśmiechnął się tylko powściągliwie, jakby mówił: „Wciąż nic nie rozumiesz...”

— Mówi, że to dobrze — kontynuował inżynier — ale po prawdzie, to nam nic nie daje, bo „to” interesuje go tylko o tyle, o ile wiąże się z jego bieżącą pracą...

— A wiąże się — wtrąciła kobieta.

— Tak, on jest z tego nawet zadowolony... Twierdzi, że mu pomogło...

— Więc co to właściwie znaczy? — spytałem. Nic już nie rozumiałem; czułem, że otacza nas tu coś, czego nie można uchwycić słowami. — Czy jest niebezpieczeństwo? — spytałem wreszcie i równocześnie, nie wiem sam czemu, zawstydziłem się.

— Niebezpieczeństwo? — odparł ze zdziwieniem inżynier. — Nie sądzę, konstrukcja Gei jest obliczona z siedem—dziesięciokrotnym zapasem wytrzymałości...

— A więc?

Yrjöla wstał. Wszyscy gotowali się do odejścia; kobieta podjęła ustawiony przy ścianie wibrometr, a Rudelik pociągnął automat, który ruszył za nim jak mały piesek.

Minęli mnie stojącego nieruchomo, nie żegnając się, jakbym zamienił się w powietrze. Ostatni Yrjöla nagle przystanął i wziął mnie za ramię; był to potężny uścisk.

— To coś, od czego odzwyczało nas życie — wyrzekł patrząc mi w oczy. — Coś nie mieszczącego się w tym wielkim budynku, jaki wzniesiliśmy w ciągu tysięcy lat — wykonał okrągły ruch ręką, jakby wskazywał otoczenie, ale zrozumiałem, że ma na myśli gmach nauki. — Coś gorszego od niebezpieczeństwa — dodał ciszej.

— Gorszego?... — spytałem; w głowie miałem zupełny zamęt.

— A tak — odrzekł. — Nieznane.

Puścił moją rękę i poszedł w ślad za tamtymi. Długą, bardzo długą chwilę wpatrywałem się w zatarte ślady fal na powierzchni płyty nie odbijającej światła, jak zmatowiałe zwierciadło, aż ruszyłem przed siebie, głusząc krok, jakbym strzegł powierzonej tajemnicy.

ZŁOTY GEJZER

Upłynął piąty miesiąc podróży, a drugi — opóźnienia sygnałów radiowych z Ziemi. Miałem teraz mniej czasu niż poprzednio: zajmował mi go chłopiec z Ganimeda. Odbyliśmy, ze Schreyem i Anną, konsylium, na którym postanowiliśmy zbadać dokładnie jego mózg. Pierwszy chirurg zażądał bezpośredniego połączenia z Ziemią dla uzyskania szczegółowych danych o chłopcu, liczył się bowiem z tym, że będziemy go musieli uczyć jego własnej przeszłości, jakby na nowo zapisując pamięć opustoszałą w katastrofie.

Młodzieniec pozwalał robić ze sobą wszystko; całkowicie bierny, nie stawiał oporu; można go było prowadzić jak dziecko. Anna poświęcała mu wiele uwagi; nieraz widywałem, jak szła między klombami ogrodu, trzymając go za rękę, a on, wysoki, smukły, bardzo poważny, posłusznie postępował za nią, próbując chwilami przystosować swój duży krok do jej niewielkich stąpień. Mówiła do niego, pokazywała mu kwiaty, nazywała je, lecz wszystko to odpadało od jego woskowego spokoju. Nareszcie Schrey zarządził decydujące badanie. Wielka aparatura encefalowizyjna miała jakiś defekt, którego nie umiałem sam usunąć, musiałem więc skontaktować się z drugim astrogatorem, gdyż to on ma pieczę nad automatami pogotowia technicznego. Nie od razu go znalazłem; właśnie opuścił był sterownię po ukończonym dyżurze. Informatory nie pomogły mi w poszukiwaniach. Błądząc po całym statku zaszedłem na koniec w okolice oddaloną od centralnych pokładów. Korytarz przechodził w rodzaj obszernej sieni przed małą salą filharmonii. Pod boczną kolumną stał Lancelot Grotrian patrząc na białą rzeźbę, która wznosiła się pośrodku pustej przestrzeni. Wyłuszczyłem mu moją prośbę. Rozmowa była rzeczowa, prawie sucha, lecz obecność białego, kamiennego torsu rzucała w nią jak gdyby blask i wypełniała każde zamknięcie.

W pewnej chwili zaczęliśmy iść, a raczej przechadzać się; krok nasz odzywał się głośno, spotęgowany odbiciem w głębi sklepienia, które nakrywa się jak uniesiona wysoko muszla. Nie wiem, jak to się stało, że zatrzymaliśmy się jednocześnie — twarzą w twarz z posągiem. Jest to młody chłopiec, który przystanął w dalekiej drodze. Twarz banalna, nieciekawa, tak. Ale jak jakiś bardzo wczesny poranek marcowy, wychodzący z mgieł, w którym drzewa stoją opłukane wodą. nagie, wydane bładem, rosnącemu słońcu w oczekiwaniu wielkich dni lata. Taka właśnie twarz: czekająca spełnienia wszystkich, a więc i największych obietnic. Grotrian powiedział, że posąg jest dziełem Soledad. Wspomniałem wówczas drobną scenkę sprzed tygodnia. Spotkałem rzeźbiarkę w ogrodzie; siedziała na szczycie wzgórza z prawdziwą staroświecką książką na kolanach. Zaciekawiony, spytałem, co to za książka. Nie odpowiedziała ani nie podniosła głowy, lecz zaczęła czytać w głos:

Więc rzekli:

- Jak ci się żyło?
- Dobrze — odparł — dużo pracowałem.
- Czy miałeś wrogów?
- Nie mogli przeszkodzić mi w pracy.
- A przyjaciele?
- Żądali ode mnie, bym pracował.
- Czy to prawda, że wiele cierpiełeś?
- Tak — odparł — to prawda.
- Co robiłeś wtedy?
- Pracowałem więcej: to pomaga.

— O kim to? — spytałem. Wymieniła nazwisko jakiegoś rzeźbiarza starożytności i wróciła do lektury, zapomniawszy natychmiast o mojej obecności.

Opowiedziałem te historię Grotrianowi i spytałem., czy sądzi, że udział w wyprawie może się jakoś przydać rzeźbiarce.

— Myślę, że tak — odparł. — Bardzo trudno jest kształtować jako powierzchnię brył to, co głęboko kryje się w ludziach. Trzeba szukać rozmaitych dróg, a na pewno niejednego można się dowiedzieć o człowieku patrząc w gwiazdy...

Obserwowałem twarz astrogatora, gdy mówił. Przeważały już na niej linie starości, linie schodzące w dół, w rysunku zmarszczek okalających oczy, w wiotkim sfałdowaniu policzków wszystko było ciężkie i ciężło. Oczy jego pod siwymi brwiami pociągała jak gdyby niedostrzegalna mgiełka, ale kiedy z ostatnimi słowami obrócił na mnie wzrok, wydało mi się — zdumiewająca rzecz — że jest młodszy ode mnie.

Wieczorem zeszedliśmy się w sali operacyjnej i chłopiec, wciąż jednakowo obojętny, został ułożony na metalowym stole. Wtem wydarzyło się coś nieprzewidzianego: oto gdy Schrey począł ściągać w dół szerokie płyty elektrod, które miały opasać głowę chłopca, ten zasłonił się nagle rękami. Ów porywczy, trwożliwy gest tak nas poraził, żeśmy się zmieszali, przywykliśmy już bowiem do jego całkowitej bierności. Anna pochyliła się nad nim i zaczęła cicho, łagodnie mówić, odginając delikatnie jego palce, jakby w dziecinnej zabawie czy pieszczocie. Wtedy, wciąż jeszcze z twarzą skurczoną jak pięść, przestał stawiać opór. Metalowe uchwyty objęły jego skronie, zachodząc na policzki niżej oczu, kremowa płachta osłoniła tors i tylko część obnażonej piersi poruszała się równomiernie w świetle, które poczęło słabnąć, w miarę jak je Schrey wygaszał. Nareszcie zapanował głęboki półmrok. Z połyskliwego kołpaka, który okrywał teraz szczelnie czaszkę chorego, sterczały jak kolce jeża odbiorniki prądów. Tworzyły rażeni rodzaj ekranu, który przejmował słaby puls elektrycznych wyładowań mózgowych i, wzmocniony tysiącrotnie, przekazywał wiernie aparaturze umieszczonej ponad wezłowiem stołu. Wznosiła się tam szklista bryła, kształtem przypominająca globus. Jak wiadomo, średniowieczne przypuszczenie, że kiedyś można będzie z zapisu prądów mózgowych odczytać myśli ludzkie, nie sprawdziło się, ponieważ zespoły kojarzeń kształtują się inaczej u każdego człowieka i podobnym krzywym prądowym nie odpowiadają podobne pojęcia. Lekarz nie może zatem z pomocą elektroencefaloskopu dowiedzieć się, co chory myśli, może jednak stwierdzić, jak kształtuje się dynamika procesów psychicznych, i dzięki temu rozpoznać chorobę lub uszkodzenie mózgu.

Przez dłuższą chwilę Schrey trwał w bezruchu, wsłuchując się w brzęczenie prądów wzmacniających, jakby pragnął wyłowić z tych zmieszanych pobrzęków jakąś melodię; nareszcie włączył aparat.

W przejrzystej głębi globusa zajaśniało. Mknęły w niej uwieszone w szkle tysięczne iskry tak szybko, że widać było tylko drgające spirale i kręgi, fantastyczną koronkę świetlną, rozwieszoną w przestrzeni, pozębioną w cieniutkie, ostre zygzaki; gdzieś tam zagęstwione włókna blasku stapały poszczególne wyładowania w mżące, perliste pasma; cała kula wypełniała się powoli głębokim, liliowym pałaniem i przypominała małe niebo przeszywane torami gwiazd spadających. Milionowe rozdrzewienia świetlistych torów spletały się i rozplatały nieprzerwanie, tworząc rysunek nieporównanej regularności i piękna.

— Proszę do niego mówić — szepnął Schrey do Anny. Widziałem go w padającym z wnętrza kuli pałaniu; cienki, ostry nos był wyosobniony z twarzy zalanej czarnymi cieniami.

— Co mam mówić? — spytała Anna, jakby zmieszana.

— Cokolwiek — burknął Schrey i jeszcze bardziej pochylił się nad rozjarzoną kulą.

Anna zbliżyła głowę do kołpaka. Dostrzegłem tylko jej ciemny profil na jaśniejszym tle.

— Chłopcze, słyszysz mnie, prawda?

W wirowaniu światła nic się nie zmieniło.

— Powiedz, kim jesteś? Jak się nazywasz?

Głos jej dźwięczał słabo na tle monotonnego poszumu prądów. Pytanie to, stawiane

dziesiątki razy, zawsze pozostawało bez odpowiedzi; i teraz leżący milczał, a świetliste iskry dalej mknęły po swych zamkniętych torach, nie—znużenie wykonując naprzemienne wahnięcia w górę i w dół. Anna zadała chłopcu jeszcze kilkanaście pytań, wspomniała Ganimeda, stację kosmodromiczną, wymieniała powszechnie znane nazwy ziemskie, lecz wszystko to nie wywoływało najmniejszej zmiany w wirowaniu światła.

Choć do tej pory niewiele razy asystowałem przy tak dokładnym badaniu, przypomniałem sobie szczegóły znane jeszcze ze studiów: te iskry, jak gdyby uwięzione na orbitach nieustannego krążenia, były odzwierciedleniem samych tylko czynności odżywczych, wegetacyjnych mózgu. Ich rytmiki i symetrii nie zakłócały nieregularne, wijące się wyładowania, sprawiające na laiku wrażenie chaosu, choć to one są właśnie obrazem myśli. Jako student niełatwo pogodziłem się z tym, że odbiciem krystalicznego ładu rozumowania są miotające się w pozornym bezładzie błyskawice.

Ponad czarnym w mroku ramieniem Schreya patrzyłem w głąb kuli. W niektórych miejscach rozjarzona była nierównomiernie, jakby świetlny nurt rozszczepiał się. tam na niewidzialnych rafach i opływał je złotawym rozbryzgiem, tworzącym nikłe kontury fal i wirów.

Nareszcie Anna, zniechęcona, zamilkła. Zaczynałem już odczuwać znużenie i niewygodę pozycji (stałem silnie nachylony), Schrey mruczał coś do siebie niewyraźnie, w końcu chrząknął i powiedział:

— Będzie dosyć.

Anna widać nie usłyszała go. Po sekundzie milczenia, wypełnionego szumem wzmacniaczy, odezwała się:

— Czy kochasz kogoś?

Upłynęła drobna część sekundy; wtem wirujące światła zadrżały. Z ciemności podniósł się złoty rozprysk, zabłysnął, roztrącił zamknięte orbity i strzelił w górę; zdawało się, że przebije ściany szklanego więzienia. Potem światło spłynęło w dół, wygasło, powierzchnia blasku zamknęła się i znowu było tylko widmowe fosforyzowanie pędzących iskier.

Schrey nagłym ruchem wyprostował się, wyłączył aparat i zaświecił lampy sufitowe. Oślepiiony, zacisnąłem powieki.

— No tak — rzekł chirurg, swoim zwyczajem niewyraźnie — afazja motoryczna... taka? Z dziesięć pól ciężko uszkodzonych... i głębiej, tractus corticothalamicus... ale thalamus cały, tak to wygląda... i spoidło... Nagle, jakby po raz pierwszy spostrzegł Annę, podszedł do niej i kładąc jej ręce na ramionach powiedział:

— Doskonale, dziewczyno! Jak na to wpadłaś?

Anna uśmiechała się bezradnie.

— Nie wiem. Nawet myślałam, że to głupio, bo przecież drogi nerwowe...

— Nie głupio! Nie głupio! — przerwał jej Schrey i potrząsnął jej drobnymi barkami. — Porwane drogi, nieprawda? Ale są mnemony mniej i bardziej trwałe, są wspomnienia, które można zniszczyć tylko razem z całym człowiekiem! Bardzo dobrze zrobiłaś! Nie wiem, ale...

Nie kończąc podszedł do łóżka i wyswobodził leżącego. Chłopiec otworzył szeroko oczy o ogromnych źrenicach — tak ogromnych, że wyglądały jak dwa czarne słońca w zaćmieniu, otoczone wąskim rąbkiem błękitnosiwej aureoli. Oczy te patrzyły przez nas obojętne, niewzruszone.

— Abulia... pola czołowe... — mruczał Schrey. — Paskudna sprawa... ale to nic... będziemy jeszcze operować...

Terenem, na którym regularnie spotykali się ludzie z najrozmaitszych pracowni i grup, była hala sportowa. Sam doradzałem wszystkim systematycznie uprawiać lekkoatletykę i świeciłem przykładem chodząc co drugi dzień na ćwiczenia. Trenerem naszym był Zorin, przyjaciel Amety. Nigdy właściwie nie dowiedziałem się, czy jest pilotem, który zajmuje się także mechaneurystyką, czy, na odwrót, mechaneurystą uprawiającym pilotaż, zresztą był to

chyba problem pozorny. Jak sam mówił, tyle na wałęsał się po rozmaitych stacjach kosmogonicznych, że całkiem rozkojarzył mu się rytm snu i czuwania; mógł pracować albo spać o każdej, dowolnej porze dnia i nocy. Zorin był atletą doskonałym; tak właśnie wyobrażałem sobie Ametę, kiedy go jeszcze nie znałem. Najzawilsze ewolucje gimnastyczne wykonywał zawsze jakby od niechcienia. Podchodząc do przyrządu przystawał, jakby wsłuchiwał się we własne ciało i czekał na jakiś tajny znak jego gotowości; naraz unosił się nad drążkiem i poczynał przerzucać się i wirować; chwilami zastygał niby na przekór sile ciężenia, stwarzając ciałem przepiękne, momentalne kompozycje. We wszystkich jego ruchach, w sposobie podawania ręki, w pozornie ociążałym, choć bezgłośnym chodzie tała się senna, kocia gracia, jak gdyby zarazem radował się z posiadania tak wspaniałego ciała i wciąż musiał przewycięzać jego lenistwo. Wszyscyśmy za nim przepadali; umiał rozpalać w nas ambicję w jakiś najbardziej dziecinny sposób. Pamiętam, jak Rilyant przychodził wieczorami na halę, żeby ćwiczyć pewien przerzut, i trzymał się tak przez kilka tygodni, a wszystko po to, by Zorin mrugnął doń wreszcie przychylnie. Był pono świetnym konstruktorem; jego koledzy z grupy Tembary opowiadali nieraz o dziwnej intuicji, z jaką przewidywał bardzo odległe konsekwencje planowanych rozwiązań stereometrycznych. Myślę, że to się jakoś łączyło z władztwem nad przestrzenią, jakie zawdzięczał własnemu ciału. Nie wiadomo było w ogóle, jak i kiedy pracuje — przychodził do Tembary jak gość, spędzał w laboratorium godzinę, brał temat, a za dwa, trzy dni wracał już z gotowym rozwiązaniem w głowie; nigdy nie robił żadnych notatek, tak świetną miał pamięć. Błękitnawe świecenie jego selenitowego, luźnego kombinezonu można było dostrzec niespodzianie w jednym z odległych od serca okrętu, ciemnowych kruzganków przyburtowych, gdzieś nad halą lotniska czy na poziomie zerowym; często zapuszczał się tam samotnie, a jeśli u jego boku kroczył człowiek, można było dać głowę, że to Ameta. Zdawało się, że obaj w ogóle nie rozmawiają; posiadali sztukę milczenia w sposób, który zawsze mnie tyleż zadziwiał, co niepokoił, tak jest mi obca. To znów rozkołysanym, lekkim krokiem chodzili po galerii gwiazdowej, raz na pół godziny rzucając sobie dla nikogo niezrozumiałe słowa — nazwy jakichś statków czy też stacji kosmodromicznych — i znów milczeli, jakby na wspólnie obrany temat.

W tym czasie Gea osiągnęła szybkość 90 000 kilometrów na sekundę. Nadal wisiała pozornie nieruchomo pośród gwiazd i tylko światło ich poczynało wolno zmieniać barwę wskutek efektu Dopplera; gwiazdy przed dziobem okrętu niebieszczały, a położone za rufą stawały się czerwone; czułe aparaty badające te zmiany obliczały szybkość podróży, straszliwą i niepojętą w warunkach ziemskich; pocisk, mknący z taką chyżością, ulotniłby się jak gaz przy zetknięciu z najbardziej nawet rozrzedzonymi warstwami atmosfery Ziemi. Tu jednak wszystko było ciche i milczące, gwiazdy i czarna między nimi pustka; tylko z ostatnich, przyrufowych pokładów można było dostrzec Słońce jako stalowożółtą, dość silną gwiazdę, pałającą z głębi spłaszczonego dysku; był to obłok pyłu zodiakalnego, wirującego w płaszczyźnie ekliptyki.

Dalszy wzrost odległości stał się powiększeniem szeregu martwych cyfr na tarczach zegarów; umysł nie mógł ich już ogarnąć.

Kilkakrotnie dostałem propozycję przyłączenia się do różnych grup, miałem nawet, przyznam, chętkę nawiązać kontakt z wideoplastykami, ale ją powściągnąłem. Wchodziłem w coraz rozleglejsze studia medyczne; wieczorami, z miłym uczuciem zmęczenia fizycznego po treningu, przeprowadzałem zawile operacje na fantomach trionowych i studiowałem podręczniki, pogrążając się w bogatych złożach medycznych biblioteki okrętowej.

Studia dawały mi zadowolenie, odczuwałem jednak wciąż jakiś niejasny niedosyt. To mi się zdawało, że zbyt mało przestaję z ludźmi, to znów, że nauka ma nazbyt akademicki charakter i nikomu na statku nie służy. Myśli o praktyce po powrocie na Ziemię były tak odległe, że właściwie nierealne.

Gdy tak uczyłem się, czytałem, przyjmowałem pacjentów, odwiedzałem Ter Haara, przechadzałem się z Ametą, w atmosferze statku zachodziły trudno uchwytnie i powolne, nieodwracalne przemiany. Liczne drobne wydarzenia powinny były zwrócić moją uwagę, byłem jednak jak gdyby głuchy i ślepy. Później dziwiłem się, jak mogłem niczego nie spostrzec, teraz zaś sądzę, że umysł w samoobronie nie chciał dopuścić do siebie zwiastunów tego, co przybliżało się, jak gdyby czekało już w jednej z czarnych, lodowatych otchłani, które nieustannie przeszywał pocisk.

Tak więc pewnego wieczora, gdyśmy, znużeni biegiem, odpoczywali na leżakach półnaczy, z ciałami parującymi od gorącego prysznicu, ktoś leniwie uderzając kantami dłoni po udach, jakby podejmował przerwany masaż, zauważył, jaka to szkoda, że nie możemy parać się wiosłarstwem. Zorin uśmiechnąwszy się rzucił, że podejmuje się zorganizować na Gei autentyczne regaty ósemek, a na nasze zdziwione pytania wyjaśnił, jak sobie to wyobraża. Łodzie można ustawić w niewielkich, równoległych basenach z wodą, otoczyć je mirażem wideoplastycznym jeziora czy nawet morza i załogi rozpoczną zawody; ukryte aparaty pomiarowe zbadają, która ósemka wiosłowała najszybciej, i ta uznana zostanie za zwycięską. Już nawet swoim zwyczajem rysował w powietrzu połączenie aparatury, gdy Griga, fizyk, rzekł cierpko:

— To nie będą zawody, lecz halucynacja. W ogóle za dużo tu tej wideoplastyki. Sztuczne niebo i sztuczne słońce, i sztuczna woda; kto wie, może wszyscy siedzimy w zwyczajnej beczce, a Gea, kosmos, wyprawa i wszystkie te próżniowe krajobrazy to tylko wideomiraż!

Kilku z nas parsknęło śmiechem, ale to jeszcze bardziej rozdrażniło fizyka.

— Na diabła nam taka zabawa! — zawołał i zerwawszy się, stojąc nad nami, mówił gniewnie:

— To przecież samooszukiwanie się! Jeżeli tak dalej będzie, dojdziemy do tego, że w ogóle nikt nic nie będzie robić, nawet wideoplastyka będzie niepotrzebna. Żeby przeżyć wspinaczkę na Himalaje, dosyć będzie połknąć pigułkę, która podrażni odpowiednio mózg, i siedząc w swoim fotelu będziesz jeden z drugim przepelnięty najautentyczniejszym wrażeniem, że przebywasz wśród skał i śniegów! Cóż za ogłupianie się! Toż to narkotyki jakiegoś, ohydne namiastki! Jeśli człowiek nie może czegoś robić naprawdę, to nie trzeba tego robić wcale!

Ostatnie słowa prawie wykrzyczał. Początkowo niektórzy z nas zaczęli się śmiać. Te pojedyncze chichoty natychmiast ucichły. Jakiś biolog spróbował wyjaśnić coś rzeczowo na temat narkotyków, ale rozmowa zaraz wygasła i rozeszliśmy się szybko, skarżąc się głośno na to, że Zorin zbytnio nas forsuje przed zbliżającymi się zawodami. Był to tylko pretekst mający ukryć czające się w każdym milczeniu.

Dłuższy czas nie dawała mi spokoju sprawa nieprzewidzianego zjawiska, w którą wkroczyłem przypadkowo pod zaporą atomową. Zobowiązałem się nikomu o nim nie mówić, ale muszę przyznać, że przez szereg dni oczekiwałem wieczornego sygnału ostrzegawczego z rosnącym podnieceniem i gdziekolwiek się znajdowałem, na własną rękę rozpoczynałem równie nieudolną, co wytężoną obserwację; niczego jednak nie mogłem dostrzec. Raz i drugi umyślnie zatrzymałem się dłużej u Ter Haara, aby wracając odeń zajrzeć do wnęki w murach zapory, była jednak pusta i ciemna. Miałem ochotę powtórzyć eksperyment Yrjöli z popiołem, lecz obawiałem się, że mnie ktoś przy tym zastanie i ośmieszę się. Ostatecznie problem rozwiązał się sam. Yrjöla, który pod koniec następnego miesiąca powrócił do stołu, był w znakomitym humorze i zdawał się wcale nie pamiętać o nocnym spotkaniu. Raz i drugi napomknąłem o tym w rozmowie, a gdy to nie poskutkowało, spytałem go wręcz.

— Ach — powiedział — to nic, wszystko jest w porządku. Takie rzeczy muszą się trafiać w pionierskim doświadczeniu.

Wieczorem chodziłem na pokłady gwiazdowe. Ludzi było na nich mało. Przypisywałem to

powszechnemu zapracowaniu. Mówiono, że astrofizycy przygotowują się już do obserwacji niezwykle rzadkiego zjawiska, jakim miał być zapłon gwiazdy supernowej w nadchodzącym roku. O grupie Goobara chodziły znów słuchy, że jest na tropie jakiegoś odkrycia. Co prawda inne grupy liczyły koło stu osiemdziesięciu osób, po pokładach zaś przemykali samotni amatorzy gwiazd, lecz nie zważałem na to; coraz bardziej fascynowała mnie próżnia. Dawniej patrzałem na nią jak astronom—amator, usiłując nazwać i sklasyfikować wszystkie ciała niebieskie. Powoli z postawy tej nie zostało ani śladu.

Przestałem rozróżniać konstelacje. Nie szukałem ich, nie izolowałem z mrocznego tła, jak nie próbuje się wyosabniać spojrzeniem oczu czy ust ze znajomej twarzy. Nieruchomy, zapatrzony, z czołem przyciśniętym do chłodnej ściany czuwałem godzinami, powierzając wzrok otchłaniom. Spojrzenie, rzucone w górę, zdawało się wracać w siebie jak wypuszczona w niebo strzała. Trwały tam pokłady czerni, tu i ówdzie nadzartej bladymi, próchnicowymi żyłami mgławic. Nic więcej. W dole przepaść usiana iskrami. Oba te obszary nocy tworzyły dwa czarne brzegi Drogi Mlecznej. Po jakimś czasie wzrok przestawał rozróżniać większe całości. Opornie torował sobie drogę w zwałach ciemności, drażył jej warstwy, jakieś ogromne garby mroku osypane wyżarzonym popiołem, jakieś oceany czerni, tlejące fosforycznym osadem; z największym trudem przedzierał się przez zasłony pyłowe ku cieniom gwiazd, znużony, zdawał się wyczerpywać, rozmywany i pochłaniany przez nie kończąca się czerń. Z prawdziwą ulgą odpoczywał na zgrupowaniu światła — a była to mgławica, jasna jak piorun z rtęci przemienionej w gaz, na wieczność zastygły w oszalałym skrucie rozrywu — i znowu podążał dalej, tam gdzie wśród niekształtnych, pomrocznych kadłubów ziały wyrwy wydzielające upiorne, zgniłe światło jakby rozkładającego się ładu. Nadchodziły w tym zapatrzeniu chwile, kiedy wydawało mi się, że spojrzenie zmienia się w coś materialnego, że z głębi oczu wywodzą się jakieś ważkie promienie czy drogi, i że nie mogę zamknąć powiek, bobym porzucił mój wzrok gdzieś w bezdennych labiryntach nocy i skazał go na wieczne bytowanie pośród chmur lodowatych i rozżarzonych, w czeluściach, w których trwa czas nieskończenie stary, pulsujący miliardoleciami, a wszystko to — przestrzenie niezmierzone, bez kresu, bez dna i stropów, bez granic widzialnych ani dających się pomyśleć — to była rzeczywistość, świat powstały z czarnej pustki i oślepiających płomieni wodoru.

W ósmym miesiącu podróży rakietą osiągnęła szybkość 100 000 kilometrów na sekundę. W każdych czterech sekundach przemierzała odległość dzielącą Księżyc od Ziemi; jej pęd spiętrzał czoła fal świetlnych przed nami, a rozciągał je daleko w tyle. Osiągnęła trzecią część najwyższej szybkości; jaka istnieje w kosmosie, a jednak wszystkie punkty świetlne, wyznaczające nasze położenie, trwały nieporuszenie. Wydawało mi się czasem, że dość wmyśleć się w straszliwą obojętność Wszechświata wobec najwyższego wysiłku naszego i maszyn, które stworzyliśmy wszystkie dla jednego celu i rozpędzili je jako metalowe przedłużenie skierowanej w jeden punkt woli, że dość to zrozumieć, aby się poczuć zmiażdżonym. Na najdrobniejsze przesunięcie konstelacji, wymierne tylko mikroskopami, należało czekać nie dni, nie miesiące, ale lata całe. Mknęliśmy dniem i nocą, w czasie pracy, odpoczynku, snu, zabawy, miłości; automaty włączały;— silniki, strumienie ognia atomowego dygocąc opuszczały dysze, pocisk przyśpieszał, przebywał już 105, 110, 120 000 kilometrów na sekundę, a gwiazdy pozostawały nieruchome.

IX SYMFONIA BEETHOVENA

Wszystkie głęboko i niewyraźnie tlejące we mnie zarodki czegoś nowego, nie zaznanego, nie doświadczonego, wciąż jak gdyby zadeptywane, tłumione spotkaniami z ludźmi, godzinami spędzonymi przy aparatach nastawionych na ziemskie transmisje, a wybłyskujące zarzewiem w chwilach, kiedy budziłem się w nocy pomiędzy końcem jednego snu a początkiem drugiego, w czasie samotnych przechadzek pod gwiazdami, pierwszym świtem — wszystko to zebrało się, złączyło i wynurzyło w dwieście sześćdziesiątym trzecim dniu podróży.

Całodzienne zajęcia skończyłem później niż zwykle i stojąc pod wielką araukarią, między salami szpitala a mieszkaniem, wahałem się, co zrobić z resztą wieczoru. W końcu, wciąż niezdecydowany, pojechałem do ogrodu.

Zapadał w nim wczesny, wiosenny zmierzch. Zapewne na życzenie kogoś z towarzyszy wiatr panował gwałtowniejszy niż zwykle i jego surowe porywy, omiatające co chwila gałęzie, budziły wspomnienia dawne i mocne. W błękicie nad głową płynęły duże, niekształtne obłoki, niskie słońce to kryło się za nimi, to wytryskało spoza rozłożonych obrzeży słupami blasku i wtedy wszystkie krzewy i drzewa rzucały na ziemię wyostrzone nagle cienie, jak gdyby budząc się raptownie.

Na głazach pod urwiskiem, z którego spada potoczek, siedziało czterech chłopców w wieku od dwunastu do piętnastu lat. Najmłodszy, skulony pod granitową bryłą, oblizywał cukrowy puch z patyczka, a modlitewne zapamiętanie, z jakim cały oddawał się tej czynności, było tak intensywne, że mimo woli przystąpiłem, by podziwiać go przez chwilę. Drugi gwizdał fałszywie motyw symfoniczny, w miejscach trudnych pomagając sobie gwałtownymi wymachami nóg; trzeci, w którym poznałem Nilsa Yrjöle, wspiał się najwyżej; usadowiony w naturalnym siodle kamiennym, ręce skrzyżowawszy na piersi, spoglądał w horyzont z wyrazem pana bezkresnych przestrzeni. Ktoś, kogo nie mogłem dostrzec, stał po drugiej stronie potoczku, tuż nad pieniającą się wodą, która wydawała się w cieniu czarna i gęsta jak smoła; tylko grzywa piany rzucała stamtąd chwilami białe łyśnięcia.

— To kiedy właściwie zacznie się ta okropna pustka, o której tyle się mówi? — spytał najmłodszy z chłopców, zwracając się w stronę niewidzialnego człowieka; w dalszym ciągu oblizywał cukrowy puch, aby zaś pogodzić rozmowę ze spożywaniem smakołyku, ułamał jego koniec i wypchał nim sobie policzek.

— Zacznie się wtedy, kiedy ją zauważysz — odparł niewidzialny.

Poznałem głos Amety. Równocześnie ktoś położył mi rękę na ramieniu. Była to Anna.

— Dawnośmy się nie widzieli, co porabiasz? — powiedziałem z uśmiechem, zwracając się w jej stronę; słyszałem, że chłopcy dalej mówią z pilotem, lecz nie mogłem ich już podsłuchiwać.

— Jest dziś koncert — rzekła Anna rzeczowo, potrząsając lokami.

— Ruys senior? — spytałem.

— Nie, tym razem coś bardziej zamierchłego: Beethoven, Dziewiąta. Znasz?

— Chyba tak — odparłem. — A więc koncert. Wybierasz się?

— Tak. A ty? — rzuciła. W oddali migały kolorowe sukienki dzieci.

— Oczywiście — powiedziałem — z tobą, jeśli można? Kiwnęła twierdząco głową i zaraz podniosła rękę do

włosów, żeby poskromić ich bunt.

— Czy już trzeba wyruszać? — spytałem. Niespodzianie ogarnął mnie lekki, pogodny nastrój, jakbym właśnie wychylił kielich musującego napoju.

— Nie, zaczyna się o ósmej.

— To za godzinę — sprawdziłem na zegarku — czy się gdzieś umówimy? — dodałem z

uśmiechem. Było przyjęte, żeby się na Gei zachowywać w taki właśnie sposób, sugerując postępowaniem, że swoboda naszych poczynań nie jest ograniczona ścianami statku; należało to do narastającego systemu ułud; myślałem, jak inni, że to dobra metoda.

— Naturalnie — odparła poważnie — umówimy się... pod tamtym świerkiem, za godzinę.

— Równo za godzinę, doskonale, czy mam cię teraz opuścić[^]

— Tak, mam jeszcze to i owo do załatwienia. Znowu zostałem sam. Zwróciłem się w stronę, w której przedtem siedzieli chłopcy, teraz jednak nie było tam nikogo. Ruszyłem przez ogród. Tak doskonale znałem każdy jego najmniejszy zakątek, każdą alejkę i klomb, że mógłbym go chyba na ślepo przemierzyć w dowolnym kierunku. Wiedziałem oczywiście dokładnie, gdzie kończy się przestrzeń zwiedzalna i rozpoczynają fantomy wideoplastyki. Niespodziewanie przyszło mi do głowy, że przechadzka ta jest podobna do spacerów starożytnych galerników, i poczułem nagłą niechęć do szumiących dziś tak mocno drzew i krzaków. Wszedłem na korytarz. Opanował mnie jakiś zupełny brak decyzji; wsiadłem do windy i pojechałem na ósmą kondygnację, by odwiedzić Rudelika, jednakże już na piątej wysiadłem i zjechałem na powrót na dół, spodziewając się zastać Ametę w oddziale osobowym lotniska, gdyż widziałem go tam kilka razy, hala jednak była tak rozległa, że na poszukiwaniach strawiłbym niemało czasu. Posłuszna winda znowu pomknęła w górę. Zrobiłem wtedy coś sztubackiego: zamknąwszy oczy wyciągnąłem rękę i nacisnąłem pierwszy guzik, na jaki trafiły palce. Czekałem cierpliwie. Drzwi otwały się z ledwo słyszalnym sykiem; byłem, jak się okazało, na jedenastej kondygnacji, w pobliżu pracowni Goobara. Mało kto tu zachodził, gdyż nie miał tu czego szukać, wysiadłem jednak, odprawiłem windę i wolnym krokiem zacząłem iść ku wielkiej ścianie, za której podwójnym oszalowaniem kryło się osobiste laboratorium Goobara.

Zbliżyłem się do ściany. Była nieprzejrzysta, choć szklana, składała się bowiem ze spolaryzowanych płyt: w pewnym ustawieniu przepuszczać mogły światło, w innym pochłaniały je. Teraz była ciemna i lśniąca, jakby powleczona lśniącym aksamitem, ale w jednym miejscu, na wysokości głowy, znajdowało się w niej jak gdyby okienko; nie wiem, czy polaryzujące płyty ustawiły się tak przypadkowo, czy też uczynił to ktoś umyślnie; dość, że można było swobodnie zajrzeć do wnętrza, co uczyniłem. Widać było część pracowni z sięgającymi stropu aparatami matematycznymi. Stałem w przyćmionym świetle, laboratorium natomiast zalewały potopy blasku. W pierwszej chwili wydało mi się, że jest puste, dostrzegłem tylko drobny, powtarzający się gdzieś w głębi ruch — to rytmicznie wahały się dźwigienki przekaźników.

Nagle drgnąłem; w polu widzenia ukazał się człowiek. Przechadzając się między machinami, zwrócony do mnie tyłem, perorował z ożywieniem, jak na to wskazywały płynne ruchy ręki, w której dzierżył jakąś czarną pałeczkę, drugą rękę trzymał w kieszeni.

Zanim jeszcze zawrócił u końca krótkiej drogi, poznałem go, to był Goobar. Chodził tam i na powrót wzdłuż frontu najeżonej kontaktami maszyny i zdawał się przemawiać do kogoś niewidzialnego; głos jego, jak w ogóle żadne dźwięki, nie dobiegał do mnie przez szklany mur.

Zaciekawiony, do kogo przemawia tak żywo, zbliżyłem się jeszcze o krok, zapominając o tym, że może mnie dostrzec. Teraz stał na lekko rozstawionych nogach i podnosząc rękę z pałeczką, mówił szybko, odwrócony w trzech czwartych, tak że widziałem tylko leciutkie pulsowanie mięśni na skroni. Na ekranach przed nim poruszały się linie bładozielonego ognia.

Był sam ze swymi automatami i z nimi właśnie dyskutował. Widowisko stawało się osobiwe. Treści rozmowy nie pojąłbym na pewno, nawet gdybym ją mógł usłyszeć. A jednak powoli, w miarę jak scena się przedłużała, poczytnałem się orientować. Goobar zdawał się wyklądać czy wyjaśniał coś zgrupowanej wokół amfiladzie machin; centralny mózg elektryczny, ogromny masyw metalu, wypukłony niczym czoło giganta, pokryty grubym

pancerzem z wyziorami zegarów, odpowiadał zarówno głosem, jak szeregami obliczeń i wykresów, które wciąż pojawiały się i nikły w jego ekranach. Goobar to przysłuchiwał się odpowiedziom, to odczytywał je i powoli przeczył głową; czasem odwracał się ze zniechęceniem i przeszedłszy dwa, trzy kroki znowu stawał twarzą do maszyny i rzucał kilka słów, czasem dotknął jakiegoś kontaktu, czasem przeszedł w bok i robił coś przy jednym z podręcznych elektroanalyzerów, wracał z karteczką i wrzucał ją niby liścik do wnętrza maszyny; wówczas ruszała zapalając i gasząc ekrany, i wyglądało to chwilami, jakby mrugała do niego porozumiewawczo zielonymi i żółtymi oczyma, ale on, zapoznawszy się ze wszystkim, co miała mu do zakomunikowania, powtarzał przeczący ruch głową i wypowiadał jedno słowo: „Nie”; nauczyłem się odczytywać je z krótkiego drgnienia warg.

Scena przeciągała się. Kilka razy Goobar ruchem ręki z czarnym pręcikiem, niby pałeczką magiczną, wytrącał automat z serii długiego wyvodu i zmuszał go do powtarzania obliczeń; nagle ściągnął brwi, odrzucił precz pałeczkę i znikł mi z oczu. Przez chwilę nie było nikogo, tylko automat wyrzucał na ekrany nieruchomiejące powoli, jak gdyby ścinające się w zielony lód figury wykresów, jakby samotny, opuszczony przez mistrza, przemyślał raz jeszcze wszystkie odrzucone argumenty. Po minucie Goobar wrócił; był z nim mechanoautomat, który skierował się prosto do mózgu elektrycznego, uczony cofnął się, zmrużył oko i przemówił do mechanoautomatu. Struchlałem, bo ten na znak Goobara wypuścił z głowicy narzędziowej wiertło i przewiercił dziurę w pancernym czole mózgu, po czym nożycową dźwignią odchylił całą pokrywę. Teraz mechaniczny „chirurg” znieruchomiał. Goobar zaś z największym zaciekawieniem zaglądał do środka otwartej maszyny; potem wziął kilka drobnych instrumentów i zaczął zmieniać połączenia kabli; pracował niezwykle szybko. Cofnął się, przez chwilę bystro patrzył w obnażone wnętrze, w którym wiły się srebrne i białe zwoje przewodów, raz jeszcze przemieścił kilka, nareszcie na jego znak mechanoautomat podniósł pokierszowaną płytę czołową i zamocował ją na dawnym miejscu. Goobar włączył prąd. Mózg ożył, ekrany zawibrowały światłem, w palcach uczonego znowu pojawiła się, jak wyczarowana, czarna pałeczka — teraz spostrzegłem, że to była rurka z miętówkami — Goobar usiadł na skraju wysokiego stołka i przez długi czas patrzył na rozwijające się w głębi ekranów krzywe, nareszcie potakująco kiwnął głową i powiedział coś, zwracając się w stronę niewidzialnej dla mnie części pokoju.

Pomyślałem, że przekształcił zapewne część aparatury aksjomatycznej; widać tworzył nie istniejącą gałąź matematyki, której konieczność pojawiła się w związku z nowymi dociekaniem, i byłem świadkiem operacji, jaką wprowadzał rozumowanie mózgu na nowe tory.

Goobar siedział na stołku, wpatrzony w mózg, który wciąż pracował; czasem światła zaczynały słabnąć i wtedy Goobar lekko się poruszał, gotowy do dalszego etapu operacji, ale mózg znowu migotał ekranami, a przekaźniki, które stanęły, poczynają wahać się, wyznaczając miarowy, jednostajny rytm mechanicznego życia.

Nagle straciłem go z oczu; w polu widzenia pojawiła się nowa osoba — Callarla. Przeszła, nie śpiesząc się, przez wolną przestrzeń, przystanąła tuż przy Goobarze, przesłaniając go, a potem odwróciła się i ruszyła prosto ku mnie. Drgnąłem chcąc się ukryć, lecz nogi jakby wrosły mi w podłogę. Podeszła do szklanego muru tak blisko, że jej twarz wypełniła przejrzyste okienko. Byłem pewny, że mnie zobaczy. Wtem Goobar powiedział coś do niej. Odpowiedziała samymi tylko wargami, nie obejrzawszy się; jej twarz nie uczestniczyła w rozmowie, toczony pewno na jakiś techniczny temat. Nie widziała mnie. Jej wielkie, nieruchome źrenice powoli rosły, jak gdyby piły mrok. Nie dostrzegała ani mnie, ani nic w ogóle. Wzrok jej na nic nie czekał, nie spodziewała się żadnego obrazu, żadnego światła ani nawet ciemności. Scena przedłużała się. Czarna figura Goobara na drugim planie wydała mi się nagle dziwnie błaha, a ogromne, otaczające go aparaty wyglądały jak rodzaj doprowadzonych do doskonałości mechanicznych zabawek wobec tej bardzo jasnej twarzy

kobiecej z gładkim czołem, uciszonymi ustami i oczami, które oparte o kwadrat szklanego muru były tak dalekie, jakby je powierzyła bezdennej pustce. Potem zwróciła się do Goobara i patrzyła na niego, wciąż rozprawiającego z machinami; wtedy nie mogąc dłużej ustać, czując na twarzy palący rumieniec wstydu, że podglądałem ją w chwili, której nikt nie miał znać, cofnąłem się ukradkiem i uciekłem jak złoczyńca.

Winda zniosła mnie na poziom filharmonii, choć jej tam świadomie nie skierowałem. Nagle ocknąłem się w snopach brylantowego blasku. Stałem na marmurowych płytach pod arkadą wejścia do sali, ostatni ludzie śpieszyli do środka; równocześnie przypomniałem sobie, że miałem się spotkać z Anną, i ujrzałem ją. Podbiegłem, chwyciłem za ręce i począłem szeptać jakieś splątane usprawiedliwienia; wyższa niż zwykle, w długiej sukni, stworzonej jakby z potoku bardzo starego, zmatowiałego srebra, zesznurowała usta udając gniew.

— Chodź, chodź — powiedziała — potem się policzymy.

Zaledwieśmy weszli, duże światła zgasły; w ogromną muszlę u końca sali uderzyły z góry reflektory, na tle świecących instrumentów i poruszających się głów rozkrzyżowała się czarna, cienka sylwetka dyrygenta—. Sucho zastukała pałeczka.

Zrazu nurt tej starej muzyki jak gdyby mnie opływał, obojętnego. Odczuwałem przyjemność z oglądania tych lśniących miedzią i lakiem instrumentów starożytności, na których zawsze wykonuje się dawne utwory. Owe ślimacznice rur, skóry rozpięte na walcach, metalowe talerze — wszystko to jest zarazem zabawne i wzruszające. Ilekroć myślę o najdalszej przeszłości, nasuwa mi się niesłychany rozdźwięk między wyobraźnią tych ludzi, którzy kochali muzykę jak my, i sposobami, jakimi wydobywali ją z drewnianych pudeł i strun zwierzęcych...

W głowie mieszały się strzępy obrazów, głosów, nie dokończone słowa, myśli, a wszystko to było podmywane z zewnątrz przez huczącą, narastającą i opadającą muzykę. I oto nagle, nie wiem jak ani kiedy, muzyka ta wdarła się we mnie. Między zastygłe wspomnienia wcisnęły się potężne, podważające tony, jakby powódź runęła w dom i porywała jednakowo rupiecie i rzeczy bezcenne, i tam, gdzie przed chwilą był skromny ład codzienności, obracały się ciemne wiry. A potem stało się tak, że muzyka zaczęła topić mnie w swym wnętrzu; zbudził się gniew, nie chciałem się poddać, usiłowałem osadzić melodię — daremnie. Myśli, cała pamięć, wszystko, czym byłem, pędziło gdzieś unoszone, aż pękł ostatni opór i stałem bezbronny, otwarty, i byłem jak łożysko straszliwego nurtu, który toczył się coraz głębiej i głębiej, żłobił, obalał brzegi, zawracał i uderzał ze zdwojoną siłą, a w tej burzy zaczęło rozlegać się powtarzające, nieustanne wołanie — to mnie wołał nadludzki głos.

Nagle wszystko zawahało się, jakby olbrzymia siła, przełęczniona własną odwagą, zatrzymała się na mgnienie — nastąpiła cisza, krótka i tak gwałtowna, że serce przestało bić; potem melodia wybuchła.

Chciałem wstać i wyjść; to było nie do zniesienia. Ukradkiem, pochylając się, przebyłem, nie wiem jak, przestrzeń do drzwi. Znalazłem się w pustym półkolu marmurowych kolumn, oddychając nierówno, jak po wyczerpującym biegu. Zacząłem schodzić, bo muzyka goniła mnie i tu, choć stłumiona. Wtem dostrzegłem, że nie jestem sam.

O stopień wyżej stała Anna. Milcząc ująłem ją za rękę, wszystko jakby wygładzało się, zamierało, coraz dalsze i dalsze tony zrywów symfonicznych odprowadzały nas w głąb pustego korytarza; potem świsnęła cicho winda. Kilkadziesiąt kroków — i otwarła się galeria gwiazdowa.

Nie wiem, czy ja tam szedłem, czy też ona mnie prowadziła? Nie wiem. Staliśmy bez ruchu, a u naszych stóp, niewidzialnych, jakbyśmy się sami przemienili w czerń, rozchylały się głębie, czeluść bez kresu i dna, wieczna, niezmienna otchłań, a w niej stężałe światła — okrutne, okrutne gwiazdy.

Ścisnąłem dłoń Anny. Czułem jej ciepło, lecz byłem sam.

— Dziecko... — szeptałem — ty nic nie wiesz... on... on wiedział o nas, słyszysz?

Wszystko wiedział, ten przedpotopowy muzyk, ten Beethoven, głuchy Niemiec z XVIII stulecia... On wszystko przewidział, on wiedział...

Anna milczała. Poczułem spokojne dotknięcie jej palców. Uchwyciłem się tego spokoju; mogła z tego powstać zwykła, dobra rozmowa, otwierająca drogę powrotu do czegoś, co było przedtem, a co w tej chwili wydawało mi się utracone na zawsze, ale błysnęła nadzieja.

— On nic nie rozumiał — odezwałem się jeszcze ciszej — nic, tylko mówił, i ten głos do dzisiaj jest żywy... zdawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą, bo powiedział rzeczy, których nie ważyłbym się wyznać nawet przed samym sobą... on znał nawet to... — podniosłem rękę ku gwiazdom.

Konstelacji nie widziałem. Było tam jak gdyby zamarłe pełganie światła w czeluściach nieskończenia starych; zimne, milczące iskry, jak grymas straszliwej obojętności; oczu nie mogłem zamknąć i patrzeć nie mogłem. Chwyciłem Annę za ramiona. Wtedy jej głowa znalazła się między mną i próżnią, jak gdyby osłaniała mnie i broniła. Bez żadnej myśli przycisnąłem ją do siebie, poczułem ciepło nagich ramion, jej oddech zalał mi twarz, wargi znalazły się. Była cisza i łomot pulsów, opadający, nasze serca zamierały. Przywarła do mnie mocno, ufnie. Nie miałem do tego prawa.

— Anno — szepnąłem — słuchaj, ja... Wyswobodziła rękę i zamknęła mi usta wnętrzem dłoni; jakże zapomnieć ten gest mądrości kobiecej.

— Nie mów nic — szepnęła cicho.

Nie widzieliśmy się. Był mrok; próżnia oblegała nas ze wszech stron i czyhała, otwarta na każde spojrzenie; zdawało się, że pancerze Gei rozpadły się, zwątpiłem w pewność oparcia pod stopami. Tylko to smukłe ciało dawało schronienie. Przycisnąłem rozpalone czoło do jej chłodnego barku i trwaliśmy tak, nie wiem jak długo. Wtem jakby ptak przysiadł mi na włosach — ptak, tutaj? Na Gei nie było ptaków, nie mogło ich być, objęłyby się jak ślepe o ściany skłamanego mirażu Ziemi...

Gładziła mnie po głowie. Przywarłem ustami do jej szyi i wyczułem jej serce; tętno odzywało się miarowo, jak gdyby z głębi jej ciała przemawiał do mnie ktoś bardzo bliski i dobrze znany. Zaczęliśmy iść, przytuleni, milczący, jakby już wszystko zostało powiedziane. Korytarz skręcił, przesunęły się oświetlone błękitnym mżeniem nocnych lampek schody, potem długa, boczna odnoga, wielka sień... staliśmy przed moim pokojem. Ramię Anny zeszywniało nieznacznie w mojej ręce, lecz sama wyciągnęła dłoń, nacisnęła klamkę i pierwsza przestąpiła próg. Zwrócony w tył, szukając po omacku skrzydła drzwi, żeby je zamknąć za sobą, drgnąłem nagle jak uderzony. Anna przywarła do mnie, na próżno. Byliśmy już rozdzieleni mrokiem, tym mrokiem, z którego wybiegł i trwał długi, przeciągły, głuchy świst przewodów. Gea zwiększała szybkość.

NARADA ASTROGATORÓW

Każda gwiazda istnieje dzięki ścieraniu się dwu przeciwnych sił: grawitacji, ściągającej jej masę ku środkowi, oraz promieniowaniu, które usiłuje rozdać ją swym potężnym parciem. Gwiazda wyrzuca potoki materii przekształconej w energię i trwa tak miliardolecia.

Gdy atomowe paliwo wyczerpuje się, znika ów nieustanny, we wszystkie strony naraz z wnętrza wybiegający piorun, jakim jest parcie promieniowania. Wnętrze gwiazdy poczyną stygnąć tym gwałtowniej, że ucieczka energii poprzez jej powierzchnię trwa nadal. Rozprężające kulę gazową ciśnienie słabnie, nie może już przeciwstawiać się zaciskającej ją sile ciężenia. Gwiazda poczyną się zapadać; niezmienny moment ruchu obrotowego zrywa zewnętrzne powłoki atmosfery i wyrzuca je w przestrzeń pod postacią rozżarzonej kuli gazu, rozdmymającej się z szybkością tysięcy kilometrów na sekundę; wtedy ucieczka energii przez obnażone gorące warstwy gwiazdy jeszcze bardziej się zwiększa. Wówczas w pewnym gatunku słońc może się przydarzyć, że gwiazda poczyną kurczyć się niezwykle szybko. Potworne ciśnienie i temperatura wtłaczają swobodne elektrony do jąder atomowych; następuje zobojętnienie ładunków elektrycznych i cała gwiazda przemienia się w skupisko cząstek obojętnych — neutronów — a te, nie odpychając się, mogą się zbliżyć do siebie znacznie bardziej niż jądra zwykłych atomów. Wtedy staje się coś, co można określić słowami, że „gwiazda runęła w siebie samą”.

Glob rozżarzonej materii, zdolny w swym wnętrzu pomieścić cały system planetarny, zmienia się w kulę o kilometrowej średnicy; zbita miazga neutronów tworzy najbardziej zdumiewający, najgęstszy rodzaj materii wszechświata. Skomprimowana tak masa całej Ziemi pomieściłaby się w stumetrowym pagórku. Wyzwolona energia potworną erupcją wybucha w przestrzeń; w ciągu kilkunastu dni gwiazda świeci z siłą bijącą setki milionów słońc razem wziętych, potem płomień tej kosmicznej eksplozji wygasa i gwiazda, a raczej pozostała po niej wyżarzona do białości bryła okrutnie zbitej materii, pogrąża się na nieskończoność w mrokach.

Takie właśnie zjawisko, raz na kilkaset lat wydarzające się w każdej mgławicy pozagalaktycznej, przewidzieli astrofizycy Gei.

Oczekiwanie zapłonu supernowej stało się sensacją dnia. Całe pielgrzymki ciekawych przewijały się przez obserwatorium już na kilkanaście dni przed zapowiedzianym terminem, który obejmował zresztą półtora tygodnia, z uwagi na niedokładną mierzalność niektórych czynników wyznaczających moment wybuchu.

Supernowa zajaśnieć miała niemal na przedłużeniu długiej osi okrętu, tak tedy ośmiometrowy ekran głównego teletaktora kierował się nieustannie w stronę południowego bieguna galaktycznego. Leżący w tym obszarze cypel Drogi Mlecznej rozpadał się dzięki rozdzielczej sile potężnego przyrządu na nieprzeliczone mrowie gwiazd, ale wszystkie widoczne były dalej jako punkty, gdyż nawet wielomilionowe powiększenie było bezsilne wobec rozdzielającej nas otchłani. Za to pomiędzy gromadami kulistymi Omegi, Centaura i Krzyża Południa widniały mgławice pozagalaktyczne jako blade dyski z ciemniejszym obrzeżem pyłowym; każda taka chmurka stanowiła układ wieluset milionów gwiazd.

Ośrodkiem uwagi astrofizyków pozostawał Mały Obłok Magellana, a zwłaszcza ta jego część, w której oczekiwali rozbłysnięcia supernowej. Nieznużeni ciągłymi odwiedzinami, kontynuowali swoje codzienne prace. Niewielki automat matematyczny był w ciągłym ruchu, wykonując skomplikowane obliczenia; z rąk do rąk chodziły powiększone klisze fotograficzne i pasy spektrogramów, poznaczone cyframi; cała ta miarowa krzątania wywierała na przechodzących jakiś dziwnie uspokajający wpływ; czuliśmy się jak ludzie zwiedzający — pod przewodem uzbrojonych pogromców — obszar zarojony drapieżnymi bestiami. Dla astrofizyków nic niepokojącego nie było ani w nieskończonych obszarach

wiecznej nocy, ani w bezdennie rozciągających się obłokach czarnego i białego żaru; ich rzeczowy, klasyfikatorski stosunek do nieskończoności udzielał się i nam; zauważyłem, że galerie gwiazdowe, pustoszejące w ostatnich czasach, znowu się zapełniły.

Zastanowił mnie nieco rozgłos, jaki kierownicy wyprawy nadawali mającemu nadejść zjawisku; zauważyłem raz przy Yrjöli, że gromady ciekawych mogą utrudniać pracę astronomom, ale inżynier uśmiechnął się tylko i jakby mimochodem zauważył, że „to się oplaca”.

Kiedy przyszedł dzień właściwego oczekiwania, hala obserwatorium ledwo pomieścić mogła wszystkich gości. Jednakowoż ani pierwszego, ani drugiego i trzeciego dnia nic się nie zdarzyło, tak że zawiedzeni rozchodziliśmy się dobrze po północy korytarzami, mrużąc oczy przywykłe do czerni ekranów obserwacyjnych.

Czwartego dnia zjawilo się już mniej osób, piątego tylko czwarta część, a rankiem szóstego supernowa zapłonęła wreszcie jako oślepiająco biały punkt w Małym Obłoku. Czy oczekiwanie nadmiernie się przedłużyło, czy też w wyobrażeniach naszych zjawisko przedstawiało się monumentalniej, dość że fakt ten przyjęliśmy raczej obojętnie i wszystko, co się mówiło w obserwatorium, było w większej mierze grzecznością, świadczoną astrofizykom, niż wyrazem rzeczywistego zachwytu. Tak sztucznie nieco wzbudzona fala entuzjazmu opadła i wygasła dużo szybciej, niż niknąć zaczęła i rozmywać się w jednostajnym świeceniu Obłoku iskra supernowej.

Koordynatorem grupy astrofizyków był profesor Trehub, znakomity badacz mgławic pozagalaktycznych, łowca obłoków gwiazdnych, krążących na granicach zasięgu najpotężniejszych teleskopów. Dość go było raz zobaczyć, by zapamiętać na zawsze. Głowa siedziała mu na ramionach jak w kulę nastroszony ptak z potężnym, podwiniętym w tępy dziób nosem podanym do przodu, z brwiami ściągniętymi nad nasadą nosa w owłosiony, drgający, żywy supeł, który sygnalizował wszystko ważne, cokolwiek dostrzegły oczy. Mówił krótkimi zdaniem, nie podnosząc nigdy głosu, który docierał zawsze do tego, do kogo był skierowany, poprzez największy gwar. Przybyszów przyjmował w obserwatorium z uprzedzającą grzecznością, ani na chwilę nie przerywając pracy. Mogło się czasem zdawać, że chce oszołomić rozmówcę niezwykle powiędzeniami. Raz, gdy wspomniałem o Ziemi, rzekł:

— I tam jesteśmy wśród gwiazd: od próżni dzieli trochę powietrza i grubość Ziemi pod stopami; trzeba tylko podnieść głowę.

Był on autorem projektu, który narobił niemało hałasu, choć nikt poza nim nie odważył się roztrząsać go serio: wyraził się, że najlepiej byłoby się wyprawić w podróż gwiazdową nie statkiem wielkim czy małym, lecz całą Ziemią, w taki sposób, żeby potężnymi odrzutami energii atomowej wytrącić ją z orbity i powoli „rozkręcając” po spirali, oddalającej się coraz bardziej od słońca, ruszyć nią wreszcie w stronę obranej gwiazdy; ciepła i światła w owej kosmicznej podróży poprzez mroki miałyby dostarczać Ziemianom mnogie sztuczne słońca atomowe.

— Można już dziś obliczyć z grubsza — mawiał — że nasze Słońce zagaśnie za jakie dziesięć czy dwanaście miliardów lat i wtedy będziemy musieli poszukać sobie innego; cóż prostszego niż uprzedzić ten wypadek i zrobić teraz z własnej woli to, do czego będziemy zmuszeni w przyszłości!

Najbardziej, przyznam, zaimponowała mi forma „my”, jakiej użył, jak gdyby na serio zamierzał doczekać czasów za dwanaście miliardów lat, ale on nie robił nic, by imponować; nie zależało mu na tym wcale. W swoich często niezwykle poglądach stanowił mniejszość, nierzadko ograniczającą się do jednej jego osoby; mówił wtedy o „buntach” swoich kolegów i współpracowników; warto dodać, że chętnie się śmiał. W półmroku obserwatorium często rozlegał się jego basowy chichot, kiedy podświetlając lampą żarową jakąś kliszę, znajdował w niej potwierdzenie swych przypuszczeń. Lubilem patrzeć na tego człowieka, naładowanego

niezniszczalną energią.

W grupie Trehuba pracowali Borelowie. Paweł, planetolog, na Ziemi zawołany alpinista, smukły, siwiejący, przygarbiony, miał cerę ciemną od słońca i wiatrów. Od oczu, nawykłych do ostrego przymrużania w blasku lodowców, wybiegały gęste, drobne zmarszczki. Maria, jego żona, miała wygląd pospolity. Gdy stała w grupie ludzi, spojrzenie obcego łatwo ją pomijało. Nie od razu poznałem skryte, trudno czytelne piękno jej twarzy, które rzadko tylko wybłyskiwało pełnią z jakiejś radości czy smutku, jak najczystsza nagość w nagłym rozsunięciu kotar.

Małżonkowie pracowali zazwyczaj oddzielnie, on przy teletaktorach lub spektroskopach, ona zaś przy aparaturze liczącej. Pośród rozmów przerywanych długim milczeniem, w których wszyscy rozumieli się w pół słowa, w jednostajnej, skupionej pracy można było rzadko uchwycić w powietrzu spojrzenie, które Borel zwracał do żony. Ani wymowne szczególnie, ani mocne, nic podobnego, po prostu krótki, jasny błysk oczu, stwierdzenie: „Jesteś” — po którym znowu pogrążał się w pracy.

W owym czasie Anna wymykała mi się. Jej postęпки i wyraz twarzy stawały się często nieczytelne. Na całe dni znikwała; kiedy pytałem ją niby mimochodem, zrzucała winę na prace u Czakandzan; gdy proponowałem wspólną przechadzkę czy wysłuchanie koncertu, znajdowała nie dające się odłożyć zajęcia, ale potem niespodzianie zjawiała się, taka jak na początku, pogodna, ufna i spokojna. Niekiedy smutniała zniechęta, ale zaraz rozpraszała to drobne, dziecinne stroskanie uśmiechem. Nasze spotkania wikły się jakoś; to próbowałem odplącić jej spokojem za spokój, ale stawało się to sztuczną obojętnością, to znowu usiłowałem być wobec niej szczerą ową wysiloną szczerością, która nic naszego dalszego pożycia; słuchała uważnie, ale do jej uśmiechu mieszała się iskierka ironii, jakby nie brała serio ani tego, co mówiłem, ani mnie samego. Rozmowa rwała się wtedy, utykała, wlokła, w jej podtrzymywanie musiałem wkładać wysiłek; to mnie gniewało; czułem się jak na lotnym piasku. Za każdym razem musiałem jak gdyby na nowo doszukiwać się owej Anny z nocy po Dziewiątej symfonii Beethovena; musiałem dochodzić do niej pokonując niewidzialny opór, tkwiący — zdawało się — nie w niej czy we mnie, ale pomiędzy nami. Spytałem ją raz:

— Czy dobrze ci ze mną?

— Nie — odparła — ale bez ciebie mi źle.

Przywiązywałem się do niej. Lubilem patrzeć, jak przyrządza rankiem śniadanie; w luźnym, jasnym płaszczu porannym, z rozburzonymi włosami nachylała się nad szkłem, mieszając ingrediencje owocowe ze skupieniem godnym starożytnego alchemika. „Anna z gwiazd” — tak ją nazywałem, ale nie mówiłem, że skojarzenie to powstało przez kontrast z „ziemską Anną”. Była piękna. Spotyka się na Ziemi krajobrazy, wszystko jedno, majestatyczne czy ciche, sprawiające wrażenie, że przyroda stworzyła je niby w jakimś „samozamyśleniu”, napawając się własną urodą. Coś takiego było w Annie, w ciemności wielkich jak fala włosów, w regularności oddechu, w brwiach zgiętych na krańcach rozlotu, w wargach, zamkniętych jakby nad czymś dojrzewającym bardzo powoli, lecz nieustannie. Pamiętam, jak kiedyś ze wzruszeniem obserwowałem jej sen: najdrobniejsze drgnienie rzęs, ruchy piersi poruszanej ciepłym tchem. Nagle obudziła się pod moim wzrokiem i jak gdyby wychodząc mi naprzeciw ze snu, patrzyła przez mgnienie dużymi oczami, a potem cała zapłonęła; fala różowości ogarnęła jej szyję, twarz, nawet uszy. Zaraz rozpocząłem inkwizycję pytań, by poznać przyczynę rumieńca. Długo nie chciała odpowiedzieć, nareszcie niechętnie, surowo rzuciła:

— Śniłeś mi się. — Nic więcej nie chciała powiedzieć.

Tak wciąż na nowo nawiązując się i rwąc, trwał nasz niecodzienny związek, w którym była ukryta — w późnych godzinach nocnych — czymś gorzkim zaprawiona czułość i skrzętnie tajone zmaganie.

Tymczasem życie na Gei toczyło się zwykłym trybem; laboratoria pracowały, wieczorami

gromadziliśmy się przy ziemskich odbiornikach radiowych, schodziliśmy się na widowni wideoplastycznej, w halach sportowych trenowały zespoły do kolejnych zawodów, koncerty były chórami dźwięków w sklepieniu sali filharmonicznej i wszystko, oglądane z daleka, wyglądało jak przedtem, a jednak jawiły się zwiastuny tego, co nadchodziło i co zdawało się, rozpostarte wzdłuż bezkresu drogi, przesączać niepostrzeżenie przez hermetyczne pancerze statku, zatruwając umysły i serca.

Zaczęło się to bodaj od snów; ja przynajmniej zebrałem takie spostrzeżenia. Moje własne stały się w tym czasie zarazem plastyczne i bogate, ale bogactwem nieproszonym i niepożądanym, a nawet nieznośnym. Miewałem sny przeciągające się z nocy w noc, natrętne, powracające; niektóre rozdrzewiały się na kilka wątków śnionych kolejno; szczególnie wrył mi się w pamięć sen o mieście ślepców. Byłem niewidomy i żyłem w mroku jakichś splątanych, gałęzistych form; w śnie tym miałem długą i zawiłą przeszłość, całkowicie odmienną od rzeczywistości: były tam jakieś dalekie wędrówki, jakieś spotkania z ludźmi, a wszystko bez krzty światła, zawsze w czerni tłoczącej głowę i pierś; sen ów, a raczej cała plejada snów rozciągająca się na tygodnie, tak mnie nużył, że po raz pierwszy w życiu począłem zażywać środki nasenne, wyłączające działania kory mózgowej; przychodził sen kamienny, gdy jednak odstawiałem lekarstwo, koszmar wracał.

W ambulatorium zjawiali się ludzie skarżący się na nocne zmory; przychodzili zazwyczaj zażenowani błahością swych skarg i udawali, że to z ich strony raczej kaprys niż wyraz nękającej dolegliwości, ale nauczony własnym doświadczeniem wysłuchiwałem ich skrupulatnie i zapisywałem środki, które sam zażywałem, spotkałem się jednak wielokrotnie z niechęcią. W naszych czasach nikt nie lubi zażywać lekarstw; medycyna jest bowiem nastawiona raczej na zapobieganie schorzeniom niż ich leczenie.

Głównie jednak nie chcieli moi pacjenci spoczywać snem kamiennym, owszem, pragnęli śnić, ale o... Ziemi; to wyznawali tylko w cztery oczy. „Niestety — odpowiadałem — nie umiemy jeszcze wywoływać snów na dowolny temat”. Musiałem odprawiać ich z niczym poza radami, by więcej oddawali się ćwiczeniom fizycznym i dłużej przebywali na „wolnym” powietrzu.

Wspomnienie parku Gei często wywoływało zachnięcia; ten twór wideoplastyków, z którego byli tacy dumni, stawał się nieomal kamieniem obrazy. Przez pewien czas dyskutowano sprawę przemienienia naszego ogrodu; wysunięto mianowicie projekt, żeby go przekształcić stwarzając nową konfigurację zarówno części rzeczywistej, jak i mirażu otaczającego, ale przeprowadzona ankieta wykazała, że na dobrą sprawę nikt sobie tego nie życzy. Wysuwano za to szereg uwag, na przykład: że „deszcz jest sztuczny i od razu poznaje się jego nieprawdziwość”, że „brak ptaków niweczy wszelką iluzję”, a nawet, i to kilka razy, że „niebo i chmury są naznaczone stygmatem kłamstwa i całkiem do ziemskich niepodobne”.

Tymi zarzutami poczuli się dotknięci wideoplastycy. Zapewniali, że miraż jest na pewno doskonały, bo wzięto pod uwagę wszystkie czynniki działające na zmysły ludzkie, aparatura zaś działa obecnie tak samo jak na początku podróży, kiedy to wszyscy po przybyciu na statek wyrażali uznanie dla całkowitej pełni złudzenia.

Pod koniec pierwszego roku podróży wśród moich pacjentów pojawili się nowi, cierpiący na zaburzenia dobowej koordynacji snu i czuwania, rytm ich pracy ulegał przesunięciu w stosunku do innych towarzyszy: jedni odczuwali senność we wczesnych godzinach wieczornych i budzili się na długo przed świtem, drudzy, przeciwnie, woleli pracować do późnej nocy i spać do południa; powstający przez to rozrzut zajęć rósł i groził rozprzęgnięciem kolektywów.

Napotykało się też, zwłaszcza w godzinach popołudniowych, coraz więcej ludzi wałęsających się korytarzami bez celu; nawiązywane rozmowy utykały na martwym punkcie, ludzie samopas brodzili po pokładach, wyraźnie omijając galerie gwiazdowe, i kiedy na kilka dni przed nowym rokiem wyszedłem na pokład spacerowy, w czasie, na który dawniej

przypadało największe nasilenie zwiedzających, napotkałem tam zaledwie dwu pilotów rozprawiających z Ametą o jakiejś konstelacji, poza tym olbrzymia przestrzeń galerii była zupełnie pusta.

Wszystkie te wydarzenia zbiegły się z najbardziej powikłaną fazą mego stosunku do Anny i dlatego nie poświęcałem im uwagi, na jaką zasługiwały.

Co pewien czas odbywały się narady astrogatorów; na trzy dni przed nadchodzącą Ter Akonian zwrócił się do mnie, bym zechciał wypowiedzieć się o zdrowiu psychicznym załogi, siadłem przeto na kilka godzin i przygotowałem sążnisty elaborat.

Spóźniłem się na zebranie, ponieważ jeden z kolegów Nilsa, przedsiębiorczy miłośnik cukrowego puchu, spadł w czasie wspinaczki ze słupa oporowego lotniska i musiałem mu nastawiać zwichniętą nogę. Kiedy przyszedłem, mówiła właśnie Lena Berens. Siadłem z tyłu, na jednym z ostatnich krzeseł w kącie obszernego pokoju.

Zaokrętowana na Gei placówka felicytologiczna prowadziła statystykę nawiedzania pomieszczeń statków przez członków załogi; otóż okazało się, że w pierwszych miesiącach podróży większość ludzi przebywała chętnie na pokładach gwiazdowych, później jednak coraz więcej osób od nich stroniło i miejscem wypoczynku stał się głównie park, a teraz zarówno on, jak i pokłady często świeciły pustką.

— Gdzież więc wszyscy spędzają wolny czas? — spytał Ter Akonian; pochylony nad notatkami, nie patrzył na nikogo.

— Kontrola nasza dotyczy tylko pomieszczeń publicznych — odparła Lena — ale nietrudno się domyślić, że przeważnie przebywają w swoich mieszkaniach.

— Czy to ma charakter większych spotkań towarzyskich? — spytał Ter Akonian; wciąż nie podnosił głowy. Nie bardzo rozumiałem cel jego pytań.

— Nie wiem — odparła Lena — ale jeśli mam sądzić po sobie i moich bliskich... nie.

— Więc co to jest? — spytał Ter Akonian. Wyprostował się. Zobaczyłem jego twarz.

— Myślę, że... samotność — odezwał się ktoś z tyłu. Wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę; to powiedział Trehub.

— Doktorze — zwrócił się wtedy Ter Akonian do mnie — proszę cię o wypowiedź.

Wstałem. Sprawozdanie moje było bezużyteczne, pojąłem to w ułamku sekundy. Była to dziwna chwila; sam nie wiedziałem, co zaraz powiem, a jednocześnie ogarnęła mnie osobliwa jasność.

— Koledzy — powiedziałem — mam tu przygotowany wyciąg rozmaitych skarg moich pacjentów z ostatnich miesięcy, ale zrozumiałem teraz, że klasyfikowanie ich i wyliczanie nie ma sensu. Wszystkie są objawami wywołanymi wspólną przyczyną; wymienił ją profesor Trehub. Była dotąd niepojęta zarówno dla skarżących się, jak i dla ich lekarza, jak sądzę dlatego, ponieważ od najmłodszych lat uczymy się wszyscy rozumowo pokonywać konflikty, jakie nam przynosi życie... W związku z tym naturą naszą staje się przemilczanie spraw bez wyjścia, gdyż przekazać własne brzemie drugiemu wolno tylko mając nadzieję pomocy; silniejsi, lepsi, mądrzejsi udzielają jej chwiejnym, mniej zdolnym, słabszym. Wobec próżni jednak wszyscy jesteśmy tak samo bezradni. Dlatego wszyscy jednakowo o tym milczymy. Milczenie to rośnie między nami. Trzeba z nim walczyć.

Usiadłem, o głos poprosił Yrjöla.

— Koledzy powiadają, że samotność i milczenie są pierwszymi objawami działania próżni na człowieka. Nie wiem, czy to jest słuszne. Powiadam, że nie wiem, i chciałbym się nad tym z wami głośno zastanowić. Co stanowiło podstawę naszego bytowania na Ziemi? Co spajało nas najmocniej z innymi ludźmi? Kiedyś, w starożytności, łączyły ludzi wspólne tradycje, obyczaje, więzy rodowe i narodowe, trudy przeszłości i kult jej na j świetnie j szych wydarzeń. A nas łączy najmocniej praca nad przyszłością. Jesteśmy rasą patrzącą daleko poza granice jednostkowego, osobistego życia. W tym jest nasza siła. Nie oczekujemy nadchodzącego, lecz sami je tworzymy; stawiamy sobie wymagania wedle rosnących marzeń,

stąd płynie przemienianie się i odnawianie wszystkiego w nas samych i wokół nas. Myślę, że niektórzy zaczynają gubić tę postawę. Mimowiednie już teraz oczekują kresu podróży, ale od niego dzieli nas jeszcze wiele lat i dlatego to jest groźne; nie można czekać przez znaczną część życia!

— A nasza praca? — spytał po dłuższej chwili Ter Akonian i ogarnął spojrzeniem obecnych.

Starszy Rudelik odpowiedział:

— Rosnące opóźnienie w komunikacji z Ziemią utrudnia nam poważnie prowadzenie badań, ale nie to chyba jest najważniejsze. Ludzie pracują nawet dłużej niż przedtem, choć wyniki nie są lepsze; praca staje się rodzajem schronienia, bo pochłania czas, odwraca uwagę od naszej sytuacji, od rozmyślań nad nadchodzącymi latami. Z ich perspektywy drobne, codzienne czynności, których dawniej nie dostrzegaliśmy, jak wstawanie, ubieranie się, spożywanie posiłków, tchną jakąś zabójczą monotonią, cokolwiek każdy podejmuje, wydaje mu się tak błahe, że niewarte nawet wyciągnięcia ręki; stąd pustka w salach koncertowych, w parku, na pokładach... To, co było dla nas na Ziemi najcenniejsze — czas — staje się tutaj naszym wrogiem.

— Przepraszam... Co to właściwie jest... bo chyba nie obrady? — odezwał się nagle Trehub.

Wstał, przeszedł za swoje krzesło i położył rękę na jego oparciu, jakby gotując się do odejścia.

— Szukacie nazwy dla tego, co dzieje się na Gei? Po co? Przecież wiedzieliśmy wszyscy, że to nadejdzie — nie wiedzieliśmy tylko kiedy. Odrzuciwszy wygody sztucznego otoczenia, wytworzone na Ziemi, wyszliśmy w przestrzeń. Nieskończona próżnia? Tak. Więc cóż, czy mamy się skarżyć? Na co? Na prawa natury?! Wyliczanie wszystkich naszych udręk, terażniejszych i przyszłych, nie umniejsza ich nawet o włos. Wspomniawszy o samotności, miałem na myśli coś zupełnie innego niż wy. Każdy z nas wśród towarzyszy, w pracy, w sporze, jest taki, jaki był, inny czuje się tylko, gdy zostaje sam. Więc pragnie być sam, żeby się zbadać, cóż prostszego? To jest jedyna samotność godna człowieka. Ale co może nam zrobić próżnia?

— Pokonać nas — odezwał się półgłosem. Dosłyszał to.

— O, nie — powiedział. — Materialne siły wszechświata mogą nas zniszczyć, na przykład w zderzeniu. Ale by nas pokonać, do tego nie starczy wszechświata. Na to trzeba by... człowieka.

Milczał przez chwilę.

— Nasze rozważania są puste. Wiecie to tak dobrze jak ja. Decyzje zapadły dawno, samiśmy je powzięli; jest tak, jak być musi, cokolwiek się w nas odmienia, niechaj się staje i ujawnia, a czy będziemy słabi, czy silni, radujący się, niecierpliwi, czy zbolali, wszystko to nieważne wobec jedynie niewzruszonej pewności: lot trwa!

BAL

W dniu, w którym upływał pierwszy rok podróży, odbyło się na Gei spotkanie towarzyskie, które później wspomniano żartobliwie pod nazwą „balu”.

Rocznica wyruszenia z Ziemi była tylko pretekstem; astrogatorami kierowała głównie chęć odświeżenia i rozszerzenia kontaktów ludzkich w zamkniętym kręgu Gean. Na spotkanie przybyć mieli wszyscy, a więc i najznakomitsi, najbardziej zapracowani i przez to rzadko dający się widzieć uczeni, tym razem ofiarowując towarzyszom nie swój trud, lecz samych siebie. Uroczystość miała poruszyć stojące wody życia społecznego, coraz wyraźniej zasklepiającego się w komórkach poszczególnych laboratoriów. Uczyniono niemało, aby do niepoznaki odmienić tak dobrze znane wszystkim sale statku. Grupa wideoplastyków już na tydzień przed uroczystością zamknęła się w Sali Barokowej, do której wstęp był najsurowiej zakazany. Spotykając się z nami w czasie posiłków, wideoplastycy napomykali o wspaniałościach, jakie gotują, lecz szczegóły osłaniali mgłą tajemniczego milczenia.

Rankiem krytycznego dnia otrzymałem zaproszenie wydrukowane po staroświecku na płytce wółprzejrzystej, żyłkowanej jak marmur masy papierowej. Pod moim nazwiskiem figurowały dwa słowa: „Strój podzwrotnikowy”. Wprawiły mnie w nastrój wczesnej młodości, kiedy jako chłopiec szykowałem się zgorączkowany na wiosenną zabawę.

Punktualnie o szóstej po południu przywdziałem najbielsze z ubrań i udałem się na pokład trzeciej kondygnacji. Przed wejściem do Sali Barokowej stali wszyscy wideoplastycy w towarzystwie trzeciego astrogatora, kruczowłosego Songgrama.

Ceremonialnie wymieniliśmy ukłony; podniosła atmosfera, uroczyste gesty, nasze wytworne stroje, wszystko to było zabawne i wszyscyśmy to czuli; poprzez oficjalne miny co chwila przebłyskiwały psotne uśmiechy wideoplastyków, a najmłodsza w ich gronie Maja Moleticz, siostra historyka o tym nazwisku, wzięła mnie pod rękę, przykazała zamknąć oczy i wprowadziła do sali. Poczułem ciepły powiew, w nozdrza uderzyło powietrze nasyczone wilgotnym gorącym i słodkawą a cierpką zarazem wonią egzotycznych kwiatów.

— Już! — zawołała Maja.

Spojrzałem i stanąłem jak wryty.

Stałem na dnie sali tak olbrzymiej, że zajmowała chyba połowę przestrzeni całego statku; jej ściany, zrazu występujące w górę pionowo, na wysokości kilku kondygnacji zbliżały się ku sobie łagodnymi łukami; dostrzegłem jeszcze jakby długie, czarne galerie w dole i białe pilastry strzelające pod strop, gdyż uwagę moją, jak każdego, kto tu wchodził, przykuł widok rozwierający się w przeciwną stronę. Był tam szeroki taras połączony z salą szeregiem wysokich, otwartych na oścież drzwi, otoczony kamienną balustradą. Idąc, już z daleka ujrzałem bezmierne, zastygłe w blasku morze. Wszedłem na taras. W dole rozpościerała się słoneczna plaża, pokryta węzowymi liniami — negatywem utrwalonych w piasku fal, które w głuchym, nieustannym szumie ciągnęły z horyzontu, łamały się na przybrzeżnej płyciźnie i zielonkawym zalewem wpały na brzeg.

W odległości jakichś dwu kilometrów jasna barwa wody odmieniła się; tam, na barierze podwodnych raf, kipiał przybój. Dalej ciemniała głębia, nieruchomym granatem sięgając upalnego nieba. Prawie pośrodku horyzontu, w największej już dali, złagodzony błękitnawym przyćmieniem, dymił wulkan. Z jego stożka szła skośna smuga żółtawych gazów, rozplywających się leniwie w przestworzu. Przechyliwszy się przez balustradę, ujrzałem stromy, potrzaskany zbieg skalistego masywu, na którego szczycie mieścił się taras. Od morza szła bardzo słaba, ledwo wyczuwalna bryza; oblizałem wargi, były słone. Odwróciłem się, bo ktoś za mną przeklinał zachwyconym głosem; był to pilot Yeryoga. Oczy mu płonęły.

— Na jądra starych atomistów!

Myślałem, że złuda go zadowolila, lecz rzekł:

— Aleby sobie człowiek popływał... co?

Oparł się o balustradę, jak gdyby rozważał, czy skoczyć w dół, potem uderzył w nią pięścią i wrócił do sali. Poszedłem za nim.

Ludzi było jeszcze niewiele; zresztą ginęli w jej ogromie. To, co przedtem, oślepiiony blaskiem bijącym od morza, wziąłem za galerie, było ciągnącymi się wzdłuż ścian boazeriami; przerywały je owalne nisze, w których lśniły obsługujące automaty. Środkowa przestrzeń była wolna, w samym jej środku wznosiła się rozłożysta palma o pniu pokrytym wywiniętymi jak języki, zdrewniałymi łuskami. Wokół stały rzędy bardzo niskich stolików. Znad ciemnych pasów boazerii strzelały kolumny podtrzymujące strop, który nad wejściem opadał jak perłowy, zatrzymany w biegu wodospad. Tam, ponad portykiem, świecił monumentalny witraż.

Z płaskiego tła występowały dwie postacie, mężczyzna i kobieta. Zanurzając bosc stopy w zaroślach, stąpali ogromni, ogorzali, nadzy; wzrok ich wychodził z płaszczyzny witrażu i ponad naszymi głowami wypadał w niezmierzone odległości oceanu, gdzie zdawał się świecić tylko dla nich widoczny cel drogi. Od portyku szły w dwie strony korowody przestrzennych scen, porozdzielane pasami alabastru. Były to jakby okna, wybite w ścianach na tajemniczą przestrzeń. W jednych roiły się tęgopokrywe, złote chrząszcze, w innych zawisły drapieźniki powietrza, pręgowane pasami miedzi i czerni, jak gdyby zatrzymane w ściętym na szkło powietrzu. Tu ciągnęły procesje mrówek o potężnych szczękach, tam spoczywały pękate ćmy, owłosione, niby okryte srebrnym futrem, a wszystkie mieniły się, drżały i wibrowały blaskiem, gdyż stworzone były ze szlachetnych kamieni. We wzroku, przechodzącym od obrazu do obrazu, pulsował fiolet cyrkonów, szmaragdy nabiegały zielonym płomieniem, krzeszały się ostre, brylantowe tęcze, ciekła krew spineli i rubinów; fosforycznie gorzały dysteny, amfibole, cyanity, cytryny, miedzianki ty; oczy siekł deszcz ostrych płomyków, aż ślepy, olśniony; odwróciwszy się w stronę tarasu, oparłem z ulgą spojrzenie o pogodny błękit.

Niepoprawna Nonna! Głowę bym dał, że to jej dzieło! Już formowała mi się w ustach krytyczna złośliwość, ale kiedy ujrzałem jej oczekujące spojrzenie, uśmiechnąłem się i powiedziałem kilka słów uznania. Cóż, widać nie mogła się obyć bez szafowania nadmiarem; tę moją refleksję przypieczętowała inna: widać starzeję się, a przynajmniej wchodzę w wiek dojrzałej stateczności, bo nakłaniam siebie do zgody z upodobaniami biegunowo różnymi od moich. Ludzi było coraz więcej. Pojedynczo, parami i całymi grupami ściągali ze wszystkich stron statku astronomowie i tektonofizycy, grawimetrzy, inżynierowie, artyści, matematycy, metalurgowie i mechaneuryści, piloci i biofizycy; wielka zasłona w drzwiach trzepotała wciąż jak ptasie skrzydło; na jej tle ukazywały się jasne postaci, wszyscy bowiem odziani byli odświeżnie i biało; widać było stroje śnieżyste i srebrna we, biel niepokalana, biel zblękitniała i tkniętą cieniem najjaśniejszej zieleni; długie suknie kobiet mieniły się ledwo zaznaczonymi deseniami. Nagle dostrzegłem Zorina i nie mogłem powstrzymać uśmiechu: on; zawsze paradujący w srebrnym kombinezonie, zjawił się przyodziany w trawiasty strój, nad którym jego blond głowa unosiła się jak zażegniony płomień. Wszyscy z sumiennym podziwem oglądali cuda stworzone przez wideoplastyków i — jak mi się zdawało — nie bardzo wiedzieli, co mają właściwie począć; młodzież wynosiła szklane stoliki na taras, który zatłoczył się w mig i napelnił gwarem stłumionym przez szum oceanu.

Stałem pod ścianą niezdecydowany; zerknąwszy w bok, dostrzegłem zastygły w pełnym gotowości bezruchu obsługujący automat; jak inne, był dziś całkowicie odmieniony. Codzienną, niepozorną pokrywę zastąpił rodzaj kutego w srebrze pancerza czy szyszaka; w jego tarczy czołowej widniały płaskorzeźby wyobrażające sceny mitologiczne. Przyglądałem się im z bliska, gdy z kontemplacji wyrwał mnie nagle głos dziewczęcy:

— Doktorze, cóż to, romans z automatem?

Odpowiedzią był chóralny wybuch śmiechu. Odwróciłem się. Przede mną stała grupa

młodych ludzi — wśród nich Nonna, Maja, młodszy Rudelik, astrogator Songgram i dwaj historycy, Moleticz i drugi, którego nazwiska nie mogłem nigdy spamiętać, nie żeby było trudne, ale dlatego, ponieważ był jakiś niepozorny i w towarzystwie choćby kilku osób ginął stając się częścią niedostrzegalnego tła.

— Romans z automatem? — A była taka książka, bardzo stara, z XXIII czy XXIV wieku, prawda? — spytała Maja. Wachlowała się wąskim, długim etui swego notatnika.

— Gorąco ci? Czekał, ja zaraz... — powiedział towarzyszący jej młody człowiek.

— Nie! Nie! — pochwyliła go za rękę. — Chcę właśnie męczyć się w upale, niech będzie całkiem starożytnie i prehistorycznie. Spójrz, nawet automaty wyglądają dziś, jakby wyszły prosto ze średniowiecznego zamku.

— W średniowieczu nie było automatów — sprostował Moleticz. Maja, wciąż się wachlując, spojrzała na mnie z dołu.

— Doktorze — powiedziała — rozpoczynamy dyskusję o miłości; mianowicie, do jakiego zawodu jest najbardziej podobna. Ja to sama wymyśliłam. Co powiesz, doktorze?

— Ależ mieliśmy zachować kolejność... — zauważył jej młody towarzysz.

— No to niech będzie alfabetycznie... Najpierw ty powiedz — zwróciła się do Songgrama.

— Przecież moje nazwisko zaczyna się na S.

— Tak, ale jesteś astrogatorem, a to jest na „a”.

— Doskonale! — powiódł po nas spojrzeniem i zaczął: — Miłość przynosi bezsenne noce, jak astrogacja; w jednej i drugiej trzeba czuwać. Jeśli ktoś kocha, nie umie powiedzieć czemu. Tak samo nie wiem, czemu jestem właśnie astrogatorem. Miłość pokonuje odległości między ludźmi, jak tamta — między gwiazdami, jedna i druga żąda całego człowieka, w obu każde odkrycie przynosi tyleż radości, co niepokoju...

— A to mi dopiero! — przerwał mu okrzykiem młodzieniec. — Dobry sobie, pierwszy mówisz, toś wszystko powiedział, a ja to samo właśnie chciałem powiedzieć o matematyce.

— A ja o fizyce... — niegłośno odezwał się Rudelik; patrzył pomiędzy nas, w przestrzeń rozwierającą się od progu otwartych na taras drzwi.

— No, a ty doktorze, co powiesz? — spytała Maja, próbując ratować swój temat.

— Nie wiem... — zacząłem. W tej chwili dojrzałem Annę; stała między Zorinem i Nilsem.

— No więc? — nalegała Maja. Nagle spojrzała na stojących nieruchomo towarzyszy i zmieszła się.

— Czekał... — zwróciła się do mnie, a do nich: — Słuchajcie, to mi się podobało, bo to mój pomysł, ale teraz już jakoś mniej... Może nie trzeba?...

— Co chcesz powiedzieć? — spytała Nonna.

— Może to niemądrze tak bawić się?

— Mhm — skinęła głową Nonna — i ja tak myślę.

— Nie wiem, czy niemądrze; trochę ryzykownie może — zauważył Songgram.

Maja zarumieniła się.

— Obłudnicy! — tupnęła nogą. — A udawaliście zachwyty!

Energicznym krokiem ruszyła przed siebie. Wszyscy poszli za nią. Zostałem znowu sam. Wciąż patrzyłem na Annę. Nils mówił coś do niej z ożywieniem, słuchała, jak tylko ona umiała słuchać, oczami, uśmiechem, całą twarzą. Poruszyłem się chcąc do nich podejść, ale powściągnąłem ten zamiar, nie wiem czemu, i wyszedłem na taras. Bezkrzesna płaszczyzna wody poruszała się jednostajnie, miarowo, jak gdyby ocean oddychał. Przez balustradę, o którą się oparłem, przewieszona była lodyga pnąca; w jego na wpół rozchylonym liściu, jak w nie domkniętej dłoni, lśniła kropla wody. Ujrzałem w niej własne odbicie. Wtem miniaturowy obraz powlókł się cieniem. Podniosłem głowę. Tuż przy mnie stała Callarla.

— Co tam widzisz, doktorze?

— Rok temu byłem u ciebie i za oknami padał deszcz. Ale pewno tego nie pamiętasz.

— Pamiętam. Jaka niebieska jest ta kropla! Takie same spadały wtedy z okapu. Dlatego o

tym myślisz?

— Nie wiem. W tej kropli mogą pływać tysiące ameb, prawda?

— Mogą.

— Ten odbity w kropli błękit jest dla nich granicą, poza którą nie można się przedostać. Granicą świata. Niebem.

W ciemnych oczach Callarli pojawił się błysk zainteresowania.

— Mów dalej — powiedziała.

— Tysiące pokoleń nie zaznały tego, że można przebić niebo, błękitne niebo, i opuścić je tak jak ameba, gdy wypłynie poza brzeg swojej kropli...

— To musi być straszna rzecz... dla ameby — wyszeptała.

— Jak dobrze o tym wiesz! Roześmiała się bez głosu.

— Znam się na amebach. A w tym, coś powiedział, jest szczypta prawdy — bo my jesteśmy w niebie.

— Nie — potrząsnąłem głową. — My nie jesteśmy w niebie. Niebo kończy się z białymi chmurami, z błękitnym powietrzem Ziemi. My jesteśmy w próżni.

Kobiece oczy tuż przy mojej twarzy pociemniały.

— Czy to źle? Milczałem.

— Czy chciałbyś być gdzie indziej niż na Gei?

— Nie.

— A widzisz!

Po chwili, innym głosem:

— Kiedy byłam mała, bawiłam się w „przesiadanie w ludzi”. Wyobrażałam sobie, że jestem kimś całkiem, ale to całkiem innym, tak jakbym przymierzała na próbę obce życie. To było bardzo urzekające, ale niedobre.

— Czemu?

— Bo trzeba być sobą. Zawsze sobą, z całej siły sobą, tym bardziej, im jest ciężiej; nie przesiadać się w cudze losy, ale...

— Ale?

Callarla potrząsnęła głową, aż jej słońcem prześwietlone włosy zafalowały złotem, uśmiechnęła się i odeszła.

Zapatrzyłem się w szumiący głucho ocean.

Stojąc tak, chwytalem mimo woli strzępy bliskich rozmów.

— Więc, proszę ciebie — mówił gruby głos — to miał być taki fresk: sznur kosmatych dzikusów wypada z jaskini; takie pierwotne plemię w tańcu magicznym; poza równocześnie hieratyczna i drapieżna, coś zwierzęcego i człowieczego zarazem. Męczyłem się nad tym potwornie i nic. Jednego razu spotykam profesora, zaczyna opowiadać o swoich chabaziach. Męczył mnie może godzinę — głos opadł do dudniącego szeptu — głądził o glonach i mówił, i rozpalał się, tańczył wprost przede mną. Taka ekstaza wykładowa, wiesz. Naraz — a już go nie słuchałem — tak mi się jakoś ‘wygiął, taki wyciął piruet, że jakby mnie piorun strzelił: mam! rozumiesz, złapałem od razu oś całej kompozycji! Zaraz zacząłem szkicować, a on myślał, że ja notuję to, co mówił!! Pyszne, co?!!

Rozległ się śmiech, słabnący odgłos kroków i nastąpiła cisza. Nieprawdziwe słońce zachodziło. Niebo gorzało wielkimi płomieniami zórz, była to wieczność ziemską, którą tak prosto porzuciliśmy, jakby nie pojmując jej bezcennej wartości. Stałem, podany do przodu, wsparty dłońmi o chropawe głązy obmurowania. Z dołu płynął ściszyany podmuchami wieczornego wiatru szum fal, jednostajny, senny, który jakby unosił moje myśli, a z tyłu, zza pleców, dochodził żywy gwar ponakluwany igłami kobiecego śmiechu. Słyszałem dźwięk szkła, toasty wypowiedane sztucznie tubalnymi głosami, wybuchy wrzawy i nagłe zamilknięcia.

Patrzałem wciąż w morze. Nad horyzontem wielką, białą, jak gdyby bardzo dojrzałą kroplą

światła wschodziła Wenus, Gwiazda Wieczorna, tak bardzo swojska i bliska. Zmierzch powoli gęstniał, błękitniał i w jakimś niepochwytym momencie ujrzałem w mroczniejszej głębi nieba niby rubinem odprowadzony kontur dalekiego wulkanu. Zapalały się gwiazdy — musiałem stać chyba godzinę — wieczór dosięgał zenitu, jego liliowa pełnia przechodziła w noc. Nagle, jak gdybym oprzytomniał, zrozumiałem, że jestem samotny. Rozejrzałem się i drgnąłem ujrawszy tuż obok siebie drugiego człowieka. Oparty jak ja o balustradę, patrzył przed siebie. W miarę postępowania ciemności daleki wulkan świecił coraz żywszą czerwienią, jej odbłask kładł się już delikatną poświatą na pobliskich przedmiotach. Człowiek obok mnie stał tak blisko, że nie mogłem przypatrzeć mu się bez zwrócenia jego uwagi, uczyniłem to jednak. Twarz jego w tym pomrocznym świetle miała szarawą barwę kamienia; spojrzął na mnie, a raczej obok mnie, nie widzącymi oczami. Poznałem go, chciałem się odezwać, lecz nie śmiałem; zapewne domyślił się tego i skłonił lekko głowę, pierwszy.

— Goobar, biofizyk — powiedział.

Znaliśmy się tylko z widzenia, to znaczy — ja jego znałem. Wymieniłem nazwisko i zawód. Milczeliśmy długą chwilę, ale już inaczej niż przedtem: razem. Potem, znienacka, sam nie wiem, skąd mi się to wzięło, spytałem go:

— Profesorze... czy znasz Ametę? Ożywił się.

— Znam, oczywiście. Kiedyś pracował ze mną.

— Jako pilot? — spytałem niemądrze.

— Nie.

Goobar zdawał się zastanawiać.

— Trzeba nam było wtedy matematyka, i to nie byle jakiego. Ameta... jak by ci to, doktorze, wytłumaczyć? Bywają czasem powiedzenia dzieci, których najgenialniejszy poeta by nie wymyślił, to są takie mimowiedne samorodki, i dziecko nie potrafi ich samo ocenić. Może być do nich przywiązane, ale równocześnie przywiązuje się do błahostek... Otóż Ameta miewa doskonałe pomysły, ale nie umie ich rozpoznać wśród nieistotnych ani opracować. Nieraz tak błyskał, jak gdyby wskazując kierunek w dal. Inaczej nie umiał.

— To może być w kolektywie cenne — zauważyłem. Ten nowy Ameta, który wyłamał się ze słów Goobara, niemało mnie zadziwił. Goobar jeszcze bardziej pochylił się w mrok, jego profil wyostrzył się, obrysowany luną wulkanu.

— Nie — powiedział. — Z takich wskazań nie bardzo miał kto korzystać. Przeciętny matematyk nie, bo to było zbyt odległe, leżało poza granicą jego zasięgu, a nieprzeciętny znowu jest zawsze za bardzo swój własny, ma zbyt wyraźne kierunki swych dociekań i tak jest nimi zafascynowany, że nie rzuci ich dla cudzej wizji, chociażby i najpiękniejszej. Podobnie nikt nie rzuci kochanej kobiety dla jakiejś innej, piękniejszej, która podobno właśnie czeka nań na Trzeciej Sztucznej...

— I nie mógł iść dalej? — spytałem.

— Nie — powtórzył. — Czasem był jak ktoś, komu przyjdzie nagle do głowy niezwykle motyw symfoniczny, ale nie potrafi go zaśpiewać, a nut nie zna, więc go nie utrwali, i rzecz jest stracona na zawsze; tak właśnie wyglądały jego zwidy „matematyk”, bo to były myśli o układach analizy zupełnie niezależnych od znanych nam systemów. Jakież takie wyspy matematyczne, zawisłe gdzieś w ciemności, czekające odkrycia... Zapewne liczne zostaną odkryte przez postępujących systematycznie badaczy, którzy nawet się nie domyśla, że jakiś człowiek samotnie docierał już kiedyś do tych nieznanymi wybrzeży... Zresztą jego umysł rozdził również rozmaite potworki, a on nie umiał odróżnić plewy od ziarna.

— A więc to wszystko nieużyteczne... — powiedziałem cicho.

— Nie! — po raz trzeci, głośniejszym głosem powiedział Goobar. — Pchnął mnie na pewien trop, który rzucałem już i na który wracałem... taki jest kuszący. Błysnął tak przede mną, rozświetlił jakiś widmowy krajobraz, wyrojony w ułamku sekundy, i nic już więcej nie umiał o nim powiedzieć...

Zapadło milczenie.

— Robił potem wiele rzeczy... bo to było chyba ze dwanaście lat temu, a może i więcej.

— Zdaje się, że pilotem został stosunkowo niedawno — odrzekłem. — Może dopiero w tym zawodzie znalazł to, czego szukał?

— I znowu się mylisz — z wewnętrznym uśmiechem rzekł Goobar, jakby ubawiony moją niedomyślnością. — On robił wciąż i zawsze to samo, wszystko to wiąże się z problemem, który atakował.

— To znaczy?

— „Krażeniem wśród ciemnych prądów”... tak to nazywał... miał zawsze bardzo własną terminologię. Chodzi o podróże transgalaktyczne.

Zwrócił się do mnie nagle.

— Rozpiętością, uważasz, doktorze? — Otóż Ameta bije mnie rozpiętością, to jest takie realne jak ten kamień.

— Jako matematyk?

— — Nie, jako człowiek.

To zwierzenie oszołomiło mnie. Goobar mówił dalej, jakby do siebie:

— Tak jest osobliwie między nas rozdzielone... I dodał innym głosem:

— Dawno się z nim nie stykałem i dziękuję ci, doktorze, żeś mi go przypomniał.

Długą chwilę patrzył w ciemność, z której płynął ciężki, jednostajny szum, i biorąc mnie za ramię, rzekł krótko:

— Chodźmy.

Weszliśmy na salę. Gwar był teraz mniejszy; na przystawionych do stolików fotelach siedzieli nieregularnymi wieńcami ludzie; największe skupiska otaczały palmę. Witraż nad wejściem świecił blado; z jego szyb wypukły się wielkie, złotawo nabrzmiałe ciała krocących olbrzymów, a fantazyjne sceny owadzie w górze powlokła najcieńsza szarość — może przygaszono je umyślnie — za to w dole świeciły konstelacje kryształowych lamp, odbijając się łagodnie w srebrnych zbrojach automatów. Coraz któryś nurkował w ciżbę i przemykał między stolikami, dążąc nieomylnie tam, dokąd go wzywano. W powietrzu unosił się cienki brzęk szkła i głosy zamknięte w kręgach rozmów.

Szedłem z Goobarem ku środkowi sali. Kiedyśmy tak kroczyli wąską uliczką, uśmiechy szły mu na spotkanie, gestami i głosem zapraszano go do wszystkich naraz stołów. Zakłopotany, przystanął pod palmą, nie wiedząc, który wybrać. Uczułem radość, że i na mnie, towarzyszącego Goobarowi, pada odrobina powszechnej sympatii i szacunku, choć na to nie zasłużyłem.

— Chyba się rozejdziemy? Ty pójdziesz górą, a ja doliną — odezwał się wreszcie Goobar.

— O — odparłem skłopotany — będę bardzo lichą namiastką Goobar a!

Siedzący bliżej, którzy to usłyszeli, zaśmiali się, a od stolika otoczonego zwartym murem młodzieży obu rękami wzywał mnie Nils Yrjöla.

Podszedłem do młodych. Byli tu zresztą i starsi, wyróżniała się trójka mechanurystów, wszyscy trzej atletycznej budowy, a górował nad nimi kierownik zespołu, Tembhora. Jedni z młodych siedzieli na poręczach fotelików, inni stali oparci o ramiona kolegów. Zjawiłem się w środku ożywionej dyskusji i dosłyszałem ostatnie słowa smukłego chłopca:

— Więc dlaczego automatów nie można by właściwie używać przy lądowaniu na jakiejś nieznannej planecie? Mówi się, że wyślemy wtedy rakiety pilotowane przez ludzi.

— A tak, to konieczne, niestety — odparł Tembhora. — Znasz przecież takie powiedzenie, że automaty są doskonałe i ograniczone, ludzie zaś — niedoskonali i nieograniczeni. Rzecz w tym, że automaty cechuje tak zwana „kierunkowa wąskość sytuacyjna”. Automat jest zawsze trochę jednostronny, bo był projektowany dla wypełnienia określonych zadań. Otóż na obcej planecie można oczekiwać spotkania jej nieznanymi mieszkańcami i — w związku z tym — nie dających się przewidzieć sytuacji. Gdybyśmy posłali tam automaty, mogą całkowicie

zawieść, i to nawet w sposób niebezpieczny.

— Cóż mogłyby zrobić? Nie rozumiem.

— Mogłyby się po prostu zachować jak człowiek umysłowo chory — rzekł Tembhora. — Aby to wyjaśnić, posłużę się przykładem zaczerpniętym ze starego podręcznika mechaneurystyki. Ma on znaczenie tylko historyczne, ale zilustruje dobrze to, o co mi idzie. Jest to krótka historyjka, a brzmi tak: Pewien człowiek miał pomieszczenie zagracone starymi globusami i nadtłuczonymi dzbankami. Polecił automatowi, by usunął te rupiecie, wyrażając się tak: „Wyrzuć stąd wszystkie przedmioty kuliste”. Posłuszny automat wymiół rupiecie, a także zerwał z karku głowę owego człowieka, albowiem zbyt dosłownie zrozumiał rozkaz i uznał głowę rozkazodawcy za przedmiot kulisty, podlegający wyrzuceniu.

— Ależ to nonsens!

— To niemożliwe.

— Automat nie może wyrządzić krzywdy człowiekowi! — rozległy się chóralne protesty.

— Oczywiście, że nie, ponieważ każdy ma specjalny bezpiecznik; historia ta nie mogła zdarzyć się naprawdę, chodziło mi tylko o jaskrawy przykład na to, co można by nazwać „nieporozumieniem” między człowiekiem i automatem. Mnóstwo rzeczy jest dla nas milcząco zrozumiałych, oczywistych, otóż dla automatu nic nie jest oczywiste poza tym, co weń wbudował jego konstruktor. Nasze automaty mają na przykład układy samozachowawcze, które chronią je przed samounicestwieniem, posiadają wspomniane bezpieczniki uniemożliwiające wyrządzenie krzywdy człowiekowi, ale w całkowicie nowej, nie przewidzianej przez budowniczych sytuacji, w warunkach obcej planety, mogłyby narobić wiele złego. Poza tym jest jeszcze jeden szkopał, natury etycznej: na pewno nie byłoby nam miło, gdyby

Gdy Tembhora zamilkł, odezwałem się w zaległej ciszy:

— Wiecie, kiedy byłem chłopcem, żałowałem niezmiernie dawnych czasów, w których wytwory rąk ludzkich, jak okręty żaglowe, posiadały indywidualność. Każdy z nich był inny, niepodobny do wszystkich istniejących; myślałem, że mechanizacja produkcji na zawsze usunęła indywidualność wytworów z naszego świata, ale z tego, co mówi Tembhora, wynika, że ona teraz powraca — na wyższym etapie! Jeżeli dajesz tylko główne wytyczne budowy układowi bazowemu, to jedna zbudowana przezeń maszyna będzie się różnić od drugiej w szczegółach nieistotnych i nie sprecyzowanych w instrukcji — nieprawdaż?

— Oczywiście, że tak — odparł Tembhora. — Może to dotyczyć rozmaitych cech, na przykład zewnętrznego kształtu maszyny albo przebiegu kabli, albo wzajemnego położenia agregatów, i tak dalej. O jednym z moich kolegów, Yorisie, który jest człowiekiem roztargnionym, opowiadają, że budując pewien gyromat podał bazowemu układowi wszystkie dane z wyjątkiem jednej, dotyczącej wielkości aparatu. Po miesiącu, wróciwszy na miejsce budowy, z daleka zauważył coś w rodzaju piramidy Cheopsa, panującej nad całą okolicą. Nieco zażenowany, zapytał napotkanego automatu, czy budowa gyromatu już jest ukończona, i w odpowiedzi usłyszał: „Ależ nie, dopiero się zaczęła, to tylko pierwsza śrubka!”

Wszyscy się roześmieli.

— No, to żart — podjąłem — ale tworzone obecnie maszyny różnią się między sobą tak, jak różnią się drzewa, kwiaty czy ludzie: krojem liści, barwą płatków, tęczy oka, włosów, więc cechami mało ważnymi, lecz nadającymi im piętno fizycznej indywidualności.

— Masz słuszość — odezwał się drugi mechaneurysta — ale to jest indywidualność nowego typu, wynikająca nie jak ongiś z braku wiedzy, lecz niejako z jej nadmiaru.

Po ostatnich słowach zapadło milczenie, w którym tym głośniejsz rozległ się wybuch śmiechu opodal, przy stoliku, gdzie zasiadł przedtem Goobar. Nie zwracając niczyjej uwagi, oddaliłem się od grupy młodych i podszedłem do astrofizyków, zaciekawiony tym, co ich tak rozbawiło. Gdy się tam zbliżyłem, Ter Akonian powiedział:

— Głos ma profesor Trehub.

— Co to jest? — szeptem spytałem stojącego pod palmą Zorina.

— To taka zabawa: wymyślanie „możliwych światów” — odparł mi również cicho. — Po Trehubie będzie mówił Goobar.

Uciszyło się zupełnie. Zapowiadał się jak gdyby pojedynek błyskotliwości i wyobraźni znakomitych uczonych.

Trehub pokręcił swoją głową wielkiego ptaka, ściągnął w węzeł brwi i bardzo poważnie zaczął:

— Jest do pomyślenia, że wszechświat, w którym żyjemy, istnieje nie w sposób ciągły, lecz okresowy, że więc cała tworząca go materia jak gdyby „miga”, niczym przerywany strumień światła, a my nie zauważamy tego, ponieważ częstość owego „migania” jest niesłychanie wielka, rzędu miliardów na sekundę. W takim wypadku byłoby możliwe istnienie drugiego wszechświata, którego materia w okresach swego istnienia „zaskakiwałaby” w przerwy istnienia naszego wszechświata. Oba te wszechświaty możemy nazwać „naprzemiennie zaskakującymi” w tę samą przestrzeń. Jeśli mogą być takie dwa wszechświaty, może ich być bardzo wiele, tysiące, a nawet miliony. Wszystkie one, podkreślam, mogą istnieć w tej samej przestrzeni i posiadać całkowicie niezależne prawa fizyczne z wyjątkiem jednego, mianowicie regulującego ich wzajemne częstotliwości tak, by nie mogło nastąpić „zderzenie” materii dwu czy kilku naraz wszechświatów. Jest więc do pomyślenia, że poprzez przestrzeń, którą zajmują nasze ciała, przenikają xv tej chwili korowody istot z wszechświata numer 5 678 934, istot, które rozprawiają o zaproponowanej właśnie przeze mnie możliwości...

Rozległy się oklaski i śmiech, lecz szybko ucichły. Z zaciekawieniem oczekiwano pomysłu Goobara.

Stał na nieco rozstawionych po swojemu nogach, nieznacznie kołysząc się, jakby próbował pewności podstawy. Na koniec rzekł:

— Powiedzmy, że jakaś metagalaktyka wstępuje na drogę postępującej komplikacji swej struktury, przejawiającej się tym, że poszczególne gwiazdy stają się jakby odpowiednikami komórek nerwowych mózgu; po pewnym czasie metagalaktyka ta, zbiorowisko kilku miliardów galaktyk, staje się jakby jednym „mózgiem”, zajmującym obszar kuli o promieniu jakichś, powiedzmy — jesteśmy ludźmi śmiałymi — czterech miliardów lat świetlnych...

— Potworna wizja... — szepnęła siedząca niedaleko mnie Callaria — cóż by to był za genialny potwór z gorejącej materii...

— Mylisz się, moja droga — odparł bardzo spokojnie Goobar. — Obawiam się, że byłby to, przynajmniej według naszych kryteriów, kretyn nad kretyny. — Wyciągnął przyboczny analizator i przeprowadzał niewielkie obliczenie, mówiąc dalej: — W takim „mózgu” galaktyki odpowiadałyby jądom nerwowym, a promienie świetlne — nerwowym impulsom. Żeby pomyśleć najprostsze zdanie, na przykład: „Ja istnieję”, potrzebowałby około 1019, to znaczy ponad sto trylionów lat... Sądzę, że trudno tak opieszale myślenie pogodzić z genialnością.

Wszyscy się roześmieli; jedna Callaria zdawała się rozczarowana.

— Więc to niemożliwe — powiedziała. — Szkoda.

Już od kilku chwil wydawało mi się, że do sali wpływa basowy pomruk, lecz nie zwróciłem na to uwagi. Teraz, gdy po słowach Callarli zaległa cisza, daleki grom spotęźniał. Narastał nieregularnie, jak gdyby podziemny; raz i drugi rozległ się ciężki huk. Podłoga zadygotała nam pod stopami. Wszyscy zerwali się z miejsc. Spojrzenia skierowały się w rozwarte na ośniesz drzwi tarasu; z chłodnej, poruszanej wiatrem ciemności biegł teraz przeciągły łoskot.

— Oho, coś się tam dzieje ciekawego — rzekł Goobar i ruszył pierwszy na taras; wszyscy pośpieszyli za nim.

Mrok panował tu tak wielki, że zdawało się, iż niewidzialnym ciężarem skuwa twarze i

ciało. W oczach łysnął znad widnokregu szkarłat. Na mrocznym tle rysował się stożek wulkanu, rwał się z niego krótki płomień. W powietrzu przelewało się gwałtowne dudnienie; czułem, jak kamienne płyty tarasu drżą. Wulkan ział ogniem; podnosiła się nad nim poprzerzynana błyskawicami, skłębiona chmura; grzmot pękał w niej za grzmotem. Nagle te głosy basowe przeciął ostry syk; z oceanu podniosły się zwały jakby krwią nabiegłej pary — to lava zanurzała się w wodzie.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli, potem posypały się okrzyki:

— Wspaniale!

— I któż to wymyślił?

— Któż by, jak nie Yrjöla!

— Uważacie, jak wszystko się trzęsie?

Odnaleziony Yrjöla, poklepywany przez dziesiątki rąk, bronił się i tłumaczył, że nie ma z tym nic wspólnego:

— No cóż, wulkany wybuchają, to się zdarza... Tymczasem luna piętrzyła się coraz wyżej; pojawiały się nad nią płomienne węże i zygzaki, tory wyrzucanych z krateru bomb ognistych. Nad naszymi głowami raz i drugi zapiało coś przeraźliwie.

— Koledzy, chodźmy stąd! — zawołał naraz jakiś młody głos. — Nie znacie wideoplastyków; dla wzmożenia iluzji gotowi nam naprawdę spuścić na głowy płonący deszcz siarki!

Rozległ się chóralny wybuch śmiechu; wulkan ryczał tak potężnie, że coraz trudniej było się porozumieć. Nareszcie Ter Akonian w imieniu wszystkich zwrócił się do wideo— konstruktorów, którzy dali się ubłagać, znikli na chwilę i niebawem kataklizm zaczął się uciszać. Wróciliśmy powoli na salę; utworzone przedtem grupy rozsypywały się, jedni przyzywali automaty i skupiając się wokół ich srebrnych figur wznosili kieliszki z musującym winem, inni ulokowali się w fotelikach pod palmą i zabawiali się jakąś grą. Coraz częściej wybuchał śmiech, nucono piosenki, pojawiło się kilkanaście ogromnych, świecących balonów, które przelatywały z jednego końca sali w drugi. Pokręciłem się niezdecydowanie w pobliżu stolika, na którym piloci pod przewodem Amety rozstawiali skomplikowane urządzenia telewizyjne do zabawy w „pogoń za rakietą”, wreszcie poszedłem na galerię. Wznosiła się wokół całej sali. Oglądane z bliska olbrzymie owady, wyrzeźbione z drogich kamieni, sprawiały monstrualne wrażenie. Już chciałem odejść, gdy usłyszałem głos wybiegający z głębi płaskorzeźby, przed którą stałem. Upłynął ułamek sekundy, zanim uprzytomniłem sobie, że rzeźba jest, podobnie jak krajobraz morski, dziełem wideoplastyków, musiałem jednak pokonać odruchowy opór, zanim zdecydowałem się ruszyć prosto na skrzącą się, bryłowatą powierzchnię; tuż przed oczami zabłyśły brylanty olbrzymich oczu pajęczych, potem obraz znikł. Nie poczułem oczywiście nic i zrobiwszy dwa kroki, znalazłem się w półmroku. Pod gładką, nagą ścianą siedziały Soledad i Anna, która patrząc na mnie, mówiła:

— Powiedz, czy miałaś kiedykolwiek w życiu wieczór, który, tak myślałaś, zagradza ci dzień następny, wieczór całkowicie bezużyteczny, który trzeba przeżyć byle jak, niby spływając z mielizny? Wieczór, w którym nagromadził się osad nie wydarzonych rzeczy, nie spełnionych marzeń, w którym ogarnia cię powątpiewanie we wszystko, czego pragniesz? W którym rzucasz każdą rozpoczętą czynność, a jeśli nadejdzie ktoś nawet najbardziej ci obojętny, jesteś mu rada, bo jego przyjście zrzuca z ciebie resztkę odpowiedzialności za marnowany czas?

— Jeśli taki wieczór zdarza się raz czy dwa do roku, to nic — odpowiedziała Soledad. — Ale jeżeli przychodzą często — uważaj... Jest ci z nim trudno, prawda?

— Bardzo — odpowiedziała Anna. Wciąż patrzyła na mnie. W tym momencie pojąłem, że mówi o mnie i nie widzi mnie; stałem widać w samej strefie mirażu i byłem niewidzialny.

— Nikt nie może ci pomóc — podjęła Soledad — ale ty i on...

Ze wstrzymanym oddechem, tłumiąc krok, cofnąłem się pośpiesznie. Znowu stałem przed roziskrzona mozaikową płytą. Odszedłem szybko. Nie chciałem myśleć o podsłuchanej niechcący rozmowie. Na przeciwnym końcu galerii stali dwaj ludzie i patrzyli w dół; byli to współpracownicy Goobara, Żmur i Diokles.

Otwierał się stąd widok na część sali wolną od stolików; poruszały się tam dziesiątki ludzi. Tuż pod nami stała kilkunastoosobowa grupa, której centrum stanowiła młoda dziewczyna w białobłękitnej sukni; w pewnej chwili rozległ się śmiech, potem zaczęła śpiewać. Była to zabawna piosenka, długa jak litania. Prześpiewawszy pierwszą zwrotkę, wskazała zniecka palcem kogoś z otoczenia i ten musiał śpiewać dalej. Tak, przerzucając się od człowieka do człowieka, przy coraz większym rozbawieniu, piosenka koczowała po całej sali, aż zawędrowała pod kolumny. Tam, w niszy opuszczonej przez automat, stał Goobar opierając się o boazerię. Jakiś chłopiec, kończący właśnie swoją zwrotkę, stanął przed nim i wskazał go palcem. Przez mgnienie panowała cisza, potem uczoney, nie namyślając się, niskim, nieco chropawym barytonem zaśpiewał następną /wrotkę. Nagrodził go huragan oklasków; z kolei on wskazał kogoś w pobliżu i pieśń odpłynęła w głąb sali. Goobar, mając jeszcze na twarzy uśmiech, z jakim wypełnił swój śpiewaczy obowiązek, nieznacznym ruchem wydobyl z kieszeni podręczny automacik i jął coś wyliczać.

— Oto macie całego Goobara — rzekł Diokles. — Możesz z nim grać, tańczyć, śpiewać, mówić o piekle i niebie, a nigdy nie będzie w pełni z tobą.

— Ależ on naprawdę lubi się bawić — zauważył Żmur.

— Ja wiem, że on nie udaje, i cóż z tego? On lubi ludzi, ale sam nie jest jednym z nas. Każdy nowy współpracownik — ciągnął Diokles — kiedy znajdzie się w jego pobliżu, nie może oprzeć się chęci zadawania mu różnych dosyć śmiesznie brzmiących pytań; są to naiwne próby podyktowane po prostu koniecznością, bo on jest przecież nieustającą zagadką; nieraz podziwiałem skrupulatność, z jaką próbował odpowiadać...

— Na przykład? — podsunąłem; spojrzenia nasze wciąż spoczywały na wielkim uczonym, który teraz zatrzymał mijający go bezgłośnie automat, podjął z tacy pucharek wina i pił małymi łykami. Zdawał się obserwować automat jak gdyby z dobrze skrytym rozbawieniem.

— Poczynając od pytań, w jaki sposób dochodzi do swoich wielkich wyników...

— Tak, to rzeczywiście nie najmądrzejsze — zgodziłem się — i cóż odpowiedział?

— Zastanawiał się długo i serio, wreszcie rzekł: „Być może dlatego, bo ja nieustannie myślę...” W tym zdaniu jest, mimo pozoru banalności, jakaś równie wielka, co prosta prawda; jego umysł nieprzerwanie wytwarza konstrukty myślowe i zderza je z sobą; są to jak gdyby rozłożone na miesiące i lata, nigdy nie ustające próby wielkiej syntezy; on ma odwagę domyślenia do końca najbardziej absurdalnie wyglądających hipotez i wyciągania ostatecznych konsekwencji ze wszystkiego... to zresztą powód, dla którego już nigdy nie pójdę z nim w góry. Nie chcę powiększać sobą królestwa przedmiotów martwych.

— Cóż twój instynkt samozachowawczy ma wspólnego z Goobarem? — spytałem.

— A ma. Byliśmy na wspinaczkę w paśmie pamińskim; zrobiliśmy wschodni trawers...

— Wybacz — przerwałem mu — powiedz, czy on jest dobrym wspinaczem i jak w ogóle zachowuje się w ścianie?

— Zaraz usłyszysz, do tego zmierzam. Owszem, jest niezłym wspinaczem. Był tam mały, ale paskudny komin. Zanim weszliśmy w ten komin, Goobar stanął nagle i powiedział mi, że przyszedł mu pewien pomysł. Powiedziałem, żeby go zanotował, odparł, że na pewno nie zapomni. Jakoż nie zapomniał pomysłu, zapomniał za to, gdzie jest i co robi. Omal karku nie skręcił i nas nie pozabijał. Nie widział gór ani przepaści, nic w ogóle; gdy zakończył w głowie obliczenie, już w drodze do schroniska, przeprosił nas, ale widziałem, że zrobił to, jakby powiedzieć, z obowiązku; zdawał sobie sprawę z tego, co zaszło, ale nie odczuwał najmniejszego skrupułu, nie mówiąc o strachu. Powiadam wam: to człowiek pozbawiony instynktu samozachowawczego!

Ostatnie słowa Diokles wypowiedział z nie ukrywanym rozdrażnieniem.

W dole przestano śpiewać; przez kilka minut donosił się stamtąd zmieszany gwar, pojedyncze głosy odzywały się próbując zjednoczyć inne w piosence, ale przepadały w ogólnym rozgardiaszu, nareszcie wybił się przepiękny alt kobiecy; była to powolna pieśń, miała w sobie coś kołyszającego.

— A właściwie on jest zawsze taki sam — rzekł Diokles, jakby nie mógł się wyzwolić spod presji podjętego tematu. — Czy słyszałeś o tym, jak zaczynał? Babka zostawiała go, gdy był sześciolatkiem, w domu pod opieką stryja — Klaudiusz Goobar, dość wybitny matematyk, możeś słyszał, operator pola to jego robota. Ta jego babka uważała, że przy dziecku zawsze powinien być jakiś człowiek; otóż stryj sadzał go gdzieś w kącie nad zabawkami, a sam pracował. Malec bawił się po cichu; był niesłychanie milkliwym dzieckiem. Pewnego wieczoru w jakimś trudnym miejscu stary Klaudiusz zaciekle dyskutował z automatem, nagle dziecko powiedziało z kąta: „Trzeba wprowadzić matryce operatorów liniowych...” i znowu jakby nigdy nic puszczało swoje baki; w stryja jakby piorun strzelił, bo to było szukane rozwiązanie....

— To się rzadko zdarza — zauważyłem — żeby tak zwane genialne dzieci potem rzeczywiście potwierdzały nadzieje, jakie za młodu rokują, ale on nie tylko sprawdził je, lecz przewyższył nad wszelką miarę!

Minął nas automat. Diokles wypił od razu dwa kieliszki wina. Policzki mu pociemniały; puls wyraźnie drgał na skroniach. Chciałem powiedzieć, żeby nie pił więcej; bił od niego niepokój i żal, to kryło się u dna wszystkiego, co mówił o Goobarze, nie tylko w słowach, ale w twarzy, w skrzywieniu ust, w głosie. Żmur oddalił się od nas; jego wysoka sylwetka przesunęła się galerią na tle mozaik i zniknęła za kolumnami; przez chwilę milczeliśmy. Na dole śpiewano teraz skoczną pieśń, ktoś w środku wybijał rytm, rozległo się rytmiczne przytupywanie, solista tańczył otoczony rosnącym kręgiem pustej przestrzeni, nagle porwał z kręgu jakąś dziewczynę, zakołował nią i zawirował; widać było miganie świetlistej sukni i rozwiewające się złote włosy. Diokles patrzył na to, nie widząc; raptem odwrócił się ku mnie z twarzą jeszcze bardziej skurczoną; pił już chyba przedtem, wyglądał, jakby mu wino zaszkodziło. Wziąłem go za rękę, by odprowadzić do mieszkania, ale on porwał moją dłoń i powiedział tonem niespodzianego zwierzenia:

— Ja nie jestem do niczego, wierzaj mi, mam za sobą szesnaście prac ogłoszonych, dwie naprawdę dobre, ale kiedy mówią o mnie, nigdy nie powiedzą: „A, Diokles, ten od mnemonów, wiemy”, ale zawsze: „Diokles? Aha, asystent Goobara”. Już bym ja się rozprawił z tymi przyszłymi pokoleniami, już bym ja się im sam przedstawił; biotensory zakresów realnych, inercja pamięci echowej — mam i inne rzeczy, jeszcze nie skończone, przecież cała moja radość to ta praca — ale wszystko na nic; jestem asystentem Goobara, przejdę do historii jako jeden z grupy Goobara, nic własnego, pusty dźwięk, cień jednego ze stu tysięcy liści w koronie drzewa, i wiem, że na to nie ma rady... tak musi być...

— Co mówisz?... — powiedziałem poruszony. Tyle skrytego cierpienia wypełzło nagle na twarz małego człowieczka. — Ależ mógłbyś pracować samodzielnie albo w jakiegokolwiek innej grupie; w każdej chwili możesz przecież odejść od Goobara...

— Co?! — powiedział Diokles. Twarz jego zacisnęła się jak ciemny kułak.

— Odejść od Goobara? Odejść? — powtórzył. — Człowieku, co ty mówisz?! Ja miałbym dobrowolnie odejść?! Gdzież masz takiego drugiego?

— Jeżeli nie możesz pogodzić się z tym, że cię tak przewyższa... — zacząłem ostrożnie.

— Co ty mówisz? — w największym zdziwieniu spytał Diokles, po czym przyciągnął mnie do siebie i zaczął tłumaczyć gorącym szeptem:

— Tak, on przewyższa mnie, przewyższa nas wszystkich. I cóż? Idziemy ciągle dalej; w ciągu siedmiu lat dokonaliśmy w Instytucie pracy ogromnej; to ci każdy potwierdzi, nie chwałę się. Sam wiem, że mogę teraz więcej niż na początku, że moja rozpiętość umysłowa

wzrosła, ale gdy dochodzę do punktu, w którym Goobar był przedtem, on już znowu jest daleko i tak wyprzedza nas nieustannie o wiele okrążeń; atak następuje po ataku i za każdym razem zostaję zwyciężony. Czy to gorzkie? Któż by przeczył? Tak! Ale za każdym razem zostaję zwyciężony przez coś większego niż poprzednio!

Równie nagle, jak chwycił moje ramię, puścił je, uśmiechnął się przeproszająco, skinął mi głową i odszedł drobnym, lekkim, śpieszącym się zawsze krokiem. Spojrzałem na salę.

Nisza, w której stał przedtem Goobar, była pusta. Zszedłem na dół i udałem się na taras. Nie dostrzegłem nikogo; skądś z boku dobiegały przytłumione głosy. Przeszedłem na przeciwną stronę i przez długą chwilę, przymknawszy oczy, wdychałem chłodne, słone powietrze, które omywało rozgrzaną głowę. Horyzont był niewidzialny, ledwo domyśleć się go można było po cienkim, purpurowym załamaniu znaczącym szczyt wulkanu. Zmęczenie, do tej pory trwające jakby w ukryciu, wynurzało się i obciążało wszystkie członki. Zwrócony plecami do balustrady, rozłożywszy szeroko ręce, oparłem się o jej zimny, kamienny brzeg. Wtedy, zaszyty w najodleglejszy kąt tarasu, dostrzegłem kobietę stojącą samotnie między dwójgiem przymkniętych drzwi. Sylwetka jej zlewała się z dookolną ciemnością i tylko twarz występowała słabo z mroku w błękitnawej poświacie, jaką wydawały ramiona sukni. Nieświadoma tego, że ktoś może ją widzieć, stała nieruchomo, zwrócona w stronę głosów. Poszedłem tam oczami, jak idzie się za wzrokiem wzdłuż cienia, żeby odkryć rzucający go przedmiot, ale nic nie zobaczyłem: było zbyt ciemno. Dobiegł mnie tylko po krótkiej ciszy głos Goobara, niski, pełny, z nieuchwytną domieszką ironii.

Wróciłem oczami do twarzy kobiety. Teraz dopiero poznałem ją. Była to Callarla. Z najślabszego brzasku jej twarz wychylała się jak gdyby odcieleśniona, nierealna, z cieniami wokół oczu, skupiona i jednocześnie podana gdzieś; nie domknięte usta zdawały się pić niewidzialnie. Tak chyba wyglądały twarze uniesionych religijnym natchnieniem ludzi sprzed wieków, kiedy uwierzywszy w możliwość cudu, rozkładali ręce na kształt skrzydeł i z wysokiej skały skakali w powietrze, aby po nim latać — i natychmiast padali w dół. Nie słyszała tego, co mówił Goobar; wsłuchana w jego niski głos, usiłowała mu się jak gdyby powierzyć, żeby ją unióś — i natychmiast zostawała porzucona.

Kochała go. Kochała za to, że był taki właśnie, nigdy nie dający przewidzieć najbliższego uczynku, słowa, z pieszczotą niespodzianą, lekką i ofiarowaną niemal mimowiednie, kochała jego palce wyziębłe zawsze od metalowych klawiszów, przekorne pochylenie głowy i uśmiech, z jakim sprzeczał się ze swymi automatami, i sposób, w jaki milcząc mrużył oczy, jakby rozbawiony tym, że niczego nie pojmują. Czasem, kiedy ją przygarniał, głowa jego, pochylona ku jej piersi, nieruchomiała, a potem podnosiła się z nie widzącymi oczami; to dobijał do powierzchni ów nieustannie toczący się w nim głęboko nurt; przestawał ją widzieć i uśmiech, jaki mu posyłała, nie dochodził doń; rozdzielała ich jedna z nieskończoności, którymi igrał. Po chwili wzrok jego wracał; podchodził przedtem do stolika i notował coś. Owa naturalna łatwość, z jaką odrywał się od niej, bolała ją. Cierpiała od tych nagłych zaniewidzeń, pojmując, że jej miłość jest nieśmiałym, z daleka padającym światłem, a on to pojawia się w nim, to niknie w mroku samotności, do której nikt nie ma wstępu.

Ale nawet jego wzrok przechodzący przez nią nauczyła się kochać; pokochała ból, który jej zadawał, bo mogła nim mierzyć wielkość swojej miłości. Było to nieustające gubienie i poszukiwanie, zamęt, niepokój, a w tym wszystkim — jakaś chwila, kiedy budząc się z zamyślenia, samymi wargami, bez tchu, wypowiadał jej imię, jakby ją przyzywał, choć była już tak blisko, że nie dzieliło ich nic — prócz ich myśli.

Kiedy wspominała swoją dziewczęcą przeszłość, jasną i spokojną jak oczekiwanie muzyki, pojmowała nagle, jak brakło jej wtedy tego, co niósł każdy dzień dzisiejszy, i że gdyby można było wybierać i rozpocząć wszystko od nowa, jeszcze raz wydałaby serce tym bezustannym klęskom i znowu z otwartymi oczami przyjmowała zadawane przez niego nieświadomie ciosy i dzieliła z nim wszystko prócz cierpienia, które tak dobrze umiała skrywać. Nie dorastała do

pojmowania tego, co już teraz zapewniało mu nieśmiertelność. Ale chociaż nie mogła objąć go całego, jak żagiel nie może ogarnąć wiatru ciągnącego przestrzeń, to jednak kochała go, a najbardziej to, co było w nim z naiwności zadziwionego światem dziecka, i oddech usypiania, który owiewał jej szyję, i słabe ruchy szepczących coś ze snu warg. Najbardziej kochała właśnie to, bo miało trwać tylko przez jego życie, a potem zniknąć na zawsze, człowiecze i śmiertelne. Dlatego czasem czuwała nocą, jak gdyby ochraniała jego sen, jak gdyby walcząc nie o wieczność jego myśli, lecz jego tchu, a chociaż to było nierozumne i bezsilne, musiała tak czynić, bo miłość żądała tego, i tak szły lata, a on rzucał w nie swój ogromny, już jakby w przyszłość padający i tam tężejący cień.

Głosy rozprawiających podniosły się i zaraz umilkły; powstał i ruszył ku drzwiom. Kiedy wchodzili na salę, czarne sylwetki przecinały smugę światła. Goobar zatrzymał się jeszcze chwilę u kamiennej balustrady. Spojrzałem na zegarek; dochodziła trzecia godzina nocy. Gdy podniosłem głowę, Goobar właśnie wychodził; nie dostrzegł ukrytej w cieniu drzwi. Zniknął w dalekim gwarze; dziewczyna postąpiła krok naprzód i znalazła się w świetle. Ujrzałem jej uśmiech, który powiedział mi wszystko. Jak się to stało? Nie wiem. Wiem tylko, że zakryłem rękami twarz, żeby już nic więcej nie widzieć po tym uśmiechu.

ANNA Z GWIAZD

W drugim roku podróży opóźnienie komunikacji radiowej praktycznie zerwało całkowicie łączność z Ziemią. Drobny odprysk ludzkości, zamknięty w spadającej poprzez lodowy mrok lupinie, zdany był wyłącznie na siebie. I życie toczyło się; laboratoria pracowały, na międzygrupowych konferencjach wymieniano wyniki badań, młodzi chłopcy i dziewczęta kończyli studia, zawierano małżeństwa, przychodziły na świat dzieci.

Poświęcałem im wiele uwagi; szczegółowo wypytywałem matki przychodzące do ambulatorium i muszę powiedzieć, że prócz naukowej dociekliwości kierowało mną niejasne podejrzenie, że bezpośrednie sąsiedztwo wiecznego mroku i gwiazd, przed którym usiłowaliśmy się chronić grubymi pancerzami statku, wyrze jakiś nieznaną wpływ na kształtowanie się i rozwój tych małych istot ludzkich. Dlatego nie bez podejrzliwości asystowałem przy przewijaniu różowych, piszczących niemowląt, jakby oczekując niespodzianego pojawienia się w nich jakichś cech „gwiazdowych”, lecz oczekiwania te (których śmieszność pojmowałem) nie sprawdzały się. Były to wszystko zupełnie normalne, zdrowe, wesole dzieci, pierwsze raczkowały już po trawnikach ogrodu, a ich kwilenie, dobiegające niespodzianie z wnętrza jakiegoś mieszkania, kiedy szło się korytarzem, czyniło otoczenie metalowych ścian i krzyżujących się szybów dziwnie swojskim, jak gdyby na rakiecie zagościł ciepły oddech naszego własnego dzieciństwa.

Opiekowałem się dziećmi na dobrą sprawę sam, gdyż z naszej lekarskiej trójki Schrey był chirurgiem, Anna zaś przejawiała jakąś skrytą do nich niechęć, której nie umiałem sobie wytłumaczyć, bo na początku podróży interesowała się żywo losem pierwszych nowo urodzonych.

Pozornie życie na statku osiągnęło stan równowagi, a jednak baczny obserwator mógłby dostrzec zmianę zachodzącą w nas wszystkich, zmianę tym istotniejszą, że zapadła jak gdyby w głąb każdego człowieka.

Lękaliśmy się kiedyś narastającego milczenia. Czy ta obawa się sprawdziła? Właściwie nie, spotykaliśmy się chętnie i często, zebrania towarzyskie odbywały się nie rzadziej od naukowych, działały sekcje sportowe, ale te nasze zajęcia i rozmowy były dosyć osobliwe. Mówiliśmy dużo o codziennych, błahych sprawach, o wysłuchanych koncertach, przeczytanych książkach, o znajomych. O Ziemi nikt nie wspominał; nazwa jej nie pojawiała się w ogóle w rozmowach, mogło się zdawać, że wszyscy zapomnieli o jej istnieniu; podobnie nie wspomniano pozostałych na niej bliskich ludzi ani nawet samej podróży.

Na ten temat rozprawiali jedynie specjaliści. Odkryli niemało ciekawych faktów, tak na przykład w kilka miesięcy po osiągnięciu pełnej szybkości podróży zauważyli, że temperatura wewnątrz Gei nieznacznie poczyną wzrastać. Inżynierowie zajęli się odszukaniem przyczyny tego zjawiska. Było ono tym dziwniejsze, że motory statku już nie pracowały, przyczyna mogła więc tkwić jedynie na zewnątrz, a tam otwierała się próżnia, zawierająca w jednym centymetrze sześciennym kilka ledwie atomów, więc praktycznie absolutna, jeśli zestawić ją z przeciętną gęstością gazu w warunkach ziemskich, w których jeden centymetr sześcienny mieści kilkadziesiąt trylionów atomów. Gea poruszała się jednak z taką szybkością, że każdy centymetr kwadratowy jej powłoki stykał się w sekundzie z 800 miliardami atomów; to starczyło do powstania „tarcia” i płynącego stąd grzania się pocisku, co więcej, okazało się, że prując ten międzygwiazdowy „gaz”, okręt obrasta powoli warstwą atomów, niejako „wprasowanych” pędem w zewnętrzną powierzchnię pancerza. Oczywiście powstający w taki sposób przyrost masy był niesłychanie drobny, lecz precyzyjne aparaty potrafiły go zmierzyć.

W ambulatorium miałem po kilku pacjentów dziennie; skargi były różne, często bardzo nieokreślone; nieraz zdawało się, że są tylko pretekstem do rozmowy z lekarzem, rozmowy

zezwalającej na całkowitą szczerość. To uprzywilejowane stanowisko pozwoliło mi poznać źródła wydarzeń, które następowały w miesiące, a nawet lata później. Powoli wytwarzała się jakaś powszechna „łatwość życia”. Ludzie chętnie bawili się, chętnie żartowali, ale wszystko to było powierzchowne. Z rzadka pośród najobojetniejszej rozmowy wyrwało się komuś powiedzenie starannie przez wszystkich przemilczane. Pamiętam, jak raz w ogrodzie, kiedy omawiano prace tektonofizyków i możliwości ich przyszłego zastosowania, wymieniono Ziemię i jakaś kobieta półgłosem powiedziała: „Czy w ogóle wrócimy?” Przez sekundę panowało napięte milczenie, a potem kilka osób naraz zaczęło pośpiesznie mówić o czym innym. Zjawiskiem najbardziej niepokojącym, które zdawało się sięgać najgłębszych, najbardziej skrytych warstw psychiki, niedostępnych prawie obserwacji, były na okęcie dzieje miłości.

Setki tysięcy pokoleń zwierzęcych, które musiały przeminąć, by powstał człowiek, przekazały mu jako trudne i konieczne dziedzictwo przyciąganie płci. Mijały wieki, cywilizacje powstawały i padały, a człowiek, borykając się z naturą otaczającą go i własną, podejmował tysiączne próby wyprowadzenia na światło owych ciemnych sił, złożonych w nim bez jego woli i wiedzy; tak żądza, pociągająca ku sobie samice i samców, przemieniała się w tęsknotę. Przez wieki jednak miłość, jak inne obszary uczuć, ryła nakazy, rytuały i prawa, powstające w ścieraniu antagonizmów społecznych. Przeszkody w zbliżeniu mężczyzny i kobiety płynęły ze stanu posiadania, z mitów religijnych i przesądów. Barbarzyńskie formacje merkantylne usiłowały zmienić miłość w towar dostępny dla posiadających siłę nabywczą, w poczwarny targ. Miała być ona środkiem podniecającym znużone nerwy, jeszcze jedną używką, ognistą plamą w szarości i nudzie życia. Mężczyźni i kobiety chronili się w niej przed ślepyimi kataklizmami, jakie narastały w głębi ustrojów, i równie ślepyim wegetowaniem codzienności.

Cywilizacja nasza wytworzyła nowy stosunek płci, wywodzący się z twórczości — wszystko jedno: duchowej czy fizycznej — jako najgłębszego sensu istnienia. Twórczość umysłowa płynie z cielesnej, jest jakby wyższym, jaśniejszym jej odbiciem, nieustannym powtarzaniem zachwyty i niepokoju, jaki budzi w nas świat. Dawniej ludzie oddawali się sprawom płci nie pojmując, że poczucie nowego istnienia to największa odpowiedzialność, jakiej człowiek doświadcza. Pokolenia rodziły się i przemijały, a wielka, nie zrozumiana tajemnica przekazywana była z jednego w drugie jak zamknięty list, który odczytać przyszło dopiero późnym potomnym.

Zagadki, jakie stawia przed nim świat, pokonuje człowiek pracą umysłu, odzwierciedlającego ład natury jako prawidłowość przemian materialnych, toczących się jednakowo w głębi gwiazd i ciał ludzkich. Miłość, niepodległa dociekaniu naukowemu, nieuchwytna dla formuł i wzorów, nie daje się przewidzieć ani obliczać, a przecież w naszym racjonalnym świecie jest doświadczeniem, bez którego życie nie byłoby pełne.

W miłości ziemskiej naszych czasów nie ma nic z wybuchów żądy, z gwałtownych przygarnięć i odtrąceń, z chciwości posiadania, pomieszanej z poczuciem ograniczenia f zależności. Jak planety, krążąc po swych orbitach, w pewnych rzadkich punktach drogi schodzą się najbliżej, tak mężczyzna i kobieta w miłości zbliżają się do siebie tak bardzo, jak tylko może jeden człowiek zbliżyć się do drugiego. Tak powstaje wspólnota marzeń, widzenie świata przez oczy drugiego człowieka, tajemnica jego nieustającej obecności i radość z przejmowania cudzych trosk i ciężarów, których nigdy nie może być za wiele. Namiętność jest wtedy tylko jednym z wielu łączących ogniów, pieszczota zaś z pobudzenia zmysłów zamienia się w znaki języka bez słów, który rozpoczyna się tam, gdzie zwykła, codzienna mowa staje i zawodzi. Taka miłość może być tylko jedna.

Pamiętam, jak w rozmowach z historykami, którzy opowiadali mi o dziejach miłości w dawnych wiekach, nadziwić się nie mogłem chwiejności i zmienności uczuć starożytnych, a już całkowicie nie pojmowałem, jak mogli, żądając wykształcenia w wielu dziedzinach życia,

zarówno ważkich, jak błahych, nie wymagać niczego w jednej z najważniejszych — wychowania dzieci przez rodziców. Niewiedza ich musiała być doprawdy ogromna, jeśli wazyli się tu otwierać pole całkowitej dowolności i przypadkowości, nie rozumiejąc, że w pierwszych latach życia dziecko jest najbardziej czułym i podatnym materiałem, w którym odciskają się wszystkie wpływy otoczenia, i nabytych w tym okresie skaz nie może usunąć później nieraz i największy wysiłek wychowawców.

Na pokład Gei przybyło z Ziemi wiele kobiet i mężczyzn, dojrzałych już do miłości, lecz wciąż jeszcze szukających, i należało się spodziewać, że długi czas podróży złączy wiele par. Przewidywania te spełniły się, ale przeszkody, które większość musiała pokonać, okazały się większe, niż ktokolwiek przypuszczał. W drugim roku podróży wydarzało się, że pary powstawały przelotnie i rozłączały się jak gdyby przypadkowo, a ten nawrót zamierzchniej, barbarzyńskiej obyczajowości zdawała się otaczać jakaś zmowa powszechnego milczenia. Było to w okresie, kiedy opanowanie, równowaga, spokój, wszystkie te cechy, którymi obdarzyła nas Ziemia, stawały się jak gdyby zewnętrzną, skrzeplą formą, powierzchnia widzialną dla innych i udającą, że nic się nie zmieniło, gdy w samej rzeczy gorąca treść życia cofała się gdzieś i nikła. Było to owo wielkie spustoszenie, jakie nie przygotowanym na bezmierny trud podróży wyrządza próżnia.

Gdyśmy jednak mogli do pewnego stopnia ludzi towarzyszy pracy, kolegów, nawet przyjaciół, nie sposób było postępować tak w najgłębszej sferze uczuć. Stąd próby schronienia w ramionach kobiet, zaprzepaszczenia się w spazmie rozkoszy. Wiedzieliśmy, że nie złączy nas trwale ani wspólna litość, ani rozpacz, ani chęć zrzucenia odpowiedzialności za wybrany świadomie los, że nie uczyni tego nic oprócz miłości, a jednak mężczyźni szukali kobiet, a one oddawały im się w skupionym, milczącym porozumieniu. Były to próby ratunku groźne i daremne. Nadchodzący odpływ porzucał przypadkowych kochanków, wyprutych z myśli i bezbronnych, i kiedy nad ich głowami rozlegał się w mroku głuchy świst powtarzającego się z nocy w noc ostrzeżenia, nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy, bo była w nich pustka, od której chcieli uciec, a porzucony na chwilę ciężar wracał i tak leżeli obok siebie samotni, w zrozumieniu własnej klęski.

O kim myślę wypowiadając te słowa? Przede wszystkim o sobie, choć wiem, a raczej domyślam się, że niejeden z moich towarzyszy przeżył podobną porażkę. Myślę o sobie.

Tylko o sobie, gdyż Anna wyszła z tej próby zwycięsko, choć długo cierpiała, a może właśnie dlatego, że miała odwagę cierpienia, gdy ja pragnąłem tylko zapomnieć.

Kiedy głowy ludzkie zbliżają się do pocałunku, nie można już ogarnąć wzrokiem drugiej twarzy, bo jest zbyt blisko, ale to jest bliskość fizyczna, niczego nie rozwiązująca ani nie wiążąca. Daremnie chciałem przynaglić nadejście uczucia, próżno szukałem go w silnych pocałunkach, w mocnym uścisku — gdy ono było w jakimś wieczornym zamilknięciu, w na pół skrywanym uśmiechu, w przypadkowym, niespodzianym zetknięciu rąk, z których jedna pragnęła pogłodzić drugą i zatrzymała się nieśmiało w pół drogi. Jak bardzo nie rozumiałem Anny, jak okrutnie nie obchodziło mnie nic z tego, czym żyła! Nie chcę wiele mówić o tym, jak poznałem tę prawdę. Na pewno wiele było we mnie drgnień — może uczciwości, może po prostu wstydu. W pamięć wryło mi się jedno tylko wydarzenie, a przecież już przedtem domyślałem się niejednego i tylko odtrącałem te myśli jak gdyby w niegodziwym lęku, że będę musiał wziąć na siebie odpowiedzialność także i za jej los, ja, który własnego nie umiałem podźwignąć.

Dostrzegałem przecież nieraz, że pamiętała najdrobniejsze szczegóły naszych pierwszych spotkań, gdy ja nie pamiętałem prawie nic; przypisywałem to właściwej kobietom pamiętliwości, której często brakuje mężczyznom. Była podsłuchana rozmowa i więcej takich drobiazgów, których nie chciałem rozumieć. Dopiero pewnego wieczoru stało się coś, czego odtrącić już się nie odważyłem.

Siedzieliśmy, a raczej wpołleżeli na posłaniu okrytym ciężkim, białym futrem. Zmęczony,

wsparłem głowę na skrzyżowanych ramionach Anny i patrzyłem nie widzącymi oczami w przestrzeń. Płona nisko zawieszona, błękitna lampka. Mówiłem, jak już nieraz, o tym, jak będziemy w przyszłości żyć razem, jak to po drodze natrafimy na planetę tak małą, że tylko dwoje ludzi znajdzie na niej miejsce, i że to my nimi będziemy, i zamieszkamy tam w malutkim domku wśród gwiazd, a kiedy tak opowiadałem półszepceniem, leniwie, nagle ujrzałem w zawieszonym na ścianie lustrze twarz Anny.

Słuchała mnie z gorzkim, drobnym grymasem warg, jakby mówiących: wiem, że to wszystko kłamstwo i że mówisz to tylko tak sobie, żeby zapłacić milczeniu, i że każde słowo zapomnisz, ledwie je wypowiedziałeś, ale to nic, mów dalej, mów tylko dalej...

I w tej sekundzie zrozumiałem, jaki to był groźny eksperyment. Nie dawałem jej nic; była dla mnie ciepłym, cichym schronieniem przed długimi, pustymi godzinami tygodni i miesiący. Przywykłem do niej, jak człowiek nawyka do jakiegoś krajobrazu; gdy była nieobecna, pustkę odczuwałem na zewnątrz, nie w sobie; w sobie, to by oznaczało miłość. Ona zaś rozumiała to od samego początku i na wszystko szła z jakąś spokojną desperacją, bo kochała mnie. Oto był najdroższy, a przecież obcy człowiek; obojętny i beztroski wszedł w sprawy jej życia, przerzucał najintymniejsze wspomnienia, przebierał w nich jak dziecko w świecidełkach, na chwilę przybliżał do oczu, by zaraz, znudzony, odrzucić, a czasem bywał czuły — i to było jeszcze gorsze. Tak, mogłem być jej oczami widzieć świat, usłyszeć te głosy jej serca, których nie wyjawiała nawet przed sobą; gotowa na wszystko, spoglądała na swój los, jakby się dopiero rozpoczynał, biały i nie zapisany, miłość jej nie lękała się gwiazd, a ja myślałem o tym, że ona ma pachnące włosy i ciepłą, miękką skórę...

Zamilkłem, niezdolny wykrztusić już nawet jednego słowa kłamstwa.

— I co dalej?... — spytała cicho, kołysząc lekko moją głowę. Nie mogłem mówić, gardło miałem ściśnięte jak żelazną ręką, i dodając jeszcze jedną niegodziwość do wszystkich starych, pociągnąłem ku sobie jej głowę dla pocałunku, w którym schroniłem się, żeby nie mogła odczytać z mojej twarzy, że już wiem.

Jakże bym chciał móc wam powiedzieć, że zaraz potem pokochałem Annę i byliśmy bardzo szczęśliwi, ale, niestety, sprawy ludzkie nie rozwiązują się tak prosto.

Minęła druga zima podróży, przyszła druga wiosna. Dotąd wszystkie drzewa ogrodu przechodziły przemiany, posłuszne sztuczному słońcu: kiedy przygrzewało mocniej, okrywały się liśćmi, zakwitwały, gdy zaczynało słabnąć — jesieniały w najpiękniejszych barwach. Jeden tylko świerk kanadyjski nad potokiem nie odmieniał wyglądu, otulony w czern swego igliwia. W ziemię, z której czerpał soki odżywcze, botanicy wstrzykiwali specjalne hormony i preparaty, ale on trwał nieruchomy, posepny, obojętny, jakby przejrzał ich naiwną grę i nie chcąc być częścią fałszywego mirażu, zamarł w wiecznym śnie. I oto pewnego ranka całą Geę przebiegła elektryzująca wieść: czarny świerk uwierzył w wiosnę i przez noc wypuścił zielone łapki...

Wielką gromadą zebraliśmy się w ogrodzie. Nikt nic nie mówił. Wszyscy, co biegli tu pośpiesznie, pędzeni niepojętym uczuciem, przystawali, patrzeli w milczeniu na przebudzone drzewo i jeden po drugim cicho wycofywali się z kręgu. Wreszcie zostało tylko kilka osób; ktoś chciał uszczknąć jasnozieloną kite, żeby ją rozgnieść na dłoni i wetchnąć żywiczną woń, ale ktoś drugi skarcił go surowo. Na koniec znalazłem się sam. Usiadłem pod drzewem, opierając głowę na rękach. W naiwną radość, jaką sprawił mi widok drzewa, wmieszał się głuchy żal. Wtem poczułem czyjąś obecność. Podniosłem głowę. Obok stali Ameta i Zorin.

— Chodź z nami — odezwał się Ameta. — Przejdziemy się po galerii gwiazdowej.

Nie miałem na to najmniejszej ochoty, zwłaszcza teraz.

— Nie chcesz? — rzekł Ameta. — A jednak chodź.

Poczułem gniew na Ametę za jego natarczywość. Wstałem i niechętnie ruszyłem za pilotami. Winda wyniosła nas na poziom pokładu widokowego. Po chwili znaleźliśmy się w mroku pod gwiazdami. Nie chciałem na nie patrzeć. Odwróciłem głowę, lecz plecami, skórą

czaszki, całym sobą czułem rozwierającą się z tyłu otchłań. Staliśmy tak w ciemności, aż naraz Ameta powiedział, jakby do nikogo:

— Nie mieszkamy w domu pod chmurami; jesteśmy w próżni. Można siebie ludzi i postępować tak, jakby było inaczej, ale to wszystko. O wiele lepiej stwierdzić, że jesteśmy w próżni... a nawet wyjść z tego stwierdzenia. Prawda, wtedy przychodzi lęk, bo wszystko, na czym przywykliśmy się opierać, zostało nam odebrane. Umysł za wszelką cenę usiłuje przysłonić rzeczywistość jakimś olbrzymim kłamstwem. Nie wolno tego robić. Nie potrzebujemy przytulnej, zabezpieczonej od wydarzeń pewności. Czy niezbadana, groźna niepewność nie jest o wiele bardziej ludzka? Rozszerzamy wciąż horyzonty życia, więc odkrywamy w nich coraz więcej. Nie zamykaj oczu! Oto jedyna odwaga, jakiej trzeba. Nie odtrącaj próżni, nie buntuj się przeciw niej, bo taki właśnie jest świat. Nasz świat. Trzeba tylko pojąć, że wszystko jest tym bardziej nasze, człowiecze, im jest cięższe, żeby to, co wydawało się obce i straszne, stało się od dawna poszukiwanym celem.

Gwiazdy tłały nieruchomo. Milczałem. Ameta odezwał się ponownie, jakby podejmował przerwana rozmowę:

— Czy masz plany na dzisiejszy wieczór?

— Nie.

— Więc przyjdź za godzinę do parku dzieci. Przyjdiesz? Może bym odmówił, ale ujął moją rękę i krótki, mocny

uścisk, jaki zamieniliśmy, pogodził mnie ze wszystkim: i z dziwną przemową wobec gwiazd, i z osobliwym zaproszeniem, i wreszcie z nim samym, pilotem Ameta.

Parkiem dzieci nazywano salę przypominającą nieduży ogród botaniczny. Drzew rośło tu niezbyt wiele, wszystkie niskie, o konarach silnych i krętych, dobrze przystosowanych do wspinania się, były tu i piaskownice dla najmłodszych, i mała skalna grotka otoczona głązami, i bijąca w środku fontanna.

Dzisiaj drzewa i piaskownice zniknęły; wideoplastycy przeobrazili salę w zaczarowany ogród, gdyż miał się tu rozegrać osobliwy turniej — zmaganie o tytuł najlepszego opowiadacza bajek. Ubiegających się o miano zwycięzcy było wielu. Kolejno zajmowali miejsce na podwyższeniu, otoczeni gromadą zasłuchanych dzieci, trzymających w rączkach malutkie, srebrne dzwonki.

Potrząsając nimi po skończonej bajce, dawały wyraz swym uczuciom, a wielki automat, przystrojony w groteskową szatę, na pół skryty w cieniu palmy, mierzył nieomylnie natężenie chóralnego dźwięku dzwonek. Jednym z najlepszych opowiadaczy okazał się Zorin; małowówny zwykle pilot zadziwił nas baśnią „O Wielkoludach Radioaktywnych z gwiazdy Algola”, a jednak palmę pierwszeństwa zdobył Tembhora, którego nazwisko wypowiedział przebrany za czarodzieja automat przy akompaniamencie wybuchów ognia bengalskiego.

Wychowawcy poczęli odprowadzać dzieci na spoczynek i nie obyło się przy tym bez lamentów najmłodszych, które spodziewały się jeszcze jakichś wspaniałości. Na koniec, rozejrzawszy się po sali, zobaczyłem samych tylko ludzi dorosłych i jakiś nierozumny smutek dotknął mego serca, zupełnie, jakbym przez odejście dzieci sam nieodwołalnie rozstał się z młodością. Ale wtedy na opustoszałe podium wstąpiła lekkim krokiem Callarla i uśmiechając się spytała:

— A może jeszcze jedną bajkę? Opowiem ją, jeśli zechcecie, po to, żebyście się nie czuli wszyscy tak bardzo starzy...

Idąc za spontanicznym porywem, poczęliśmy chwytać porzucone przez dzieci srebrne dzwoneczki i całą salę wypełniły ich wesołe głosy, Callarla zaś z obiecującą i tajemniczą miną zaczęła:

— Bajka, którą opowiem, jest prawie że prawdziwa, a nazywa się: „O śmiejącym się Turingu”.

Zapanowało milczenie, w którym przez chwilę jeszcze rozlegały się kroki obsługujących automatów. Potem i one ucichły, a Callarla długo jeszcze nie odzywała się, z drobnym, błakającym się u warg uśmiechem, jakby na coś czekała. Na co? Może na powrót tego nastroju, któremu poddaliśmy się wszyscy, gdy dzieci były jeszcze na sali.

Na koniec powiedziała:

— Słyszałam ją od mojej babki, osoby bardzo konserwatywnej, która... ale może komentarze są przy bajkach zbyteczne? Zaczynam więc.

Nie patrzyła już na nas. Oczy jej znieruchomiały, zwrócone na iskrzący się bicz fontanny, a matowy głos mieszał się z dźwiękiem, z jakim woda padała na brzeg kamiennej czary.

— Bardzo dawno, więcej niż tysiąc lat temu, świat dzielił się na dwie połowy. Jedną rządził Atlantydzi. Każdy człowiek, tak w zamierzonej przeszłości, jak i dziś, żywi jakieś marzenia. Atlantydzi także je mieli. Marzeniem ich było zniszczyć drugą połowę świata, która wyswobodziła się spod ich władzy. W tym celu gromadzili jady do zatrucia powietrza i wody, trucizny promieniotwórcze i środki wybuchowe. Ale im więcej ich mieli, tym większy ogarniał ich lęk. Kupowali więc za złoto uczonych, aby tworzyli doskonałe maszyny do zabijania. Pewnego razu dowiedzieli się, że na dalekiej wyspie za oceanem mieszka uczony zwany Turingiem, który umie budować automaty. Wtedy głucho jeszcze było o automatach i nikt dobrze nie wiedział, do czego mogą służyć. Turing budował rozmaite automaty: jedne robiły maszyny, inne wypiekały chleb, jeszcze inne rachowały i rozumowały logicznie. Trudził się tak przez czterdzieści lat, aż wymyślił automat, który mógł robić wszystko, co tylko jest możliwe. Automat ten potrafił wytapiać metale z rudy i szyć buty, i przemieniać pierwiastki, i budować domy, a tak samo jak pracować fizycznie, potrafił też myśleć, także o wszystkim: umiał więc odpowiedzieć na każde pytanie i rozwiązać każdy problem, i nie było rzeczy, której by nie wykonał, jeśli mu rozkazano. Władcy Atlantydy wysłali swoich szpiegów, by kupili Turinga, lecz uczony nie chciał na to przystać. Wtedy uwięzili go i skradli plany wynalazku. Najstarszy z Atlantydwów przejrzał je, wezwał innych i rzekł do nich: „Gdy będziemy mieli automat, spytamy go, jak unicestwić te potwory, które na zawsze chcą usunąć wojny”. A drugi władca, siwy i poważany przez wszystkich, dodał: „A także powie nam, jak odzwyczaić naszych poddanych od myślenia, bo ludzie myślący niechętnie umierają dla chwały naszego złota”. Słowom tym wszyscy przyklasnęli i postanowili: zbudujemy Wielki Generalny Automat Turinga, a wtedy staniemy się wszechmocni i nikt na świecie nie zdoła się nam oprzeć.

Za czym wezwali siedem tysięcy rachmistrzów (bo wtedy ludzie liczyli w głowie), żeby obliczyli, ile złota trzeba na opłacenie budowy, a potem zgromadzili siedem tysięcy inżynierów i konstruktorów, którzy przez siedem lat kreślili plany. Zanim jeszcze zostały ukończone, pierwsze brygady robocze wyruszyły na przygotowane obszary. W Alamogordo, w sercu wielkiej piaszczystej pustyni Nowego Meksyku, zgromadzono siedem razy po siedem tysięcy robotników. Mieszkali w barakach z blachy, cierpiąc w nocy lodowaty ziąb, a w dzień okrutne gorąco. Słony piasek wyżerał im płuca i oczy, dziesiątkowały ich choroby, więc na miejsce umarłych spędzano coraz nowych i tak ryli wielkie doły pod fundamenty, kuli w skałach szyby i galerie, a ponad nimi kroczyły długoszyje koparki, podobne do gadów sprzed stu siedemdziesięciu milionów lat. I trwała ta budowa siedem lat i jeszcze siedem, aż po czternastu latach sto tysięcy akrów powierzchni pokryły metalowe wieże i gmachy, otoczone wysokim murem, i nadszedł dzień, w którym odpłynęły resztki tych, co przeżyli tytaniczną pracę i bramy zawarły się.

Place budowy opustoszały, nastąpiła cisza, tylko wiatr gwizdał wysoko w rozpiętych drutach, a po zwirowanych ścieżkach kroczyli strażnicy z psami. Tak było przez siedem dni, aż ciemną, bezksiężycową nocą stanął pod wschodnim murem wehikuł, zwany automobilem pancernym, i wysiadło z niego ośmiu ludzi, którzy rządzą Atlantyda. Pierwszy miał jej żelazo, drugi — węgiel, trzeci — naftę, czwarty — komunikację, piąty — zboże i mięso,

szósty — elektryczność, a siódmy — armię.

Spod ziemi wyszedł na ich spotkanie główny inżynier budowy i nisko się skłonił. Władcy wysiedli z auta i ujrzeni kołyszące się wysoko za murami lampy, zawieszane na drucianych linach, a w ich niespokojnym świetle — czarne bloki i wieże, stojące jedno obok drugich, jak szeregi żołnierzy, a była to tylko widoma na powierzchni ziemi, niewielka część Generalnego Automatu Turinga, który rozpościerał się głęboko pod gruntem, w galeriach i halach, wydrążonych w skałach pustyni. Straże zbliżyły się z dwu stron, rozsunęły czarne drzwi w murze i przybysze weszli do wnętrza, gdzie czekał na nich oszklony wagonik, który zaraz ruszył.

Jechali przez sale z zimnym, niebieskim światłem i gmachy jakby obrócone w dół i wpasowane w skałę, a nad ich głowami ciemniał nieprzejrany gąszcz kabli, obciążony wielkimi grzybami izolatorów. Mijali wpuszczone w ściany gniazda dławnic, przecinali skosem szyby, w których czuwały dozoruące automaty w pancernych kapturach, i pojazd zagłębiał się coraz bardziej, inżynier zaś objaśniał im wszystko i mówił, że samych tylko głównych nastawni mieści się w podziemiach więcej, niż jest sekund w życiu ludzkim. Jechali dalej, opadając z kondygnacji na kondygnację, za szkłem wiły się korytarze, wzrok ginął w lesie przewodów, wagonik przemykał pod grubymi rozdrzewieniami miedzi, czasem z głębi zamrugało rubinowe światełko, mrok gęstniał, ciemność stawała się coraz większa i wagonik, turkocąc, opuszczał się niżej i niżej.

A cały ten nieobjęty i niezmierny labirynt był martwy; ani jeden impuls prądu nigdy jeszcze nie przepłynął przez miliardowe skręty żył oplatających miedziany mózg maszyny. Jechali długo, nareszcie za szybami zamigły lampki oświetlające wilgotną skałę tunelu, wagonik szarpnął i stanął. Byli u celu. Bo pod tą straszliwą budową, w jej ostatnim, najgłębszym wnętrzu znajdowała się niewielka, opancerzona komnata jajowatego kształtu. Tam weszli. W czarnych ścianach widniały zegary kontrolne, siedemset siedemdziesiąt i siedem zegarów, a pośrodku — wzniesienie. Na nim czarny mikrofon i przycisk pod kołpakiem z diamentów — nic więcej. Stąd miało się wydawać rozkazy Wielkiemu Generalnemu Turingowi.

Inżynier tłumaczył, że maszyna może równie dobrze hodować egzotyczne kwiaty, jak zakładać ogrody i zabijać ludzi. Nie miała żadnych urządzeń zabezpieczających, jak nasze współczesne automaty, wcale nie była do nich podobna. Był to dziki, barbarzyński, milion razy od piramidy większy automat.

Więc stanęli tam i nastała cisza. Chociaż pod stropem płonęło siedem świeczników, czarne ściany wchłaniały blask. Właściwe uruchomienie Turinga miało nastąpić w przyszłości, ale najstarszy inżynier, pragnąc wkupić się w łaski władców, podsunął im myśl natychmiastowej próby. On sam już od lat żył w gorączce oczekiwania, a u dna jego myśli drzemała jedna, którą taił, bo pojmował, że ten, kto stanie u mikrofonu uruchomionego Turinga, stanie się potężniejszy od asyryjskich i babilońskich magów, którym usługiwały demony. Więc kiedy pierwszy władca rzekł: „A co trzeba zrobić, żeby on zaczął działać?” — odparł: „Panie, przyciśnięcie tego tutaj czarnego guzika wznosi zapory w tamach, a wtedy wody rzeki świętego Juana wpadną w leje siedemdziesięciu siedmiu turbin i powstanie prąd, który nasyci metalowe wnętrza Turinga, a wtedy jego organy zaczną bić elektrycznym tętnem”. Wówczas ów władca wzruszył się nieco, bo lubił rzeczy wielkie i dziwne, i niby od niechcenia tłustym, białym palcem nacisnął guzik. A wtedy zagrały światła, wszystkie zegary zadrzęły, lampy otwarły czerwone oczy i spojrzały na nich, a nad ich głowami przestwór stu tysięcy akrów poruszył się i wzdrygnął.

Maszyny wirowały i sapały, tysiące rur próżniowych rozżarzało się szkarłatem, przekaźniki chodziły tam i na powrót i przez wszystkie cewy, solenoidy, uzwojenia przepłynął prąd. Ale w czarnej komnacie widać było tylko nieruchomo oświetlone tarcze zegarów, a w głośniku rozległ się głuchy szum, bo miedzianomózgi potwór został już powołany do życia, ale jeszcze

spać i jakby chrapał.

Wtedy władcy pojęli nagle, że stoją przed istotą wszechmocną, że to jest Bóg, którego sami stworzyli, i kiedy wydadzą mu rozkaz, zrobi wszystko, a kiedy przystanąli nad tym słowem, przełękli się we własnych sercach, jak od patrzenia w przepaść, bo nie przywykli do tego, żeby można wszystko.

Każdy myślał, że na jego rozkaz automat zniszczy fortunę i życie innych sześcioro, ale odganiał tę natrętą, uprzykrzoną myśl dla dobra nowej wojny, którą razem postanowili. A ósmy z nich miał osiemnaście lat i był synem władcy żelaza, najbogatszego ze wszystkich, bo z żelaza wytwarzało się narzędzia do zabijania. Władca ten umiał sprzedawać za złoto krew jak nikt inny, a w jego hutach były tysiące stalowych młotów po to, żeby w dalekich ziemiach przestawały bić tysiące serc. A jego syn był jeszcze chłopcem, bladym i melancholijnym. Znał on smak wszystkich owoców Ziemi, wszystkich trucizn drażniących ospałe nerwy i wszystkich rozkoszy, które można dostać za złoto. Dlatego świat wydawał mu się pełen bezbrzeżnej nudy i w poszukiwaniu nieznanych wzruszeń chętnie pograżał się w labirynty ciemnych filozofii. Nikt ze stojących bez ruchu nie ważył się przemówić, przytłoczony własną nicością wobec maszyny, i wsłuchiwał się tylko w miarowy szum prądu, który brzmiał teraz, jakby potwór oddychał w czujnym, posłusznym oczekiwaniu. A wtedy ów blady chłopiec postąpił znieścacka naprzód i spytał:

— Po co my żyjemy?

Ojciec jego zachnął się, chciał go strofować, lecz nie otworzył jeszcze ust, gdy Turing ruszył. Światła zaczęły się chwiać, blask rzedniał, ciemność ścian podpełzła ku nim i znowu się cofała, aż naraz z głośnika wybiegło żelazne westchnienie, za nim drugie, trzecie, czwarte, coraz gwałtowniejsze. Podłoga zadygotała, podniósł się z niej kurz, nogi gięły się wstrząsane straszliwymi podrzutami, aż naraz w burzy chrobocącego zgrzytu wszyscy razem rzucili się do drzwi depcząc się i szamocząc w panicznej ucieczce, albowiem zrozumieli: maszyna się śmiała...

PIOTR Z GANIMEDA

Dawno już nie wspominałem o Piotrze, ale też stan jego nie ulegał zmianie przez całe dwadzieścia miesięcy, jakie upłynęły od pierwszej operacji. Uratowała mu życie, nic więcej. Blizny, jakie wytworzyły się w jego mózgu, zatamowały krążenie myśli. Nie mógł mówić, pisać, czytać, ponadto cierpiał na ślepotę korową. Nie znaczy to, że nie widział, owszem, jego oczy reagowały na światło, lecz mózgowy ośrodek wzroku był jakby wyspą oddzieloną od stref pamięci bliznami, tak więc Piotr dostrzegał tylko niepojęty chaos barwnych plam i kształtów. Zupełnie bezradny, poruszał się właśnie jak ślepy i stan ten trwał aż do następnej operacji, którą przeprowadziliśmy w drugim roku podróży. Rekonwalescencja ciągnęła się długo. Piotr odzyskiwał sprawność umysłową powoli i z trudem. Nie tyle zaczął mówić, ile nauczył się tego na nowo. Byłem towarzyszem jego wieczornych zajęć; spędzane z nim godziny wymagały wiele cierpliwości i wysiłku, lecz nie żałowałem ich, tak sownie się opłacały. Pod koniec drugiego roku Piotr nieomal nie różnił się już od każdego z nas, jeśli nie brać pod uwagę tego, że większość faktów swojej przeszłości znał jak rzeczy wyuczone, a nie przeżyte. Jego własną historię opowiedzieliśmy mu tak, jak ją nam drogą radiową przekazała Ziemia; opóźnienie sygnałów nie miało na szczęście znaczenia, gdyż w czasie, kiedy goniły okręt, były jeszcze dla Piotra nieużyteczne.

Młodzieniec siadał już w głębokim fotelu, był bardzo wychudły, lecz z każdym dniem przybywało mu sił i coraz częściej wspominał o swoim zamiarze przyłączenia się do grupy młodzieży studiującej kosmonautykę; chęć tę witaliśmy z prawdziwym zadowoleniem, w przekonaniu, że praca najpełniej pozwoli mu wrócić do normalnego życia. Uznał, że już może dowiedzieć się wszystkiego, co się z nim działo w ciągu dwu lat, tym bardziej że nieświadomość losów z tego okresu niepokoiła go, opowiedzieliśmy mu z Ter Haarem, w jaki sposób znalazł się na Gei.

Bardzo ostrożnie wspominałem o pamiętnym eksperymencie przy badaniu jego mózgu. Piotr wysłuchał tego spokojnie, choć później ożywił się i oczy poczęły mu błyszczeć, tak że obawiałem się, czy nie wraca nerwowa gorączka, która trapiła go przez długi czas. Wieczorem oświadczył, że pragnie tym, którzy uratowali mu życie, opowiedzieć jedyne swe ocalałe wspomnienie. Zrazu próbowałem go odwieść od tej myśli, lecz powracał do niej tak uporczywie, że po naradzie z Anną i Schreyem przystaliśmy na to. Oprócz lekarzy i Ter Haara był przy opowieści obecny także Ameta, którego towarzystwo w zadziwiający sposób krzepiło zawsze naszego chorego. Piotr mówił krótkimi zdaniem, często przerywając, i pytając spoglądał to na mnie, to na Annę, jakby w milczącej nadziei, że domyślimy się, jakie słowo trzeba mu właśnie podpowiedzieć; jego opowieść chromała, poprzedzielana długimi przystankami. Niekiedy zamyślał się i we wzbierającym milczeniu z zamkniętymi oczami usiłował wywołać w sobie jakiś zmętłiały, zatracony szczegół. Czasem udawało mu się to, a czasem potrzasał głową z małym, bezradnym uśmiechem, który oznaczał „zapomniałem”. A jednak mimo to, a może właśnie dlatego, historia ta, którą rekonstruował na naszych oczach, tak jak ktoś powracający w rodzinne strony tylko siłą wyobraźni odtwarza wizerunek domu ojczystego, obróconego w perzynę, i stojąc na rumowisku coraz podnosi jakiś szczątek i odczytuje zeń tylko dla niego widzialny kształt całości, może właśnie dlatego opowieść ta wstrząsnęła nami, surowa i prosta. Przekazuję ją wam nie w owej kalekiej formie, w jakiej sam ją słyszałem, lecz przepisana od nowa, z lukami wypełnionymi dzięki wieściom ziemskim. Oto jest historia Piotra z Ganimeda, rozbitka próżni gwiazdowej, jedyne wspomnienie, które okazało się silniejsze od katastrofy.

Wczesną młodość spędził podobnie jak malcy w jego wieku. Do siedmiu lat mieszkał u dziadków, w wielkim Rezerwacie Eurazjatyckiego Parku Natury na podgórzu pamińskim, i tylko dwa miesiące w roku przebywał w starym domu rodziców nad Wisłą. Później

rozpoczęła się szkoła, to znaczy nieustanne podróże po ziemskich morzach i lądach, połączone z nauką geografii i geologii, zwiedzanie starych muzeów i zbiorów przy wykładach historii, wycieczki górskie, letnie wyprawy z biegiem rzek, pierwsze loty raketowe w towarzystwie wychowawców i kolegów, samodzielne eksperymenty fizyczne i chemiczne, oglądanie modeli planetarnych w Dziecięcym Parku Próźni, wreszcie pierwszy dwutygodniowy pobyt w obserwatorium na Szóstej Stacji Kosmicznej.

Był to czas płomiennych snów i marzeń o odkryciach, o niezwykłych przygodach i groźnych siłach dalekich krajów i planet, z którymi będzie walczył do zwycięstwa. W miarę jak rósł i ciekawość świata z zabawy przemieniała się w naukę, wszystko wokół stawało się zrozumiałe, a chłopięce rojenia o walkach i przewagach uchodziły w sfery coraz dalsze i mniej realne. Studiował już podstawy powszechnej wiedzy i wierzył, że tajemnice, jeśli w ogóle istnieją, kryją się chyba tylko w najodleglejszych zakątkach wszechświata. Gdy skończył siedemnaście lat, rozpoczął odwiedzanie rozlicznych politechnik, instytutów, pracowni, aby poznając niezmiernie dziedziny działalności ludzkiej, odkryć tę, której poświęci się na zawsze. Zrazu przychylił się do studiów astronomicznych, dopóki nie trafił do wielkiego Instytutu Astronautyki Ogólnej i Doświadczalnej.

Po trzech latach ukończył wstępny kurs i jął przygotowywać się do następnego, cztery lata liczącego etapu badań bardziej samodzielnych. Przeżył wtedy pierwszy triumf — i pierwszą klęskę. Profesor Dyaadik, oceniając wyniki pracy swoich uczniów, uznał go za rokującego największe nadzieje, lecz rychło radość została zaprawiona goryczą. Poniósł klęskę w walce z nieznaną siłą, którą odkrył nie na dalekim globie, lecz w sobie samym.

Poznał młodą dziewczynę, swoją rówieśnicę, studentkę jak on. Połączyły ich wspólne zainteresowania i nadzieje; po roku byli już przyjaciółmi. Stali się sobie bliscy. Myśli ich — nieraz stwierdzali to ze śmiechem — poruszały się po równoległych torach, a uczucie, rodzące się w jednym przy słuchaniu muzyki czy oglądaniu dzieł sztuki, jak gdyby dopełniało się w drugim. W tym czasie pracował intensywniej niż kiedykolwiek. Napotykał przeszkody nigdy dawniej nie odczuwał takiej pewności zwycięstwa, nigdy nie atakował ich z taką pasją i uporem, ale ostateczne rozwiązanie zamiast ulgi przynosiło niepokój. Nieustannie szukał dodatkowych zajęć, nowych zagadnień, tematów. To znowu nachodziła go nieprzemierzalna chęć samotnej wyprawy w góry; dokonał wtedy kilku śmiałych, lekkomyślnych nawet, bardzo trudnych przejść, aż pewnego wieczoru, kiedy został z nią sam w laboratorium i patrzył, jak odwrócona tyłem krzątała się, lekka i silna, przy aparatach, niespodzianie i tak nagle, że serce w nim zamarło, pojął, że te zmagania, pasje i ucieczki, niepojęte zapatrzenia, palące sny, nie wysłowione tęsknoty i krążenia, że wszystko to tłumaczy jedno słowo: miłość.

Nie od razu i nierychło jej to powiedział; wreszcie przyszła ta chwila i rzecz skończyła się, gdyż ona, lubiąc go, ceniąc, poważając, nie kochała. Po decydującej rozmowie nie widział jej przez kilka miesięcy, a gdy się spotkali, nie mówił już nic. I — co dziwniejsza — nie myślał o niej prawie nigdy. Tylko rzadko, kiedy nocą ślęczał nad rozłożonymi arkuszami przy nisko opuszczonej lampie, między dwoma etapami dociekania wzrok wypadał czasem z oświetlonej płaszczyzny papierów za brzeg stołu, gdzie rozpoczynał się mrok, pusty i czarny jak przestrzeń międzygwiazdna. Trafiała go wtedy błyskawica żalu tak silna, że tracił dech. Garbił się, opuszczał głowę i wracał do rachunku, tępo powtarzając ostatnie nakreślone wyrazy, i znowu wszystko cofało się i zamykało gdzieś w głębi.

Minął następny rok studiów i jeszcze jeden. Piotr przystąpił do pracy dyplomowej. Zamieszkał w jednym z oddziałów pozaziemskich Instytutu, w placówce astronautycznej na Księżycu. Tam ukończył pracę i przybył na Ziemię, żeby złożyć ją w ręce swego wychowawcy, Dyaadika. Pragnął wrócić tegoż dnia, ale spotkał starszego kolegę, który półzartem powiedział mu: „To brzydko, że się u nas nie pokazujesz. Moja córeczka wciąż czeka obiecanej bajki”. „Jeżeli obiecałem, to przeproś i powiedz, że jutro przyjadę” — odparł serio Piotr. Miał kilka godzin czasu, poszedł więc do wielkiego parku leżącego przy Instytucie

i tam spotkał tę, której nie widział od dwu lat. Ucieszyła się bardzo i zaproponowała mu wspólną wycieczkę. Polecieli do jednego z pobliskich rezerwatów. Do zachodu słońca chodzili po wrzosowiskach, ona zrywała kwiaty i uwiła ogromny bukiet. Nareszcie, rozgrzani słońcem, zmęczeni, przysiedli na południowym stoku wzgórza pokrytego wysoką, bujną trawą. Słońce skryło się już za widnokretem, w liściach zaszumił podmuch zwiastujący chłód nocy. Nagle chmury północnego wschodu objął nieznośny dla oka blask. Strzeliła w nie oślepiająca smuga, wzniosła się w zenit i znikła. Po długiej chwili z wysokości zaczął opadać narastający łoskot, podobny do gromu dalekiej burzy.

— To był ostatni księżycowy — odezwała się dziewczyna. — Odleciał bez ciebie; zostaniesz przez jutro?

Nie odpowiedział. Mrok wciąż gęstniał. Twarz siedzącej zacierała się, jak rzeźba wygladzona przez ciemną wodę. Jakiś czas świeciła jeszcze fosforyczną plamą, aż zgasła. Noc rozdzieliła ich tak, że nie widzieli już, czy u stóp krzaka jest jeszcze jakaś żywa istota, i milczał w obawie, że przemówi do pustki. Siedział bez ruchu, oślepiiony ciemnością, wzrok błądził bezradnie — zdawało się, że samo powietrze zmienia się w nieważką substancję, omotującą wszystko bezkształtnymi kokonami. Dochodził go tylko szelest ocierających się o siebie, niewidzialnych liści, to głośniejszy, to słabszy. W tym sypkim, nieustającym odgłosie było coś niewypowiedziane obojętne i przez to okrutne.

Milczenie panowało długo. Nareszcie dobiegł go szelest inny, żywszy: wstała.

— Musimy już iść — odezwała się tłumiąc głos, jakby ktoś stał w pobliżu. — Jest już późno...

— Szkoda, że nie wziąłem heliplanu, polecilibyśmy — odparł wstając.

— O, to nic... ale nie wiem, którądyśmy przyszli, Piotrze.

— Zorientujemy się wedle gwiazd i poszukamy organowca. Biegnie gdzieś niezbyt daleko. Tędy, na górę. Widzisz Wielki Wóz? Tam, a dalej Polarna.

Znaleźli się na szczycie wzgórza — łagodnie pochylonej, łysej kopule. Słabe migotanie gwiazd wzmagало tylko ciemność. Wytyczywszy kierunek marszu poczęli schodzić w dół. Nogi zagłębiały się w wysokiej, skrzypiącej od rosy trawie.

— Czy słyszałeś już — spytała po chwili — że wyrzucanie wody z oceanów poza granice Ziemi zostało wstrzymane?

— Chodzi o ten plan zwiększania powierzchni lądów?

— Tak, ale dotąd wyrzucało się wodę bezużytecznie, a teraz przyszły do nas projekty z Instytutu Areologii, żeby ta wodą nawadniać suche planety... Uważaj, tu jest, zdaje się, jałowiec, ukłułam się. O, już zaczyna się dróżka. Gdzieś nią chyba dojdziemy. Tak więc profesor wszystkich nas rzucił na nową robotę. Nadzwyczaj ciekawa.

Ścieżka, którą szli, wiodła wśród wysokich, nie przystrzyżonych żywopłotów. Na zakręcie z lewej strony otworzył się widok na rozległy, szeroki przestwór. Bardzo daleko, w podniebnych wysokościach sunął świecący obłok, potem zatrzymał się i popęzł z powrotem.

— Widzisz — wskazała go towarzyszkowi — to Pozdena robi swoje doświadczenia... Szkoda, że nie zostajesz dłużej... Pokazałabym ci wszystko nowe... dużośmy ostatnio zrobili.

— Nie — odparł niecierpliwie. — Nie powinienem był tu przyjeżdżać — wyrwało mu się. Przystanąła. Drobne listki żywopłotu miały bardzo jasną, niemal świecącą spodnią stronę i kiedy podmuch wiatru odwracał je, wydawało się, że z ciemności patrzą dziesiątki białawych oczu. Nie widział jej, tylko w słabych podmuchach listki to odwracały się, to opadały, i to niespokojne trzepotanie jak gdyby widmowych płomyczków niewyraźnie obrysowywało jej postać.

— Dlaczego, Piotrze? — spytała cicho.

— Nie mówmy o tym — poprosił. Poczł się raptem bardzo zmęczony. Nie mówić, nie myśleć, tylko iść tak z nią przez tę ciemność, iść, iść...

— Piotrze... myślałam, że... Nie chciałam przecież, rozumiesz... Myślałam, że przez te

dwa lata... — Nie dokończyła.

— Że zapomniałem?

Uśmiechnął się niewidzialnym uśmiechem. Czuł tylko wielki, kojący spokój tej nocy, nic więcej.

— Nie mów tak — dodał tonem, jakim mówi się do dziecka. — Nie rozumiesz tego... i ja nie rozumiem, ale... daj rękę.

Wyciągnęła dłoń. Pochwycił ją w mroku. Stali w najciemniejszym miejscu, jakby ich ciała uległy unicestwieniu. Głosem, jakiego jeszcze nie słyszała, tak lekkim, że ledwo wznosił się nad ustający szmer liści, odezwał się:

— Wszystko, cokolwiek mi się zdarza, najpierw nie istnieje, potem nadchodzi, mija i znika, ale ty trwasz. Nie wiem, czemu tak jest, i nie pytam o to. Kształt twoich palców, ust, głowy jest mi dany, jak kształt moich własnych, nie wybierałem ich; są i nie dziwię się temu, chociaż czasem mogę się przeciw temu buntować... Ależ któż buntuje się naprawdę przeciw własnemu ciału?

Nie jesteś mi droga, jak moje ciało nie jest mi drogie, jest tylko niezbędne, bo bez niego nie mógłbym istnieć. Dotykam twojej ręki. Cóż to znaczy? Oto kostki, ścięzna, skóra, tak, to wszystko prawda, ale nieważna. Jak mam ci to powiedzieć? Nieśmiertelności nie ma. Wszyscy wiemy to i wszyscy tak myślimy. Ale teraz, w tej chwili, jest nieśmiertelność. Bo czuję twoją rękę, to jest wyjaśnienie i odpowiedź. Dotykam twojej ręki, jakbym znał wszystkich zapomnianych, zgubionych, wszystkie tęsknoty ludzi, wszystkie światy, ich początek, dzieje i koniec... A cóż innego, jeśli nie to właśnie, jest nieśmiertelnością?

Milczysz? To dobrze. Nie mów „zapomnij”. Nie mów tak. Jesteś przecież rozumną dziewczyną. Więc gdybym zapomniał, to nie byłbym już ja, bo ty weszłaś we wszystkie moje rzeczy, zmieszałaś się z najdawniejszymi wspomnieniami, doszłaś tam, gdzie nie ma jeszcze myśli, gdzie nie rodzą się nawet sny, tam, gdzie są tylko ślepe przemiany materii, z których biorę początek, i gdyby ktoś wydarł cię ze mnie, zostałaby pustka, jak gdyby nigdy mnie nie było: musiałbym z siebie zrezygnować, zrzec się odpowiedzialności za własny los, a na to nie mam prawa. Wiesz, dlaczego wziąłem pracę w obserwatorium na przełęczy Tychona? Chciałem zapomnieć, ale kiedy patrzyłem na błękitną Ziemię, było to, jakbym patrzył na ciebie. Myślałem, że odległość jest za mała, ale to była głupota. Bo ty jesteś wszędzie, gdzie patrzę... Wybacz, nie gniewaj się... ach, co ja mówię. Rozumiesz przecież, dlaczego to wszystko powiedziałem? Nie żeby przekonywać ani wyjaśniać — nie ma w tym nic do wyjaśniania, jak nie wyjaśnia się, dlaczego się żyje. Mówiłem dlatego, bo drzewa tracą i znowu odzyskują liście, bo kamienie, puszczane z ręki, spadają, bo światło ugina się, biegnąc blisko silnych gwiazd, bo lodowce niosą głazy, a rzeki — wodę...

To, co czuję, jest dla ciebie nieużyteczne, wiem. Ale kiedyś będziesz miała wiele rzeczy za sobą i mało przed sobą. Będziesz może szukała wśród wspomnień jakiegoś oparcia, czegoś, od czego zaczyna się rachubę lub na czym się ją kończy. Będziesz już całkiem inna i wszystko będzie inne, i nie wiem, gdzie będę, ale to nieważne. Pomyśl wtedy, że mogłaś mieć moją astronautykę równie jak moje sny i głos, i troski, i nie znane mi jeszcze pomysły, i moją niecierpliwość, i nieśmiałość, że w taki sposób mogłaś mieć świat po raz drugi. A kiedy będziesz tali myślała, nieważne będzie, żeś nie umiała czy nie chciała tego mieć. Ważne będzie tylko, że byłaś moją słabością i siłą, utratą i odzyskaniem, światłem, ciemnością, bólem — to znaczy życiem.

Bezwolnie rozchylonymi palcami jej dłoni dotykał, pochylając się, skroni i czoła.

— Czujesz ten twardy zarys? To kość. Kiedyś wynurzy się z ciała, swobodna i naga. Ale to nic. Bo chociaż wszystko jest zmianą w rzece kształtów, płynną formą atomów i ich strukturą, połączeniem atomów, siatkami atomów, a one czasem schodzą się, żeby stworzyć ciało człowieka, i znowu się rozchodzą — ta chwila pozostanie. Będzie trwała w pyłe, w który zmieni się moja pamięć, zatrzymana na zawsze, silniejsza niż czas, niż gwiazdy, silniejsza niż

śmierć.

Ostatnie słowa wypowiadał szeptem coraz cichszym, prawie niedosłyszalnym, aż zamilkł. Zdawało się, że przestał oddychać. Potem puścił jej dłoń, ostrożnie, jakby jej oddawał coś bardzo kruchego. Ruszył pierwszy. Ścieżka szła zrazu prosto, potem skręciła i rozdzieliła się. Wszedł w jej lewą odnogę. Napływały chmury, pokrywając coraz większą powierzchnię nieba, i wzrastał wiatr. Szli milcząc, aż zza ściany żywopłotu dobiegł ich powolny klekot, który osłabł, kiedy zbliżyli się do jego źródła, a potem wzniósł się, jednostajny; szczękały ostrza niewidzialnych nożyc.

— Czy tam ktoś jest? — rzekł Piotr donośnie, zwracając się w tę stronę.

— Ja tu... jestem, Sigma Sześć — odpowiedział metaliczny baryton.

Piotr skierował się tam, lecz natknąwszy się na zwartą ścianę gałęzi kolczastych stanął.

— Sigma Sześć, jak dojść do ciebie? Czy tu jest droga?

— Jeżeli nie możesz... przejść, to jesteś człowiekiem. Idź dziesięć metrów prosto — odparł głos — tam jest przesieka.

— Sigma Sześć, daj sygnał.

W głębi zarośli zapłonęła amarantowa kula w zielone pasy. Oboje przedostali się przez niskie wycięcie żywopłotu. Pod nawisłymi gałęziami stała tu na trzech płozach maszyna. Jedna z jej anten była oświetlona lampą sygnałową, reszta metalowej powierzchni, pokryta uciętymi gałązkami i grubokroplistą rosą, jak łzami, tonęła w cieniu.

— Sigma Sześć, gdzie tu jest organowiec? — spytał Piotr podchodząc do maszyny. Położył rękę na chłodnej pokrywie.

— Podstacja organowca... jest oddalona o czterysta metrów na północo–północo–wschód — odparła maszyna. Głos jej był coraz cichszy, słowa padały w odstępach.

— Jakaś zbłąkana sigma — powiedział Piotr do towarzyszki. — Wyładowana, zdaje się. Zauważyłaś, jak śmiesznie się jąka?

— Ja nie... jestem wy... wyładowana — odrzekła maszyna z metalicznym pochrzęstem, który zabrzmiał dziwnie, jak odcień urażenia. — Ja... mam spalony... obwód modu... lujący. — Sapnęła jeszcze i umilkła.

Piotr ruszył we wskazanym kierunku, przytrzymując prężne witki, żeby nie uderzały idącej za nim dziewczyny. Rychło przez ciemność przecierać się zaczął niski, pomarańczowy brzask. Zarośla przechodziły w wielką równinę. Biegła nią rura kolei próżniowej, jej ściany wydawały matowe świecenie. Opodal wznosiła się stacyjka, okryta półokrągłym daszkiem. Tutaj od głównego toru odchodziła bocznicą, złożona z coraz krótszych rur; całość przypominała ułożone na ziemi organowe puszczalki wielkoluda. Weszli na stopnie, wciąż zachowując milczenie. Piotr nacisnął guzik wzywający; dziewczyna oparła się o metalowe drzwi. Twarz jej była nieruchoma i zamknięta. Raz wargi jej drgnęły, potem otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko odetchnęła. Nareszcie rozległ się sygnał i drzwi rozsunęły się, ukazując wnętrze małego wagonika.

Wyciągnął rękę. Wykonała wtedy drobny gest, jakby nie chciała jej ująć, w końcu chwyciła jego dłoń i wyrzuciła pośpiesznie:

— Piotrze, wierz mi, chciałabym... wybaczyć mi...

— To ty mi wybaczyć — przerwał jej spokojnie. — Bywam nierozumny, zwłaszcza nocą...

— Nie pojedziesz ze mną?

— Nie. Przejdę się trochę, dobrej nocy.

Drzwi zamknęły się. Wagonik, wessany próżnią, przeskakując z jednego segmentu w drugi, nabrał szybkości; przez chwilę w szklistej osłonie falowało światło, potem uspokoiło się i znów był tylko pomarańczowy brzask, rozjaśniający mgławo najbliższe otoczenie. Spojrzał na zamknięte drzwi, jakby dziwiąc się jej niespodzianemu zniknięciu, potem zbiegł lekko w dół.

Niebawem znalazł się wśród zarośli. Długo czas szedł ślepo, czołem, policzkami i nie

widzącymi oczami wyczuwając wiatr, który owiewał go tak samo jak ciemne kształty drzew i krzaków. Oddychał głęboko i przyspieszał kroku. Wydało mu się, że słyszy pozostający gdzieś z tyłu za plecami, daleki, lecz potężny szum fal, jak gdyby wiele dni walczył z morzem, aż napotkał ląd, na który wyszedł, i idzie teraz w ciemność po piaskach nieznanego wybrzeża, nagi, wyczerpany, nie czując ani żalu za wszystkim, co pochłonął ocean, ani radości ocalenia.

Owładało nim coraz większe znieczulenie, zarazem wracała orientacja. Zaczynał już dostrzegać wygarbiony, ciemny kształt horyzontu i ciemniejsze jeszcze chmury nad głową. W rozdarciu jednej mrocznie błyszcząca gwiazda. Mars — pomyślał i szedł dalej. Ręce same rozchyłały gałęzie, mokre liście lekko i jakby niespokojnie muskały jego twarz. Ten delikatny, wciąż powtarzający się, ukradkowy dotyk pogłębiał spokój odpływania, odchodzenia, zamierania. Nagle, nie wiedząc jeszcze czemu, stanął. Poznał wielki krzak o liściach rozblaskujących jasnymi spodami, miejsce, gdzie do niej mówił. Wtedy na myśl, że przez to miejsce przejdzie teraz sam, ogarnęła go trwoga, jakiej nie doznał nigdy. Cofnął się, opuścił głowę i potykając się pobiegł na oślep. Roztracał gałęzie, niewidzialne witki chlastały go po twarzy, po ciele, pulsy rozłomotały się, biegł w mrok, aż poczuł, że nic nie stawia mu już oporu. Pas zarośli skończył się. W tej pustej przestrzeni stanął równie nagle, jak pobiegł.

Przed kim uciekam? Przed sobą? — pomyślał. — Muszę coś zrobić, myśleć logicznie, spokojnie, rozwijać w pamięci jakiś teoremat, bo...

Oddychał coraz głębiej, ale i równiej. Wielki, jednostajny wiatr rozdymał chłodem płuca, rzeźwił, noc była ciemna i bezbrzeżna. Ostatnia gwiazda zgasła w chmurach. Nie widział nic, nie słyszał nawet wiatru, nawet ciszy. Powoli przykląkł i osunął się na ciężką od wilgoci trawę. Ramię napotkało jakąś twardą, pionową płaszczyznę, o którą oparł się przekazując jej swój bezwład, zbyt obojętny, by stwierdzić, co to jest. Nachodziły go zmieszane strzępy wspomnień tej nocy. Tracił władzę nad pamięcią, potok skojarzeń biegł chaotycznie, plątał urywki zdań, intonacje głosów, pokłębione obrazy. Wtem usłyszał jej głos: „Piotrze...” — złudzenie było tak silne, że powietrze zdawało się drzeć jeszcze, wypełniając pustkę pozostałą po tym głosie. Wyrwał mu się głuchy odgłos, ni to jęk, ni szloch. Wtedy z góry, z nieznanej wysokości, dobiegły powoli wypowiedane słowa:

— Człowieku, co robisz?

Ujrzał ciemne, wielkie, zmętniałe od chmur niebiosa, z których — pomyślał — przed wiekami wypędzono Boga; ucieczkę słabych i pokonanych. Teraz słyszał tony własnego serca: rozlegały się w wielkiej ciszy, jakby pracowało w głębi opuszczonego, zamkniętego domu; pierwsze uderzenie, dźwięk wyrzucanej krwi i jego echo, potem krótka cisza. Nie w uderzenia tętna począł się wsłuchiwać, lecz w tę ciszę, jakby pragnął przedłużyć ją, żeby te dwa rytmiczne, głuche, powtarzające się tony nadchodziły coraz rzadziej, żeby ta cisza rosła...

— Człowieku — ponownie ozwał się nad nim nie wiadomo skąd płynący, niski, powolny głos. — Czy zabłądziłeś?

Piotr milczał.

— Czego chcesz? Pytaj, będę odpowiadać.

Piotr siedział wpół skulony, z ramieniem ciągle wspartym o niewidzialną, twardą ścianę za plecami. Bark drętwieć poczynał od zimnego dotyku. Był jak wyrwany z kamiennego snu, ale słyszał wszystko, co się działo. Wyszeptał:

— Czemu tak jest?

— Nie rozumiem. Powtórz zdanie. Jeżeli zabłądziłeś, wskażę ci kierunek.

— Nie mam dokąd iść.

Znowu zapanowała cisza. Wiatr, płynący z góry, trafiał wilgotne, zimne czoło Piotra. Poczęła go opanowywać niejasna chęć przedłużenia tej pustej, niepotrzebnej i koniecznej zarazem rozmowy. Nie było w nim teraz nic, zupełnie nic, pustka ta była większa od

poprzedniego bólu i wymijające się, wichrowate zdania pytań i odpowiedzi jakoś ją wypełniały. Cisza znowu rosła. Było tak, jakby jednocześnie śnił i trwał na jawie. Znowu słyszał jakby wyzwolone z ciała tony swego serca. Był we wnętrzu podwodnego statku, który opadał wraz z nim w bezdenną głęb. Czuł ciemny bezmiar wód otaczających ściany, coraz większy i większy, jak naciska je, wgniata stalowe blachy, włamuje się bezdźwięcznie, czarną, zimną tonią wypełnia grodzie po grodzie. Już tylko jedno miejsce było powietrzne. Tam biło jego serce w wielkim oczekiwaniu chwili, kiedy pęknie ostatnia przegroda. Statek wciąż opadał. W tym półmajaczeniu wyciągnął dłoń, aby dotknąć stalowej przegrody, w której istnienie uwierzył na chwilę, aby zbadać, czy się już ugina. Palce omknęły się po zimnej stali, ale to nie była ściana. Nie był na statku, nie ginął. Nie miał na co czekać.

— Czego chcesz? Powiedz, człowieku — znowu odezwał się głos.

— Nie chcę nic. Nie możesz mi pomóc.

— Dlaczego? Nie rozumiem. Czy zgubiłeś coś? To śmieszne pytanie dziwnie poruszyło Piotra.

— Tak — odparł — zgubiłem.

— Co zgubiłeś?

— Wszystko.

— Wszystko? To nic. Możesz mieć każdą rzecz znowu.

— Tak mówisz? Każdą rzecz? Cały świat?

— Świat jest ludzi. Jest więc i twój.

— Świat staje się bezużyteczny, jeśli się go z nikim nie dzieli.

— Nie rozumiem. Powtórz zdanie.

Piotr zaczynał niejasno pojmować, z kim prowadzi tę dziwną rozmowę. Trzeźwiało. Wracała przytomność, a z nią ból.

— I tak nie zrozumiesz — rzekł. — Nie możesz mi pomóc.

— Jestem po to, żeby ci służyć.

— Wiem. Możesz robić rzeczy użyteczne... ale ja, my cenimy nad rzeczy coś, co jest ci niedostępne, wiesz? Nie mam nic, nic, a jednak mogę ofiarować innym bardzo wiele. Nikt nie może dać więcej od tego, co stracił wszystko. Nie rozumiesz, prawda?

— Nie — odparł głos jakby pokornie czy niechętnie, ale to chyba zwidziało się Piotrowi. Nie wiedząc sam czemu, zerwał się nagle i zwrócił w stronę, z której płynął głos.

— Słuchaj... — powiedział nagle szeptem. — Jesteś Sigma, wiem. Słuchaj...

— Słucham cię.

— Zabij mnie!

Zapanowała cisza, w której z jednostajnym szumem wiatru mieszał się podobny do łkania oddech człowieka.

— Nie rozumiem. Powtórz zdanie.

— Jesteś maszyną, która służy ludziom. Masz mechaniczną pamięć i każde zapisane w niej wspomnienie możesz zatrzeć, jakby go nigdy nie było. Nikt się nie dowie; nikomu to nie zaszkodzi. Sigma, ratuj mnie! Zabij mnie, słyszysz?!

— Nie rozumiem. Co znaczy „zabij”?

W Piotrze jak gdyby coś pękło. Zatoczył się na metalowy, płaski grzbiet maszyny i odskoczył w tył.

— Nie! — jęknął. — Nie! Nic nie mówiłem. Milcz! Nic nie mów. Zapomnij! Zapomnij! Słyszysz?!

Dyszał. Powietrze łkało mu w krtani.

— Jesteś z metalu... maszyna... martwa... Nie czujesz nic, nie wiesz, nie wiesz, co to rozpacz, męka, nie wiesz nic. Jak dobrze... Ja... nie mam teraz sił. Nie mam, ale wiem, muszę mieć, a to już dużo... Ja... zapomnij tę rozmowę, Sigma, słyszysz?

— Nie zapomnę — odparła maszyna.

— Dlaczego?

— Mam spalony obwód. Kiedy mnie naprawią, zapomnę.

Piotr zaśmiał się.

— A tak? Dobrze. Może i mnie naprawią, może i ja zapomnę...

Zawrócił i poszedł przed siebie. Przedzierał się przez gęste krzaki, aż stanął na skraju pola. Włosy, ręce, ubranie miał nasiąkłe wilgocią.

Przeciagnał dłonią po twarzy, chłód orzeźwił go. W chmurach przecierał się fioletowy przedświt. Wstawał nowy dzień. Z mgieł wynurzały się sylwety drzew, wiatr zamarł, była wielka cisza. Ziemia rozpościerała się ogromna, bezbarwna, jakby spopieleną nocą. Gdzieś pod widnokregiem zamigotało światełko domu, drżąca ziemską gwiazdka, od której oczu nie mógł oderwać. Ludzie czuwali tam, praca toczyła się jak zawsze. Na dalekich lotniskach siadały statki. W pracowniach skupione twarze pochylały się nad instrumentami. Jego koledzy w obserwatorium Tychona rzucali na stalową podłogę pokryte szronem skafandry i spoglądali na tarczę zegara. Oczekiwali go. W dalekiej Sylistrii był już ranek; mała dziewczynka mówiła do matki: „Nie pojedę z ciocią na wycieczkę, bo dziś przyjedzie wuj Piotr i opowie mi bajkę”. Wtedy Piotr podniósł ręce do twarzy, przetarł oczy i począł iść w stronę stacji, zapatrzony w rozjaśniający się przestwór, jak gdyby oddawał się pod opiekę pogodnemu krajobrazowi.

Skończywszy opowieść, młodzieniec, znużony, rychło usnął. Dałem znak towarzyszom, by wyszli; przez chwilę staliśmy jeszcze z Anną u łóżka. Oddech jego stawał się powolniejszy i głębszy, przygarnięta do piersi ręka wykonała drobny, nieśmiały gest, jakby gładziła coś, potem osunęła się i znieruchomiała na skraju posłania.

Towarzysze stali w sieni pod wielką araukarią. Wiedziony nagłym impulsem pchnąłem drzwi mego mieszkania.

— Chodźcie do mnie — powiedziałem tłumiąc głos, choć do separatki Piotra nie mogłem się stąd przedostać żaden dźwięk.

Weszli. W pokoju był już późny wieczór i ocean za oknami granatował, nie zapaliłem jednak światła. Usiedliśmy, każdy przygodnie, zwróceniu ku błękitnemu mrokowi na dworze; nad horyzontem jaśniał wysoki, srebrnawy pióropusz światła zodiakalnego i gwiazdy wykluwały się, nieprawdziwe, lecz jakże piękne, drżące, ziemskie gwiazdy.

W pozornym chaosie toczonyj rozmowy i w długich niedomówieniach nie było przypadku, bo myśleliśmy o tym samym. Nagle drzwi otworzyły się z rozmachem, aż wiew powietrza poszedł na pokój; przyszedł Nils Yrjöla, który odwiedza mnie czasem wieczorami.

Zrazu usiłował zrozumieć padające uwagi, ale nie znając ich przyczyny, spytał wreszcie głośno:

— Przepraszam, czy można wiedzieć, o czym mówicie?

— Pamiętasz może — odparłem — jak opowiadałem ci o badaniu Piotra i o tej nagłej przemianie prądów mózgu, kiedy Anna spytała go...

— Pewno, że pamiętam — przerwał mi Nils. Jego chłopięcy, zwarty profil rysował się na tle szyby, ciemniejszy od zaokienego mroku.

— Wiesz, Piotr opowiedział nam tę historię, to ocalałe wspomnienie; to była miłość.

— I tak dumacie nad tym po ciemku? — spytał Nils.

— Tak. To była, widzisz, miłość rzadka i smutna — nie odwzajemniona.

— Aha, nieszczęśliwa miłość. — Chłopiec pochylił głowę, po chwili zaś rzekł, a ton lekkiej przekory zabrzmiał w jego głosie:

— Tak, zdarza się nieszczęśliwa miłość. Czytałem o tym. Są rzeczy ważniejsze, ale rozumiem, że to się zdarza. W przyszłości takie wypadki na pewno zostaną rozwiązane.

— Co masz na myśli? — spytałem, a Nils odparł:

— No, zwyczajnie, można będzie w jakiś sposób odmienić psychikę tego człowieka...

— Żeby się „odkochał”? — spytał ze swego kąta najpoważniej w świecie Ameta.

— Można i tak, ale niekoniecznie. Można by też zmienić psychikę tego drugiego człowieka. Czytałem, że można dowolnie wywoływać instynkt macierzyńskiego przywiązania u zwierząt, wstrzykując im odpowiednie hormony. Jest to chemiczne działanie na korę mózgu, więc choć u człowieka będzie pewno trudniej, nie ma zasadniczej różnicy...

— Tak sądzisz — rzekł Ameta, a Schrey powiedział:

— To nie jest takie proste, mój Nilsie.

— Dlaczego?

— Czytałeś o tym — rzekł Schrey. — Czytałeś i już wiesz? Jest taka komedia Archiopa Gość, w której na Ziemię przybywa bardzo inteligentny Marsjanin, pozbawiony całkowicie zmysłu słuchu. Zapoznaje się z naszą cywilizacją i między innymi przybywa na koncert.

„Co ludzie tu robią?” — pyta. — „Słuchają muzyki”. „Co to jest muzyka?” Ziemscy przewodnicy zaczynają mu tłumaczyć tak i owak. „Nie rozumiem — powiada Marsjanin — ale czekajcie, zaraz zbadam całą rzecz”. Pokazują mu instrumenty, bada je, odkrywa, że są w nich rozmaite klapki, młoteczki, nareszcie natrafia na puzon. Bardzo sobie upodobał jego rozłożyste kształty i geometryczną harmonię, sumiennie go obmacał i powiada: „Dziękuję, teraz już wiem, co to jest muzyka, to miłe”. Ty, mój chłopcze, tyle się dotąd dowiedziałeś o miłości, co ów Marsjanin o muzyce. Przypuszczam, że cię nie uraziłem?

— Och, nie — rzekł Nils — ale proszę, wytłumaczcie mi, dlaczego mówiłem głupstwa, jeśli tak było?

— To, coś powiedział, Nilsie — odezwał się milczący dotąd Ter Haar — sprowadza się do takiego obrazu: mężczyzna kocha kobietę, która nie odwzajemnia jego uczuć, innych przeszkód w ich połączeniu nie ma, kobieta zażywa zatem pigułkę, a ta przekształca te właściwości jej umysłu, które uniemożliwiały jej pokochanie tego właśnie człowieka i wszystko się kończy ku obopólnemu zadowoleniu. Czy tak sobie to wyobrażałeś?

— No... — zawahał się Nils — tak jak powiedziałeś, profesorze, brzmi to trochę śmiesznie... to nie musi być pigułka...

— Ach, techniczne szczegóły nie są ważne, chodzi o zabieg na psychice. Otóż tu kryje się główny szkopuł.

— Dlaczego, sądzisz, że to byłoby takie trudne?

— Nie wiem. Może taki zabieg byłby już dziś możliwy, a może nie. Tej strony problemu nie tykam. Szkopuł jest natury etycznej, a nie biotechnicznej. Widzisz, ta kobieta jest takim samym pełnym człowiekiem jak ów mężczyzna. Jeśli go nie kocha, wynika to ze struktury jej charakteru, z jej psychiki, usposobienia, z całej osobowości. Żeby go pokochała, należałoby przekształcić jej umysł, coś trzeba by w nim zmienić, coś usunąć, zniszczyć, zabić — otóż na to nikt z nas nie wyrazi zgody, nikt na świecie, ani nawet ów nieszczęśliwie zakochany. Istnieje bowiem niepisany, lecz kategoryczny zakaz dokonywania zabiegów na duszy człowieka. Skąd się on bierze? Cywilizacja nasza często zaciera przejścia między tym, co naturalne, a tym, co wytworzone sztucznie, ale wszystkie nasze wynalazki i wygody techniczne zatrzymują się na granicy umysłu człowieka. My sami je tam zatrzymujemy, gdyż świat duchowy jednostki uważamy za nienaruszalne, najwyższe dobro społeczne. W jego tereny nie wolno wnikać żadnym metodom „ułatwiających” życie. Najskromniejsza próba byłaby tu groźnym precedensem; zaczęlibyśmy od wyplenienia drobnych skaz charakteru, jakiegoś „retuszu psychicznego”, a skończyli na takim tasowaniu i przerzucaniu właściwości duchowych, jakie zachodzi przy układaniu mozaiki z kamyków...

— Kiedy tak mówisz, zdaje mi się, że masz rację — odparł po chwili Nils — ale przecież taka nieszczęśliwa miłość powoduje cierpienia? Prawda, nigdy nic takiego nie odczuwałem, ale myślę, że nieużyteczne uczucie...

— Nieużyteczne uczucie? — wpadł mu w słowa Ameta. — Nie ma uczuć nieużytecznych, mój drogi. Niepowodzenia, cierpienia, smutki naprawdę są konieczne. To nie jest frazes ani pochwała cierpiętnictwa. Pokonując wielkie trudności, sami stajemy się więksi; zaspokajanie

zachceń, jeśli nie rozwinęły się i nie dojrzały w człowieku, może przynieść więcej szkody niż pożytku. Dlatego wychowawcy wiedzą, że należy kształcić dziecięce marzenia i odraczać ich spełnienie, gdyż dzięki temu wytwarzają się w duszy napięcia kierunkowe, bardzo cenne, bo stają się jakby niewidzialnymi dźwigarami rosnącej konstrukcji charakteru. Człowiek osiąga w życiu tym więcej, im dalsze wytycza sobie cele. To nie przypadek, że na Gei opracowuje się teraz plany podróży daleko rozleglejszych niż nasza. Powiedziałeś „nieużyteczne uczucie”. Pomyśl o Piotrze. To, co przeżył, wypaliło się w nim tak głęboko, że ocalało, gdy wszystkie inne wspomnienia uległy zagładzie. W ten sposób pozostało mu coś własnego, do czego mógł wracać, ślepy, skazany na milczenie. Nie pamiętając nic, mógł powiedzieć sobie „kochałem”, a to już bardzo dużo. Teraz wokół tego wspomnienia osiadają inne; inaczej jego powrót do życia miałby w sobie coś nieludzkiego, byłby on jak automat, który zapomina na rozkaz i staje się pusty jak nie zapisana kartka. Człowiek, który zapomniałby naprawdę wszystko, byłby zjawiskiem przerażającym, bo straciłby indywidualność i słowo „ja” byłoby w jego ustach tylko pustym dźwiękiem. Dlatego nawet najcięższe cierpienia nie są nieużyteczne; prawda, należy je przewycięzać, ale przewycięzać to nie znaczy — odrzucać.

Jakiś czas jeszcze rozmawialiśmy; gdy wszyscy zbierali się już do odejścia, Nils rzekł:

— Myślę, profesorze Schrey, że wiem teraz więcej o miłości niż Marsjanin o muzyce...

Stary chirurg został u mnie jeszcze czas jakiś. Siedzieliśmy dość długo w milczeniu, nareszcie Schrey otwarł oczy, które żywo zabłyśły w półmroku, i głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałem, powiedział:

— Czy znasz lasy turyńskie?... I te wielkie, białe drogi, które wypadają z nich na równiny pełne wiatru, brzozowe zagajniki... Można tam wędrować całymi dniami, a wieczorem grzać ręce nad ogniskiem i dym ściele się tak nisko, i gałęzie tak trzeszczą...

— Możesz to zawsze ujrzeć w wideo — odparłem — w każdej chwili, chociażby zaraz.

Schrey zamrugał powiekami i wstał.

— Protezy do wspomniania nie są mi potrzebne — odparł sucho i zaraz odszedł.

BUNT

Trzeci rok podróży był najcięższy, mimo, a może właśnie dlatego, że nie obfitował w doniosłe wypadki. Sygnały ostrzegawcze milczały. Okręt osiągnął pełną szybkość i przebywał w każdej sekundzie 170 000 kilometrów, spadając wzdłuż linii nieznacznie nachylonej w stosunku do osi łączącej północny biegun Galaktyki z południowym. Wszystkie urządzenia Gei sprawowały się tak dobrze, że od dawna zapomnieliśmy o ich istnieniu. Powietrze do oddychania, żywność, odzież, przedmioty codzienne i bardziej wyszukane, wszystko, czego można zapragnąć, stało na każde zawołanie, wytwarzane w pokładowych syntetyzatorach atomowych. W centralnym ogrodzie odmieniały się pory roku, dzieci, które urodziły się w pierwszych miesiącach podróży, już mówiły. W długich wieczornych rozmowach odślanialiśmy przed sobą osobiste dzieje i często poplątane, zawile biografie oglądane w skrócie czasowym jasno tłumaczyły, dlaczego życie każdego zawiodło go na pokład okrętu poza—układowego.

Teraz nikt już nie szukał samotności, przeciwnie, ludzie lgnęli do siebie, może czasem nadto pośpiesznie. Ameta mawiał: „Nic dobrego nie wynika, jeśli słabość łączy się ze słabością. Zero a zero jest zero”. Pokonywać dzień po dniu te nieskończenie dłużące się tygodnie i miesiące było niełatwo i jeśli sam, dzięki związaniu z grupą ludzi o niewyczerpanych rezerwach duchowych, ucierpiałem niewiele, to jednak jako lekarz spostrzegłem, jak innym próżnia rozsadza sens pracy i życia.

Bezsensowność stała się cierpieniem niemal powszechnym. Zużycie leków wzrosło kilkanaście razy w porównaniu z pierwszym rokiem podróży. Zdarzały się wypadki zakłócenia równowagi psychicznej; z błahych powodów dochodziło do utarczek między kolegami, przyjaciółmi nawet, o każdej porze doby można było napotkać wałęsających się bez celu korytarzami ludzi, którzy mijali obserwatora ze znieruchomiałym jak od zapatrzenia wzrokiem. Największą troską napawała nas kilkunastoosobowa grupa tych, których działalność zawodowa najsilniej wiązała z Ziemią. Utrata łączności z macierzystą planetą podważała podstawy ich bytu. Ongiś projektowano, że przyłączą się do innych, czynniejszych zespołów, lecz zdobyli się na to nie wszyscy. I oto prawo całkowitej dobrowolności pracy, z którego nie zdawaliśmy sobie sprawy, tak oczywiście wynikało z form naszego życia, obracało się teraz przeciw nam.

Nie te jednak objawy, które wyliczyłem, były najcięższe. Nie do zniesienia stała się atmosfera wypełniająca statek od szczytowych pokładów po najodleglejsze zakamarki. Było w niej coś gniotącego. Na naszych zmysłach kładł się jak gdyby niewidzialny ciężar. Sny, jeśli nadchodziły, niosły koszmary. Często z opowiadań pacjentów poznawałem ich treść. Powszechne były sny o tym, że poprzez zaporę atomową przedostają się do wnętrza statku trujące wyziewy albo że uczeni odkrywają, iż Gea nie porusza się wcale, lecz trwa nieruchomo, zawieszona w otchłaniach. Nie sposób było schronić się przed owymi zmorami w jawie, gdyż czekała w niej gorsza jeszcze, wielka cisza. Można się w nią było wsłuchać w każdym niemal zakątku okrętu; wciskała się między słowa rozmowy, rwała myśli, w ułamku sekundy roztrącała ludzi na bieguny ciemnego, nieskończonego milczenia. Podejmowaliśmy z nią walkę. Tak na przykład w laboratoriach i pracowniach umyślnie wyłączano pochłaniacze dźwięków. Wówczas łoskot machin doświadczalnych niósł się daleko po całym statku, ale w jego monotonii kryło się jakby szyderstwo z naszych usiłowań i tym wyraźniej odczuwaliśmy ułudność podobnych prób, że jednostajny zgiełk był niby cienką jak papier powierzchnią czarnej ciszy. Któż by jeszcze unikał galerii gwiazdowych? W tym roku przyszły one do nas; gwiazdy były wszędzie, gorejącymi punktami jawiły się we wzroku, gdy tylko opuszczało się powieki.

Pewnego dnia poczęła krążyć wśród nas, nie wiadomo przez kogo ułożona, petycja do rady

astrogatorów, domagająca się przyśpieszenia biegu Gei jeszcze o 7000 kilometrów na sekundę, gdyż, jak głosił jej tekst, „szybkość tę od krytycznej dzieli jeszcze 3000 kilometrów, rozpiętość na pewno dostateczna dla zabezpieczenia zdrowia załogi, a przyśpieszenie, o którym mowa, skróci poważnie czas podróży”.

Było dość dziwne, że autor tego projektu pozostaje anonimowy, w każdym razie sprawa poruszyła wszystkich, tym bardziej że nim ta petycja dotarła do astrogatorów, znalazło się na niej kilkadziesiąt podpisów. Tak tedy najbliższe zebranie astrogatorów zostało poświęcone kwestii przyśpieszenia biegu: zjawił się na nim także Goobar. Zdania na razie były podzielone, głównie dlatego, że wpływ szybkości przyprogowych na ustrój ludzki nie był dobrze znany. Ameta, Zorin i Ul Wefa twierdzili zgodnie, że chyżość 185 000 km/sek., z jaką prowadzili rakiety, nie zaszkodziła im wcale, lecz loty ich trwały nie dłużej niż kilka godzin. Wyłoniła się kwestia, czy dodatkowe przyśpieszenie nie będzie wywierało jakichś wpływów kumulujących się i dających o sobie znać dopiero po upływie dłuższego czasu. Na koniec głos zabrał Goobar:

— Jest specyficzne dla naszej obecnej sytuacji — powiedział — że roztrząsamy tak dokładnie problem przyśpieszenia, nie zastanawiając się wcale nad motywami, jakie skłoniły część załogi do wysunięcia tego projektu pod adresem specjalistów, którzy — zdawałoby się — są wyłącznie upoważnieni do decydowania o szybkości lotu. Z moich badań bieżących wynika niezupełnie jeszcze pewna teza, że szybkość przyprogowa atakuje uczuciowe sfery psychiki pierwej, nim naruszy jej sprawność intelektualną. Mimo to sądzę, że bieg Gei można przyśpieszyć, głównie dlatego, że załoga oczekuje od nas konkretnego działania, a nie da się stwierdzić, czy korzyści takiego kroku przeważą wynikłe szkody, czy nie. Będzie to doświadczenie nieco ryzykowne, ale dysponujemy środkami, które nawet w wypadku zachwiania równowagi psychicznej całej załogi proces ten odwróca; w razie potrzeby powrócimy do szybkości niższej.

Rada większością dwu głosów zdecydowała zwiększyć chyżość Gei. Z uwagi na duże ryzyko przyśpieszenie zostało rozłożone na pięćdziesiąt dni. Jakoż już nazajutrz dał się słyszeć ostrzegawczy świst sygnałów, który powtarzał się odtąd co wieczór.

Nie wiem dobrze, jak to się stało, dość że w tych właśnie dniach w czasie przechadzki zaszedłem raz na dolny poziom zerowej kondygnacji. Korytarz, zamknięty łukowym sklepieniem, schodzi się tu z drugim. W miejscu ich złączenia w bocznej ścianie otwiera się ogromny lej, zamknięty płytą pancerną. Jest to luka wyjściowa dla nadzwyczajnych przypadków (tędy właśnie wciągnięto do wnętrza Gei rakietę Piotra z Ganimeda). Okrągłą, wypukłą klapę przyciska do obrzeża system dochodzących skośnie dźwigni stalowych o tępych końcach. Mogą je wprawiać w ruch cztery automaty, strzegące z obu stron wyjścia; każdy obsługuje dwie przypory.

Przechodząc tędy owego wieczoru, mimo woli przystanąłem na zbiegu korytarzy, na wprost lejowatej czeluści; panowała tu bezwzględna cisza, nie dobiegał żaden szmer — hałasujące maszyny laboratoriów oddzielała od tego miejsca przestrzeń sześciu kondygnacji okrętowych. Nagle, kiedy tak stałem, błysnęła mi szalona myśl, że za tymi drzwiami jest wolność. Pchnięty nieodpartym dążeniem, wszedłem w chłodną głąb skąpo oświetloną jarzeniówkami, które doprowadziły mnie do klapy. Przez długą chwilę stałem nieruchomo, położyłem rękę na zimnym metalu, potem, ochłonawszy, rozejrzałem się, czy nikt nie widzi mego nierozumnego postępu, i cichaczem, jakby poczuwając się do winy, wróciłem na korytarz i pośpiesznie odszedłem.

W kilka dni później, wracając od Ter Haara, szedłem, jak mi się to czasem zdarza, zamyślony głęboko, nie zwracając uwagi na otoczenie, nagle przystanąłem i stwierdziłem nie bez zdziwienia, pomieszanego z podnieceniem, że znowu stoję w zejściu korytarzy. Ktoś stał w głębi leja; było to dwóch techników; na mój widok wyszli stamtąd, minęli mnie i rozeszli się w dwie strony, nie przemówiwszy ani słowa. Przez dłuższą chwilę rozważałem, czy mieli

tu zleconą jakąś pracę, czy też przyciągnęła ich ta sama nierozumna siła, co mnie. Chciałem opowiedzieć o tym Yrjöli, ale zaniechałem tego.

Wieczorem dyżurowałem w ambulatorium. Od uruchomienia silników ilość pacjentów rosła, co prawda nieznacznie, zawsze jednak miałem o jednego, dwóch albo i trzech więcej niż dawniej. Wiele skarg znałem już ze słyszenia tak dobrze, że mogłem je dokończyć, ledwo pacjent zaczynał mówić. Tak na przykład uskarżano się na przymus wpatrywania się w błyszczące przedmioty; takie zapatrzenia trwały nieraz i kwadrans i poważnie wyczerpywały psychicznie.

W nocy dręczył mnie koszmar. Śniłem, że stoję w zupełnych ciemnościach tuż przed klapą. Czuję ciągnący od niej nieruchomy, przejmujący mróz próżni. Z nieskończoną powolnością zaczęła ustępować pod rękami; obudziłem się z łomocącym sercem i nie usnąłem już do rana.

Przedpołudnie spędziłem w towarzystwie trzech pilotów, Yeryogi, Amety i Zorina; wędrowaliśmy po całym statku, rozmawiając i śmiejąc się nawet, a jednak gniotące wspomnienie snu nie ustępowało. Po obiedzie poszedłem do Rudelika. Od dłuższego czasu pracował nad jakimś problemem i nigdzie się nie pokazywał. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na biurku, jednym palcem stukał coś na automacie do liczenia. Należało odejść. Zostałem, prosząc go, by sobie nie przeszkadzał — chcę tylko trochę posiedzieć w milczeniu. Zgodził się chętnie, siadłem więc z boku i przez dobrą godzinę obserwowałem, w jak zabawny sposób uzewnętrznia się jego wysiłek umysłowy. Gryzł w zębach ebonitową pałeczkę kontaktową, marszczył się, krzywił, nagle rozpogadzał i patrzył przed siebie z takim osłupieniem, jakby tuż przed nim rozgrywały się niesłychane dziwy; potem mruczał coś niechętnie, zeskakiwał z biurka i chodził z kąta w kąt, strzelając palcami. Na koniec podszedł do aparatu, zanotował kilka wyrażań i zwrócił się w moją stronę, uśmiechnięty.

— Jakoś idzie, ale niech to licho porwie! — powiedział i dodał: — To Goobar podtoczył mi ten orzech.

— Co, pracujesz teraz z nim?

— Tak to wygląda. Potrzeba mu było pewnego nowego aparatu analitycznego, aparatu w znaczeniu rozumowania, a nie maszyny, i rozkopał takie bagno matematyczne, że tylko płakać. To jest problem, który można atakować z dwóch stron albo z dwudziestu naraz, jak wolisz, a nie wiadomo, która prowadzi do celu.

Tutaj Rudelik zapalił się i zaczął wyklądać. Wołałem nie przerywać mu, rozumiałem więc piąte przez dziesiąte. O ile pojąłem, prześladowało go przecucie, że pojawiająca się w równaniach nieskończoność może unicestwić cały ich sens fizyczny. Nieskończoność ta była zrazu pokorna i pozwalała przenosić się z miejsca na miejsce, więc spróbował zastawić na nią sidła: liczył na to, że kiedy wpadnie w pułapkę i pojawi się po obu stronach równania naraz, będzie ją mógł usunąć uproszczeniem. Tymczasem uproszczenie z posłusznego mechanizmu zmieniało się we wszystko zmiatającą lawinę i wynik żmudnego przedzierania się przez gąszcz matematyczny brzmiał: $0 = 0$, rezultat najoczywistej prawdziwy, ale mało dający powodów do radości.

— Czy byłeś z tym u Tembhary? — spytałem, kiedy zamilkł, rozwichrzywszy sobie włosy w burzliwej przemowie.

— Byłem.

— I co?

— Powiedział, że na Gei nie ma elektromózgu, który by podolał temu zagadnieniu. Problem jest bardzo specjalny, jak widzisz... Dałoby się wybudować odpowiedni mózg, ale nie tutaj. Musiałby być może tak wielki jak cała Gea.

— Jakiś gyromat?

— Coś w tym rodzaju. Ale taki gyromat pracowałby na chybił trafił, metodą prób i błędów, to znaczy jak ślepiec, i pokonałby zadanie w rozsądnym czasie tylko dlatego, że wykonuje

dwanaście milionów operacji na sekundę. Nie, to wszystko nonsens. Uważasz: na ślepo rozwiązywać! Zawsze mówiłem, że te mózgi elektryczne pełzają z błyskawiczną szybkością, a myśl ludzka skacze. Ci mechaneuryści nie mają w ogóle poczucia stylu roboty matematycznej; im wszystko jedno, jak automat rozwiązuje, byleby rozwiązał... Gdyby udało się znaleźć odpowiedni metasytem, do pioruna, czekaj!

Podsłoczył do aparatu i znowu zaczął na nim stukać z zawrotną szybkością. Potem zajrzał w ekran, chrząknął, przejechał palcami przez czuprynę i przytknął w wyłącznik.

Wrócił z takim rozczarowaniem na twarzy, że o nic nie pytałem. Siadł po swojemu, na poręczu fotela, i zaczął gwizdać.

— Do czego potrzebne jest rozwiązanie tego problemu? — spytałem.

— Ach, to jest związane z przemianą materii organizmu, który porusza się w szybkozmiennym polu grawitacyjnym.

— Czy konsultujesz się z Goobarem?

— Nie — powiedział tak energicznie, jakby chciał przeciąć tym dalszą dyskusję. Po chwili dodał:

— Nawet unikam go. Wiesz, czuję się trochę jak mrówka biegająca po powierzchni olbrzymiego przedmiotu i pragnąca w tych wędrówkach poznać wygląd całości. Nie potrafię objąć świadomością naraz więcej niż drobną cząstkę. Goobar? Cóż, może by i potrafił ogarnąć całość, ale pierwszej musiałby zaatakować problem od tej samej strony co ja i przejść całą drogę, którą już przebyłem. Nie mógłby więc mi pomóc, mógłby tylko rozwiązać zagadnienie za mnie, ale niedaleko byśmy zaszli, gdybyśmy zaczęli oddawać Goobarowi każdy problem tylko dlatego, że on rozwiązałby go szybciej! Zresztą on jest zavalony robotą.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, wszedł w to samo „bagnó matematyczne”, tylko z innej strony?

— Tak.

Rudelik westchnął.

— Kiedy zetknąłem się z nim po raz pierwszy, w piątej minucie pojąłem, że on nie jest partnerem, drugą szalą rozmowy, trzymającą wagę z moją, ale że nakrywa mnie jak kloz muchę, mieści w sobie wszystkie moje argumenty, twierdzenia, hipotezy i że próba wymknięcia się poza pojemność jego umysłu jest równie daremna, jak chęć piechura wydostania się spod zamykającej go kopuły niebios.

— I ty to mówisz, taki matematyk? — powiedziałem zdziwiony.

— A jeśli nawet jestem świetnym matematykiem, to on jest matematykiem genialnym, a od jednego do drugiego, ho, ho, jak daleko! No, a jednak nie dałby sobie rady sam, bo nawet geniusz może myśleć tylko o jednej rzeczy naraz, musiałby więc żyć z półtora tysiąca lat... Tak, bez nas nie zrobiłby nic, to mogę spokojnie powiedzieć.

Nie oparłem się chęci spytania go o rzecz, która od dawna mnie ciekawiła.

— Powiedz mi, tylko się nie śmieję, w jaki sposób przedstawiają ci się równania, które przekształcasz w myśli? Czy widzisz je jakoś?

— Jak to czy widzę?

— No, czy widzisz je jakoś w wyobraźni, jako takie małe, czarne żyjątka?

Wytrzeszczył oczy.

— Co za żyjątka?

— No, bo napisany wzór matematyczny, ostatecznie... przypomina trochę szereg czarnych mrówek czy robaczków — powiedziałem niepewnie. — Myślałem, że te znaki tak ci się przekształcają, przemieniają w gło...

Wybuchnął śmiechem.

— Małe, czarne żyjątka! Pyszne! Nigdy bym na to nie wpadł!

— Więc jakże to jest? — nastawałem. Zastanowił się.

— Jeżeli wspomnisz pojęcie, takie jak na przykład „stół”, to czy wyobrażasz sobie cztery

litery?

— Nie, wyobrażam sobie stół...

— No właśnie. Ja tak samo wyobrażam sobie moje równania.

— Ale stoły istnieją przecież, podczas gdy twoich równań nie ma — próbowałem oponować i urwałem, tak na mnie spojrział.

— Nie ma ich?... — rzekł tonem, jakim się mówi: „opamiętaj się”.

— No więc jeżeli nie widzisz ich jako wypisanych literami wzorów, to jako co? — upierałem się.

— Spróbujmy inaczej — rzekł. — Czy wiesz, gdzie masz ręce i nogi, kiedy siedzisz w ciemności?

— Pewno, że wiem.

— Czy aby to wiedzieć, musisz sobie wyobrażać ich położenie, uzmysłowić ich kształty?

— Wcale nie, po prostu czuję je.

— Widzisz, tak samo ja „czuję” równania — rzekł zadowolony. Pożegnałem go z mocnym przeświadczeniem, że do krainy matematyki, w której żyje, na pewno nie uda mi się dostać. Ale zarazem, kiedy usiadłem na ławce przed wejściem do ogrodu, uświadomiłem sobie, że na cały czas wizyty zapomniałem o trapiących mnie lękach tak dobrze, jakby wcale nie istniały. Rudelik pomógł mi — Ameta i Zorin nie potrafili tego dokonać. Dlaczego?

Wyczuwałem niejasno, że spokój pilotów jest właściwie tylko poskromieniem tych samych niepokojów, które i mnie dręczą. Rudelik natomiast, pochłonięty pracą, w ogóle o nich nie wiedział. Jakże mu zazdrościłem jego kłopotów matematycznych! Kiedy tak rozmyślałem, w głębi pokładu pojawił się jakiś człowiek, minął mnie i znikł za zakrętem. Odgłos jego kroków ucichł i w pustej przestrzeni rozlegał się tylko biegnący z ogrodu chóralny śpiew dzieci. Chciałem wrócić myślami do Rudelika, ale coś mi w tym przeszkadzało. Tknięty niejasnym uczuciem, że dzieje się jakaś rzecz dziwna, wstałem. W tym momencie wspomniałem, że za zakrętem korytarz kończy się u zapory oddzielającej mieszkalną część okrętu od grodzi atomowych. Czego mógł szukać w tym ślepych zaułku człowiek, który mnie minął? Nasłuchiwałem przez chwilę — panowała cisza. Poszedłem w stronę zakrętu. Tam, w półmroku, przy pancерnej ścianie stał ktoś przyciskając czoło do metalu. Poznałem go, kiedy dzieliły nas dwa kroki; to był Diokles. W ciszy rozbrzmiewał wyraźnie daleki śpiew:

Kukułeczka kuka,
Kukułeczka kuka,
Za wodą...
Za wodą...

— Co tu robisz?

Ani drgnął. Położyłem mu rękę na barku. Był jak z drewna. W raptownym przypiływie trwogi chwyciłem go za ramiona, spróbowałem odciągnąć od ściany. Opierał się. Nagle ujrzałem jego twarz bez wyrazu, tak spokojną, jakby nie brała udziału w tym szamotaniu. Ręce same mi opadły. W pustym załomie muru oddzwaniały głosy dziecięce:

Ptaki wiją gniazda,
Ptaki wiją gniazda,
A ja nie...
A ja nie...

— Diokles! Milczenie.

— Na miłość ludzką, Diokles! Odezwij się! Co ci jest? Może ci czego trzeba?

— Odejdź.

W nagłym błysku zrozumienia uprzytomniłem sobie, ten uchylek korytarza jest najgłębiej w rufę wchodzącym miejscem statku zwróconym ku Gwieździe Polarnej, to znaczy bliższym niż jakiegokolwiek inne Ziemi. Bliższym o kilka dziesiątków metrów — wobec lat świetlnych, które nas od niej dzieliły. Roześmiałybym się, gdyby nie to, że chciało mi się płakać.

— Diokles! — spróbowałem raz jeszcze.

— Nie!

Jak zabrzmiało to zestawienie dwu okrzyków! Wyraźniej niż najdłuższe wyjaśnienie mówiło, że jego „nie” jest czymś innym niż prostą odmową przyjęcia pomocy, że odnosi się nie tylko do mnie, ale do każdego człowieka, do całego statku, że to jest „nie” wyrzucone przeciw wszystkiemu, co istnieje; ośwładnęło mną uczucie z nocnego koszmaru; czując, że się zapadam w jakąś bezdeń, zawróciłem i odszedłem długim korytarzem coraz spieszniej, prawie biegnąc, jakby goniony przez śpiew:

A kiedy wiosną
Polecę do nieba
Wysoko...
Wysoko...

O tym zdarzeniu nie śmiałem nikomu powiedzieć. Po południu pojechałem — już umyślnie — na poziom zerowej kondygnacji. Podejrzenie moje sprawdziło się. Zostałem tam pięć czy sześć osób, które stojąc u zbiegu korytarza patrzyły w głąb leja, jakby zahipnotyzowane matowym blaskiem pancерnej tarczy. Na odgłos moich kroków (umyślnie zacząłem stąpać mocniej) grupa drgnęła i wszyscy stojący rozeszli się leniwie w różne strony. To mi się wydało bardzo dziwne; pojechałem do Ter Haara i opowiedziałem mu całą historię. Zastanawiał się długo; zrazu nic nie chciał mówić, wreszcie, gdy napierałem, przypuszczając nie bez słuszności, że ma w tej sprawie coś do powiedzenia, rzekł:

— Trudno to określić; na takie zjawiska nie mamy słów. W starożytności nazwano by tę grupę ludzi „tuszczą”.

— Tuszczą — powtórzyłem. — Czy to ma coś wspólnego z tak zwanym wojskiem?

— Ach nie, nic, wojsko to raczej przeciwieństwo tego pojęcia, była to bowiem forma pewnej organizacji, podczas gdy tłuszczą to niezorganizowane skupisko większej ilości.

— Przepraszam, ale ich tam było kilku zaledwie...

— To nic, to nie ma znaczenia. Dawniej, doktorze, ludzie nie byli tak racjonalnymi istotami jak dziś. Gdy działały na nich gwałtowne bodźce, przestawali się kierować rozumem. Bodziec mógł działać zresztą nie w sposób nagły, za to przez długi czas. Nasi współcześni posiadają tak wysokie poczucie odpowiedzialności za własne postęпки, że nigdy nie podporządkują się niczyjej woli bez wewnętrznej zgody wynikającej z przemyślenia sytuacji. Natomiast dawniej, w niezwykłych, groźnych dla życia okolicznościach, na przykład podczas katastrofy żywiołowej, tłuszczą, ogarnięta paniką, zdolna była, muszę ci powiedzieć, nawet do zbrodni...

— Co to jest zbrodnia? — spytałem, a wtedy Ter Haar potarł czoło, uśmiechnął się z przymusem i rzekł:

— Ach, w gruncie rzeczy wszystko to na pewno moje niemądre hipotezy... i chyba się myliłem. Zbyt mało mamy faktów, by stwarzać teorie, zresztą wiesz, że jestem „opętany historią” i usiłuję wszystko mierzyć jej kategoriami.

Nasza rozmowa na tym się urwała; wróciwszy do siebie, chciałem rozważyć to, co mi powiedział Ter Haar, a nawet, połączywszy się z trionownią, zamierzyłem przejrzeć jakieś dzieło historyczne traktujące o tłuszczu, lecz nie umiałem wyjaśnić automatom, o co mi szło, i rzecz spaliła na panewce.

Minął jeden dzień i drugi bez poważniejszych wydarzeń. Uznaliśmy, że kryzys

spowodowany przyśpieszaniem minął; nadchodzące wypadki miały wykazać, jak ciężkośmy się mylili.

W południe następnego dnia zjawił się u mnie Nils; wpadł do pokoju jak bomba, wołając od drzwi:

— Doktorze! Niesłychana rzecz! Chodź, chodź ze mną!

— Co się stało?

Skoczyłem do biurka, na którym miałem zawsze przygotowaną walizeczkę z instrumentami i lekami.

— Ach nie, nie to — powiedział chłopiec już nieco spokojniej. — Nie to, w ogrodzie ktoś wyłączył wideo, powiadam ci, okropny widok! Masa ludzi już tam jest, chodź!

Poszedłem, a raczej pobiegłem za nim, bo zaraził mnie swym podnieceniem.

Zjechaliśmy windą na dół; gdy rozchyliła się kotara bluszczu, stanąłem jak wryty.

Tuż przede mną ogród wyglądał jak dawniej: za kwiatowymi klombami wznosił swój czarny czub świerk kanadyjski, dalej widniały głązy potoczka i gliniasty pagórek z altanką — ale to było wszystko; wokół tych kilkudziesięciu metrów kamienia, roślinności i ziemi stał nagi, metalowy mur, nie przysłonięty już mirażem nieskończonych dali. Trudno opisać, jaki to był wstrząsający widok: nieruchome, jakby nieżywe drzewa w szarawym, mętym blasku lamp bezpieczeństwa, otaczające je żelazne ściany i płaski strop. Ani śladu nie było błękitu, powietrze stało nagrzane jak martwe, gałęzmi nie poruszał najłżejszy powiew.

Pośrodku zgromadziło się kilkadziesiąt osób, jak ja zapatrzonych w tę przeraźliwą w swej wymowie ruinę mirażu. Rozrywając kotarę bluszczu wpadł Yrjöla, gniewny, z zaciętymi ustami, za nim ujrzałem kilku wideoplastyków; wybiegli na górę. Po chwili zapadła zupełna ciemność: to wideoplastycy wyłączyli zapasowe światło, żeby ponownie uruchomić aparaturę. I wtedy stało się najgorsze. W mroku rozległ się krzyk:

— Precz z tym oszustwem! Niech lepiej tak będzie! Patrzejmy na żelazne mury, dosyć już tego wiecznego okłamywania!

Nastąpiła chwila głuchej ciszy — i nagle zapłonęło słońce, nad głowami zabłysnął pełen białych obłoków błękit, twarze poruszył pachnący, chłodny powiew, a mały skrawek ziemi, na którym staliśmy, rozbiegł się we wszystkie strony i zajaśniał zielenią aż po odległe horyzonty. Ludzie patrzyli na siebie badawczo, jakby szukając tego, kto wołał w mroku, lecz nikt nie ważył się odezwać. Choć niebo i blaski ogrodu były wskrzeszone, jeden po drugim opuściliśmy go w milczeniu.

Teraz było już zupełnie pewne, że coś musi się stać, lecz nie można było nic począć, gdyż niebezpieczeństwo nie zmaterializowało się jeszcze, ale wisiało w powietrzu, i nie wiadomo było, przed czym się bronić. Padła propozycja wyłączenia silników (z planowanych 7000 kilometrów na sekundę osiągnęliśmy na razie 2800), lecz astrogatorzy po naradzie uznali, że byłoby to cofnięcie się przed nieznanym.

— Niechże się to najgorsze ujawni — rzekł Ter Akonian, jakby nawiązując do pamiętnych słów Trehuba sprzed dwu lat — niech się stanie, wtedy będziemy walczyć, a tak żylibyśmy w ciągłej niepewności. Najgorsza nawet wiedza lepsza jest zawsze od niewiedzy.

Minęło pięć dni wytężonego, tajonego wyczekiwania, nic się jednak nie działo; silniki nadal rozpędzały okręt, ilość nie pracujących zmniejszyła się o dwóch, wszystkie zespoły działały normalnie, odbył się koncert w filharmonii i zacząłem sobie mówić, że zarówno lekarze, jak i astrogatorzy, podlegając, jak wszyscy, szkodliwym wpływom podróży, rozdmuchują drobiazgi i zwodzą się urojonym niebezpieczeństwem.

Szóstego dnia od wypadku w ogrodzie mieliśmy w szpitalu ciężki poród. Dziecko przyszło na świat w zamartwicy, jego życie wisiało na włosku i przez dwie godziny nie odstępowałem od łóżeczka, przy którym pracował pulsator, dostarczający tlenu do oddychania. Zajęcie to tak mnie pochłonęło, że na dobre zapomniałem o ostatnich wypadkach. Dopiero gdy bardzo znużony myłem ręce w zaulku sali pośród porcelanowych i szklanych płyt, ujrzałem w lustrze

własną twarz, w której oczy świeciły jak w gorączce, i w tym momencie poczułem niepojętą trwogę. Poprosiłem Annę, żeby została przy matce, i zrzuciwszy poplamiony krwią płaszcz szpitalny, tak jak stałem, wybiegłem z sali. Winda zniosła mnie na zerową kondygnację. Kiedy ujrzałem pustą amfiladę korytarza, oświetloną lampami, odetchnąłem głęboko.

Głupcze — mówiłem sobie — głupcze, jakim to majakom pozwalasz się prześladować? — A jednak szedłem dalej. Przed samym zakretem usłyszałem głosy; ich dźwięk podciął mnie jak biczem. W czterech susach wypadłem na rozszerzającą się tu, półokrągłą przestrzeń.

U wylotu leja stała zwarta gromadka ludzi. Zbici razem, odwrócenie do mnie plecami, napierali na kogoś, kto zagradzał im drogę. Panowało zupełne milczenie, słychać było tylko szybkie oddechy jak w zmaganiu. W jednym z najbliższych poznałem Dioklesa.

— Co to jest?! — spytałem przez ściśnięte gardło.

Nikt mi nie odpowiedział. Pochwyciłem jakieś spojrzenie z tłumu — oczu zupełnie białych — i rozległ się stłumiony, ale dygocący wewnątrz głos:

— Chcemy wyjść!

— Tam jest próżnia! — krzyknął człowiek stawiający czoło gromadzie. Poznałem go, to był Yrjöla.

— Puść nas! — zawołało kilka głosów naraz.

— Szaleńcy! — krzyknął Yrjöla. — Tam jest śmierć! Słyszycie? Śmierć!

— Tam jest wolność! — odpowiedział jak echo ktoś z gromady, a Diokles — na pewno on — krzyknął:

— Nie masz prawa nas wstrzymywać!

Yrjöla, popchnięty, cofnął się w głąb leja. Czarny na tle jego oświetlonej głębi, wołał, a głos jego łomotał, zniekształcony odzewem zamkniętej przestrzeni:

— Opamiętajcie się! Co chcecie robić!

Odpowiedzią były zdyszane oddechy. Yrjöla rozkrzyżował ręce, daremnie chcąc zagrozić drogę. Tłum parł naprzód. Inżynier dotykał już plecami pancernej tarczy świecącej spokojnym, metalicznym blaskiem.

— Stójcie!! — rozpaczliwie krzyknął Yrjöla. Kilka rąk podniosło się ku wnętrzu, w której widniał oświetlony mechanizm zamkowy. Wtedy Yrjöla targnął się, odepchnął napierających, skulił się i wyrwawszy zza pasa mały, czarny aparat, krzyknął przeraźliwie:

— Blokuję automaty!!

KOMUNIŚCI

Któż z nas dostrzega automaty? Któż zdaje sobie sprawę z ich istnienia, wszechobecnego i niezbędnego jak powietrze dla płuc i oparcia pod stopami? Ongiś, w starożytności, ludzie niepokoiли się myślą, że automaty mogłyby powstać przeciw człowiekowi; któż poczyta dziś takie zdanie za coś innego niż obłąkańczy koszmar? Czy moglibyśmy stworzyć automaty niszczące? Oczywiście, ale tak samo moglibyśmy burzyć własne miasta, wywoływać trzęsienia ziemi i zaszczepiać sobie choroby. Każde dzieło człowieka może zostać obrócone na jego zagładę, dowodem choćby środki zabójstwa, jakie wytwarzały barbarzyńskie cywilizacje. Nie żyjemy jednak po to, by niszczyć, lecz by wspierać i rozwijać życie, i temu jednemu celowi służą nasze automaty.

W czasie projektowania pierwszej wyprawy gwiazdowej stanął przed uczonymi niezmiernie trudny problem. Było możliwe, że olbrzymia szybkość okrętu podkopie normalne działanie umysłów, że jednostki słabsze, niezdolne oprzeć się temu szkodliwemu wpływowi, popadną w stan zamroczeniowy i gotowe wówczas wydawać automatom niewłaściwe, a nawet zgubne polecenia. Możliwość taką należało wykluczyć. W tym celu stworzono specjalny układ odbiorników, który mógł zablokować wszystkie automaty Gei. Układem tym zawiadywali kierownicy wyprawy, w pełni świadomi ogromnej odpowiedzialności, jaką na nich nałożono. Środka tego wolno im było chwycić się tylko w skrajnej ostateczności, jeżeli w żaden inny sposób nie da się opanować sytuacji. Zablokowanie automatów stanowiłoby groźny precedens, albowiem nigdy jeszcze w tysiącletniej historii naszej cywilizacji nie odmówiły one człowiekowi posłuszeństwa. Dlatego tłum pod zaporą zamarł, słysząc straszne słowa Yrjöli, i przez kilkadziesiąt sekund trwał w żółtym świetle jak skamieniały. Nagle przerwał ciszę gwizd gwałtownie zahamowanej windy. Niskim półobrotem głowy zwróciły się w tę stronę. W rozchylonych drzwiach windy, która spadła właśnie na pokład korytarza, stał Ter Haar.

Schylony, ruszył prosto na znieruchomiałą gromadę, jakby wkraczał w pustą przestrzeń. Ci, których uderzał wzrokiem, usuwali mu się z drogi i zamykali powstającą za jego plecami uliczkę. Tak przeszedł przez nich i w głębi leja wstąpił na próg zapory. Z wysoka, górując nad głowami ciężką sylwetą, zaczął mówić, zrazu prawie szeptem, i stało się tak cicho, jakby wszyscy naraz przestali oddychać. Wszystkie oczy zwróciły się ku jego ciemnej postaci, opylonej od tyłu żółtym światłem. Głos jego narastał powoli i dudnił w zamkniętej przestrzeni.

— Wy, którzy chcecie zginąć, ofiarujcie mi dziesięć minut waszego życia. Potem odejdę, ja i on, i zrobicie, co chcecie zrobić. Nikt nie ośmieli się wam przeszkodzić. Daję na to słowo.

Pomilczał przez kilka uderzeń serca.

— Tysiąc dwieście lat temu żył w mieście Berlinie człowiek o nazwisku Martin. Był to czas, kiedy państwo jego głosiło, że słabsze narody winny zostać wymordowane lub skazane na niewolnictwo, a własnym poddanym nakazywało myśleć nie mózgiem, ale krwią. Martin był robotnikiem w hucie szkła. Jeden z wielu, robił to, co dziś robią maszyny: żywymi płucami tłoczył powietrze w rozżarzone szkło. Był jednak człowiekiem, a nie maszyną, miał rodziców, brata, dziewczynę, którą kochał, i pojmował, że jest odpowiedzialny za wszystkich ludzi na Ziemi; za losy zabijanych i zabijających tak samo jak za najbliższych. Tacy ludzie nazywali się wtedy komunistami. Martin był jednym z nich. Państwo tropiło i zabijało komunistów, musieli się więc ukrywać. Tajnej straży, zwanej „gestapo”, udało się go pochwytać. Martin, jako członek biura organizacyjnego partii, znał nazwiska i adresy wielu towarzyszy. Żądano, by je wydał. Milczał. Poddano go mękom. Wiele razy oblewał się krwią, wtedy cucono go. Milczał dalej. Z połamanymi żebrami i trzewiami popękany od ciosów pałki został umieszczony w szpitalu. Leczone go, aż wrócił do sił, i znowu bito go, lecz

milczał dalej. Przesłuchiwano go w nocy i w dzień, budzono mocnym światłem, stawiano podstępne pytania. Na próżno. Wtedy wypuszczono go na wolność, żeby po jego śladzie dotrzeć do innych komunistów. Rozumiał to i pozostawał w domu, a kiedy nie miał już co jeść, chciał wrócić do huty, lecz nie było tam dla niego pracy. Szukał jej gdzie indziej, ale nigdzie go nie przyjmowano. Wtedy zaczął przymierać głodem. Wałęsał się wycieńczony po mieście, lecz nie próbował pójść do któregoś z towarzyszy, bo wiedział, że jest śledzony.

Uwięziono go po raz drugi i zastosowano nową metodę. Martin otrzymał osobny, czysty pokój, dobre wyżywienie i opiekę lekarską. Wyjeżdżając na aresztowania, gestapowcy brali go ze sobą; wyglądało to, jakby był ich przewodnikiem. Musiał też być obecny przy mękach uwięzionych towarzyszy, a czasem stać przed kamerą i skatowanych prowadzono obok niego. Mówiono im, żeby się przyznali, bo za drzwiami stoi ich towarzysz, który już wszystko powiedział. Gdy wołał do prowadzonych, że jest w takim samym położeniu jak oni, gestapowcy udawali, że stanowi to część umyślnie odgrywanej komedii. W tym okresie partia komunistyczna była dziesiątkowana, praca nieustannie się rwała i każdego podejrzanego o zdradę trzeba było unikać. Ulotki komunistów zaczęły przestrzegać przed Martinem. Gestapowcy pokazywali mu je. Potem, o nic go nie pytając, wypuścili go na wolność. Martin po kilku miesiącach spróbował ostrożnie nawiązać łączność z towarzyszami, lecz nikt nie chciał się do niego zbliżyć. Wtedy poszedł do brata, ale ten nie wpuścił go do mieszkania. Rozmowa toczyła się przez zamknięte drzwi. Rodzice także nie chcieli go znać. Matka dała mu bochenek chleba, ale to było wszystko. Znowu usiłował znaleźć pracę — bezskutecznie. Został uwięziony po raz trzeci i wysoki dostojnik gestapo rzekł do niego tak: „Człowieku, twoje milczenie nie ma już żadnego sensu. Towarzysze od dawna mają cię za łotra i zdrajcę. Żaden z nich nie chce nic o tobie wiedzieć. Przy pierwszej okazji zatłuką cię jak wściekłego psa. Zlituj się nad sobą i mów!”

Martin jednak milczał. Wtedy znowu go wypuszczono i błądził po mieście głodny. Jakiś nieznany człowiek, którego spotkał wieczorem, zaprowadził go do swego mieszkania, dał mu jeść, napił go alkoholem, a potem łagodnie tłumaczył mu, że teraz już jest wszystko jedno, czy będzie mówił czy nie, i jeśli nie przemówi, zostanie zabity, ale ta śmierć także nic mu nie pomoże, bo zginie z mianem zdrajcy, ale Martin milczał. Ten człowiek odprowadził go do więzienia. Pewnej nocy grudniowej, w dwa lata od chwili pierwszego aresztowania, wyprowadzono go z celi i w kamiennej piwnicy dostał kulę w tył czaszki. Przed śmiercią, słysząc kroki tych, co szli go zabić, wstał i na ścianie swojej kamery wyrzył słowa: „Towarzysze, ja...” Więcej nie zdążył napisać, tylko te dwa słowa pozostawił, przerwawszy swoje dwuletnie milczenie, i ciało jego zgniło w jednym z olbrzymich dołów wapiennych.

Zostały tylko dokumenty i kroniki gestapo, strącone w głąb podziemi więzienia w jednej z późniejszych wojen, i z tego wykopaliska z epoki późnego imperializmu my, historycy, wydobyliśmy szczątki i odczytaliśmy z nich dzieje komunisty niemieckiego Martina.

A teraz pomyślcie. Ten człowiek milczał, torturowany i męczony. Milczał, kiedy odwrócili się od niego ludzie bliscy, rodzice, brat i towarzysze. Milczał, kiedy już nikt prócz gestapowców nie przemawiał do niego łagodnie. Zerwane zostały wszystkie więzy, jakie mogą łączyć człowieka ze światem, lecz on wciąż milczał — i oto jest cena tego milczenia!

Ter Haar podniósł ręce.

— Oto jest cena tego milczenia: oto straszliwy dług, jaki my, żyjący, zaciągnęliśmy u najdalszej przeszłości wobec tysięcy tych, co ginęli jak Martin, ale nawet ich nazwiska pozostaną nam nie znane. Oto jedyna racja, dla której umierał, wiedząc, że żaden lepszy świat nie wynagrodzi go za męki i jego życie na zawsze skończy się w dole wapiennym, że nie przyjdzie żadne zmartwychwstanie ani odpłata. Lecz jego śmierć w tym milczeniu, które sam sobie nałożył, może o minuty, a może o dni czy tygodnie — to wszystko jedno! — przyspieszyła nadejście komunizmu. A otóż i jesteśmy na drodze do gwiazd, bo on po to umierał, a otóż i komunizm... ale gdzie są komuniści?!!!

Po tym okrzyku gniewu i bólu nastąpiła krótka, straszna cisza. Potem historyk odezwał się:

— To wszystko, co wam chciałem powiedzieć. Teraz odejdziemy, inżynierze, a oni otworzą klapę i wyszani ciśnieniem powietrza, wypadną w próżnię pękając jak krwawe bąble i po wieczność będą krążyć szczątki ciał tych, co stchórzyli przed życiem!

Zstąpił w dół i wyszedł z kręgu opasujących go ludzi; kroki jego dudniły przez chwile, potem świsnęła winda. A ludzie stali nieruchomo, ktoś przeciągnął ręką po twarzy, jakby ściągając z niej jakąś ciężką, zimną przesłonę, ktoś odkaszlnął, ktoś jęknął — czy załkał — aż naraz wszyscy drgnęli i... ruszyli w cztery strony, z opuszczonymi głowami, niosąc ciężkie, bezwładnie zwisłe ręce, które wahały się im w chodzie jak martwe, aż zostaliśmy sami, we trzech: Yrjöla na skraju zapory, wciąż z aparatem blokującym w rękę, Zorin, oparty o ścianę, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, i ja; i staliśmy tak długo. Chciałem już ruszyć z miejsca, gdy nad naszymi głowami rozległ się przeciągły, głuchy świst; była już noc, grały sygnały ostrzegawcze, Gea zwiększała szybkość.

GOOBAR, JEDEN NAS

Ogień wydał planety. Z ognia, z wystygłej materii gwiazdowej powstało życie. Jego wiotka, galaretowata substancja w miliardach ślepych prób stworzyła pancerze wapienne i krew, skrzela i serca, oczy, szczęki i trzewia. Tak rozpoczęło się pożeranie i rozmnażanie, powolny wzrost i gwałtowny upadek. Walcząc o przetrwanie, jedne stworzenia uchodziły z morza na ląd, inne powracały do oceanu, płetwy przemieniały się w łapy, łapy w skrzydła, a te znowu w płetwy. Życie rwało się, zamierało wśród epok górotwórczych, zastygało milionami kadłubów w kamieniejącej lawie i podnosiło jak wracający temat muzyczny, wciąż inny, a jednak taki sam; pełna bólu, gwałtowna melodia, zapadająca w milczenie, śmierć i znowu odzywająca się w głębi wód, na szczytach górskich, w śniegach i piaskach pustyni.

Z tej milionokształtnej nawałnicy zgonów i narodzin, z nieustającej walki, z mroku i żarłoczności wyszedł człowiek, nazwał planetę, jej niebo bezimienne i wszystko, co ujrzał, aż do gwiazd. Tak rozpoczęło się budowanie cywilizacji. Niebo — to były kiedyś pokorne światła planet, ślizgające się z niebiańską muzyką po kryształowych sferach; na nieruchomym sklepieniu drżało mrowie gwiazd, obłaskawionych tłumaczeniem, że są tylko ornamentem na murach, za którymi rozpoczynają się obszary wiecznej szczęśliwości. Człowiek próżno jednak wsłuchiwał się w noc, pragnąc usłyszeć wszystko odkupującą muzykę niebios; zwątpił i powstał przeciw niebu, zburzył sklepienia rajy, przekroczył skłamate granice i wstąpił w czarną pustkę, a chociaż prócz gorejących mgławic, dążących z jednej nieskończoności w drugą, niczego nie napotykał na swej drodze, szedł dalej, poszukując nie muzyki sfer, lecz odpowiedzi na pytania: gdzie się narodził, czym jest i co ma czynić, żeby jego życie stało się niezbędne dla świata.

My, pierwsi ludzie lecący do gwiazd, uginaliśmy się nie tylko pod samotnością próżni. Dręczyła nas nie wypowiedana nigdy, głęboko skryta myśl, że nasze trudy pójdą na marne. Każdy pojmował, że nawet podróżując z szybkością światła, człowiek będzie mógł dotrzeć ledwo do kilku najbliższych słońc. Osiągnięcie dalekich systemów planetarnych, podróże transgalaktyczne, przemierzenie całego obszaru Drogi Mlecznej zdawało się utopijną mrzonką. Czarne przepaści, które nawet światło przebywa w milionoleciach, zamykały drogę do gwiazd.

Dlatego przyjęliśmy między siebie ludzi spod zapory nie jako zdrajców, lecz jako uratowanych od zguby towarzyszy, których okrutniej niż innych doświadczyło zmaganie ze słabością tlejącą w każdym z nas.

Kiedy przyszli do pierwszego astrogatora żądając, by ich osądził, Ter Akonian nie chciał sam decydować i wezwał innych astrogatorów, ale i oni oświadczyli, że tego nie uczynią. W załodze naszej żaden człowiek nie ma władzy nad innym. Stanowimy zespół ludzi, którzy jako wysłannicy Ziemi dobrowolnie podjęli się wyprawy do Centaura. Ter Akonian powiedział im, że nadal są takimi samymi członkami załogi jak przedtem, a co się tyczy kary, to już ją ponieśli i dalej będą ją nieść we własnej pamięci.

W grupie tej było sporo moich pacjentów. Chwilowemu załamaniu ulegli ci, których system nerwowy słabszy był od innych; wina ich nie była więc taka wielka. Gdy powiedziałem to Ter Haarowi, odparł, że przecież skłonił ich do opamiętania słowami, a nie lekarstwem.

Całe to wydarzenie rozniosło się po statku lotem błyskawicy. Na kolejnej naradzie astrogatorzy zaproponowali historykom, aby wprowadzili załogę w swoje prace nad przełomowymi etapami historii, kiedy ważyła się przyszłość świata i jedno pokolenie musiało podejmować decyzje za dziesiątki następnych, a choć uginało się pod olbrzymim brzemieniem, przecież umiało je udźwignąć.

Przemieszały się grupy laboratoryjne, kręgi przyjacielskie i zespoły artystyczne.

Wieczorami gromadziliśmy się w pracowni historyków i ci wykładali nam dawne dzieje — jeśli można nazwać wykładami opowieści podobne do tych, jaką Ter Haar wstrząsnął naszymi sercami. Był to ogromny, nie kończący się pochód ludzi, co wstawali przeciw porządkowi swych czasów w imię przeszłości człowieka.

Powstawały przed nami oczy widzące, ich żywy, ufny blask, dłonie w ruchu, nieskończone lasy gestów, pragnące usta, szepty i oddechy zakochanych, ostatnie, zachłanne spojrzenia skazańców, bezsenne zamyślenia uczonych, czyny najwyższej odwagi i drgnienia rzęs, które — wszystkie razem — składały się na bieg świata. Tak zdobywaliśmy wiedzę niepodobną do suchych uogólnień wyniesionych ze szkoły, jak niepodobna jest znajomość biologicznego przeznaczenia płci do miłości. Tak zamknięty w przeszłości chór zamilkłych głosów objawiał nam sens swojego i naszego człowieczeństwa.

Kilka tygodni po opisanych wypadkach, kiedy okręt osiągnął już podwyższoną szybkość, a wieczorne sygnały zamilkły na całe lata, rozeszła się po statku wieść, że Goobar, który od dawna pracuje nad problemem podróży gwiazdowych, jest na tropie jakiegoś rewolucyjnego odkrycia. Nie wiadomo, kto był jej autorem; krążyła w najrozmaitszych, ale zawsze mglistych wersjach, głównie wśród niespecjalistów. Być może zrodziło ją to, że laboratoria biofizyczne w ciągu ostatnich miesięcy przyciągnęły do współpracy najlepszych fizyków, matematyków i chemików Gei. Jednakże koledzy Goobara zaprzeczali pogłoskom o jakimś odkryciu i trudno było im nie wierzyć, nie mieli bowiem żadnych powodów do ukrywania prawdy, a przecież wieść, mimo wielokrotnych sprostowań, powracała pod coraz to nową postacią, stanowiąc temat zapamiętałych dyskusji.

Sam Goobar zachowywał w tej sprawie milczenie; trudno było powiedzieć, czy uparta plotka nie dotarła do niego, czy też lekceważy ją, pochłonięty pracą. W ostatnim dniu kalendarzowej wiosny wybrałem się późnym wieczorem na koncert. Gdy wszedłem na salę, wielkie światła zgasły. Siadłem szybko na wolnym miejscu, w ostatnim rzędzie foteli. Obok mnie siedzieli Ruys i Goobar. Uczony jakby się postarzał od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni. Miał bladą, osuniętą twarz człowieka przebywającego stale w zamkniętej przestrzeni i gęstą sieć żyłek na drgających niekiedy powiekach, bo słuchał muzyki z zamkniętymi oczami. Grano Drugą symfonię Kreskaty. W pewnej chwili zerknąłem w bok i osłupiałem: Goobar, pochylony w tył, spał z głową na oparciu fotela. Obudziło go dopiero gwałtowne finale. U wyjścia zrobiło się tłoczno, nie ruszałem się więc z miejsca, tak zamyślony — czy raczej zagapiony — że kiedy podniosłem oczy, na całej sali nie było nikogo prócz nas trzech. Zerwałem się na nogi, równocześnie wstali Ruys i Goobar. Sytuacja stała się nieco kłopotliwa: dotąd nie byliśmy razem, teraz jednak fakt pozostania we trzech łączył nas, i to coraz wyraźniej, w miarę jak zmierzaliśmy ku wyjściu. Pomiedzy kolumnami portalu postanowiłem pożegnać się z kompozytorem i uczniem, ale poszedłem dalej. Był to spacer dość dziwny; przemierzaliśmy może połowę długości całego okrętu, a nikt nie przemówił ani słowa. Pokład krótką pochylnią przeszedł w korytarz; mijaliśmy szeroko rozwarłe, puste wejścia do ogrodu, przecinając w każdym smugę chłodnej woni jodłowej. U ostatnich drzwi Goobar nagle odłączył się od nas i stanął na progu ogrodu. Z panującej tam ciemności płynął przyziemny, delikatny szelest liści poruszanych powiewem.

— Już i ty nie przychodzisz do mnie, Ruys... — odezwał się. Staliśmy za nim i zabrzmiało to, jakby mówił nie do jednego z nas, lecz w tę ciemność pachnącą mokrymi liśćmi.

— Nie chciałem ci przeszkadzać — cicho powiedział kompozytor.

— No tak. Znam to...

Zamilkł, jakby nasłuchując wiatru.

— Prosiłem raz na wykładzie — to było jeszcze na Ziemi — studentów, żeby do mnie przyszli. Nie na jakieś przyjęcie, ot, zwyczajnie, pochodzić po ogrodzie, porozmawiać. Nie myślałem oczywiście, że przyjdą wszyscy, ale zawsze spora grupa. Siedziałem do późnej

nocy z żoną, czekając gości. Nie przyszedł nikt. Pytałem później: dlaczego? Myśleli: tłum będzie przeszkadzał Goobarowi. Ktoś musi przecież zrezygnować. Każdy tak pomyślał...

Rozmowa toczyła się tak cicho, jak gdyby w pobliżu spał jakiś człowiek. Ruys nie od razu powiedział:

— Na Ziemi było co innego... Bywałem u ciebie, może i za często. Ale teraz jesteś przeciążony pracą, zmęczony...

— Zmęczony? — zdziwił się Goobar. Ale po chwili dodał:

— To prawda.

I po tym, jak to powiedział, widać było, że sam o tym dotąd nie pomyślał.

— Dobrze, że przyszedłeś na koncert — podjął Ruys. — Muzyka jest tak niezbędna.

— Ależ ja tam spałem! — z nagłym wewnętrznym rozbawieniem przerwał mu Goobar i głos jego zabrzmiał zupełnie jak wtedy na balu, gdy rozmawiał ze mną po raz pierwszy.

Ruys zamilkł, zaskoczony czy może zgorszony, a Goobar wyjaśnił:

— Nie mogę spać. Muszę zapomnieć o wszystkim, żeby usnąć. Przy muzyce zapominam i zasypiam...

— Musisz zapomnieć? O czym?

Nastała cisza. Od pierwszych słów tej rozmowy czułem się nieproszonym natrętem; dziesięć razy mówiłem sobie, że powinienem odejść, i czekałem tylko odpowiedniego momentu. Wydało mi się, że właśnie nadszedł, ale zaledwie się poruszyłem, Goobar zaczął:

— Dziewiąty rok pracuję nad działaniem grawitacji na procesy życiowe. To długa droga. Napotkałem las problemów, z których każdy wart jest życia. Nie poszedłem za żadnym. Wielkie przyśpieszenia, szybkości przyświelne — to był mój temat. Jaki jest los człowieka, który przekroczy 190 000 kilometrów na sekundę? „Śmierć” — powie uczeń szkoły podstawowej. To samo mówię dziś ja, z pewnością pomnożoną przez dziewięć lat pracy. Co dalej? — oparł się o skrzydło szklanych drzwi. Staliśmy tak, a ogród szumiał.

— Od szeregu miesięcy każdy, z kim się stykam — wszystko jedno w jakich okolicznościach — ma na ustach jedno pytanie. Prawda, nie zadaje go. Towarzysze w pracowni znają stan badań tak dobrze jak ja, a mimo to nawet oni, nawet najbliżsi, nawet Calla. Co im powiedzieć? Zdać się na przypuszczenia? Nadzieję? Jakim prawem? Autorytet — to odpowiedzialność. Tak nas uczono. Im większy autorytet — tym większa odpowiedzialność. A wszyscy czekają. Patrzą i czekają. Wierzą w Goobara. A w kogo ma wierzyć Goobar? ^

Nie krzyczał. Nie podniósł nawet głosu, a przecież słysząc go było chyba na całym pokładzie. Ale było pusto. Na wprost — długi sznur błękitnych świateł nocnych. Po prawej, w czarnych otworach na oścież otwartych drzwi, szumiał niewidzialny ogród.

— I nawet teraz, w tej chwili, kiedy wam to mówię, myślicie: „No tak, ale co on sądzi? Na co liczy? Jakie jest jego zdanie?” ... Czy nie mam racji?

Milczeliśmy. Mówił prawdę.

Nastała cisza. Goobar podniósł zegarek do oczu i wyprostował się.

— No cóż, trzeba iść, zacząć.

— Co?

— Nowy dzień.

Skinął nam głową, przeszedł przez całą szerokość korytarza i zniknął w windzie. Była trzecia godzina nocy.

POSĄG ASTROGATORA

Kiedy potok górski napotyka na swej drodze nieprzebyte skały, zaczyna wypełniać dolinę. Trwa to miesiące i lata, drobna, nieustannie sącząca się nić wody jest niewidoczna pośród czarnych masywów, a jednak jakiegoś dnia dolina staje się jeziorem, a potok, przelewając się przez jej brzegi, rusza w dalszą drogę.

Taka właśnie niezmacona, wierna sobie cierpliwość, która tkwi u podstaw działania natury, która z błakających się w próżni atomów stwarza globy gorejące, globy lodowe i globy zielone od ogrodów, taka właśnie cierpliwość cechuje rzeźbiarkę Soledad. Przez cztery lata pracowała nad dziełem, dla którego wyruszyła z nami w podróż. Miał to być posąg astrogatora.

Przyznać muszę, że zachodziłem w głowę, czemu wybór rzeźbiarki padł na Songgrama. Byli przecież na pokładzie statku tacy astrogatorzy, jak stalowy Ter Akonian o czujnych oczach, zawsze jak gdyby dalszy od otoczenia niż ktokolwiek inny, był Grotrian z głową myśliciela, owianą srebrnymi włosami, był najrzadziej widywany Pendergast, wysoki, z pochylonymi barami, jakby znużony własnym ogromem, ze żrenicami, przed którymi zdawały się unosić niezmierzone odległości, a miał je zwężone w czarne punkty, gdyż pełnił często nocne dyżury. I oto Soledad wybrała najzwyklejszego z nich; trudno było o postać mniej patetyczną. Songgram, ten nieco zażywny, czarnowłosy mężczyzna, ogromnie lubił się śmiać, nie tylko wśród ludzi, ale i sam. Nieraz, przechodząc obok jego gabinetu, słyszało się gromkie wybuchy jego wesołości. Pokładał się ze śmiechu nad ulubioną lekturą, dziełami starożytnych astronomów: bawiło go, jak mówił, nie ubóstwo ich wiedzy, lecz ich pewność siebie. Nieprzypadkowo do niego właśnie wybrała się delegacja dzieci z najpoważniejszą w świecie propozycją, żeby zrobił jakąś katastrofę, „małą, ale prawdziwą”, bo tak jest nudno.

Ujrzelśmy posąg w przededniu czwartej rocznicy wyruszenia z Ziemi. Stał jeszcze w pracowni. Rzeźbiarka, w szarym, roboczym kombinezonie, przytrząśniętym kurzem, ściągnęła grubą płachtę, jaką był okryty. Nie wyrzeźbiła go w ciężkim, kamiennym skafandrze ani z głową uniesioną, żeby wzrok zdawał się szybować w gwiazdy. Na prostym wzniesieniu stał jeden z nas, odrobinę pochylony, jakby chciał właśnie ruszyć naprzód i tylko usiłował jeszcze wspomnieć coś, co wywołało ugięcie warg, które wydaje się to uśmiechem, to drgnieniem niepokoju. Jest to coś ważnego, więc skupił się, ale nie rozwiało się w nim jeszcze lekkie zdziwienie, że stoi sam, wywyższony, na granitowym cokole.

Songgram, spytany przez rzeźbiarkę o zdanie, powiedział tylko:

— Masz do mnie więcej zaufania niż ja sam.

Od czterech lat na wypukłej tarczy, umieszczonej przed główną armaturą sterów, czerniały cyfry 281,4° i 2,2°, oznaczające w stopniach długość i szerokość galaktyczną naszego kursu. Srebrny punkt wyobrażający okręt dochodził na wielkiej mapie gwiazdowej do połowy drogi, lecz niebo pozostawało nieruchome. Tylko nieliczne, najbliższe gwiazdy przesuwały się leniwie na czarnym tle. Błękitnie pałający Syriusz podpełzał z wolna ku czerwonej Betelgeuzie, gwiazdy Centaura jaśniały coraz świetniej, nikt jednak prócz astrofizyków nie mierzył upływu czasu zmianami tak nikłymi wobec wiecznie martwej otchłani, która nas otaczała. Czas zdawał się tężeć nawet w głębi statku, każdy nadchodzący dzień podobny był do poprzedniego, sztuczny cykl pór roku nikogo już nie mamił i przemijanie dostrzegaliśmy tylko dzięki nowym ludziom, jacy pojawiali się wśród nas, chociaż byliśmy zamknięci w hermetycznej powłoce statku.

Czteroletni syn Tembhary (urodził się już na statku) spytał mnie raz w czasie zabawy:

— Wujku, jak wyglądają prawdziwi ludzie?

— Co mówisz, chłopcze — zawołałem — jacy prawdziwi ludzie?!

— A ci z Ziemi.

— Ależ my właśnie jesteśmy z Ziemi — odparłem tłumiąc poruszenie. — Twój ojciec, twoja matka, my wszyscy... przekonasz się sam, gdy tam wrócimy. Zresztą widujesz przecież rozmaite historie z życia ziemskiego i wiesz, że ludzie na Ziemi są całkiem tacy jak my.

— E — odparł malec — to nieprawdziwe, to tylko wideo...

Starsze dzieci przypominały nam o swym istnieniu w sposób dosyć żywiołowy; własny park był dla nich za ciasny i w rosnącej ekspansji zabaw urządzały wielkie gonitwy i polowania, wypełniając wrzawa całe kondygnacje Gei.

Czas płynął. Chłopcy stawali się mężczyznami, dziewczęta zmieniały się w kobiety, w pracowniach i laboratoriach ukazywały się coraz to nowe, młode twarze. Zachodzące przemiany nie ograniczały się, rzecz prosta, do uzupełniania zespołów naukowych i artystycznych. Wielu z nas ma wśród najbliższych, oprócz krewnych, kolegów, przyjaciół, także młodych ludzi, którzy przychodzą ze zwierzeniami bądź szukają rady i pomocy. Tak zadzierzgnięte znajomości przemieniają się w przyjaźń. Jest to zjawisko zarazem radosne i zasmucające. Radosne, gdyż młodość dąży tylko do tych, co własnym życiem stworzyli wartości godne naśladowania. Smutne, bo pierwszy taki gość zwiastuje zwykle kres własnej młodości. Nils Yrjöla bywał u mnie często. Był to teraz bardzo chudy, wysoki chłopiec, pokazujący zęby nie tylko w uśmiechu, ale i gdy mówił, jakby nadgryzał wypowiedane słowa jak drobne, soczyste owoce. Bardzo bystry, miał talenty tak postapiane z na poły dziecinnymi dziwactwami, że jego automaty, usiłujące oddzielić kruszec od szlaku, aż krztusiły się przy tej robocie. Patrząc na jego prace matematyczne, starsi specjaliści jednocześnie kleli i uśmiechali się, bo nawet jego dziwolągi cechował kapryśny wdzięk. Stanowił nierozłączną parę z młodszym od siebie o rok Wiktoorem, synem profesora Trehuba; można ich było zastać w najnieprawdopodobniejszych miejscach, zatopionych w dyspacie, z której wychodzili z rozżarzonymi głowami.

Pewnego wieczoru Nils, w którego zachowaniu zauważyłem ostatnio zmianą — stał się milkliwy i skłonny do nieprzytomnych zapatrzeń — przyznał mi się po pełnym wstydlivosti, ceremonialnym wstępie, że pisze wiersze. Najpierw przyniósł kilka; czytałem je przy nim, a czując, z jaką uwagą śledzi moją twarz, starałem się uczynić ją nieruchomą, były bowiem bardzo złe. Niebawem zjawił się z grubym plikiem nowych. Pożądał w tych rymowanych traktatach filozoficznych zguby, marzył o nicości jako o ucieczce przed cierpieniem. Źródła tak ponurych nastrojów począłem się domyślać, gdy w następnych wierszach — przynosił ich coraz więcej — pojawiła się zagadkowa kobieta. Były tam, zwłaszcza w metaforyce, pewne cechy osobliwe. Raz nie mogłem się już wstrzymać od pytania:

— Napisałeś tu „oczy czarne jak niebo” — jak to, przecież...

— No, bo ona ma czarne oczy — odparł czerwieniąc się.

— Ależ niebo jest niebieskie! Spojrzał na mnie zdziwiony i bąknął:

— No tak... ale miałem na myśli prawdziwe niebo...

A więc niebo Ziemi, ten jasny błękit, który codziennie widział w ogrodzie Gei, uważał już za skłamany, w przeciwieństwie do bezkresnej czerni otaczającej statek. On tak uważał, on, który w chwili odlotu miał czternaście lat.

— Kto wie — myślałem — jak wiele takich nowych skojarzeń powstaje w umysłach tych, co urodzili się na Gei?

W czwartą rocznicę wyruszenia z Ziemi odbyło się spotkanie towarzyskie załogi, stanowiące już tradycję.

W tym roku miejscem zgromadzenia była wielka sala kolumnowa. Już wczesnym wieczorem wypełniła się ludźmi. Kiedy przyszedłem z Ter Haarem, fizycy z grupy Rilyanta i Rudelików demonstrowali właśnie na modelach świetlnych działanie dezyntegratora.

Jest to miotacz energii promienistej, tak potężny, że jeden jego ładunek może obrócić wniwecz średniej wielkości asteroidę. Wraz z urządzeniem radarowym chroni Geę przed zderzeniem z ciałami kosmicznymi, gdyż ze względu na swą olbrzymią szybkość okręt nie

jest zdolny do manewru wymijającego i jedynym sposobem uniknięcia katastrofy jest rozpylenie napotkanej bryły materialnej ciosem promienistym. Przygotowane przez fizyków widowisko było istotnie imponujące; środek sali stanowił scenę i w tej pustej przestrzeni został „odegrany” dramat rozbicia na atomy bryły przecinającej drogę statku. Na sali panowała ciemność, model rakiety i meteor wydawały blade, fosforyczne świecenie i gdy zdawało się, że zderzenie jest nieuchronne, ostry jak igła promień strzelił z pocisku, obracając kamienny odłam w rozpaloną chmurę. Kiedy zapaliły się światła, ciekawi otoczyli fizyków i wywiązała się gorąca dyskusja, do której niebawem wmieszały się piskliwymi głosikami matematyczne analizatory. Ter Haar i ja wyszliśmy na chwile do ogrodu. Wracając, u zbiegu korytarza, przed wejściem do sali kolumnowej dostrzegliśmy trzech ludzi, siedzących we wgłębionej niszy naprzeciw akwarium. Byli to Ameta, Nils Yrjöla i paleopsycholog Achelis.

— Okres kilku tysięcy lat — mówił paleopsycholog — jest znikomy w skali ewolucji biologicznej i budowa naszych ciał, zmysłów, mózgow jest taka sama jak u starożytnych, a jednak dla argonautów Morze Śródziemne było bezkresną przestrzenią, podczas gdy my odległość Ziemi od Słońca nazywamy „krokiem słonecznym”; być może po nas przyjdą kosmonauci, dla których krokiem podróży będzie kiloparsek...

— A jednak czy nie można porównać astronautów z argonautami? — rzekł Ameta. Po jego twarzy przepływały zielonkawe i srebrzyste cienie. — Oczywiście wielkości odwagi nie można mierzyć wielkością pokonanej przestrzeni, to byłby nonsens. Głowy starożytnych ledwo wynurzały się z mgły magicznych wierzeń, wszędzie zwidywały im się śpiewające potwory, smoki, bogowie, a jednak wciąż dalej...

— Takie porównanie ludzi różnych epok wydaje mi się ryzykowne — zauważył Nils. — Starożytni byli gwałtowni, niezrównoważeni, jednakowo skorzy do łez, jak do bitewnych uniesień...

Ameta podniósł oczy. Naprzeciw niego za szklaną płytą chwiały się głowy ryb, otwartymi pyskami dotykających szklanej ściany, jakby podsłuchiwały rozmowę.

— Byli to bardzo zwyczajni i bardzo dobrzy ludzie — rzekł pilot — i doskonale mogą ich zrozumieć. Mieli odwagę marzenia, a że oblekali je w dziwne dla nas, bajkowe kształty... to nieistotne. To, co kazało im rzucać rybackie osady i wyruszać w niezbadaną przestrzeń mórz, jest w gruncie rzeczy tym samym, co pędzi nas do gwiazd.

— Jak możesz tak mówić — Nils wstał. — Starożytni dokonywali odkryć mimowolnie, goniąc za urojonymi, nie istniejącymi celami. To byli niewolnicy mitów!

— Jesteś niesprawiedliwy — zauważył paleopsycholog. — Żeby wymienić tylko jeden ze splotu wielu czynników — mechanizm sił społecznych był w epoce barbarzyńskiej zagadką. Życie, oglądane z bliska, przedstawiało się jak taniec pyłków w smudze słonecznej, co jakiś czas przemiatany kataklizmem. Tymczasem człowiek chciał dostrzec sens istnienia własnego i innych. Pragnąc znaleźć go za wszelką cenę, płacił cenę logicznego nonsensu i wykraczał z życia rzeczywistego w fikcyjne życie wieczne po to, żeby temu ziemskiemu nadać sens.

Psycholog przestał mówić, widząc, że Nils go nie słucha. Chłopiec patrzył w głąb korytarza. Szła stamtąd młoda dziewczyna. Nils postąpił krok naprzód i wyszedł z naszego kręgu, nie wiedząc, że idzie. Dziewczyna obejrzała się. Z cienia wyłoniła się druga postać — był to Wiktor.

Oboje minęli nas i skryli się w długiej amfiladzie kolumn. Nils znieruchomiał. Palce jego ręki wykonały nieznaczny gest, jakby coś mięły. Nagle drgnął, zapewne poczuł, że jest w ośrodku wielu spojrzeń, wyprostował się i nadmiernie spokojnym, powiększonym krokiem ruszył ku szklanej ścianie. Z zagryzionymi ustami patrzył w zielony blask, który odświecał w jego nie widzących, szeroko otwartych oczach. Wtedy, patrząc na tego chłopca, wspomniałem, jak byłem bardzo młody i bardzo nieszczęśliwy z powodu miłości, jak przewłóczyłem się raz całą noc i wróciłem rankiem do schroniska, przemoczony, w ubraniu poplamionym żywicą; to było w górach, stała gęsta mgła, siąpił deszcz. Nagle, zdrętwiałego,

obudził mnie pierwszy świergot ptaka. Podszedłem do okna. Był świt. Rozwarłem szeroko okiennice, wpatrzony w styk nieba i ziemi, wzbierający światłem; mgły i chmury rozpały się nieruchomymi płomieniami. Zapatrzyłem się w dal, jakbym spoglądał w nieskończone, ogromne szeregi dni, które przyjdą, jakbym dostrzegał niezmierzone bogactwo, jakim mnie zasypią — i czułem, jak mocno bije mi serce, i byłem taki smutny, i taki szczęśliwy...

Spotkanie towarzyskie przeciągnęło się do późnej nocy. Nareszcie gwar na sali począł opadać, światła zdawały się ciemnieć, odczuwaliśmy już znużenie, nadchodziły chwile powszechnego milczenia, w których rozlegały się tylko lekkie kroki obsługujących automatów. W jednej z takich chwil ktoś zaintonował bardzo starą pieśń. Melodia zrazu potykała się, przekazywana z ust do ust, aż zatoczyła krąg i porwała wszystkich. I mnie, i innym brakło chwilami słów, mało kto je pamiętał, zamierzchłe, ledwo zrozumiałe, dziwne, o wyklętych, dręczonych głodem, o ich ostatniej walce. Gdy jedne głosy milkły i pieśń waliła się jak puszczone ciężar, wtedy zrywały się inne i podtrzymywały ją i tak dźwigała się znowu i rosła. Tuż za sobą słyszałem potężny bas. Odwróciłem się. Przede mną stał Ter Akonian. Twarz jego zdawała się, jak nigdy, skupiać posepne piękno gór, które go wydały, a on, który najmocniej chyba z nas wszystkich marzył o podróży gwiazdowej i życie poświęcił jej urzeczywistnieniu, śpiewał, stojąc, stary hymn Ziemi i płakał z zamkniętymi oczami.

Dziesięć dni później obudził mnie w nocy dzwonek ze szpitala: przybyła tam rodząca. Narzuciwszy płaszcz zajrzałem do sypialni Anny: łóżko jej było nie tknięte. Wieczorem powiedziała, że musi dokończyć pilnego doświadczenia w pracowni Schreya i wróci dość późno. Spojrzałem na zegarek: dochodziła trzecia. Zżymałem się. Postanowiłem powiedzieć jej rano kilka cierpkich słów i pojechałem na salę porodową. W przyćmionym świetle ujrzałem Milę Grotrian, żonę astrofizyka Rilyanta. Rodziła po raz pierwszy, była więc niespokojna. Spytałem, gdzie jej mąż. Okazało się, że śledzi w obserwatorium zaćmienie jakiejś gwiazdy podwójnej. Aby rozproszyć jej obawy, począłem żartobliwie skarżyć się na nasz wspólny zły los — nadmierną pracowitość małżonków. Co kilka minut telefonował Rilyant pytając, jak przebiega poród; ponieważ odrywało mnie to od Mili, powiedziałem mu w końcu, żeby pilnował swojej gwiazdy, a ja już zajmę się jego żoną.

Poród postępował leniwie; koło czwartej tętno płodu zaniepokoiło mnie; jakiś czas czekałem, licząc na siły natury, ale gdy serce nie urodzonego wyraźnie zaczęło słabnąć, postanowiłem zastosować odpowiedni zastrzyk. Przygotowałem narzędzie, rozłożyłem serwety i odszukałem na bardzo białej ręce kobiety błękitną żyłkę. — To nie będzie wcale bolało — powiedziałem — uważaj, już.

Przejrzysty płyn uchodził ze strzykawki. Poczuvszy opór tłoka, cofnąłem dłoń. W tej chwili sufit zapłonął nad nami czerwono i równocześnie rozległ się wybiegający ze wszystkich naraz stron przestrzeni brzęczący głos:

— Uwaga! Pogotowie alarmowe drugiego...

Tu dał się słyszeć ostry trzask, podłoga zawirowała pod nogami i wszystkie światła zgasły. Zostałem w ciemności nad łóżkiem rodzącej. Przez sekundę trwała cisza tak absolutna, że słyszałem szelest, z jakim jej koszula ociera się w oddechu o przykrywający koc. Poszukałem wyłącznika zapasowych reflektorów, pamiętałem, że jest nad wezgłowiem łóżka. Zanim go jednak znalazłem, poczułem bardzo silny wstrząs, jakby niewidzialny młot uderzył w dno sali, i równocześnie z ukrytych głośników bluzgnęło metaliczne charczenie, potęgujące się do spazmatycznego ryku.

— Mila! — krzyknąłem — trzymaj się, Mila!

Wstrząs odrzucił mnie od łóżka. Upadłem i straciłem orientację.

Zerwałem się, uderzyłem głową o jakąś przegrodę, przyszedł nowy wstrząs, zatoczyłem się, wyciągnąłem przed siebie ręce. Wszystko działo się po ciemku, jakieś kolorowe lampy migotały pod powiekami, daremnie wytrzeszczałem oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. Nie odczuwałem najmniejszej trwogi, tylko nieznośną bezsilność, która przemieniała się w gniew.

Wtedy z głębi wyjących nad nami potępieńczo tonów wydobył się z najwyższym wysiłkiem walczący o oddech, łkający krzyk ludzki:

— Pogotowie... trzeciego stopnia... sieć awaryjna... włączam... uwaga...

Potem huknęło dwa razy, jakby tuż przy mnie rozerwał się ładunek wybuchowy, i głos wyjąkał słabnąc, że raczej domyśliłem się, niż usłyszałem:

— Zanik... grawitacji...

Ciało moje traciło wagę.

Jakiż ze mnie głupiec! — błysnęło w głowie. — Dlaczego nie mam przy sobie latarki!

Nie nosiłem jej, bo oświetlenie wydawało się całkowicie zabezpieczone od wypadków. Zawisłem w powietrzu, bezradny jak szczeniak chwycony za kark, i zrozpaczony wołałem:

— Mila... odezwij się...

Zajaśniało. Zapłonęły nisko umieszczone, zielonkawe światła bezpieczeństwa. Wążąc się skośnie w przestrzeni, I znajdowałem się jakieś cztery metry od łóżka. Mila wpół-siedziała, jedną ręką ogarniając brzuch, drugą kurczowo trzymała się metalowej poręczy. Po kilku daremnych próbach udało mi się do niej dotrzeć. Była bardzo blada. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Usiłowałem się uśmiechnąć.

— To nic, to tylko wypadek! — zawołałem, choć nie mogła mnie usłyszeć; wycie nad nami nie ustawało. Nowy wstrząs o mało nie oderwał mnie od łóżka.

Pośpiesznie przywiązałem się gurtowym pasem do poręczy, żeby mieć swobodne ręce. Statek zadrżał znowu, ale inaczej. Co kilka sekund powtarzał się piekielny świst, urywający się głuchym uderzeniem. Zrozumiałem; w głębi Gei zapadały szczelne grodzie, hermetycznie oddzielając jedne pomieszczenia od drugich. To nie był wypadek, lecz katastrofa.

Tuż przed sobą miałem twarz Mili o ogromnych, znieruchomiałych oczach. Ciało jej wygięło się gwałtownie, krzyczała coś, czego nie słyszałem. Zbliżyłem głowę do jej ust.

— Mamo! Mamo! — dobiegł mnie głos jak z wielkiej odległości.

Jeszcze jedno uderzenie spadającej grodzi, jakby tuż za drzwiami sali. W tym momencie, w ułamku sekundy, uświadomiłem sobie dwie naraz rzeczy: że poród trwa i nic nie może go powstrzymać prócz śmierci i że pracownia Anny leży na ostatniej kondygnacji, pod samym pancierzem statku. Zobaczyłem bezbronne, najdroższe ciało i masy padającego w mrok żelastwa. Serce jakby mi ktoś przebił. Skurczyłem się cały i rzuciłem wstecz, żeby biec, żeby gołymi rękami rozbić stalowe mury, żebyśmy zginęli razem. Targałem się jak oszalały, zapomniawszy o pasie, którym przed chwilą sam przywiązałem się do łóżka.

Rodząca wyginała się, jej rozwarte szeroko usta krzyczały. Przestałem się szamotać. Wyciągnąłem ręce, poczułem gorącą, wilgotną główkę, zlepione krwią włosy dziecka.

Widmowe światło lamp awaryjnych drżało, cały byłem nie—ważki, instrumenty fruwały wokół naszych głów; w pewnej chwili duże, przejrzyste naczynie z krwią uniosło się i przepłynęło tuż koło mojej skroni, załśniło rubinem pod blask i odskoczyło od ściany przepierzenia. Mila jęczała, nie słyszałem tego, widziałem tylko rozciągnięte w męce wargi, lśnienie zębów.

Wycie, bełkotanie, łoskot przelewały się nad nami. Nachyliłem się jeszcze bardziej, osłoniłem sobą jej brzuch, którym targały fale skurczów. Światło zaczęło dygotać, jeszcze przez chwilę dostrzegałem lampy jako fosforyzujące kule, potem zapadła ciemność, a wraz z nią zupełna cisza, w której — nagle — rozległo się słabe, lecz wyraźne kwilenie. W lewej ręce trzymałem nie wiem od jak dawna instrument, odnalazłem po omacku pepowinę, zacisnąłem ją. Udało mi się sięgnąć ręką do stolika, wyrwałem z pudła kompresy, złożyłem razem i owinąłem ciało nowo urodzonego. W górze znowu szcęknięło.

— Trzymaj się! — krzyknąłem do kobiety, ale wstrząs, którego się spodziewałem, nie przyszedł. Głośnik przez dłuższą chwilę brzęczał, potem rozległ się znany głos; mówił Yrjōla:

— Towarzysze, gdziekolwiek się znajdujecie, zachowajcie spokój. Gea uległa zderzeniu z drobnym ciałem kosmicznym. Sytuacja jest opanowana. Chwilowo pięć górnych pokładów

jest odciętych od reszty statku. Zachowajcie wszyscy spokój i przebywajcie dalej tam, gdzie jesteście. Włączamy teraz awaryjne zespoły grawitacyjne, przygotujcie się na powrót ciążenia. Za piętnaście minut podamy dalsze wiadomości.

Głośnik szczerknął i zapadła cisza. Znowu zapłonęły lampy. Rozległ się głuchy, gęsty stukot: ciążenie wracało, na podłogę spadały instrumenty, naczynia, aparaty, jakieś szkło rozbiło się i odłamki dźwięcznie rozpryskiwały się na kamiennych taflach. Musiałem przez chwilę mocować się z węzłem pasa, którym przywiązałem się do łóżka; wyswobodziwszy się, zaniósłem dziecko do umywalni. Z kranów biegła ciepła woda. Dziecko ożywiło się w kąpieli, kwiliło coraz głośniejsze i mrugało wielkimi, niebieskimi oczami. Obandażowałem ranę na brzuszku i wróciłem do matki, cały wciąż zasłuchany w to, co działo się poza obrębem sali. Słysząc było najpierw odległe bulgotanie, jakby z wysokości spadały całe kaskady wody, potem gorączkowo stukwały młoty i rozległ się świst gazu, wrywającego się z ciasnych przewodów; coś zgrzytało, jakaś wielka siła wlokła ciężary po chropowatej powierzchni; wtę usłyszałem krótkie gwizdnięcie, które ciepłem oblało mi serce: gdzieś pomknęła winda.

Minuty mijały. Mila, bardzo wyczerpana, leżała na wznak, twarz jej była drobna i dziecinna, bardzo podobna do twarzyczki dziecka, które owinięte w kompresy wciąż jeszcze trzymałem na rękach.

Zrobiłem już wszystko, co do mnie należało — myślałem — dziecko żyje, Mila ma się dobrze, mogę teraz iść... Wciąż jednak stałem. Otworzyły się drzwi, wszedł Schrey. Za nim automat niósł wysoko wzniesioną, kulistą lampę. Wydawała silny, mleczny blask. W miarę jak kroczył, cienie mijanych przedmiotów poruszały się jak żywe, pnąc się po ścianach.

Schrey został o kilka kroków za automatem. Patrzał na to, co działo się w sali; wzrok jego objął łóżko z leżącą, rozbite i bezładnie rozrzucone na podłodze instrumenty, plamy krwi, nareszcie spoczął na mnie.

— Urodziło się teraz? — powiedział patrząc na dziecko, które trzymałem na ręku. Słaby, niewesoły uśmiech zmięczył mu usta.

— Co z nią?... — wybełkotałem. Schrey nie zrozumiał mnie.

— Co mówisz? — spytał.

Głosu nie mogłem wydobyć. To w jego pracowni była tej nocy Anna.

— Co... z nią?... — powtórzyłem. Nie śmiałem wymówić imienia.

— Z Anną? — domyślił się Schrey. — Była u mnie w mieszkaniu, zaraz tu przyjdzie... Co robisz, zadusisz dziecko! — zawołał, bo odruchowo przyciągnąłem je mocno do piersi. Oddychałem teraz jak po wielkim biegu.

— Co się stało, profesorze?

— Wiem tyle co i ty. W tej chwili telefonował do mnie Ter Akonian, starał się skontaktować i z tobą, lecz nie mógł się połączyć.

— Byłem tutaj.

— Tak — skinął głową Schrey. — Nie chciał wzywać lekarzy przez sieć ogólną, by nie wzniecać niepokojów. Musimy się przygotować, zaraz zaczną tu przynosić rannych...

Z korytarza dobiegły kroki i głosy. Anna otworzyła drzwi, weszła tyłem. Podskoczyłem ku niej i znieruchomiałem, wciąż z dzieckiem na rękach. Korytarz był ciemny, tylko korowód migających ogników zbliżał się z głębi, płynąc o metr nad podłogą. To były nosze okryte białym płótnem. Spod najbliższego okrycia wysuwała się bezwładna, wahająca się biernie, kobieca dłoń.

Gea, przebywająca w każdej sekundzie 177 000 kilometrów, spotkała na swej drodze meteor. Echo radarowe wykryło go, gdy znajdował się w odległości 90 000 kilometrów. W ciągu tysięcznej części sekundy automaty wycelowały dezintegrator. Meteor, trafiony pociskiem promienistym, rozpadł się. Gea, mknąca z jednakową wciąż chyżością, dobiegła do miejsca eksplozji, gdy proces rozkładu atomowego jeszcze się toczył. Fala płomienistych

szczałków trafiła grzbietowy pancerz i rozdarła go na przestrzeni dziewięciu metrów. W przestrzelinę wdarł się kłęb rozżarzonych gazów, rozsadził wszystkie warstwy wewnętrznej powłoki izolacyjnej i przebił zbiorniki wody w miejscu, gdzie biegną pod nimi przewody sieci chłodzącej, w których krążył skroplony hel.

Stało się to w czasie, kiedy automaty sprawdzały szczelność rur; płynny hel krążył pod ciśnieniem, a wszystkie krany, które samoczynnie wyłączają jego dopływ, były zablokowane. Płynny gaz o temperaturze trzech stopni nad zerem absolutnym wyrwał się z olbrzymią siłą, rozpruł rury na znacznej długości i burzliwym potokiem począł wpływać przez rezerwowy szyb odpowietrzający do centralnej nastawni, ściekając po okapach automatów. Wszystkie przewody elektryczne, z którymi się stykał, oziębione, stawały się nadprzewodnikami. Miejsce ładu impulsów i sygnałów zajął chaos skłóconych prądów. W miarę jak nieustannie napływający hel zatapiał coraz wyższe części nastawni, automaty, rażone nadprzewodnictwem, zawodziły jeden po drugim.

W sterowni, która znajduje się bezpośrednio pod nastawnią, tak że strop pierwszej stanowi podłogę drugiej, przebywał wtedy — była godzina trzecia czterdzieści siedem — jeden tylko człowiek, dyżurny astrogator, Songgram. Nie mógł zablokować głównej magistrali płynnego helu ani opuścić grodzi szczelnych, ani zamknąć przestrzelmy pancerza prowizorycznym tamponem: jedne elektryczne mózgi zostały całkowicie sparaliżowane, inne działały jak w obłądnie, zniekształcając polecenia i w ułamkach sekundy wysyłając dziesiątki sprzecznych rozkazów. Songgram nie mógł porozumieć się z nikim i ledwo był w stanie ogłosić alarm przez awaryjną instalację foniczną, gdyż na pewnej długości i jej kable zetknęły się z płynnym gazem.

Był sam, przed tablicami zegarów i wskaźników, które niczego już nie mierzyły ani nie wskazywały; wszystkie kontrolne światła gasły i zapalały się bez najmniejszego sensu, korpusy transformatorów drżały, jedne obwody wypadały, w innych przetężenie paliło seriami bezpieczniki, tak że tablice izolacyjne osmalał fioletowy płomień. Songgram wiedział, że prędzej czy później hel, przybierający nad jego głową, wypełni całą nastawnię i porazi najgłębiej nawet skryty elektryczny rozrząd stosów atomowych, a to będzie oznaczało zagładę okrętu.

Nie wiadomo, co myślał. Ale wszystko, co robił, zostało utrwalone, bo aparatura rejestrująca pracuje na zasadzie nadprzewodnictwa, nie została więc porażona. W sterowni stawało się coraz zimniej, strop, dźwigający grubą warstwę płynnego helu, ział straszliwym mrozem, na taflach pulpity osiadał szron, oddech białą parą wyrывał się z ust, a na górze hel wciąż burzył się, kipiał i zalewał coraz wyższe sekcje automatów, przez przestrzelinę zaś pancerza w każdej sekundzie uciekały z głębi statku setki metrów sześciennych powietrza. Songgram raz jeszcze spróbował wprawić w ruch odśrodkowe pompy, zdalnie sterowane zawory bezpieczeństwa i równoległą do głównej sieć awaryjną — daremnie.

Był jeszcze jeden sposób. Wiedział, że jeśli otworzy klapy wentylacyjne w suficie, hel, zebrany nad nim metrową warstwą, zacznie spływać do sterowni, a zanim ją wypełni, na górze temperatura podniesie się nieznacznie, lecz wystarczająco, by automaty mogły zacząć normalną pracę, a wtedy same już odetną jego dalszy dopływ. Elektryczny rozrząd był zablokowany, musiały więc odemknąć klapy ręcznie, za pomocą kół szprychowych, które znajdują się w bocznej ścianie sterowni. Gdyby odemknął jedną tylko klapę, zdążyłby wybiec ze sterowni, lecz nie był pewny, czy przez tak powstałe ujście będzie z nastawni wypływać więcej helu, niż przyplywa do niej przez rozdarte rury. A pewność była konieczna. Gdyby otworzył wszystkie klapy, nie zdążyłby uciec. Płynny hel zamraza tak szybko, że zanurzony w nim człowiek po sekundzie staje się szklistą mumią. Songgram raz jeszcze usiłował uruchomić pompy odśrodkowe — bez rezultatu.

Wówczas przestał naciskać kontakty. Przez cztery i jedną trzecią sekundy nie robił nic, a potem ją otwierał klapy, jedną po drugiej. Zdążył otworzyć cztery. Hel począł spływać

poczwórnym wodospadem do sterowni, na górze automaty wynurzyły się i wszystko stało się tak, jak przewidział. Jedne automaty odcięły dopływ helu, inne uruchomiły pompy, które wysały go ze sterowni, jeszcze inne zamknęły przestrzelinę pancerza plastrami wstrzykiwanego pod ciśnieniem szybko stygnącego, metalicznego cementu; odciążając strop nastawni, wyłączyły zespół grawitacyjny i opuszczały kolejno szczelne grodzie w głębi Gei, żeby ulatniający się hel nie mógł się zmieszać z powietrzem w przestrzeni mieszkalnej. Potem z luk awaryjnych wynurzyły się długie szeregi mechanoautomatów, wpełzły do rezerwowych szybów, między izolacyjne przegrody nastawni i pod rozsadzony zbiornik wody. Pracowały bez przerwy do szóstej rano, kiedy ostatni ślad katastrofy został wewnątrz statku usunięty.

Tylko kilka osób raniły niezbyt poważnie odłamki przewodów, rozpekłych na trzeciej i czwartej kondygnacji. Opatrzywszy rannych, poszedłem z Yrjölą do wyschłej już i wyremontowanej sterowni. Gdyśmy ją opuszczali, dochodziła siódma rano. Korytarze wypełniał blask sztucznego świtu, było cicho i pusto. Yrjöla minął miejsce korytarza, w którym drogi nasze się rozchodziły, i szedł dalej, jakby nie mogąc mnie opuścić. Nagle, już przed drzwiami szpitala — wracałem do kontuzjowanych — stanął.

— Gdybym nie był zrobił tego obliczenia... — powiedział.

Spojrzałem pytająco. Nie patrzył na mnie.

— Nie mogłem się powstrzymać... On nie musiał... wiesz? Wystarczyło otworzyć jedną klapę. Była szansa.

Zrozumiałem.

— Nie wiedział?

— Nie mógł wiedzieć. Dla przeprowadzenia obliczeń potrzeba było najmniej kilka minut. Nie dał ich sobie.

Milczałem. Miałem jeszcze w oczach obraz wyniesiony ze sterowni: pusta, wielka przestrzeń z zatartymi śladami kataklizmu i wciąż stojący z rękoma na ostatnim, nie obróconym do końca kole — posąg astrologa.

Yrjöla coraz mocniej ścisnął moje ramię.

— Ty... nie znałeś go...

Urwał i po raz drugi w tym roku zobaczyłem płaczącego mężczyznę.

Nazajutrz inżynierowie przystąpili do pokrycia warstwą metalu powłoki Gei w miejscu rozdarcia. W tym celu odemknięto włazy bezpieczeństwa i na zewnętrzny pancerz okrętu wysłano grupę mechanoautomatów. Ameta przyszedł do szpitala, żeby mnie zabrać z sobą, nadarzała się bowiem jedyna w swoim rodzaju okazja wycieczki w próżnię.

U zbiegu korytarzy na dennym pokładzie praca była w pełni. Co chwila z szybu wychylał się któryś z automatów, inne, czekające przy transporterze, objuczały go narzędziami i ładunkiem metalu, po czym pancerny stwór, nie obracając się, tyłem wchodził do windy, krokiem tak ciężkim, że zdawało się, iż podłoga ugina się pod nim. Chętnych do wyjścia na zewnątrz Gei było wielu i musieliśmy czekać dobrą chwilę. Nareszcie znalazłem się w komorze ciśnień. Ameta, gotowy już do drogi, pomógł mi wdziać skafander. Wszedłem do niego przez szeroko rozdziawiony otwór głowowy, po czym na ramiona opuszczono mi okrągły, z przodu i z tyłu ugięty kołnierz, przypominający wielkie kryzy koronkowe, jakie noszono w starożytności, tylko że ten kołnierz, zawierający grzejną aparaturę atomową i oddechową, jest sporządzony z metalu i dość ciężki. Na nim osadzono szklistą przyłbicę, wypukłą walcowato przed oczami. Czułem przy ruchach, jak po ciele przesuwają się grube warstwy skafandra, zewnętrzna, metaliczna, pokryta zbitym srebrnym puszkim, i wewnętrzna, atlasowa w dotknięciu. Poruszanie się w tym masywnym stroju nie było łatwe w przestrzeni grawitacyjnej. Popychany z tyłu, dostałem się do przelotni ciśnieniowej; z chwilą nałożenia hełmu światła przygasły do żółtawego brasku i zgubiłem Ametę z oczu. Ostatnim sakramentalnym ruchem automat u wejścia sprawdził szczelność moich zaworów tlenowych, po czym wewnętrzna klapa zasunęła się. Przez kilka sekund dochodził coraz cichszy syk

powietrza, potem, nie podtrzymywana już wewnętrznym ciśnieniem, kłapa włazu sama się podniosła u moich stóp. Począłem opuszczać się po drabince; najpierw nogi, potem tors i głowa znalazły się na zewnątrz Gei — po raz pierwszy od czterech lat.

Trzymając się końca drabinki, postawiłem stopy na pancerzu; magnesy podeszew przywarły mocno. Wyprostowałem się. W oczach migwały jeszcze błyski światła przyniesione pod powiekami. Po kilkunastu sekundach zgasły ostatnie. Zacząłem widzieć. Zewnętrzna powłoka Gei była nieruchoma — dla wytworzenia sztucznej grawitacji wirowały tylko wewnętrzne, mieszkalne pomieszczenia statku, niczym gigantyczna karuzela. Tu, gdzie stałem, był zupełny bezruch. Skłębione chmury Drogi Mlecznej obiegały ciemność niezmiernym koliskiem, udającym horyzont. Skafander przestał ważyć, czułem się nagi, całą powierzchnią ciała wydany na łup pustce. W trwodze, że jakiś niebaczny ruch oderwie mnie od niewidzialnego w pomroce pancerza, przypadłem, kuląc się, do twardej powierzchni pod nogami. Przypomniałem sobie, że z kłamrą włazu łączy mnie długa lina bezpieczeństwa, którą opasano skafander przed wyjściem. Gwałtownym ruchem szukając jej uchwytu, niechcący nacisnąłem wyłącznik magnesów i poleciałem w przestwór. Rozszerzonymi oczami widziałem, jak lina rozwija się leniwymi splotami (była nafosforyzowana). Wyciągała się jak długa, biała pępowina, aż zawisłem skośnie, jak balon, pod statkiem — czy nad nim — bo brak ciężenia unicestwiał poczucie kierunków. Poruszyłem się, zadarłem głowę — gwiazdy. Spojrzałem w dół, pod nogi — gwiazdy; ze wszech stron martwa ciemność i zastygły w jej przepaściach proch gwiazdowy. Poczulem gwałtowny zawrót głowy i kurczowo zacisnąłem powieki. Pulsy głuchym odgłosem wypełniały małą przestrzeń powietrza opasującego głowę. Znowu otworzyłem oczy. Od znajomego kształtu Wielkiej Niedźwiedzicy przeniosłem wzrok niżej, tam, między epsilonem i deltą Kasjopei, świeciła nieruchoma iskierka — Słońce. Tak było nikłe, tak niepodobne do wszystkich moich wspomnień, że nie poczułem ani nostalgii, ani nawet zdumienia, lecz tylko obojętność, pod którą skrywała się niedostępna dla argumentów rozumu niewiara w to, że ten żółtawy pyłek, nie różniący się niczym od wielu tysięcy innych, jest światłem mojej ojczyzny.

Chciałem spojrzeć na Geę. Myślałem, że zobaczę ją zawieszoną w przestrzeni — ciemne, smukłe wrzeciono — lecz nie ujrzałem nic. Po raz drugi ohydna trwoga chwyciła mnie za gardło; błysła straszna myśl, że lina puściła i zostałem sam w czarnej nieskończoności. W przyływie paniki począłem miotać się gwałtownie, by uchwycić się czegokolwiek, przywrzeć do jakiegoś stałego punktu. Wiłem się niezdarnie jak ślepy robak. Serce waliło młotem, oczy omiatały horyzont. Wszędzie miliony nieruchomych gwiazd, tak słabych, że nie widziałem w ich świetle nawet własnych wyciągniętych rąk, jakbym sam rozplynął się w zzerającej wszystko czerni. Był szum krwi i czarna nieskończoność, nic więcej.

Nagle w polu widzenia ukazał się długi, biały wąż, lina łącząca mnie z okrętem. Wyteżywszy do bólu wzrok, ujrzałem Geę, a raczej domyśliłem się jej rybiego kształtu po tym, że w pewnych miejscach przestrzeni nie było gwiazd. Tak czarnym cieniem odcinał się okręt od południowych skupisk galaktycznych. Pośpiesznie zacząłem zwijać linę, po chwili uczulem twarde dotknięcie — obu kolanami naraz zderzyłem się z pancerzem statku. Przypomniałem sobie o magnesach butów i włączyłem je. Mogłem teraz chodzić. W dookolnej czerni zapłonęło nagle bliskie, zielone światełko: lampka, jaką posiada z tyłu kołnierza każdy skafander. Ktoś stał i patrzył na pracujące mechanoautomaty. Zbliżyłem się tam. Mechanoautomaty obsiadły rozdziawioną szczelinę pancerza. Kilka zblendowanych reflektorów oświetlało miejsce pracy; w blasku widniały rzucające pokraczne cienie zęby rozdarcia, wywinięte i skręcone od żaru, jaki działał tu w chwili zderzenia. Gdy jedne automaty odcinały te stalowe łachmany, inne szyły ranę biczami elektrycznych płomieni, a następne, postępując za nimi, puszczały w ruch szlifierki. Spod ich ramion unosiły się w mrok snopy liliowych i złotych iskier. Było to niesamowite widowisko, jakby jakieś stwory, skulone pod wiecznymi gwiazdami stwarzały momentalne, barwne wszechświaty, gasnące

natychmiast w chwili powstania. W przeciwnej stronie jaśniało drugie zielone światełko. Ruszyłem ku niemu. Znowu otoczył mnie rozgwieżdżony mrok. Nie chciało się wierzyć że Gea mknie naprawdę — doświadczałem zjawiska względności ruchu; szybkość jest pustym dźwiękiem, jeśli nie oznaczy się układu odniesienia. Zrazu wydało mi się że stojący samotnie człowiek to Ameta, lecz był od niego wyższy. Podniosłem rękę, by położyć mu ją na ramieniu. Opadła w dół. To był Goobar. Stał z rękami na piersiach, oświetlony niedalekim migotaniem iskier, i ze wzrokiem pogrążonym w nieskończonej pustce wszechświata uśmiechał się.

POCZĄTEK EPOKI

Nie wiem, kiedy pokochałem Annę. Musiało się to stać dawno, lecz zrozumiałem to dopiero w katastrofie, która zabrała nam towarzysza. Pożycie nasze nie było i teraz łagodnie i cicho rozwijającym się pasmem dni, podróż niosła zbyt wiele wydarzeń, którym nie umiałem sprostać, bywałem gniewny, bezradny i przybity tragicznymi wypadkami, lecz wówczas kochał ją także mój gniew i smutek, i zawsze tęskniłem do niej, nawet gdy była najbliżej.

Przez długie miesiące pracowałem do późnej nocy. Sypiam wtedy zwykle kamiennym snem, rankiem budzę się nieprzytomny, nie wiem, kim jestem i jak się nazywam, i muszę dopiero szukać tego w pamięci pogrążonej jeszcze we śnie, gdy ja już czuwam. Wówczas, w tej chwili poszukiwania drogi do siebie, pierwsza przychodziła świadomość jej istnienia, przepełniała mnie całego i występowała jak gdyby z ciała, rozjaśniając pokój i każdą rzecz, na której spoczęły oczy, i zdawało mi się, że gdybym utracił wszystkie wspomnienia, całą przeszłość i prócz niej nie pamiętał nic — to byłbym przecież jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Wieczorami chodziliśmy na galerie widokowe, tam gdzie niegdyś całowałem ją pod gwiazdami. Spoglądaliśmy w mrok, odczuwając wzajemną obecność bez najbliższego dotknięcia, a wysoko jaśniały skupiska Plejad, potężne klucze światła, ciągnące przestrzeń. Raz Anna przerwała milczenie słowami:

— Kochany, tam, wokół tych słońc, krążą planety zamieszkałe przez żywe istoty, prawda?

— Tak — odparłem, nie wiedząc, do czego zmierza jej myśl.

— Takich planet, zamieszkałych przez istoty rozumne, muszą być w Galaktyce miliony, to zupełnie pewne?

— Zupełnie.

— A więc ta czarna przestrzeń nie jest martwa ani pusta; skoro nieustannie przesywa ją wzrok milionów żywych stworzeń!

Jakże zdumiały mnie te słowa, tak proste i naturalne.

Ależ oczywiście — myślałem — Anna ma słuszość i kiedy patrzę na zimne ognie Krzyża Południa, wzrok mój, być może, spotyka się tam ze wzrokiem nieznanymi istot, które choć różne od nas, choć wyrosłe pod innym słońcem, tak samo jak my patrzą w groźne, wieczne piękno wszechświata.

W cztery miesiące po katastrofie otrzymałem drukowaną po staroświecku kartę ze słowami:

Grupa biofizyków Gei ma zaszczyt zaprosić Kolegę na rozszerzone posiedzenie w Dużej Sali Zakładu, które odbędzie się o godzinie osiemnastej czasu miejscowego. Porządek dzienny:

1. Tymczasowe doniesienie profesora Goobara;
2. Dyskusja.

Treścią tymczasowego doniesienia jest problem podróży transgalaktycznych.

Nigdy jeszcze czas nie włókł się tak nieznośnie jak tego dnia. Pracując w szpitalu, nieustannie spoglądałem na zegar; postanowiłem przyjść na posiedzenie o piątej, ale jakby przypadkowo udałem się w pobliże Dużej Sali Zakładu Biofizyki o czwartej, w przekonaniu, że nie będzie tam nikogo; jakież było moje zaskoczenie, kiedy z daleka już usłyszałem szum głosów. O piątej dwadzieścia sala była pełna po brzegi. Z mego miejsca w górnym rogu amfiteatru widziałem morze poruszających się głów; we wszystkich przejściach stali stłoczeni ludzie; wolna była jedynie wąska przestrzeń pod wielkimi, czarnymi tablicami. Znajdowała się tu cała załoga Gei; pracownice i pokłady opustoszały, jeden tylko człowiek, dyżurny astrogator, był nieobecny, ale on dzięki telewizorom śledził z centralnej sterowni bieg

wypadków.

Z uderzeniem godziny szóstej przez boczne drzwi przy katedrze wszedł Goobar. Wstąpił na wzniesienie, przez dłuższą chwilę przebierał wśród kawałków geometrycznie ułożonej pod tablicą kredy, zanim wybrał jeden, potem odwrócił się, skłonił lekko i zaczął mówić.

Rozpoczął od wyliczania szeregu powszechnie znanych faktów, wspominając o migotaniu świadomości przy dochodzeniu do szybkości progowej i o próbach jej przekroczenia, które kończyły się śmiercią eksperymentatorów. Na koniec tego zwięzłego wstępu rzekł:

— Większość specjalistów sądziła, że podróże z szybkością przekraczającą 190 000 kilometrów na sekundę nigdy nie dadzą się urzeczywistnić, nieliczni zaś wyrażali nadzieję, że uda się odkryć środki chroniące człowieka przed zgubnym działaniem szybkości nadprogowej. Ponieważ powszechnie uznana teoria procesów życiowych wyklucza możliwość odkrycia takich środków, ci ostatni specjaliści zakładali, że okaże się ona fałszywa i zostanie obalona. Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie wychodziłem z założenia pierwszej ani drugiej grupy kolegów. Z pozycji pierwszej nie, gdyż przyjęcie jej założeń uznaje wszelkie badania w tej dziedzinie za skazane z góry na niepowodzenie, z pozycji drugiej także nie, ponieważ istniejące teorie naukowe zostają zastąpione nowymi nie dlatego, że są fałszywe — ten okres rozwoju nauki już minął — ale dlatego, że nowa teoria jest zawsze ogólniejsza od starej i mieści ją w sobie jako pewien wypadek szczególny. Tak więc postawiłem sobie za zadanie odkrycie takiej nowej teorii procesów życiowych.

Przez salę przeszedł lekki szmer.

Goobar wypisał na tablicy znane każdemu energetyczne równanie żywej komórki i otrzepując palce z kredy ciągnął:

— Koledzy są zaskoczeni moim twierdzeniem, że może istnieć teoria bardziej ogólna od tej, jaką wyraża napisany wzór. Istotnie, obejmuje on wszystkie znane przebiegi procesów życiowych w organizmach ziemskich, od najprostszych, jak bakterie, do najwyższych, jak człowiek. Czy jest więc do pomyślenia teoria jeszcze ogólniejsza? Jedyłą możliwością widziałem w takim ujęciu: Życie ziemskie jest tylko pewnym szczególnym przypadkiem czynnego trwania istniejącego w planetarnych systemach wszechświata. Na innych globach wegetować mogą ustroje powstałe inaczej niż ziemskie. U nas życie przejawia się zawsze pod postacią bytowania związków białkowych; otóż dawno już wyrażono przypuszczenie, że mogą istnieć struktury podobne do białka, zbudowane na szkielecie atomów krzemu, tak zwane silikolipidy. Opierając się na tym rozumowaniu, postanowiłem szukać najogólniejszego prawa rządzącego powstawaniem wszystkich form życia, jakie tylko mogą powstać w milionowych układach planetarnych kosmosu. Możliwość stworzenia takiej teorii w oparciu o eksperyment była wykluczona, gdyż nie posiadamy nawet cienia wiedzy o tym, jak takie nieznanne organizmy mogą powstawać; jedyną dostępną drogą była dedukcja poszukiwanej teorii w oparciu o najbardziej powszechne prawa obowiązujące w całym kosmosie, to jest prawa materii martwej. Jak wiadomo, dla odzwierciedlenia przebiegów życia w ustrojach ziemskich stworzona została nowa gałąź matematyki, zwana biotensoryką; otóż postawiłem sobie za zadanie odnaleźć jej matematycznych „krewnych” i mogę powiedzieć, że się to naszemu zespołowi po latach pracy udało.

Znowu rozległ się szmer podobny do głuchego westchnienia, które falą przeleciało przez zgromadzonych i zaraz ucichło.

Goobar nakreślił pierwszy wzór, przekrzywił głowę, przez chwilę przypatrywał mu się i zaczął bardzo szybko pisać. Równania wynikały jedne z drugich, w martwej ciszy głucho skrzypiała kreda, czasem okrucz jej stuknęła spadając na podłogę. Powoli tablica pokrywała się trudno czytelnymi znakami. Już dawno straciłem wątek wywodu i dalsze jego postępy mogłem poznawać tylko po zachowaniu się uczonych. Ci, którzy początkowo notowali, odłożyli podręczne aparaty. Wychyleni w przód z krzesel, śledzili każdy pojawiający się wyraz, czasem marszczyli czoła, niekiedy twarze ich nieruchomiały, to znowu pojawiał się na

nich rodzaj nieznacznego uśmiechu czy ulgi, jak przy dostrzeżeniu w obcej ciżbie znajomej twarzy. Zarazem napięcie w całej sali nieustannie rosło; ten i ów chwycił obu rękami deskę pulpitu, jakby pragnął wstać i zapomniał o tym w pół ruchu; siedzący o jeden rząd przede mną Tembbara oblizywał wysychające wargi, a jego sąsiadka, Czakandzan, przyłożyła płasko obie ręce do skroni, jakby pragnąc odgrodzić się od wszystkiego, co nie było rosnącym węzłem równań, które wypełzły wreszcie aż po ramę tablicy. Goobar nie zawahał się ani przez chwilę i pisał dalej na lśniącej, mahoniowej boazerii, aż skończył pierwszy ciąg, wtedy odezwał się:

— Teraz zmienimy sobie wyznaczniki...

I nacisnął kontakt. Mechaniczny suwak wzniosł w górę zapisane tablice, opuszczając na ich miejsce nowe; uczony dmuchnął na dłoń zasypaną białym pyłem i pisał dalej. Nagle przystanął, znowu przyjrzał się wzorom z przekrzywioną ptasio głową i rzekł swoim lekko schrypniętym głosem:

— A teraz podstawimy wszędzie jednorodne pola i otrzymamy...

Wypisał krótkie, dwuwyrazowe równanie, mówiąc:

— Jak widzicie, wzór, sprowadzony do postaci najogólniejszej, wykazuje nieuchronność ustania procesów życiowych powyżej szybkości progowej. Inaczej mówiąc, musi wtedy nastąpić śmierć.

Krótki odgłos, jak zdławione westchnienie jednej olbrzymiej piersi, wstrząsnął powietrzem. Goobar, niewzruszony, mówił dalej:

— To jest zupełnie pewne. Śmierci nie da się uniknąć. W tym miejscu wywód ten się kończy. Przez długi czas nie widziałem wyjścia, wydawało mi się, że dalszej drogi nie ma, ale tak nie jest. Co się stanie, pomyślałem, jeśli postawić zagadnienie na głowie, jeśli porzucić sposób powszechnie przyjęty i wyjść nie od strony życia, ale właśnie — od strony śmierci? Jeśli za dany przyjąć właśnie ustrój zabity szybkością, zabity gwałtownie, i sprowadzić go do szybkości niższej?

Goobar znowu zwrócił się ku tablicy, wytarł kilka znaków rękawem i pisał, mówiąc jednocześnie:

— Podstawimy sobie jeszcze raz stałe pola... Teraz transmutacja garganowska... i mamy...

Wypisaną formułę obwiodł ramką. Jeszcze kreda w jego palcach nie oderwała się od czarnej deski, gdy rozległ się zdławiony, chóralny okrzyk. Spojrzałem na salę. Mechaneuryści, biologowie, matematycy zerwali się ze swych miejsc i zastygli, jak rażeni piorunem dziwu; jedni pochyleni, inni ciężko oparci o pulpity wpatrywali się płonącymi oczyma w tablicę. Goobar otarł z czoła grube krople potu,

odwrócił się do amfiteatru i jakby nie dostrzegając tego, co się z nim działo, ciągnął:

— Jak widzicie, śmierć następująca przy przekroczeniu szybkości progowej jest odwracalna... Kiedy przyśpieszenie wzrasta powoli, następuje stopniowe obumieranie ustroju; rozpadające się zespoły enzymatyczne zaczynają trawić i niszczyć tkanki, zachodzi więc rozkład. Jeżeli jednak szybkość progową przejść nagle, cała molekularna struktura organizmu zostanie jak gdyby unieruchomiona, a gdy równie nagle zejdziemy potem do szybkości niższej, wszystkie funkcje tkanek ruszą tak, jak rusza pchnięte wahadło wstrzymanego na jakiś czas zegara. Jakie przyśpieszenie należy nadać ustrojowi dla wyjścia poza szybkość progową w strefę śmierci odwracalnej? Wzór odpowiada: przyśpieszenie dwustokrotnie większe od ziemskiego, innymi słowy, organizm będzie ważył 200 X masa spoczynkowa, człowiek więc — około półtony. Takie przyśpieszenie nie zabije go, jeśli działać będzie tylko przez bardzo drobny ułamek sekundy, a więcej nam nie trzeba. W taki sposób można, mówiąc obrazowo, przebić zaporę szybkości granicznej. Jakie są dalsze perspektywy? Wyobraźmy sobie, że mamy raketę z załogą ludzką, która osiąga szybkość podprogową, a potem jednym skokiem przechodzi do chyżości większej. Następuje całkowite

prawie wstrzymanie wszelkich funkcji życiowych, możemy więc powiedzieć, że podróżni ulegli śmierci, jednakowoż jest ona odwracalna i po bardzo długim czasie, kiedy rakietę równie nagle przeskoczy z szybkości nadprogowej do progowej — ludzie ożyją. Podkreślić należy fakt, że stan tak sprowadzonej odwracalności śmierci albo, jeśli wolicie, rodzaj najgłębszego letargu, może trwać dowolnie długo: setki lat albo ich tysiące, gdyż w rakiecie poruszającej się z szybkością, powiedzmy, 999/1000 c, upływ czasu praktycznie ustaje, bo ustają procesy życiowe, a więc tym samym także i procesy starzenia się. Tak tedy rakietę może przedsięwziąć wyprawy do dowolnie odległej części wszechświata. Choćby podróż trwać miała i 100000 lat, do celu dolecą ci sami ludzie, którzy wyruszyli z Ziemi, a nie ich późni potomkowie; ludzie ci nie będą podlegać ani starzeniu się, ani jakimkolwiek trudom podróży; ów ogromny okres czasu nie będzie dla nich w ogóle istniał, gdyż nie będą przez ten czas świadomi. Jak widzicie, rozwierają się tu perspektywy nieporównanie rozleglejsze, niż gdybyśmy istotnie mogli podróżować żywi bez zwolnienia upływu czasu, bo w tym wypadku trwanie podróży zawsze musiałyby mieścić się w granicach życia jednego pokolenia. Możemy więc powiedzieć, że natura jest dla nas niezmiernie przychylna...

Ten nowy sposób podróżowania — kontynuował Goobar — musi za sobą pociągnąć doniosłe konsekwencje psychosocjologiczne. Najpierw jest to w ogóle pierwszy dostępny nam sposób dowolnego hamowania i przyspieszania upływu czasu, a tym samym starzenia się naszych ciał; jest to sposób, z pomocą którego człowiek, pogrążony w odwracalnej śmierci, może przeskakiwać niejako całe wieki i dożyć najdalszej przyszłości. Nasuwa się tu niezmiernie wiele problemów, poruszę tylko jeden. Oto grupa ludzi, wyruszająca w głąb Galaktyki, powróci na Ziemię po kilku setkach czy nawet tysiącach lat. Ludzie ci opuszczają społeczeństwa na określonym etapie rozwoju, pozostawiają na Ziemi swych bliskich, przyjaciół, wychowani są w konkretnej formacji kulturowej, mają ustalone obyczaje, nawyki i zamiłowania w dziedzinie sztuki, życia codziennego, pracy naukowej i tak dalej. Otóż powrócą oni do społeczeństwa, które jest im całkowicie nieznane, albowiem nieustannie rozwijało się przez wieki, podczas gdy oni zatrzymali się na tym etapie, jaki istniał w chwili opuszczenia przez nich Ziemi. Widzę tu znaczne trudności. Powracająca grupa będzie w niemałym stopniu wyobcowana ze społeczeństwa ziemskiego, jeżeli zaś, a to, jak sądzę, nadejdzie — wyprawy transgalaktyczne i jeszcze dalsze staną się zjawiskiem powszechnym, to co jakiś czas powracając będą na Ziemię okręty z ludźmi rocznika 3100, 3200, 3500, 4000 i tak dalej; będzie więc powstawało osobliwe sąsiedztwo rozmaitych pokoleń i muszą zostać wynalezione nowe formy wzajemnego współżycia, które przyspieszą wchłonięcie owych powracających grup przez społeczeństwo.

Są to oczywiście problemy bardzo dalekiej przyszłości i ona sama będzie się z nimi musiała uporać; wspominałem o nich, bo uważam, że charakterystyczny dla postępu jest proces wynikania nowych trudności w chwili, kiedy otwierają się przed nami nowe obszary życia... To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Goobar odłożył kredę.

— Czy są jakieś pytania? — rzekł nie patrząc na salę. Chusteczką próbował bezskutecznie zetrzeć zaskorupały pył kredowy z palców.

Już pod koniec wykładu kilkadziesiąt osób wyszło przed pierwsze krzesła, teraz wszyscy opuszczali ławki i spływając przejściami w dół, tłoczyli się przed tablicą, jak gdyby przyciągani przez łańcuch wypisanych brzydkim pismem formuł. Mijający mnie Trehub popatrzał nie widzącym spojrzeniem, poruszył wargami, jakby chciał mówić, ale nie wydał głosu i znowu zwrócił się ku tablicy.

Spojrzałem na Goobara. Bardzo zmęczony, oburącz opierał się o stół. Szukałem w jego twarzy dumy, triumfu z nadludzkiego osiągnięcia, którym cały wszechświat stworzył przed ludźmi. Nic takiego nie było w niej. Patrzył na stojących bez ruchu, wciąż jeszcze milczących ludzi i prawie niepostrzeżenie uśmiechnął się tym samym uśmiechem, który podglądałem w

próżni, zwróconym do nieskończonej przestrzeni gwiazd.

Trudno wyrazić nastrój, jaki ogarnął nas po wykładzie Goobara. Gdy przeminęło pierwsze wrażenie, gdy szczegółowe doniesienia zostały wyrzucone w stronę Ziemi pod postacią pęku fal radiowych (dotrzeć miały do niej dopiero po dwu z górą latach), utworzona umyślnie międzygrupowa rada organizacyjna rozdzielać poczęła pomiędzy badawcze zespoły programy nowych prac, związanych z projektami podróży transgalaktycznej. Konstruktorzy przystępowali do obliczania rakiet nowego typu, zdolnych przebijać zaporę szybkości progowej, mechanicy mieli opracowywać nowe rodzaje automatów, niezbędnych do sterowania taką rakieta; pracy było w bród i stało się jasne, że zespół Gei zdoła podźwignąć zaledwie drobną jej cząstkę. Goobar i inni biofizycy także nie zamierzali spocząć na laurach, lecz poszukiwali dalszych konsekwencji teorii. Wszystko to działo się z jakąś, chciałoby się rzec, zorganizowaną pasją, która zapaliła ludzi; zarazem na statku panował odświeżony, jasny spokój; trzy godziny wykładu dały nam tak wiele sił do przewyciężenia próżni, że przestaliśmy niemal dostrzegać lodowaty mrok, trwający nadal wokół Gei. Wieczorem następnego dnia nie mogłem powstrzymać uśmiechu, ujrawszy na galerii gwiazdowej dziesiątki towarzyszy przechadzających się jak w pierwszych dniach podróży, nie, jeszcze swobodniej: przystając wskazywali sobie odległe konstelacje jak światła miast, które trzeba w przyszłości zwiedzić.

Późnym wieczorem udałem się do Ter Haara; historyk zaprosił przyjaciół: Ametę, Zorina, Nilsa, Tembharę, Rudelika i mnie na lampkę wina, aby, jak powiedział, uczcić nasz wielki triumf w domowym kręgu.

Zasiedzieliśmy się u historyka do późnej nocy. My, którzy dotąd znową milczenia okrywaliśmy zagadnienia kosmodromii galaktycznej, rozprawialiśmy o niej teraz jak o dawno przeczuwanej oczywistości. W pewnej chwili, już dobrze po północy, Ter Haar, który nie odzywał się prawie przez cały czas, rzekł:

— Wiecie, że Gei nie da się przebudować na okręt „nadprogowy”?

— Oczywiście — odparł młody Rudelik. — Moc silników jest zbyt mała, poza tym trzeba zupełnie nowych automatów.

— Jeszcze trzy prawie lata dzielą nas od celu — ciągnął historyk, jakby nie słyszał tej uwagi — potem nastąpią badania planet Centaura, które przeciągną się chyba na dwa lata albo i więcej, potem osiem lat drogi powrotnej — razem siedemnaście lat; będziemy już dobrze niemłodzi, gdy znajdziemy się na Ziemi. Następna wyprawa, ta „prawdziwa” śródgalaktyczna, wyruszy nie tak prędko; musi upłynąć niemały czas na próbach i eksperymentach...

— Więc cóż z tego? Nie rozumiem, po co to mówisz, profesorze? — spytał niecierpliwie Rudelik. My także nie bez zdziwienia spoglądaliśmy na historyka, który, nie zbity z tropu, kontynuował:

— Żaden z nas nie wyruszy zapewne nigdy w przestrzeń galaktyczną... a więc, na dobrą sprawę, nic w naszym życiu się nie zmieniło. Wszystko jest po staremu; odkrycie Goobara w najmniejszej mierze nie wpłynie na nasze losy — ani teraz, ani w przyszłości — nieprawdaż?

Po chwili powszechnego zdumienia Rudelik zakrzyknął:

— Ależ co ty mówisz! Jak to, jesteś chyba ślepy, jeśli nie dostrzegłeś tego, co się dzieje na Gei!

— Dostrzegłem, owszem, i pragnę właśnie poznać przyczynę tego podniecenia, gdyż, jak powiedziałem, losy nasze...

— Dobryś sobie, nie zmienią się! — gniewnie dokończył Rudelik. — Ty mówisz, że nic się w naszych losach nie zmieniło, a ja ci powiadam, że wszystko. Profesorze! Człowieku! Alboż to nie byłeś z nami przez te cztery lata, alboż to nie czułeś tego straszliwego ucisku czekania, które — wciąż zwalczane, wciąż odrzucane — powracało pod coraz to nową

maską? I żadnej nadziei na przyszłość — starczyło wyobrazić sobie, że do gwiazd niewiele dalszych od alfy Centaura lecieć będą okręty po trzydzieści, po czterdzieści lat, że podróż będzie wiecznym więzieniem, że próżnia będzie połykać statki i oddawać Ziemi starców lub dzieci nie znające prawdziwego błękitu, że poza granicę jakiegoś Syriusza nie wyrwiemy się nigdy — dość było to sobie uświadomić, powiadam, żeby ręce człowiekowi opadły... A teraz wiemy, że podróże będą wyglądały zupełnie inaczej, że postawimy tamę zalewowi próżni, że nie tylko nie będzie ona zżerała, niszczyła życia, zmieniając je w ciągnące się przez lata, potworne wyczekiwanie, ale że ludzie nie będą jej odczuwali. Mało tego! Że podróżując, powiedzmy, z Eurazji do Australii, człowiek może będzie się starzał więcej niż podróżując z Ziemi na Mgławicę Psów Gończych, gdyż na Ziemi nie umiemy wstrzymać upływu czasu, jak to będzie możliwe, a nawet nieodzowne w okręcie gwiazdowym!

— Wszystko to bardzo piękne — nastawał uparcie Ter Haar — ale mówisz wciąż o przyszłych wyprawach. No, dobrze, ale ty, znajdujący się nie na pokładzie tego „nad—progowego” okrętu gwiazdowego, lecz na „staromodnej” Gei, co ty masz z tego odkrycia?

Rudelik rozejrzał się po nas rozpaczliwie, kilka razy poruszył wargami, westchnął, wrzucił ramionami i nic nie powiedział.

Naraz Ter Haar roześmiał się. Śmiał się długo, sam jeden, nareszcie między jednym a drugim paroksyzmem wesołości wyrzucił:

— Nie... nie... Zaraz... Czekaście... Zacisnął powieki, strącił z nich łzę i rzekł:

— Musicie mi to wybaczyć. Nie miałem zamiaru bawić się waszym kosztem. Problem jest naprawdę ważki i ciekawy, mianowicie, jak bardzo wiele z tego, co stanowi najistotniejszą treść naszego życia, leży w istocie poza jego fizycznymi granicami!

— Tak — powiedział Nils — ale czy tak będzie zawsze? Czy ludzie zawsze będą umierać? Zapadła cisza, którą przerwał głos Tembary.

— Wyobraź sobie, Nilsie, przedmiot składający się z trzech prostych drążków spojonych ze sobą końcami. Jaka to będzie figura?

— Trójkąt.

— Słusznie. Kształt trójkątny powstaje w chwili takiego złączenia drążków bez względu na to, czy tego chcę, czy nie. Gdyby ktoś kazał mi połączyć tak te drążki, a jednocześnie oświadczył kategorycznie, że powstająca przy tym figura nie może być trójkątem, powiem jako konstruktor, że to jest zadanie nierozwiązalne — tak samo dziś, jak za miliard lat. Otóż przechodząc do twoich słów, odpowiedź zależy od tego, czy śmierć jest niezbędną dla istnienia życia, czy nie?

— Jak może być niezbędna? Przecież ona jest zaprzeczeniem życia.

— Jednostki — tak, ale nie gatunku. Gdybym chciał w jednym słowie zawrzeć odpowiedź na pytanie, co jest motorem ewolucji biologicznej, odparłbym: zmienność. Gdyby nie ona, pierwotna plazma, powstała w głębi oceanu archeozoicznego, wegetowałaby do dnia dzisiejszego pod taką samą postacią i nie wydałaby z siebie niewyobrażalnego bogactwa form roślinnych i zwierzęcych, z którego wyszedł człowiek. A teraz: dzięki czemu możliwa jest ta zmienność? Dzięki temu, że jedne formy ustępują innym, że przychodzi na świat potomstwo i w tym procesie zachodzą z pokolenia na pokolenie trudne do prześledzenia, drobne, lecz w milionach lat sumujące się zmiany, dające początek nowym gatunkom i typom. A przełożone na nasz zwykły język owo znikanie form rodzicielskich na rzecz potomnych, owo ustępowanie jednych pokoleń innym nosi nazwę śmierci. Bez śmierci nie byłoby zmienności. Bez zmienności nie byłoby ewolucji. Bez ewolucji nie byłoby człowieka. Oto odpowiedź na twoje pytanie.

— Udowodniłeś, że u podstawy konstrukcyjnych założeń ewolucji leży śmiertelność jej twórców — powiedział po długiej chwili Nils — na to zgoda. Ale jeżeli ewolucja nie potrafi wydać nieśmiertelności, może dokona tego człowiek?

Tembhara milczał.

— A jeśli nawet — rozległ się głos w głębi pokoju — a jeśli nawet...
Spojrzelismy tam. Mówił Ameta.

— Co to jest śmierć? Koszmarne przypomnienie nicości? Obraz tego wstydlwego prochu, w który się obrócimy? Wiedza o tym, że podejmując walkę z ziemią i niebem i gwiazdami zwyciężamy martwą materię po to, aby w nią wrócić? Tak. I jeszcze o tym, jak tlenie białek w naszych ciałach, rodzące muzykę i rozkosz, przechodzi w gnienie? Tak. Ale zarazem jest to źródło bezcennej wartości każdej chwili, każdego tchu, nakaz wyężenia najlepszych naszych sił po to, abyśmy zdążyli dokonać i przekazać nadchodzącym jak najwięcej, przypomnienie niewzruszonej odpowiedzialności za każdy czyn, bo nic z tego, co uczynione, nie daje się odwrócić ani zapomnieć w czasie tak małym jak życie człowieka. A przez to wszystko śmierć uczy nas kochać życie, a najbardziej innych ludzi, tak samo śmiertelnych, tak samo pełnych odwagi i lęku, tak samo wychylających się tęsknotą poza granice fizycznego istnienia i budujących z miłością tę przyszłość, której nie będzie dane im oglądać. Zyskując nieśmiertelność, musiałby człowiek zrezygnować z rzeczy najcenniejszej — z pamięci — bo jakież mózg ogarnąłby ogrom wspomnień, któremu na imię nieskończoność?

Musiałby posiadać zimną mądrość i bezlitosny spokój bogów, w których wierzyli starożytni, ale któż byłby tak szalony, by chciał zostać bogiem, jeśli może być człowiekiem? Kto chciałby żyć wiecznie, jeżeli może dać śmiercią życie innym, jak astrogator Songgram? Nie chcę takiego świata. Każde uderzenie mego serca jest pochwałą życia i dlatego powiadam wam: ja — nie dam sobie odebrać śmierci.

SŁOŃCA CENTAURA

Kierownikiem sekcji astrozoologicznej był profesor Entreul, bardzo rzeński i zapalczywy starzec, dobiegający dziewięćdziesiątki. Już na Gei ogłosił setną swoją pracę. W ciągu wiekowego blisko żywota stworzył systematykę istot zamieszkujących planety słońc odmiennych od naszego, a więc nadolbrzymów i olbrzymów, cefeid, radiogwiazd, białych i czerwonych karłów. Jak wiadomo, astrozoologia jest dziedziną, której kosztem chętnie się dowcipkuje. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli sobie uprzytomnić, że choć uprawiana jest od wieków, poświęcający się jej uczeni, poza kilkoma gatunkami porostów i mchów z Marsa, nie widzieli nigdy żywego organizmu spoza Ziemi. Dużo więc w niej jałowej spekulacji i tyle niemal zwalczających się szkół, ilu specjalistów. Entreul był między innymi odkrywcą (złośliwi mówili „wynalazcą”) zmysłu węchodotykowego, jaki według niego posiadać muszą istoty na planetach pogrążonych w wiecznej nocy. Zmysł ten umożliwia rzekomo nie tylko postrzeganie zapachów, ale i ukształtowanie przedmiotów, jakie je wydzielają. Posiedzenia sekcji astrozoologów, na których dyskutowano takie i podobne kwestie, były jednym, nie kończącym się pasmem sporów. Odwiedzało je zazwyczaj sporo gości, pragnących nie tyle rozszerzyć wiedzę o zaludnieniu innych światów, co ujrzeć Entreula miotającego w ferworze gromy na swych oponentów.

Raz, gdy na porządku dziennym znajdowało się zagadnienie wyglądu istot z układu planetarnego alfy Centaura, jakaś postać podniosła się z ostatniego rzędu foteli, prosząc o głos; był to profesor Trehub.

Antagonizm Entreula i Trehuba był powszechnie znany; trzeba powiedzieć, że znakomity astrofizyk robił niejedno, by go podsycić. To nazywał astrozoologię „płodem nie donoszonym o dziewięć wieków”, bo powstała o dziewięćset lat za wcześnie, by jej hipotezy mogły zostać sprawdzone lotami gwiazdowymi, to znowu, zagadnięty w kularach sali posiedzeniowej, jakie jest jego zdanie o ostatniej pracy Entreula, opowiadał, że „Ping Mua uczył się u Fu Czena sztuki zabijania smoków. Po sześciu latach mozolnej nauki opanował tę sztukę w doskonałości, ale nigdzie nie było okazji wypróbowania jej...”

Spytałem go raz, czemu żywi taką niechęć do astrozoologa. Odparł mi: — Wiadomo, że oni czują się najlepiej wtedy, kiedy jakaś gwiazda w ogóle nie ma planet. Wykładają wówczas z największą dokładnością, jak wyglądałyby stworzenia zamieszkujące planety tej gwiazdy, gdyby ona te planety posiadała. To są scholastycy XXX wieku. Mają za mało zaufania do natury, a za dużo do siebie.

Każde takie powiedzenie Trehuba dochodziło prędzej czy później do Entreula doprowadzając starca do pasji, w której czuł się zresztą doskonale, bo — jak mówiono — był to normalny stan jego umysłu.

Gdy więc Trehub poprosił o głos, astrozoologowie nastroszyli się, geście zaś wyciągnęli szyje, wietrząc jakąś nową złośliwość. Trehub najpoważniej w świecie oświadczył, że według niego człowiek w ogóle nie zdoła zobaczyć istot układu Centaura. Zapanowało pełne konsternacji milczenie, w którym dodał, że proponuje pewien eksperyment.

— Ja — rzekł — będę człowiekiem, przed którego oczami stoi właśnie taka żywa istota, a wy będziecie mnie pytać o jej wygląd. Jeśli na podstawie moich rzetelnych, szczegółowych i z najlepszą wolą udzielanych odpowiedzi zdołacie skonstruować nawet najbardziej ogólnikowy obraz tej istoty, uznam wasze zwycięstwo. W przeciwnym razie okaże się, że ja miałem rację.

Astrozoologowie naradzali się cicho. Entreul podejrzewał paradoks lub żart. Trehub zapewnił, że jego intencje są jak najpoważniejsze. Nareszcie Entreul wyszedł na środek sali i zaprosił tam Trehuba, który odpowiedział, że woli mówić z miejsca. Stary badacz fauny gwiazdowej wystawił chudą brodę jak do ataku i zaczął:

— Jak wielka jest ta istota?

— Czasem jest nieco wyższa niż człowiek, niekiedy staje się niższa, to znowu całkiem mała.

— Czy to znaczy, że kurczy się i rozszerza?

— Nie, dzieje się to zapewne w sposób podobny do tego, w jaki człowiek pozornie obniża swój wzrost kłękając, siadając lub pochylając się.

— A więc istota ta może kłękać, siadać i pochylać się. Czemu tego od razu nie powiedziałaś? — pytał rozgrzewając się Entreul.

— Mówiłem to tylko w odniesieniu do człowieka, gdyż aby kłękać, trzeba mieć nogi, by się pochylać, trzeba pleców, grzbietu — nic takiego u niej nie widzę.

— Czy ta istota ma członki?

— Zdaje się, że ma.

— Jak to zdaje się? Nie jesteś tego pewny?

— Nie.

— Dlaczego?

— To zależy od tego, co zaliczymy do członków. Gdyby stwór z innej planety po raz pierwszy ujrzał człowieka, mógłby dojść do wniosku, że człowiek posiada pięć członków, dodałby, że tym piątym wydaje głos i przyjmuje pokarmy, jeśliby uznał głowę za rodzaj kończyny. To brzmi dziwnie, ale to tylko konsekwencja pozaludzkiego punktu widzenia. Tak i ja widzę, owszem, części istoty pozornie wyodrębniające się w przestrzeni, ale nie wiem, czy nie są to tylko przewężenia jej torsu.

— A czy te „pozornie wyodrębniające się w przestrzeni części” nie są czasem sztucznego pochodzenia, jak na przykład obuwie lub odzież ludzi? — spytał Entreul i potoczył po nas wzrokiem, który zdawał się mówić: „Chciał mnie przechytrzyć, ale trafiła kosa na kamień”.

Trehub odpowiedział nie od razu i twarz starca poczęła przybierać wyraz triumfu, który rozwiewał się jednak w miarę tego, jak astrofizyk wyjaśniał:

— Nie wiem, co w tej istocie jest sztuczne, a co naturalne. Stwór spoza Ziemi także nie wiedziałby, gdzie kończy się nasza odzież, a zaczyna ciało. Może by przypuszczał, że pewne jego okolice pokrywa „zeszła wydzielina gruczołów odwłokowych”, jak mógłby nazwać odzienie. Ujrzawszy zaś człowieka na koniu, sądzić by mógł, że to jakiś rodzaj centaury, a gdyby w dodatku zobaczył jak jeździec zsiada z wierzchowca, gotów sądzić, że to jest akt dysocjacji jednego indywiduum na dwa. Tak więc może i to co widzę wcale nie jest jedną istotą, ale dwiema, a może nawet całym ich konglomeratem...

Entreul zżymał się, ale po chwili zastanowienia powiedział:

— Może zorientujesz się w tym, które części istoty są członkami, według czynności, jakie nimi wykonuje?

— Pytając tak, popełniasz błąd. Jak widzę, poczynasz się godzić z moim twierdzeniem, że istota zbudowana jest tak odmiennie od człowieka, że nie sposób obojga porównać ze sobą, ale przystawszy na to sądzisz, że jeśli jej ciało jest w niczym niepodobne do naszego, to może podobne są jej czynności, ale tu znowu, oczywiście nieświadomie, popadasz w antropocentryzm. Owszem, istota wykonuje rozmaite ruchy, ale zupełnie nie rozumiem ich znaczenia.

— Dobrze — rzekł Entreul. — Spróbujemy inaczej. — Zmrużył oczy, jakby skrywał ostrze następnego pytania, i rzekł: — Czy to jest kręgowiec?

Trehub powściągnął uśmiech.

— Pragniesz, dla poznania budowy istoty, zwrócić się do morfologii i fizjologii. Cóż, w taki sposób na pewno udałoby ci się niejednego o niej dowiedzieć, ale aby ci odpowiedzieć, musiałbym sam pierwszej przeprowadzić nad nią badania, a chciałem odpowiedzieć wyłącznie na pytania dotyczące jej zewnętrznego wyglądu. I cóż, czy możesz go naszkicować, choćby najbardziej pobieżnie?

Stary astrozoolog milczał.

— U podstaw myślenia każdego z nas — odezwał się Trehub — kryje się atawistyczne, nierozsądne przekonanie, że istoty rozumne z innego układu muszą być cieleśnie jakoś do nas podobne, chociażby w sposób najogólniejszy, karykaturalny, a nawet poczwarny. Tymczasem może być zupełnie inaczej. Ten, kto ujrzy taką istotę, może czuć się jak człowiek od urodzenia ślepy, któremu pewnego dnia przywracają operacją wzrok. Zamiast znanego nam, uporządkowanego, przestrzennego świata, obdarzonego wymiarami, wypełnionego rozmaicie zabarwionymi i ukształtowanymi przedmiotami, człowiek ten widzi tylko chaos poruszających się plam ciemniejszych i jaśniejszych i długo musi się uczyć, zanim przyporządkuje ten nowy świat starym doświadczeniom innych zmysłów. Być może, zanim nauczymy się naprawdę widzieć, to jest jednym rzutem oka ogarniać i pojmować budowę tych istot, będziemy pierwsi musieli poznać dzieje ewolucji życia na ich planecie, warunki środowiska, jakie je kształtowało, mnogość gatunków, która je poprzedziła, i wtedy dopiero to, co w pierwszym widzeniu wyda się chaosem, okaże się ładem i koniecznością, wynikłą z praw naturalnego rozwoju.

Entreul, zamykając dyskusję, nie uznał się oczywiście za zwyciężonego. Wygłosił długi wykład, w którym opisywał anatomię i fizjologię mieszkańców systemu Centaura, jakby ich znał od lat. Są według niego zbudowani z tkanek wysoko zmetalizowanych dla ochrony wnętrza organizmów przed przenikliwym promieniowaniem słońc, w przeszłości jaśniejszych od naszego. Trehub nie zabrał już głosu, tylko po zakończeniu posiedzenia odezwał się niby to do siebie:

— Z maszynami rozmawia się jednak przyjemniej; nie starają się upiększyć swoich błędów!

Entreul, który cieszył się bystrym słuchem, palnął rękami w katedrę aż huknęło i zawołał przez całą salę:

— Fakty zadecydują, kolego Trehub! Fakty zadecydują! Astronom skłonił się dworsko przeciwnikowi.

Upływał już siódmy rok podróży i zbliżała się chwila, w której wszystkie nasze oczekiwania, plany i nadzieje zetrzeć się miały z rzeczywistością.

Proxima świeciła coraz żywszą purpurą. Przez podręczne teleskopy widać było planety tego Czerwonego Karła — glob dalszy, przekraczający wielkością Jupitera, i bliższy, rozmiarami porównywalny z Marsem. Dwa inne składniki gwiazdowego układu, słońca A i B Centaura, posiadały wielkie rodziny planetarne. Oba jaśniały na naszym niebie jako gwiazdy oślepiającej białości, oddalone od siebie o kilka minut łuku. Nową, daleko słabszą parę stanowiły Syriusz i Betelgeuza, tworząc błękitno—czerwoną, pozorną gwiazdę podwójną.

Czerwony Karzeł rósł tymczasem tak powoli, że z dnia na dzień ani nawet z tygodnia na tydzień nie można było dostrzec różnicy, a jednak mrok galerii gwiazdowych nieuchwytnie rzedł, jego czerń słabła, rozproszona najśłabszą szarością.

Jakiegoś ranka ludzie zaczęli sobie coś wskazywać w tej najciemniejszą purpurą wypełnionej przestrzeni: przedmioty i ciała nasze zaczęły rzucać na pokład cienie.

Gdy odległość dzieląca nas od Karła zmalała do sześciu miliardów kilometrów, rozległ się dawno nie słyszany dźwięk sygnałów ostrzegawczych i odtąd powtarzał się każdego wieczoru: Gea zmniejszała szybkość. Zdumiewające było szukanie we wspomnieniu przytłaczających uczuć, jakie budził kiedyś ten sygnał, który teraz brzmiał jak fanfary zwycięstwa. Po szesnastu tygodniach hamowania okręt nasz zwolnił bieg do 4 000 kilometrów na sekundę i zbliżał się już do pierwszej planety Czerwonego Karła. Jego ekliptyka tworzyła kąt czterdziestu stopni z kierunkiem ruchu Gei. Astrogatorzy umyślnie nie wprowadzali statku w płaszczyznę obrotu planet, gdyż należało się spodziewać, że wypełnia ją, podobnie jak poblizze naszego słońca, pył meteorytowy, utrudniający manewrowanie.

Pierwszy glob minęliśmy w odległości czterystu kilometrów, astrofizycy i planetologowie pełnili nieustające, dobowe dyżury przy swych instrumentach obserwacyjnych. Nie zbliżyliśmy się do planety, gdyż był to skalny, zlodowaciały glob, okryty grubą powłoką zamarzłych gazów.

W dziewiętnastym dniu po minięciu jego orbity Gea szybowała w nieznacznej, bo zaledwie czterysta tysięcy kilometrów wynoszącej odległości od ekliptyki; pyłu kosmicznego wciąż jeszcze nie napotkaliśmy. Późnym wieczorem, gdy układałem się na spoczynek, odezwały się głośniki, oznajmiające, że za chwilę obserwatorium poda nadzwyczajny komunikat. Po minucie wyczekiwania rozległ się głos Trehuba, który powiedział, że przed kwadransem Gea przecięła strefę gazu o niezwykłym składzie chemicznym i teraz manewruje, by odnaleźć jej ślad.

Pośpiesznie ubrałem się i pojechałem na pokład gwiazdowy; choć minęła północ, roił się od ludzi. Daleko w dole, poniżej lewej burty, w mrokach, płonął Czerwony Karzeł w pozornie nieruchomym otoku języków płomienistych. Blask, jaki wysyłał, stanowił zaledwie 1/20 000 słonecznego, lecz próżnia była jak gdyby nasycona krwawo zabarwioną mgłą. Wyżej rozpościerała się wciąż jednaka ciemność. Wtem chóralny, krótki okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Gea weszła w strefę gazu, który świecił od zderzeń z powłoką okrętu; w jednej chwili burty owionęła blado drgająca poświata; pałając, rozpryskiwała się w smugi i gasła daleko w tyle za rufą, i tak pędziliśmy w chmurze widmowych rozbłysków. Niebawem Gea znowu weszła w próżną przestrzeń i ponownie, zwalniając jeszcze bardziej biegu, tak że niemal przystanęła w przestrzeni, wzniosła dziób w górę (wszystkie te manewry, jak zwykle, wywoływały wrażenie kołowania i obrotów nieruchomej strefy gwiazdowej) i powtórnie natrafiła na strumień niewidzialnego gazu. Był on niezmiernie rozrzedzony i gdy statek wszedł weń powoli, nie wydawał świecenia, dopiero gdy szybkość nasza wzmogła się do 900 kilometrów na sekundę, zjonizowane atomy poczęły błyskać wskutek zderzeń z pancierzem i u ścian galerii znowu zatrzepotały blade języki świetlne.

Zjawił się wśród nas astrofizyk, który skończył właśnie dyżur. Opowiedział, że według analiz smuga gazu, w jakiej się poruszamy, jest molekularnym tlenem. Wywołało to powszechne zdumienie, albowiem w próżni nie spotyka się skupisk wolnego tlenu.

— Astrogatorzy przypuszczają — rzekł astrofizyk — że weszliśmy w ogon jakiejś niezmiernie osobliwej komety, i skłonni są poświęcić nieco czasu dla jej odkrycia, dlatego Gea wpłynęła w głąb gazowej strugi i pędzi jak gdyby ją rozpruwając.

Struga ta, jak wyjawily po kilku godzinach obliczenia automatów, wykazywała zakrzywienia zgodne z przypuszczeniami, że stanowi ogon gazowy jakiegoś ciała kosmicznego, zbyt drobnego, abyśmy je mogli dostrzec. Następnego dnia, noc i jeszcze jeden dzień upłynęły na pogoni za uciekającą przed nami, wciąż niewidzialną głową komety. Dopiero trzeciej nocy, znowu bardzo późną porą, odezwał się we wszystkich głośnikach Trehub, oznajmiając, że główny teletaktor wykrył głowę komety, odległą od nas o dziewiętnaście milionów kilometrów.

Rozpoczęły się procesje do obserwatorium, jednakowoż głowa komety, widoczna jako błądny punkt w mrokach, przez długi czas nie zwiększała swej pozornej średnicy. Już wieczorem można było zmierzyć jej wielkość: nie przekraczała kilometra. Astrogatorzy uznali, że zbyt wiele czasu poświęcamy zagadce komety; problem to niewątpliwie doniosły dla astrofizyków, lecz koliduje z głównym celem podróży i obecnie winniśmy powrócić na porzucony kurs. Jednakże astrofizycy wyblągali jeszcze jedną noc pogoni za kometa; z uwagi na małe „zaludnienie” próżni w tym obszarze zwiększyliśmy szybkość do 950 kilometrów na sekundę i okręt, owiany coraz gwałtowniejszym pałaniem tlenu, leciał w ślad za głową komety. O piątej rano przez głośniki przemówił Trehub i od pierwszych jego słów wszystkie serca uderzyły gwałtownie, gdyż głos tego tak zawsze opanowanego człowieka drżał.

— Tu mówi Centralne Obserwatorium Gei. Rzekoma głowa komety nie jest ciałem kosmicznym, lecz sztucznym tworem, podobnym do naszego statku gwiazdowego.

Trudno opisać podniecenie, jakie zapanowało na pokładach. Okręt mknął dalej w prostej linii za uciekającą w mrokach bladą plamką; w obu obserwatoriach powstał taki natłok, że astrofizycy byli wreszcie zmuszeni wyprosić część ciekawych, gdyż utrudniali im pracę. Wówczas wszyscy, uzbroiwszy się w przyrządy obserwacyjne, jakie tylko były dostępne, skupili się na przedzie lewoburtowej galerii, skąd już gołym okiem dawał się dostrzec mgławicy punkt, poruszający się ospale po nieruchomym gwiazdowym tle.

Gdy dzieląca nas odległość zmalała do tysiąca kilometrów, Gea skierowała anteny nadawcze w stronę obcego statku i rozwinięszy całą moc emisyjną swych potężnych nadajników rzuciła mu wezwanie. Rozumiejąc, że nieznanne istoty nie pojną nas, nadawaliśmy bezustannie relacje trójkątów pitagoriańskich i inne proste stosunki geometryczne, lecz to nasze wołanie przez próżnię pozostawało bez odpowiedzi. Wycelowane w statek odbiorniki milczały.

Poczęliśmy wówczas sygnalizować światłami; z dziobowych wyrzutni poleciały w czarny przestwór flary atomowe, rozwijające się żyłami srebrnego ognia, rakiety sygnałowe, zielone i błękitne, ale majaczyły daleko statek dalej trwał pogrążony w zupełnym milczeniu.

Nareszcie po południu rada astrogatorów postanowiła wysłać lekki pocisk zwiadowczy; miały się na nim znaleźć tylko automaty. Jakoż o szesnastej czasu miejscowego koło dwustu osób, zgromadzonych na górnej galerii lotniska, patrzyło z wysokości, jak ciągniki przesuwały czternastotonowe, obłe cygaro na tor startowy, a do jego wnętrza wchodziły automaty w matowych zbrojach.

Pocisk pogrążył się w wyrzutni, wewnętrzne kłapy zawarły się i po chwili, gdy niewidzialny dla nas pierwszy astrogator nacisnął wyłącznik na pulpicie Centralnej Sterowni, wewnątrz Gei przeniknął głuchy, łagodny ton, jakby uderzenie gigantycznego zegara. Przez stalową konstrukcję okrętu przeszło niewyczuwalne prawie drgnienie; rakietę, wystrzeloną z dziobowej wyrzutni, oddzieliła się od statku, zatoczyła wokół niego pętlę i pomknęła do celu, sterowana falami radiowymi.

Udaliśmy się na pokład gwiazdowy, by śledzić stamtąd dalszy bieg wypadków. Niestety niewiele dało się widzieć, gdyż ponad nieznanym statkiem płonęły bliźniacze słońca Centaura, utrudniając obserwację oślepiającym blaskiem. Smuga rozrzedzonego tlenu nie świeciła już, gdyż wszystkie zespoły napędowe zostały wyłączone, i poruszaliśmy się tylko jako satelita Czerwonego Karła. Dzięki uprzejmości Pawła Borela dysponowałem stukrotnie przybliżającą lunetą: ustawiwszy ją w przednim zaułku galerii, mrużąc oczy od nieznośnego światła, widziałem, jak nasza rakietę, migocząc bladą językiem spalin atomowych, pruje mrok. Nareszcie podeszła do statku tak blisko, że zlała się z nim w jedną plamkę. Wylotowy ogień jej silników zgasł, widocznie zastopowała. Nadajniki rakiety były połączone bezpośrednio z publiczną siecią głośnikową Gei, tak że każda wieść, wysłana przez automaty, niezwłocznie do nas dochodziła. Pierwsza przysłała po jedenastu minutach od chwili startu. Brzmiała:

„Nieznany statek jest uszkodzony”.

Druga po dalszych trzech minutach:

„Staramy się wejść do wnętrza bez naruszenia powłoki”.

Potem nastąpiło milczenie. Astrogatorzy wysłali sygnał pytający, bez odpowiedzi. Serca nasze począł ścisnąć niepokój, nagle rozległo się jedno tylko słowo: „Wracamy” — i zarazem ujrzyliśmy błysk uruchomionego silnika.

Rakietę wykonała zwykły manewr, podeszła pod wnękę przyjmującą i wessana polem magnetycznym dostała się na pierwszy poziom lotniska osobowego.

Znowu zjechaliśmy windami na dół. Podwójne kłapy służby otworzyły się, dziób rakiety wychynał, znieruchomiał i pociągnięty stalowym ramieniem począł się wznosić ukazując cały kadłub. Mechanoautomaty z czterech naraz stron odkręciły sworznie kłapy wejściowej i

zapadła grobowa cisza, w której słychać było pracujący, wciąż jeszcze nie wyłączony chłodzący pulsator rakiety. Stało pod nią kilkanaście osób: astrogatorzy, fizycy i inżynierowie obsługi lotniska. Przez otwarty właz wydostały się pierwsze automaty i zjechały na platformę. Grotrian zadał im jakieś pytanie; odpowiedzi nie dosłyszeliśmy, tylko okrzyk, jaki wyrwał się stojącym. Z kolei kilka głosów zawołało z góry:

— Co one mówią?!

Grotrian podniósł pobladłą nagle twarz.

— One mówią, że tam są ludzie.

UNITED STATES INTERSTELLAR FORCE

W pół godziny później załoga Gei, zebrana na galerii lotniska, patrzyła, jak Lancelot Grotrian, jego asystent Piotr z Ganimeda, Tembhora, inżynierowie Treloar i Uteneut oraz Ter Haar wchodzą po trapie do wnętrza podstawionej na tor rakiety.

Drugą rakieta, towarową, z narzędziami i automatami, miał prowadzić samotnie Ameta, lecz w ostatniej chwili zdecydowano, że wyprawie może się przydać lekarz, i wybór padł na mnie.

Stałem na dnie hali obok pilota i próbowałem, obciążony próżniowym rynsztunkiem, przybrać jego niewymuszoną pozę. Ażurowa konstrukcja stropu, tory pochylone ku lejmom startowym, kadłuby raket, wszystko jaśniało łagodnym srebrem berylu, o jeden ton ciemniejszym od srebra naszych skafandrów.

Gdy kłapa wjazdu została zamknięta za ostatnim człowiekiem, wielki, stalowy tłok wyszedł ze ściany i wepchnął pocisk do studni wyrzutowej. Rozległ się stłumiony łoskot katapulty. Minęło dwadzieścia sekund, zanim na tarczy sygnalizatora zapłonęło zielone światło. Tłok cofnął się i wsunął na oswobodzony tor drugą rakieta. Weszliśmy na jej grzbiet.

Chciałem jakimś gestem pożegnać zgromadzonych na górze towarzyszy, lecz panowało tak skupione milczenie, że opuściłem przyłbicę i za Ameta zanurzyłem się we wnętrzu pocisku.

W dziobie było ciasno. Ledwo ułożyłem się przy pilocie i zapiąłem pasy, rozległ się sygnał, kontrolne światelka steru zapłonęły i pocisk, pchany stalową łapą, obsunął się w głąb tunelu. Zagrzmiało. Poczulem gwałtowny wzrost wagi ciała. W kolistym oknie przed głową Amety zaczęło czernieć niebo. Lecieliśmy.

Zataczając przepisową pętlę wokół Gei, Ameta włączył silniki małą mocą. Dopiero kiedyśmy wyszli z pobliża okrętu, sakramentalnym ruchem oburącz wcisnął dźwignie akceleratorów. Nie tyle uszami, co całym ciałem, zawieszony na sprężynującej tkaninie, wyczułem głęboki, śpiewny ton, z jakim gazy atomowe wyrwyją się z dysz.

Pragnąłem zajrzeć w okno, by odnaleźć pierwszą rakieta, lecz nie było to łatwe z uwagi na ciasnotę kabiny. Raz i drugi twarz Amety oblało krwawe łyśnięcie i w szybkach zegarów zadrgały rubinowe iskry — to przy zwrotach pocisku Czerwony Karzeł zaglądał w okno i buchał w nas nie grzejącym blaskiem. Podniosłem się na łokciach. Widziałem tylko odgięte w tył, trzepoczące płomienie, bijące z dzioba; zmniejszaliśmy szybkość hamownicami.

Uniosłem się wyżej i nagle ujrzałem nieznany statek. Przypominał wrzeciono o jednakowo zaostrzonym dziobie i ogonie. Wtem poprzez środek jego korpusu zaświeciła daleka gwiazda. Pomyślałem, że jest przezroczysty, ale zaraz zorientowałem się w pomyłce. To nie był wcale pojazd międzyplanetarny, lecz rodzaj prymitywnego sztucznego księżycyca. To, co brałem za zaostrzony kadłub, było w istocie pierścieniem widzianym w bocznym skręcie.

Rzekomy statek rozrastał się gwałtownie, jakby rozdymany, pęczniał z niesłychaną szybkością; jest to typowe dla próżni złudzenie; tak właśnie wygląda zbliżający się cel drogi. Ameta znowu włączył deceleratory i zrobił zwrot. Statek przepłynął w dole pod nami. Przypominał wielkie koło szprychowe z przyplaszczoną piastą. Obracał się wolno i rury jego szprych sunęły leniwie po czarnym tle głębin, jakby mieląc gwiazdy. Ze środka wznosiła się podparta kratową wieżą tarcza lądowiska. Krążyliśmy, a pierwsza rakieta schodziła już w dół. Nie zatrzymała się na pomoście lądowiska, lecz opadła niżej i migocąc rytmicznie płomieniem silników przystosowała swój ruch do obrotów pierścieniowego obrzeża satelity, zawisła nad nim, wyrzuciła z dziobowej hamownicy krótki płomień, wysunęła magnetyczne zaczepy i przytwierdziła się do satelity w miejscu, w którym na jego powierzchni ciemniała nieregularna plama.

Ameta poruszył nieznacznie dźwigniami. Runęliśmy w dół. Płaska tarcza lądowiska potworniała w oczach, zakryła niebo, mogło się zdawać, że przebijemy je na wylot jak kula.

Tuż nad nią rakieta zadarła dziób i wzbiła się pionowo w czarny przestwór. Nasz podługowaty cień prze—śmignął błyskawicznie po rowkowanych blachach, czerwieniejących mętnie w świetle Karła. Teraz, gdy znowu nabraliśmy wysokości, dostrzegłem litery biegnące płasko przez całą szerokość lądowiska. Tworzyły słowa:

FOR ARMY JETS ONLY

Ameta zrobił pętlę i wprowadził rakietę w obieg sztucznego księżyca. Znaleźliśmy się w płaszczyźnie jego okręgu i mknęliśmy po zacieśniającej się spirali. Srebrny pierścień satelity powiększał się, aż wypełnił sobą całe okno, wypierając czarne, ugwieżdżone niebo, na przemian zalany mrokiem i pałający w blasku Czerwonego Karła. W miarę jak Ameta naciskał hamownicę, te zmiany światła i ciemności stawały się coraz wolniejsze.

Wytracaliśmy szybkość. Kilkadziesiąt metrów za oknem uciekała gwałtownie w tył metalowa burta satelity. Ciemniały na niej jakieś znaki nieczytelne, gdyż różnica chy—żości zmieniała je w trzepocące smugi. Jeszcze jeden wytrysk płomieni z dziobu i sunąca nam naprzeciw wypukła, srebrna ściana zmniejszyła pęd tak dalece, że smużące pasma rozpadły się w litery. Odczytałem:

A. I. S. O. 6

Ameta po raz ostatni włączył deceleratory. Poprzez bijący z dzioba błądny płomień widać było przebiegające litery:

U-N-I-T-E-D S-T-A-T-E-S

W oknie mignęło wysięgowe ramię kratowe i ukazały się dalsze słowa:

I-N-T-E-R-S-T-E-L-L-A-R F-O-R-C-E

Przeplęnęła pusta część burty, tak powoli i blisko, że wyraźnie znaczyły się podłużne zgrubienia w miejscach spojeń. 'Potem przesunęła się wielka pięcioramienna gwiazda i znowu litery:

A. I. S. O. 6 UNITED

Napis powtarzał się. Zrobiliśmy pełne okrążenie.

— Co znaczą te słowa? — spytałem Ametę.

— Nie wiem — odpowiedział nie odwracając głowy. Pocisk drgnął. Zatrzymaliśmy się tuż obok pierwszej rakiety. To, co wyglądało jak plama, było wielkim otworem przebitym w powłoce pierścienia. Towarzyszy nie widziałem, musieli wejść już do wnętrza satelity. Ameta otworzył tylną lukę, zawezwał mechanoautomaty, odpiął pasy i wyszedł na zewnątrz.

Towarzysze przymocowali do powierzchni pierścienia linę, rozpiętą na prowizorycznych zaczepach. Chwyciliśmy się jej mocno, gdyż sztuczny księżyc wirował i powstająca siła odśrodkowa mogła nas łatwo wyrzucić w pustą przestrzeń. Staliśmy na wielkim, srebrnym kolisku. Toczyło się leniwie wraz z nami; wrażenie było takie, że satelita spoczywa nieruchomo pod majestatycznie kołującą, czarną sferą gwiazd. Daleko w górze płomienistą kulą krążył Czerwony Karzeł. Pomost centralnego lądowiska, wzniesiony nad poziom pierścienia, rzucał w jego świetle długi cień, który to pochłaniał nas, to opuszczał. Chciałem jeszcze poszukać wzrokiem Gei — winna się była znajdować gdzieś na tle gwiazdowej chmury Strzelca — ale Ameta pograżył się już w otworze. Ruszyłem za nim.

Znaleźliśmy się w korytarzu biegnącym wewnątrz pierściennej rury. Wielki otwór stworzył niewątpliwie jakiś meteor, który przebił ją na wylot. W pobliżu przestrzelmy ściany korytarza były silnie zwichrowane. Rozprute blachy poszycia ukazywały skręcone żebrowanie, a podłoga, zgnieciona w harmonię, utworzyła wysokie fałdy, przez które trzeba było przestępować. Rozmiary deformacji świadczyły o lichocie budulca.

Doszliśmy do pierwszych drzwi w pionowej, płaskiej grodzi. Powierzchnię ich paciorkowały biegnące gęsto na krzyż uwypuklenia; inżynierowie powiedzieli mi potem, że były to tak zwane nity, którymi ongiś spajano ze sobą arkusze blachy.

Drzwi były wpólotwarte; cztery powierzchniowe rysy na ich płycie świadczyły o tym, że tędy właśnie przeniknęły do wnętrza statku wysłane poprzednio z Gei automaty. Wąskim przejściem dostaliśmy się do rodzaju kwadratowego przedsionka; w ścianie stały otworem drugie drzwi. Ameta wszedł tam pierwszy. Spoza jego barków dostrzegłem towarzyszy.

Stali pośrodku długiego, dość obszernego pomieszczenia; wszyscy zapalili naramienne lampy skafandrów i dzięki temu było tu dość jasno. W ścianach widniały szafki, niektóre pootwierane; z głębi błyskało szkło. Na dwu szeregach stołów wznosiły się sterty porcelanowych i szklanych kolb, alembików i czarek; pod stołami wały się w stosach ceramicznych skorup bańki kropłowatego kształtu. W jednym kącie stał jak gdyby oszklony wyciąg dymowy, w drugim ział kwadratowy otwór. Któryś z towarzyszy rzucił w głąb strumień światła: odbiło się w brzuchach ogromnych butli, wypełnionych brunatną, zakrzepłą mazią. Zauważyłem ze zdziwieniem, że strop, ściany i podłogę tego pomieszczenia pokrywa ołowiany pancerz. Na odprysku szkła, wystającym ze stosu odłamków, widniały jakieś litery. Chciałem wziąć go do ręki, gdy Grotrian odezwał się podniesionym głosem:

— Nie ruszaj niczego; chodźcie prosto, tędy — wskazał nam przejście między stołami.

— Co to jest? — spytałem. Uteneut manipulował przy mechanoautomacie.

— To są kultury bakteryjne — odparł Grotrian. — Mogły przetrwać w niskiej temperaturze.

— Ależ promieniowanie kosmiczne dawno musiało je zabić... — zacząłem i urwałem, gdyż naraz stało się dla mnie jasne przeznaczenie ołowianej osłony.

Grotrian puścił snop światła na sine oblicowanie ścian.

— Ten pancerz chronił bakterie, ale zaraz wszystko wysterylizujemy — powiedział. Mechanoautomat podniósł głowicę promieniującą; wyrzucał strumień promieni nadfioletowych, zabójczych dla drobnoustrojów. Astrogator polecił napromieniować także nasze skafandry, po czym ruszyliśmy dalej.

Tak rozpoczął się pochód w głąb sztucznego satelity. Mroczny, wciąż pod górę wiodący korytarz zalegało bezwzględne, wszystko chłonna milczenie próżni, w którym nasze stąpanie ginęło bez echa. Z podłogi przy każdym kroku wstawał chwiejnymi kłębami nieważki pył i owiewał nas, leniwie falując, aż po barki, to srebrnie iskrzący się w smugach naramiennych reflektorów, to krwisty w świetle Czerwonego Karła, które padało z góry przez okrągłe iluminatory sufitowe; szkliste przyłbice idących przede mną zapalały się w nim rubinowo. Z na pół przezrzystych kłębow kurzu czy mgły wynurzały się ściany i przedmioty, wszystkie pokryte siwym nalotem, stłoczone ciasno, bliskie na wyciągnięcie ręki; mogło się zdawać, że wewnątrz tego pierściennego kręgu zabudowały jakieś karły, tak cisnęły się przegrody i aparaty, tak nisko trzeba było schylać głowy w drzwiach. Przeszliśmy przez rodzaj magazynu zawalonego stalowymi butlami; dalej znowu ciągnął się korytarz z grzęznącymi w obłokach kurzu kręgami czerwonego światła. Kończył się drzwiami większymi od innych. Pierwszy z idących startł rękawicą białą szron z umieszczonej nad nimi tablicy; był tam napis:

WELCOME, BOYS, IN THE AMERICAN UNIVERSE!

Grotrian pchnął skrzydło drzwi i zamarł na progu, zagradzając nam drogę. Zajrzałem do

wnętrza przez jego ramię. Dwa snopy światła naszych lamp oświetliły wysoki pokój, z obu stron zastawiony rusztowaniami, które wzięłem za klatki, a w samej rzeczy były piętrowymi legowiskami. Tuż u stóp Grotriana, obutych w srebrny metal, leżało coś skurzonego, jak na wpół opróżniony worek z zielonkawego brezentu. Worek ten z jednej strony rozdawał się, a część zbliżona do astrogatora kończyła się kulistym zgrubieniem. Drgnąłem.

To był człowiek.

Leżał na wznak, z podkurczonymi nogami, przygniatając ręce torsem. Twarz okrywał mu skórzany hełm. Był martwy od wieków. Należało się spodziewać takiego odkrycia. Czy to on tak przeraził Grotriana? Astrogator spoglądał nie na leżącego, lecz na przeciwległą ścianę. Patrzała stamtąd naga kobieta. Siedząc na grzbiecie dużego żółwia, z nogą założoną na nogę, trzymanym kwiatem dotykała obnażonej piersi i uśmiechała się. Na stopach miała dziwne trzewiczki z obcasem w kształcie ostrego dzioba. Paznokcie palców były zakrwawione. Czerwone były też usta, rozszerzone w uśmiechu, ukazujące bardzo białe zęby. W uśmiechu tym było coś nieporównanie ohydneho.

Odwrociłem głowę. Tuż za mną stał Ter Haar. Jego twarz za szkłem przyłbicy była surowa i blada.

— Co to znaczy? — spytałem zniżając mimowiednie głos. Nikt nie odpowiedział.

Grotrian przekroczył trupa i wszedł do środka. Ruszyliśmy za nim wąskim przejściem między klatkowatymi łózkami. Astrogator usiłował bezskutecznie otworzyć następne drzwi. Wezwał mechanoautomat, który krótkim wymachem uderzył w ich środek. Drzwi rozpały się. Od wstrząsu przypięty do ściany wizerunek obnażonej zwinął się i spadł, jak padają w próżni najlżejsze przedmioty: niczym kamień. Tumany kurzu, płynące między mną a okrytymi pancerzem plecami idącego przodem, gęstniały, w miarę jak zapuszczaliśmy się w głąb pomieszczeń bezokiennych. Światło naszych lamp podrygiwało miarowo w marszu; w jego zasięgu ukazywali się martwi, a sponad ich ciał, płaskich, brunatnych jak zeschnięte łyce, patrzyły nagie kobiety. Pulsy uderzały w skroniach jak chód widmowego zegara i gardło się zaciskało.

Śniło mi się raz, że po długiej wędrówce w ciemnej, pustej okolicy napotkałem człowieka, który podszedł do mnie i serdecznie podał mi rękę. Patrząc z bliska w jego uśmiechniętą, dobrą twarz, dokonałem nagle poczwarnego odkrycia: to nie był człowiek. Wewnątrz kunsztownie naciągniętej skóry kryła się jakaś istota poruszająca ją od środka; rozciągając usta w życzliwy uśmiech, obserwowała mnie przez szparki powiek zimnym, tępym, a jednocześnie triumfującym wzrokiem. I oto teraz, gdy szedłem przez obłoki kurzu, który był zamarym w próżni powietrzem, znalazłem się w orbicie podobnego koszmaru. Większość przedmiotów, wydobywanych z mroku światłem lamp, była mi nie znana. W ich bezładnym pomieszaniu, w gmatwaniu mebli, urządzeń, owinięte poskręcanyimi kocami i płachtami leżały, klęczały, siedziały mumie, po dwie, po trzy, splecione kurczowo rękami, z przyciśniętymi do podłogi lub w tył odrzuconymi twarzami, o oczach zmienionych w grudki mętnego lodu, z kościanym pobłyskiem zębów, wszystkie przyprószone śnieżnym kurzem, pozbawione resztki człowieczego wyrazu — a jednak to były ludzkie szczątki; takie katastrofy zdarzały się przed wiekami, to można było zrozumieć.

Ale wizerunki na ścianach? Te nagie kobiety o białych, cienkich palcach, zakończonych skrwawionymi paznokciami w kształcie spiczastych kropel, zezujące ku nam zawzięcie z kątów zmrużonych powiek, znieruchomiałe w pozach łączących wszystko, co jest bezbronną tajemnicą i milczeniem nagości — czy to też byli ludzie?

W głuchym milczeniu przechodziliśmy z jednej kajuty do drugiej, mineliśmy pomieszczenia kuchenne, gdzie na białych kaflach walały się stosy pustych blaszanek i suchych kości, a z lśniących kurków zwisały lodowe sople. Następna sekcja korytarza — i tu pełzały po podłodze kręgi czerwonego światła z iluminatorów. Jeszcze jedne drzwi. Prze—
stępując próg ujrzałem, że z przeciwnej strony wchodzi osiem wysokich, srebrnych postaci; to

były nasze własne odbicia w całościennym lustrze. W pokoju panował chaos. Między rozrzuconymi trójnożnymi stolkami, obitymi czerwoną skórą, na zmarzłych kryształach kolorowych napojów i skorupach flaszek spoczywały mumie. Najbliższa wspierała głowę o beczułkę, z której wyciekł płyn zmieniony w zielonkawy lód. Jedną ręką zasłaniała twarz, w drugiej zaciskała krótką, sino oksydowaną rurę metalową. W lustrzanej tafli czerniały liczne otworki, otoczone promienistymi liniami pęknięć. W suficie ziała otwarta kłapa. Wiodła ku niej drabinka. Z jej najniższego stopnia zwisały dwa ciała, złożone niemal w pół. Spojrzałem za siebie. Ścianę pokrywało wielkie malowidło. Na błękitnym tle pośród pienistych, białych obłoków unosiły się różowe ciała kobiet.

— Co to jest? — spytałem nie poznając własnego głosu.

— To Atlantydzi — odparł Ter Haar i, jakby te słowa wszystko tłumaczyły, minął mnie, usunął ciała zwisające z drabinki i jał się wspinać w górę. Mumie legły na boku. Miały głowy owinięte pasami z podartych koców.

Czyjaś litościwa ręka okryła je płachtą sztywnego płótna. Wspięliśmy się na górę i pograżyli w półmroku ciasnego szybu, który prowadził do centralnej kamery. Trzeba się tu było posuwać z pomocą cienkich linek metalowych, przytwierdzonych do ścian. Siła odśrodkowa, stwarzająca na obwodzie sztuczną grawitację, słabła coraz bardziej. Korytarz zamykały bardzo masywne drzwi pancerne; po usunięciu chrupkiej warstewki szronu ukazał się czerwony napis:

ATOMIC POWER SECTION RADIATION DANGER

Tnące narzędzia musiałyby tu długo pracować, więc Grotrian wezwał automat wyposażony w palnik promienisty. Błękitne ostrze wgryzło się w broniącą dostępu płytę. Stał zarumieniał się, w pustce zakrażyły płatki zwęglonego lakieru, linia cięcia delikatnie wyginała się, nareszcie pancerz został przecięty na całej długości; oba automaty najpierw naparły, potem pociągnęły ku sobie. Wielki blok stali przechylił się wolno i został wyłamany.

Grotrian pierwszy wszedł do środka. Było tu ciemno; promienie reflektorów błądziły po jakichś zaułkach i niszach; orientację utrudniał brak ciężenia; przyssawki magnetyczne umożliwiały chodzenie, lecz nie mogły całkowicie zastąpić grawitacji. W pustej przestrzeni unosiły się i przepływały leniwie między nami jakieś wielkie banie, podobne do pękatych ryb; raz po raz któraś odrzucała polerowaną powierzchnią błysk padającego na nią światła. Dopiero gdy mechanoautomaty pościagały owe unoszące się bryły, umocowały je prowizorycznie i zapaliły duży jupiter, ujrzałem się we wnętrzu kopulasto sklepionej komory. Ze stropu zwisała łapa dźwigu, obejmująca może czterometrowej długości raketę o niezgrabnych stabilizatorach. Gdy reflektor w głowicy automatu zatoczył krąg, zauważyłem, że w ciemnych niszach stoją gruszowate banie; było ich ponad trzydzieści. Z każdej niszy wychodziły wąskie szyny, kończące się pod dźwigiem u obrotowej tarczy. Grotrian powiedział do Ter Haara:

— Bomby, prawda?

— Tak — odparł historyk. — Uranowe.

Grotrian wezwał mechanoautomat i kazał mu prześwietlić jedną gruszowatą banię promieniami Roentgena. Przeszliśmy na drugą stronę, żeby zobaczyć wynik prześwietlenia na przystawionym ekranie fluoryzującym. Zauważyłem, że pod dźwignią podłoga jest zakłębnięta; rozwierał się tu płytki lej z nie domkniętą kłapą. Pochyliłem się i zajrzałem w ziejącą szczelinę; w bezdennej czerni tlały tam gwiazdy.

Mechanoautomat dał prąd. Na rozjarzonym zielonkawo ekranie ukazał się cień wewnętrznej konstrukcji bani. Nie domyślając się jej przeznaczenia, widziałem, że w środku schodzą się koncentrycznie rury w ilości czternastu czy szesnastu (cienie mogły na siebie zachodzić). Nasady rur były u góry złączone kablami, które zbiegały się w jednym miejscu.

Uteneut odnalazł je na zewnętrznej powierzchni bani; był tam mały kołpaczek podnoszący się na sprężynie, wewnątrz kontaktowa dźwigienka, nic więcej.

Grotrian zakazał nam poruszania czegokolwiek. Wyszliśmy przez otwór, który wycięły w pancerzu automaty, i wróciliśmy do dużego pomieszczenia ze zwierciadłem, w obrzeżu satelity. Stąd droga wiodła dalej korytarzem do małej kajuty. Pod sufitem krzyżowały się pęki kabli w pokrowcach pogrubionych szadzią. Na ścianach widniały marmurowe tablice rozdzielcze z szeregami kontaktów; był to rodzaj bardzo starej próżniowej maszyny liczącej. Pod tablicami stały trójnogie krzesła, na nich — czterech skurczonych ludzi ze słuchawkami na uszach; na słuchawkach — hełmy. Twarze okryte skórzanymi maskami. Czwarty zwisał z siedzenia, hełm spadł mu z głowy i osrebrzone kryształkami powietrza włosy dotykały podłogi. Oczy zmieniły się, jak u wszystkich, w grudki mętnego lodu.

Dalszą sekcję korytarza wyścielał miękki, gruby chodnik. Nowe drzwi, na nich drobne, srebrne literki:

Commander in chief Lt General John Mc Murphy
I will do my best

Wewnątrz przez dwa okrągłe iluminatory w suficie padały promienie Proximy. Jej czerwień z naszym wejściem mieszała się z białym światłem lamp naramiennych. W tym silnym blasku ukazał się duży pokój. Stały tu wielkie oszklone szafy ze starożytnymi książkami, wielkie fotele, na jednej ścianie wisiała mapa Ziemi w zamierzchłej projekcji Merkatora; Eurazję okrążała gruba, czerwona krecha. Przekreślał ją całą napis:

COMMUNIST SPHERE

Na reszcie świata leżały czarne litery:

FREE WORLD SPHERE

Za biurkiem w rozłożystym fotelu siedział człowiek. Musiał być kiedyś wysokiego wzrostu. Jego daleko w przód wyciągnięte nogi wystawały spod biurka. Głowa była zadarta i przez to ostra grdyka wysterczała z szyi, otoczonej wywijającym się spod kołnierza kurtki białym futrem. Za nim na ścianie rozpościerała się wielka płachta w ‘czerwone i błękitne pasy i gwiazdy. Mumia miała na sobie skórzaną kurtkę, jak wszyscy na tym statku; rogi kołnierza zdobiły cztery złote gwiazdki. Przed nią, wśród oszronionych papierów, stała szklanka z bryłką lodu. Po prawej ręce znajdował się pusty skórzany futerał i oksydowany przedmiot z krótką lufą; przyciskał tom ze złotymi literami The Holy Bibie. Kiedy podeszedłem bliżej, wydało mi się, że dowódca martwego statku uśmiecha się. Okrążyłem biurko i zajrzałem mu w twarz. Ciemnoszara, okryta szronem, nie wyrażała nic. Obkurczone wargi ukazywały zęby, zaciśnięte na jakichś lśniących drzazgach. Nachyliłem się, wstrzymując mimo woli dech, i dostrzegłem, że była to rozgryziona na pół szklana rurka. Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Ter Haar.

— Chodź — powiedział i w tej chwili dopiero zorientowałem się, że jesteśmy sami w kabinie. Od drzwi raz jeszcze spojrzałem na pokój. Czerwone światło Karła przepływało przez twarz mumii, jakby daremnie usiłowało ją ożywić. Zeschła, pomarszczona, zdawała się bezwieczna, jakby zawsze była martwa, jakby nigdy nie krążyła w niej krew.

Weszliśmy do pustego pomieszczenia. Pod sufitem biegły pęki równoległych rur, przy ścianach, wpasowane w metalowe stojaki, smukły rzędami butle gazowe. Byli tu wszyscy towarzysze.

— Książyc ten — mówił Grotrian — opuścił Ziemię więcej niż jedenaście wieków temu.

Atlantydzki zamierzali rozsiewać z niego bakterie i miotać pociski atomowe. Aby lepiej celować, wbudowali weń urządzenie rakietowe, które miało pozwolić na przechodzenie z orbit bliższych Ziemi na dalsze. Jakiś błąd w obliczeniach spowodował zejście z wyznaczonej orbity. Tak rozpoczęło się szybowanie tego statku w próżni. Po kilkuset latach dostał się w obręb przyciągania Prosimy i powiększył sobą liczbę okrążających ją ciał.

Gdy Grotrian mówił, wyobrażałem sobie mimowolnie, jak zamknięci w metalowym kręgu ludzie zapadali w lodowatą głąb, jak powoli stygła w nich krew, jak walczyli o żywność i ciepło. Setki lat minęły od śmierci ostatniego, a stalowy wehikuł krążył niestrudzenie wokół stygnącej gwiazdy, unosząc swoją skamieniałą załogę.

— Udziałem ich — ciągnął astrogator — stał się los podobny do tego, jaki chcieli zgotować innym. Chociaż męczarnie, jakie przenieśli przed śmiercią, nie mogą okupić próby zgładzenia ludzkości, to jednak uważam, że nie powinniśmy ani badać szczegółów tej starożytnej tragedii, ani znieważać martwych, gdyż teraz są to już tylko zmieniające się w proch szczątki. Ludzkie szczątki. W moim przekonaniu winniśmy zniszczyć ten statek. Nie trzeba, by ktokolwiek mógł jeszcze oglądać to, co myśmy widzieli; dlatego decyzję należy powziąć niezwłocznie. Ter Haar?

— Zgadzą się z tobą.

— Uteneut?

— Przystaję na twój plan.

— Treloar?

— Zgadzą się.

— Ameta?

— Nie jestem pewny, czy masz słuszość — rzekł pilot — ale nie będę się przeciwstawiał większości. Nie wiem, czy mamy prawo o tym wszystkim zapomnieć.

— Nie zapomnimy — odparł Ter Haar — tym bardziej że pierwszej utrwale doniosłe dla badań historycznych fakty i zabiorę dokumenty.

Zdawało się, że Ameta chce jeszcze coś powiedzieć, i Grotrian spojrzał na niego wyczekująco, lecz pilot cofnął się o krok i odwrócił. Astrogator popatrzał na mnie ostatniego. W milczeniu skinąłem głową. Teraz Ter Haar, wzięwszy do pomocy inżynierów, udał się do kajuty dowodzącego. Grotrian wyszedł, aby nawiązać łączność radiową z Geą, a ja ruszyłem korytarzem bez określonego celu. Kiedy tak kroczyłem raz już przebytą drogą, powróciło wrażenie, że jestem w głębi koszmarnego snu, płynące z nie uświadomionego dotąd przekonania, iż rzeczywistość nie może być tak okrutna. Szedłem, pogrążony w myślach, gdy zniemacka serce ścisnęła mi trwoga; stanąłem, wsłuchany w bezdenną ciszę; wydało mi się, że jestem sam. Nie obawiałem się trupów; gorsze było sąsiedztwo owych jaskrawych obrazów, z których ponad oszronionymi gazem mumiami uśmiechały się przez próżnię nagie kobiety.

Przyśpieszyłem kroku, zacząłem niemal biec, gdy wtem ujrzałem padającą z uchylonych drzwi strugę światła. Stanąłem na progu.

Był to duży, pusty pokój. Naprzeciw drzwi znajdowała się wysoka, łukiem sklepiona nisza. Wisiał w niej drewniany krzyż, bardzo czarny na białym tle. Nagle spostrzegłem, że pod niszą klęczy trup przyciśnięty do podłogi; ostry kręgosłup unosił czarną, okrywającą go tkaninę. Mumia ta, podobna do zbrylonej grudy ziemi, rzucała na białą ścianę bezkształtny cień. Poszedłem wzrokiem w przeciwną stronę, szukając źródła światła. W głębi pokoju stał Piotr z Ganimeda. Jego naramienna lampa oświetlała mocno krzyż, a on, smukły, ogromny w srebrnym skafandrze, z rękami skrzyżowanymi na piersi, długo patrzył na ten znak wiary daremnej.

CZERWONY KARZEL

Grotrian pozostawił mechanoautomaty w kamerze bomb atomowych. Potem rakiety uniosły się jedna za drugą, zatoczyły koło wokół statku i raz jeszcze czarne litery:

UNITED STATUS INTERSTELLAR FORCE

przepląnęły przed naszymi oczami. Rakiety wykręciły dziobami ku Gei, przyśpieszyły biegu i rychło znaleźliśmy się na jej pokładzie.

Widzowie, zgromadzeni licznie na lotnisku, odpłynęli na galerię gwiazdową, by obserwować stamtąd zagładę sztucznego księżyca. I my pojechaliśmy na górę. Po dziesięciu minutach mechanoautomaty dały znać, że zainstalowały radioaparaturę zapłonu, po czym wysłano po nie raketę. Gdy wróciły na Geę, w głośnikach rozległ się spokojny głos Ter Akoniana:

— Uwaga... minus cztery minuty... minus trzy minuty... minus półtorej minuty... minus czterdzieści sekund... minus pięć sekund.

Serca uderzały szybciej. W milczeniu patrzyliśmy w mroki, gdzie bladą obrączką błyszczał księżyc Atlantydwów.

— Uwaga... zero... — rozległ się głos pierwszego astrogatora. Ciemność rozdarł krzaczasty błysk. Oślepiająca kula rozděła się, gasząc gwiazdy, coraz większa i bledsza. W oczach drgały jeszcze świetliste plamy, a w odległości sześciuset kilometrów od Gei rozpląwał się brudnobiały kłęb dymów.

Sądziłem, że to koniec niesamowitego spotkania, ale wieczorem Grotrian wezwał mnie do swego mieszkania: zastałem tam wszystkich, którzy byli na sztucznym satelicie.

Po powrocie na Geę zdjęliśmy skafandry w specjalnie opróżnionej komorze, po czym poddano je skrupulatnemu badaniu bakteriologicznemu. Grotrian powiedział nam, że analiza wykazała jałowość skafandrów.

Skończywszy, patrzył na nas przez chwile, jakby wahał się, czy ma mówić dalej.

— Chciałbym wam zakomunikować pewien dziwny fakt — rzekł na koniec. — Ja jeden, jak może pamiętacie, dotykałem bomby atomowej — tej jednej, którą rentgenowaliśmy. Jak wykazała analiza mikrochemiczna, na prawej rękawicy mego skafandra pozostał bardzo drobny ślad astronu...

Widząc, że nie pojmujemy doniosłości jego słów, Grotrian dodał ciszej:

— Uwagę moją zwróciło to, że na ekranie, przystawionym do bomby, ukazał się bardzo blady cień jej konstrukcji jeszcze przedtem, nim automat włączył rurę rentgenowską. Tego słabego cienia nie mogło rzucić własne promieniowanie umieszczonego w bombie uranu 235, gdyż nie wydziela on promieni dostatecznie twardych, by przenikały stalowy pancerz, nasunęła mi się więc myśl, że bomba została przedtem opylona jakimś pierwiastkiem wydzielającym promienie gamma. Dlatego zebrałem rękawicą nieco pyłu z jej powierzchni. Analiza wykazała ślady astronu... Otóż nie ulega wątpliwości, że sztuczny księżyc powstał w XX wieku, a w tym czasie ludzie nie znali jeszcze astronu i nie umieli go syntetyzować. Tak więc Atlantydzi nie mogli go mieć na pokładzie swego statku. Zresztą gdyby nawet było inaczej, to astron, którego życie mierzy się dziesiątkami lat, rozpadłby się w ciągu tysiąclecia, przez jakie krążył satelita, i nie dałoby się go wykryć. Astron nie występuje również w próżni gwiazdowej: pył jego musiał osiąść na powłoce bomby niezbyt dawno — nie dawniej w każdym razie niż przed sześćdziesięciu laty, a więc...

Wpatrywaliśmy się z zapiętym tchem w astrogatora, który potarł ręką czoło i ciągnął jeszcze ostrożniej:

— Otwiera się tu pole domysłów na razie niesprawdzalnych i trudnych do uściślenia, ale

najprostsze rozumowanie przebiega tak: Na pytanie, w jakim celu opylono powierzchnię bomby astronu, znamy tylko jedną odpowiedź: astron, wysyłający twarde promienie gamma, może z powodzeniem zastąpić promienie Roentgena. Na drugie pytanie, skąd pył astronu mógł się wziąć na księżycu Atlantydwów, nasuwa się jako odpowiedź przypuszczenie, że dostarczyły go tam istoty, które pragnęły poznać wewnętrzną konstrukcję bomb atomowych... Ponieważ żywi ludzie nigdy dotąd nie zawędrowali w te strony Galaktyki, istoty, które to uczyniły, nie były ludźmi...

— . Więc tam już ktoś był przed nami! — wyrzucił Ameta, nie mniej poruszony od nas wszystkich.

— Nie jest to pewne, ale dosyć prawdopodobne — odrzekł Grotrian. — Żeby inaczej wyjaśnić fakty, które wam wymieniłem, trzeba by się uciekać do bardzo, ale to bardzo niezwykłych zbiegów okoliczności.

— Ale przecież podłogi i ściany satelity pokrywał szron, w którym odciskało się każde nasze stąpanie — rzekłem — jakże więc owe istoty mogły nie pozostawić po sobie najmniejszych śladów? Poza tym, o ile można było sądzić, nic nie było tam poruszone, a czy nie jest oczywiste, że takie istoty zapragnęłyby dokładnie zbadać mumie oraz konstrukcję statku?

— Myślałem o tym — odparł Grotrian — otóż istoty te, jeśli dokonywały badań, a ślady astronu zdają się wskazywać, że uczyniły to, nie musiały pozostawić śladów...

Błysnął mi przez mgnienie obraz niesamowitych stworów, nie podlegających sile grawitacji, które nie dotykając podłogi ani ścian unosiły się kiedyś tymi samymi zaułkami Księżyca, które myśmy niedawno przemierzeli, i poczułem dreszcz, lecz astrogator wyjaśniał dalej:

— Co się tyczy niepokalanej powierzchni szronu, to trzeba sobie uzmysłwić, że satelita krążył wokół Prosimy po bardzo wyciągniętej orbicie, zataczając elipsę podobną do toru komety. Gdy zbliżał się w swej drodze do Karła — a dochodził do niego w perihelium na czterdzieści milionów kilometrów, jak wykazuje obliczenie elementów jego ruchu — zaczynał się rozgrzewać, a wtedy skroplony w zbiornikach tlen parował i ulatniał się przez nieszczelności zaworów. W taki sposób właśnie powstał ów osobliwy, niby kometowy ogon gazu, dzięki któremu w ogóle odkryliśmy jego istnienie. Gdy zaś, oddalając się od Karła, odchodził w ciemności, wydzielający się gaz zamarzał i osiadał na wszystkich powierzchniach szronem. Tak więc ewentualne ślady odwiedzin mogły zostać zatarte nowymi nawarstwieniami szronu w późniejszych obrotach wokół Prosimy. Wzięliśmy próbkę tego szronu i badanie wykazało, że istotnie tajał on za każdym przybliżeniem do słońca i ponownie wymrożony zjawiał się w afelium. Powtarzało się to w odstępach równych jednemu okrążeniu, którego czas wynosi około dwunastu lat ziemskich. Poza tym istoty mogły przeniknąć do kamery atomowej bezpośrednio przez uchyloną klapę wyrzutni bomb; wydaje się to nawet prawdopodobne, gdyż pancerne drzwi wewnętrzne były nienaruszone. Nie można powiedzieć na pewno, czy klapę wyrzutni rozsunęły ludzkie ręce, czy nie...

— Skąd w takim razie mogłyby one wiedzieć, dokąd zmierzać i dlaczego miałyby, nie wchodząc do statku, trafić od razu do komory atomowej? — spytałem.

— Być może przeświewały pierwej cały statek z zewnątrz — odparł Grotrian. — Wolę co prawda nie zapuszczać się w dalsze przypuszczenia, gdyż staną się coraz bardziej zwiewne i coraz mniej faktów będzie na ich poparcie. Dosyć prawdopodobne wydaje się, że na tym statku były przed nami jakieś istoty żywe, i to wysoko rozwinięte, posługujące się techniką promienistą, jak o tym świadczą ślady astronu...

— A skąd mogłyby te istoty pochodzić? — odezwał się Ter Haar. — Czy masz jakąś hipotezę w tej materii?

— Nic nie wiem. Oczywiście najprawdopodobniejsze wydaje się, że pochodziły z pobliza gwiazdowego, a więc z planet Prosimy — ale te są, zdaje się, niezamieszkałe — albo z

układów Centaura... jednakże nic pewnego na ten temat powiedzieć nie można.

— Astrogatorzy wiedzą o wszystkim? — spytałem.

— Oczywiście.

— Może jednak niepotrzebnieśmy się pośpieszyli ze zniszczeniem tego księżycyca... — zauważył Ter Haar. — Można by przeprowadzić dokładniejsze badania...

— Wątpię, czy wiele by przyniosły, no, ale mniejsza z tym, gdyż nie ma celu mówić o rzeczach nieodwracalnych. To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Towarzyszom zakomunikujemy to nieco później, kiedy przystąpimy do badania planet; teraz, jak wam wiadomo, będziemy podchodzić do Czerwonego Karła na możliwie małą odległość, a to jest połączone z pewnym, chociaż niewielkim ryzykiem.

Istotnie, Gea rozpędzała się, lecąc w stronę Proximy, jednakże nie po linii prostej, lecz odpowiednio obliczoną kosmodromą.

Czerwony Karzeł od dawna już intryguje astronomów. Ta słaba gwiazda, znacznie mniejsza od Słońca, o temperaturze zaledwie 3000 stopni, co pewien czas rozbłyskuje potężnie, wielokrotnie zwiększając swój blask. Astrofizycy uważają to zjawisko za przejaw chwiejności wewnętrznych przemian atomowych. Profesor Trehub wyraził się raz, że być może te świetliste rozbłyski są wynikiem „eksperymentalnych prac istot mieszkających na pobliskiej planecie; widać niezadowolone z niskiej temperatury swego słońca, usiłują podwyższyć ją i w tym celu pogrzebaczem poszturchują grzejące je ognisko”. Był to oczywiście żart.

Przez jedenaście dni lotu szkarłatna tarcza stawała się coraz większa. Już w ósmym dniu osiągnęła pozorne rozmiary słońca widzianego z Ziemi, w dziesiątym zaś trzeba było włączyć wewnątrz statku chłodnie helowe, gdyż okręt poczynił się nagrzewać.

Coraz więcej ludzi zjawiało się na galeriach gwiazdowych, by przez ciemne szkła patrzeć w czerwone słońce. Na razie nie dostrzegliśmy żadnego rozbłysku. Galerie gwiazdowe leżały w jednostajnym, purpurowym blasku, potężniejącym z dnia na dzień.

Mnie samego lot ten mało interesował, tak wiele dały mi do myślenia słowa Grotriana; długo i bezskutecznie je rozważałem, nareszcie któregoś wieczoru zebrałem się na odwagę i poszedłem do Trehuba. Chciałem poznać jego osobiste przypuszczenia. Astrofizyk wysłuchał mnie cierpliwie (rozmowa toczyła się w małym obserwatorium, gdzie przesiadywał nieraz i do północy), aż rzekł:

— Mój drogi kolego. Jak na dłoni widzę, dlaczego przyszedłeś akurat do mnie. Zawdzięczam twoją wizytę sławie śmielszego od najśmielszych, jeśli chodzi o stawianie hipotez: otóż muszę ci się przyznać, skąd się ta moja sława pierze. Uważam, że w nauce dla przyspieszenia rozwoju i uściślenia pojęć konieczne są kontrowersje. Zdarzało mi się już wiele razy nie mieć racji w sporach naukowych, ale niemal zawsze czy to z wiedzą, czy bezwiednie moi oponenti musieli w dyskusji wyjaśniać i szlifować szczegóły bronionych poglądów; dzięki temu teorie ich skonsolidowały się i stały prostsze, a przez to doskonalsze. Nie znaczy to naturalnie, że staram się być w opozycji za wszelką cenę, ale jestem w niej nieraz i za cenę dużą, to jest dużego ryzyka, i jeżeli jestem coś wart, to tylko dlatego, że się tego ryzyka nie obawiam. Jednakowoż obawiam się, że hipotezy, z którą do mnie przychodzisz, nie można bezkarnie dalej rozwijać. Jakież są fakty? Nie domknięta kłapa wyrzutni, kilka mikrogramów astronu na jednej z bomb atomowych — to właściwie wszystko, a ty chciałbyś nie tylko poznać wygląd istot, które podobno gościły na satelicie, ale jeszcze posłyszeć ode mnie coś niecoś o ich psychice; myślą więc, że winienes zwrócić się do profesora Entreula, gdyż musi się tu wysnuć jeszcze jedną baśń gwiazdową, a on jest specjalistą, co wszystkich bजारzy bije na głowę...

Wyszedłem z obserwatorium nie o wiele mądrzejszy, niż tam wchodziłem. Chcąc nie chcąc porzuciłem zagadnienie, ale całkowicie nie udało mi się go odtrącić; zagadkowe istoty prześladowały mnie w snach to jako podobne do trójkątnych żagli galaretowate obłoki, to

jako opancerzone metalem ośmiornice. Ameta zauważył, że moja wyobraźnia tworzy po prostu zlepki znanych mi obrazów i inaczej być nie może; czegoś nie doświadczonego nigdy ani w całości, ani w elementach przedstawić sobie nie sposób.

W trzecim tygodniu zbliżania się do Proximy tarcza jej zajmowała dziesiątą część nieba. Chłodnie Gei pracowały dużą mocą, aby utrzymać na statku normalną temperaturę. Astrofizycy niemal wcale już nie opuszczali swych obserwatoriów.

Kiedy w osiemnastym dniu wyszedłem rano na pokład, poczułem nieruchomy ucisk żaru bijącego przez ściany. Tarcza czerwonego słońca zdawała się nie poruszać; szły po niej ciemniejsze plamy, otoczone wieńcem płomienistych języków. Chociaż chłodnie pracowały wielką mocą, temperatura na statku podnosiła się o piątą część stopnia na godzinę i w południe osiągnęła już 32 stopnie Celsjusza. Na pokładzie gwiazdowym trudno było przebywać dłużej niż kilka minut i daremnie walczył z upałem zimny wiatr, jaki tłoczyły w galerię wentylatory.

Tarcza Karła, a właściwie ukośna, niezmierna płaszczyzna ognia, rozpościerała się we wszystkie strony aż po gwiazdowy horyzont. Czy to skutkiem złudzenia optycznego, czy rzeczywistego rozpraszania jej promieni w pyle próżniowym, niebo ponad Geą przybrało barwę zastygłej, czarnej krwi. Z nabiegłego szkarłatem mroku ledwo wykluwały się najsilniejsze gwiazdy. Ciekawi nieustannie przybywali na galerię i opuszczali ją zaraz, złani potem, zdyszani, z oczami błyszczącymi, jakby nieśli w nich jeszcze odbicie oglądanych płomieni. Chwilami czerwone słońce wydawało się potwornych rozmiarów lejmem o wywiniętych brzegach; z jego dna wznosiły się protuberancje, jedne tak powoli, że zmiany ich kształtu nie dawały się uchwycić okiem, inne gwałtownie prężącymi się ruchami, jak gdyby jakieś gady ogniste wypełzały z chromosfery. Zakrzywiony horyzont odcinał się od ciemnego nieba rozwichrzonymi płomykami. Obrót Karła dawał się obserwować jako majestatyczne przepływanie plam ciemniejszej granulacji pośród oślepiających równin żaru.

Tego dnia temperatura nawet w wewnętrznych pomieszczeniach osiągnęła czterdzieści stopni. Wieczorem zgłosił się do ambulatorium młody Kanopos, drugi asystent astrogatora Pendergasta. Uskarżał się na silny ból głowy, klucie w mięśniach grzbietu i ogólne osłabienie. Tętno miał osobliwie zwolnione. Przepisałem mu środki bodźcze, po czym zakomunikowałem Yrjöli, że chorobę Kanoposa wywołało, jak sądzę, nadmierne podniesienie ciepłoty na statku. Umieściłem go w separacie szpitalnej, chłodzonej ze wzmoczoną intensywnością, dzięki czemu temperatura utrzymywała się w niej na poziomie dwudziestu pięciu stopni, gdy na pokładach w ciągu nocy podniosła się do 44 stopni.

Nazajutrz stan Kanoposa poważnie mnie zaniepokoił. Wystąpiła gorączka, śledziona była obrzękła, ogólne samopoczucie złe, badanie krwi wykazało zmniejszenie ilości leukocytów. Koło południa chory zaczął bredzić.

Środki, jakie stosowałem, nie przynosiły żadnej poprawy, wezwałem więc Schreya i Annę na konsylium. Obraz choroby był dla nas niezrozumiały. Po odbyciu konsylium ponownie pojechałem do Yrjöli, tym razem żądając kategorycznie zakończenia lotu w tarczę słoneczną. Astrofizycy przyjęli to bardzo niechętnie, gdyż według powziętego planu mieliśmy poruszać się w kierunku Czerwonego Karła dopóty, dopóki temperatura na statku nie osiągnie 56 stopni, a wynosiła dopiero 47. Mimo to obstawałem przy swoim. Trehub zwrócił mi uwagę, że poza Kanoposem nikt dotąd nie zachorował, i spytał, czy jestem całkowicie przekonany o tym, że jego choroba pozostaje w związku ze wzrostem temperatury. Choć nie byłem tego pewny, obstawałem przy swym żądaniu, astrogatorzy zaś zdecydowali się do niego przychylić.

O trzeciej po południu Gea zwolniła biegu, wykonała zwrot o dużym łuku i poczęła oddalać się od Karła, w każdej sekundzie przebywając 50 kilometrów. Tymczasem chory miał się coraz gorzej. Siedziałem przy nim do północy; majaczył, gorączka doszła do czterdziestu stopni i serce zaczęło słabnąć, jakby zaatakowane tajemniczą trucizną. Ponieważ i poprzednia

noc spędziłem na nogach, byłem tak znużony, że z największą trudnością pokonywałem senność; o drugiej w nocy zastąpiła mnie Anna. Udałem się do siebie zamierzając przespać się choć kilka godzin, ale już o czwartej zadzwonił telefon.

Wyrwany ze snu, w półpijany, usłyszawszy pierwsze słowa Anny: „Ostra niedomoga serca, stan groźny” — wyskoczyłem z łóżka, narzuciłem płaszcz i pobiegłem do szpitala.

Chory był nieprzytomny. Oddech świszcząc wyrywał się ze spieczonych ust; całym jego ciałem wstrząsał suchy, gwałtowny kaszel; wskazówka pulsomierza przekroczyła 130. W ruch poszła aparatura tlenowa, zastrzyki podtrzymujące krążenie, zacząłem nawet rozważać zastosowanie sztucznego serca, lecz ogólne objawy zatrucia były poważnym przeciwwskazaniem. Zbudziłem Schreya, który zjawił się po kilku minutach. We troje raz jeszcze usiłowaliśmy wykryć przyczynę tajemniczego schorzenia. Było już zupełnie jasne, że nie r ja ono nic wspólnego z udarem cieplnym. Ponownie dokonana została analiza krwi na bakterie (na Gei nie było ich wcale, liczyliśmy się jednak wciąż z możliwością zanieśienia zarazków ze sztucznego księżycy Atlantydy), lecz wypadła ujemnie.

Zrobiwszy wszystko, co było w tej sytuacji możliwe, wyszedłem na kilka chwil na pustą — dochodziła piąta godzina w nocy — galerię gwiazdową. Dawał się słyszeć głuchy, jednostajny szum pracujących pełną mocą chłodni. Zamyślony, szedłem nie pamiętając o widoku, jaki rozwierał się za oknami; nagle poraził mnie prosto w oczy bijący blask. Przystanąłem.

W pierwszej chwili widziałem tylko pałającą czerwień, nie owo nieruchome, ciężkie światło rozżarzonej stali, lecz rozedrgany, na pół płynny ocean chromosfery. Wpatrzywszy się, zacząłem rozróżniać szczegóły. Pozornie jednolita ściana płomieni, zamykająca trzy czwarte nieba, zdawała się żyć. Wily się tam jakieś szkarłatne lasy, poprzez skłębiony gąszcz strzelały protuberancje, rozdrzewiały się, troiły, mnożyły, rozdymały w jakieś ogniowe, krwawo świecące maskary, w jakieś groteskowe gęby utworzone z mamiących płomienistych szczęk, trwały tak kilka chwil, wyginały się i rozwiewały, a na ich miejsce nowe wybuchały z mieniającej się, jakby niewidzialnym wichrem roztrzącanej granulacji. Czasem wybuch protuberancji poprzedzało pojawienie się dwu lotnych, kręcących się w przeciwne strony młyńców ognia, ciemniejszego od otoczenia, gdzie indziej płomienista powierzchnia najpierw zakłęsała wirem, a potem poczynała raptownie puchnąć i wyrzucała z siebie z potworną chyżością rosnące w górę pioruny, które w miarę wzlotu stawały się coraz niklejsze i bledsze, i słabsze, aż ich porażające wzrok palanie zmieniało się w pomarańczowy brzask, przez który przebijało światło głębokich warstw dygocącej nieustannie chromosfery.

Nieopisane wrażenie. Po latach bezkresnego mroku, lodowej próżni, w której ścięty mrozem kamieniał najlotniejszy gaz, teraz za wątlą ścianą Gei podnosiła się nie góra, nie morze, ale cały gigantyczny świat z ognia; statek zdawał się rozpadać, topnieć — znikoma kruszyna metalu zawisła nad oślepiającą otchłanią.

Jakiż bezlitosny ten wszechświat — pomyślałem — jakże wąskie i rzadkie są strefy umiarkowane, pośrednie, w których może narodzić się i przez czas jakiś trwać życie, tak wątłe i bezbronne wobec białego żaru i czarnego mrozu, tych dwu krańców istnienia... Ale — myślałem dalej — to wątłe życie waży się na wiele i oto jesteśmy nad gwiazdą, jednym z tych ślepych ognisk, które nas wydały.

Myślałem tak, czując, jak w twarz, oczy i skórę czoła wbija się, niby milionem niewidzialnych ukłuć, żar Czerwonego Karła, karła wobec gwiazd, ale potwora wobec ludzi.

Wtem poczułem obecność drugiego człowieka; o dwa kroki stał Trehub.

Pragnąłem, by pomógł mi w odzyskaniu równowagi i pewno dlatego spytałem:

— Profesorze... co by się stało z Karłem, gdybyśmy wystrzelili weń pełny ładunek dezynintegratora?

Nie zwlekając ani sekundy, odparł:

— To samo co z oceanem, w który dziecko rzuci ziarenko piasku...

Ostatnie słowa astronoma nie doszły do mojej świadomości, gdyż zniecka błysnęła mi niedobra myśl.

Nie bacząc na porę, udałem się natychmiast do Grotriana i obudzwszy go spytałem, czy automaty, które jako pierwsze wysłaliśmy na księżyc Atlantydwów, zostały wysterylizowane po powrocie na Geę.

Astrogator, niespokojny, choć zewnętrznie opanowany, zatelefonował do Yrjöli.

Po chwili znaleźliśmy odpowiedź: automaty zostały wysterylizowane dopiero po naszym powrocie na statek; tak więc w ciągu trzech prawie godzin mogły się stykać z ludźmi.

— Ale twierdziliście przecież, że infekcja bakteryjna jest wykluczona? — rzekł Grotrian na zakończenie rozmowy, przypatrując mi się badawczo.

Milczałem. Grotrian podszedł do aparatu i zaczął wydzwaniać specjalistów; niebawem zjawili się: Ter Haar, Moleticz i paleobiolog Ingwar. Astrogator przedstawił im zwięzłe fakty.

— Wirusy! — wykrzyknął. — Czy badaliście krew na wirusy?

— Nie — odparłem błędnie.

Nie pomyśleliśmy o takiej możliwości, błąd fatalny, lecz zrozumieliśmy z uwagi na to, że ostatnie wirusy znikły z powierzchni Ziemi przed dziewięciuset laty.

Pospiesznie opuściłem Grotriana, prosząc go, by się dowiedział, czy Kanopos zetknął się z automatami, zanim zostały wysterylizowane, i wróciłem do szpitala.

Chory był wciąż nieprzytomny. Duszność się wzmagła, powieki i palce siniąły, a serce uderzało sto pięćdziesiąt razy na minutę. Zrozpaczona Anna dawała bez ustanku tlen.

Pobrałem krew z żyły łokciowej i natychmiast przekazałem ją automatom—analizatorom. Musiałem im dać dokładną instrukcję działania, gdyż nie były przystosowane do wykonywania podobnych badań, tak więc dopiero o dziewiątej rano, oczadziały z bezsenności, z czaszką rozsadzaną bólem, pochyliłem się nad wynikami analizy. We krwi chorego znajdowały się drobne ciała o średnicy dwu dziesięciotysięcznych milimetra. Już powierzchowne badanie wykazało, że są to zarazki chorobotwórcze. Nie było wątpliwości. Towarzysz nasz uległ zarażeniu wirusami przyniesionymi przez automaty ze sztucznego księżycy. Raz jeszcze obudziłem Schreya, aby go o tym powiadomić. Natychmiast przybył do szpitala wraz z Ingwarem i jeszcze jednym paleobiologiem, specjalistą od zamierchłej flory bakteryjnej. Dzięki trionowni szybko zidentyfikowaliśmy zarazki; były to wirusy tak zwanej papuzicy, groźnej infekcji, która panowała na Ziemi przed tysiącem lat. Staliśmy właśnie w laboratorium analitycznym, gdy wezwała nas Anna.

— Agonia — powiedziała przez telefon. Powtórzyłem to słowo obecnym.

Po minucie znaleźliśmy się w separacie.

Towarzysz nasz konał. Puls nie był już wyczuwalny na tętnach szprychowych, twarz z sinej stawała się szara jak popiół, a oddech rżąc dobiegał się z gardła.

Znowu dawaliśmy surowicę i krew, próbowaliśmy odciążyć serce, lecz wszystko daremnie. Wówczas, spełniając najwyższy obowiązek lekarski, usiłowaliśmy przywrócić go do przytomności choćby na kilka chwil, aby mógł wypowiedzieć swoją ostatnią wolę, ale i to się nam nie udało. Uszkodzony jadami mózg tracił panowanie nad ciałem. Sześć minut po dziesiątej oddech jego ustał.

Był to pierwszy wypadek zgonu wskutek choroby na okręcie. Wyszliśmy ze szpitala przybici poniesioną klęską; gdybyśmy wcześniej rozpoznali przyczynę choroby, prawdopodobnie udałoby się nam ją zwalczyć. Teraz należało przede wszystkim przygotować się na możliwy wybuch epidemii. Grotrian powiadomił nas, że Kanopos istotnie zetknął się z automatami, on to bowiem zawiódł je do pracowni astrogatorów, gdzie ich wypowiedzi zostały nagrane na triony. Musiały się zakazić kulturą wirusową przechodząc przez opancerzone ołowiem laboratorium sztucznego satelity.

Nie zachowały środków ostrożności, gdyż konstruktorzy ich nie przewidzieli podobnego wypadku.

Wszystkich, którzy stykali się z Kanoposem w ciągu ostatnich dni, izolowaliśmy w wydzielonej części szpitala. Niebezpieczeństwo zarazy było wielkie, albowiem organizmy nasze, nieprzywykłe w ziemskich warunkach do zwalczania zarażeń, były mało odporne. Podczas gdy biologowie i chemicy analizowali strukturę białkową wirusa, badałem wszystkich podejrzanych. Krew jedenastu ludzi zawierała groźne zarazki. Chemosyntetyzatory otrzymały rozkaz wytworzenia ciała zabójczego dla wirusa, a jednocześnie nieszkodliwego dla ustroju człowieka; uruchomione wieczorem, już o północy dostarczyły pierwszej porcji leku, który natychmiast przekazano do szpitala. Nazajutrz poddaliśmy chemoterapii całą bez wyjątku załogę Gei. Niebezpieczeństwo epidemii zostało zduszone w zarodku.

Wieczorem spotkałem na galerii gwiazdowej Ter Haara i Nilsa Yrjöle.

Nils pytał mnie o ostatnie chwile Kanoposa, który był jego przyjacielem.

— Pomyślcie — powiedział Ter Haar, gdy skończyłem — dosięgli ostatniej ofiary, kiedy ostatni ich szczątek rozwiął się w próżni...

Milczeliśmy. W tyle, za rufa Gei, gorzał płomienny Karzeł. Szkarłatne światło leżało na stropie galerii, na twarzach ludzi, opalizując czerwienią w ich oczach.

— To był ślepy traf — odezwał się nagle Nils — ale jakże niesprawiedliwy! Płody ich potwornych usiłowań przetrwały wieki, a po tych wszystkich, co z nimi walczyli, nie zostało nic...

— Jak możesz tak mówić — prawie z gniewem rzekł Ter Haar i podniósł rękę, jakby wskazując gwiazdowe niebo.

— Profesorze, egzaltujesz się — powiedziałem. Może to była bezsenność, może żal za zmarłym towarzyszem, a może gniew z powodu poniesionej klęski, dość że ciągnąłem zgryźliwie:

— To i gwiazd by bez nich nie było?

— Gwiazdy byłyby — odparł spokojnie Ter Haar — ale ludzi nie byłoby wśród gwiazd.

PLANETA CZERWONEGO KARŁA

Druga planeta Karła przedstawiała się jako rudawa tarczka, podchodząca, w miarę postępów lotu, do dwu najjaśniejszych teraz gwiazd nieba, bliźniaczych słońc Centaura.

Słońce A posiada układ planetarny złożony z dwu grup, zewnętrznej i wewnętrznej, dość podobny do ziemskiego. Słońce B nie ma planet we właściwym znaczeniu tego słowa; otacza je ogromny rój asteroid i meteorów, z których największe dorównują prawie Księżycowi i Ziemi. Astrofizycy nazywają to słońce „śmieciarzem układu podwójnego”, gdyż jakby wessało w swoje pobliże odpadki materii pozostałej po skonsolidowaniu się planetarnej rodziny Telemaka.

W tych dniach, pełnych wydarzeń, niełatwo było spotkać kogoś z planetologów poza obserwatorium. W naszym systemie słonecznym zmierzli już i zważyli wszystko, co było choć trochę podobne do planety, i mogli już tylko uzupełniać wyniki badawcze swych poprzedników; teraz zalewał ich wprost potop nowych faktów; dokądkolwiek się zwracali, czy w stronę wielkich słońc Centaura, czy Czerwonego Karła, wszędzie jaśniały planety nie zbadane, nic więc dziwnego, że pracowali nie spoczywając i nie tylko posilali się, ale i podrzemywali u teleskopów.

A jednak udało mi się dopaść Borela w opustoszałym całym ogrodzie; wpadł tam, jak powiedział, „na jednej nodze, żeby otrzeźwić się wonią kwiatów”. Przysiedliśmy na głazach nad potokiem i tutaj Borel zdradził mi wielką, dopiero co odkrytą tajemnicę. Oto druga z kolei planeta słońca A, nieznacznie mniejsza od Ziemi, obraca się wokół osi, i to tak szybko, że czas jej obrotu wynosi trzy czwarte doby ziemskiej. Czekałem cierpliwie dalszych wyjaśnień, Borel jednak nie kwapił się z nimi i dopiero zauważywszy mój spokój, zdumiał się.

— Jak to, nie rozumiesz? Wiesz przecież, że Merkury wcale nie obraca się wokół osi, a Wenus wiruje bardzo powoli. Pierwotny, szybki obrót tych planet zahamowało w ciągu milionoleci tarcie przyływowe, spowodowane grawitacją słoneczną. Otóż najbliższa planeta A Centaura zwraca ku niemu zawsze tę samą półkulę, jak Merkury, ta druga z rzędu natomiast, odpowiadająca położeniem Wenerze, ma czas obrotu trzydzieści razy ocl weneriańskiego krótszy...

— Cóż to oznacza?

— Interwencję czynnika nieastronomicznego.

— A cóż to za czynnik?

— Zamieszkujące planetę żywe stworzenia — odparł Borel. — I to stworzenia co najmniej dorównujące nam inteligencją, a może nas nawet przewyższające; my bowiem, jak dotąd, nie próbowaliśmy wpływać na szybkość wirowania Ziemi.

— Co?! — zawołałem. — Sądysz, że one regulują?!...

— Tak. Planeta ta nie ma księżyca, obliczenia wykazują, że powinna wykonywać obrót raz na dwadzieścia, no, najwyżej raz na osiemnaście dni, teoria wyklucza krótszy czas obrotu, a więc... możemy się przygotować na spotkanie istot prawdziwie rozumnych!

Spytałem, czemu wobec tak doniosłego odkrycia tracimy czas na pogoni za drugą planetą Karła.

— W ciągu ośmiu lat podróży — wyjaśnił mi Borel — silniki Gei obróciły w energię kilkadziesiąt tysięcy ton paliwa; ten wielki ubytek masy należy uzupełnić możliwie szybko. Jak wiadomo, możemy wyzwać energię atomową z każdego rodzaju materii, a wartość opałowa pierwiastków zależy tylko od ich masy. Teoretycznie dałoby się napędzić statek byle jaką substancją, więc jednakowo płynem, gazem czy minerałem, ale astrogatorom idzie o to, żeby materiał wybrany dla uzupełnienia zapasów paliwa można było zgromadzić w znacznej ilości, łatwo, szybko i możliwie prosto przetransportować go na Geę. Należało się

spodziewać, że druga planeta Karła, otoczona bardzo rzadką, bezchmurną atmosferą i pokryta piaszczystymi pustyniami, dobrze spełni wszystkie te wymagania.

— Kiedy starożytny ogrodnik cierpliwością wywiódł z ziemi owoce na gałęzie swych drzew, to chociaż nie tknęła ich jeszcze niczyja dłoń, mógł powiedzieć: praca została dokonana.

To powiedział Ameta. Stał z Yrjölą na przednim pokładzie gwiazdowym, obłany czerwonym światłem wysoko nad nami świecącego Karła.

— O czym mówicie? — spytałem podchodząc. — Kto jest ogrodnikiem i co oznacza twoja metafora, pilocie?

— Mówimy o tym, że jeśli byśmy nawet w tej chwili musieli zawrócić ku Ziemi, to i tak wyprawa spełniłaby swe zadanie — odparł za Ametę inżynier.

— Ach, więc to my jesteśmy ogrodnikami, a oto dojrzały owoc? — wskazałem ręką w dół, gdzie od burty aż po horyzont wznosiła się ruda półkula planety.

— Jeśli o mnie idzie, wolałbym nie zawracać — właśnie teraz, kiedy dochodzimy do celu!

— Nikt nie ma takiego zamiaru — odparł Yrjöla. — Tak tylko podniosłe rozprawiamy, bo widzisz, Ameta dziś właśnie kończy pięćdziesiąt lat.

— Pół wieku! — zawołałem mimo woli. — A jest coraz młodszy! Jak ty to robisz?

Ameta odezwał się:

— Dawno już wysłaliśmy na Ziemię podstawowy wzór teorii Goobara. Ten pęk radiosygnarów mknie teraz w próżni i dotrze do Ziemi za dwa lata. Nawet gdyby nas mieli diabli wziąć, czy to nie wspaniałe?

— Wizja biorących nas diabłów nie wydaje mi się wspaniała, ale jeśli ci jest w dniu urodzin niezbędnie potrzebna, to przystaję na nią — odparłem. — Inżynierze — zwróciłem się do Yrjöli — dlaczego nic się na statku nie dzieje? Czemu nie ma przygotowań do lądowania?

— Wszystko zrobiliśmy w nocy. Brak nam jakichś trzydziestu tysięcy kilometrów, ale potrwa to jeszcze z godzinę, bo poruszamy się bardzo wolno, dochodzimy bowiem do strefy Roche'a...

— Oczywiście Ameta leci pierwszy? — spytałem.

— Oczywiście Ameta leci — odparł jak echo pilot, a inżynier dodał z uśmiechem:

— Lecieć miał Zorin, lecz odstąpił swoje prawa Amecie, to jego podarek urodzinowy...

— Ale mam nadzieję, że wszyscy będziemy mogli rozprostować kości na prawdziwym stałym gruncie? Pomyśl, osiem lat metalu pod nogami... Astrogatorzy chyba się nad nami ulitują?

— Patrzcie — odezwał się niegłośnie Ameta.

Rudą płaszczyznę przerzynały linie pęknięć. Wszystko było na niej nieruchome, martwe, lecz wpatrzywszy się uważnie w płaskie, pozornie doskonale gładkie równiny, można było dostrzec szarawe zacieki, przesuwające się po nich bardzo leniwie; widok zupełnie podobny do tego, jaki roztacza się przed podróżnym dolatującym do Marsa; są to wędrujące z olbrzymią szybkością burze pyłowe.

Galeria zappełniała się ludźmi, a Gea szła coraz wolniej, jakby rozważając, czy opaść do samej powierzchni globu.

— Trzeba się zbierać — rzekł Ameta i uśmiechnął się. Zobaczyłem, że skronie ma całkiem siwe; padające z góry światło Karła zaśniło w tej siwiznie najczystszy rubin.

— Trzeba się zbierać — powtórzył. — Przenoszę się na inny świat, ale się nie żegnam, bo wnet wrócę!

Raport Amety, złożony po trzygodzinnym locie zwiadowczym, brzmiał:

„Mała, pustynna planeta typu Marsa. Daleko posunięta erozja bezwodna; żadnych śladów

życia organicznego; wielkie pustynie kamieniste i piaszkowe; samotne skały–świadki, cyrki górskie i wygasłe wulkany. Gęstość atmosfery około dwieście razy mniejsza od ziemskiej, bez śladów tlenu i pary wodnej. Różnica temperatur między półkulą dzienną i nocną dochodząca do 110 stopni. Strefa burz posuwających się na linii terminatora z szybkością obrotu planety. W centralnym systemie górskim pasa podzwrotnikowego południowej półkuli wielki, regularny ubytek, obnażający głębokie warstwy skorupy, prawdopodobnie krystaliczną tarczę bazaltową. Z obszaru tego rozchodzą się na kilkaset kilometrów wielkie pasy rozdrobnionych skał wylewowych”.

Planetochemicy orzekli, że chociaż wartość energetyczna bazaltu i pokrewnych minerałów znacznie ustępuje wartości ciężkich pierwiastków ziemskich, jakie służyły nam dotąd za paliwo, to jednak prostota wydobycia i transportu w znacznej mierze okupi tę różnicę. Zdecydowano, że Gea będzie się unosić nad wskazanym obszarem przez pięć do sześciu dni i w tym czasie rakiety towarowe wypełnią jej zbiorniki rozdrobnionym odpowiednio minerałem.

Przez całą noc analizowano fotoplany przywiezione przez Ametę. Gea szybowała na wysokości około 200 kilometrów, więc daleko poza zasięgiem rzadkiej atmosfery. Gdy nad ranem wyszedłem na galerię gwiazdową, stałem się świadkiem niezwykle pięknego zjawiska. Okręt nasz wynurzał się właśnie ze stożka cienia, rzucanego przez nocną półkulę. Jej gigantyczny półkrąg, zakrywający niebo gwiazdowe, jarzył się u szczytu krwistą smugą; potem spoza jednolicie zakrzywionej czerni wysunął się czerwony łeb Karła. Gdy jego styczne promienie wdarły się w głąb atmosfery, cała stanęła w bengalskim ogniu; gdzieniegdzie jakby fale krwi przetaczały się widmowymi korytarzami; tarcza aż po krańce widnokregu naciągała szkarłatem przechodzącym w róż; zjawisko to trwało tak długo, aż karłowate słońce podniosło się wyżej, a zarazem biegnąca mu naprzeciw Gea znalazła się nad dzienną półkulą.

O dwunastej czasu lokalnego Gea zawisła nad wskazanym przez Ametę obszarem i wysłała zwiadowczą grupę tektoników i planetochemików. W dole, pociągnięte smugami rzadkiej mgły, rysowały się niewyraźnie kręte systemy górskie z największym, centralnym, o kształcie czterystukilometrowego koliska; przypominał rozległe kraterki księżycowe. Od północo–wschodu ściana krateru ziała, jak gdyby potworny młot uderzył w nią przed wiekami, zdruzgotał i zmiażdżył skały, a rozmach strasliwego ciosu rozwłóczył szczątki daleko po pustyni, tworząc białawe, rozchodzące się promieniście na wszystkie strony smugi. Cała ta okolica, oglądana z wielkiej wysokości, wyglądała jak zgnieciona na powierzchni globu rozgwieźdza.

Gdy opadające w dół rakiety znikły nam z oczu, sięgnęliśmy po szkła. W polu widzenia, wciąż przemiatanym rudawymi obłokami, ukazały się srebrzyste iskry, już dochodzące do gruntu; pierwszy statek pociągnął powierzchnię pustyni atomowym płomieniem, zostawiając za sobą smugę różowego żarzenia. Nadtopiony piasek zmienił się w szklistą skorupę, rodzaj naturalnego wybiegu, na którym lądowały następne pociski. Badacze mieli pobrać próbki skał i określić miejsca, gdzie minerały odznaczają się największą zawartością ciężkich pierwiastków. Wykonanie analiz w warunkach polowych zajęło trzy godziny, po czym, wezwane sygnałem radiowym, z lotnisk Gei wystartowały rakiety towarowe, wioząc mechaniczne koparki, rozdrabniacze i ładowarki. Grupa zwiadowcza mogła już wrócić na okręt, lecz podjęła dalsze badania. Po południu uczeni zwrócili się do astrogatorów z prośbą o przysłanie terenowych pojazdów gąsienicowych. Korzystając z okazji, przyłączyłem się do załogi pocisku, który wioził żądane wehikuły i narzędzia.

Pocisk ten, dużo cięższy od osobowych rakiet badaczy, nie mógł lądować na skorupie sztucznego szkliwa. Prowadzący go Ul Wefa przyhamował gwałtownie nad piaszczystymi wydmami, ale nie wytracił dostatecznie szybkości i wbił się w nie z taką siłą, że przez kilkadziesiąt sekund ponad dziób wzbijały się grzywiaste fale piasku, wydając piekielny ryk

w starciu z pancierzem. Ledwo ustał wrzask hamulców, zaległą ciszę wypełniło syczenie wichru. Za oknami przelatowały rude obłoki.

Znajdowaliśmy się w najniższym miejscu lekko zakłęsłej równiny, otoczonej ze wszech stron skalnym amfiteatrem. Rakiety badaczy stały jakiś kilometr dalej, a lotny piasek, wibrujący nieustannie, jak daleko okiem sięgnąć, otaczał je półksiężycowatymi zalewami i zasypywał już ich boki. Przywiezione gaśnicówki stoczyły się na dół po opuszczonej pochylni. Wraz z kilkoma towarzyszami włąłem na zewnętrzną pokrywę pierwszej i już po chwili jechaliśmy w stronę głównego obozowiska.

Myślałem, że góry planety, chociaż obce, przypomną mi jeden z najmocniej wrytych w pamięć krajobrazów młodości: wystygłe, złagodzone odległością szczyty skał, wielkie milczenie dzielone tylko uderzeniami pulsu, rodzące poczucie nieskończoności — nie tej czarnej i nieogarnionej, która czyha za wątlymi powłokami atmosfer planetarnych, lecz jasnej, błękitnej, ziemskiej. Tymczasem z grzbietu maszyny, szarpanej zrywami silnika i podskakującej na nierównościach, widziałem przestrzeń szarą, jakby spopieloną, przechodząca w niebo kotarami mętnego falowania; w ciągnących za nami kłębach pyłu mętnie żarzył się Czerwony Karzeł. Pojazd, dygocąc i chrapiąc z wysiłku, wdarł się na szeroką smugę szklawa, utworzoną przez rakiety, przewalił przez nią, rozpaczliwie mieląc gaśnicami, i po drugiej stronie zapadł gwałtownie w sypki, bardzo lotny, niemal biały piach, a właściwie rodzaj tufu wulkanicznego. Ze szczytów okolicznych wydm zrywały się wirujące bicze piasku i pędząc osypywały się z szelestem po szkle przyłbicy. Nareszcie gaśnicówka zatrzymała się opodal rakiety-bazy; zeskoczyliśmy zapadając się wyżej kolan. Sto metrów zaledwie trzeba było brnąć do rakiety, lecz oblałem się na tej drodze potem. Szedłem pod światło. Niski, tnący w nogi wiatr podnosił tumany pomarańczowego pyłu, który zabarwiał rzadkie powietrze jak ił, unoszony podwodnym prądem z dna, i wciskał się we wszystkie fałdy skafandrów. Rakieta stała na wzniesieniu utworzonym przez nagi złom skalny, otoczony jak wyspa ruchomymi piaskami. Wokół ciągnęła się pustynia. Ani śladu nie było gwiazdzistych smug, tak wyraźnie dostrzegalnych z wysokości.

W dużej kabinie rakiety przebywało koło dziesięciu ludzi; debatowali nad stołem pokrytym mapami, fotoplanami i odłankami minerałów. Dowiedziałem się, że zaintrygowani konfiguracją mas skalnych, badacze zamierzali dokonać próbnych sondowań gruntu. Niebawem ponownie przywdzialiśmy skafandry i skierowaliśmy się do oczekujących gaśnicówek.

Wspiąłem się na wieżyczkę, żeby ogarniać wzrokiem największą przestrzeń; ledwo to uczyniłem, pojazd drgnął, gwałtownie targnął i ruszył z miejsca, wyrzucając w tył i na boki całe gejzery piasku. Posuwał się wolno, grzęznąc chwilami do połowy burt, i to zapadanie się, a także nieustająca chwiejba i falowanie piasków potęgowały wrażenie morskiej podróży. Sylwety gór, majaczące przez pyłowe obłoki, wstawały coraz czarniejsze i bardziej wyniosłe. Gdy odległość zmalała dostatecznie, ujrzałem, że kierujemy się prosto ku wyrwie skalnego łańcucha.

Na zachodzie stały ściany przeorane żlebami z podchodzącymi w ich głąb językami piargów; ten obraz naturalnej erozji ustępował dalej miejsca nieopisanemu chaosowi. Rozszczepione zbocza otwierały się na kształt potwornych skib; z owych wyłomów wychylały się olbrzymie, bulwiaste kształty, jakby kamień wylał się tamtędy i zastygł wypukłymi, znieruchomiałymi czołami. Pionowe obrywy były obtopione i nabiegłe fioletowym świeceniem; ogrom łańcucha górskiego opadał tu aż do dna równiny trzema straszliwymi, martwymi skokami, by podnieść się do pierwotnej wysokości kilka kilometrów dalej, w rudej głębi horyzontu.

Pojazd coraz częściej skręcał i omijał na wpół zasypane złomy bazaltu; nareszcie stanął przed polem wczepionych w siebie kończystych głazów, którego nie mógł pokonać. W dalszej, pieszej już wędrowce, a raczej wspinaczce, czas jakiś towarzyszyłem uczonemu, ale

ich monotonna praca — sondowanie skał aparatami ultradźwiękowymi, prześwietlanie głazów, pobieranie próbek — postępowała tak wolno, że wróciłem do porzuconego na granicy rumowiska pojazdu. Siedząc w jego ciepłym wnętrzu rozmawiałem z Ul Wefą, aż odezwało się radio; to meteotechnicy z Gei ostrzegali nas przed zbliżającą się wraz ze zmierzchem burzą piaskową. Trzeba było wzywać badaczy, którzy rozsypali się daleko po całym terenie, a zgromadziwszy wszystkich, wróciliśmy do rakiety—bazy. Czerwone słońce zachodziło. Obłoki nad nami w ciągu kilkunastu sekund jak gdyby stężały, niebo stało się jednolicie rude, jak kopczący płomień widziany przez zabrudzone szkło. Czerwony Karzeł wisiał w rozziwieniu między czarnymi szczytami i chmurami krwawą, nie grzejącą tarczą. Otoczenie stawało w czerwonej, coraz mroczniejszej mgłę; tony purpury przechodziły w krwisty fiolet; kołyszące się ciężko maszyny i ludzie na nich majaczyli jak podmorskie, niesamowite stwory. W chwili gdy szkarłatny krąg dotknął horyzontu, powstało w nim płytkie wgłębienie, jakby rozpalona kula nadtopiła skały, ale zaraz obsunęła się niżej i wytworzona złudzeniem optycznym szczyba znikła. Jeszcze przez chwilę czerwień walczyła z ciemnością, aż zgasła. Tylko nad miejscem, gdzie Karzeł skrył się za górami, grały jego protuberancje jak zwijające się leniwie karmazynowe węże, aż i to znikło. Zapadł mrok najczarniejszy, w którym nie widziało się nic, jakby się stało z zaciśniętymi powiekami. Widok zachodu zatrzymał nas przed klapą rakiety. Jeszcześmy się nie otrząsnęli z wrażenia, a już rozległo się w oddali narastające wycie; to szła noc, z nią burza piaskowa.

Do późna przysłuchiwałem się dyskusji uczonych; zgodzili się, że wielki meteor, poruszający się po trajektorii niemal równoległej do powierzchni planety, przebił bramę \y zamykającym mu lot łańcuchu górskim. Znużony, skulony w kącie wielkiej kabiny, sam nie wiem, kiedy zamknąłem oczy.

W ciągu nocy raz czy dwa na pół się obudziłem, dostrzegałem badaczy pochylonych nad mapami i zasypiałem na nowo; zdaje się, że nie zmrúzyli oka do świtu. Rano temperatura atmosfery wynosiła na zewnątrz minus 87 stopni, a wszystkie rakiety były całkowicie zasypane piaskiem i odkopały je dopiero wezwane przez radio automaty. Towarówki wciąż przewoziły rozdrobniony bazalt na Geę, a badacze wyruszyli znowu w teren, na miejsce kosmicznego kataklizmu.

Pozostałem sam w rakiecie i przez szklaną szybę obserwowałem, jak w drugiej, mniejszej kabinie dwaj koordynatorzy kierowali pracami badaczy. Na wielkich ekranach, przedstawiających mapę całej okolicy, jarzyły się dziesiątki światełek oznaczających ludzi; te jasne punkty pełzały powoli, zatrzymywały się, cofały, co sprawiało wrażenie jakiejś dziecinnej zabawy, a w istocie ci, których nadajniki rządziły ruchami światełek, wspinali się na niedostępne skały i opuszczali w głębokie zapadliska. W pewnej chwili zauważyłem, jak wszystkie światełka drgnęły i poczęły ciągnąć w jednym kierunku; utworzyły niebawem drgający pierścień, a potem skupiły się i poruszały gorączkowo jak rój świetlików. Obaj koordynatorzy ożywili się; trzeci przebywający w kabinie człowiek, planetolog Borel, co chwila spoglądał to w jeden, to w drugi ekran, mówił coś do tamtych, potem przystąpił do aparatu bezpośredniej łączności z Geą i rozpoczął długą rozmowę. Nagle koordynatorzy wstali i pochylili się nad ekranami. Takie podniecenie malowało się na ich twarzach, że chciałem już wejść do kabiny; wtem na bocznym pulpicie zapłonęły trzy światła: dwa zielone i jedno białe, oznaczające, że przybywa pocisk osobowy z Gei (towarowe, krążące bez przerwy, były wyłączone z sieci sygnalizacyjnej). Jakoż po dziesięciu minutach zjawił się astrogator Ter Akonian. Nie mogąc pohamować ciekawości, z nim razem wszedłem do kabiny.

— Zaraz tu będą — powiedział Borel do Ter Akoniana — dowiesz się wszystkiego z pierwszej ręki.

Czekaliśmy w milczeniu, którego nie chciałem przerywać, jakiś kwadrans, aż dał się słyszeć odległy, jękliwy odgłos motorów pracujących na wysokich obrotach. Zbliżał się, aż

opadł ostrym wydechem, i za chwilę do kabiny weszli ludzie w skafandrach, niosąc duży, płaski futerał metalowy, który postawili na stole. Niektórzy ledwo się na nogach trzymali ze zmęczenia; odrzuciwszy tylko w tył przyłbice, tak jak stali, w zakurzonych, poplamionych skafandrach siadali, a raczej padali na fotele.

Głos zabrał jeden z tektoników. Jak się okazało z jego słów, szukając potwierdzenia pewnej hipotezy, zupełnie przypadkowo dokonali ważnego odkrycia. Jakaś gasienicówka zapadła się niespodziewanie w pustą przestrzeń, ukrytą pod powierzchnią gruntu; rozszerzywszy powstały otwór, dostrzeżono jak gdyby wylot podziemnego chodnika, który wiodł stromo w dół, a po kilkudziesięciu krokach zamykał się skalnym obwałem.

— Czy ten chodnik jest naturalnego pochodzenia? — spytał Ter Akonian.

— To nie jest zupełnie pewne — odparł tektonik. Przeciągnął rękawicą po twarzy, pozostawiając na niej ciemną smugę, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Skierował się do stołu, na którym leżał przyniesiony ciężar, i rzekł:

— Odkopaliśmy część galerii, ale robota postępuje wolno, gdyż nie chcemy używać gwałtownych środków. Korytarz wiedzie dalej... Około stu pięćdziesięciu metrów pod powierzchnią znaleźliśmy w nim — to...

Odrzucił metalową pokrywę. Na miękkiej podściółce spoczywała czarniawa, porowata, jak gdyby zapiekła bryła wielkością nie przekraczająca głowy ludzkiej.

— Substancja organiczna? — zapytał Ter Akonian w zaległej ciszy.

— Siad — odparł tektonik. — Drobne ilości węgla. Analiza izotopowa określa wiek tej bryły na około 1200 do 1400 lat. Struktura zasadniczo bezpostaciowa, ogólny skład chemiczny nie daje żadnych wskazówek, gdyż nastąpiła częściowa zmiana składników pierwotnych przez intruzie pseudomorficzne. Ciało to podległo w dodatku działaniu wysokiej temperatury, zapewne w chwili upadku meteoru.

— Co mówią biologowie? — spytał Ter Akonian.

— To samo co my; węgiel jest pochodzenia organicznego, ale nic więcej nie da się powiedzieć.

— A dalsze badania?

— Jak dotąd, przeszliśmy jeszcze pięćset metrów chodnika. Brak tam jakichkolwiek śladów takiej czy podobnej substancji. Dalej jest uskok i chodnik się ucina.

— Co przypuszczacie?

— Planeta nigdy nie wytworzyła własnych form życia, więc ten szczątek musi być pochodzenia pozaplanetarnego.

— Na jakiej podstawie tak sądzicie?

— We wszystkich pokładach aż po skały ogniowe brak śladów działania wody, brak skał osadowych — w oparciu o struktury białkowe życie nie może powstać bez wody; węgiel ten jest pochodzenia organicznego, więc... — rozłożył ręce.

— Zatem? — podjął Ter Akonian.

— Hipotezy... nic prócz hipotez — rzekł niechętnie tektonik. — Galeria może być pozostałością dawnych robót górniczych.

— A to — astrogator wskazał ręką czarniawą bryłę — szczątkiem żywej istoty?

— Tak.

Oczy obecnych skupiły się na ciemnej bryle. Coś wstrząsającego było w tej chwili. Przemierzyliśmy biliony kilometrów mijając obojętnie skupiska materii rozżarzonej i ostygłej, słońca i głązy krążące i oto teraz okruc, przypadkowo odkryty na bezimiennym, martwym globie, przyspieszył bicie naszych serc. Jak może nigdy, czułem starszą od rozumu ludzkiego i od samego człowieka potężną więź łączącą wszystko, co żywe, wielką tęsknotę do stworzeń tak samo jak my borykających się z obojętnym bezmiarem świata. To ona kazała nam domyślać się w czarnym szczątku świadectwa klęski jakiegoś życia, nieznanego, może niezrozumiałego, a przecież tak bliskiego, jak gdyby było w nim coś z naszej krwi.

Poszukiwania prowadzone przez cały dzień następny, noc i jeszcze jeden dzień bez przerwy, także w czasie burzy, nie dały żadnego rezultatu. O zmierzchu czwartego dnia zbiorniki Gei wypełniły się i nadszedł czas odlotu. Badacze niechętnie porzucali miejsca wykopalisk, lecz astrogatorzy naglili sygnałami radiowymi. Była już noc i natężenie burzy rosło z minuty na minutę. Orkan falami piasku ciął rakiety z wyciem i zgrzytaniem, jakby setki stalowych ostrzy przeciągały po pancierzach. Start w takich warunkach nie należał do łatwych; trzeba było od razu rozwinąć znaczne przyśpieszenie. Rakieta-baza, na której pokładzie się znajdowałem, ruszała jako ostatnia, widziałem więc wzlot poprzednich. W mrok wbijały się słupy pianistego ognia, błękitne, dygocące, obrzeżone u podstawy mleczną kipiłą: to wrzał piasek pustym.

Płomienne kolumny jedna za drugą wchodziły w niebo, ognista palisada rozszczepiała noc, wyłupując z ciemności kawały upiornie oświetlonego pejzażu: kotłowanie się piasków, stromo sterczące skały i stada cieni rozlatujących się po pustyni jak kłęby czarnych ptaków. Tory ognia szły wyżej i wyżej, wciąż pionowo, cienkie już jak do białości rozpalone igły; gdy gromowe dudnienie rozgrzanych mas powietrznych, które przez chwilę stłumiło wycie orkanu, opadło, dało się słyszeć mamrotanie naszych aparatów zapłonowych, padły słowa ostrzeżenia i położyłem się na wznak, tracąc z oczu widok za oknami.

Tejże nocy Gea wyszła z grawitacyjnej strefy planetarnej Czerwonego Karła i zwiększając szybkość pomknęła ku wielkim słońcom Centaura.

TOWARZYSZ GOOBARA

Kiedy góry powleka mgła, okrywając częściowo ich wierzchołki, zdarza się, że jakiś pozornie nie znany szczyt przykuje oczy, wyzwolony spod przewagi innych, większych, przygniatających go dotąd swym ogromem. Wielu współpracowników Goobara widywałem zazwyczaj w jego towarzystwie i dlatego zapewne miałem ich za ludzi nieciekawych. Przekonałem się o pomyłce pewnego wieczoru.

Kiedy przyszedłem do pracowni historyków, nie było w niej jeszcze nikogo. Usiadłem w jednym z przednich rzędów foteli. Duże lampy stropu nie płonęły; pustą salę wypełniało szarawe, bezkierunkowe światło, jak brzask pochmurnego dnia, ale to, co w takim świetle jest jednym ze stopni wiodących z ciemności do pełnego blasku, tu, w tej chłodnej, dużej sali o ciemnych malowidłach ledwo majaczących na ścianach, jak gdyby zatrzymało się i zamarło w jakimś przejściu i w stojącym czasie trwał tutaj wieczny przedświt, który już nie jest nocą ani jeszcze dniem.

Tak rozmyślałem skracając sobie oczekiwanie na towarzyszy.

Ogromna większość załogi przesiadywała teraz w laboratoriach także wieczorami, opracowując materiały zdobyte na planecie Czerwonego Karła i układając plany przyszłych wypraw eksploracyjnych w układzie Centaura. Mało kto zachodził do historyków, tak więc zamiast wykładu Moleticza przyszło dziś do rozmowy przeskakującej z tematu na temat. Tembhora rozśmieszył nas historią o tym, jak to automaty, należące do dwu uczonych o przeciwstawnych poglądach, pozostawione w laboratorium, klóciły się przez całą noc, aż jeden przekonał drugiego, i kiedy jego mistrz przyszedł rano do pracy, znalazł w nim zamiast wiernego sojusznika — kategorycznego oponenta.

W pewnej chwili Moleticz zaproponował, że pokaże nam i objaśni kilka dzieł malarskich starożytności. Gdy wyraziliśmy zgodę, sala została zaciemniona i na ekranach stawać poczęły w blasku wszystkich barw płótna starych Holendrów i Włochów. Po godzinie lampy zapłonęły i jeliśmy się szykować do wyjścia, prowadząc bezładną trochę rozmowę.

— Wiecie, co najmocniej uderza mnie w tych obrazach? — mówił Rudelik. — Samotność twórców. Występuje pod rozmaitymi maskami: udaje oschłą, zimną obojętność, pogardę, współczucie... ale czasem wydziera się z tego jakiś lżący krzyk. Goya...

— Dawniej w sztuce tyleż można było zdziałać nienawiścią co miłością — zauważyłem. — Teraz już nie.

— Nie tylko w sztuce — rzucił Moleticz.

— Ale ci ludzie z obrazów — podjął Rudelik — śmiejący się, płaczący jak my... Doprawdy, gdybym nie był biologiem, zostałbym malarzem.

— A talent? — spytał ktoś.

— No, Tembhora pomógłby mi swoimi automatami — rzekł śmiejąc się Rudelik. Szliśmy już przejściem ku drzwiom, tylko Żmur siedział wciąż samotny, w pustym audytorium, złożony rękami na oparciu fotela, zapatrzony w szare płaszczyzny ekranów. Przy drzwiach stanęliśmy, niezdecydowani, bo trudno jakoś było wyjść zostawiając matematyka samego w półmrocznej sali. Nagle odwrócił się w naszą stronę.

— Czekacie na mnie? — powiedział. — Jeżeli nie śpieszycie się, opowiedziałbym wam pouczającą historię... Wiąże się z tym, cośmy dzisiaj widzieli...

Wróciliśmy do niego. Poprosił, żeby jeszcze bardziej ściemnić światła. Moleticz uczynił to, wtedy matematyk, którego twarz ledwo szarzała w mroku, zaczął opowiadać.

Zdolności matematyczne przejawiał od dziecka. Kiedy po studiach podjął samodzielne badania naukowe, w ciągu kilku zaledwie lat opublikował prace, które zjednały mu rozgłos. Porywał się na najtrudniejsze problemy, podejmował zagadnienia, z którymi inni zmagali się bezskutecznie przez lata, i pokonywał je w ciągu miesięcy. Potrafił prowadzić dwa i trzy

nawet dociekania jednocześnie. Obdarzony wielką, przenikliwą, w lot chwytającą intuicją, każdy nowy temat, który go zaciekał, tylko napoczął, ledwo odkrył kierunek, w którym należało iść, ledwo zamajaczył pierwszy szkic całości, rzecz przestawała go interesować i dla opracowania rzucał ją swym automatom; otoczył się całą ich armią. Wszystko, czego się imał, uważał za nie dość oporne, za mało trudne. Koledzy nazywali go „kolekcjonerem twardych orzechów” i zarzucali mu nadmierną pewność siebie. Sprowokowani jego hardością, podsunęli mu pewien pomysł. Podjął rzucone wyzwanie, uznawszy, że to właśnie będzie coś na miarę jego sił.

Dotąd w jego pokoju — biurko, fotel, dwa rzędy sklepionych pod strop elektromózgów, podręczne analizatory — jedynym odstępstwem od oschłości umeblowania był hiacynt, rosnący w srebrnym stożkowym tyglu pod oknem. Teraz wnętrze zaroilo się barwami. Z trionowych ekranów znikły wykresy i rozprawy matematyczne, grube foliały i tomiska. W ich zimnej, srebrnie rozjarzonej głębi jawić się zaczęły dziwy sztuki porcelanowej, patery, na których współ—środkowe wiry płatków malinowych i złotych przy patrzeniu obracały się w przeciwne strony, kryształki o wypukłościach rżniętych w przezroczyste ogniska, skaczące jelenie i usta całujące, staroświeckie tkaniny, haftowane w piorunowo barwione kwiaty, naprzemienne rytmy srebra i krwi, srebra i ognia, srebra i fiołków, wazy greckie o linii nagich bioder i takie ciężko rozchylone, uszate, rozwarłe jakby w oczekiwaniu ciemnego wina, i flaszki malowane w skośne, piejące koguty, i amfory prehistoryczne o powierzchni zżar—tej ziemi, gasnącej, których okrąg obiegał korowód białych cieni.

Każdą taką rzecz Żmur przyporządkowywał pewnej klasie symboli. Potem szły badania szczegółowe. Na pomocniczych pulpitych wynikały rzuty i przekroje brył, hiperboloidy, czasy kuliste, stożki wzajem się przenikające, wielościany o narożach ściętych w powierzchni wypukłe, torusy poddane deformacjom wyższego rzędu, politopy...

Trawione w metalu, szkle, kryształach, szeregi kłoniących się jak zboże postaci przemieniały się w ciągi mono—toniczne biegnące nad osią urojonych, w łańcuchy liczb, wykresy wielolistne, a gąszcz krzywizn, które zataczały brzegi prastarych urn, wyjaśniały drgające sinusoidy dudnienia. Potem przyszły obrazy.

I znowu, wywołane z mroku, ukazywały się w blasku trionowych ekranów wysokie nieba Hobbemy, kipiące linie Goyi, wypełnione nieważkim powietrzem komnaty Ve—meera, nabrzmiałe życiem nagie postaci Tycjana, zastygli w półoddechu, zrodzeni przez złotawą ciemność ludzie Rembrandta. Całymi nocami ślęcząc u ekranów, celując aparatami optycznymi w wiotkie sylwety aniołów i parszające pianą konie, badał styki kształtów, osie perspektywy, w plamach złocistych ugrów i czerni słoniowej, w wielobokach cynobrow, indyga, sepii i karminu, w płaszczyznach czerwieni weneckiej i indyjskiej, w mocy światła i ciemności analizował dostawy kątów, granice cienia rzuconego, tworzył ekstrema mocne i grupy dokładnie rozszczepialne i wynikały z nich podstawy potęg, zbiory doskonałe i bieguny w nieskończoności. Ale im dalej szedł, tym większy napotykał opór. Każdy obraz posiadał nie jeden szkielet matematyczny, lecz dowolną ich mnogość. Granice kształtów, stosunki plam, proporcje ciał ludzkich, rozszczepiane na włókna aparatem analizy, zaciekle broniły tajemnic. Błądził, poznawał zależności przypadkowe i błahe, które znajdowały się w podobnej postaci w płótnach bezwartościowych. Tymczasem szło mu o matematyczną analizę czynników stwarzających piękno, o wyrażenie go jednym wzorem, tak zwartym, by wziął w siebie wszystko, jak wzór grawitacyjny materii obejmuje budowę całego wszechświata.

Zmęczony, szukał odpoczynku w dalekich wędrówkach. Nieraz, idąc alejami lasu, zwidywał w biegu czarnych konarów krzywe geometryczne i poszukiwał natychmiast ich wyrazu funkcyjnego; były to jakby palcówki. Do późnej nocy przesiadywał u aparatów, wsłuchany w ich głuchy, monotony pobrzęk, w szum krążących zawrotnie prądów, kiedy posłusznie wykonywały wiele tysięcy nakazanych obliczeń, aż świadomość jego zwiężała się jak zaciskany mrokiem, szary krąg, w którym wirował zmieszany przybór barw, rzeźb,

wielomianów, i tak zasypiał z głową na rękach, pod wielkim ekranem, gdzie coraz wolniej pojawiały się, zastygające lodowym blaskiem, zielonkawo roziskrzzone krzywe.

I oto nadeszła godzina, w której wypisał na białej karcie ten wzór, wyprowadzony z setek nie przespanych nocy, prosty i oczywisty jak konieczność.

Należało go sprawdzić. Podszedł do automatu, dał mu instrukcję i formuły; słuchał cierpliwie, jak w szmerze błyskawicznie dygocących przekaźników rodzi się pierwsze dzieło sztuki nie będące tworem człowieka. Nareszcie z długiej szczeliny wysunęła się sztywna karta. Przedłużał oczekiwanie, chwilę ujrzenia doskonałego, bo z ostatecznej ścisłości wzoru wynikłego piękna, chwycił arkusz, podniósł do światła.

Powierzchnię wypełniał zawiły, powtarzający się rytmicznie deseń. Nieskończona mnogość arabesk mrowiła się w oczach; każda rozpadała się na roje coraz drobniejszych, i cała ta przestrzeń, zabudowana wedle żelaznej konsekwencji praw wynikających z formuły, stanowiła tło, z którego występował w samym środku właściwy twór tej martwo zrodzonej kompozycji: puste, idealnie okrągłe, białe koło.

Nie wierząc własnym oczom, sprawdził połączenia automatu, prawidłowość instrukcji, kolejność dokonywanych operacji, kopał się na chybił trafił w minionych etapach dociekania, dopadał coraz innych miejsc gąszczy matematycznego, który ogarnął najwyższym wysiłkiem świadomości, żeby pokonać go i scalić.

Błędu nie było.

Zgasił lampę i podszedł do okna. Wysoko wisiał ciężki, biały księżyc. Pulsy głucho uderzały w skroniach. Z zaciśniętymi powiekami, chłodząc rozpalone czoło zimnym metalem ramy, stał tak, a mózg zasypywały roje natrętnych znaków algebraicznych. Nareszcie odwrócił się, postąpił krok i zamarł. Pod ścianą w kącie, na drugim biurku, płonął jedyny nie wygaszony ekran trionowy. Stała tam wywołana przed kilku dniami rzeźba, głowa Nefretete. Miał do pomocy wszystkie metody topologii, jedynej gałęzi matematyki badającej jakości, wielką teorię grup, wszystkie sidła wzorów, które nastawiał na nie wymówione, pragnąc zredukować je do relacji, tak jak w badaniu przestrzennym redukuje się siatkę kryształu. Prawom matematyki podlega przecież każdy okrucieństwo materii, kamień tak samo jak gwiazda, skrzydło i pletwa, przestrzeń i czas. Jak mogłoby ostać się coś wobec narzędzia tak potężnego?

Jednakże na biurku, zastawionym aparatami, zasłanym tablicami logarytmów, stała w spokojnym świetle — jak gość z innej przestrzeni — ta głowa sucha, ścisła, wiotka i tak skupiona, że zdawała się spełniać wszystkie nadzieje, jakie kiedykolwiek żywił. Cała była białą matematyką, upostaciowaniem równań mówiących o wszystkich możliwych światach i rozwiązaniem wszystkich niemożliwych. Łuki, którymi jej szyja przechodziła w barki, były jak dwie nagłe cisze w strumieniu wielkiej symfonii. Pod ciężkim czepcem faraonów twarz o pożądliwych, znających rozkosz wargach, złoty podział milczenia, obszar niezależny, który go łamał na kolana. A wszystko to powyginana dłutami powierzchnia granitowej bryły, która czterdzieści pięć wieków przed nim ociosał egipski rzemieślnik.

Podszedł do biurka, zgasił księżyc światłem lampy i, ślepo zapatrzony w jej świdrujący oczy blask, oddychał głośno. Potem wyprostował się, wziął do rąk kompozycję automatu, przedarł ją, złożył we dwoje, targnął raz jeszcze i postępował tak, aż chmura białych strzępków, jak spadający okwiat, frunęła w powietrze. Chciał wyjść, ale przy drzwiach zatrzymał się i zawrócił. Zbliżył się do głównego elektromózgu i nacisnął anihilator. światła zadrgały, podniósł się delikatny szum prądów. Stał, czujnie nasłuchując, jak w sypkim, do szelestu liści podobnym szmerze z metalowych obwodów pamięci wytarty zostaje ogrom teorii stworzonej w wielomiesięcznym trudzie, jak myślący mechanizm za jego rozkazem na zawsze zapomina o wszystkim po to, aby on nie mógł zapomnieć gorzkiego doświadczenia.

GWIAZDY SPADAJĄCE

Cztery miesiące podróży oddaliły nas o trzysta miliardów kilometrów od Czerwonego Karła, który pozostał za rufą statku jako czerwona iskra. Gea poruszała się pełnym biegiem, leżąc na kursie bliźniaczego systemu Centaura, i po raz długi przychodziło nam doświadczać tak powolnej, że uchwycić się nie dającej, przemiany gwiazd w słońca.

Wolny czas poświęcałem studiom, uzupełniając wiadomości z dziedziny paleobiologii, które — jak wykazała niezbyt dawna przeszłość — mogły się okazać niezbędne. Jednego wieczoru, pochodziwszy po ogrodzie, ażeby wyprostować trochę kości, udałem się, jak nieraz, do mieszkania Borelów, lecz zastałem tam tylko ich sześciolatniego chłopca.

— Tatuś nie wrócił od rana? — powtórzyłem jego słowa. Zapraszał mnie do zabawy, ale zaraz odszedłem. Borel nie wyszedł z obserwatorium nawet na obiad, to musiało coś oznaczać. Pojechałem windą na górną kondygnację.

Kolumnada przed pracownią astronomów była pusta, a światła sufitowe wygaszone, jak zwykle kiedy prowadzono badania i szło o to, żeby nagła różnica jasności nie oślepiła wychodzących.

Obserwatorium zalegała taka ciemność, że przez dłuższą chwilę stałem zdezorientowany na progu; powoli wzrok przyzwyczał się i dostrzegłem ekrany teletaktorów, mżące srebrnawym, jak gdyby zakrzepłym w grubych soczewkach gwiezdny pyłem. W ludnej zwykle przestrzeni pod ekranami nie było nikogo. Astrofizycy obstarpi ciemną gromadą aparaturę w kącie hali. Stłumiłem krok, tak wielka panowała cisza. Wszyscy zdawali się wsłuchiwać w coś niesłyszalnego dla mnie. Przy rozrządczym pulpicie radioteleskopu stał Trehub; obie ręce trzymał na obrotnikach i poruszał nimi wolno. Wielki, dyskowaty krąg przed nim to przygasał, to rozpalał się i wtedy głowa astrofizyka czarnym cieniem odcinała się od fiołkowego tła. Chciałem już spytać szeptem, co oznacza' powszechne milczenie, gdy dobiegł mnie bardzo słaby szelest, jakby ktoś sypał ziarenka maku na napiętą błonę. Trehub dalej poruszał dźwigniami radioteleskopu i szelest przeszedł w gęsty, dźwiękliwy werbel. Gdy osiągnął maksimum natężenia, profesor opuścił ręce i zbliżył się do głośnika. Ludzie pochylili głowy dla lepszego nasłuchiwania. Monotonne dźwięki poczęły mnie w końcu nużyć; spytałem szeptem najbliższego stojącego, co też to być może.

— Sygnały radarowe — odparł mi w ton.

— Nasze sygnały, odbite? Od czego?

— Nie nasze.

— Więc z Ziemi?

— I nie z Ziemi...

Zdumiony, usiłowałem przez mrok zajrzeć mu w twarz, podejrzewając, że żartuje, lecz był poważny.

— Więc skąd te sygnały? — spytałem zapomniawszy o ściszeniu głosu, który jak grom rozległ się w panującej ciszy.

— Stamtąd — odezwał się Trehub z głębi sali. Ręką wskazał główny ekran. Na przecięciu fosforycznych linii widniał ledwo mglejący punkt, oddalony o kilka minut łukowych od słońca A Centaura, które płomienistą plamą jaśniało w górnym lewym kwadracie.

— To sygnały z drugiej planety A Centaura... — dodał mój sąsiad.

Znowu zaległo skupione milczenie, ale teraz mogłem już w nim uczestniczyć. Patrząc w ciemny ekran i słuchając, jak jednostajnie bije radarowe tętno w głośnikach, usiłowałem przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem o układzie Centaura. Glob, który wysyłał sygnały, odpowiadał swym położeniem Wenerze w naszym systemie słonecznym; była to tak zwana Biała Planeta, której czas obrotu stał się taką niespodzianką dla astronomów.

Wspomniałem, jak wczesnym rankiem tego dnia, będąc na pokładzie gwiazdowym,

zauważyłem, że Gea wykonuje niezrozumiałe ewolucje, co uwidoczniło się powolnymi ruchami nieba. Teraz dało mi to do myślenia.

— Od jak dawna słyhać te sygnały? — spytałem.

— Pierwszy raz usłyszeliśmy je dziś rano — odrzekł Borel.

— Czy mają coś wspólnego z nami? — spytałem i zanim jeszcze planetolog odpowiedział, poczułem, jak zamiera mi serce, bo znałem już odpowiedź.

— Tak. Emitowany stożek jest bardzo wąski. Próbowaliśmy wyjść z niego manewrując, ale za każdym razem chwycił nas na nowo...

A więc oczekiwano nas na tej białej plamce, ledwo widocznej pośród obłoków iskier; przypuszczenie zmieniało się w pewność, nadzieja stawała się rzeczywistością i jak gdyby odpowiadając na tysiące pytań, które kłębiły się w mojej głowie, głośniki odzywały się dźwiękliwym tykotem, jakby padały pośpiesznie wypowiedane w nieznaną mowę słowa: „Tak, tak, tak, tak...”

Fale elektromagnetyczne drażyły w mrokach wąski tunel długości miliardów kilometrów, dopadały Gei i powracały tam, skąd je wysłano, niosąc w swych odbiciach obraz ziemskiego statku.

Przez sześć tygodni lecieliśmy ku Białej Planecie. Bliźniacze słońca Centaura rosły coraz bardziej, przyćmiewając pobliskie gwiazdy, i zarazem oddalały się od siebie; słońce A było już potężną kulą ognia, po której sunęły doskonale widzialne w heliografach plamy; ale sama planeta wciąż była iskrą wśród mroków i tylko ruch jej dawał się spostrzec w ciągu godzin, tak szybko przesuwała się po gwiazdowym tle.

Podejmowaliśmy próby nawiązania z nią łączności radiowej; automaty wysyłały sekwencje rytmicznych sygnałów, powtarzając je nieznużenie w ciągu całych dni, lecz jedyną odpowiedzią był tylko niezmienny rytm radaru, potężniejący w miarę jak malała dzieląca nas od planety przestrzeń. A przestrzeń ta topniała szybko, gdyż Gea pokonywała 30 000 kilometrów w sekundzie — szybkość ogromna w obszarze zaludnionym planetami, ale też ogromna pędziła nas niecierpliwość i martwy metal wyrzutni jak gdyby zapalał się podnieceniem ludzi, tak powiększały się i ciągnęły w mrokach za rufą smugi atomowego ognia.

Nareszcie czterdziestej trzeciej doby od pamiętnego dnia, w którym po raz pierwszy pochwyciliśmy sygnały radaru, Gea znalazła się nad planetą.

Biała, ogromna, gęstymi chmurami przesłonięta tarcza zakryła niebo. Dźwiękliwy tykot radaru stał się tak silny, że prosty przyrząd elektronowy, połączony z zewnętrzną powłoką okrętu, pozwalał usłyszeć go bez pomocy wzmacniacza, ale to też było wszystko.

Zwalniając coraz bardziej biegu, statek okrążył Biały Glob po zacieśniającej się spirali, a wszyscy ludzie, stojący w milczeniu na pokładach, patrzyli z bijącymi sercami w dół, na śnieżne oceany obłoków, mówiąc sobie bez słów: „Jesteśmy u celu”.

Lita powłoka chmur broniła dostępu wzrokowi, jak gdyby planeta chciała skryć przed nami swą tajemnicę. Mogliśmy wpłynąć na warunki meteorologiczne, rozegnać chmury na znacznym obszarze lub skroplić je za pomocą emitorów promienistych, lecz astrogatorzy nie chcieli użyć żadnego z tych środków. Dlatego ponawialiśmy tylko w regularnych odstępach czasu próby porozumienia radiowego, a gdy nie dały wyniku, zrzuciliśmy na spadochronach wielką ilość zbiorników zawierających modele rozmaitych aparatów i maszyn, technicznych wytworów człowieka. Jakoż chmury pochłoneły tych naszych posłańców i zamknęły się za nimi, lecz eter ciągle wypełniał jedynie monotony tykot radaru, świadczący o tym, że kilkaset kilometrów pod nami żywe, rozumne istoty obserwują nas, jednak z niepojętej przyczyny zachowują milczenie, nie odpowiadając na wezwania.

W ostatnim okrążeniu, gdy Gea zeszła do samej granicy atmosfery, w głębokim rozdarciu chmur ukazała się nagle powierzchnia globu. Jakieś plamy granatowosine, jakieś podobne do olbrzymich, rozplaszczonych pajaków, rozpostarte szeroko twory o grudkowatym,

wzniesionym nieznacznie centrum ukazały się w rozejściu śnieżystych obłoków, rozległa równina przechodziła w smoliście czarną taflę — nagle patrzących poraził błyskawicowy odbłask; pokłady przebiegł podawany z ust do ust okrzyk: „morze!” — aż po horyzont, znikając pod nawieszonymi chmurami, ciągnęły się wody, które przez chwilę zajaśniały odbitym blaskiem słonecznym. Gea zmniejszyła jeszcze bardziej szybkość, lecz już wypukłe, podobne do ośnieżonych grzbietów górskich brzegi chmur płynęły ku sobie, leniwie zamknęły się i znowu tylko ich jednolita powłoka miarowo ciągnęła pod statkiem.

W trzecim dniu krążenia astrogatorzy postanowili wysłać w dół operacyjną grupę zwiadowczą. W wyprawie wziąć miała udział większa ilość jednoosobowych, pilotowanych przez ludzi pocisków, zdolnych do lądowania w trudnych warunkach i na małej przestrzeni, nawet na obszarze zabudowanym i zamieszkałym. Rakiety te, poprzedzane przez większy, bezludny pocisk, niosący telewizory, i dlatego zwany „oczami”, miały zejść pod chmury, dokonać wstępnych obserwacji i zależnie od okoliczności albo lądować, albo też powrócić na statek.

Przygotowania do startu toczyły się w południe nad dzienną półkulą planety. W sterowni znajdowali się wszyscy niemal mieszkańcy Gei. Staliśmy pod zaciemnionym stropem, a w ścianach płonęły ekrany jak okna otwarte na barwną przestrzeń. W bocznym, połączonym z zerową kondygnacją, widać było, jak piloci w srebrnym rynsztunku schodzą na dolne piętro lotniska, jak zamykają przyłbice i obarczeni ciężkimi kryzami skafandrów wchodzą, pochylając się, do swoich rakiet. Potem tłoki wsunęły metalowe wrzeciona w głąb studni wyrzutowych i nastąpiła cisza. Ter Akonian położył dłoń na swoim pulpicie. Słumiony, drgający dźwięk rozszedł się po całym statku jak uderzenie wielkiego dzwonu. Pierwsza, bezludna rakiet wyrwała się w przestrzeń. Minuta ciszy i znowu miarowe uderzenie. Pięć osobowych rakiet, wystrzelonych jednocześnie przez dziobowe wyrzutnie, opuściło statek. Znowu bezgłośnie poruszały się tłoki, rakiety sunęły po torach i przeciągający całym okrętem dźwięk, jak gdyby bicie gigantycznego zegara, powtarzał się, dopóki ostatnia piątka rakiet nie opuściła Gei.

Teraz uwaga nasza skupiła się na centralnym ekranie. Aż po horyzont rozpościerało się w nim zwałone morze obłoków. Trzydzieści jeden rakiet zatoczyło ciasny łuk wokół okrętu, zagrało słońcem w srebrnych bokach i zaczęło schodzić w dół, utworzywszy jak gdyby zawieszony w przestrzeni, powoli wirujące spiralne schody.

Trzej astrogatorzy na podium patrzyli w główny ekran. Poza nimi wznosiła się sześcioczłonowa aparatura łączności; u stereometrycznych ekranów siedzieli technicy ze słuchawkami na uszach. Każdy prowadził piątkę rakiet, poruszających się przed nimi jako drobne, soczewkowate światełka z nazwiskami pilotów. Więż ta pozwalała na kontrolę ruchów rakiet poprzez chmury.

Do mikrofonów padały pojedyncze słowa. Lot odbywał się sprawnie. Rakiety, malejąc, opadały z trzystukilometrowej wysokości. Nad wielką białą równiną przestały krążyć i uformowały się w klucze. Jak czarne igły sunęły nad łagodnie sfalowanym tłem, zbliżając się ku własnym cieniom, które to wpływały w kotliny między chmurami, to podlatywały do góry. W rozwiniętym szyku oddalały się coraz bardziej.

Wpatrzony w ekran, czułem barkami bliskość nieruchomych jak ja towarzyszy. Pośród osłonecznionej, klującej wzrok bieli rozwierała się, przepleciona pierzastymi smugami, ciemniejsza przestrzeń. Pierwsza piątka rakiet mknęła w tym kierunku, poprzedzana przez duży pocisk bezludny — „oczy” telewizyjne. Nad przeciwległym brzegiem rozziemu stała pokłębiona chmura, w cieniu o barwie zmytego wodą łupku, w słońcu pałająca płynnym srebrem; klin rakiet wpadł w nią, przestrzelił wiotkie opary i wyrwał się z drugiej strony. Mknęły dalej, przysiadając jakby na własnych cieniach. Spojrzałem w górę; bezpowietrzne niebo było czarne i wygwieżdżone. Kiedy ponownie popatrzyłem w dół, prowadzące „oczy” już znikły, a pierwszy klucz rakiet zanurzał się właśnie w chmurach. Przez chwilę grzbiety ich

ciemniały pod pienistą bielą jak ryby w pianie górskiego potoku, potem zarys jednej mignął jeszcze w jakiejś płyciźnie chmur i znikły wszystkie.

Następna piątka pochyliła dzioby, tracąc wysokość. Wtem krzaczasty błysk prześwietlił chmury; powietrzem sterowni targnęło jedno zdławione westchnienie i znowu była cisza, a pięć pierwszych rakiet mknęło dalej, rozżarzając się jak meteory. Silniki jeszcze pracowały, lecz oto w stereometrycznych mapach ciemnieć poczęły nazwiska:

BOREL SENT ANTONIADI INGWAR UTENEUT

Światelka gasły jak zdmuchiwane płomyki, a to, co było przed sekundą rakietami niosącymi żywych ludzi, oświeciło kotłowisko chmur blaskiem kipiącego metalu, jakby ognista dłoń kreśliła tory pięciu gwiazd spadających.

Od pierwszego rozbłysku do końca katastrofy upłynęły może dwie sekundy, przez które staliśmy wszyscy jak rażeni gromem i straszną ciszę przedzielało tylko padające z głośników tykotanie planetarnego radaru. Nadciągał drugi klucz rakiet. Technicy łączności wysłali mu już rozkazy natychmiastowego zawrócenia, ale rakiety nie mogą wytracić szybkości w ułamku sekundy; zanim piloci zahamują je, wejdą w strefę zniszczenia. Dwaj astrogatorzy czuwali przy centralnym pulpicie, Grotrian i Pendergast. Dwie dłonie wysunęły się jednocześnie ku czarnemu wyłącznikowi dezyntegratora.

Drobny ruch — i Gea wyrzuci ze swego wnętrza kaskadę antyprotonów równoważną protuberancji słonecznej; potężna lawina promienista zniszczy nieznaną siłę, co poraziła naszych towarzyszy, bez względu na to, czym ona jest. Piorunowe wyładowanie, poruszające się z szybkością światła, wyprzedzi rakiety, oczyści im drogę i kiedy znajdą się w miejscu katastrofy, będzie tam już tylko próżnia.

Raz jednak wystrzelony ładunek nie może zostać wstrzymany. Osiemset trylionów ergów energii przebije jak kartkę papieru atmosferę planety i runie na jej powierzchnię. Ciosowi temu nic nie może się oprzeć. Cokolwiek jest materią, zostanie obrócone w płomień, a energia rozpadu stopi skorupę globu.

Grotrian i Pendergast równocześnie wyciągnęli ręce ku wyłącznikowi. Obie te dłonie przez sekundę wisały w powietrzu i cofnęły się — kiedy spojrzeli sobie w oczy.

Rękojeść stała dalej w pozycji martwej. Piloci następnych pięciu rakiet włączali hamownice i po olbrzymich płomieniach widać było, jak rozpaczliwe są ich usiłowania, lecz jeden po drugim wnikali w strefę zniszczenia i stawali w ogniu. Tylko ostatnia rakietka tej piątki uniknęła zagłady; pilot jej musiał z nadludzką siłą zerwać wszystkie bezpieczniki i wystrzelił pionowo w górę, z szybkością tak straszną, że znikł nam z oczu.

W głębi chmur paliły się cztery tory, cztery nowe gwiazdy spadały w dół i w chmurnej otchłani rozwiewały się już ostatnie ślady ognistego przelotu.

Potem Gea zaczęła wolno cofać się tyłem, zwracając dziób w tarczę planety, a pole magnetyczne wsysało przez denne luki powracające na pokład rakiety. Ekran wewnętrznego telewizora ukazywał halę lotniska; ze stalowych gardzieli wynurzały się długie iglice statków, a na tarczy przyjmującego automatu przeskakiwały liczby: 17... 18... 19... Po dwudziestej rakiecie nastąpiła dłuższa przerwa. Tymczasem włady podciągniętych na rezerwowe tory rakiet odmykały się, piloci wydostawali się przez otwierane pośpiesznie klapy i zamiast iść na górę, przyłączali się do zgromadzonych na lotnisku. Coraz więcej ich srebrnych postaci mieszało się z czekającymi. Automat ukazał cyfrę 21, zarazem wciągająca łapa wprowadziła na oswobodzony tor wielką rakiętę, z której nikt nie wyszedł — był to bezludny statek, który niósł „oczy” telewizorów. Przez kilka minut panowała śmiertelna cisza, tłoki wyciągów spoczywały nieruchomo w łożyskach, potem tarcza sygnalizatora jakby z trudem przekreśliła się raz jeszcze, ukazując liczbę 22, i do służby przez odemknięte klapy wsunięta została ostatnia ocalała rakietka. Kłapa jej nie otwarła się sama. Mechanoautomaty przyłożyły cęgi do

obrotowych trzpieni, gdy z zapatrzenia wyrwał mnie sygnał wzywający wszystkich lekarzy na stanowiska.

Sala operacyjna tonęła w blasku. Sześciu ludzi wniosło na ramionach ciało, szczelnie zamknięte w gumowym kokonie, i złożyło je na ogrzewanej płycie porcelanowej.

Kły instrumentów wpiły się w plastyczną masę. W rozcięciu zajaśniał skafander. Zachrupały rozcinane spirale wzmacniające. Kilka sekund — ujrzelśmy twarz Amety.

Gdy zerwał bezpieczniki i ze straszną szybkością wyprowadził raketę z prostej, krew jego, zgęstniała w ołów, wdarła się do trzewi i nóg rozsadzając tkanki. Cały był jedną drgającą raną; tylko głowa i ręce ocalały, białe i bezkrwiste.

Od pierwszego rzutu oka pojąłem, że przypadek jest nie do uratowania; można było tylko skrócić albo przedłużyć agonię. Natychmiast przystąpiliśmy do pracy. Włączone zostały sztuczne płuca i serce; przewiązane dostępne popękane naczynia, przez które uciekała krew; poszły w ruch transfuzatory. Braliśmy lśniące narzędzia i odrzucali okrwawione, porozumiewając się pojedynczymi słowami. Jednakowoż nie można było utrzymać tego stanu dłużej niż przez minuty. Strefa porażenia rozszerzała się, szok ogarniał niezbędne dla życia narządy. Rzecz szła już nie o uratowanie Amety — to było niemożliwe — lecz o doprowadzenie go do przytomności choćby na kilka chwil, choćby na jedną dość długą, by mógł wypowiedzieć ostatnią wolę.

Tłoki w przezroczystych cylindrach strzykawek dochodziły do dna. Pobudzający płyn, tłoczony sztucznym krążeniem, opływał szamocące się serce. Drgnienie przeszło przez leżącego; zdawało się, że otwiera oczy, lecz tylko pogłębiły się cienie policzków i pulsomotor zaczął pracować głośniejsz — głód tlenowy organizmu rósł.

— On jest przytomny — powiedział Schrey.

Nisko schyleni wstrzymaliśmy dech.

Nieruchoma maska twarzy poczęła drgać, jakby targana wściekłością. Wargi rozchyliły się, ukazały zwarte do pęknięcia zęby, obwiedzione nitkami krwi. Ameta był przytomny, lecz w jego mózg bił od poszarpanych nerwów ból tak straszny, że wszystkie siły wycężał dla zdławienia krzyku.

Nie miał ich, by przemówić.

Ostatni zastrzyk. Szkło ampułki z ciekłym brzękiem rozbiło się o podłogę. Bólu nie mogliśmy usunąć. Znieczulenie groziło utratą świadomości. Schrey, wciąż twarzą zwrócony do leżącego, odstąpił od stołu. Poszliśmy z Anną za nim i stanęli z opuszczonymi, zakrwawionymi rękami, jakby dając znak, że zrobione zostało wszystko, co było w naszej mocy.

Pod ścianą stało kilkudziesięciu ludzi. Wśród ciemnych postaci odznaczały się jasne skafandry pilotów, którzy przyjechali tu prosto z lotniska. Jeden z nich, Zorin, z przyłbicą nie odczepioną od kryzy, lecz tylko odrzuconą w tył jak dziwaczne skrzydło, odwrócił się nagle i wybiegł. Może przez dwie minuty trwaliśmy bez ruchu. Ciszę przerywał tylko chrapliwy oddech Amety i cichutki dźwięk sztucznego serca. Drzwi rozwarły się, pchnięte gwałtownie. Wszedł Zorin, ciągle w srebrnym skafandrze. Niósł wygiętą w kabłąk kierownicę, wyjętą z pocisku Amety. Podeszedł do stołu operacyjnego, podniósł najpierw jedną, potem drugą bezwładnie zwisła dłoń Amety i zacisnął na rękojeściach jego palce. Potem ostrożnie i lekko uniosł leżącego i wsunął jego podbródek w gumowy trzymak, wychodzący ze środka kierownicy, który podnosi lub opuszcza głowę pilota w zależności od ruchów steru, tak by ciemię kierowało się zawsze w stronę przeciwną do wykonywanego zwrotu.

Zorin ułożył głowę Amety na trzymaku i ujawszy kierownicę oburącz, przegiął ją; wtedy głowa konającego podniosła się, popchnięta, a zacisnięte na rękojeściach dłonie wykonały część obrotu. Zorin trzykrotnie poruszał kierownicą tam i na powrót, jakby zataczał koła i rozpędzał wyimaginowaną raketę. Za trzecim razem powieki Amety uniosły się.

Różowa piana wyszła mu z ust, rozległ się świszczący, bulgoczący szept:

— Wielkie rakiety... dojdą... miasta... widziałem... wy dalej... na wielkich raketach... telewizory... na wielkich...

Przyciągnął kurczowo kierownicę do piersi, ręce jego drgnęły, jakby usiłując pchnąć ster w górę, i zatrzymały się na zawsze.

Otoczenie rozpadało się. Widziałem każdą rzecz z osobna, wyraźną i nadmiernie rzeczywistą: porcelanowy narożnik stołu operacyjnego z zakrzepłym rozbryzgiem krwi, pusty, rozpruty skafander rzucony na podłogę u stóp Schreya, jego twarz skurzoną, obcą, jakby widzianą pierwszy raz, i — w padającym z bocznego reflektora strumieniu światła — Lenę, która wciąż jeszcze na coś czekała.

Pulsomotor pracował dalej, tłocząc krew w głąb martwego ciała. Chciałem go wyłączyć, postąpiłem krok naprzód, coś zagroziło mi drogę. Dłoń wyciągnięta, by usunąć przeszkodę, opadła. To nie przedmiot jakiś mnie zatrzymał, lecz wzrok Zorina, ślepy od straszliwego żalu.

KWIATY ZIEMI

Przez całą noc Gea oddalała się od planety. O ósmej rano głośniki obwieściły, że rada astrogatorów wzywa załogę na zebranie.

W kwadrans amfiteatr wypełnił się. Stał w nim niski, głuchy szum; wzniesienie pod ścianą było puste, nagle wszedł tam Ter Akonian i powiedział:

— Głos ma profesor Goobar.

Wtedy wszyscy ujrzelśmy, że Goobar już od dłuższej chwili stoi z boku, niski, lekko pochylony, i patrzy na salę. Nastąpiła wielka cisza, w której rozległ się jego głos:

— Przedstawię tu hipotezę, która ma wyjaśnić wydarzenia przeszłe i wytyczyć przyszłe nasze działanie.

Tragiczne wypadki wczorajsze zdają się wskazywać, że mieszkańcy Białej Planety to jakieś istoty krwiożercze, powodujące się w działaniu niepojętymi dla ludzi czynnikami. Wiem z rozmów, że wielu z was tak myśli. Pogląd ten uważam za fałszywy. O istotach tych wiemy mało, jedno wszakże nie ulega wątpliwości: są rozumne, a w powyższej interpretacji postępek ich staje się bezsensowny. Do planety zbliża się pocisk gwiazdowy i statki, które wysyła, zostają zniszczone. Dlaczego? W jakim celu? Początkowo sądziłem, że mamy zbyt mało danych, by odtworzyć całość wydarzeń, to znaczy zrekonstruować poczynania nie tylko nasze, ale i drugiej strony. Tak jednak nie jest.

Pomilczał przez chwilę.

— Wyjdźmy od wypadków ostatnich. W płaszczyźnie górnych warstw atmosfery wytworzone zostało pole siłowe, które zniszczyło dziewięć rakiet. Działo się to w dwu fazach. Najpierw katastrofie uległo pięć rakiet pierwszego klucza, potem — cztery drugiego. Rakieta niosąca telewizory, która jako pierwsza przeszła przez strefę zniszczenia — ocalała. Dlaczego? Znowu pomilczał.

— Wszystko, co działo się przedtem i potem — nieustająca kontrola naszych ruchów, milczenie jako odpowiedź na wezwanie, precyzyjny sposób zagłady pocisków — wszystko to kazało mi odrzucić myśl o przypadku jako przyczynie, która ocalała pierwszą raketę. Wobec tego rzecz ma się tak: dziewięć pocisków w rozumieniu nieznanymi istot zasługiwało na zniszczenie, a jedna rakieta była i tego rachunku wyłączona. Przyczyna leżeć musi więc w różnicy między raketami, które zginęły, a raketą ocalałą.

— Otóż — ciągnął Goobar w śmiertelnej ciszy — rzecz wydawała mi się zrazu niezmiernie dziwna, bo te rakiety są do siebie bardzo podobne. Różnica — to nasuwało się mimo woli — leżała w tym, że rakieta nie tknięta była, w przeciwieństwie do zniszczonych, bezludna. A więc jeszcze raz wypłynęło odrzucone przypuszczenie, że celem działania istot było zabicie pilotów.

Pomilczał.

— Skąd jednak mogłyby wiedzieć, że pierwsza rakieta jest bezludna? Mówiło się, jak słyszałem, o jakichś sposobach prześwietlenia naszych rakiet na odległość. Otóż to na pewno jest niemożliwe. Rakiety są osłonięte pancierzem bardzo nieprzenikliwym i promieniowanie dość twarde, aby go przeniknęło, musiałyby je równocześnie zniszczyć. Tak że hipotezę prześwietlenia rakiet i wypływający z niej wniosek o „krwiożerczości” istot należy — po raz drugi — odrzucić.

Wracamy do punktu wyjścia. Jaka różnica zachodziła między dziewięcioma raketami zniszczonymi a ocalałą? W budowie, w sylwetce, w szczegółach technicznych są takie same. Różnica jest właściwie tylko jedna; ocalała rakieta jest niemal trzy razy większa od tamtych. Wypadki wyglądały więc tak: do planety zbliża się gromada rakiet. Plan nieznanymi istot brzmi: małe zniszczyć, dużej nie atakować. Dlaczego? Tego nie mogłem zrozumieć. Cóż one wiedzą o nas takiego, co kazałoby im postąpić w taki sposób? Cóż one w ogóle wiedziały?

Tyle tylko, że do planety zbliża się statek. Wiedziały o tym od sześciu tygodni, kiedy ich radar odkrył Geę. W tym miejscu po raz pierwszy zastanowiłem się: a dlaczego radar pochwycił Geę właśnie wtedy?

Oczywiście, to znowu mógł być przypadek. Ale o przypadku wolno mówić tylko wtedy, jeśli wykluczone zostaną łańcuchy skutków i przyczyn wiążące rozpatrywane zjawiska, a w tym wypadku to nie było pewne. Stożek radarowy, który nas trafił, był bardzo wąski, tak się to mówiło od dawna. A co by się stało — pomyślałem — gdyby tak puścić w ruch matematykę? Spytałem profesora Trehuba, jak szeroki był stożek radarowy w momencie, kiedy nas pochwycił, i okazało się, że obaj, on i ja, myślimy o tym samym. Nie tylko odpowiedział na moje pytanie, ale dodał jeszcze, że stożek ten, doleciawszy do Czerwonego Karła, byłby już tak szeroki, że ogarnąłby przestrzeń o średnicy osiemdziesięciu milionów kilometrów. Czy zaczynacie rozumieć?... Oni nie wysłali tego pędu fal przypadkowo. Oni przypuszczali, że jakiś statek porusza się w tamtej okolicy nieba. Dlaczego tak myśleli? Czyżbyśmy im dali znak naszego zbliżania? Znak tak potężny, że dostrzegli go poprzez bilion kilometrów, tak szybki, że przegonił Geę, i zarazem tak nieznaczący, że sami nie uświadomiliśmy sobie faktu jego wysłania? Taki znak, taki sygnał wysłaliśmy im w samej rzeczy. Był to wybuch martwego satelity Atlantydwów.

Na sali panowało straszliwe, napięte milczenie; słowa Goobara padały w nie jak rozżarzone ciężary.

— Przeprowadziłem następujący, prosty rachunek — ciągnął uczony. — Eksplozja czternastu bomb uranowych wytworzyła błysk o mocy bijącej w ułamku sekundy promieniowanie słoneczne. Błysk ten po trzech miesiącach doleciał do Białej Planety i został tam spostrzeżony. Gdzie powinien był nas spotkać impuls radarowy — spytałem — jeśli założyć, że wysłano go z planety na tych miast po zaobserwowaniu błysku? Rachunek odpowiada: powinien był spotkać Geę w odległości piętnastu dni drogi światła od planety. Ten wynik zgadza się w zdumiewająco dokładny sposób z rzeczywistością. Tak wysoka zgodność nie może być dziełem przypadku. Jesteśmy więc na właściwym tropie.

Dobrze. Ale dlaczego oni wysłali impuls radarowy, zaledwie dojrzeli błysk? Odpowiedź nasuwa się sama: dlatego, że wiedzieli, co go wywołało. Wiedzieli, że w układzie Czerwonego Karła krąży martwy statek z ładunkiem atomowym i że błysk został wywołany eksplozją tego ładunku. Istotnie, jest wysoce prawdopodobne, że istoty na tak wysokim stopniu rozwoju technicznego kontrolują obszar swego układu, że więc odkryły kiedyś sztuczny księżyc Atlantydwów. Jeżeli tak się stało, to one właśnie przeświectliły pociski atomowe astronomem i wiedziały, że samozapłon ich jest niemożliwy. A więc błysk dał im znać, że w przestrzeń ich układu wpłynął jakiś statek i że to on wywołał zapłon unicestwiający satelitę. Żeby to przypuszczenie sprawdzić, wysłali pęk fal elektromagnetycznych, a stwierdziwszy obecność statku, kontrolowali jego ruchy. Tyle o sposobie, jakim zawiadomiliśmy mieszkańców planety o naszym przybyciu. Teraz pozwólcie, że odwrócę całe zagadnienie i pod niewiadomą, jaką w rozważanym problemie są nieznanne istoty, podstawię ludzi.

Załóżmy, że to ludzie mieszkają na tym pochmurnym globie, że to ludzie pewnego dnia dowiadują się od swych astronomów, iż w przestrzeń ich układu słonecznego wszedł jakiś nieznaną statek. Statek ten płynie z tej samej okolicy nieba, z której ongiś przybył już do ich układu inny statek, niosący martwą załogę i ładunek pocisków atomowych. Dalej. Ten nowy statek zniszczył ów martwy wybuchem. Cóż to za istoty — myślą — które rozsadzają napotkany stary wehikuł, które tracą wysiłek i czas na obrócenie grobowca ze skamieniałą załogą w nicłość? To jest niejasne, to jest podejrzane. Należy te istoty bacznie śledzić. — Wysyłają stożek radarowy, tak szeroki, by ogarnął cały niemal układ Czerwonego Karła. Zanim poruszające się z szybkością światła fale radaru docierają do nieznanego statku, upływa szereg tygodni. Kiedy odbite echo powraca, okazuje się, że statek z wielką szybkością

pędzi ku ich planecie. Wówczas ludzie — bo podstawiliśmy za niewiadomą ludzi — postanawiają wyczekiwać. Nareszcie statek dochodzi do planety i wysyła ze swego wnętrza trzydzieści rakiet. Małych rakiet. Ludzie zamieszkujący Biały Glob nigdy ich nie widzieli, nieprawdaż? Tak sądzicie? A jednak. Przypomnijcie sobie fotografie przyniesione z martwego satelity Atlantydy. W jaki sposób zamierzali Atlantydzi miotać pociski atomowe? Za pomocą niewielkich, cztero— czy pięciometrowych rakiet. Małych rakiet. I oto na niebie Białej Planety pojawia się trzydzieści małych rakiet prowadzonych przez jedną wielką. Czy nie jest prawdopodobne, że ta duża rakietka to statek z załogą, który ma zejść pod chmury, wypatrzeć cele i obruszyć na nie trzydzieści pocisków uranowych? Co robić, aby zapobiec zniszczeniu? Należy bomby unieszkodliwić. Jak? Na szczęście mieszkańcy planety zwiedzili ongiś martwego satelitę, prześwietlili bomby astronomem, znają ich konstrukcję... W każdej bombie znajduje się pęk luf schodzących się koncentrycznie w jej środku. Każda lufa zawiera pocisk z metalicznego uranu i ładunek prochowy. Detonacja tego ładunku we wszystkich lufach naraz powoduje zestrzelenie odłamków, jak gdyby ćwiartek uranu, w jedną bryłę o masie nadkrytycznej, i tym samym — wybuch atomowy. Żeby więc spowodować przedwczesny zapłon bomby, dość jest zmusić do detonacji ładunki prochowe, a zapalić je — najprościej przez znaczne podwyższenie temperatury. Trzeba w tym celu wytworzyć odpowiednie pole energetyczne w górnych warstwach atmosfery... Ale — myślą ludzie dalej — postąpimy tak tylko z bombami. Dużego statku z załogą nie będziemy atakować. Niech nieznani przybysze widzą, że nie chcemy z nimi walczyć ani ich zniszczyć. — I cały ten plan zostaje urzeczywistniony...

Jak widzicie — ciągnął Goobar — wszystko się tu zgadza, i to w sposób tak zadziwiający, że wynikają dwa nowe pytania. Pierwsze brzmi: jeżeli za niewiadomą podstawić ludzi, to okazuje się, że postąpiliby oni prawdopodobnie w taki sam sposób jak nieznane istoty. A więc istoty te muszą być łącznie do ludzi podobne. Jak to, a więc już w pierwszej wyprawie gwiazdowej, wybierając za cel podróży najbliższą gwiazdę, poznając z milionów systemów planetarnych Galaktyki jeden, od razu odkrywamy istoty tak niezwykle podobne do człowieka? Czy ta zbieżność nie zakłada znowu przypadku, i to tak nieprawdopodobnego, że wniwecz obraca całe poprzednie rozumowanie? Odpowiedź moja brzmi: szkielet logiczny rozumowania ludzkiego rzutuję w postępowanie istot nie dlatego, że jest najdoskonalszy, ale dlatego, że jest konieczny. Żeby opanować materialne siły wszechświata, człowiek musiał w ciągu tysiącleci wykształcić w sobie takie właśnie metody rozumowania indukcyjnego i dedukcyjnego, metody wywodzące się z prostych odruchów wszelkiej materii ożywionej. Istoty, które zamiast badać przemiany wnętrza gwiazd oddawałyby im cześć, niedaleko posuną się w rozwoju... Jeżeli zatem mieszkańcy Białej Planety wytworzyli wysoką cywilizację, a to jest pewne, to umysły ich muszą działać wedle praw logiki podobnych do naszej. Czy to implikuje podobieństwo wyglądu? Oczywiście nie. Odruch warunkowy jest w zasadzie podobny u małpy, dżdżownicy i rekina, ale trudno nazwać te istoty podobnymi pod względem anatomicznym.

Drugie, donioślejsze jeszcze pytanie brzmi: jak mogło się stać, że wiemy to wszystko teraz, a nie podjęliśmy żadnych środków ostrożności, nie przewidzieliśmy niczego i z przerażającą lekkomyślnością dopuściliśmy do tak tragicznej w skutkach pomyłki? Odpowiedź moja brzmi: spowodowało to nasze tchórzostwo. Spotkanie martwego satelity było przypadkiem, tak, ale to, co działo się potem, nie miało nic z przypadkiem wspólnego. Nie przypadek zrzucił, że z takim pośpiechem przystąpiliśmy do jego zniszczenia. U podstawy naszego działania kryło się przeświadczenie, że akt zagłady satelity to wyłącznie nasza, ludzka, ziemská sprawa i że nikt nie powinien go dostrzec, a skoro nie powinien, to i nie dostrzeże. To fałszywe, alogiczne rozumowanie wynikło z chęci odcięcia się od skamieniałego szczątku własnej naszej przeszłości. Tak bardzo chcieliśmy się jej wyprzeć, że przy późniejszym układaniu planów nie wciągnęliśmy do rachuby ani spotkania martwego

statku, ani zniszczenia go, zupełnie jakby te wypadki nigdy nie zaszły. Za ten brak odwagi, za pośpiech zniszczenia przyszło nam zapłacić życiem towarzyszy. Nie chcieliśmy nic wiedzieć o tamtych — a przecież to byli ludzie! Nie można zakłamać przeszłości. Nie można przekreślać w niej nawet tego, co jest nam obce. Możemy z jej dziedzictwa wybierać, ale trzeba mieć odwagę świadomego podźwignięcia całości losów gatunku na przestrzeni dziejów planetarnych. Ta okrutna lekcja ważna jest i dla nas, i dla tych, co przyjdą, bo konieczna jest wiedza o tym, że w człowieku, oprócz wielkości rozumu, jest małość okrucieństwa, jeśli nie ujawniona, to potencjalna, którą wyłonić mogą warunki.

Na zakończenie kilka słów o ustroju społecznym Białej Planety. Wiemy o nim niewiele, ale to, co wiemy, jest najistotniejsze. Sygnał radarowy, jaki kontrolował nasze ruchy, był ciągły, chociaż planeta obraca się, a więc wysyłały go nadajniki tworzące system, który opasuje cały glob, i w miarę jak jedne rzutniki zachodziły pod horyzont, przekazywały funkcję emisyjną następnym. Osłona radarowa jest globalna, pracuje na służbie całej planety, więc pod względem technicznym mieszkańcy jej są zjednoczeni, jak my. Zjednoczenie na bazie technicznej jako prawdopodobieństwo implikuje zjednoczenie społeczne. Tak więc, nie mając zamiaru ani prawa do decydowania o naszych przyszłych krokach, pragnąłbym wyrazić przekonanie, że winniśmy podjąć próby porozumienia z mieszkańcami planety. Czy się one od razu powiodą — nie wiadomo. Cywilizacja nasza od wieków chroniła nas przed taką nieświadomością, przed nieznanym, groźnym, przed burzami i klęskami, i zapomnieliśmy, że nie powstałaby nigdy, gdyby nie to, że ongiś ludzie gotowi byli na wszystko, aby nadeszła. Teraz my z kolei stoimy na progu nowej epoki. Nadszedł czas przełomu. Wymaga wiele. Żąda tego, czego nikt nigdy na Ziemi od nas nie żądał — i musimy na to przystać, bo takie są prawa historii. Ludzkość nie może stanąć na swojej drodze. Ten wielki następny krok musi być uczyniony, a wewnętrzną zgodę na to, co nam niesie, musimy zdobyć ze zrozumienia konieczności, która już dla następnych pokoleń będzie nową, wyższą wolnością.

Ledwo Goobar skończył, obok niego pojawił się Ter Akonian i podnosząc do oczu zapisaną kartę, zaczął czytać:

Rada Astrogatorów do załogi statku.

W najbliższych latach ludzkość rozpocznie loty transgalaktyczne. Wyprawom tym służyć muszą kosmiczne stacje pośrednie na ciałach niebieskich krążących w pobliżu układu słonecznego. Położenie układu Centaura czyni go naturalną bazą takich stacji dla wypraw w kierunku południowego bieguna Galaktyki oraz Obłoków Magellana. Zważywszy to, Rada Astrogatorów postanowiła:

1. Kontynuować próby porozumienia z Białą Planetą.

2. Próby te mogą zakończyć się zagładą okrętu. W takim wypadku podejmie je wyprawa następna, ale budowa stacji kosmicznej zostałaby odwleczona o ćwierćwiecze. Żeby tego uniknąć, zanim Gea podejmie próby nawiązania łączności z Białą Planetą, spośród planet Centaura wybrana zostanie najodpowiedniejsza dla wzniesienia kosmicznej stacji pośredniej. Pozostawione na niej maszyny rozpoczną pod kontrolą jednego człowieka prace budowlane. Rada Astrogatorów zgadza się pozostawić na tej placówce mechanurystę — pilota Zorina, gdyż posiada on wszechstronne wykształcenie politechniczne i duże doświadczenie w budowie stacji kosmodromicznych.

Gdy astrogator skończył czytać i spojrział na salę, zauważyłem, że siedząca w dole Anna wstała i wyszła bocznymi drzwiami. Z centralnego przejścia przeciskał się do przodu Zorin i wstąpił na wzniesienie. Szmary, polatujące w amfiteatrze przy ostatnich słowach Ter Akoniana, zamarły. Wedle praw żeglugi międzyplanetarnej człowiek nie może samotnie przebywać na placówce kosmodromicznej; musi mieć co najmniej jednego towarzysza.

Zgodnie z obyczajem Zorin miał go teraz wskazać. Na sali stała skupiona wielka cisza, jakby pilot wodząc oczami po morzu głów teraz właśnie wybierał, choć wiedzieliśmy, że uczynił to już przedtem i szuka tylko tego, kogo upatrzył na towarzysza. Nagle serce we mnie skoczyło. Próżno mówiłem sobie, że to nonsens, niemożliwość: kimże jestem dla Zorina? Jednym z załogi, człowiekiem niemal obcym... Co innego, być może, gdyby to Ameta...

Głowy siedzących ledwo dostrzegalnie podnosiły się na spotkanie wzroku pilota i pochylały się nieznacznie, gdy je mijał, i to napięcie oczekiwania szło poprzez zebranych jak fala. Wtem oczy jego spoczęły na mnie i tak napały, że — nie zdając sobie z tego sprawy — wstałem.

— Czy zgadzasz się? — dobiegł mnie jakby z ogromnej odległości głos pierwszego astrologa.

— Zgadzam się — powiedziałem. Na sali podnosił się głuchy szum.

Zorin i Goobar rozmawiali z astrologami; potoki ludzi spływały w dół, otaczały wzniesienie. Wyszedłem na korytarz, pusty zupełnie i cichy. Nie czułem ani podniecenia, ani dumy i radości — nic zupełnie. Szedłem długo, aż zatrzymałem się zniemacka: nogi same zaniósły mnie do przed—sieni filharmonii. Stałem przed rzeźbą Soledad, białym chłopcem wśród drogi. Osiem lat było za nami — jakich lat! Czas wolniej płynął na Gei, czas zegarów, ale nie czas wydarzeń. O ileż byłem starszy niż w chwili odlotu, a ten biały chłopiec nic się nie zmienił — wciąż jednakowo zapatrzonego w przyszłość. Objąłem wzrokiem rzeźbę, postąpiłem kilka kroków i raz jeszcze, w pół odwrócony, spojrzałem na nią, jakbym się z nią żegnał. Serce ścisnęło mi się, pomyślałem o Annie. Dokąd mogła pójść? Przystanąłem, potem przyśpieszyłem kroku.

Najbliższa winda zniosła mnie do ogrodu. Dostrzegłem Annę już z daleka — siedziała w trawie, gęsto przetykanej niezapominajkami. Ameta bardzo je lubił. Niechętnie widział kwiaty w pokoju. „Jak się chce być z kwiatami — mawiał — to trzeba iść do nich.” W pochyleniu głowy Anny było coś, co zwolniło mój krok. Rozłożonymi dłońmi dotykała kwiatów jak niewidoma. Stanąłem za nią.

— To ty... — powiedziała niegłośnie. To nie było pytanie. Ukląknę obok niej. Z daleka musiało to śmiesznie wyglądać: dwoje dorosłych ludzi klęczących w trawie jak dzieci.

Chciałem przełamać milczenie, lecz nie mogłem. Pocałowałem wnętrze jej małej ręki, czując pod palcami drobne stwardnienia naskórka na palcach, tam gdzie tak często stykały się z instrumentami.

— Byłeś na zebraniu do końca? — spytała.

— Zorin?

— Tak.

— I ty?

— Tak... Zamilkła.

— Słuchałaś potem w domu? — spytałem.

— Nie.

— A skąd wiesz? Podniosła głowę.

— Myślałam tak... Ty nie?

— Nie — rzekłem zdziwiony. Uśmiechnęła się.

— Ty zawsze domyślasz się ostatni...

Z jej twarzą działo się coś niedobrego; widziałem, jak walczyła o uśmiech, potem nagle odwróciła głowę. Kiedy znowu na mnie spojrzała, była już zupełnie spokojna. Nic więcej nie mówiliśmy.

W nocy ocknąłem się z głębokiego snu od razu świadomy wszystkiego i czujny. Palila się fiołkowa lampka i przez szkło osłony padało na poduszkę kilka błękitnych, drobnych plamek, jak płatki niezapominajek. Anna leżała na wznak z głową odrzuconą, bujne, ciemne włosy kładły cienie na twarz; suchymi oczami wpatrywała się nieruchomo w sufit. Zacisnąłem

powieki, ale nie mogłem już spać. Nagle odezwała się:

— Wrócisz? Poderwałem się.

— Kochana.

Pocałowałem ją i czułem w pocałunku, jak już jest daleka.

— Wrócę, na pewno wrócę — zresztą to nie tylko ja odchodzę od ciebie... oboje odlatujemy w różne strony... A ty wrócisz? — próbowałem uśmiechać się i nadać głosowi wesołe brzmienie, lecz Anna została poważna.

— Tak — powiedziała — na pewno wrócę.

— To dobrze.

Spojrzała na mnie, jej ciemne oczy były tuż.

— Wiesz, nie mogę uwierzyć, że cię kiedyś nie znałam... to jest takie wielkie, jakby nie miało początku... dlatego nie mogę sobie wyobrazić, że może mieć... — nie dokończyła. Nie pytałem o nic. Obejmowałem ją coraz silniej; zaczerpnęła tchu i cichutko, prosto do ucha szepnęła mi:

— Oni byli jednak bardzo szczęśliwi...

— Kto, kochana?

— Starożytni.

— Tak myślisz?

— Tak. Wierzyli w wieczność...

Przez trzy miesiące Gea przemierzała obszary układu Centaura. Planety nadpływały iskrami, rosły w światła, zasłaniały niebo i odchodziły, owiane wylotowym ogniem. Piloci schodzili z galerii sznurem srebrnych postaci i znikali we włazach rakiet. Wiele razy powtarzało się to widowisko, rozstania i powroty, mocne uściski rąk, grzmoty zapalanych silników, niewidzialnie bijący dzwon wyrzutni, cisza po odlocie, w której trudno było patrzeć w oczy pozostałym, i nieme ruchy warg liczących kolejne pociski, które — parte tłokami — wpełzały ze śluz czarne, osmalone od żaru, jaki ogarniał je w starciu z gęstymi atmosferami.

Z Zorinem widywałem się w tym okresie rzadko. Wraz z innymi konstruktorami pracował nad projektem stacji kosmicznej; szkicowy plan sporządzono jeszcze przed rokiem, obecnie zaś cały zespół Tembary ślęczał nad szczegółową dokumentacją techniczną. Wiedząc, jak groźne jest dla umysłu bezrobocie, i pragnąc stać się nie tylko towarzyszem, ale i współpracownikiem Zorina, całymi dniami studiowałem podręczniki z zakresu radioinżynierii i odkurzałem stare wiadomości, nabyte jeszcze w młodzieńczych studiach mechanicystrycznych. Nie odrywałem się od trionów, nawet gdyśmy okrąжали kolejną planetę, i nie byłem na żadnej, lecz przyjaciele Amety nie zapominali o mnie. Ul Wefa pierwszy przyniósł i wysypał w milczeniu na mój stół cały stos roziskrzonych minerałów ogniowych, wulkanicznych kwiatów zwiedzonego globu. Z innego lotu Teupane przywiózł mi odłamek lawy z zastygłym, trójpalczystym odciskiem; rosnąca liczba okazów tej jedynej w świecie kolekcji świadczyła o postępach podróży.

Minęliśmy planetę pustynną i drugą, wulkaniczną, której wysoka temperatura uniemożliwiała ludziom najkrótszy nawet pobyt na jej powierzchni; dokonane poprzez warstwy gorących obłoków zdjęcia wykazały na niej jakieś zagadkowe ruchy. Z wysłanych na zwiad ognioodpornych automatów wróciła ledwo połowa; niedobitki te złożyły niejasne relacje, z których nie można było pojąć, czy wielkie członkonogie twory pełzające po zastygłych skałach wylewnych są maszynami, porzuconymi po jakimś kataklizmie, czy też formami niebiałkowej ewolucji organicznej. Astrobiologowie daremnie nastawali na podjęcie dokładnych badań: odłożono je na czas przyszły i Gea puściła się w dalszą drogę. Następną planetę mijaliśmy nocą w niewielkiej odległości. Statek wypełniony był delikatnym, lecz przenikającym w najodleglejsze zakątki światem przewodów chłodzących, w których wrzał płynny hel. W czarnym, gwiazdowym niebie jak ruda wyrwa ział sierp planety.

Powiększające szkła ukazywały powierzchnię, po której jak czarne pająki łączyły się i rozpadające siatki pęknięć: planeta przechodziła stadium górotwórcze i poprzez wielkie rozwarcia skorupy bluzgały rzeki ciemnego żaru.

Układ słońca A zamykały globy lodowe typu Neptuna; oddalwszy się o miliard kilometrów poza ich orbity, znaleźliśmy się w strefie słońca B. Obszar jego grawitacji wolny był od planet; rozdzielone otchłaniami, krążyły w nim tylko większe i mniejsze asteroidy, szczątki globu rozpadłego przed tysiącami wieków. Decyzją astrogatorów stacja transgalaktyczna miała stanąć na jednym z tych bez—powietrznych, urwistych odłamów skalnych. Pustkę przecinały tory setek takich ciał, było więc wśród czego wybierać, ale upatrzona planetoida musiała spełniać wiele wymagań. Orbita jej miała być możliwie zbliżona do koła, aby w swej drodze nie oddalała się zbyt od słońca ani nadmiernie do niego nie przybliżała; winna była także omijać tory innych ciał, by nie narażała się na znaczniejsze perturbacje; dalej musiała unikać pobliża wielkich potoków meteorytowych, które noszą się po peryferii „śmieciarza układu podwójnego”.

Poszukiwania przeciągnęły się przez miesiąc; obserwatoria pracowały dniem i nocą, teletaktory i radaroskopy nieustannie wypatrywały przestrzeń, i w wyniku tego polowania, czy raczej połowu, wybór astrogatorów padł na bezimienny asteroid o średnicy bez mała czterystu kilometrów, posiadający więc pole ciężenia znikome, lecz dostateczne, by człowiek mógł się poruszać po jego powierzchni nie obawiając się, że odpadnie od niej w próżnię. W miarę jak się do niego zbliżali, odłam ten zdawał się mrugać do nas zaostrzoną, kocia jakby źrenicą. To znaczne wahanie blasku powodował jego szybki obrót wokół osi oraz bardzo nieregularna forma, albowiem wydłużonym kształtem przypominał raczej zawieszony w czarnych mrokach grzbiet górski niż planetę.

Gea okrążyła go przez dwa tygodnie. W tym czasie tektonicy stwierdzili, że spistość skały jest dostateczna i zapewnia jej trwałość na przeciąg najbliższych tysiącleci, za czym bez zwłoki rozpoczęło się przerzucanie na powierzchnię planetoidy maszyn, budulca i zapasów żywności.

Automaty budowlane szybko wgrzyły się w skałę i wyryły w niej dwa okrągłe zagłębienia; jedno pomieściło kopulastą komorę ciśnieniową ze zbiornikami powietrza, drugie zaś — stos atomowy, który miał nam dostarczać energii elektrycznej i ciepła.

Dzień po dniu rakiety towarowe przywoziły na planetoidę surowce i części — miała z nich powstać promieniorzutnia radarowa przyszej stacji — aż wreszcie ostatnie ładunki złożone zostały pośród skał.

Pozegnaliśmy się z towarzyszami krótko i prosto, i powiedzieli najbliższym słowa, jakie się mówi przed bląhą rozłąką. Kiedyśmy schodzili z Zorinem pochylnią pierwszego toru, na którym znajdowała się podstawiona, gotowa do startu rakiet, już w skafandrach, tylko przyłbice odrzucone w tył opierały się o kryzy kołnierzy, nagle zza filara wyskoczyło dziecko obejmujące ogromny bukiet białego bzu i zagrodiło nam drogę.

Znieruchomieliśmy, a dziecko — tłuściutka, może czteroletnia dziewczynka z mysim warkoczykiem i ciemnymi rumieńcami — nie bez wysiłku podniosła bukiet i wręczyła go Zorinowi.

— Masz — powiedziała — a jak wrócisz, to dalej będziesz nam bajki opowiadał?

— Pewno, że będę — odparł Zorin. — Jak się nazywasz?

— Magda.

— Kto ci dał te kwiaty?

— Nikt, to ja sama!

Westchnęła z ulgą, że tak dobrze udało się jej wykonać zamysł, gdy wtem dostrzegła nadchodzących astrogatorów i uciekła co sił w nóżkach.

Ter Akonian, Pendergast i Yrjöla, nic już nie mówiąc, uścisnęli nam ręce. Zorin pierwszy wcisnął się przez wąski właz do wnętrza rakiety i wyciągnął ręce po bukiet, który mu

ostrożnie podałem. Z kolei opuściłem nogi w głąb otworu. Do pasa zanurzony w metalowym kadłubie, dostrzegłem nagle kobietę, która stała kilka metrów nad nami, na wysuniętym z półpiętra pomoście. Była to Callarla. W tej chwili, znieruchomiały na mgnienie, domyśliłem się tego, czego nikt dotąd nie wiedział: była brzemienna. Sylwetka jej dalej była dziewczęca. Odgadłem to z jakiegoś jej ruchu, z oczu, z takiego wyrazu twarzy, jakby wsłuchiwała się nie w otoczenie, lecz we własne ciało, w którym czuła już pierwsze drgania nowej przyszłości.

OBŁOK MAGELLANA

Bukiet bzu stał w szklanym naczyniu laboratoryjnym pod oknem. Siedząc za stołem widziałem, jak automaty wiercą w skałe otwory, dziesiątki otworów, układających się we współśrodkowe kręgi. Potem zakładały ładunki wybuchowe i znikaly. Eksplozji nie było słychać. Skała rozsadzona ogniem stawała dęba, biła w górę dymem i kamieniami. Grunt drżał i z okiści bzu leciały drobne, rozkrzyżowane kwiatki. W bezpowietrznej przestrzeni dym opadał jak żelazne opiłki. Automaty wyłaziły z ukryć, opuszczały się do leja, układały warstwy sztab metalowych. W polu widzenia pojawiała się promieniorzutnia. Wysuwała głowicę na długim ramieniu i kręciła nią, zupełnie jakby śmieszna metalowa żyrafa rozglądała się, szukając wyimaginowanych liści.

Straszliwy, błękitnostałowy błysk. Metal roztopiony ciśnieniem promieniowania, rozproszony po wklęsłości leja, stygł. Automaty człapały po chropawej powierzchni, toczyły ją, wygładzały, polerowały, aż poczynała błyszczeć żywym srebrem. Inne gdzieś dalej zakładały ładunki, ryły wykopy pod maszt antenowy. Grunt nieznacznie drżał. Coraz więcej białych płatków sypało się z gałązek, aż piątego dnia Zorin powiedział:

— Szkoda, że nie mamy pieca... takiego starego, na zwyczajny ogień, wiesz. Spalilibyśmy gałązki. Pamiętasz zapach dymu z ogniska?

— Pamiętam.

Gdy odziany w skafander wychodził po południu, drugi raz tego dnia, żeby skontrolować postępy pracy, wziął gałązki ze sobą. Wrócił po godzinie. Miał je zatknięte za pas. Zauważyłem to, ale nic nie powiedziałem.

Dostrzegł mój wzrok.

— Nie mogłem zostawić — wyjaśnił. — Tak kamieniste.

Żeby choć trochę ziemi.

— Lepiej, żeś przyniósł — powiedziałem. — Bez ma taki mięciutki rdzeń, można go strugać, bawiłem się tak będąc dzieckiem.

Gałązki wróciły do pustego naczynia i zostały w nim. Do końca.

Automaty pracowały okrągłą dobę. Dzień czy noc — to dla nich było wszystko jedno. Dla nas nie. Trudno się było zdecydować na wybór rytmu snu i czuwania. Asteroid obracał się tak szybko, że co trzy godziny podstawił naszą skalną równinę gorącym promieniom słońca. Trzygodzinnej nocy przyświecało zazwyczaj słońce A. odległe o dwadzieścia pięć jednostek astronomicznych, nieporównanie silniejsze niż ziemska pełnia księżycowa. W dzień skały płonęły jak bloki rozpalonego metalu, w nocy fosforyzowały mocnym, zimnym jak lód światłem. Chyżość obrotów planetoidy była tak wielka, że patrząc przez okno widziało się, jak cienie wydłużają się i rosną — ostatecznie czarne, unicestwiające wszystko cienie próżni. Kiedy jakiś automat wychylał się ze światła w cień, wyglądało, jakby częściowo przestawał istnieć, przerąbany na pół.

Codziennie wieczorem zasiadaliśmy przy odbiornikach, mieszczących się na miniaturowym piętorku naszego „domu”, i wsłuchiwalismy się z uwagą w głuchy szum głośnika. Z chaosu trzasków i szmerów, które zdawały się powierzchnią jakiegoś ciemnego falowania, wyłaniały się nagle wesołe dźwięki sygnału wywoławczego Gei. Dzięki ustawieniu prowizorycznych masztów nadawczych utrzymywaliśmy łączność telewizyjną z okrętem i co wieczoru widzieliśmy się z towarzyszami. Wymienialiśmy informacje, mówili o postępach robót, czasem Zorin prosił kolegów o pomoc w obliczeniach.

Gea leciała prosto ku Białej Planecie; od celu dzieliło ją jeszcze dwa tygodnie podróży. W tym czasie chcieliśmy zakończyć podstawowe prace przy wykopach fundamentowych pod przyszy, wielki stos atomowy, który miał zastąpić nasz prowizoryczny. Wstawiliśmy z lokalnym świtem, obchodziliśmy miejsca wszystkich robót, a było ich nieraz i dziesięć

jednocześnie, rozrzuconych na przestrzeni kilku kilometrów, potem zaś, nie wracając od razu do komory ciśnieniowej (mówiliśmy „do domu”), udawaliśmy się na przechadzkę, co dnia zmieniając kierunek marszu, i tak poznaliśmy otoczenie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Była to skała dość poczwarna — karykatura raczej niż miniatura planety. Wspomniałem, że z dala przypominała pływający w przestworzu gwiazdowym odlupany grzbiet górski; stąd w czasie marszu horyzont otaczający wędrowca to rozszerzał się na kilka kilometrów, to gwałtownie zacieśniał. Na północo-wschodzie, w odległości trzydziestu kilometrów od naszego domu, stosunkowa płaska równina skalna przechodziła granią w obryw porosłych gąszczem dziwacznych form. Aż po widnokrąg szła zastygła, kamienna nawałnica; nic z rumowiska piargów, naturalnej erozji, obrazu działania wody, wiatrów i ciężenia; było to jakieś panopticum form groteskowych i — zdawało się — niemożliwych do wyobrażenia: skamieniałe, balansujące maczugi, olbrzymie zębate głązy w chwiejnej równowadze, zasięki pionowych, kamiennych szczap, czekające na jeden nieostrożny ruch, aby rozpocząć staczanie się w dół, zwolnione i leniwe jak w sennym koszmarze. Wspiąwszy się na wyskok grani, panujący nad okolicą, widziało się las ostrych szkieletów, rozciągnięty pod gwiazdowym tłem i odcinający się od niego gwałtownym, białym blaskiem. Nad tym martwym krajobrazem toczyła się jednostajnym ruchem płomienista kula słoneczna. W zależności od tego, czy wkraczaliśmy w strefę nasłonecznioną, gdzie grunt rozgrzewał się do stu stopni, czy wnikaliśmy w cień, samoczynne urządzenia klimatyczne skafandra bez ustanku przerzucały się z jednej ostateczności w drugą.

Zorin swoim zachowaniem przypominał nieco klimat asteroidu: to milczał godzinami jak zakłęty, to rozpoczynał długie monologi. Komuś postronnemu mogłoby się nasze współzycie wydawać nie najdoskonalsze, ale sądząc tak, popełniłby błąd. Uprzejmy i zwyczajnie rozmowny był bowiem Zorin tylko w stosunku do obcych; wobec mnie zachowywał się właśnie tak, jak dawniej w towarzystwie Amety. Jego prawie letargiczne zamknięcia i zamyślenia, mrukiwe odpowiedzi, półsłówka radowały mnie; choć nigdy nie mówiliśmy o Amecie, nie wspominaliśmy nawet jego imienia, to jednak był w jakiś zadziwiający sposób tak bardzo obecny, że nieraz, gdyśmy w wycieczce odkryli fantastyczniejsze od innych uroczysko, chciałem się niemal obejrzeć, by sprawdzić, czy mały pilot dzieli nasze wrażenia.

W jakieś dziesięć dni po przybyciu na planetoidę siedzieliśmy na szczycie skalnej igły, wznoszącej się nad całą okolicą. Słońce w płomienistych kudłach protuberancji wisiało na zachodzie; drugie słońce, A, zbliżało się właśnie do niego jako drobna, oślepiająca tarczka. Wyruszyliśmy umyślnie, by obserwować przewidziane zaćmienie jednego słońca przez drugie. Kiedy mała tarcza niemal dotknęła wielkiej, obie wysłały ku sobie jakby szukające się wypustki ogniste, które zwały się zaraz, i powstał dziwaczny, gruszkowaty twór, wyrzucający gwałtowny, stalowy blask; potem węższa, wydłużona część gruszki, a właściwie słońce A, zaczęła kurczyć się, chowając się powoli za wielkim. Jasność oświetlenia nie malała, gdyż zmniejszanie blasku było niedostrzegalne.

Milczeliśmy długo, nareszcie poprosiłem Zorina:

— Opowiedz jakąś bajkę.

Mogło się zdawać, że mnie nie usłyszał. Po dobrej chwili rzekł:

— Bajki ci nie opowiem, opowiem za to o bajkach. Czy słyszałeś kiedy o wrakach siarkowych?

— Nie przypominam sobie.

— Musiałeś słyszeć. Jakieś dwieście lat temu budowano pierwsze rakiety, od razu bardzo wielkie, do czterdziestu tysięcy ton masy spoczynkowej. Był tam jakiś błąd w obliczeniach, bo się te pudła fatalnie grzały — do kilkuset stopni. Wstrzymano więc produkcję, a te kilkadziesiąt pocisków, które już były, skierowano na linię Tytan — Ziemia. Miały przewozić siarkę. Już w pierwszym rejsie parę sztuk eksplodowało. Sprasowana siarka gazowała i rozrywała raketę jak balon. Był kłopot, co z tym robić — na Ziemię nie chcieli

naturalnie ściągać, ryzyko, ludzi posyłać nie można, automatów też szkoda — takie świństwo może się w każdej chwili rozerwać. Ostatecznie całą eskadrę zawrócili przez radio i pchnęli w przeciwną stronę, niech leci w świat, poza granice układu; całego kosmosu siarką przecież nie zaśmieci. Po roku przestały odpowiadać na sygnały radiowe, kosmodromiści odetchnęli — spokój. Dopiero w trzydzieści lat później, bach — pierwsza katastrofa siarkowa. Za nią druga. Pokazało się, że te przeklęte rakiety wcale nie odleciały na zawsze. Dostały się w grawitacyjną strefę Jowisza, który wykreślił je naturalnie po swojemu, poprzestawiał na jakieś ślepe orbity kometowe i puścił w drogę. No i od tego czasu kręcą się tak: na kilkanaście lat uciekają od Słońca, siedzą w afeliach i znowu wracają. Jak długo lecą daleko od Słońca, są dostatecznie chłodzone i siarka nie gazuje. Kiedy wracają, już koło orbity Marsa zaczynają się grzać, a na wysokości Ziemi pękają jak bańki mydlane. Wyobrażasz to sobie? Dwadzieścia tysięcy ton siarki przemienia się w skompresowany gaz. Rakietę pęka, tworzy się chmura gazowa o średnicy stu tysięcy kilometrów i rozplywa się po paru tygodniach. Ale jeżeli niedaleko przejdzie jakaś asteroida, zaciera ze sobą taką chmurę i wtedy bieda ciągnie się całymi miesiącami. Powstaje kulista strefa siarkowej mgły, a raczej prochu, bo gaz krystalizuje w próżni — jak gdyby taka puszysta otoczka, a w środku diabelnie twarde, krzemienne jądro. Mgła przechodzi w próżnię tak niepostrzeżenie, że lecąc, zanim zauważysz, co się święci, już siedzisz w samym środku jak w garnku. Światło nie przechodzi, radar grzęźnie jak w cieście, nic nie widać, ani gwiazd, ani sygnałów, żadnej orientacji, prędzej czy później gotowys włączyć się w jądro. Trzeba silniki od razu wyłączyć, według grawimetrów odszukać samą asteroidę, ustawić się odśrodkowo, puścić się od razu wielkim przyspieszeniem i uciec. Naturalnie łatwo się to mówi, ale kiedy się wpadnie w taką zupę, to człowiek mimo woli traci głowę. A już najgorzej z automatami, no bo sam pomysł, nie ma przecież na planetach „naturalnych siarkowych atmosfer” i nie może być, więc żaden pilot-robot nie jest do takich cudów przystosowany.

Krótko mówiąc, z Marsa na Ziemię wracała wycieczka, około trzydziestu dzieci, i rakietę ich wpadła właśnie w taką siarkową mgłę, otaczającą asteroid, bardzo mały zresztą, o średnicy kilkunastu kilometrów — to jest ważne. Pilot-automat najpierw próbował manewrować, w końcu zrobił jedyną rzecz możliwą: wyłączył silniki. W ten sposób nie ryzykował katastrofy; rakietę przyciągana przez asteroid zaczęła na niego opadać, ale naturalnie niesłychanie powoli — taki „upadek” może trwać całe tygodnie. Dzieci wyleciały z Marsa same, nauczycielka miała wsiąść na pierwszej stacji kosmodromicznej.

— Jak to, a ostrzeżenia? — spytałem.

— Nie wiem, jak się to stało. Ostrzeżenia na pewno były. Może niedokładne. Nie wiem. Zdarzają się wypadki. Rzadziej niż dawniej, ale zdarzają się. To był właśnie taki „raz na sto tysięcy”. Więc gdy łączność radarowa zaczęła szwankować, pilot-robot wyłączył silniki. Trudno opisać, co się tymczasem działo. Alarm podniósł na nogi całą północną półkulę; pogotowie szło falami, z Księżyca, z Marsa, z Ziemi, około sześciuset statków. Powiem ci, że po raz pierwszy od trzydziestu lat wstrzymano na parę godzin cały ruch towarowy w drugiej strefie Marsa. Ale zanim statki ratownicze doleciały na miejsce, znalazł się tam już jeden człowiek. Był to pilot Ośrodka Świetlnego, który przeprowadzał właśnie eksperymentalny lot rakietą przystosowaną do bardzo wielkich szybkości. Paliwo już mu się kończyło i wracał do bazy, kiedy usłyszał wezwanie radiowe, więc zboczył z kursu, a że mógł rozwinąć ogromną szybkość, już po kwadransie dał nurka w mgłę. Jakiś czas krążył, aż usłyszał płacz dzieci. Naturalnie przez radio rakiet. Pracowało na najdłuższej fali, nie mógł dokładnie wyznaczyć kierunku, mógł za to rozmawiać z dziećmi. Wyłączył zaraz silniki i zaczął opadać ku asteroidzie.

— Dlaczego nie szukał tamtej rakiety?

— Hm, a igły utopionej w oceanie próbowałbyś szukać? Mgła ogarniała dwieście miliardów kilometrów sześciennych przestrzeni, mógłby szukać przez całe życie i nie znaleźć

jej. Natomiast opadając, musiał w końcu zbliżyć się do niej na kilkanaście kilometrów, bo, jak ci mówiłem, asteroid był bardzo mały. Tak więc opadał z zamkniętymi silnikami i rozmawiał z dziećmi. Miały wszystkiego pod dostatkiem — żywności, powietrza, wody — ale bały się, więc aż do nocy opowiadał im bajki. Gdy posnęły, czuwał, a rano znowu zaczął opowiadać. Lot doświadczalny trwa zazwyczaj dwie godziny, miał tylko kilka tabletek wzmacniających i parę łyków kawy, którą zwilżał od czasu do czasu gardło, żeby nie zaniemówić. Czy wyobrażasz to sobie? To nie była zwykła rakietka, lecz pocisk OSS, pilot leżał w pneumatycznej osłonie, cały obandażowany od głowy do stóp, w ciemności, z mikrofonem przyciśniętym do gardła — i opowiadał bajki. Pierwsze statki ratownicze przyleciały dopiero na drugi dzień, ale zanim odnalazły jego i dzieci, upłynęło jeszcze kilka godzin.

— To ty byłeś tym pilotem?

— Skądże, Ameta.

— Ameta?

— Tak.

— I on ci to opowiedział? — rzekłem z niedowierzaniem; to mi nie wyglądało na Ametę.

— Nie.

— Więc skąd znasz szczegóły?

— Musimy już iść, słońce zachodzi. Trzeba jeszcze przejść się po szóstej sekcji. Skąd znam tę historię? Ja właśnie byłem jednym z tych dzieci...

Gdyśmy skontrolowali postępy robót i wracali do naszego pancernego „domu”, zza horyzontu wznosił się tylko rąbek tarczy słonecznej jako grzebień pełzających płomieni. Całą przestrzeń pokryła nieprzenikliwa czerń, w której • wędrowaliśmy zanurzeni po kolana, po pas, wreszcie po szyję... już tylko najwyższe odłamy skalne jaśniały nad morzem ciemności, kolejno wygaszane nocą. Zorin, milczący przez całą drogę, u wejścia przystanął i odezwał się niespodzianie:

— Znaleźli się tacy, co mówili, że postąpił nierozsądnie, nieostrożnie. Odpowiedział tak: „W oceanie, w wapiennych skorupkach, żyją sobie malutkie stworzonka — promienice — po dziś dzień nie zmieniły się od siedmiuset milionów lat. To są najostrożniejsze stworzenia na świecie.”

Do prowadzenia bieżących obliczeń budowlanych służył nam podręczny mózg elektronowy. Wieczorem Zorin siadał przy stole i zaczynał z nim rozprawać. Elektromózg był mały, wąsko wyspecjalizowany i nie mógł naturalnie równać się z potężnymi automatami generalnymi Gei, tak więc Zorin nieraz długo musiał czekać na wyniki i przezywał go „Głuptakiem”; przewisko to nabrało z czasem niemal pieszczotliwego zabarwienia. Przez kilka kolejnych wieczorów Zorin, zajęty sprawdzaniem postępów budowy, odłożył na później analizę danych astroradarowych, zawiadamiających nas o wszystkim, co dzieje się w przestworzach wokół skalnego odprysku, na którym podróżujemy przez próżnię. Gdy wreszcie wziął się do nich, spochmurniał. Przekazał szereg danych liczbowych „Głuptakowi”. Ten jak zwykle marudził; nie doczekawszy się więc wyników, udaliśmy się na spoczynek. W nocy Zorin wstał i poszedł do automatu. Wrócił gwizdząc, oznaczało to najgorszy humor.

Nie pytałem o nic, wiedząc, że każda myśl musi się w nim uleżeć.

— Wiesz — powiedział w końcu — zdaje się, że będziemy mieli kaszę.

Kasza oznacza w języku pilotów potok meteorytowy. Niezbyt przejąłem się usłyszaną wiadomością.

— Cóż z tego — powiedziałem — przecież i nasz dom, i stos atomowy, i schron automatów obliczone są z dostatecznym zapasem wytrzymałości; najwyżej przez parę godzin trzeba będzie uważać. Ale dziwne, że astrogatorzy się pomylili?...

Zorin nic nie odpowiedział, dopiero przed samym wyjściem (był już świt) rzucił:

— To nie są zwykłe meteoryty, wiesz, ale pozaukładowe...

Zostałem sam. Zorin poszedł do zespołu pracującego najdalej, miałem więc blisko godzinę

czasu na rozważenie jego słów. Jak wiadomo, planety nawiedzane są przez dwa rodzaje meteoroidów. Wewnątrzukładowe, czyli własne meteory systemu, poruszają się po torach zamkniętych i szybkość ich w stosunku do naszej planetki nie mogła przekraczać kilku kilometrów na sekundę. Meteory „obce” natomiast, stada kamiennych i żelaznych brył pędzących po parabolach, mogą w stosunku do ciał układowych osiągnąć szybkości ogromne — dochodzące do stu kilometrów na sekundę. Radar nasz, jak się zdawało, złowił cień takiego właśnie potoku.

Przez dwa dni następne nie wspominaliśmy o tym, tyle że Zorin coraz dłużej w nocy śleczął nad filmami radaroskopów i coraz częściej przyglądał włosy z takim impetem, jakby się chciał oskalpować.

Przedsięwzięliśmy możliwe środki ostrożności: automaty zabezpieczyły dodatkowymi puklerzami naszą komorę oraz strop stosu atomowego, który znajdował się o pół kilometra od „domu”, jako wielki, do trzech czwartych w skałę wpuszczony, metalowy cylinder.

Przypuszczenie Zorina zmieniało się w pewność. Klisze fotograficzne ukazywały w jednym z kwadrantów nieba drobną mgiełkę, jakby ktoś zrobił plamkę na zdjęciu; mknęła tam chmara ciał tak drobnych, że tworzyły obraz tylko jako całość; światło gwiazd widniało przez nie dalej, nie była to więc jednolita masa, lecz rój małych okruchów. — Może to chmura pyłowa — rzekł Zorin, gdyśmy rozważali, czy nie zawiadomić Gei o naszych obawach, i zdecydowali, że robić tego nie należy, gdyż towarzysze nie mogą nam pomóc, a będą się tylko niepotrzebnie troskać. Przez cały następny dzień roboty postępowały jak zwykle; drugi wykop fundamentowy pod przyszły stos był na ukończeniu, schron automatów zaopatrzone w dodatkowe panczerze, nie mogliśmy tylko zabezpieczyć prowizorycznego masztu radiostacji, który wznosił się nad poziom równiny na 45 metrów, podtrzymywany systemem napiętych na kotwach lin stalowych.

W nocy wyrwał mnie ze snu grom tak potężny, jakby tuż nad głową rozpękł się żelazny dzwon. Ogłuszony, przez długą chwilę leżałem bez ruchu w szumiącej ciszy, jeszcze z gasnącym w uszach przeraźliwym dźwiękiem. Łóżko poruszyło się jak trącone. Usiadłem, opuściłem nogi i bosymi stopami wyczułem drobny dreszcz podłogi. W zamroczonym mózgu błysnęła myśl, że planetoida jest żywym potworem, który budzi się właśnie i porusza, napierając na swą kamienną skorupę. Grunt zadygotał mocniej. Otrzeźwiałem. — Słyszysz? — rzuciłem w ciemność. Odpowiedzi nie było, ale wiedziałem, że Zorin czuwa. Po kwadransie weszło słońce i krajobraz za oknami stanął w oślepiającym blasku. Jak daleko okiem sięgnąć, skalista równina wybuchła w dziesiątkach miejsc równocześnie. Ani dźwięku, tylko białe rozbryzgi kamienia to bliżej, to dalej i grunt chwiał się niekiedy jak pokład okrętu walczącego z burzą. Meteory, niewidzialne w locie, z rzadka tylko, odskakując potwornym susem od skał, ukazywały migocące w zawrotnym młyńcu boki. Milczeliśmy, a za oknami wciąż padał kamienny deszcz. Głazy dymiły, piaszczyste fontanny zrywały się i opadały, kiedy niekiedy cienko dzwoniły odłamki trafiające ściany i znów następowała cisza, którą znienacka rozbijał metalowy grzmot, jakby strop pękał i walił się nam na głowy: to jakiś odłam roztrzaskiwał się o wierzchni pancierz komory. Po trzech godzinach słońce zaszło. Meteory padały nadal, rzadziej jednak i słabiej, gdyż planeta zasłaniała nas teraz od ich głównego nurtu, a te, które sypały się na jej nocną półkulę, osiągały jedynie chyżość swobodnego upadku, znikomą w porównaniu z kosmicznym pędem potoku.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, jaką drogę zakreśla on w przestrzeni i jak daleko się rozpościera. Musieliśmy czekać. Wstał dzień i grunt znów zadygotał. Znowu trafiały nas potężne uderzenia; pancierz odpierał je wydając gwałtowny, wysilony dźwięk, zdawało się, że stalowe ściany gną się i odprężają w ulewie straszliwych ciosów. Następnej nocy skalny grad, choć słabszy, zgęstniał tak, że myśleć nawet nie można było o opuszczeniu komory — a był to dopiero początek.

Dzień za dniem i noc za nocą w upiornym blasku rozpalonych skał i w lodowatej

gwiazdowej ciemności padał martwy deszcz. Grunt wzdrygał się jak żywa istota pod razami, ściany wibrowały, febryczne drżenie rozpełzało się po przedmiotach, przepajało nasze ciała, w głuchej ciszy, co jakiś czas rozwalanej długo dzwoniącym grzmiotem, płynęły godziny. Byliśmy uwięzieni. Niebo wyrzucało ze swych czarnych czeluści całe rzeki złomów kamiennych i druzgotało je o skorupę asteroidu. Jak dotąd, łączność ze stosem atomowym i schronem automatów nie była naruszona. Gdy drugiej nocy bombardowanie osłabło, wezwaliśmy automaty do podjęcia pracy. Wyruszyły, ale po jakiejś godzinie jeden runął roztrzaskany bezpośrednim trafieniem, od którego pancierz jego rozprysnął się jak szkło. Inne zawahały się, przerwały pracę i wróciły do schronu; zadziałały obwody samozachowawcze. Rano widać było zmiążdżony automat: leżał w odległości trzystu z górą metrów od komory, wbity w piach czarniawymi odpryskami gładu.

Liczyliśmy wciąż na to, że asteroid wyjdzie lada godzina z wnętrza potoku i piekielny obstrzał ustanie; dlatego wciąż nie donosiliśmy o niczym towarzyszom.

Radiostacja znajdowała się na pięterku komory i przezuj szczytowe, soczewkowate okno widać było przedtem czarne niebo, teraz jednak automatyczne urządzenie zamknęło je stalową zasuwą. Tutaj, na górze, rozmawialiśmy z towarzyszami. Ponieważ nawiązywaliśmy łączność nocą, kiedy meteorów leciało mniej i bezpośrednie trafienia komory należały do rzadkości, wszystkie wydarzenia udało się przed Geą ukryć. Milczeliśmy głównie dlatego, że już tylko pięć dni podróży dzieliło okręt od Białej Planety i cała uwaga towarzyszy koncentrowała się na problemie porozumienia z jej mieszkańcami.

Rozmawialiśmy więc, dopytując się o ich plany, a że działo się to pod samym stropem, słyszeliśmy lekki, ani na chwilę nie ustający szelest — to kosmiczny piach bezsilnie osuwał się po obłej powierzchni i coraz grubszą warstwą otaczał ściany, aż wreszcie nasz pancerny „dom” został do połowy zasypany wydmami tego padającego z gwiazd prochu.

Następnego wieczoru odbiór radiowy wyraźnie się pogorszył. Po zakończeniu rozmowy z Geą stwierdziliśmy, że główny reflektor anteny jest zwichrowany i podziurawiony w wielu miejscach.

— Robota stoi już trzy dni — zauważyłem — a teraz gotowiśmy jeszcze stracić łączność.

— Automaty naprawią antenę.

— Jesteś pewny, że pójda?

— Tak.

Zorin przystąpił do pulpitu sterującego i wezwał przez radio automaty. Była już noc, meteory padały rzadziej. Posłuchał i wyłączył mikrofon.

— Idą? — spytałem.

Stał na środku kabiny na rozstawionych nogach, jak zapaśnik obserwujący spod zmrużonych powiek przeciwnika. Milczał.

— Co robimy? — spytałem wreszcie.

— Będziemy myśleć. Na razie zaśpiewajmy. Śpiewaliśmy więc jakąś godzinę. To on, to ja przypominaliśmy sobie coraz nowe piosenki. W przerwie między jedną a drugą zauważył mimochodem:

— Bezpiecznik samozachowawczy można wyłączyć, wiesz?

— Ale nie na odległość — odparłem.

Znowu śpiewaliśmy. Chwilami Zorin nasłuchiwał. Nareszcie wstał i rozejrzał się za skafandrem.

— Chcesz tam iść?

Milcząco przytaknął, wsadzając równocześnie nogi do głowowego otworu skafandra. Szarpnął srebrny materiał za kryzę i ciągnąc go do góry, burknął:

— Szczęście, że my nie mamy bezpieczników...

— Zaczekajmy jeszcze — zacząłem, bezradny wobec jego zdecydowania.

— Nie. Robota mogłaby stać, ale trzeba naprawić antenę.

Mówił cicho, lecz pod jego spokojem krył się gniew. Sprawdził zapięcia na barkach, podjął z podłogi przyłbicę, wziął ją pod pachę i skierował się do drzwi.

Jak gdybym nie istniał — przemknęło mi przez głowę. Poczucie zaskoczenia i bezradności znikło. Ogarnęła mnie chłodna pasja. — Jestem jednak trochę do niego podobny — pomyślałem, pośpiesznie wdziewając drugi skafander. Gdy wszedłem do śluzy wyjściowej, dopinając pasy, stał właśnie przy korbach zaworów. Na odgłos moich kroków odwrócił się i zastygł z dłonią na rękojeści. Udając, że tego nie widzę, szczelnie zawarłem wewnętrzne drzwi, przerzuciłem rygle i stanąłem obok niego.

Staliśmy tak w słabym blasku lampki sufitowej, dwie srebrne postacie pośród ciemnych, metalowych ścian.

— Co to znaczy? — spytał wreszcie.

— Idę z tobą.

— To nonsens.

— Nie uważam.

— No i co ty robisz, człowieku?

— A co ty robisz?

Stał przez sekundę bez ruchu, nagle roześmiał się po swojemu, prawie bezgłośnie. Wziął mnie za rękę; opierałem się przeczuwając, że zechce mnie przekonywać.

— Słuchaj — zniżył głos — pamiętasz, dlaczego nas tu wysadzono?

— Pamiętam.

— Gea może nie wrócić.

— Wiem o tym.

— Ktoś musi tu być, żeby budować stację.

— Zgoda, ale dlaczego ty masz iść, a nie ja?

— Dlatego, bo jestem lepszym mechanurystą od ciebie. Na to nic nie mogłem odpowiedzieć. Ujął korbę, ale raz jeszcze odwrócił się do mnie.

Pójdiesz — powiedział — jeżeli mi się nie uda. Tak?

Tak — odparłem, zdziwiony prostotą tej rozmowy. — Będę utrzymywał z tobą łączność przez radio — dodałem.

Bez słowa poruszył korbami. Rozległ się syk powietrza wsyanego do wnętrza komory. Śluza opróżniła się, strzałka manometru leniwie opadała do czerwonego zera, zawahała się nad nim kilka razy i oparła się o kres skali. Zorin pchnął wielkie dźwignie kłapy wyjściowej. Nie otworzyła się. Mruknął i napał mocniej. Drgnęła, ale opierała się jeszcze. Przyłożyłem bark. Powoli ruszyła. Przez powstałą szczelinę tryskał na nasze nogi coraz szerszy strumień sypkiego piachu.

Kłapa dała się wreszcie odemknąć. Przed wyjściem zaklął głęboki lej; komorę otaczały wydmy o stromych zboczach. Przestrzeń, oblana zimnym, dalekim światłem A Centaura, była martwa i cicha, cała w poszarpanych formach jak z węgla i srebra. Zorin podniósł lekko prawicę, powiedział „na razie” i znikł mi z oczu tak szybko, że nie widziałem nawet, w jakim kierunku poszedł. Wychyliłem się przez odsuniętą klapę i wtedy dopiero ujrzałem go: szedł już w odległości kilkudziesięciu metrów, zanurzając się niemal do pól uda, a sypki piasek w marszu przelewał się wokół jego nóg. Rozejrzałem się, szukając w oddali kopuły stosu atomowego, bo tam mieścił się też schron automatów. Drgnąłem. Krótki błysk zaświecił w ciemności, po nim trzy, cztery słabsze. Meteory. Energia zderzenia obracała je w płomień. Stałem tak, a horyzont błyskał. Zorin był już tak mały, że mógłbym zakryć jego sylwetkę wyciągniętym palcem.

— Jak się idzie? — odezwałem się do mikrofonu, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Jak w syropie — odpowiedział natychmiast. Zamilkłem. Błyski pojawiały się to tu, to tam, mogło się zdawać, że jakieś niewidzialne istoty sygnalizują światłem. Nagle uprzytomniłem sobie, że stoję na zewnątrz. To nie miało sensu; jeśli już narażać się, trzeba

było iść z nim. Cofnąłem się do śluzy i straciłem go z oczu. Podniósłszy rękę oparłem ją o pancerne obrzeże kłapy. Mogłem tak swobodnie obserwować tarczę zegarka i równocześnie mieć na oku horyzont widniejący w otwartym wejściu. Błyskał nieustannie. Czekałem, wpatrzony w drgającą owadzim, natrętnym ruchem wskazówkę sekundnika. Jeszcze trzy minuty — pomyślałem i głośno spytałem:

— Idziesz?

— Idę.

Te pytania i odpowiedzi powtarzały się. Wtem równocześnie ujrzałem dwa dalekie błyski i usłyszałem zdławione stęknienie.

— Zorin! — krzyknąłem.

— Nic, nic — odpowiedział zduszonym głosem. Oddychałem głęboko. Nie, naturalnie, meteor nie trafił go, gdyby się to stało, zginałby na miejscu.

— Idziesz? — chciałem zapytać, lecz głos zamarł mi w gardle.

W słuchawkach przeraźliwie chrobotało.

— No puść... — burczał niewyraźnie Zorin — czego trzymasz? No...

— Do kogo ty mówisz? — spytałem czując, że włosy jeżą mi się na głowie.

Nie odpowiedział. Słyszałem jego wysiłony oddech, jakby się mocował. Jednym susem wypadłem na zewnątrz. Przestrzeń stała w skośnym, lodowym świetle martwa i pusta. Błyskawicznie obliczyłem, że Zorin powinien znajdować się w odległości jakichś trzystu pięćdziesięciu — czterystu metrów, ale widziałem tylko zębate skały, wydmy, pręgi cienia... nic więcej.

— Zorin! — krzyknąłem, aż mi w uszach zadzwoniło.

— Już, już — odpowiedział, wciąż tym zdławionym głosem. Nagle piasek zadrgał, poruszył się w jednym miejscu, wynurzyła się z niego srebrna iskra skafandra, wyprostowała i poczęła leniwie sunąć naprzód.

Upadł — pomyślałem — ale do kogo on mówił? Pozostawiłem to pytanie na później i wróciłem do wnętrza śluzy. Niebawem powiedział:

— Już jestem.

Mruczał coś, widocznie kopał się w piachu, który zasypał wejście.

— Zaczynam operację — rzekł po chwili.

Trwało to dłużej, niż przypuszczałem: pół godziny według zegarka, ale jeśli mierzyć ten czas napięciem moich nerwów, były to wieki. Nareszcie powiedział:

— Koniec. Teraz będą jak trusie. Wracam.

Nie wiem, może to było złudzenie, ale zdawało mi się, że błyski stają się gęstsze. Raz i drugi grunt zadygotał. Ten dreszcz, na który w komorze nie zwracaliśmy już uwagi, przyspieszył uderzenia mego serca. Zorin wracał dziwnie powoli. W słuchawkach rozbrzmiewał jego oddech tak ciężki, jakby biegł, a jednak poruszał się dużo wolniej niż w tamtą stronę. Zniecierpliwiony, niespokojny, raz i drugi wyszedłem przed klapę. Biała tarczka A Centaura dotykała skalnego horyzontu. Noc dobiegała kresu. Rychło nasilenie meteorowego deszczu miało się wzmóc.

— I czego tak marudzisz? — zawołałem w końcu. Nic nie odpowiedział. Ciężko dyszał. Nie mogłem tego zrozumieć; marsz nie był przecież wyczerpujący, zwłaszcza dla niego.

Nagle zasłonił sobą wejście. Wszedł do śluzy pośpiesznie i jakoś niepewnie. Zamknął klapę i rzekł:

— Wejdz do środka.

— Poczekam... — zacząłem, ale przerwał mi ostro:

— Wejdz do środka! Zaraz przyjdę.

Posłuchałem go. Po chwili wszedł bez skafandra; zostawił go w śluzie. Podszedł wolno do stołu, pod lampę, przybliżył ręce do oczu, rozcapierzył palce i mruknął coś.

W ugięciu jego wielkich pleców było coś straszego.

— Co ci jest?... — wyszeptalem. Oparł się rękami o poręcz.
— Niedobrze widzę — wyjaśnił głucho.
— Dlaczego?! Meteor?...
— Nie. Upadłem.
— No i co?
— Potknąłem się o ten rozbity automat...
— Mówże!
— Zdaje się, że miał rozprysnięty stos, wiesz... serce atomowe.
— I upadłeś w TO?! — krzyknąłem ze zgrozą. Kiwnął głową.
— Ssawki, wiesz... ssawki magnetyczne butów zaczepiły o żelastwo i nie mogłem się wyplątać...

Spokój wracał. Było to wielkie, zamrażające myśli zimno, ale równocześnie w głowie mi pojaśniało. Wiedziałem: trzeba działać natychmiast. Meteor rozbił nasz automat tak dokładnie, że serce atomowe — zbiornik z pierwiastkiem promieniotwórczym — rozpekło się i Zorin, padając, całym ciałem przywarł do szczątków wywierających potężne promieniowanie.

— Co czujesz? — spytałem podchodząc do niego.
— Nie zbliżaj się... — powiedział i odstał o krok.
— Zorin!
— Mogę cię zabić. Włóż ochronny pancerz.

Skoczyłem do drugiej kabiny i nałożyłem ciężki, metalowy strój. Nie mogłem zamknąć go na piersiach, tak mi ręce latały. Kiedy wróciłem, Zorin półleżał na fotelu.

— Co czujesz? — powtórzyłem.
— Właściwie nic... — mówił jak człowiek niezmiernie znużony, czyniąc małe przerwy. — Kiedy upadłem, od razu... zobaczyłem fioletową mgłę... tętniący obłok, zamąciło mi oczy... Tam, przy automatach, robiłem prawie na ślepo...

— Widzisz mnie? — spytałem zbliżając się.
— We mgle...

Wiedziałem, co to znaczy. Płyn wypełniający gałki oczne fluoryzował pod wpływem promieniowania. Indykator promieniowania na stole w odległości dwu metrów tykał ostrzegawczo; całe ciało Zorina było radioaktywne. Musiał dostać straszliwą dawkę.

— Czy cię coś boli?
— Nie, ale słabo... i mdli mnie... Ująłem go za barki.
— Chodź, połóżysz się.

Oparł się o mnie ciężko i ruszył do łóżka. Kiedy już leżał, przykryty, a ja krzątałem się, przetrząsając zapasy lekarstw, usłyszałem, jak mruknął:

— Głupio...

Gdy podszedłem do niego później, zaczął mówić o jakichś sygnałach, o automatach i Gei; wziąłem go za puls; miał wysoką gorączkę. Pomyślałem, głupiec, że bredzi, i nie zwróciłem na jego słowa uwagi. Wnet całkowicie stracił przytomność. W ciągu kilku godzin dokonałem szczegółowych badań. Wykazały, że porażony szpik kostny nie wytwarza krwinek. Miałem sześć ampułek konserwowanej krwi, zrobiłem mu transfuzję, ale to była kropla w morzu.

Zaabsorbowany myślami nad sposobem ratunku zapomniałem całkiem o rozmowie z Geą. Kopałem się w podręcznikach, szukając opisów porażen promienistych. Im dłużej czytałem, tym jaśniejsze stawało się, że Zorin jest skazany.

Przed samym świtem zmorzył mnie, pochylonego nad trionowym ekranem, nieprzytomny sen. Ocknąłem się od żelaznego grzmotu. Meteory roztrzaskiwały się o pancerz. Był pełny dzień. Do późna nie odstępowałem od nieprzytomnego. Kiedy nadszedł wieczór, udałem się na górę. Odbiór był tak zły, że chwytalem tylko zniekształcone strzępy głosów.

To nic — pomyślałem — przywołam automaty, teraz już przyjdą i naprawią antenę.

Kiedy podszedłem do pulpitu sterującego, błysła myśl, że automaty nie przyjdą. Wezwać je mogłem tylko przez radio, które nie działało. Trzeba było wezwać automaty poprzedniego dnia, zaraz gdy Zorin wrócił; nadajnik działał wtedy jeszcze jako tako. W zamęcie o wszystkim zapomniałem. W pierwszej chwili to odkrycie podcięło mi nogi, ale opanowałem się i ruszyłem do służby. Gdy przechodziłem przez pokój, Zorin odezwał się. Był przytomny.

— Już po audycji?... — spytał. — Jakie wieści?

Nie mogłem mu powiedzieć prawdy. Zresztą jutro radio będzie już działać. Tak więc domyślając się treści audycji z zasłyszanych urywków, zrekonstruowałem ją całą. Zaraz potem zasnął i wymknąłem się cicho do służby. Nałożyłem skafander, zamknąłem przyłbicę i już rękę kładłem na korbie, gdy poraziła mnie nagła myśl: A jeśli zginę i Zorin zostanie sam — niezdolny poruszać się, bezradny i ślepy?

Może minutę stałem jak martwy, a potem równie cicho zdjąłem skafander i wróciłem do kabiny.

Tak było w drugim dniu. A w trzecim radio zamilkło zupełnie i zmyśliłem cały komunikat, i tak było odtąd co wieczora. Musiałem to robić, bo dopiero wysłuchawszy wieści zasypiał. Kiedy spytałem go, dlaczego nie wrócił zaraz po wypadku, odpowiedział:

— A ty byś wrócił? — i popatrzył na mnie tak, że zrozumiałem wszystko.

Od pierwszej chwili pojął, że nie ma nadziei, i powiedział sobie: „Dwa razy się nie umiera”. Dlatego, osłепły, wyłączył bezpieczniki automatów. Dlatego nie chciał brać ode mnie krwi, więc wytaczałem ją sobie skrycie i mówiłem, że mamy dodatkowe rezerwy. Po czterech dniach takiego postępowania ledwo się na nogach trzymałem; obawiałem się zemdlenia, więc bez rachuby brałem wszystkie wzmacniające leki, jakie były pod ręką, i przychodziły chwile, w których łapałem się na tym, że półprzytomny od znużenia i senności szepczę do siebie, błagając szpik kostny, żeby szybciej produkował krew...

Idąc na górę za każdym razem myślałem: nie mogę okłamywać umierającego, to jest nie do zniesienia, tak, dziś mu już powiem, że antena jest zniszczona, a jednak kiedy schodziłem i widziałem, jak nadstawia osłepłą twarz w stronę moich kroków, jak, wyrażając najwyższe oczekiwanie, drga jego tak mocne kiedyś i zwinne ciało — nie miałem siły i do starych kłamstw dołączałem nowe.

W ciągu ośmiu kolejnych wieczorów opowiedziałem mu, jak Gea zbliżyła się do planety, jak na jej spotkanie wyleciały wielkie statki o dziwnych kształtach, jak nieznanne istoty porozumiały się z ludźmi dzięki automatom tłumaczącym, a kiedy tak opowiadałem, gęstość potoku meteorytowego rosła, jak gdyby czeluście miotają w nas wszystkie ukryte w kosmosie martwe rzeki żelaza i kamienia. Ściany, przedmioty, ciała przechodził dreszcz, wszystko chwiało się i w tym febrycznym dygocie opowiadałem Zorinowi o wysokiej cywilizacji istot i jak wielki spotkał je wstrząs, kiedy zbadawszy szczątki strąconych rakiet Gei zrozumiały swą pomyłką.

Zorin nie gorączkował teraz, tak osłabiony był jego organizm. Wiedziałem, że go nie uratuję, że to jest niemożliwe. Wedle wszelkiej wiedzy lekarskiej powinien był umrzeć do dwóch dni, a jednak żył i doprawdy nie wiem, co podtrzymywało go bardziej: moja krew czy moje kłamstwa. Chyba one, tak się odmieniał, kiedy opowiadałem trzymając go jednocześnie za rękę. Czułem wtedy, jak tętno napina się i pełnieje, jak drgają mięśnie wielkiego ciała, jak z ostatnim słowem na powrót zapada w odrętwienie. Siódmego wieczoru Zorin mógł już tylko pić. Przyrządziłem na grzejniku polewkę odżywczą i nagle tam, w kącie kabiny, poraziła mnie myśl: Kiedy umrze, będę mógł wyjść i naprawić antenę.

Zadrzałem, jakby leżący za moimi plecami mógł przejrzeć mnie na wylot i odczytać tę myśl. Najwyższym wysiłkiem woli chciałem wtłoczyć ją do ciemności, z których wypelzła, lecz jak echo bez słów, zawierające jednak pełną wagę treści, huczała we mnie nieustannie, cokolwiek robiłem.

Podaliśmy mu gotowy posiłek, a gdy spytał, czemu marudzę, poszedłem na górę i ślęczałem

tam przy martwej aparaturze, od czasu do czasu sprawdzając, czy drzwi są szczelnie zamknięte. Odczekawszy dwadzieścia strasznych minut zszedłem na dół i rozpocząłem kolejną historię o istotach, o ich wspaniałej cywilizacji i o tym, że już nie nasza mała stacja, lecz potężny radar Białego Globu będzie w przyszłości wiódł ziemskie rakiety transgalaktyczne w kierunku Obłoków Magellana.

Ósmego wieczoru drgania gruntu poczęły stawać się rzadsze. Wychodziliśmy z potoku meteorów. W godzinę po zachodzie słońca nastąpiła zupełna cisza. Mimo to nie mogłem wyjść z komory, tak ciężki był stan Zorina. O nic już nie pytał. Oczy miał zamknięte, twarz jak z kamienia. Od czasu do czasu ostrożnie brałem go za rękę. Wielkie serce wciąż jeszcze walczyło. Późno w nocy odezwał się nagle:

— Bajki... pamiętasz?

— Pamiętam.

— Dzieci nie chciały... smutnych, więc ja... dorabiałem im wesołe... zakończenia...

Dreszcz mnie przeszedł. Zmarłem. Co chciał przez to powiedzieć?!

Oddech nieregularnymi zrywami podnosił jego szeroką, mocno sklepioną pierś.

Nagle szepnął:

— Łódki... takie łódki...

— Co mówisz? — pochyliłem się nad nim.

— Z kory brzoźowej... wycinałem, mały... daj...

— Tu... tu nie ma kory brzoźowej...

— Tak... ale gałązki... bez... daj...

Skoczyłem do stołu. Pęk suchych gałązek stał tam w szklanym naczyniu. Kiedy z nimi wróciłem, już nie żył.

Wtedy zakryłem jego twarz, wyszedłem do śluzy, włożyłem skanfander, wziąłem narzędzia i poszedłem do schronu automatów. Razem z nimi przez trzy godziny zakładałem nowe segmenty do reflektora anteny, prostowałem maszt, spawałem go, naciągałem liny. Wszystko to robiłem jak w dziwnym śnie, nadmiernie rzeczywistym, przeraźliwie realnym, ale jak we śnie, bo u dna myśli tkwiło głębokie przeświadczenie, że jeśli bardzo, ale to bardzo zapragnę — obudzę się.

Wróciwszy udałem się na górę, do radiostacji, i włączyłem prąd. Rozległ się głuchy szum głośników. Nagle niewielką przestrzeń wypełniły donośne, mocnym, czystym głosem wypowiedzane słowa:

— ...i czterokrotnie koordynaty. Jutro rano o szóstej czasu lokalnego Gea przechodzi na wasz kurs i dotrze do asteroidu w ciągu dwunastu dni. Jesteśmy nadzwyczaj zaniepokojeni waszym milczeniem. Będziemy dalej wywoływali was przez okrągłą dobę. Tu mówi Yrjöla z pokładu Gei, w szóstym dniu po nawiązaniu łączności z Białą Planetą. Teraz będzie mówić Anna Ruys.

Głośnik szczyknął i zamilkł na chwilę. Ale ja słyszałem tylko poprzednie słowa, którymi huczała krew; zerwałem się, dopadłem drzwi i zbiegłem na dół krzycząc rozdzierająco:

— Ja nie kłamałem, Zorin! Ja nie kłamałem! To wszystko prawda! To prawda!!!

Chwyciłem w objęcia wielkie ciało i targałem je, aż ciężka głowa zamiatała jasnymi włosami wezłowie...

Opuściłem ją. Legła bezwładnie. Upadłem na twarz łkając. Coś dobijało się do mojej świadomości, coś mnie wzywało, błagało, prosiło... Ocknąłem się. To była Anna. Głos Anny. Chciałem biec na górę, lecz nie śmiałem zostawić Zorina samego. Ruszyłem w stronę schodów powoli, tyłem, patrząc wciąż w jego zastygłą twarz. Wówczas Anna zawołała mnie po imieniu i odwróciłem się od umarłego. Głos jej był coraz bliżej. Wstępując na schody spojrzałem w górę i w otwartym soczewkowym oknie stropu zobaczyłem Krzyż Południa, a niżej bladą mgiełkę: chłodnym, spokojnym światłem jaśniał tam Obłok Magellana.